


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WIKTOR HUGO

NĘDZNICY

TOM 2

Tower Press 2001

Część trzecia

MARIUSZ

Rozdział pierwszy

PARYŻ OGLĄDANY W SWOIM ATOMIE

Parvulus¹

Paryż ma dziecko, a las ma ptaka; ptak się nazywa wróblem, dziecko – ulicznikiem.

Połączcie te dwie rzeczy, z których jedna zawiera obraz pieca ognistego, druga jutrzeńki; zetknijcie te dwie iskry, Paryż i dzieciństwo, a powstanie z tego mała istota. *Homuncio*², powiedziałby Plaut.

Ten mały stwór jest wesoły. Niecodziennie jada, ale codziennie, jeśli ma ochotę, chodzi do teatru. Nie ma koszuli na grzbiecie, trzewików na nogach, dachu nad głową – obywa się bez tego jak muchy. Liczy sobie siedem do trzynastu lat; żyje gromadnie, obija bruki, mieszka pod gołym niebem, nosi stare spodnie po swoim ojcu, które spadają mu niżej pięt, stary kapelusz jakiegoś innego ojca, który spada mu niżej uszu, jedną szelkę z żółtej krajki, biega, tropi, żebrze, marnuje czas, pyka z fajeczki, klnie jak potępieniec, włóczy się po szynkach, zna się ze złodziejami, jest na ty z dziewczynami ulicznymi, mówi złodziejskim językiem, śpiewa sprośne piosenki i nic złego nie ma w sercu. Bo w duszy ma perłę: niewinność, a perły nie rozpuszczają się w błocie. Dopóki człowiek jest dzieckiem, Bóg chce, żeby był niewinny.

Gdyby zapytać olbrzymiego miasta: Co to takiego? – odpowiedziałoby: To mój mały.

¹ Malec (łac.)

² Człowieczek (łac.)

Przyszłość ukryta w ludzie

Wśród ludu paryskiego nawet człowiek dorosły zawsze jest chłopcem z ulicy.

Rasa paryska, podkreślić to należy, występuje głównie na przedmieściach; tam krew jest czysta, tam oblicze jej jest prawdziwe; tam lud pracuje i cierpi, a cierpienie i praca są to dwa kształty człowieka. Tam są niezgłębione złoża istot nieznanymi, pomiędzy którymi roją się najdziwniejsze typy, od tragarza z la Râpée do rakarza z Montfaucon. *Fex urbis*³ – woła Cyceron; *mob* – dodaje oburzony Burke; gawiedź, ciżba, pospólstwo. Jakże łatwo wymawiają się te słowa! Lecz niech i tak będzie. Cóż z tego? Cóż z tego, że chodzą boso? Nie umieją czytać? Tym gorzej. Czy dlatego opuścicie ich? Czy niedolę ich uczynicie przekleństwem? Czy światło nie może przeniknąć w te tłumy? Wróćmy do tego okrzyku: Światła! – i przy nim trwajmy niewzruszenie. Światła! Światła! – Któż wie, czy te ciemności nie staną się przejrzyste? Czy rewolucje nie są przemianami? Idźcie, filozofowie, nauczajcie, oświecajcie, zapalajcie, myślcie głośno, mówcie głośno, biegnijcie radośnie w biały dzień, bratajcie się z ulicą, zwiastujcie dobre nowiny, rozdawajcie elementarze, ogłaszajcie prawa, śpiewajcie Marsylianki, szerzcie zapał, zrywajcie z dębów zielone gałązki. Uczynicie z idei taneczne koło. Tłum ten można uszlachetnić. Umiejmy korzystać z tego pożaru zasad i cnót, który się iskrzy, wybucha i drga w pewnych godzinach. Te nogi bose, te ręce gołe, te łachmany, to nieuctwo, to upodlenie, ta ciemnota mogą być użyte dla zdobycia ideału. Wpatrzcie się w lud, a zobaczycie prawdę. Niech ten nędzny piasek, który depczecie nogami, wrzucony zostanie do pieca, niech się stopi i niech zakipi, a przekształci się w świetny kryształ, a przy jego to pomocy Galileusz i Newton odkryją nowe gwiazdy.

Mały Gavroche

W jakieś osiem lub dziewięć lat po tym, cośmy opowiedzieli w drugiej części tej książki, widywano na bulwarze Temple i w okolicach wieży ciśniętego małego chłopca, lat jedenastu, najwyżej dwunastu, który by dosyć dokładnie odpowiadał skreślonemu powyżej typowi ulicznika, gdyby z uśmiechem właściwym jego wiekowi nie łączyło się serce ponure i zupełnie puste. Dzieciak ten przyodziany był w męskie spodnie, lecz nie dostał ich od ojca, i w kaftan kobiecy, ale nie będący darem matki. Jacyś ludzie ubrali chłopca w owe łachmany przez miłosierdzie, a jednak miał i ojca, i matkę. Lecz ojciec nie myślał o nim, a matka nie kochała go wcale. Było to jedno z tych dzieci godnych litości, które mają i ojca, i matkę, a są sierotami.

Chłopiec ten nigdzie nie czuł się tak dobrze jak na ulicy. Bruk był dla niego mniej twardy aniżeli serce matki.

Rodzice kopnięciem pchnęli go w życie.

Całkiem po prostu poszedł więc przed siebie.

Był to chłopiec hałaśliwy, blady, zwinny, bystry, dowcipny, z wyglądu pełen życia i wątpy zarazem. Chodził, biegał, śpiewał, grał na piszczałce, grzebał w rynsztokach, trochę kradł, ale na sposób kotów i wróbli, wesolo śmiał się, kiedy nazywano go wisusem, gniewał się, kiedy nazywano go włóczęgą. Nie miał schronienia ani chleba, ani ognia, ani miłości; był jednak

³ Motłoch miejski (łac.)

wesoły, ponieważ był wolny.

Gdy podobne istotki stają się ludźmi, prawie zawsze koło porządku społecznego najeżdża na nie i miażdży, lecz dopóki są dziećmi, wymykają się mu. Są tak małe, że schronić się mogą w najmniejszej szparce.

Jednak choć tak opuszczony przez rodziców, chłopiec co dwa lub trzy miesiące mówił sobie: – No, pójdę zobaczyć mamę. – Wówczas porzucał bulwar, cyrk, bramę Saint-Martin, szedł na wybrzeża, przechodził przez mosty, kierował się ku przedmieściom, dochodził do ulicy Salpêtrière i docierał – dokąd? Otóż do podwójnego numeru 50/52, znanego już czytelnikowi, do rudery Gorbeau.

W tym czasie rudera 50/52, zwykle pusta i wiecznie przyozdobiona napisem: „Pokoje do wynajęcia”, była – rzecz dla niej rzadka – zamieszkała przez kilka osób, które zresztą – jak to bywa zawsze w Paryżu – nie utrzymywały stosunków ani nie miały z sobą nic wspólnego. Należały one do tej ubogiej klasy, która rozpoczyna się od drobnego mieszczanina, będącego w ciągłych kłopotach pieniężnych, i ciągnie się z nędzy w nędzę, aż do najniższych dołów społecznych, aż do dwóch istot, na których się kończy cała materialna strona cywilizacji: do czyszciciela rynsztoków, który zmiata błoto, i do gałganiarza, który zbiera szmaty.

„Główna lokatorka” z czasów Jana Valjean umarła i jej miejsce zajęła inna, zupełnie do niej podobna. Nie wiem, który filozof powiedział: „Nigdy nie brak starych kobiet”.

Ta nowa staruszka nazywała się pani Burgon i w jej życiu nie było nic szczególnego oprócz dynastii trzech papug, które kolejno panowały nad jej sercem.

Do najnędźniejszych mieszkańców domostwa należała rodzina złożona z czterech osób: ojca, matki i dwóch córek, już dość dużych; wszyscy czworo mieścili się w tej samej izbie, jednej z owych klitek, o których już mówiliśmy.

Rodzina ta na pierwszy rzut oka nie odznaczała się niczym, oprócz niezwykłego niedostatku. Ojciec, wynajmując pokój, oświadczył, że się nazywa Jondrette. Wkrótce po dokonaniu przeprowadzki, która dziwnie była podobna – żeby użyć wiekopomnego wyrażenia głównej lokatorki – do „przenosin, w których nic się nie niesie”, powiedział tej kobiecie, która tak jak jej poprzedniczka pełniła zarazem obowiązki odzwiernej i zamiatała schody: „Matko taka a taka, jeżeliby ktokolwiek przypadkiem przyszedł i pytał o Polaka lub Włocha, a może o Hiszpana, to jestem ja”.

Była to właśnie rodzina wesołego obszarpańca. Przychodził i znajdował nędzę, ale – co o wiele smutniejsze – żadnego uśmiechu: chłód w izbie i chłód w sercach. Kiedy się zjawiał, pytano go: – Gdzie byłeś? – Odpowiadał: – Na ulicy. – Kiedy wychodził, pytano go: – Dokąd idziesz? – Odpowiadał: – Na ulicę. – Matka mówiła mu: – Czego tutaj szukasz?

To dziecko żyło bez miłości, jak owe blade rośliny w piwnicach. Nie cierpiał z tego powodu i do nikogo nie czuł żalu. Nie wiedział właściwie, jacy powinni być ojciec i matka.

Zresztą matka kochała jego siostry.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że na bulwarze Temple nazywano to dziecko małym Gavroche. Dlaczego nazywał się Gavroche? Prawdopodobnie dlatego, że ojciec jego nazywał się Jondrette.

Zacieranie śladów, zrywanie związków – to jakby instynkt w niektórych rodzinach nędzarzy.

Pokój, w którym mieszkali Jondrette’owie w ruderze Gorbeau, leżał na samym końcu korytarza. Sąsiednią izdebkę zajmował pewien młody człowiek, bardzo ubogi, którego nazywano panem Mariuszem.

Powiedzmy, kim był ten pan Mariusz.

Rozdział drugi

WIELKI MIESZCZANIN

Dziewięćdziesiąt lat i trzydzieści dwa zęby

Przy ulicy Boucherat, przy ulicy Normandzkiej i przy ulicy Saintonge żyją do dziś dawni mieszkańcy, którzy znali jeszcze człowieka zwanego panem Gillenormand i chętnie go wspominają. Człowiek ten był starcem już za czasów ich młodości. Dla tych, którzy melancholijnie spoglądają w niewyraźne rojowisko cieni nazywane przeszłością, postać jego nie całkiem jeszcze znikła z labiryntu ulic sąsiadujących z Temple, którym za Ludwika XIV nadano nazwy wszystkich prowincji Francji, zupełnie tak samo jak za naszych czasów ulice nowej dzielnicy Tivoli otrzymały nazwy wszystkich stolic europejskich. W tym postępowaniu, powiedzmy nawiasem, widać skutki postępu.

Pan Gillenormand, który w roku 1831 był jak najbardziej żywy, należał do rzędu tych ludzi, którzy wzbudzają chęć oglądania ich jedynie dlatego, że długo żyli, i którzy niezwykli są dlatego, że niegdyś podobni do wszystkich, stali się niepodobnymi do nikogo. Był to niezwykły starzec i prawdziwy przedstawiciel innego wieku, doskonały i nieco wyniosły mieszczanin z osiemnastego stulecia, dumny ze starego mieszczańskiego rodu jak markiz ze swego markizatu. Ukończywszy dziewięćdziesiąt lat chodził prosto, mówił głośno, widział wyraźnie, pił do dna, jadł, spał i chrapał. Miał wszystkie trzydzieści dwa zęby. Okulary wkładał tylko do czytania. Był usposobienia kochliwego, lecz twierdził, że od dziesięciu lat stanowczo i ostatecznie wyrzekł się kobiet. Powiadał, że nie może się już im podobać, ale nie dodawał: – Jestem zbyt stary – lecz: – Jestem zbyt ubogi. – Mówił: – Gdybym nie był zrujnowany... ho, ho! – Istotnie, pozostał mu tylko dochód około piętnastu tysięcy liwrów. Marzeniem jego był dostać spadek i mieć sto tysięcy franków renty, ażeby móc utrzymywać kochanki. Nie należał więc, jak widzimy, do rodzaju tych schorowanych osiemdziesięciolatków, którzy, jak Wolter, konają przez całe życie; nie była to długowieczność pękniętego garnka; ten chwacki starzec był zawsze zdrow. Powierzchowny, gwałtowny, łatwo wpadał w gniew. Burzył się z każdego powodu, najczęściej bez żadnej rozumnej przyczyny. Kiedy mu kto przeczył, podnosił laskę i bił jak za czasów wielkiego stulecia. Miał córkę przeszło pięćdziesięcioletnią, niezamężną, którą w gniewie tłukł mocno, a chętnie by ją nawet ćwiczył batem, jak gdyby miała osiem lat. Energicznie policzkował służbę mówiąc: O, ty ścierwo! – Pan Gillenormand uwielbiał Burbonów, a rok 1789 budził w nim wstręt i zgrozę; opowiadał nieustannie, w jaki sposób uratował się w czasie terroru i ile

potrzebował wesołości i dowcipu, ażeby ocalić głowę. Kiedy kto z młodzieży odważył się pochwalić w jego obecności Republikę, siniał i wpadał w gniew aż do utraty zmysłów. Czasami robił aluzję do swoich dziewięćdziesięciu lat i powiadał: Mam nadzieję, że nie będę oglądał dwa razy dziewięćdziesiątego trzeciego.

Na chwilę zjawia się Magnon i jej dwaj malcy

Pan Gillenormand uzewnętrzniał ból w postaci złości; wściekał się na własną rozpacz. Miał on wszystkie możliwe przesady i pozwalał sobie na wszelkie wybryki. Do cech, które składały się na jego zewnętrzny obraz i dostarczały mu wewnętrznej satysfakcji, należało przekonanie, że jest wciąż kobieciarzem, tudzież skłonność do uchodzenia za takiego w najwyższym stopniu. Mawiał, że to znaczy mieć „renomę królewską”. Ta królewska renoma robiła mu czasem osobliwe niespodzianki. Pewnego dnia przyniesiono mu w kobiałce, niczym dwa tuziny ostryg, okazowego noworodka, drącego się wniebogłose i należycie opatulonego w powijaki, a którego ojcostwo przypisywała mu odprawiona przed pół rokiem służąca. Pan Gillenormand miał wtedy ni mniej, ni więcej tylko osiemdziesiąt cztery lata. W całym domu oburzenie i rwetes. Co ta bezwstydną łajdaczką sobie myśli? Co za bezczelność! Co za ohydne oszczerstwo! Pan Gillenormand natomiast wcale się nie zdenerwował. Popatrzył na powijaki z dobrotliwym uśmiechem człowieka, który w oszczerstwie odczuwa pochlebstwo, i powiedział do obecnych: – No i co? Co się stało? Co w tym jest nadzwyczajnego? Rozdziawiliście usta jak ludzie, którzy o niczym nie mają pojęcia. Książę d’Angoulême, bękart jego królewskiej mości Karola IX, ożenił się w osiemdziesiątym piątym roku życia z piętnastoletnią podfruwajką; markiz d’Alluye, brat kardynała de Sourdis, arcybiskupa Bordeaux, liczył sobie osiemdziesiąt trzy lata, kiedy miał z pokojówką pani Jacquin, żony prezesa trybunału, prawdziwe dziecko miłości, syna, który został później kawalerem maltańskim i radcą stanu. W takich wypadkach nie ma nic niezwykłego. A co się dzieje w Biblii? To rzekłszy oświadczam, że ten mały jegomość nie jest moim dzieckiem, ale proszę zająć się nim, bo to nie jego wina. – Gest był pełen dobroduszości. Ta sama kreatura – imieniem Magnon – obdarzyła go po roku nową przesyłką. Był to znowu chłopiec. Tym razem pan Gillenormand skapitulował. Powierzył matce obu malców, zobowiązując się łożyć na ich utrzymanie osiemdziesiąt franków miesięcznie, pod warunkiem, że wzmiankowana matka nie będzie już tego powtarzała. Dodał przy tym: – Życzę sobie, żeby matka dobrze traktowała chłopców. Od czasu do czasu będę ich odwiedzał. – Tak też czynił.

Żonaty był dwukrotnie: z pierwszej żony miał córkę, która pozostała panną; z drugiej – również córkę, która umarła około trzydziestego roku życia. Ta, z miłości, przypadku czy też z innej przyczyny, poślubiła żołnierza, który służył w wojsku Republiki i Cesarstwa, pod Austerlitz dostał order, a pod Waterloo został pułkownikiem. – To zakała rodziny – powiadał stary mieszczanin. Zażywał dużo tabaki i ze szczególnym wdziękiem strzepywał ręką swój koronkowy żabot. Bardzo mało wierzył w Boga.

Zasada: przyjmować tylko wieczorem

Takim był pan Luc-Esprit Gillenormand. Zachował wszystkie włosy, raczej szare niż białe.

W sumie, z tym wszystkim – czcigodny.

Frywolny, a zarazem wielki, miał coś z osiemnastego stulecia. W pierwszych latach Restauracji pan Gillenormand, jeszcze wówczas młody – miał zaledwie sześćdziesiąt cztery lata w 1814 roku – mieszkał na przedmieściu Saint-Germain, przy ulicy Servandoni, niedaleko św. Sulpicjusza. Schronił się w dzielnicy Marais dopiero wtedy, gdy wycofał się z życia towarzyskiego, będąc już dobrze po osiemdziesiątce.

Wycofując się zaś z życia towarzyskiego, obwarował się swoimi nawykami. Pierwszym z nich, od którego nie odstępował, było: mieć drzwi bezwzględnie zamknięte w ciągu dnia i przyjmować tylko wieczorem, obojętne, kto by przychodził i z jaką sprawą. Obiad jadł o piątej, po czym drzwi otwierano. Była to moda jego stulecia, przy której obstawał. – Dzień to kanalia – mawiał. – Wart tylko zamkniętej okiennicy. Ludzie dobrych obyczajów zapalają umysły, kiedy zenit zapala gwiazdy. – I barykadował się przed wszystkimi, choćby i przed królem. Stara elegancja jego epoki.

Dwie osoby to niekoniecznie para

Pan Gillenormand, jak powiedzieliśmy przed chwilą, miał dwie córki. Dzieląca je różnica wieku wynosiła dziesięć lat. W młodości niewiele były do siebie podobne, i tak z charakteru, jak i z twarzy zgoła nie wyglądały na siostry. Młodsza była to urocza dusza, rwąca się do wszystkiego, co było światłem, zajęta kwiatami, wierszami i muzyką, ulatująca w świetlne przestworza, eteryczna entuzjastka, od lat dziecinnych zaręczona idealnie z jakąś mglistą postacią bohatera. Starsza miała także swoje marzenia; widziała w błękitach jakiegoś dostawcę, jakiegoś grubego i bogatego liweranta, męża odpowiednio głupiego, milion w postaci mężczyzny, albo też prefekta; przyjęcia w prefekturze, woźny w przedpokoju z łańcuchem na szyi, oficjalne bale, przemowy w merostwie; zostać „panią prefektową”, oto, co wypełniało zgiełkiem jej wyobraźnię. Obie siostry, będąc dziewczętami, błąkały się w ten sposób, każda w swoim marzeniu. Obie miały skrzydła: jedna anioła, druga gęsi.

Żadna ambicja nie ziszcza się całkowicie, na tym padole przynajmniej. Żaden raj nie staje się ziemski w czasach, w których żyjemy. Młodsza zaślubiła człowieka ze swych snów, ale umarła. Starsza wcale nie wyszła za mąż.

W naszym opowiadaniu zjawia się już jako stara panna, ogniotrwałe cnotliwa, obdarzona jednym z najostrzejszych nosów i jednym z najtępszych umysłów, jakie kiedykolwiek można było oglądać. Szczegół charakterystyczny: poza najbliższą rodziną nikt nie znał jej chrzestnego imienia. Nazywano ją: panna Gillenormand starsza.

Co do pruderii, panna Gillenormand starsza mogła wytrzymać porównanie z każdą angielską miss. Była to wstydlivość posunięta aż do obrzydliwości. Miała jedno straszne wspomnienie w swoim życiu: pewien mężczyzna ujrzał raz jej podwiązkę. Wiek powiększył jeszcze tę nietościową wstydlivość. Stanik jej nigdy nie był dość nieprzejrzysty i nigdy nie dochodził dosyć wysoko pod szyję. Zapinała się na liczne haftki i agrafki tam, gdzie nikomu nawet nie śniło

się spojrzeć. Jest to właściwością pruderii, że tym więcej mnoży środków obrony, im mniejsze niebezpieczeństwo grozi fortecy.

Jednak (niech wytłumaczy, kto potrafi, te stare tajemnice dusz niewinnych) bez przykrości pozwalała całować się oficerowi ułanów, który był wnukiem jej stryjenki i nazywał się Teodul.

Zarządzała domem ojca. Pan Gillenormand miał przy sobie córkę, tak jak ksiądz Benvenuto miał przy sobie siostrę. Takie gospodarstwa, złożone ze starca i starej panny, nie są rzadkie i zawsze przedstawiają rozculający widok dwóch słabości wspierających się nawzajem.

Oprócz tego zaś pomiędzy starą panną i starcem było jeszcze w tym domu dziecko, chłopczyk, zawsze drżący i milczący w obecności pana Gillenormand. Pan Gillenormand nie mówił nigdy inaczej do tego dziecka jak głosem surowym, a często z podniesioną laską: – Tu, paniczu! Chodź tu, hultaju, uliczniku, zbliż się! Odpowiadaj, nicponiu! Pokaż się, ty ladaco! – itp. itp. Jednocześnie ubóstwiał go.

Był to jego wnuk. Spotkamy się jeszcze z tym dzieckiem.

Rozdział trzeci

DZIADEK I WNUK

Dawny salon

Kiedy pan Gillenormand mieszkał na ulicy Seryandoni, bywał w kilku bardzo wytwornych i bardzo arystokratycznych salonach. Przyjmowano tam pana Gillenormand, choć był mieszczaninem. Ponieważ miał rozum podwójny: ten, który w istocie posiadał, i ten, który mu przypisywano, więc poszukiwano go i fetowano. Bywał tylko tam, gdzie wiedział, że jest pożądanym i poważanym. Są ludzie, którzy pragną za wszelką cenę mieć wpływy i zwracać na siebie uwagę; tam więc, gdzie nie mogą być wyrocznią, stają się błaznami. Pan Gillenormand nie był człowiekiem tego rodzaju; swych przewag w salonach rojalistycznych, do których uczęszczał, nie zdobywał kosztem szacunku dla samego siebie. Był wyrocznią wszędzie. Zdarzało mu się stawić czoło panu de Bonald, a nawet panu Bengy-Puy-Vallée.

Okolo 1817 roku dwa popołudnia w tygodniu spędzał niezmiennie w jednym z sąsiednich domów, przy ulicy Ferou, u pani baronowej de T., godnej i szanownej osoby, której mąż za Ludwika XVI był ambasadorem Francji w Berlinie. Baron de T., który za życia swego zajmował się namiętnie uniesieniami i wizjami magnetycznymi, zmarł zrujnowany na emigracji, pozostawiając za cały majątek dziesięć tomów rękopisu – oprawnych w czerwony safian ze złoczonymi brzegami – bardzo ciekawych wspomnień o Mesmerze i jego misce. Pani de T. przez poczucie godności nie ogłosiła tych pamiętników i utrzymywała się z małej renty, która nie wiedzieć jak ocalała. Pani de T. żyła z daleka od dworu, tego, jak powiadała, „bardzo mieszanego towarzystwa”, w odosobnieniu szlacheckim, dumnym i ubogim. Kilku przyjaciół zbierało się dwa razy na tydzień przy jej wdowim kominku i w ten sposób tworzył się salon czysto rojalistyczny. Piło się tam herbatę i – stosownie do elegijnego lub dytyrambicznego usposobienia – albo ubolewano, albo oburzano się na wiek, na kartę konstytucyjną, na bonapartystów, na prostytutkę Orderu św. Ducha, rozdawanego mieszczanom, na jakobinizm Ludwika XVIII i mówiono po cichu o nadziejach, które budził Monsieur, późniejszy Karol X.

Pan Gillenormand przychodził zwykle w towarzystwie swojej córki, wysokiej, chudej panny, która skończyła już wówczas czterdzieści lat, a zdawała się mieć ich pięćdziesiąt, i ślicznego siedmioletniego chłopczyka, białego, różowego, świeżego, z oczami pełnymi szczęścia i ufności, który przy każdym pojawieniu się w tym salonie słyszał dookoła szept: Co za piękny chłopiec! Jaka szkoda! Biedne dziecko! – O tym to właśnie chłopcu mówiliśmy przed chwilą. Nazywano go biednym dzieckiem, ponieważ miał ojca „zbója znad Loary”.

Zbójem znad Loary był zięć pana Gillenormand, o którym już wspominaliśmy, a którego pan

Gillenormand nazywał „zakałą rodziny”.

Jedno z czerwonych widm tego czasu

Kto by przechodził w tej epoce przez miasteczko Vernon i zatrzymał się na pięknym, monumentalnym moście, na którego miejscu, jak należy się spodziewać, już wkrótce stanie jakiś okropny most żelazny, ten spoglądając w dół mógł zobaczyć mężczyznę lat około pięćdziesięciu, w skórzanym kaszkiecie, w spodniach i kurtce z grubego szarego sukna, przy której wisiało coś żółtego, co było niegdyś czerwoną wstążeczką; człowiek ten nosił drewniane trepy, był opalony od słońca, miał twarz prawie czarną, włosy prawie białe i szeroką bliznę sięgającą od czoła aż do policzka. Pochylony, zgarbiony, postarzały przedwcześnie, przechadzał się prawie codziennie z rydlem i nożem ogrodniczym w rękę po jednym z tych otoczonych murami skrawków gruntu, które leżą w pobliżu mostu i rozciągają się łańcuchem wzdłuż lewego brzegu Sekwany; te urocze placyki, pełne kwiatów, wyglądałyby na ogrody, gdyby były o wiele większe, a na bukiety, gdyby były jeszcze trochę mniejsze. Na jednym krańcu placyku stał domek, drugi kraniec przytykał do rzeki. Człowiek w kaftanie i w trepach, o którym mówimy, mieszkał około 1817 roku w najmniejszym z tych ogródków i w najskromniejszym z tych domków. Mieszkał samotnie, cicho i ubogo, z kobietą ani młodą, ani starą, ani ładną, ani brzydką, ani chłopką, ani mieszczką, która mu usługiwała. Kawalek ziemi, który on nazywał swoim ogrodem, służył w mieście z pięknych kwiatów, które tam hodował. Zajmował się tylko tymi kwiatami.

Ktokolwiek czytywał w tym czasie pamiętniki wojenne, biografie, „Monitora” i biuletyny wielkiej armii, ten niechybnie zauważył tam nazwisko powtarzające się dosyć często, nazwisko Jerzego Pontmercy. Pod Waterloo dowodził on szwadronem kirasjerów w brygadzie Dubois. Zdobył też sztandar pułku luneburskiego. Złożył tę zdobycz u stóp cesarza. Był cały zakrwawiony, gdyż podczas walki o sztandar dostał cięcie szablą w głowę. Cesarz, zadowolony, zawołał do niego: – Jesteś od dziś pułkownikiem, baronem i oficerem Legii Honorowej! – Pontmercy odpowiedział: – Najjaśniejszy panie, dziękuję w imieniu tej, która będzie wdową po mnie. – Po godzinie padł w wąwozie Ohain. A kim był teraz ten Jerzy Pontmercy? Właśnie „zbójem znad Loary”.

Znamy już pewien fakt z jego dziejów. Po bitwie pod Waterloo Pontmercy, wyciągnięty – jak sobie przypominamy – z wąwozu Ohain, dogonił armię i przerzucany z ambulansu do ambulansu dotarł aż do obozu nad Loarą.

Restauracja wyznaczyła mu połowę żołdu, a następnie zesłała go na pobyt, tj. pod dozór, do miasteczka Vernon. Król Ludwik XVIII, uważając za niebyłe to, co zaszło podczas Stu Dni, nie uznał ani jego godności oficera Legii Honorowej, ani jego stopnia pułkownika, ani jego tytułu barona. On zaś przy każdej sposobności podpisywał się: „Pułkownik baron Pontmercy”.

Nie miał nic prócz bardzo lichego półżołdu dowódcy szwadronu. Wynajął w Vernon najmniejszy domek, jaki mógł znaleźć. Żył tam samotny; widzieliśmy, w jaki sposób. Za Cesarstwa, pomiędzy dwiema wojnami, znalazł czas, żeby poślubić pannę Gillenormand. Stary mieszczanin, oburzony do głębi, zgodził się wzdychając i mówiąc: – Największe rodziny bywają do tego zmuszone. – W roku 1815 pani Pontmercy, kobieta zresztą pod każdym względem zasługująca na uwielbienie, wykształcona i niepospolita, godna swego męża, umarła pozostawiając dziecko. Dziecko to byłoby radością pułkownika w jego osamotnieniu, ale dziadek

gwałtownie domagał się wnuka oświadczając, że wydziedziczy chłopca, jeżeli mu go nie oddadzą. Ojciec ustąpił w interesie małego i nie mogąc oglądać dziecka pokochał kwiaty.

Wyrzekł się zresztą wszystkiego, nie ruszał się z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania, nie spiskował. Dzielił swoje myśli pomiędzy niewinne czynności, które wypełniały mu terazniejszość, i wielkie czyny, których dokonał w przeszłości. Spędzał czas, czekając na rozkwitnięcie goździka lub wspominając Austerlitz.

Pan Gillenormand nie utrzymywał żadnych stosunków ze swoim zięciem. Pułkownik był dla niego „bandytą”, a on był dla pułkownika „zakutym łbem”. Pan Gillenormand nigdy nie mówił o pułkowniku, czasem tylko robił szydercze aluzje do jego „baronostwa”. Dziadek zastrzegł sobie wyraźnie, że Pontmercy nie będzie się starał widywać syna ani z nim mówić, pod groźbą wydziedziczenia i odesłania mu chłopca. Dla Gillenormandów Pontmercy był trędowaty. Chcieli wychować dziecko po swojemu. Pułkownik może postąpił niesłusznie, przyjmując takie warunki, ale uległ im sądząc, że dobrze robi i że poświęca tylko siebie. Spadek po panu Gillenormand był niewielki, lecz spadek po panie Gillenormand był znaczny. Ciotka ta, która pozostała niezamężna, była bardzo bogata po matce i syn siostry był jej naturalnym spadkobiercą. Dziecko, które miało na imię Mariusz, wiedziało, że ma ojca, i tylko tyle. Nikt ani słówkiem nie odzywał się o nim w jego obecności. Jednakże szepty, półsłówka, mruganie osób z towarzystwa, do którego wprowadzał go dziadek, przeniknęły wreszcie do świadomości malca, a że w sposób naturalny coraz bardziej nasiąkał poglądami i przekonaniem, które go otaczały jak powietrze, zaczął myśleć o swoim ojcu ze wstydem i ze ściśniętym sercem.

Kiedy chłopiec rósł tak, pułkownik co drugi lub trzeci miesiąc zniknął, aby po kryjomu, jak przestępca wydalający się spod dozoru policyjnego, pojechać do Paryża i pójść do kościoła św. Sulpicjusza w godzinach, kiedy ciotka Gillenormand przyprawiała tam Mariusza na mszę. I drząc, żeby ciotka się nie odwróciła, ukryty za filarem, bez ruchu, wstrzymując oddech, patrzył na swoje dziecko. Ten człowiek z blizną na czole bał się starej panny.

To dało początek jego znajomości z księdzem Mabeuf, proboszczem w Vernon.

Brat proboszcza był skarbnikiem u św. Sulpicjusza i często widział mężczyznę, który się wpatrywał w dziecko, widział szramę na jego twarzy i wielkie łzy w oczach. Pewnego dnia, przybywszy do Vernon, aby odwiedzić brata, minął na moście pułkownika Pontmercy i rozpoznał człowieka z kościoła św. Sulpicjusza. Powiedział o tym proboszczowi i obaj pod jakimś pretekstem złożyli pułkownikowi wizytę. Po pierwszej wizycie przyszły następne. Pułkownik, z początku bardzo zamknięty, zaczął się wreszcie zwierzać, dzięki czemu proboszcz i skarbnik poznali całą historię i dowiedzieli się, że Pontmercy poświęca swoje szczęście dla przyszłości dziecka. Proboszcz poczuł głęboki i tkliwy szacunek dla niego, a pułkownik ze swej strony polubił proboszcza.

Dwa razy na rok, pierwszego stycznia i na św. Jerzego, Mariusz pisał do swego ojca obowiązkowe listy, które mu dyktowała ciotka i które były jakby skopiowane z podręcznika korespondencji; pan Gillenormand tolerował tylko tyle; ojciec odpowiadał listami pełnymi czułości, a dziadek bez czytania chował je do kieszeni.

Koniec zbója

Mariusz Pontmercy, jak wszystkie małe dzieci, uczył się tego i owego. Kiedy wyszedł z rąk

ciotki Gillenormand, dziadek powierzył go poważnemu pedagogowi, który był okazem nieskomplikowanej inteligencji klasyków.

Ta młoda, otwierająca się dusza przeszła z rąk pruderii w ręce pedanta. Mariusz chodził przez kilka lat do kolegium, później wstąpił na wydział prawa. Był rojalistą fanatycznym i surowym. Dziadka, który go raził swoim humorem i cynizmem, kochał mało; na temat ojca milczał posepnie. Był to zresztą chłopiec zapalczywy i opanowany, szlachetny, wspaniałomyślny, dumny, religijny, ezgaltowany; prawy aż do surowości, czysty aż do dzikości.

Kiedy kończył naukę szkolną, pan Gillenormand pożegnał się z życiem towarzyskim. Starzec przestał bywać na przedmieściu Saint-Germain, w salonie pani de T., i osiadł we własnym domu przy ulicy Panien Kalwaryjskich. Służba jego składała się z pokojówki Nikolety i dychawicznego Baskijczyka.

W roku 1827 Mariusz skończył lat siedemnaście. Pewnego wieczora, wracając do domu ujrzał, że dziadek jego trzyma w ręku list.

– Mariuszu – rzekł pan Gillenormand – jutro pojedziesz do Vernon.

– Po co? – zapytał Mariusz.

– Zobaczyć się z ojcem.

Mariusz zadrżał. Wszystko przypuszczał, z wyjątkiem tego, że mógłby kiedyś zobaczyć się z ojcem. Nic nie mogło być dla niego bardziej niespodziewane, bardziej zadziwiające i – powiedzmy od razu – bardziej nieprzyjemne. Już nawet nie zmartwienie, lecz po prostu pańszczyzna.

Mariusz miał nie tylko polityczne powody niechęci, ale był także przekonany, że ojciec jego, ten rębajło – jak go nazywał pan Gillenormand w chwilach dobrego usposobienia – nie kochał go; było to oczywiste, ponieważ porzucił syna i zostawił na łasce innych. Nie czując się kochanym, sam też nie kochał. – To przecież całkiem proste – powiedział sobie.

Był tak zdumiony, że nawet o nic nie zapytał pana Gillenormand. Dziadek odezwał się znowu:

– Zdaje się, że jest chory. Wzywa cię. – A po chwili milczenia dodał: – Jedź jutro z rana. Zdaje mi się, że z placu des Fontaines odchodzi powóz o szóstej, a przybywa na miejsce wieczorem. Pojedź nim. Twój ojciec pisze, że to pilne.

Po czym zmiął list i wsunął go do kieszeni.

Mariusz mógłby pojechać jeszcze tego samego wieczora i być na drugi dzień rano u ojca. W tym czasie dylizans z ulicy Bouloi wyruszał wieczorem do Rouen i przejeżdżał przez Vernon. Ani pan Gillenormand, ani Mariusz pomyśleli, żeby zasięgnąć wiadomości w tym względzie.

Nad wieczorem następnego dnia Mariusz przybył do Vernon. Zaczynano już zapalać świece. Pierwszego napotkanego przechodnia zapytał o dom „pana Pontmercy”. Był bowiem tego samego zdania co Restauracja i również nie przyznawał ojcu ani baronostwa, ani stopnia pułkownika.

Wskazano mu, gdzie mieszka. Zadzwoił; otworzyła drzwi kobieta trzymająca w ręku małą lampkę.

– Czy zastałem pana Pontmercy? – powiedział Mariusz.

Kobieta nie poruszyła się.

– Czy to tutaj? – zapytał Mariusz.

Kobieta twierdząco skinęła głową.

– Czy mogę z nim mówić?

Kobieta dała znak przeczący.

– Ależ jestem jego synem! – zawołał Mariusz. – On na mnie czeka!

– Już nie czeka – odpowiedziała kobieta.

Wówczas spostrzegł, że płakała. Wskazała palcem na drzwi do pokoju. Wszedł.

W pokoju tym, oświetlonym łożową świecą postawioną na kominku, było trzech ludzi: jeden stał, jeden klęczał, a jeden, w koszuli, leżał na podłodze. Ten, który leżał na podłodze, był właśnie pułkownikiem.

Dwaj inni byli to lekarz i ksiądz, który się modlił.

Pułkownik przed trzema dniami dostał zapalenia mózgu. W początkach choroby, mając złe przeczucie, napisał do pana Gillenormand, prosząc o przyjazd syna. Stan pogorszył się. Tego wieczora, kiedy Mariusz przybył do Vernon, pułkownik, w ataku maligny, pomimo oporu służącej wstał z łóżka krzycząc: – Mój syn nie przybywa! Idę na spotkanie mego syna! – Wyszedł ze swego pokoju i przekroczywszy próg, upadł na podłogę. Przed chwilą właśnie skonał.

Zawezwano lekarza i księdza. Lekarz zjawił się za późno, ksiądz zjawił się za późno. Syn także przybył za późno.

Przy wątłym świetle świecy na policzku pułkownika, leżącego i bladego, widać było wielką łzę, która spłynęła z nieżywego oka. Oko zagasło, łza nie wyschła jeszcze. Ta łza to było spóźnienie syna.

Mariusz patrzył na tego człowieka, którego widział po raz pierwszy i po raz ostatni, na tę twarz godną i męską, na te oczy otwarte, które widziały, na te białe włosy, na muskularne ciało, na którym dawały się widzieć tu i ówdzie brutalne linie, ślady po cięciach szabli, i niby gwiazdy czerwone – dziury od kul. Patrzył na olbrzymią bliznę, która opromieniała bohaterstwem tę twarz, przez Boga naznaczoną dobrocią. Pomyślał, że ten człowiek był jego ojcem i że ten człowiek umarł – i nic się w nim nie poruszyło. Smutek, którego doznawał, był to smutek, który by odczuł w obecności każdego umarłego.

Żałoba, bolesna żałoba napełniała ten pokój. Służąca lamentowała w kącie, ksiądz modlił się i słyhać było, że łkał, lekarz ocierał oczy, nawet trup płakał.

Ten lekarz, ten ksiądz i ta kobieta patrzyli na Mariusza przez swój smutek, nic nie mówiąc; był tu obcy. Mariusz, bardzo mało wzruszony, czuł wstyd i zażenowanie, że tak się zachowywał. W rękę miał kapelusz, upuścił go więc na ziemię, żeby pomyślano, że obezwładniony przez boi nie mógł go utrzymać.

W tej samej chwili doznał jakby wyrzutu sumienia i z pogardą pomyślał o swoim postępku. Lecz czyż to była jego wina? Nie kochał przecież ojca!

Pułkownik nic po sobie nie zostawił. Ze sprzedaży ruchomości zaledwie opłacono pogrzeb. Służąca znalazła kawałek papieru, który oddała Mariuszowi. Na nim było napisane ręką pułkownika:

Dla mego syna. Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tego tytułu, który opłaciłem własną krwią, syn mój przyjmie ten tytuł i będzie go używał. Jest rzeczą oczywistą, że będzie tego godny.

Po drugiej stronie kartki pułkownik dopisał jeszcze:

W tej samej bitwie pod Waterloo pewien sierżant ocalił mi życie. Człowiek ten nazywa się Thénardier. W ostatnich czasach – jak mi się zdaje – miał on małą oberżę w jednej z wiosek w okolicach Paryża, w Chelles albo w Montfermeil. Jeżeli go syn mój kiedy spotkał, niech zrobi dla niego wszystko, co tylko będzie w jego mocy.

Nie przez pietyzm dla pamięci ojca, lecz skutek tego nieokreślonego poszanowania, jakie zawsze śmierć nakazuje sercu człowieka, Mariusz wziął kartkę i schował ją.

Nic nie zostało po pułkowniku. Pan Gillenormand kazał sprzedać tandeciarzowi jego szpadę i uniform. Sąsiedzi zniszczyli ogród i zrabowali rzadkie kwiaty. Inne rośliny zdziczały i zginęły.

Mariusz tylko dwie doby przebywał w Vernon. Po pogrzebie wrócił do Paryża i zajął się swoim prawem, nie myśląc więcej o ojcu, jak gdyby nie żył on nigdy. W dwa dni pułkownik był pochowany, a w trzy zapomniano o nim.

Mariusz nosił krepę na kapeluszu. Oto i wszystko.

Chodzenie do kościoła może się przydać, żeby zostać rewolucjonistą

Mariusz zachował z dzieciństwa swoje praktyki religijne. Pewnej niedzieli poszedł na mszę do św. Sulpicjusza, do tej samej kaplicy Matki Boskiej, gdzie jako mały chłopiec bywał z ciotką; wyjątkowo tego dnia roztargniony i zatopiony w myślach, stanął za jednym z filarów i nie zwracając uwagi na to, co robi, zajął miejsce na obitym utrechckim aksamitem klęczniku, którego oparcie zdobił napis: „Pan Mabeuf, skarbnik parafii”. Msza się zaczęła, kiedy nadszedł jakiś starzec i powiedział do Mariusza:

– To jest moje miejsce, proszę pana.

Mariusz wstał pośpiesznie i starzec zajął swój klęcznik. Po skończonej mszy Mariusz stał jeszcze w zamyśleniu o kilka kroków dalej; starzec znowu podszedł do niego i powiedział:

– Bardzo przepraszam, że panu wtedy przeszkodziłem i że chcę to zrobić jeszcze raz; uznał pan pewno moje postępowanie za niegrzeczne, muszę się więc wytłumaczyć.

– Ależ to jest zupełnie niepotrzebne – odpowiedział Mariusz.

– A jednak – odparł staruszek. – Nie chciałbym, żeby pan o mnie źle myślał. Widzi pan, jestem do tego miejsca bardzo przywiązany. Zdaje mi się, że msza stąd wysłuchana jest więcej warta. Zaraz panu powiem, dlaczego. Przez całe lata, regularnie co dwa albo trzy miesiące, spotykałem tu jakiegoś nieszczęśliwego ojca, który nie miał innego sposobu, żeby widywać swojego synka, ponieważ uniemożliwiały mu to stosunki rodzinne. Przychodził do tego kościoła wtedy, kiedy przyprowadzano jego dziecko na mszę. Malec wcale się tego nie domyślał, może nawet nie wiedział, biedaczek, że ma ojca. Ojciec ukrywał się za tym filarem, żeby go nie dostrzeżono. Patrzył na swoje dziecko i płakał. Dlatego to miejsce stało się dla mnie święte i przyzwyczailem się stąd słuchać mszy. Wolę je nawet od ławki kolatorskiej, do której mam prawo jako skarbnik parafii. Trochę zresztą znałem tego nieszczęśliwego człowieka. Miał on teścia, bogatą ciotkę czy krewnych, sam już nie wiem, którzy grozili, że wydziedziczą chłopca, jeżeli on, ojciec, będzie go widywał. Poświęcił się więc, żeby jego syn został pewnego dnia bogaty i był szczęśliwy. Powodem tej sytuacji był poglądy polityczne. Osobiście nie mam nic przeciwko poglądom politycznym, ale są ludzie, którzy w tym idą za daleko. Mój Boże, dlatego, że ktoś się bił pod Waterloo, to jeszcze nie stał się wskutek tego potworem i to nie jest powód, żeby zabierać ojcu dziecko. On był pułkownikiem u Bonapartego. Zdaje mi się, że już nie żyje. Mieszkał w Vernon, gdzie mój brat jest proboszczem, i nazywał się Pontmarie, Montpercy czy jakoś podobnie... Miał na twarzy szramę po niezgorszym ciosie szablą.

– Pontmercy? – zapytał Mariusz blednąc.

– Właśnie. Pontmercy. Czy pan go może znał?

– Proszę pana – rzekł Mariusz – to był mój ojciec.

Stary skarbnik złożył ręce i zawołał:

– Ach, to pan był tym dzieckiem! No tak, to się zgadza, zdążył pan dorosnąć. O, mój biedny chłopcze, możesz sobie powiedzieć, że miałeś ojca, który cię bardzo kochał!

Mariusz podał ramię starcowi i odprowadził go aż do mieszkania. Nazajutrz powiedział do pana Gillenormand:

– Urządzamy z kolegami polowanie. Czy mogę wyjechać na trzy dni?

– Na cztery! – odparł dziadek. – Jedź, baw się.

I mrużąc oko szepnął do córki:

– Jakaś miłostka!

Do czego może doprowadzić spotkanie ze skarbnikiem parafii

Dokąd Mariusz pojechał, tego dowiemy się później.

Przez trzy dni był nieobecny w domu, po czym wrócił do Paryża i poszedł prosto do biblioteki wydziału prawa, gdzie zażądał kompletu „Monitora”.

Zaczął czytać „Monitora” wszystkie historie Republiki i Cesarstwa, *Wspomnienia z Wyspy Świętej Heleny*, wszystkie pamiętniki, gazety, biuletyny, proklamacje; wszystko to połykał. Kiedy po raz pierwszy spotkał nazwisko ojca w biuletynach wielkiej armii, dostał gorączki na cały tydzień. Odwiedzał generałów, pod którymi służył Jerzy Pontmercy, między innymi hrabiego H. Skarbnik, Mabeuf, do którego zachodził, opowiedział mu o życiu w Vernon, egzystencji pułkownika, jego kwiatkach, jego samotności. Mariusz dokładnie zrozumiał, kim był ten niezwykle człowiek, wzniosły i łagodny, ten lew-baranek, który był jego ojcem.

Zajęty tymi studiami, absorbującymi cały jego czas i wszystkie jego myśli, prawie nie widywał pana Gillenormand. Zjawiał się w godzinach posiłków; kiedy go potem szukano, Mariusza już nie było w domu. Ciotka zrzędziła. Pan Gillenormand uśmiechał się: – Hm, to jest okres dziewczynek! – Czasami dorzucał: – Do diabła, myślałem, że to jakiś romansik, ale zdaje się, że to jest namiętność.

Była to rzeczywiście namiętność.

Mariusz zaczął uwielbiać ojca.

Jednocześnie niezwykła przemiana dokonywała się w jego poglądach. Ta historia na którą dopiero teraz spojrzął, przerażała go. Najpierw przyszło olśnienie.

Republika, Cesarstwo – dotąd były to dla niego słowa potworne. Republika – gilotyna w półmroku. Cesarstwo – szabla w mrokach nocy. Popatrzył teraz na to wszystko i tam, gdzie spodziewał się zobaczyć chaos ciemności, z jakimś ogromnym zdumieniem, w którym był lęk i radość, odkrył świecące gwiazdy: Mirabeau, Vergniauda, Saint-Justa, Robespierre’a, Kamila Desmoulins, Dantona i słońce – Napoleona. Nie wiedział, gdzie Jest. Cofał się oślepiony tą światłością. Powoli, gdy wstrząs minął, zaczął się przyzwyczajać do tych blasków, rozważał czyny bez zawrotu głowy i patrzył na ich sprawców bez uczucia zgrozy; rewolucja i Cesarstwo stanęły w promiennej perspektywie przed jego pełną wizji źrenicą; te dwie grupy wydarzeń i ludzi streściły się dla niego w dwóch potężnych faktach – Republika w suwerenności prawa

obywatelskiego przywróconego masom. Cesarstwo w suwerenności myśli, francuskiej narzuconej Europie; ujrzał wyłaniającą się z rewolucji wielką postać ludu, z Cesarstwa – wielką postać Francji. Orzekł w swoim sumieniu, że wszystko to było słuszne.

Nie uważamy za konieczne wskazywać tu, co jego olśnienie pomijało w tym pierwszym, o wiele za bardzo syntetycznym sądzie; stwierdzamy stan umysłu, który się rozwija. Postęp nie odbywa się w jednym etapie. Oświadczywszy to, zarówno w stosunku do tego, cośmy już powiedzieli, jak i tego, co jeszcze będzie powiedziane, idziemy dalej.

Mariusz spostrzegł wtedy, że tak samo jak nie rozumiał swojego ojca, nie rozumiał swojego kraju. Nie znał ani jednego, ani drugiego i dobrowolnie znosił jak gdyby noc na oczach. Teraz już widział i z jednej strony podziwiał, z drugiej – uwielbiał.

Pełen był żalu i wyrzutów sumienia. Z rozpaczą myślał, że to wszystko, co czuł, mógł wypowiedzieć tylko wobec grobu. Ach, gdyby jego ojciec nie umarł, gdyby go Mariusz jeszcze miał, gdyby Bóg w swojej litości i dobroci zezwolił, żeby ten ojciec pozostał między żyjącymi, jakżeby on pobiegł, rzucił się ku niemu i zawołał: Ojcze, oto jestem! To ja! Mam takie samo serce jak i ty! Jestem twoim synem! W jego sercu przelewało się ciągle łkanie, które co chwila powtarzało: niestety!

Od rehabilitacji ojca przeszedł naturalnie do rehabilitacji Napoleona. Nie dostrzegał, że razem z geniuszem, w chaotycznym pomieszaniu, podziwiał przemoc, to znaczy, że umieszczał w dwóch przedziałach swojego kultu z jednej strony to, co jest boskie, z drugiej to, co brutalne. W niejednym względzie zaczął znowu błądzić. Aprobował wszystko. Ożywiał go rodzaj gwałtownej dobrej wiary, która przyjmowała wszystko w całości.

Kiedy w tej tajemniczej pracy zrzucił zupełnie dawną, burbońską i ultramontańską skórę, kiedy zdarł z siebie arystokratę i rojalistę, kiedy został wynawcą rewolucji, głębokim demokratą i prawie republikaninem, wówczas poszedł do rytownika na ulicy Złotników i zamówił setkę biletów wizytowych z napisem „Baron Mariusz Pontmercy”.

Był to tylko logiczne następstwo zmiany, jaka w nim zaszła, zmiany, w której wszystko krążyło dookoła osoby ojca.

Ale że nie znał nikogo i u żadnego odźwiernego nie mógł zostawić swoich biletów, schował je do kieszeni.

Drugim naturalnym zjawiskiem było oddalanie się od dziadka, w miarę jak się zbliżał do ojca, do jego pamięci i do sprawy, za którą pułkownik walczył przez dwadzieścia pięć lat. Powiedzieliśmy już, że usposobienie pana Gillenormand nie odpowiadało mu nigdy. Były między nimi wszystkie rozdźwięki, jakie mogą istnieć między poważnym młodzieńcem i płochym starcem. Dopóki mieli wspólne idee i przekonania polityczne, Mariusz spotykał się z panem Gillenormand na ich terenie jak gdyby na jakimś moście. Kiedy ten most runął, otwarła się przepaść. Nade wszystko zaś Mariusz czuł niewysłowny bunt, kiedy myślał, że pan Gillenormand, powodowany głupstwami, tak bezlitośnie oderwał go od pułkownika i zabrał ojcu dziecko, a dziecku ojca.

Mariusz co pewien czas gdzieś znikał.

– Dokąd on tak jeździ? – pytała ciotka.

Podczas jednej z tych przejażdżek, zawsze bardzo krótkich, pojechał do Montfermeil. Wypełniając zlecenie ojca, próbował odszukać tam byłego sierżanta spod Waterloo, oberżystę Thénardiera. Thénardier zbankrutował, oberżę zamknięto, a co się z nim stało, nikt nie wiedział. Z powodu tych poszukiwań Mariusz przez cztery dni nie był w domu.

– Stanowczo – powiedział dziadek – bałamuci się!...

Zdawało się im, że Mariusz nosi na piersiach pod koszulą jakiś przedmiot zawieszony na czarnej wstążce.

Jakaś spódniczka

Mówiliśmy już o ułanie.

Był to stryjeczny wnuk pana Gillenormand. Prowadził on, z dala od rodziny i wszelkich ognisk domowych, życie garnizonowe. Porucznik Teodul Gillenormand spełniał wszystkie warunki, jakich się wymaga od tak zwanego ładnego oficerka. Miał „talię jak panna”, wojowniczy sposób ciągnięcia za sobą szabli i wysoko podkreślone wąsy. W Paryżu bywał bardzo rzadko, tak rzadko, że Mariusz nigdy go nie widział. Obaj kuzyni znali się tylko ze słyszenia. Teodul – zdaje się, żeśmy o tym wspominali – był ulubieńcem ciotki Gillenormand, która go wołała, ponieważ go widywała tak mało. Rzadkie widywanie ludzi pozwala przypisywać im wszystkie możliwe doskonałości.

Pewnego poranka panna Gillenormand wróciła do swojego pokoju tak poruszona, jak tylko na to pozwalał jej zrównoważony charakter. Mariusz właśnie prosił znowu dziadka o pozwolenie na małą wycieczkę, dodając, że chce wyjechać jeszcze tego samego wieczora. – Ruszaj! – powiedział pan Gillenormand i podnosząc brwi do góry pomyślał: Znowu nocna eskapada. – Panna Gillenormand szła do siebie mocno zaintrygowana, a idąc po schodach, rzuciła wykrzyknik: – A to dobre sobie! – oraz znak zapytania: – Ale dokądże on jedzie? – Przeczuwała jakąś awanturę sercową, mniej lub więcej zakazaną, jakąś kobietę w półmroku, schadzkę, tajemnicę i chętnie by wściubiła w to swoje okulary.

Aby zagłuszyć tę ciekawość, która ją nurtowała ponad miarę jej przyzwyczajień, poszukała ucieczki w swoich talentach i zaczęła wyszywać bawełną na bawełnie jeden z tych haftów w stylu Cesarstwa i Restauracji, obfitujących w motyw koła od kabrioletu. Robótka to nudna, więc i robotnica była bez entuzjazmu. Siedziała nad tym już parę godzin, kiedy drzwi się otworzyły. Panna Gillenormand podniosła nos: przed nią stał porucznik Teodul, salutując po wojskowemu. Stara panna wydała okrzyk radości. Można być starą i pełną pruderii, można być pobożnią i ciotką, ale zawsze przyjemnie jest zobaczyć wchodzącego do pokoju ułana.

– To ty, Teodulu! – zawołała.

– Przejazdem, ciociu – odpowiedział.

– Pocałujże mnie.

– Już! – rzekł Teodul.

I pocałował ją. Ciotka Gillenormand podeszła do sekretarzyka i otworzyła go.

– Zostaniesz przynajmniej z tydzień?

– Dziś wieczorem jadę, proszę cioci.

– Niemożliwe!

– Jak dwa a dwa cztery.

– Zostań, Teodulku, bardzo cię proszę.

– Serce mówi: tak, ale rozkaz: nie. Rzecz jest prosta. Zmieniamy garnizon; byliśmy w Melun, przenoszą nas do Gaillon. Z dawnego garnizonu do nowego przejeżdża się przez Paryż, więc pomyślałem sobie: pójdę odwiedzić ciocię.

– Masz tu za fatygę.

Włożyła mu do ręki dziesięć luidorów.

– Droga ciocia chciała powiedzieć: za przyjemność.

Pocałował ciotkę drugi raz, ku jej wielkiemu zadowoleniu, drapiąc ją naszywkami po karku.

– Jedziesz konno razem z pułkiem? – zapytała.

– Nie, ciociu. Chciałem tu wstąpić i dostałem specjalne pozwolenie. Mojego konia prowadzi ordynans, a ja jadę dylizansem. A propos, chciałem o coś zapytać.

– O co?

– Czy kuzyn Mariusz Pontmercy wyjeżdża?

– Skąd o tym wiesz? – zapytała ciotka, której ciekawość została nagle połaskotana do żywego.

– Zaraz po przybyciu poszedłem zamówić miejsce w dylizansie.

– No i?

– Jakiś podróżny miał już zamówione miejsce na imperiale. Widziałem na liście jego nazwisko.

– Jakie?

– Mariusz Pontmercy.

– Co za nicpoń! – zawołała ciotka. – Ach, twój kuzyn nie jest takim statecznym chłopcem jak ty. Pomyśleć, że spędzi noc w dylizansie!

– Tak samo jak ja.

– Ale ty z obowiązku, a on z rozpusty.

– O, do diaska! – rzekł Teodul.

W tym momencie wydarzyło się panie Gillenormand coś niezwykłego. Przyszła jej do głowy myśl. Gdyby była mężczyzną, uderzyłaby się w czoło. Zapytała Teodula:

– Czy wiesz, że twój kuzyn nie zna ciebie?

– Tak. Ja go widziałem, ale on nigdy nie raczył zwrócić na mnie uwagi.

– Posłuchaj, Teodulu.

– Słucham, ciociu.

– Otóż Mariusz znika z domu.

– He, he!

– Podróżuje.

– Aaa!...

– Sypia nie wiadomo gdzie.

– Ooo!...

– Chcielibyśmy wiedzieć, co w tym jest.

Teodul odpowiedział z monumentalnym spokojem:

– Jakaś spódniczka.

– Zrób nam przyjemność. Miej na oku Mariusza. On cię nie zna, więc to będzie łatwe. Skoro tu chodzi o dziewczynę, postaraj się ją zobaczyć. Napiszesz nam o tej awanturce. To zabawi dziadka.

Teodul nie miał nadmiernych skłonności do służby tego rodzaju, ale był bardzo wzruszony dziesięcioma luidorami i spodziewał się, że może będą miały ciąg dalszy. Przyjął zlecenie i powiedział:

– Do usług cioci.

Mariusz wieczorem tego dnia, w którym odbył się ten dialog, wsiadł do dylizansu, nie przypuszczając nawet, że jest pod obserwacją. Co do obserwatora, to zaczął on podróż od zaśnieżenia. Jego sen był mocny i sumienny.

O świcie woźnica zawołał: – Vernon! Przystanek w Vernon! Podróżni do Vernon wysiadają! – Porucznik Teodul obudził się.

– Aha – wymamrotał jeszcze w półśnie – to ja tu wysiadam.

Jednocześnie czarne spodnie, schodzące z imperiału, ukazały się w oknie dylizansu.

Czy to Mariusz? – pomyślał porucznik.

Był to istotnie Mariusz.

Obok pojazdu dziewczyna wiejska, wmieszana w cizbę koni i pocztylionów, sprzedawała kwiaty. – Kupujcie kwiaty dla waszych pań! – wołała.

Mariusz podszedł do niej i kupił najpiękniejsze kwiaty, jakie miała.

To już mnie zaczyna intrygować – pomyślał Teodul, zeskakując z dylizansu na ziemię. – Komuż, u licha, on zanieś te kwiaty? Taki piękny bukiet to chyba dla jakiejś ślicznej kobiety. Muszę ją zobaczyć.

I teraz już nie z polecenia, ale dla własnej ciekawości, jak psy polujące na swój rachunek, ruszył krok w krok za Mariuszem.

Mariusz skierował się w stronę kościoła. Nie wszedł jednak do środka, ale okrążył absydę i zniknął za jedną z przypór, które ją podtrzymywały.

Spotkanie jest na zewnątrz – pomyślał Teodul. – Zobaczymy tę dziewczynę.

I poszedł na czubkach butów ku narożnikowi, za który Mariusz skręcił.

Przybywszy na miejsce, zatrzymał się zdumiony.

Mariusz z czołem ukrytym w dłoniach klęczał w trawie przed grobem, na który rozsypał swój bukiet. Na krańcu grobu, gdzie lekkie podwyższenie wskazywało głowę, stał krzyż z czarnego drzewa, a na nim białe litery: „Pułkownik baron Pontmercy”. Słysząc było płacz Mariusza.

Dziewczynka okazała się grobem.

Marmur przeciwko granitowi

Tu właśnie przybył Mariusz, gdy po raz pierwszy wyjechał z Paryża. Tu wracał za każdym razem, gdy pan Gillenormand mówił: Nocna eskapada.

Porucznik Teodul poczuł się całkowicie zbity z tropu tym niespodziewanym napotkaniem grobu. Doznał uczucia nieprzyjemnego i szczególnego, którego nie umiałby określić, a które łączyło szacunek dla grobu z szacunkiem dla pułkownika. Wycofał się, pozostawiając Mariusza samego na cmentarzu, i było coś z wojskowej dyscypliny w tym wycofaniu. Śmierć ukazała mu się w wielkich epoletach, więc oddał jej salut wojskowy. Nie wiedząc, co napisać ciotce, postanowił nie pisać w ogóle i prawdopodobnie nic by nie wynikło z odkrycia Teodula co do miłostek Mariusza, gdyby – skutkiem jednego z tych tajemniczych zrzążeń, przypadkowych a tak częstych – scena z Vernon nie miała prawie natychmiastowego oddźwięku w Paryżu.

Mariusz wrócił z Vernon na trzeci dzień, wczesnym rankiem. Zmęczony dwiema nocami spędzonymi w dylizansie, czuł się niewyspany i chciał się odświeżyć godziną pływania; wbiegł więc szybko do siebie, zrzucił surdut podróżny i czarną tasiemkę, którą miał na szyi, po czym poszedł się kąpać.

Pan Gillenormand, który wstawał rano, jak wszyscy zdrowi starcy, usłyszawszy, że Mariusz jest u siebie i chcąc go uścisnąć, a i trochę wybadać, skąd przybywa, zaczął wspinaczkę po schodach, tok pośpieszną, jak mu tylko pozwalały jego stare nogi. Ale młodzieńcowi mniej zajęło czasu zejście ze schodów, niż osiemdziesięcioletniemu starcowi wejście po nich na górę, i kiedy pan Gillenormand dostał się na pięterko, Mariusza już nie było.

Łóżko stało nietknięte, a na łóżku leżał podróżny surdut i czarna tasiemka.

– Tym lepiej – powiedział pan Gillenormand.

I w chwilę później wszedł do salonu, gdzie panna Gillenormand siedziała już, haftując swoje kabrioletowe koła.

Wejście było triumfalne.

Pan Gillenormand w jednej ręce trzymał surduty podróżny, w drugiej tasiemkę i wołał:

– Zwycięstwo! Zbadamy tajemnicę! Dowiemy się najważniejszej rzeczy, poznamy miłość naszego mruka! Jesteśmy w samym środku romansu! Mam portret!

Rzeczywiście, na tasiemce wisiało pudełeczko z czarnego jaszczuru, dosyć podobne do medalionu.

Starzec wziął pudełko i nie otwierając patrzył na nie z wyrazem rozkoszy, zachwytu i gniewu głodomora, który widzi, jak przed jego nosem niosą smaczny obiad dla innego.

– Bo na pewno jest to portret. Znam się na tym. To się właśnie nosi czule, na sercu. Jacy oni głupi! Zapewne jakaś pokraka, na którą nie można patrzeć bez dreszczu obrzydzenia! Młódziec ma dzisiaj taki zły gust.

– Zobaczmy, ojcze – powiedziała stara panna.

Pudełeczko otworzyło się za naciśnięciem sprężyny. Znaleźli nim tylko kawałek troskliwie złożonego papieru.

– Od tej samej do tegoż! – zawołał pan Gillenormand, wybuchając śmiechem. – Wiem, co to znaczy. Bilecik miłosny!

– Ach! Przeczytajmy! – powiedziała ciotka.

I włożyła okulary. Rozłożyli papier i przeczytali, co następuje:

Dla mego syna. Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tego tytułu, który opłaciłem własną krwią, syn mój przyjmie ten tytuł i będzie go używał. Jest rzeczą oczywistą, że będzie tego godny.

Jakiego uczucia doznali ojciec i córka, nie da się wypowiedzieć. Przeszył ich zimny dreszcz, jakby od tchnienia trupiej głowy. Nie zamienili ani słowa. Tylko pan Gillenormand szepnął cicho, jakby sam do siebie:

– To pismo tego rębajły.

Ciotka obejrzała kartkę, obróciła ją na wszystkie strony i włożyła na powrót do pudełeczka, w tej samej chwili z kieszeni surduta wypadł mały prostokątny pakiecik, zawinięty w błękitny papier. Panna Gillenormand podniosła go i rozwinęła. Była to setka wizytowanych biletów Mariusza. Podała jeden z nich panu Gillenormand, a ten przeczytał: „Baron Mariusz Pontmercy”.

Starzec zadzwonił.

Przyszła Nikoleta. Pan Gillenormand wziął tasiemkę, pudełeczko i surduty; rzucił to wszystko na posadzkę, na środek salonu, i powiedział:

– Odnieś te rupiecie.

Godzina cała upłynęła wśród najgłębszego milczenia. Starzec i stara panna siedzieli, odwrócieni do siebie plecami, i myśleli, każde ze swej strony, o tym samym zapewne. Pod koniec tej godziny ciotka Gillenormand powiedziała:

– To ładnie!

W kilka minut później zjawił się Mariusz. Zanim przestąpił próg salonu, zobaczył dziadka trzymającego w ręku jego bilet wizytowy. Ujrawszy go starzec zawołał z wyrazem mieszczańskiej pewności siebie, pełnej szyderstwa i druzgocącej:

– Patrzcie! Patrzcie! Jesteś teraz baronem. Winszuję ci. Co to ma znaczyć?

Mariusz poczerwieniał z lekka i odpowiedział:

– To znaczy, że jestem synem mego ojca.

Pan Gillenormand przestał się śmiać i rzekł ostro:

– Twój ojciec to ja!

– Mój ojciec – odrzekł Mariusz ze spuszczonej oczami i z surowym wyrazem twarzy – był człowiekiem skromnym i bohaterskim, który chlubnie służył Republice i Francji, który był wielki w największym epizodzie historii, na jaki zdobyła się ludzkość, który przez ćwierć wieku żył w obozie, w dzień pod gradem kul i kartaczy, w nocy w śniegu, w błocie, pod deszczem, który zdobył dwa sztandary pułkowe, który otrzymał dwadzieścia ran, który umarł w zapomnieniu i opuszczeniu i który tym jedynie zawinił, że za bardzo kochał dwóch niewdzięczników: swój kraj i mnie.

Było to więcej, aniżeli pan Gillenormand mógł znieść. Przy słowie „Republika” podniósł się z krzesła albo, dokładniej mówiąc, stanął prosto. Każdy wyraz, wypowiedziany przez Mariusza, wywoływał na twarzy starego rojalisty taki skutek jak dmuchnięcie miecha kowalskiego na rozpalonej głowni. Z ponurej – stała się czerwona, z czerwonej purpurowa, z purpurowej – płomienista!

– Mariuszu! – zawołał. – Szkaradne dziecko! Nie wiem, kim był twój ojciec! Nie chcę wiedzieć! Nic nie wiem zgoła i nie znam go! Ale to wiem, że ci wszyscy ludzie byli nędznikami! Że to byli wszystko oberwańcy, zbóje, czerwone czapki, złodzieje! Powiadam: wszyscy! Powiadam: wszyscy! Nie znam nikogo! Powiadam: wszyscy! Słyszysz, Mariuszu? Wiedz, że jesteś takim baronem jak mój pantofel! Byli to wszystko bandyci, co służyli Robespierre’owi! Rabusie, co służyli Bu-o-na-par-temu! Zdraycy, którzy zdradzili, zdradzili, zdradzili swego prawowitego króla! Tchórze, co uciekli przed Prusakami i Anglikami pod Waterloo! Oto, co wiem. Czy ojciec pański był jednym z nich, nie wiem, bardzo mi przykro, tym gorzej, sługa pański!

Z kolei Mariusz teraz był głownią, a pan Gillenormand kowalskim miechem. Mariusz drżał cały, nie wiedział, co począć, głowa mu pałała. Był jak ksiądz, który widzi, jak wyrzucają na wiatr jego wszystkie hostie; jak fakir, któremu przechodzień plwa na jego bóstwo. Nie mógł dopuścić, ażeby takie rzeczy bezkarnie mówiono przy nim. Lecz co miał uczynić? Jego ojciec został oto skopany i podeptany w jego obecności, ale przez kogo? Przez jego dziadka. Jak pomścić jednego, nie obrażając drugiego? Było niepodobieństwem obrazić dziadka i było również niepodobieństwem nie pomścić ojca. Z jednej strony święty grób, z drugiej siwe włosy. Przez kilka chwil był jak pijany i chwiały się, a w głowie wirowały mu te wszystkie myśli równocześnie; później podniósł oczy, utkwił je w dziadku i grzmiącym głosem zawołał:

– Precz z Burbonami! Precz z grubym wieprzem, Ludwikiem XVIII!

Ludwik XVIII nie żył już od czterech lat, ale było mu to wszystko jedno.

Starzec, który był przedtem szkarłatny, stał się nagle bielszy od swoich włosów. Zwrócił się do popiersia księcia de Berry, które stało na kominku, i uklonił mu się nisko, jakoś szczególnie uroczyście. Później przeszedł się dwa razy, powoli i milcząc, od kominka do okna i od okna do kominka, przez całą salę, aż posadzka trzeszczała, jakby stapał po niej kamienny posąg. Za drugim razem nachylił się do swojej córki, która patrzyła na to starcie ze zdumieniem starej owcy, i uśmiechając się prawie spokojnym uśmiechem, rzekł do niej:

– Taki baron, jak ten pan, i taki mieszczanin, jak ja, nie mogą pozostawać pod jednym dachem. – I nagle, wyprostowawszy się, blady, drżący, straszny, z czołem, na którym srożyła się burza gniewu, wyciągnął ramię w kierunku Mariusza i krzyknął mu:

– Precz!

Mariusz opuścił dom.

Na drugi dzień pan Gillenormand powiedział do córki:

– Co sześć miesięcy pośle pani sześćdziesiąt pistolów temu ludożercy i proszę mi nigdy o nim nie wspominać!

Mając do zużycia ogromną ilość pozostałej wściekłości i nie wiedząc, co z nią zrobić, więcej niż przez trzy miesiące mówił do córki „pani”.

Mariusz również wyszedł oburzony. Pewna okoliczność, o której wspomnieć trzeba, powiększyła jego rozdrażnienie. Zawsze zbieg małych, fatalnych wypadków komplikuje podobne domowe dramaty. Odnosząc prędko, na rozkaz dziadka, „rupiecie” Mariusza do jego pokoju, Nikoleta zgubiła prawdopodobnie na schodach, które były ciemne, medalion z czarnego jaszczuru, w którym była kartka pisana przez pułkownika. Ani tej kartki, ani tego medalionu nie udało się odszukać. Mariusz był przekonany, że „pan Gillenormand” – inaczej go nie nazywał od tego dnia – rzucił do ognia „testament jego ojca”. Mariusz umiał na pamięć tych kilka wierszy napisanych przez pułkownika, nic więc nie zginęło bezpowrotnie. Lecz ten papier, to pismo, ta święta relikwia, wszystko to było jego własnym sercem. Co się z tym stało?

Mariusz wyszedł, nie mówiąc i nie wiedząc, dokąd się udaje, z trzydziestoma frankami, z zegarkiem i z niewielką ilością manatków w podróźnej torbie. Na ulicy wsiadł do dorożki, wziął ją na godzinę i na chybił trafił kazał wieźć się do dzielnicy łaćńskiej.

Co się stanie z Mariuszem?

Rozdział czwarty

PRZYJACIELE ABECADŁA

Grupa, która omal nie przeszła do historii

Przez tę epokę, pozornie obojętną, przebiegał jakiś rewolucyjny dreszcz. W powietrzu czuć było powiewy, które wracały z głębin 1789 i 1792 roku. Młodzież opierała się, jeśli wolno nam użyć tu tego wyrazu. Młodzi ludzie zmieniali się, prawie nie dostrzegając tego, przez samo posuwanie się naprzód czasu. Wskazówka, która się obraca na tarczy zegarowej, obraca się również i w ludzkich duszach. Każdy robił ten krok naprzód, który należało uczynić. Rojaliści stawali się liberałami, liberałowie stawali się demokratami.

Przekonania postępowe miały podwójne dno. Coś, co rozpoczynało się potajemnie, groziło „ustalonemu porządkowi”, który był podejrzliwy i skryty. Znak to w najwyższym stopniu rewolucyjny. Ukryta myśl władzy spotka się w podziemnym podkopie z ukrytą myślą narodu. Dojrzewające powstanie jest odpowiedzią na zamierzony zamach stanu.

Nie było jeszcze wówczas we Francji tak wielkich organizacji podziemnych jak Tugendbund niemiecki i karbonaryzm włoski, ale tu i ówdzie rozgałęziały się już tajemne drażenia. Cougourda powstawała w Akwizgranie; w Paryżu, prócz innych tego rodzaju związków, istniało Towarzystwo Przyjaciół Abecadła.

Kim byli Przyjaciele Abecadła? Stowarzyszeniem pozornie mającym na celu wychowanie dzieci, w rzeczywistości zaś – podnoszenie z upodlenia ludzi. Występowało ono jako propagator elementarza, prawdziwa jednak jego nazwa brzmiała: Towarzystwo Przyjaciół Abecadła Wolności.

Przyjaciele Abecadła była to grupa nieliczna, stanowiła ona stowarzyszenie tajne w stanie zaczątkowym; prawie koterię, powiedzielibyśmy, gdyby koterie wydawały bohaterów. Zbierali się w dwóch miejscach: koło targowiska, w szynku zwanym „Korynt”, o którym później będzie mowa, i w pobliżu Panteonu, na placu św. Michała, w małej kawiarni zwanej „Café Musain”, dziś zburzonej; pierwsze z tych miejsc zebrań było wygodniejsze dla robotników, drugie dla studiującej młodzieży.

Zwykle schadzki Przyjaciół Abecadła odbywały się w tylnej sali kawiarni Musain. Sala ta, dość oddalona od frontu, z którym łączyła się bardzo długim korytarzem, miała dwa okna i wyjście z ukrytymi schodami na uliczkę des Grés. Palilo się tam i piło wśród zabaw i śmiechu. Rozmawiano bardzo głośno o wszystkim i po cichu o innych rzeczach. Na ścianie była przybita dawna mapa Francji z czasów Republiki, dostateczna wskazówka dla obudzenia czujności agenta policji.

Większość Przyjaciół Abecadła stanowili studenci, pozostający w serdecznych stosunkach z kilkoma robotnikami. Oto nazwiska głównych osób. W pewnej mierze należą już one do historii: Enjolras, Combeferre, Jan Prouvaire, Feuilly, Courfeyrac, Bahorel, Lesgle, czyli Laigle, Joly, Grantaire.

Ci młodzi ludzie tworzyli razem jakby rodzinę, opartą na przyjaźni. Wszyscy, z wyjątkiem Laigle'a, pochodzili z południa.

Grupa ta godna była uwagi. Zniknęła ona w niewidzialnych głębiach, które są poza nami. W tym punkcie dramatu, do którego doszliśmy, nie jest może rzeczą zbyt rzadką rzucenie światła na te młode głowy, zanim czytelnik ujrzy, jak zapadają się w ciemność tragicznej przygody.

Enjolras, którego wymieniliśmy na pierwszym miejscu – a dlaczego, to zobaczymy później – był bogatym jedynakiem. Był to czarujący młodzieniec, który potrafił stawać się strasznym. Był anielsko piękny. Rzekłbyś – srogi i dziki Antinous. Widząc zadumany blask jego spojrzenia, można by powiedzieć, że w jakimś poprzednim istnieniu przeszedł apokalipsę rewolucji. Miał jej tradycje w sobie, jakby był jej świadkiem. Znał najdrobniejsze szczegóły tej wielkiej sprawy. Natura kapłańska i żołnierska, niezwykła u młodzieńca. Był on wierzący i wojujący; z bezpośredniego punktu widzenia – żołnierz demokracji, patrząc z punktu wyniesionego ponad ruch współczesny – kapłan ideału. Miał jedną namietność – prawo; jedną myśl – obalenie przeszkody. Był surowy w uciechach. Przed wszystkim, co nie było Republiką, skromnie spuszczał oczy. Kochał się w marmurze Wolności. Słowo jego było cierpko natchnione i drżało hymnem. Niespodziewanie rozpościerał skrzydła. Biada zalotom, które by zwróciły się ku niemu! Gdyby któraś gryzетка z placu Cambrai lub z ulicy Saint-Jean-de-Beauvais, widząc tę postać świeżo upieczzonego maturzysty, tę minę pazia, długie, jasne rzęsy, szafirowe oczy, gęste i rozrzucone włosy, różowe policzki, świeże usta, ładne zęby, skusiła się na te uroki jutrzeńki i popróbowwała wpływu swej piękności na Enjolrasie – zdumiony i groźny wzrok wskazałby jej nagle przepaść i nauczyłby ją nie mylić straszego cherubina ezechielowego z zalotnym Cherubinem Beaumarchais'go.

Obok Enjolrasa, który reprezentował logikę rewolucji, Combeferre reprezentował jej filozofię. Pomiędzy logiką rewolucji i jej filozofią jest ta różnica, że jej logika może doprowadzić do wojny, filozofia zaś może prowadzić tylko do pokoju. Combeferre uzupełniał i prostował Enjolrasa. Był niższy i cięższy. Chciał, ażeby w umysły wpajano rozległe zasady ogólnych idei; mówił: Rewolucja, ale i cywilizacja – i dokoła stromej góry odsłaniał szeroki widnokrąg błękitu. Stąd we wszystkich poglądach Combeferre'a było coś przystępnego i dającego się urzeczywistnić. Łatwiej było oddychać rewolucją z Combeferre'em aniżeli z Enjolrasem. Enjolras wyrażał jej prawo boskie, Combeferre – jej prawo przyrodzone. Pierwszy pochodził od Robespierre'a, drugi zbliżał się do Condorceta. Combeferre bardziej aniżeli Enjolras żył tak jak inni ludzie. Gdyby tym dwóm młodzieńcom dane było przejść do historii, pierwszy zwałby się sprawiedliwym, drugi mądrym. Enjolras był bardziej męski, Combeferre bardziej ludzki. *Homo i vir*, oto różnica odcieni w ich osobowości; Combeferre był łagodny, jak Enjolras był surowy, przez wrodzoną czystość. Lubił wyraz: obywatel, lecz wolał wyraz: człowiek. Twierdził, iż przyszłość znajduje się w ręku nauczyciela ludowego, zajmował się wiele zagadnieniami wychowania i nauczania. Wierzył we wszystkie marzenia: w koleje żelazne, w usunięcie bólu przy operacjach chirurgicznych, w utrwalenie obrazu *camery obscury*, w telegraf elektryczny, w kierowanie balonami. I nie lękał się zbyt cytaadel, które wszędzie pobudowały przeciwko rodzajowi ludzkiemu zabobony, despotyzmy i przesady. Należał do tych, którzy są przekonani, że dzięki nauce układ sił w końcu się zmieni. Enjolras był wodzem. Combeferre był przewodnikiem. Z pierwszym pragnąłbyś walczyć, z drugim – posuwać się naprzód krok za krokiem. Nie znaczyło to, żeby Combeferre nie był zdolny do walki, żeby odmawiał zmierzania

się z przeszkodą, natarcia na nią siłą i gwałtem, ale że czuł więcej upodobania do tego, by przez nauczanie rzeczy pewnych i ogłaszanie praw pozytywnych godzić rodzaj ludzki z jego losami; wybierając z dwóch jasności, skłaniał się raczej ku światłu niż pożarowi. Pożar niewątpliwie może zastąpić jutrzenkę, ale dlaczego nie poczekać na świt? Wulkan rozświecła, lecz świt rozświecła jeszcze lepiej. Combeferre wołałby może białość piękna od płomieni wzniosłości. Jasność zamącona dymem, postęp opłacony gwałtem zadowalniały tylko połowicznie ten umysł czuły i poważny. Rzucenie się ludu w prawdę z krawędzi urwiska, jak w roku 1793, przerażało go; lecz bierność jeszcze bardziej była mu wstrętna, czuł w niej zgniliznę i śmierć; a więc ostatecznie wołał pianę niż miazmaty, potok niż kloakę, wodospad Niagary niż jezioro Montfaucon. Nie chciał ani postępu, ani pośpiechu. Combeferre byłby skłonny klęknąć i złożyć ręce błagając, żeby przyszłość nadeszła w całej swojej czystości, żeby nic nie zamąciło wielkiej moralnej ewolucji ludów.

Jan Prouvaire to odcień jeszcze łagodniejszy niż Combeferre. Jan Prouvaire kochał się, hodował kwiatek w doniczce, grał na flecie, pisał wiersze, miłował lud, litował się nad kobietą, płakał nad losem dziecka, w tym samym uczuciu ufności łączył przyszłość z Bogiem i potępiał rewolucję za to, że ścięła królewską głowę Andrzeja Chenier. Głos jego, zwykle cichy i łagodny, nagle chwilami stawał się męski. Był uczony aż do erudycji, był prawie skończonym orientalistą. Nade wszystko był dobry – i – rzecz całkiem prosta dla tych, co wiedzą, jak dobroć blisko graniczy z wielkością – w poezji nad wszystko przekładał Nieskończoność. Umiał po włosku, po łacinie, po grecku i po hebrajsku i korzystał z tego tylko dla czytania czterech poetów: Dantego, Juwenala, Aischylosa i Izajasza. Włóczył się chętnie po polach, wśród traw i kwiatów, i zajmował się obłokami tyleż samo co polityką. Umysł jego był dwustronny: z jednej strony zwracał się do człowieka, z drugiej do Boga; uczył się lub rozmyślał. Przez cały dzień zgłębiał zagadnienia społeczne: płacę, kapitał, kredyt, małżeństwo, religię, wolność myśli, swobodną miłość, wychowanie, kary, nędzę, stowarzyszenia, własność, wytwórczość i podział dóbr, zagadki ziemskie, które ciemną mgłą przykryły ludzkie mrowie; a wieczorem patrzył na gwiazdy, te istoty ogromne. Jak i Enjolras był bogatym jedynakiem. Mówił łagodnie, pochylał głowę, spuszczał oczy, uśmiechał się z zakłopotaniem, ubierał się źle, był nieśmiały, rumienił się z byle powodu, był bardzo lękliwy. Jednocześnie nieustraszony.

Feuilly był robotnikiem wyrabiającym wachlarze, sierotą bez ojca i matki, który z trudnością zarabiał trzy franki dziennie i miał tylko jedną myśl – oswobodzić świat. Miał jeszcze inne zajęcie: kształcenie się, co także nazywał zdobywaniem wolności. Sam się nauczył czytać i pisać; wszystkiego, co umiał, nauczył się sam. Feuilly miał szlachetne serce. Miał gest wszechobjemujący. Będąc sierotą, uznał za swoje dzieci wszystkie ludy. Ponieważ nie miał matki, rozmyślał o ojczyźnie. Nie chciał, żeby na ziemi był choć jeden człowiek bez ojczyzny. Hodował w sobie, z głęboką intuicją ludzi prostych, to, co dzisiaj nazywamy „ideą narodowości”. Nauczył się historii umyślnie po to, żeby się skuteczniej i trafniej oburzać. W tej małej gromadce utopistów, zajętych przeważnie Francją, reprezentował sprawy zagraniczne. Specjalnością jego były: Grecja, Polska, Węgry, Rumunia, Włochy. Wymawiał te nazwy bez ustanku, z powodem i bez powodu, ze słusznym uporem. Turcy na Krecie i w Tesalii, Rosja w Warszawie, Austria w Wenecji – te gwałty budziły w nim gniew. Przede wszystkim oburzał go wielki akt przemocy w roku 1772. Słuszność w oburzeniu – bardziej przekonywająca wymowa nie istnieje. Tą wymową był wymowny. Nigdy nie przestawał przypominać tej haniebnej daty, roku 1772, tego dzielnego i szlachetnego ludu zniszczonego przez zdradę, tej potrójnej zbrodni, tej potwornej zasadzki, prototypu i patrona wszystkich późniejszych rozbiorów, które od tego czasu uderzyły w wiele szlachetnych narodów, wymazując, by tak rzec, metryki ich urodzin. Wszystkie społeczne zamachy stanu współczesności wywodzą się z rozbiorów Polski. Rozbiory Polski to teoremat, z

którego wszystkie współczesne zbrodnie polityczne wynikają jako wnioski. Już od prawie wieku nie ma despoty, nie ma zdrajcy, który by nie potwierdził, nie bronił, kontrasygnował i parafował *ne varietur* rozbiorów Polski. Gdy się bierze do ręki akta współczesnych zrad, ta zjawia się na początku. Kongres Wiedeński poradził się tej zbrodni, nim zatwierdził swoją. 1772 to sygnał rozpoczęcia łowów, 1815 to spuszczenie psów ze smyczy. Feuilley rozprawiał o tym nieustannie. Ten ubogi robotnik zrobił się opiekunem sprawiedliwości, a ona mu się odwzajemniła, czyniąc go wielkim. W prawie bowiem zawarta jest wieczność.

Courfeyrac miał ojca, który nazywał się panem de Courfeyrac. Jednym z błędnych poglądów burżuazji czasów Restauracji na arystokrację i szlachtę było to, że wierzyła ona w słówko *de* postawione przed nazwiskiem. Słówko to, jest wiadomo, nie ma żadnego znaczenia. Lecz mieszczanie z czasów „Minerwy” tak wielce szacowali to biedne *de*, że uważano za obowiązek wyrzekanie się go. Pan de Chauvelin kazał nazywać się panem Chauvelin, pan de Caumartin – panem Caumartin, pan de Constant de Rebecque – panem Beniaminem Constant, pan de Lafayette – panem Lafayette. Courfeyrac nie chciał pozostać w tyle i nazywał się po prostu Courfeyrac.

Enjolras był przywódcą, Combeferre przewodnikiem, Courfeyrac środkiem. Inni dawali więcej światła, on dawał więcej ciepła; i faktem było, że miał wszystkie przymioty środka: okrągłość i promieniowanie.

Bahorel lubił dobrą zabawę i złe towarzystwo, był odważny, lekkomyślny, rozrzutny aż do wspaniałomyślności, gadatliwy aż do granic krasomówstwa, śmiały aż do bezczelności; największy zabijaka, jakiego można sobie wyobrazić; ubierał się w jaskrawe kamizelki i szkarłatne przekonania; hałaburda na wielką skalę, to znaczy, że nic nie było mu miłsze od kłótni, z wyjątkiem rozruchów, i nic ponad rozruchy, z wyjątkiem rewolucji; zawsze gotów stłuc szybę, zerwać bruk i obalić rząd, żeby zobaczyć, co tego wyniknie. Od jedenastu lat był studentem. Obwąchiwał prawo, ale go nie studiował.

Bahorel, człowiek kapryśny, chodził do rozmaitych kawiarni. Inni mieli w tym względzie przyzwyczajenia, on żadnych. Włóczył się. Błądzić jest rzeczą ludzką. Włóczyć się – to rzecz paryska. W istocie był to umysł przenikliwy i bardziej myślący, aniżeli by się zdawało. Był łącznikiem między Przyjaciółmi Abecadła i innymi, jeszcze niezupełnie określonymi grupami, które dopiero później miały się ukształtować.

To zgromadzenie młodych miało jednego łysiego w swym gronie. Ów jedyny łysy podpisywał się Laigle (z Meaux). Koledzy dla skrócenia nazywali go Bossuetem. Był to wesoły chłopiec prześladowany przez pech. Specjalnością jego było niepowodzenie we wszystkim. Przez przekorę śmiał się ze wszystkiego. Mając dwadzieścia pięć lat, był łysy. Ojciec jego dorobił się z trudem domu i pola; lecz on nic nie miał pilniejszego, jak stracić w chybionej spekulacji ten dom i to pole. Był ubogi, lecz jego sakiewka z dobrym humorem nie wyczerpywała się. Szybko dochodził do ostatniego su, nigdy do ostatniego parsknięcia śmiechem.

Bossuet kierował się z wolna ku zawodowi adwokata; uczył się prawa na sposób Bahorela. Prawie że nie miał mieszkania, czasami nie miał go wcale. Mieszkał to u jednego, to u drugiego, najczęściej u Joly’ego. Joly studiował medycynę. Był o dwa lata młodszy od Bossueta.

Joly był to młody chory z urojenia. Z medycyny skorzystał tyle, że stał się bardziej jeszcze pacjentem niż lekarzem. W dwudziestym trzecim roku życia uważał się za schorowanego i spędzał czas na oglądaniu w lusterku swego języka. Utrzymywał, że człowiek magnetyzuje się jak igła, i w swoim pokoju ustawiał łóżko tak, żeby głowa skierowana była na południe, a nogi na północ i żeby wielki prąd magnetyczny kuli ziemskiej nie przeszkadzał krążeniu krwi. Podczas burzy badał sobie puls. Zresztą był ze wszystkich najweselszy.

Stowarzyszeni i wtajemniczeni, w podziemnej pracy usiłowali kształtować ideał.

Wśród wszystkich tych serc gorących i przekonanych umysłów znajdował się jeden sceptyk. Jak się tam znalazł? Przyciągnięty kontrastem. Sceptyk ten nazywał się Grantaire. Grantaire był człowiekiem, który nade wszystko wystrzegał się wiary w cokolwiek. Wszystkie te wyrazy: prawa ludu, prawa człowieka, umowa społeczna, rewolucja francuska, republika, demokracja, ludzkość, cywilizacja, religia, postęp, dla Grantaire'a nie miały prawie żadnego znaczenia. Uśmiechał się słysząc je. Niedowiarstwo, ta śniedź inteligencji, nie pozostawiło mu w głowie ani jednej nienadpsutej myśli. Żył ironicznie. Miał za ulubiony aksjomat: jedna jest tylko pewność na świecie – pełna szklanka.

Sceptyk ów miał jednak przedmiot uwielbienia. Przedmiotem tym nie była ani idea, ani dogmat, ani sztuka, ani nauka; był to człowiek: Enjolras. Grantaire podziwiał, kochał i czcił Enjolrasa. Z kimże spośród tego zastępu wierzących umysłów związał się ów anarchistyczny niedowiarek? Z wierzącym najbezwzględniej. W jaki sposób Enjolras potrafił go ujarzmić? Swoimi przekonaniem? Nie. Swoim charakterem. Jest to zjawisko często spotykane. Niedowiarek lgnący do wierzącego, jest to tak proste jak prawo dopełniania się barw. Pociąga nas zwykle to, czego brak nam samym. Nie zdając sobie jasno z tego sprawy i nie próbując sobie tego wytłumaczyć, był pod urokiem tej natury czystej, zdrowej, tęgiej, prawej, twardej, niepokalanej. Podziwiał instynktownie swoje przeciwieństwo.

Mowa pogrzebowa Bossueta na cześć profesora Blondeau

Pewnego popołudnia, które jak się później okaże, miało związek z opowiedzianymi wyżej wypadkami, Laigle z Meaux stał sobie, wygodnie oparty o drzwi kawiarni Musain. Wyglądał jak próżnująca kariatyda; dźwigał tylko własne marzenia. Patrząc na plac św. Michała. Stać opierając się o coś plecami, to jakby leżeć stojąc, pozycja miła marzycielom. Laigle z Meaux rozpamiętywał bez przykrości drobną przygodę, która spotkała go poprzedniego dnia na uniwersytecie i zmieniła jego plany na przyszłość, plany zresztą dość nieokreślone.

Zamyślenie nie przeszkadza dorożce przejeżdżać ulicą, a zamyślonemu spostrzec tę dorożkę. Laigle z Meaux, którego oczy błąkały się, jakby w wędrownicy nie mającej celu, zauważył przez swój lunatyzm dwukołowy ekwipaż jadący placem powoli, jakby nie wiedząc dokąd. Przypatrzwszy się baczniej, spostrzegł siedzącego obok woźnicy młodzieńca, a przed młodzieńcem dość dużą torbę podróżną. Na torbie, na bilecie przytwierdzonym do materiału, wypisane było wielkimi czarnymi literami nazwisko właściciela: Mariusz Pontmercy.

Nazwisko to poruszyło z miejsca Laigle'a; stanął prosto i zawołał na młodzieńca z kabrioletu:

– Panie Pontmercy!

Na to wezwanie kabriolet zatrzymał się.

Młodzieniec, który również wydawał się głęboko zamyślony, podniósł oczy.

– Co takiego? – zapytał.

– To pan jest Mariuszem Pontmercy?

– Ponad wszelką wątpliwość.

– Właśnie pana szukałem – rzekł Laigle z Meaux.

– W jaki sposób? – zapytał Mariusz, gdyż rzeczywiście był to on; przed chwilą opuścił dom swego dziadka i oto zagadnięty został niespodzianie przez człowieka, którego widział po raz

pierwszy w życiu. – Nie znam pana.

– I ja również pana nie znam – odpowiedział Laigle.

Mariusz zaczął podejrzewać, że to studencki figiel, początek Jakiejś ulicznej mistyfikacji. Nie był wcale usposobiony po temu w tej chwili. Zmarszczył brwi. Laigle z Meaux z najzimniejszą krwią mówił dalej:

– Nie był pan onegdaj na wykładzie.

– To możliwe.

– To pewne.

– Jest pan studentem? – spytał Mariusz.

– Tak, proszę pana. Jak i pan. Onegdaj przypadkiem zaszedłem na wykład. Wie pan, czasem strzeli człowiekowi taki pomysł do głowy. Profesor właśnie sprawdzał listę. Wie pan zapewne, że oni tam są teraz bardzo śmieszni. Po stwierdzeniu trzech nieobecności skreślają studenta i wpisowe przepada. Sześćdziesiąt franków wyrzuconych w błoto.

Obudziło to ciekawość Mariusza. Laigle mówił dalej:

– Blondeau czytał listę. Zna pan przecież Blondeau, ma on nos wielce ostry i złośliwy i lubuje się w wywaciwaniu nieobecnych. Tym razem zaczął podstępnie od litery P. Słuchałem piąte przez dziesiąte, nie mając nic wspólnego z tą spółgłoską. Szło jakoś nieźle. Ani jednego wykreślenia – cały wszechświat był obecny. Cóż za smutek dla Blondeau. Mówiłem sobie w duchu: Blondeau, kochanie moje, dziś nie uda ci się upolować ani jednego. – Nagle Blondeau wywołuje: Mariusz Pontmercy. Nikt nie odpowiada. Blondeau, pełen nadziei, powtarza głośniej: Mariusz Pontmercy. I chwyta za pióro. Panie, mam przecież serce w piersi! Szybko powiedziałem sobie w duchu: Gotów wykreślić chłopaka! Uwaga! To człowiek prawdziwie żywy, bo niesumienny. To nie kujon, to nie student studiujący, naiwny żółtodziób, ale szlachetny leń, który uczęszcza na łono natury, zajmuje się gryzetskami, zaleca się do dziewczynek, jest może w tej chwili u swojej kochanki. Ratujmy go, śmierć staremu Blondeau! – Właśnie w tej chwili Blondeau umaczał w atramencie pióro, poczerniałe od skreśleń, powlekł swoim wyblakłym spojrzeniem po sali i powtórzył po raz trzeci: Mariusz Pontmercy. Odpowiedziałem śmiało: Jest! – To sprawiło, że pana nie wykreślił.

– Ach, proszę pana... – przerwał Mariusz.

– A za to ja zostałem skreślony – dodał Laigle z Meaux.

– Nie pojmuję – rzekł Mariusz.

Laigle ciągnął dalej:

– Nic prostszego. Umieściłem się naumyślnie w bliskości katedry, żeby móc odpowiedzieć, że jestem, i zarazem w sąsiedztwie drzwi, ażeby móc potem zwać. Ale profesor wpatrywał się we mnie jakoś zbyt uważnie. I nagle, wyposażony w ten diablo przebiegły nos, o którym wspomina Boileau, przeskakuje do litery L. – L – to moja litera. Jestem rodem z Meaux i nazywam się Laigle.

– *L'aigle* – orzeł – przerwał Mariusz – cóż za piękne nazwisko!

– Proszę pana, Blondeau, doszedłszy do tego pięknego nazwiska, woła: Laigle! Odpowiadam: Jest! Wtedy spojrział na mnie z tygrysią słodyczą, uśmiechnął się i rzekł: „Jeżeli pan jesteś Pontmercy, to nie możesz być orłem”. – Zdanie ubliżające nieco pańskiej osobie, lecz tylko dla mnie złowieszcze. Albowiem po tych słowach wykreślił mnie.

Mariusz zawołał:

– Ach, proszę pana, jestem w rozpacz...

– Przede wszystkim – przerwał Laigle – pragnąłbym zabalsamować Blondeau w kilku zdaniach serdecznej pochwały. Przypuśćmy, że już nie żyje. Prawdę mówiąc, niewielkiej ulec by musiała zmianie jego chudość, bladeść, lodowatość, sztywność i tak samo zapach. Powiadam

więc: *Erudimini, qui ju. dica. tis terram*⁴. Tu spoczywa Blondeau-nos, który był prawy, dokładny, surowy, skrupulatny i antypatyczny. Bóg go wykreślił z życia, jak on mnie wykreślił z listy.

Mariusz odezwał się znowu:

– Jest mi niesłychanie przykro...

– Młodzińcze – rzekł Laigle z Meaux – niech ci to posłuży za naukę na przyszłość. Odtąd staraj się być akuraty.

– Przepraszam pana tysiąckrotnie.

– Nie wystawiaj się więcej na to, aby z twej przyczyny twój bliźni miał być wykreślony.

– Jestem ogromnie zmartwiony...

Laigle parsknął śmiechem.

– A ja jestem zachwycony. Spadałem już po pochyłości ku adwokaturze. To wykreślenie ocaliło mnie. Wyrzekam się laurów sprzed kratak. Nie będę bronił wdów, nie będę oskarżał sierot. Bywaj zdrowa, tego, żegnaj, trybunale! Otóż sobie zdobyłem wykreślenie! Panu je zawdzięczam, panie Pontmercy. Chcę więc złożyć panu uroczystą wizytę dziękczynną. Gdzie pan mieszka?

– W tym kabriolecie – rzekł Mariusz.

– To znak zamożności – odparł Laigle z flegmą. – Winszuję panu. Komorne pańskie wynosi rocznie dziewięć tysięcy franków.

W tej chwili wyszedł z kawiarni Courfeyrac.

Mariusz uśmiechnął się smutno.

– Mieszkam w tym apartamencie dopiero od dwóch godzin i pragnąłbym się przeprowadzić, ale rzecz w tym, że nie wiem dokąd.

– Proszę pana do mnie – rzekł Courfeyrac.

– Powinien bym mieć pierwszeństwo – zrobił uwagę Laigle – tylko że brak mi własnego mieszkania.

– Cicho bądź, Bossuet – przerwał Courfeyrac.

– Bossuet – rzekł Mariusz – ależ zdaje mi się, że się pan nazwał Laigle!

– Z Meaux – odpowiedział Laigle. – W przerośni: Bossuet.

Courfeyrac wsiadł do kabrioletu.

– Do hotelu Porte-Saint-Jacques – rzekł do dorożkarza.

I tego samego wieczora Mariusz zamieszkał w jednym z pokoiów hotelu Porte-Saint-Jacques, tuż obok Courfeyraca.

Zdziwienie Mariusza

Po kilku dniach Mariusz zaprzyjaźnił się z Courfeyrakiem. Młodość to okres łatwego zrastania się ludzi i szybkiego zablizniania się ran. W towarzystwie Courfeyraca oddychał swobodnie, uczucie dość dla niego nowe. Courfeyrac nie zapytał go o nic, nawet o tym nie pomyślał. W tym wieku twarze mówią od razu wszystko. Słowa nie są potrzebne. O niejednym młodzieńcu można powiedzieć, że jego twarz jest gadatliwa. Jedno spojrzenie i znajomość gotowa.

Jednakże pewnego poranku Courfeyrac zapytał z nagłą Mariusza:

– Ale, czy ty masz jakiś przekonania polityczne?

⁴ Uczcie się, którzy sądzicie ziemię (łac.)

- Też coś! – rzekł Mariusz, prawie obrażony tym pytaniem.
- Kim jesteś?
- Demokratą-bonapartystą.
- Ochronna barwa szarej myszy – rzekł Courfeyrac.

Nazajutrz Courfeyrac zabrał Mariusza do kawiarni Musain. Po czym szepnął mu do ucha z uśmiechem: – Muszę cię wprowadzić w rewolucję. – I zaprowadził go do sali Przyjaciół Abecadła. Tam przedstawił go innym kolegom, wymawiając półgłosem zwykłe słowo, którego Mariusz nie zrozumiał:

- Uczeń.

Mariusz wpadł w gniazdo dowcipnych os. Zresztą, choć milczący i poważny, nie był wśród nich ani najmniej lotny, ani najgorzej uzbrojony.

Aż dotąd samotny i tak z przyzwyczajenia, jak i z zamięłowania usposobiony raczej do rozmowy ze sobą, był zrazu odurzony tym rojem młodzieży, brzęczącym dokoła niego. Te wypowiedzi, te zdania tak rozmaite podnieciły go i gwałtownie nim szarpnęły. Zgiełkliwa ruchliwość tych swobodnych i rozbudowanych umysłów sprawiła, że myśli jego zostały wprawione w ruch wirowy. Niekiedy w tym zamięcie odlatywały tak daleko od niego, że z trudem je odnajdywał. Słyszał, jak dokoła rozmawiają o filozofii, literaturze, historii, sztuce, religii w sposób całkiem dla niego nieoczekiwany. Ujrzał nagle to wszystko w jakichś niezwykłych skrótach, a że nie potrafił ustawić sobie tego w perspektywie, nie był pewny, czy nie widzi przypadkiem chaosu. Rzucając przekonania dziadka dla przekonań ojca, sądził, że się ustabilizował duchowo na całe życie; teraz z niepokojem i nie śmiać tego wyznać sobie, zaczął podejrzewać, że tak nie jest. Kąt, pod którym dotąd spoglądał na wszystko, zaczął się przesuwac. Drganie jakiegoś zakółsało wszystkimi widnokręgami jego umysłu. Czuł dziwne poruszenie wewnętrzne. Prawie że bolesne.

Jedna z dyskusji, przy których Mariusz był obecny i w których czasami brał udział, stała się dla niego prawdziwym wstrząsem.

Pośród ogólnego rozgwaru Bossuet zakończył nagle jakieś swoje przemówienie do Combeferre'a tą datą:

- 18 czerwca 1815, Waterloo.

– Do diabła! – zawołał Courfeyrac. („Do diaska” zaczęło w tym czasie wychodzić z użycia). – Ta liczba 18 jest dziwna i zastanawia mnie. To jest fatalna liczba Bonapartego. Postawcie obok niej raz Ludwika, a drugi raz Brumaire'a, a macie całe przeznaczenie tego człowieka, z tą jeszcze wymowną osobliwością, że koniec zachodzi na początek.

Enjolras, dotąd milczący, zwrócił się do Courfeyraca z tymi słowy:

- Chcesz powiedzieć, że ekspiacja zachodzi na zbrodnię.

Słowo „zbrodnia” przekraczało miarę tego, co mógł wytrzymać Mariusz, już bardzo poruszony gwałtownym przypomnieniem bitwy pod Waterloo.

Wstał, podszedł wolnym krokiem do mapy Francji, wiszącej na ścianie, wskazał palcem wyspę uwidoczną w osobnej sekcji mapy i powiedział:

- Korsyka. Mała wyspa, która uczyniła Francję bardzo wielką.

Enjolras, którego niebieskie oczy nie, spoczywały na nikim i zdawały się utkwione w próżnię, powiedział, nie patrząc na Mariusza:

- Francja nie potrzebuje żadnej Korsyki, żeby być wielką. Francja jest wielka, bo jest Francją.

Mariusz nie miał najmniejszej ochoty do wycofania się. Zwrócił się do Enjolrasa i jego głos wybuchnął wzruszeniem, które zawrzało w najgłębszych pokładach jego istoty:

– Słyszycie, że mówicie Buonaparte akcentując „u” jak rojaliści. Bądźmy sprawiedliwi, drodzy przyjaciele! Być cesarstwem takiego cesarza, co to za wspianiały los dla narodu, kiedy tym

narodem jest Francja i dodaje swój geniusz do jego geniuszu! Zjawić się i zapanować, iść naprzód i triumfować, mieć za miejsca postojów wszystkie stolice, brać swoich grenadierów i robić z nich królów, dekretami usuwać dynastie, przekształcać Europę w tempie marsza idącej do ataku kolumny, niech wiedzą, kiedy się grodzi, że się kładzie dłoń na głowni miecza, który jest mieczem Boga, kroczyć za wodzem, który jest w jednej osobie Hannibalem, Cezarem i Karolem Wielkim, podwójnie zdobywać świat, podbojem i olśnieniem, to jest wspaniałe. Czy może być coś większego?

– Być wolnym – odpowiedział Combeferre.

Teraz Mariusz spuścił głowę. To proste i zimne słowo jak stalowe ostrze przecięło jego epickie natchnienie. Poczuł, że ono w nim zamiera.

Res angusta⁵

Pewnego ranka właściciel hotelu wszedł do pokoju Mariusza i rzekł:

– Pan Courfeyrac poręczył za pana.

– Tak.

– Ale ja potrzebowałbym pieniędzy.

– Proszę poprosić pana Courfeyraca, żeby przyszedł pomówić i mną – rzekł Mariusz.

Kiedy Courfeyrac przyszedł, gospodarz zostawił ich samych Mariusz opowiedział wówczas przyjacielowi – bo dotychczas nie przyszło mu na myśl, żeby to uczynić – że jest sam na świecie i że nie ma żadnych krewnych.

– Więc co z tobą będzie? – zapytał Courfeyrac.

– Nie wiem – odpowiedział Mariusz.

– Co zrobisz?

– Nie wiem.

– Masz pieniądze.

– Piętnaście franków.

– Chcesz, żebym ci pożyczył?

– Nigdy w świecie.

– Masz ubranie?

– To, które tu wisi.

– Masz jakieś klejnoty?

– Zegarek.

– Srebrny?

– Złoty. Oto on.

– Znam kupca, który kupi surdut i spodnie.

– Dobrze.

– Będziesz miał tylko jedno spodnie, jedną kamizelkę, jeden kapelusz i jeden tużurek.

– I buty.

– Nie chcesz chodzić boso? Co za zbytki!

– To mi wystarczy.

– Znam zegarmistrza, który kupi zegarek.

⁵ Ciężka sytuacja (łac.)

- Dobrze.
 - Nie, niedobrze. Co będziesz robił później?
 - Wszystko, co będzie trzeba. Wszystko w granicach uczciwości.
 - Umiesz po angielsku?
 - Nie.
 - Umiesz po niemiecku?
 - Nie.
 - To niedobrze.
 - Dlaczego?
 - Dlatego, że jeden z moich przyjaciół, księgarz, układa coś w rodzaju encyklopedii, do której mógłbyś tłumaczyć artykuły z niemieckiego lub angielskiego. Licho to płatne, ale można żyć.
 - Nauczę się po angielsku i po niemiecku.
 - A tymczasem?
 - A tymczasem będę zjadać ubranie i zegarek.
- Zawołano tandeciarza. Kupił używane ubranie za dwadzieścia franków. Poszli do zegarmistrza. Kupił zegarek za czterdzieści pięć franków.
- To nieźle – powiedział Mariusz do Courfeyraca, wchodząc do hotelu – razem z moimi piętnastoma frankami czyni to osiemdziesiąt franków.
 - A rachunek hotelowy? – zauważył Courfeyrac.
 - Masz sobie, zapomniałem! – powiedział Mariusz.
 - Do diabła! – wtrącił Courfeyrac. – Przejesz pięć franków, ucząc się po angielsku i pięć franków, ucząc się po niemiecku. Będziesz więc musiał albo bardzo szybko połykać język, albo bardzo powoli pięciofrankówkę.
- Tymczasem ciotka Gillenormand, osoba w smutnych chwilach w gruncie rzeczy niezła, odszukała wreszcie mieszkanie Mariusza. Pewnego ranka, kiedy Mariusz wrócił z wykładów, znalazł u siebie list ciotki i w zapieczętowanym pudełku „sześćdziesiąt pistolów”, czyli sześćset franków w złocie.
- Mariusz odesłał ciotce te pieniądze wraz z pełnym szacunku listem, w którym oświadczył, że ma z czego żyć o własnych siłach i że mu wystarcza na wszystko. Miał wówczas jeszcze trzy franki.
- Ciotka nie wspomniała dziadkowi o tej odmowie, bojąc się rozgniewać go do reszty. A zresztą, czyż nie powiedział sam: – Niech mi nikt nie wspomina o tym ludożercy.
- Mariusz opuścił hotel Porte-Saint-Jacques, nie chcąc się w nim zadłużyć.

Rozdział piąty

DOBRA STRONA NIESZCZĘŚCIA

Mariusz w kłopotach

Życie stało się dla Mariusza surowe. Przejeść ubranie i zegarek – to nie było jeszcze nic. Skosztował on później smaku tej niewypowiedzianej *rzeczy*, którą nazywają „mięsem wścieklej krowy”. Składają się na tę straszną rzecz dni bez chleba, noce bezsenne, wieczory bez świecy, kominek bez ognia, całe tygodnie bez pracy, przyszłość bez nadziei, rękawy przetarte na łokciach, stary kapelusz wywołujący śmiech dziewcząt, drzwi, które się wieczorem zastaje zamknięte, bo się nie płaci komornego, impertynencje dozorca i restauratora, szyderstwa sąsiadów, upokorzenia, ukrywane poczucie godności, przyjmowanie byle jakich zajęć dla zarobku, niesmak, gorycz, przygnębienie. Mariusz nauczył się przeżywać to wszystko i dowiedział się, że często tylko tym trzeba żyć. Wtedy właśnie, kiedy człowiek chce kochać i dlatego musi być dumny, on czuł, że kpią z niego, ponieważ jest źle ubrany, i widział, że jest śmieszny z powodu swojego ubóstwa. W wieku, w którym młodość rozpiera serce królewską dumą, nieraz opuszczał oczy na swoje dziurawe trzewiki, poznał krzywdzące piętno nędzy i jej bolesne rumieńce. Wspaniała i groźna to próba, która słabych czyni podłymi, a silnych uszlachetnia. Tygiel, w który los wrzuca człowieka, ilekroć chce stworzyć łajdaka lub półboga.

Zdarzało się, że Mariusz sam zamiatał schody przed swoimi drzwiami, że kupował w sklepiku sera z Brie za jednego su, że czekał na zmiernik, aby zejść do piekarza i kupić kawałek chleba, który niósł chyłkiem na swoje poddasze, jak gdyby go ukradł. Czasem można było widzieć, jak pewien młody człowiek z książkami pod pachą, nieśmiały i zarazem wrzący gniewem, wślizgiwał się niezdarnie do pobliskiego sklepu rzeźnika, wśród tłumu potrącających go i obrzucających szyderczymi spojrzzeniami kucharek. Już na progu zdejmował kapelusz ze spoconego czoła, nisko się kłaniał zdziwionej rzeźniczce, kłaniał się czeladnikowi, prosił o kotlet barani, płacił sześć albo siedem su, zawijał mięso w papier, kładł między książki i wychodził. Był to Mariusz. Tym kotлетem, który sam smażył, żył potem przez trzy dni.

Pierwszego dnia jadł mięso, drugiego tłuszcz, trzeciego obgryzał kość.

Ciotka Gillenormand kilka razy próbowała mu doręczać sześćdziesiąt pistoli od dziadka, ale Mariusz zawsze je odsyłał oświadczając, że nic mu nie potrzeba.

W tym czasie uzyskał dyplom adwokacki. Jako swój adres podawał mieszkanie Courfeyraca, gdyż było ono przyzwoite i znajdowała się w nim pewna ilość książek prawniczych pomnożona o tomy zdekompletowanych powieści, co razem mogło udawać bibliotekę wymaganą przez przepisy. Do Courfeyraca kazał przesyłać swoją korespondencję.

Kiedy został adwokatem, zawiadomił o tym dziadka w liście zimnym, ale pełnym przywiązania i szacunku. Pan Gillenormand otworzył ten list drżącą ręką, przeczytał, podarł na ćwierci i rzucił do kosza. W kilka dni później panna Gillenormand usłyszała ojca mówiącego głośno do siebie w pustym pokoju. Zdarzało mu się to zawsze, kiedy był bardzo czymś poruszony. Stara panna nadstawiła ucha. Starzec mówił: – Gdybyś nie był ostatnim głupcem, wiedziałbyś, że nie można być jednocześnie baronem i adwokatem.

Mariusz w biedzie

Z nędzą jest tak jak ze wszystkim. Staje się w końcu znośna. Przybiera pewien kształt i układa się. Człowiek wegetuje, czyli rozwija się w sposób wąty, słaby, wystarczający jednak, żeby żyć. Oto w jaki sposób ułożyła się egzystencja Mariusza Pontmercy.

Wyszedł już z największych trudności; zaczęło się przed nim trochę rozjaśniać. Pracowitością, odwagą, wytrwałością i wolą doszedł do tego, że praca dawała mu około siedmuset franków rocznie. Nauczył się po niemiecku i po angielsku. Dzięki Courfeyrakowi, który zaznajomił go ze swoim przyjacielem księgarzem, pełnił Mariusz w literaturze księgarskiej funkcje skromne, ale użyteczne. Układał prospekty, tłumaczył dzienniki, robił przypisy do wydawnictw, kompilował biografie itd. Czysty dochód roczny przeciętnie siedemset franków. Z tego żył. Jak? Nieźle. Zaraz opowiemy.

Wynajmował w ruderze Gorbeau za trzydzieści franków rocznie izdebkę bez kominka, zwaną gabinetem, w której z mebli stało tylko to co najniezbędniejsze. Meble te należały do niego. Płacił trzy franki miesięcznie „główniej lokatorce”, która zamiatała jego izbę przynosiła mu co rano trochę gorącej wody, świeże jajko i chleba za jednego su. Ten chleb i jajko stanowiły jego śniadanie. Kosztowało go ono od dwóch do czterech su, stosownie do tego, czy jaja były droższe czy tańsze. O szóstej wieczorem szedł na ulicę św. Jakuba na obiad do Rousseau, naprzeciw Basseta, sprzedającego sztychy na rogu ulicy des Mathurins. Zupy nie jadał. Brał porcję mięsa za sześć su, pół porcji jarzyn za trzy i deser za trzy. Za trzy su miał chleb bez ograniczenia. Zamiast wina pijał wodę. Płacąc przy kasie, za którą majestatycznie zasiadała pani Rousseau, już wówczas tłusta i jeszcze świeża, dawał su chłopcu, a pani Rousseau nagradzała go uśmiechem. Później wychodził. Za szesnaście su dostawał uśmiech i obiad.

A więc: śniadanie za trzy su, obiad za szesnaście su – jedzenie kosztowało go dziennie dwadzieścia su, co czyniło rocznie trzysta sześćdziesiąt pięć franków. Dodajmy do tego trzydzieści franków czynszu i trzydzieści sześć franków, które płacił starej, a nadto niektóre drobne wydatki. Za czterysta pięćdziesiąt franków Mariusz miał jedzenie, mieszkanie i usługę. Ubranie kosztowało go sto franków, bielizna pięćdziesiąt franków, praczka pięćdziesiąt franków, Pozostawało mu pięćdziesiąt franków. Był bogaty. W potrzebie mógł pożyczyć dziesięć franków przyjacielowi; Courfeyrac pożyczył raz od niego aż sześćdziesiąt franków. Kwestię opału Mariusz, nie mając kominka, „uprościł”.

Miał zawsze dwa kompletne garnitury: jeden, stary, na co dzień, drugi, nowy, od święta. Oba były czarne. Miał tylko trzy koszule: Jedną na sobie, drugą w komodzie, trzecią u praczki. Dokupywał, w miarę jak się zużywały. Zwykle były podarte, co go zmuszało do zapinania surduta pod samą szyję.

W sercu Mariusza, obok imienia ojca, wryte było jeszcze inne imię, imię Thénardiera.

Mariusz, z natury poważny i entuzjasta, otoczył aureolą tego człowieka, któremu – jak myślał – winien był życie ojca; był to dla niego nieustraszony sierżant, który wśród kul i partaczy bitwy Waterloo ocalił pułkownika. Wspomnienia o tym człowieku nie oddzielał od wspomnienia o ojcu i połączył ich w swojej czci. Był to pewien rodzaj kultu o dwóch stopniach: wielki ołtarz dla pułkownika, mały dla Thénardiera. A tkliwość jego uczucia wdzięczności podwajała myśl o nędzy, w jaką – według zebranych przez niego informacji – wpadł Thénardier. Mariusz dowiedział się w Montfermeil o ruinie i bankructwie nieszczęśliwego oberżysty i czynił niesłychane usiłowania, żeby odszukać jego ślady i dotrzeć do niego w tej ciemnej przepaści nędzy, w której Thénardier zniknął. Mariusz przemierzył całą okolicę, był w Chelles, w Bondy, w Goumay, w Nogent, w Lagny. Nie ustawał w swej zawziętości przez trzy lata, wydając na te poszukiwania całe zaoszczędzone z trudem pieniądze. Nikt nie mógł mu udzielić żadnej wiadomości o Thénardierze; mniemano, że wyjechał na obczyznę. Wierzyliście szukali go także, z mniejszą miłością niż Mariusz, ale z taką samą zawziętością, i nie udało się im schwytać go. Mariusz obwiniął się, oskarżał prawie, że mu się poszukiwania nie powiodły. Zobaczycie Thénardiera, oddać jakkolwiek usługę Thénardierowi, powiedziec mu: – Nie zna mnie pan, ale ja znam pana. Oto jestem. Proszę mną rozporządzać! – Takie było najśodsze i najpiękniejsze marzenie Mariusza.

Mariusz żył samotnie; Nie wszedł zdecydowanie do grupy, której przewodniczył Enjolras; raz dlatego, że lubił trzymać się na uboczu, z dala od wydarzeń, i dlatego również, że spłoszyli go nieco. Zachowano nadal dobre, przyjacielskie stosunki; w każdej potrzebie młodzieńcy gotowi byli wspierać się nawzajem wszelkimi możliwymi sposobami, ale nic więcej. Mariusz miał dwóch przyjaciół: młodego, Courfeyraca, i starego, pana Mabeufa. Starszy był mu droższy. Jemu to przede wszystkim zawdzięczał rewolucję, która się w nim dokonała; jemu również zawdzięczał to, że poznał i pokochał swego ojca. – Zdjął mi kataraktę z oczu – powiadał.

Ponieważ później spotkamy pana Mabeufa, kilka słów o nim nie będzie bez pożytku.

Pan Mabeuf

Tego dnia, kiedy pan Mabeuf powiedział Mariuszowi: „Nie mam nic przeciwko poglądom politycznym”, dokładnie scharakteryzował całą swoją umysłowość. Wszystkie opinie polityczne były dla niego obojętne i wszystkie uznawał bez różnicy, byle tylko zostawiały go w spokoju. Opinie polityczne zastępowała panu Mabeuf miłość do roślin, a nade wszystko do książek. Miał, jak i wszyscy, swoją końcówkę: ista, bez której w owym czasie nikt nie mógł żyć, ale nie był ani rojalistą, ani bonapartystą, ani konstytucjonalistą, ani orleanistą, ani anarchistą, lecz tylko bukinistą.

Nie pojmował, jak ludzie mogli zajmować się nienawidzeniem się wzajemnym dla takich głupstw jak karta konstytucyjna, demokracja, legitymizm, monarchia, republika itd., kiedy mogli na tym świecie przypatrywać się wszelkiego rodzaju mchom, trawom i krzakom i przeglądać stosy książek *in folio*, a nawet *in 32*. Wystrzegał się bardzo, żeby nie być bezużytecznym; posiadanie książek nie przeszkadzało mu ich czytać, zajęcia botaniczne nie przeszkadzały mu być ogrodnikiem. Kiedy poznał Pontmercy'ego, pomiędzy pułkownikiem a nim istniała tego rodzaju sympatia, że to, co robił pułkownik dla kwiatów, on robił dla owoców. Pan Mabeuf doszedł do tego, że przez szczepienie wyhodował gruszki tak smaczne jak gruszki z Saint-Germain;

skutkiem jednej z tych kombinacji – jak się zdaje – powstała mirabela październikowa, słynna dzisiaj, a nie mniej wonna od mirabeli letniej. Chodził na mszę raczej z powodu swego łagodnego usposobienia aniżeli przez nabożeństwo i dlatego także, że lubiąc twarze ludzkie, a nienawidząc hałasu, znajdował w kościele ludzi zgromadzonych i milczących. Czując, że trzeba być czymś w państwie, wybrał obowiązek skarbnika parani. Wreszcie nigdy nie udawało mu się pokochać żadnej kobiety tak, jak kochał cebulkę tulipanu, ani też pokochać jakiegoś mężczyzny tak, jak kochał elzewiry. Ułożył i ogłosił drukiem *Florę okolic Caunteretz* z tablicami kolorowanymi, dzieło dosyć poważne, którego płyty miedziorytowe znajdowały się u niego, a które sam sprzedawał. Przychodząc po nie, dzwoniło dwa lub trzy razy na dzień do jego mieszkania na ulicy Mezieres. Miał z tego przeszło dwa tysiące franków rocznie; była to prawie cała jego fortuna. Chociaż ubogi, miał ten talent, że przy cierpliwości i oszczędności posiadał z czasem kosztowny zbiór rzadkich egzemplarzy wszelkiego rodzaju. Wychodził zawsze z książką pod pachą, a wracał często z dwiema. Jedynym upiększeniem jego czterech pokoi parterowych, które wraz z ogródkiem stanowiły jego mieszkanie, były zielniki, oprawione w ramy, i sztychy starych mistrzów. Widok szpady lub strzelby przejmował go zimnym dreszczem. W życiu swoim nigdy nie zbliżył się do działła, nawet u Inwalidów. Miał żołądek dosyć zdrowy, brata księdza, włosy zupełnie białe, brak zębów, zarówno w ustach, jak w umyśle, trząsał się cały, mówił akcentem pikardyjskim, śmiał się jak dziecko, łatwo się trwożył i wyrazem twarzy przypominał starego barana. Z tym wszystkim żadnej innej przyjaźni ani też innej zażyłości z żywymi osobami oprócz starego księgarza u bramy św. Jakuba, nazywającego się Royol. Marzeniem jego było zaaklimatyzować indygo we Francji. Służącą jego była także odmianą niewinności.

Pan Mabeuf przyjmował Mariusza dobrze, dlatego że Mariusz, będąc młody i łagodny, ogrzewał jego starość, nie wystraszając jego nieśmiałości. Młodość połączona z łagodnością wywiera na starcu – wrażenie słońca bez wiatru. Kiedy Mariusz, nasyciwszy się sławą wojenną, prochem, marszami i kontrmarszami oraz wszystkimi tymi nadzwyczajnymi bitwami, w których jego ojciec zadawał i otrzymywał tak silne cięcia, szedł do pana Mabeufa, ten opowiadał mu o bohaterze z punktu widzenia jego stosunku do kwiatów.

Około roku 1830 brat jego, ksiądz, umarł, i prawie nagle, jakby noc zapadła, cały widnokrąg sposepniał dla pana Mabeufa. Bankructwo notariusza pozbawiło go sumy dziesięciu tysięcy franków, wszystkiego, co posiadał po ojcu. Rewolucja lipcowa spowodowała przesilenie w handlu księgarskim. Taka rzecz jak *Flora* pierwsza odczuwa kryzys. Sprzedaż *Flory okolic Caunteretz* wstrzymała się. Upływały tygodnie, a kupujących nie było. Czasami pan Mabeuf wstrząsał się na odgłos dzwonka. – Panie – powiadała mu smutnie służąca, przezwana przez niego matką Plutarch – przyniesiono wodę. – Krótko mówiąc pewnego dnia pan Mabeuf porzucił ulicę Mezieres, złożył urząd skarbnika parafii, wyrzekł się św. Sulpicjusza, sprzedał część – nie książek, lecz sztychów, które go mniej obchodziły – i zamieszkał w domku na bulwarze Montparnasse, gdzie zresztą pozostał tylko jeden kwartał, a to z dwóch powodów: naprzód, parter i ogród kosztowały trzysta franków, a on nie mógł wydawać na czynsz więcej nad dwieście; po wtóre, będąc w sąsiedztwie strzelnicy, słyszał strzały pistoletowe; była to dla niego rzecz nie do zniesienia.

Zabrał ze sobą *Florę*, płyty miedziorytowe, zielniki, teki i książki i zamieszkał koło Salpêtrière, w wiosce Austerlitz, gdzie znalazł coś w rodzaju chaty; tam miał za dwieście pięćdziesiąt franków rocznie trzy pokoje i ogród, oparkaniony, ze studnią. Skorzystał z przeprowadzki i sprzedał prawie wszystkie meble. Tego dnia, kiedy wprowadził się do nowego mieszkania, był bardzo wesoły i sam wbijał gwoździe do zawieszenia sztychów i zielników; przez resztę dnia kopał w ogrodzie, a wieczorem, widząc, że matka Plutarch miała minę smutną i była zamyślona, uderzył ją po ramieniu i z uśmiechem powiedział do niej: – Mamy jeszcze

indygo!

Ubóstwo, dobry sąsiad nędzy

Mariusz lubił tego prostego starca, który widział, jak niedostatek powoli go ogarnia, i zaczynał już trochę się temu dziwić, jeszcze się jednak nie smucąc. Mariusz spotykał Coufeyraca, a Mabeufa szukał. Bardzo rzadko jednak, raz lub dwa razy na miesiąc co najwyżej.

Rozrywką Mariusza były długie, samotne przechadzki po zewnętrznych bulwarach, po Polu Marsowym lub po mało uczęszczanych alejach Ogrodu Luksemburskiego. Czasem przez pół dnia przypatrywał się jakiemuś warzywnemu ogródkowi, grządkom sałaty, kurom na śmietniku i koniowi obracającemu koło kieratu. Przechodnie spoglądali na niego ze zdziwieniem, niektórym ubranie jego wydawało się podejrzane, a mina złowroga. Był to tylko ubogi młodzieniec, zatopiony w myślach.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek odkrył rudere Gorbeau; odludne położenie i niskie komorne skusiły go; zamieszkał w niej. Znano go tam tylko pod imieniem pana Mariusza.

Kilku dawnych generałów i dawnych towarzyszy jego ojca zapraszało go do siebie poznawszy bliżej. Mariusz nie odmawiał. Muzykowano tam i tańczono. Na przyjęcia Mariusz wkładał swoje nowe ubranie. Ale na te wieczory i na bale chodził tylko wówczas, kiedy był mróz trzaskający, ponieważ nie miał pieniędzy na wynajęcie powozu, a uważał, że zjawić się tam może tylko w butach błyszczących jak lustro.

Mówił czasem bez goryczy: – Ludzie są już tacy, że w salonie możesz być cały zabłocony, ale z wyjątkiem butów. Przyjmując cię tam, wymagają tylko jednej rzeczy, która musi być bez zarzutu. Sumienie? Nie – obuwie.

Wszystkie namiętności, oprócz namiętności serca, rozpraszają się w marzeniu. Gorączki polityczne Mariusza wystygły też właśnie tam. Rewolucja roku 1830, zadowolając go i uspokajając, dopomogła. Pozostał tym samym, wyjąwszy gniew. Miał zawsze te same przekonania. Tyle tylko, że złagodzone. Właściwie mówiąc, nie miał już przekonañ, miał tylko sympatie. Do jakiego stronnictwa należał? Do stronnictwa ludzkości. W ludzkości wybierał Francję; w narodzie wybierał lud; w ludzie wybierał kobietę. Ku niej szczególnie skłaniała się jego litość. Przekładał teraz myśl nad czyn, poetę nad bohatera i bardziej podziwiał taką księgę jak księga Hioba, niż takie wydarzenie jak Marengo. I kiedy po dniu spędzonym na rozmyślaniu wracał wieczorem bulwarami i przez gałęzie drzew spostrzegał przestwory bez dna, światła bez nazwy, przepaść, cień, tajemnicę – wszystko, co było tylko ludzkie, wydawało mu się małe.

Około połowy tego roku 1830 staruszka, która usługiwała Mariuszowi, opowiedziała mu, że wyrzucają z mieszkania jego sąsiadów, ubogą rodzinę Jondrette'ów. Mariusz, który spędzał całe dnie poza domem, zaledwie wiedział, że ma sąsiadów.

– Dlaczego ich wyrzucają? – zapytał.

– Dlatego, że nie płacą czynszu. Winni już są za dwa miesiące.

– Ile to jest?

– Dwadzieścia franków – powiedziała staruszka.

Mariusz miał trzydzieści franków schowanych w szufladzie.

– Masz! – powiedział do starej – oto dwadzieścia pięć franków. Zapłać za tych biednych ludzi, daj im pięć franków i nie mów, że to ja dałem.

Rozdział szósty

POŁĄCZENIE DWÓCH GWIAZD

Z przezwiska powstaje nazwisko

W owej epoce Mariusz był pięknym młodzieńcem średniego wzrostu, miał bujne, bardzo czarne włosy, czoło wysokie i rozumne nozdrza otwarte i namiętne, w wyrazie twarzy szczerość, spokój i co nie dającego się wypowiedzieć, coś, co było dumą, zamyśleniem niewinnością.

Już przed przeszło rokiem Mariusz zauważył w jednej z odosobnionych alei Ogrodu Luksemburskiego jakiegoś mężczyznę bardzo młodą dziewczyną, prawie zawsze siedzących obok siebie na tej samej ławce, w najbardziej odludnej części alei, w pobliżu ulicy Zachodniej. Za każdym razem, kiedy traf, lubiący mieszać się do przechadzek ludzi, których wzrok zwrócony jest ku własnemu wnętrzu, sprowadzał Mariusza do tej alei, a zdarzało się to prawie co dzień, młodzieniec spotykał tam tę parę. Mężczyzna mógł mieć lat sześćdziesiąt; wydawał się smutny i poważny; cała jego powierzchowność nosiła te cechy siły i znużenia, które znamionują wojskowych w stanie spoczynku. Gdyby nosił order, Mariusz rzekłby sobie: – To jakiś dymisjonowany oficer. – Wyglądał na człowieka dobrego, ale nieprzystępnego i jego spojrzenie nigdy nie spotykało się z niczym wzrokiem. Nosił granatowe spodnie, takież surduty kapelusz z szerokim rondem, wszystko to zawsze jakby świeżo sprawione; czarną chustkę na szyi i koszulę kwakra, czyli śnieżne. białości, lecz z grubego płótna. Jakaś gryzетка, przechodząc raz koło niego, powiedziała: – Jaki czyściutki wdowiec. – Miał włosy bardzo siwe.

Kiedy towarzysząca mu dziewczynka przyszła z nim po raz pierwszy i siadła na tej ławce, którą odtąd jakby objęli w posiadanie, była ona podlotkiem mającym od trzynastu do czternastu lat, chudym, prawie brzydkim, niepokątnym i niezgrabnym; tylko jej oczy nieźle się zapowiadały na przyszłość, spoglądały jednak z jakąś nieprzyjemną pewnością siebie. Ubrana była zarazem jak dorosła i jak dziecko, w sposób właściwy pensjonarkom wychowanym w klasztorze. Nosiła sukienkę z grubego czarnego merynosu, skrojoną niezgrabnie. Wyglądali na ojca i córkę.

Mariusz nadchodził zwykle od przeciwległego końca alei, przemierzał całą jej długość, mijał ich ławkę, potem wracał aż do miejsca, przez które przyszedł, i znowu zawracał. Przechadzał się w ten sposób tam i z powrotem kilka razy, i to prawie codziennie, lecz nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby choć ukłonili się sobie nawzajem. Ów jegomość z dziewczynką, jakkolwiek zdawali się unikać wszelkich spojrzeń, właśnie może dlatego, że ich unikali, obudzili uwagę kilku studentów używających niekiedy przechadzki wzdłuż alei Pepiniery. Zdarzało się to pracowitym – po wykładach, innym zaś po ukończeniu kilku partii bilardu. Courfeyrac, który należał do tych ostatnich, przyglądał im się jakiś czas, ale doszedłszy do wniosku, że dziewczyna jest brzydka,

szybko i starannie usunął się na bok. Uciekał jednak jak Part, rzucając im przezwisko. Uderzony głównie barwą sukienki dziewczyny i włosów starego, nazwał córkę panną Czarną, a ojca panem Białym, i ponieważ nikt nie wiedział, jak się nazywają, odtąd przyłgnęły do nich te przezwiska. Studenci mówili: – O, pan Biały siedzi na swojej ławce! – Mariusz także przywykł nazywać tego nieznanego jegomościa – panem Białym.

Uczynimy tak samo i będziemy go nazywać panem Białym, dla ułatwienia opowiadania.

Mariusz widywał ich więc prawie codziennie, o tej samej godzinie, przez cały pierwszy rok. Jegomość dość mu się podobał, lecz dziewczyna nie budziła w nim sympatii.

Lux facta est⁶

Następnego roku, właśnie w momencie opowiadania, do którego czytelnik teraz dotarł, Mariusz przestał chodzić do Ogrodu Luksemburskiego i sam nie wiedząc dlaczego, przez całe pół roku nie zjawił się w swojej alei. Wreszcie wrócił tam któregoś dnia. Było to w jasny letni poranek; Mariusz czuł się wesoły i lekki, jak to bywa przy pięknej pogodzie. Zdawało mu się, że ma w sercu wszystkie śpiewy ptaków, które go dolatywały, i wszystkie skrawki błękitu, które widział poprzez liście drzew.

Poszedł prosto do „swojej” alei i kiedy stanął u jej końca, spostrzegł, zawsze na tej samej ławce, tę parę, z dawną sobie znaną. I oto, kiedy się zbliżył, ujrzał wprawdzie tego samego mężczyznę, lecz wydało mu się, że dziewczyna jest nie ta sama. Młoda osoba, którą w tej chwili miał przed oczami, była dorosłą i piękną istotą, mającą wszystkie kształty najbardziej uroczej kobiety, znajdującej się właśnie w owej chwili życia, kiedy się one splatają jeszcze ze wszystkimi najniewinniejszymi wdziękami dziecka; chwila to przelotna i nieuchwytna, którą mogą oddać tylko te dwa wyrazy: piętnaście lat. A więc cudowne ciemne włosy ze smugami o złotawych błyskach, czoło jak z marmuru, policzki niby płatki róży, pastelowa karnacja, blade ożywiona wzruszeniem, usta – jeden wdzięk, podkreślony światłem uśmiechu i muzyką głosu, głowa, jaką Rafael dałby Madonnie, spoczywająca na szyi, jaką by Jan Goujon dał Wenerze. I żeby nic nie brakowało w tej uroczej twarzy, nos nie piękny, ale śliczny, ani prosty, ani zgięty, ani włoski, ani grecki – nosek paryski, dowcipny, figlarny; o nieregularnych, a jednak czystych zarysach, które do rozpacy doprowadzają malarzy, a zachwycają poetów.

Przechodząc koło niej, Mariusz nie mógł zobaczyć jej oczu stale spuszczonej. Ujrzał tylko długie ciemne rzęsy, pełne cienia i wstydlivości.

Kiedy po raz drugi przeszedł koło młodej dziewczyny, podniosła powieki. Miała w oczach głęboki błękit, lecz w tym zamglonym lazurze było jeszcze tylko spojrzenie dziecka. Popatrzyła na Mariusza obojętnie, jakby to był dzieciak biegnący pod kasztanami albo marmurowa waza, której cień padał na ławkę. Mariusz spacerował dalej, myśląc o czym innym.

Przeszedł jeszcze kilka razy obok ławki, na której siedziała dziewczyna, nie zwracając nawet oczu ku niej.

W następne dni przychodził jak dawniej do Ogrodu Luksemburskiego i jak dawniej spotykał tam „ojca i córkę”, ale już nie zwracał na nich uwagi. Nie więcej myślał o tej dziewczynie teraz, kiedy się stała piękna, niż wtedy, kiedy była brzydka. Przechodził jednak zawsze bardzo blisko ławki, na której siedziała, bo miał już taki zwyczaj.

⁶ Stała się światłość (łac.)

Obrazek wiosenny

Pewnego dnia powietrze było ciepłe, Ogród Luksemburski skąpany w słońcu i cieniu drzew, niebo tak czyste, jakby je aniołowie oplukali w rannej rosie, a wróble świergotały w gęstwinie kasztanów. Mariusz zdawał się oddychać całą duszą tym świeżym powietrzem natury, nie myślał o niczym, żył i oddychał; przeszedł koło znajomej sobie ławki, dziewczyna podniosła na niego oczy, spojrzenia ich spotkały się.

Co było tym razem we wzroku dziewczyny? Mariusz nie umiałby odpowiedzieć. Nie było nic i było wszystko. Osobliwa jakaś błyskawica.

Ona spuściła oczy, a on poszedł dalej.

To, co ujrzał, nie było już niewinnym i prostym spojrzeniem dziecka, była to otchłań tajemnicza, która się na chwilę otworzyła, a potem nagle zamknęła.

Nadchodzi dzień takiego spojrzenia dla każdej dziewczyny. Biada temu, kto się wtedy znajdzie blisko.

To pierwsze spojrzenie duszy, która jeszcze sama siebie nie zna, jest niby świt na niebie. Jest to przebudzenie czegoś promienistego i nieznanego. Nic nie zdoła oddać niebezpiecznego wdzięku tego nieoczekiwanego błysku, który z nagłą, niejasno rozjaśnia urocze ciemności i na który składa się cała niewinność chwili obecnej i cała namiętność przyszłości. Jest to jakby nieokreślona czułość, która się zdradza przypadkiem i czeka. Jest to zasadzka, którą niewinność zastawia bezwiednie i w którą chwytają serca bezwiednie i mimowolnie. Dziewiczość, która patrzy jak kobiecość.

Rzadko się zdarza, żeby tam, gdzie padnie ten wzrok, nie urodziło się głębokie marzenie. Wszystkie czystości i wszystkie niepokalane białości zbiegają się w tym promieniu zarazem niebiańskim i fatalnym, który daleko pewniej od najbardziej wymyślnych spojrzeń zalotnie znajduje czarodziejską władzę, aby wywołać w głębi duszy ten kwiat ciemny, pełen trucizny i woni, który nazywa się miłością.

Wieczorem, wróciwszy do swej mizernej izdebki, Mariusz przypadkiem rzucił okiem na swoje ubranie i po raz pierwszy spostrzegł, że jak ostatni niechluj i głupiec bez wychowania spacerował po Ogrodzie Luksemburskim w swoim codziennym stroju, to jest w kapeluszu złamanym przy samej taśmie, w grubych fornalskich buciskach, w czarnych spodniach przetartych na kolanach i w czarnym tuzurku wyświeconym na łokciach.

Początki ciężkiej choroby

Nazajutrz o zwykłej godzinie Mariusz wyjął z szafy nowy tuzurek, nowe spodnie, nowy kapelusz i nowe buty; ubrał się w ten nowy komplet, włożył także rękawiczki, co było niebывałym zbytkiem, i poszedł do Ogrodu Luksemburskiego.

Po drodze spotkał Courfeyraca i udał, że go nie widzi. Courfeyrac, wróciwszy do siebie, oznajmił przyjaciółom:

– Spotkałem przed chwilą nowy kapelusz i nowy tużurek Mariusza oraz Mariusza w środku tego wszystkiego. Najpewniej szedł zdawać egzamin, bo miał bardzo głupią minę.

Przybywszy do ogrodu Mariusz obszedł naokoło sadzawkę i przypatrywał się łabędziom. Potem stał w długiej kontemplacji przed posągiem, który miał głowę całkiem poczerniałą od pleśni i któremu brakowało biodra. Koło sadzawki stał jakiś mieszcuch, czterdziestoletni i brzuchaty, który trzymając za rękę małego, pięcioletniego chłopca, mówił do niego: – Unikaj zawsze ostateczności. Pamiętaj, synu, żebyś się zawsze trzymał w równej odległości od absolutyzmu i od anarchii. – Mariusz wysłuchiwał tego burżuja. Potem jeszcze raz obszedł sadzawkę dookoła. Wreszcie skierował się ku swojej alei, wolno, jakby niechętnie. Rzekłbyś, że coś go ciągnie i zarazem trzyma na miejscu. Nie zdawał sobie z tego sprawy i sądził, że zachowuje się tak ja co dzień.

Wchodząc w aleję, spostrzegł na drugim końcu, na „ich ławce”, pana Białego i dziewczynę. Zapiął się aż pod szyję, obciągnął na sobie tużurek, żeby wygładzić wszystkie jego zmarszczki, spojrzał z pewnym zadowoleniem na spodnie i buty, po czym ruszył na ławkę. Szedł jak do ataku, jego krok niewątpliwie zdradzał jakieś pragnienie podboju. Dlatego też mówię: ruszył na ławkę, jakbym powiedział: Hannibal ruszył na Rzym.

Im bardziej, się zbliżał, tym bardziej zwalniał kroku. Daleko było jeszcze do końca alei, kiedy w pewnej odległości od ławki zatrzymał się i sam nie wiedząc jak, zawrócił. Bo nawet nie powiedział sobie w duszy, że nie pójdzie do końca. Wskutek tego dziewczyna ledwo mogła dostrzec go z daleka i zobaczyć, jak pięknie wyglądał w nowym ubraniu. Jednak trzymał się bardzo prosto, żeby się dobrze prezentować, gdyby mu się ktoś przyglądał z tyłu.

Doszedł do przeciwległego końca alei, zawrócił znowu i tym razem podszedł już nieco bliżej, nawet aż tak blisko, że od ławki dzieliły go tylko trzy drzewa. Ale tam uczuł, że niepodobieństwem jest pójść dalej, i zawahał się. Zdawało mu się, że twarz dziewczyny pochyliła się w jego stronę. Zdołał się wreszcie na gwałtowny i męski wysiłek, poskromił wahanie i poszedł. W kilka sekund później minął ławkę, prosto i odważnie, zacerwieniwszy się aż po uszy, nie śmiać spojrzeć ani na prawo, ani na lewo, trzymając rękę w zanadrzu jak mąż stanu. Kiedy przechodził koło tej fortyfikacji, doznał przeraźliwego bicia serca. Nieznajoma ubrana była jak poprzednio, w adamaszkową suknię i krepowy kapelusz. Usłyszał głos pełen niewypowiedzianego wdzięku, który mógł być tylko jej głosem. Rozmawiała spokojnie. Była bardzo ładna. Czuł to, jakkolwiek nie próbował spojrzeć na nią. Spodziewam się jednak – myślał sobie – że nie odmówiłaby mi szacunku i poważania, gdyby wiedziała, że to ja jestem prawdziwym autorem rozprawy o *Marcosie Obregonie de la Ronda*, którą pan Franciszek de Neufchâteau umieścił jako własną na wstępie swojego wydania *Idziego Blasa*.

Minął ławkę, doszedł do bliskiego już końca alei, potem wrócił i znowu przeszedł koło pięknej dziewczyny. Tym razem był bardzo blady. Zresztą uczucie, jakiego doświadczał, nie było wcale przyjemne. Oddalił się od ławki i od dziewczyny; odwrócony tyłem wyobrażał sobie, że patrzyła na niego, i nogi mu się plątały.

Nie próbował więcej zbliżyć się do ławki, zatrzymał się w połowie alei i tam, co mu się nigdy przedtem nie zdarzyło, usiadł spoglądając z ukosa, a w najciemniejszych głębiach jego umysłu zaczęło świtać przypuszczenie, że jednak niepodobna, ażeby osoba, której biały kapelusz i czarna suknię podziwiał, miała być zupełnie obojętna na jego błyszczące buty i nowe ubranie.

Po pewnym czasie wstał, jakby miał znowu rozpocząć marsz ku ławce, którą opromieniała aureola. Ale przystanął i znieruchomiał. Po raz pierwszy od piętnastu miesięcy pomyślał sobie, że ów jegomość, który tam co dzień siadywał ze swoją córką, na pewno też go zauważył i prawdopodobnie był zdziwiony jego upartym pojawianiem się w alei.

Po raz pierwszy także uczuł jakiś brak uszanowania w nadawaniu temu nieznajomemu, nawet

w skrytości myśli, przezwiska „pana Białego”.

Stał kilka chwil z głową spuszczoną, rysując po piasku laseczką, którą trzymał w ręku.

Potem odwrócił się nagle od ławki pana Białego i jego córki i poszedł do domu.

Tego dnia zapomniał o obiedzie. Spozrzegł to o ósmej wieczorem, a ponieważ już było za późno, żeby pójść na ulicę św. Jakuba powiedział: – Hm! – i zjadł kawałek chleba.

Nim się położył, wyczyścił szczotką ubranie i złożył je starannie.

Przygody litery U, wystawionej na domysły

Osamotnienie, oderwanie od wszystkiego, duma, niezawisłość, ukochanie przyrody, brak codziennego i konkretnego zajęcia, życie zamknięte w sobie, tajemne walki wstydlivosti, zachwyt wobec całego stworzenia, wszystko to razem przygotowało Mariusza do tego opętania, które nazywają namiętnością. Cześć dla ojca stała się dla niego z wolna religią i jak każda religia, cofnęła się w głąb duszy, potrzeba mu było czegoś na pierwszym planie. Nadeszła miłość.

Przez cały długi miesiąc Mariusz co dzień chodził do Ogrodu Luksemburskiego. Z nadejściem zwykłej godziny nic nie było w stanie go zatrzymać. – Ma teraz służbę – powiadał Courfeyrac. Mariusz żył w ekstazie. Młoda dziewczyna ponad wszelką wątpliwość spoglądała na niego.

Należy jednak sądzić, że pan Biały zaczął się wreszcie czegoś domyślać, gdyż często, widząc nadchodzącego Mariusza, wstawał i zaczynał się przechadzać. Porzucił swoje dotychczasowe miejsce i przeniósł się gdzie indziej, w przeciwległy koniec alei, na ławkę przy posagu gladiatora, jakby dla wypróbowania, czy Mariusz pójdzie za nim i tam. Mariusz nie rozumiał, o co chodzi, i popełnił ten błąd „Ojciec” zaczął przychodzić do ogrodu mniej punktualnie i nie co dzień przyprowadzał „córkę”. Czasem zjawiał się sam. Wtedy Mariusz natychmiast znikał. Drugi błąd.

Mariusz nie zwrócił na to wszystko uwagi. Ze stanu trwożliwości przeszedł już naturalnym i nieuniknionym biegiem rzeczy do zaślepienia. Miłość jego rosła. Śnił o niej każdej nocy. Zdarzyło mu się też szczęście niespodziewane – oliwa dolana do ognia, podwojenie bielma na oczach. Pewnego wieczora, o zmroku, na ławce, którą pan Biały i jego córka tylko co opuścili, znalazł chustkę, zupełnie zwyczajną, bez haftów, ale białą, cienką i przesyconą – zdawało mu się niebiańskimi zapachami. Rzucił się na nią z uniesieniem. Chustka ta była znaczone literami U. F. Mariusz niczego nie wiedział o pięknej dziewczynie, nie znał jej nazwiska, jej imienia, nie wiedział, gdzie mieszka, te dwie litery były pierwszą rzeczą od niej pochodzącą, którą dostał w ręce – ukochane litery, na których począł natychmiast budować gmach domysłów. U było oczywiście początkową głoską imienia. Urszula – pomyślał sobie. – Co za rozkoszne imię! Ucałował chustkę, wdychał jej woń, w dzień nosił ją pod koszulą, na sercu, a wieczorem, kładąc się do snu, trzymał ją przy ustach.

– Czuję w niej całą jej duszę – mówił sobie.

Chustka była własnością starszego pana i po prostu wypadła mu z kieszeni.

W ciągu następnych dni, chodząc po ogrodzie, Mariusz całował bez ustanku chustkę i przyciskał ją do serca. Piękna dziewczyna nie rozumiała nic i dawała mu znać o tym ledwie dostrzegalnymi znakami.

Co za niewinność – myślał Mariusz.

Zaćmienie

Widzieliśmy poprzednio, w jaki sposób Mariusz odkrył, czyli raczej zdawało mu się, że odkrył, iż Ona ma na imię Urszula.

W miłości apetyt rośnie razem z uczuciem. Dowiedzieć się, że jej na imię Urszula, to już dużo, ale i mało. W ciągu kilku tygodni Mariusz całkowicie skonsumował to szczęście. Zachciało mu się drugiego. Zachciało mu się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Pierwszy błąd popełnił, kiedy dał się wciągnąć w zasadzkę ławki koło gladiatora. Drugi błąd popełnił, kiedy wychodził z ogrodu, ilekroć pan Biały zjawiał się sam. Teraz popełnił trzeci. Ogromny. Zaczął śledzić „Urszulę”.

Mieszkała w najmniej uczęszczanej części ulicy Zachodniej, w trzypiętrowym nowym domu o skromnym wyglądzie.

Od tej chwili do szczęścia widywania jej w ogrodzie dołączył Mariusz drugie szczęście i szedł za nią aż do jej mieszkania.

Głód jego rósł. Wiedział już, jak się nazywała, przynajmniej, jakie było jej imię, prześliczne imię, prawdziwie kobiece; wiedział już, gdzie mieszkała; zapragnął dowiedzieć się, kim była.

Pewnego wieczora, odprowadziwszy ich aż do domu i zobaczywszy, jak zniknęli w bramie, poszedł ich śladem i odważnie zapytał odźwiernego:

– Czy ten pan, co tu właśnie wszedł, mieszka na pierwszym piętrze?

– Nie – odpowiedział odźwierny. – To pan z trzeciego piętra.

Był to nowy krok naprzód. Powodzenie ośmieliło Mariusza.

– Od frontu? – spytał.

– Pewnie! – rzekł odźwierny. – Dom ma mieszkania tylko od ulicy!

– A czym się trudni ten pan? – rzekł znowu Mariusz.

– To rentier. Człowiek bardzo dobry, który świadczy wiele biednym, choć sam nie jest bogaty.

– Jak się nazywa? – zapytał Mariusz.

Odźwierny spojrzął mu w oczy i rzekł:

– Czy pan jest szpiclem?

Mariusz odszedł zawstydzony, ale bardzo zachwycony. Posuwał się coraz dalej.

Dobre i to – myślał sobie. – Wiem, że ma na imię Urszula, że jest córką rentiera i że mieszka przy ulicy Zachodniej, na trzecim piętrze.

Nazajutrz pan Biały i jego córka zjawili się w ogrodzie na bardzo krótko: wyszli stamtąd jeszcze za dnia. Mariusz poszedł za nimi na ulicę Zachodnią, jak to mu już weszło w zwyczaj. Przybywszy do bramy, pan Biały puścił córkę naprzód, a sam zatrzymał się i nim przestąpił próg, uważnie spojrzął na Mariusza.

Następnego dnia wcale nie przyszli do ogrodu. Mariusz na próżno czekał cały dzień.

Z nadejściem zmroku poszedł na ulicę Zachodnią i zobaczył światła w oknach trzeciego piętra. Przechadzał się pod tymi oknami, póki światła w nich nie pogasły.

Nazajutrz znowu nikogo w ogrodzie. Mariusz czekał przez cały dzień, potem poszedł na wartę nocną pod oknami. Trwało to aż do dziesiątej wieczór. Na obiad jadł byle co. Gorączka żywi chorego, miłość zakochanego.

W ten sposób przeszedł tydzień. Pan Biały i jego córka nie pokazywali się już w ogrodzie. Mariusz robił smutne przypuszczenia; nie śmiał w dzień pilnować bramy, poprzestał więc tylko na przychodzeniu wieczorem dla przyglądania się czerwonawemu światłu okien. Chwilami

widował w nich przesuujące się cienie i wtedy serce silniej mu biło.

Ósmego dnia, kiedy przyszedł pod okna, nie było w nich jeszcze światła. O!– rzekł sobie– nie zapalili jeszcze lampy. A jednak już jest ciemno. Czyżby gdzieś wyszli? – Czekał aż do godziny dziesiątej. Czekał aż do północy. Aż do pierwszej. Ani światła nie zapalono w oknach trzeciego piętra, ani nikt nie wrócił do domu. Odszedł bardzo zachmurzony.

Nazajutrz (gdyż od pewnego czasu żył tylko jutrem i można powiedzieć, nie było już dla niego dnia dzisiejszego), nazajutrz tedy znowu nie zastał nikogo w ogrodzie; przewidywał to. O zmroku poszedł znowu do domu przy ulicy Zachodniej. Żadnego światła w oknach, żaluzje zapuszczone; całe trzecie piętro było ciemne.

Mariusz zastukał do bramy, wszedł i zapytał odźwiernego:

– Czy pan z trzeciego piętra jest w domu?

– Wyprowadził się – odpowiedział odźwierny.

Mariusz zachwiał się na nogach i spytał słabym głosem:

– Kiedy się wyprowadził?

– Wczoraj.

– A gdzie mieszka teraz?

– Nie wiem.

– Więc nie zostawił nowego adresu?

– Nie.

Powiedziawszy to odźwierny wpatrzył się w Mariusza i poznał go.

– A, to znowu pan – rzekł. – Więc pan rzeczywiście chce tu coś przewąchać?

Rozdział siódmy

„KOCIA ŁAPA”

Pod społeczeństwem istnieje i istnieć będzie – podkreślmy to – aż po dzień rozproszenia ciemnoty, ogromna jaskinia zła. Ciemnica ta nie zna mędrców, jej sztylet nigdy nie zastrugał pióra. Czarność jej nie ma najmniejszego związku ze szczytną czarnością atramentu. Nigdy palce tej nocy, które się kurczą pod tym zatęchłym sklepieniem, nie dotknęły kart książki, nie rozłożyły dziennika.

To potworne mrowisko podkopyje nie tylko obecny porządek społeczny, podkopyje także filozofię, podkopyje naukę, prawo, myśl ludzką, podkopyje cywilizację, podkopyje rewolucję, podkopyje postęp. Nazywa się po prostu złodziejstwem, nierzędem, morderstwem i rozbojem. Składa się z mroków i pragnie chaosu. Sklepienie tej jaskini zła zbudowane jest z ciemnoty. Zniszczcie ją, a pozbędziecie się kreta zbrodni.

Kwartet bandytów – Claquesous, Gueulemer, Babet, Montparnasse – rządził podziemiami Paryża w latach 1830– 1835.

Gueulemer był zdeklasowanym Herkulesem. Za swoją jaskinię obrał sobie kanał ściekowy pod łukiem Marion. Miał sześć stóp wysokości, pierś z marmuru, muskuły ze spiżu, oddech kowalskiego miecha, tors olbrzyma, czaszkę ptaka. Rzekłbyś, Herkules Farnezyjski ubrany w bawełniane spodnie i welwetową kurtkę. Gueulemer, zbudowany w sposób podobnie posągowy, mógłby poskramiać potwory, lecz uznał, że wygodniej jest stać się samemu jednym z nich. Czoło niskie, szerokie skronie, a na nich zmarszczki, choć nie miał jeszcze lat czterdziestu; włosy szorstkie i krótkie, twarz i broda zawsze zarosłe jakby szczecina – już widać, co to za człowiek. Jego muskuły domagały się pracy, jego tępota nie chciała jej. Była to olbrzymia rozleniwiona siła. Z lenistwa stał się mordercą.

Przejrzystość Babeta kontrastowała z mięsistością Gueulemera. Babet był chudy i uczony. Był przezroczystry, ale nieprzenikniony. Światło przeświecało przez jego kości, ale nic nie przeglądało przez jego źrenice. Podawał się za chemika. Był klownem w teatryku Bobeche’a i pajacem w budzie Bobina. Był to człowiek wyrachowany, doskonały mówca, który podkreślał swoje uśmiechy i gesty. Zawód jego polegał na sprzedawaniu na ulicach gipsowych popiersi i portretów „głowy państwa”. Wrywał również zęby. Niegdyś pokazywał na jarmarkach fenomeny natury i miał budę z trąbą i następującym afiszem: „Babet, artysta – dentysta, członek wielu akademii, robi fizyczne doświadczenia na metalach i metaloidach, usuwa zęby, podejmuje się nawet wrywania pieńków, którym nie dali rady jego koledzy. Cena: jeden ząb – półtora franka, dwa zęby – dwa franki, trzy zęby – półtrzecia franka. Korzystajcie ze sposobności!”

Kim z kolei był Claquesous? Nocą. Żeby się pokazać, czekał, aż się niebo spowije w czerń. Wieczorem dopiero wyłaził ze swojej nory, do której wracał przed świtem. Gdzie była ta nora?

Nikt tego nie wiedział. Nawet w zupełnych ciemnościach i do własnych współników nie odzywał się inaczej jak odwrócony tyłem. Jeżeli wnoszono świecę, wkładał na twarz maskę. Był brzuchomówcą. Babet mawiał o nim: – Claquesous jest nokturnem na dwa głosy. – Claquesous był nieokreślony, błędny, straszny. Nie było pewne, czy się jakoś nazywa, bo znany był tylko pod swoim przewiskiem; nie było pewne, czy posiada jakiś głos, ponieważ – częściej mówił brzuchem niż ustami; nie było pewne, czy ma jakąś twarz, ponieważ oglądano tylko jego maskę. Znikał, jak gdyby się rozwiewał; zjawiał się wychodząc spod ziemi.

Ponurą postacią był Montparnasse. Jeszcze dziecko – lat niespełna dwadzieścia, usta jak wiśnie, piękne czarne włosy, blask wiosny w oczach – miał wszystkie złe skłonności i ciągnęło go do wszystkich zbrodni. Powodem wszystkich zbrodni tego młodzieńca była żądza ubierania się wytwornie. Pierwsza gryzетка, która mu powiedziała: – Jesteś piękny! – rzuciła mu płamę ciemności w serce i z tego Abla zrobiła Kaina. Uważając się za pięknego, zapragnął być wytwornym; otóż najpierwszą wytwornością jest beczynność. Beczynność biedaka to zbrodnia. Niewielu włóczęgów wzbudzało tyle postrachu co Montparnasse. W osiemnastym roku życia miał już za sobą niejednego trupa. Niejeden przechodzień leżał w cieniu tego nędznika, z wyciągniętymi rękami, nurzając twarz w kałuży krwi. Utrufiony, wypomadowany, ściśnięty w pasie, z biodrami kobiety, z biustem pruskiego oficera, otoczony szmerem podziwu dziewcząt z bulwaru, w misternie zawiązanym krawacie, z pałką w kieszeni, z kwiatkiem w butonierce – taki był ten upiorny elegancik.

We czterech ci bandyci tworzyli jakby rodzaj Proteusza, przesuwał się przez szeregi policji i usiłującego nieustannie wymykać się niedyskretnym spojrzeniom Vidocq'a „pod rozmaitymi postaciami: drzewa, płomyka i źródła”, pożyczając sobie nawzajem swoich imion i swoich sztuczek, ukrywając się we własnym swoim cieniu, jedni drugim służąc za kryjówki i schronienia, zdejmując z siebie swoje cechy osobiste, tak jak się odejmuje fałszywy nos na maskaradzie, czasem upraszczając się do tego stopnia, że byli jednym człowiekiem, niekiedy znowu tak się pomnażając, że najwprawniejsze oko policyjne mogło ich wziąć za gromadę.

Ci czterej ludzie nie byli bynajmniej czterema ludźmi; był to raczej rodzaj tajemniczego złodzieja o czterech głowach, pracującego na wielką skalę w Paryżu; był to potworny polip zła, zamieszkujący kryptę społeczeństwa. Dzięki swoim rozgałęzieniom i sieci swoich znajomości Babet, Gueulemer, Claquesous i Montparnasse prowadzili przedsiębiorstwo zasadzek na departament Sekwany. Dokonywali na przechodniach zamachu stanu od dołu. Ci, którzy mieli tego rodzaju pomysły, ludzie o nocnej wyobraźni, zwracali się do nich w sprawie realizacji. Dostarczali kanwy tym łajdakom, a inscenizację oni już brali na siebie. Dysponowali trupą ciemnych aktorów do tych jaskiniowych tragedii.

„Kocia Łapa” – taką nazwę dawano w podziemnych kołach stowarzyszeniu tych czterech ludzi. W starym i dziwacznym języku ludu paryskiego, który zanika z każdym dniem, „kocia łapa” oznacza poranek, podobnie jak „pora między psem i wilkiem” znaczy Wieczór. Nazwa „Kocia Łapa” pochodziła zapewne od godziny, o której się kończyła ich robota, gdyż brzask jest zarówno chwilą pierzchania widziadeł, jak i rozchodzenia się bandytów. Oto nazwiska, na jakie odpowiadali główni członkowie „Kociej Łapy”: Panchaud, zwany Wiosennym, Brujon (istniała cała dynastia Brujonów), Boulatruelle (znany już dróżnik), Wdowa Wtorek-Wieczór, Depesza, Koronkarz, Półszeląg, zwany Dwa Miliardy, itd. itd.

Ludzie ci, jeśli zdarzy się spotkać ich lub spostrzec koło północy na pustym bulwarze, są przerażający. Nie wyglądają na ludzi, lecz na postacie z żywej mgły; chciałoby się powiedzieć, że zwykle zrosnięci z ciemnościami, niczym się od nich nie różnią, nie mają innej duszy niż mrok i tylko na chwilę, żeby przeżyć kilka minut egzystencji potworów, odłączyli się od nocy.

Czego trzeba, żeby się te upiory rozwiąły? Światła. Strumieni światła. Nie ma nietoperza,

który by się ostał wobec brzasku dnia. Oświecajcie społeczeństwo od spodu.

Rozdział ósmy

NIEGODZIWY BIEDAK

Szukając dziewczyny w kapeluszu, Mariusz spotyka człowieka w czapce

Przeszło lato, potem jesień; nadeszła zima. Ani pan Biały, ani dziewczyna nie zjawili się w Ogrodzie Luksemburskim. Mariusz żył tylko jedną myślą: żeby zobaczyć znowu tę twarz słodką i uroczą. Szukał jej wciąż i wszędzie i nie znajdował. Nie był to już Mariusz – marzyciel pełen zapału, człowiek zdeterminowany, ognisty i wytrwały, śmiały i wyzywający przeznaczenie, wyobraźnia, która piętrzyła gmachy przyszłości, młody umysł pełen planów, zamiarów, dumy, pomysłów i woli; był to zbłąkany pies. Popadł w czarny smutek, wszystko się skończyło. Praca była mu wstrętna, przechadzki męczyły go, samotność nudziła. Szeroka przyroda, tak dla niego niegdyś pełna kształtów, światłości, głosu, rad, perspektyw, widnokręgów, nauk, roztaczała się dziś przed nim jakby wielka pustka. Zdawało mu się, że wszystko znikło.

Myślał nadal, gdyż nie mógł nie myśleć, ale nie lubował się już swoimi myślami. Na wszystko, co mu one po cichu a bezustannie podszeptwały, odpowiadał w otaczającym go mroku:

– I co z tego?

Razu pewnego, ufając pięknemu słońcu wrześnieowemu, Mariusz dał się Courfeyrakowi zaprowadzić na doroczny bal do Sceaux, spodziewając się – co za urojenie! – że może ją tam odnajdzie. Poszedł także Bossuet i Grantaire. Naturalnie nie znalazł tam tej, której szukał. – A jednak to tutaj znaleźć można wszystkie „zgubione” kobiety – mruknął Grantaire na stronie. Mariusz zostawił swoich przyjaciół na balu i wrócił piechotą, sam, zmęczony, rozgorączkowany, ze wzrokiem mętnym i smutnym wśród ciemności, odurzony turkotem i kurzawą rozbawionych omnibusów przepełnionych śpiewającymi istotami, które wracając z zabawy przejeżdżały koło niego; zniechęcony, wdychał dla ochłodzenia pałającej głowy ostry zapach drzew orzechowych przy drodze.

Zaczął znowu żyć jak przedtem, coraz bardziej samotny, zagubiony, przygnębiony, cały oddany wewnętrznym cierpieniom, szarpiąc się w pułapce swego bólu jak wilk w samotrzasku, wypatrując wszędzie nieobecnej, ogłupiały z miłości.

Innym razem zdarzyło mu się spotkanie, które wywarło na nim osobliwe wrażenie. Ujrzał na jednej z ciasnych uliczek, sąsiadujących z bulwarem Inwalidów, jakiegoś człowieka ubranego jak rzemieślnik, w czapce z dużym daszkiem, spod której wysuwały się kosmyki bardzo siwych włosów. Mariusza uderzyła piękność tych białych włosów i przyjrzał się temu człowiekowi,

idącemu wolnym krokiem i jakby pogrążonemu w bolesnym zamyśleniu. Rzecz dziwna, wydało mu się, że poznaje pana Białego. Były to te same włosy, ten sam profil, o ile czapka pozwalała go rozpoznać, ten sam chód, tylko bardziej smutny. Ale dlaczego to odzienie rzemieślnika? Co to miało znaczyć? Czemu przypisać to przebranie? Mariusz był bardzo zdziwiony. Kiedy opamiętał się, natychmiast postanowił pójść śladami tego człowieka; a nuż natrafi wreszcie na trop, którego szuka? W każdym razie należało przypatrzeć się nieznajomemu z bliska i wyjaśnić zagadkę. Ale wpadł na ten pomysł za późno, człowieka już nie było. Skręcił w którąś z bocznych uliczek i Mariusz nie mógł go znaleźć. Spotkanie to dręczyło go przez kilka dni, w końcu zatarła się w pamięci. Zresztą – powiedział sobie – było to chyba tylko podobieństwo.

Zguba znaleziona

Mariusz mieszkał nadal w ruderze Gorbeau, nie zwracając uwagi na nikogo.

W tej epoce co prawda nie było tam innych mieszkańców prócz niego i Jondrette'ów, za których kiedyś zapłacił komorne, nigdy zresztą nie zamieniwszy słowa ani z ojcem, ani z matką, ani z żadną z córek. Inni lokatorzy albo się wyprowadzili, albo poumierali, albo zostali eksmitowani, bo nie płacili komornego.

Pewnego dnia owej zimy pokazało się nieco słońca po południu ale był to drugi lutego, ów stary dzień Matki Boskiej Gromnicznej którego zdradzieckie słońce, zapowiadające sześcioletni zimna natchnęło Mateuszowi Laensberg te dwa wiersze, słusznie uznane za klasyczne:

*Czy to świeci, czy połyska,
Niedźwiedź śpi wśród legowiska.*

Mariusz tylko co wyszedł ze swojego. Zmierzch zapadał. Była to pora obiadu, gdyż musiał znów powrócić do jedania obiadów. Niestety! Jak wielka jest niedoskonałość idealnych namiętności!

Mariusz szedł z wolna bulwarem w stronę rogatki, kierując się ku ulicy św. Jakuba. Szedł zamyślony, ze zwieszoną głową.

Nagle uczył, że go ktoś potrafił wśród mgły; odwróciwszy się ujrzał dwie dziewczyny w łachmanach, jedną wysoką i szczupłą, drugą niższą nieco, które szły szybko, zadyszane, wystraszone, jakby uciekały; idąc naprzeciwko niego nie spostrzegły go i mijając potrafiły. Mariusz mógł rozróżnić w ciemności ich wybladłe twarze, włosy w nieładzie, brudne czepki, spódnice w strzępach i bosa nogi. Biegając rozmawiały ze sobą. Wyższa mówiła bardzo cicho:

– Glina przyszła, o mało mnie nie capnęli.

Druga odpowiedziała:

– Ja ich zaraz zwąchałam. Zwiewałam, ile siły.

Mariusz domyślił się poprzez niejasność tego złowrogiego szwargotu, że zapewne żandarmi albo policja miejska polowali na te dwie dziewczyny i że się im wymknęły.

Dziewczęta weszły pomiędzy drzewa bulwaru, przez kilka chwil majaczyły niewyraźną bielą wśród ciemności, wreszcie znikły.

Mariusz zatrzymał się na chwilę. I już miał ruszyć dalej, kiedy spostrzegł na ziemi u nóg swoich małą, szarą paczkę. Schylił się i podniósł ją. Była to jakby koperta, która zdawała się

zawierać papiery.

– Tak, to zapewne te nieszczęsne stworzenia upuściły – rzekł do siebie.

Zawrócił, wołał, ale już ich nie było; pomyślał sobie, że odeszły już za daleko, schował paczkę do kieszeni i poszedł na obiad.

Człowiek o czterech twarzach

Wieczorem, rozbierając się, poczuł w kieszeni surduta paczkę, którą znalazł na bulwarze. Zapomniał o niej. Pomyślał, że może nie do rzeczy będzie ją otworzyć, gdyż zawierała zapewne adres dziewcząt, jeżeli rzeczywiście do nich należała, a w każdym razie jakie objaśnienia dotyczące osoby, która ją zgubiła.

Otworzył kopertę.

Nie była zapieczętowana i zawierała cztery listy, również nie zapieczętowane.

Wszystkie cztery cuchnęły podłym tytoniem.

Pierwszy list miał adres następujący: Do Jaśnie Wielmożnej margrabiny de Grucheray, na placu wprost Izby Deputowanych, Nr...

Mariusz pomyślał sobie, że tam znajdzie pewno wskazówki, których szukał, i że skoro list nie jest zamknięty, można go przeczytać nie popełniając niedelikatności.

List był następującej treści:

Jaśnie Wielmożna Pani Margrabino!

Cnota miłosierdzia i nabożności jest tą, która wiąże razem społeczeństwo. Porusz Pani swoje uczucie chrześcijańskie i spujsz pełnym litości okiem na mnie, nieszczęśliwego Hiszpana, ofiarę prawości i przywiązania do świętej sprawy prawowitego krula, które opłacił swoją krwią, poświęcił całą fortunę, wszystko, żeby bronić tej sprawy, a dziś się znajduję w największej mizarii. Nie wątpię, że Jaśnie Wielmożna Pani, szlachetna osoba, udzieli tę pomoc dla zachowania ciężkiego życia wojskowemu pełnemu ran z wielką edukacją izchonorem, i liczę zgury na ludzkość Jaśnie Wielmożnej Margrabiny, jako też współczucie, które ją ożywia ku narodowi tak nieszczęśliwemu. Ich prośba nie będzie nadaremna i ich wdzięczność zachowa Jej uroczę wspomnienie.

Łączę uczucia pełne uszanowania, z którymi mam zaszczyt być Jaśnie Wielmożnej Pani Margrabiny uniżonym słogą

Don Alvarez

kapitan hiszpański,
rojalista zbiegły do Francji,
któren znajduję się w podróży
do swojej ojczyzny i
brakuje mu pieniędzy na dalszą drogę.

Przy podpisie nie było żadnego adresu. Mariusz spodziewał się go znaleźć w drugim liście,

który miał w nagłówku następujące słowa: Do Jaśnie Wielmożnej Pani Hrabiny de Montvemmet, przy ulicy Cassette Nr 9.

Oto, co przeczytał w tym liście!

Jaśnie Wielmożna Pani Hrabim!

Jestem nieszczęśliwą matką sześcioru dzieciom, najmniejsze osiem miesięcy. Ja jestem chora po ostatnim porożu, mąż mnie żucił pięć miesięcy temu nazat bez żadnego funduszu na świecie w najokropniejszej nędzy.

W nadziei Jaśnie Wielmożnej Hrabiny kreślę się

Balizardowa

Mariusz przeszedł do trzeciego listu, który jak i poprzednie był prośbą; brzmiał on tak:

Do Wielmożnego Pana Pabourgeot, wyborcy, właściciela składu czapek na rogu ulicy św. Dionizego i Żelaznej.

Pozwalam sobie przesłać Wielmożnemu Panu ten list z prośbą o udzielenie mi szacownej łaski swojej sympatii i zainteresowania się literatem, który tylko co wysłał swój dramat do komedii francuskiej. Rzecz jest historyczna i odbywa się w Owernii za Cesarstwa. Styl, zdaje mi się, jest naturalny, lakoniczny i w ogóle chyba dobry. W czterech miejscach są piosenki. Chumor, powaga, niespodzianki mieszają się z urozmaiceniem charakterów i romantycznym nastrojem, rozproszonem letko po całej intrydze, w której są tajemnice i dużo uderzających katastrof i to się rozwionzuje w kilku efektownych scenach.

Głównym moim celem jest zadowolnić postępową potrzebę człowieka naszego wieku, znaczy się modę, tę kapryśną i dziwaczną chorągiewkę, która zmienia kierónek można powiedzieć za każdym powiewem wiatru.

Wielmożny Panie Pabowgeot, zasłózona Pańska reputacja oświeconego protektora literatury ośmiela mnie przysłać do Pana moją córkę, która panu wyłószczy nasze położenie niedostateczne, któremu braknie chleba i ognia w tej srogiej pozie zimowej. Jeżeli powiem, że proszę Wielmożnego Pana, ażebyś raczył przyjąć chołd, który palam żądzą złożyć Panu w moim dramacie i we wszystkich, które skaponują na przyszłość, jest to tylko dowód, jak dalece pragnę szczytu schronienia się pod Pański puklesz i przyozdobienia moich pism Pańskim nazwiskiem. Jeżeli raczysz Pan zaszczycić mnie choćby najskromniejszą ofiarą, natychmiast wezmę się do pisania obszernego poematu, ażeby spłacić Wielmożnemu Panu mój characz wdzięczności. Poemat ten, który starać się będę poprawić jak tylko być może najbardziej, zostanie dostarczony W.Panu przed wydrukowaniem na czele dramatu i wydeklamowaniem na scenie.

*Wielmożnemu panu Pabourgeot i Małżonce chołdy najuniżeńsze składa
Genflot, literata*

P.S. Wystarczy i czterdzieści su.

Proszę przebaczyć, że posyłam córkę i się nie stawiam w swojej osobie, ale smutne przyczyny, związane z garderobą, nie pozwalają mi

niestety wychodzić z domu.

Mariusz otworzył wreszcie czwarty list. Był na nim następujący adres: Wielmożnemu Dobroczynnemu Panu z kościoła św. Jakuba. Zawierał te oto słów kilka:

Dobroczyńco!

Jeżeli raczysz Pan przyjść w towarzystwie mojej córki, będziesz świadkiem nędznej klęski i pokażę ci moje świadectwa.

Na widok tego pisania Pańska szlachetna dusza przenikniona zostanie uczuciem tkliwego współczucia, gdysz prawdziwi filozofowi zawsze głęboko odczuwają.

Przyznaj współczujący człowieku, że trzeba cierpieć najokrutniejszy, niedostatek i że jest to bardzo bolesne dla otrzymania jakiegokolwiek ulgi, poświadczając go przez władze, jakby niewolno było człowiekowi cierpieć w skrytości i konać z głodu, nim kto go wspomorze. Przeznaczenie jest dziwnie okrutne dla jednych, a różótne względem innych.

Czekam pańskiej wizyty albo ofiary, jeżeli raczysz ją uronić, i proszę przyjm Pan pełne uszanowania uczócia, z którym szczycę się być.

Człowieku prawdziwie wspaniałomyślny,

pańskim bardzo pokornym sługą,

P. Fabantou, artysta dramatyczny

Po przeczytaniu tych czterech listów Mariusz niewiele więcej wiedział niż przedtem. Po pierwsze, żaden z podpisujących nie podał swego adresu. Po wtóre, listy zdawały się pochodzić od czterech rozmaitych indywiduów: don Alvareza, jejmości Balizard, poety Genflot i artysty dramatycznego Fabantou, lecz miały tę osobliwą właściwość, że były wszystkie napisane jednym pismem.

Stąd więc wniosek, że pochodziły od jednej i tej samej osoby.

W dodatku – co jeszcze bardziej potwierdzało to przypuszczenie – wszystkie cztery listy były pisane na jednakowym papierze, ordynarnym i poźółkłym, wszystkie jednakowo czuć było tytoniem i jakkolwiek usiłowano o ile możności urozmaicić styl, też same błędy ortograficzne wszędzie się w nich powtarzały ze spokojną swobodą, dowodzącą najwyraźniej, że literat Genflot nie mniej im podlegał od hiszpańskiego kapitana.

Nie było warto wysilać się na odgadywanie tej małej tajemnicy. Gdyby listy nie zostały znalezione przypadkiem, cała sprawa mogłaby wyglądać na mistyfikację. Mariusz zanadto był smutny, aby dobrze przyjąć jakikolwiek żart, choćby od trafu, i aby się dać wciągnąć w figiel, którym chciał go zabawić bruk uliczny. Zdawało mu się, że gra w ślepa babkę z czterema listami, które się z niego wyśmiewają.

Nic zresztą nie wskazywało, że te listy należały do dziewcząt, które Mariusz spotkał na bulwarze. Koniec końcem, były to nikomu niepotrzebne szpargały.

Mariusz włożył to wszystko z powrotem do koperty, rzucił w ką i położył się spać.

Około siódmej z rana, kiedy wstał, zjadł śniadanie i zabierał się właśnie do roboty, zapukano lekko do drzwi.

Ponieważ nic nie posiadał, nie wyjmował klucza z zamku, najwyżej tylko wówczas, gdy miał pilną robotę, co się bardzo rzadko zdarzało. Nawet wychodząc na miasto, zostawiał klucz w

drzwiach. – Okradną pana – mawiała pani Burgon. – Cóż mi mogą ukraść? – odpowiadał Mariusz. Zdarzyło się jednak, że pewnego dnia skradziono mu parę starych butów, ku wielkiemu triumfowi „główniej lokatorki”.

Zapukano po raz wtóry, równie cicho jak za pierwszym razem.

– Proszę wejść – rzekł Mariusz.

Drzwi się otworzyły.

– Czego pani sobie życzy, pani Burgon? – odezwał się Mariusz, nie odwracając oczu od książek i rękopisów rozłożonych na stole.

Głos, który nie był głosem pani Burgon, odpowiedział:

– Przepraszam pana...

Był to głos głuchy, zużyty, przytłumiony, gardłowy, głos starego pijaka, ochryply od wódki i araku.

Mariusz odwrócił się szybko i zobaczył młodą dziewczynę.

Róża w nędzy

W na pół uchylonych drzwiach stała bardzo młoda dziewczyna. Okienko izdebki, przez które wpadało światło, znajdowało się właśnie na wprost drzwi i oświetlało tę postać. Była to istota chuda, wątła, skóra i kości; tylko koszula i spódnica osłaniały nieco jej nagość, drżącą i zziębniętą. Zamiast paska kawałek sznurka, włosy także sznurkiem związane. Kościste ramiona sterczały spod koszuli, cerę miała bladą i limfatyczną, szare obojczyki, czerwone ręce, usta wpólotwarte i cofnięte, bez kilku zębów, oczy przygasłe, bezczelne i znikczemniałe, kształty przedwcześnie zgrzybiałej dziewczyny, spojrzenie starej rozpustnicy, niby pięćdziesiąt lat i niby piętnaście; jedna z tych istot, które są jednocześnie wątłe i straszliwe i które wywołują dreszcz lęku u tego, kto by na ich widok nie zapłakał.

Mariusz wstał i przypatrywał się z pewnym rodzajem osłupienia temu stworzeniu podobnemu do cieni, które się przesuwają w przykrych snach.

Najbardziej było rozdzierające, że ta dziewczyna nie zdawała się być stworzona na to, żeby być brzydką. Jako dziecko musiała być nawet ładna. Wdzięk jej wieku wyraźnie walczył w niej jeszcze z ohydą przedwczesnego zestarzenia w rozpuście i nędzy.

Resztki piękności dogorywały na tej szesnastoletniej twarzy, jak blade słońce, które gaśnie za sinymi obłokami o świcie zimowego dnia.

Twarz ta nie była obca Mariuszowi. Zdawało mu się, że ją sobie skądś przypomina.

– Czego sobie panienka życzy? – zapytał.

A młoda dziewczyna odpowiedziała swym głosem pijanego galernika:

– Mam tu list do pana, panie Mariuszu.

Nazywała Mariusza po imieniu, nie było więc wątpliwości, że to do niego miała interes. Ale kim była ta dziewczyna? Skąd знаła jego imię?

Nie czekając pozwolenia, weszła, rozejrzała się śmiało, z jakąś ściskającą serce bezczelnością, po całej izbie i nie posłanym jeszcze łóżku. Była bosa. Wielkie dziury w jej spódnicy ukazywały długie nogi i chude kolana. Drżała z zimna.

Rzeczywiście trzymała w ręku list, który oddała Mariuszowi.

Mariusz, otwierając list, zauważył, że ogromny opłatek, którym go zapieczętowano, był

jeszcze całkiem wilgotny. Pismo tedy nie musiało pochodzić z bardzo daleka. Przeczytał:

Miły młodzieńcze i sąsiedzie.

Dowiedziałem się o Pańskiej uprzejmości, żeś pan zapłacił za mnie komorne puł roku temu. Bóg ci za to zapłaci, młodzieńcze. Moja starsza córka opowie panu, że jesteśmy bez kawałka chleba już od dwóch dni, we czworo i jeszcze moja żona chora. Jeżeli myśli moje nie zawodzą mnie, zdaję mi się, że powinien bym mieć nadzieję, że pańskie szlachetne serce zmiękczy się tymi powodami i nakaże panu pragnienie stania się moją Opacznością, racząc mi udzielić choćby lekkiego dobrodziejstwa.

Pozostaję ze znakomitym poważaniem, które się słusznie należy dobroczyńcom luckosci.

Jondrette

P. S. Moja córka zaczeka na Pańskie rozkazy, kochany panie Mariuszu.

Pośród ciemnej przygody, która Mariusza zajmowała już od wczorajszego wieczoru, list ten był jakby świecą w piwnicy. Wszystko się nagle rozjaśniło.

Pochodził on z tegoż źródła co i tamte cztery. To samo pismo, ten sam styl, ta sama ortografia, ten sam papier, ten sam zapach tytoniu.

Było więc pięć listów, pięć zmyślonych historii, pięć adresów, ale jeden tylko podpisujący. Hiszpański kapitan don Alvarez, nieszczęśliwa matka Balizard, poeta dramatyczny Genflot, stary aktor Fabantou, nazywali się wszyscy czterej Jondrette, jeżeli Jondrette rzeczywiście nazywał się Jondrette.

Choć Mariusz od dawna już mieszkał w tym domu, nie miał prawie sposobności, jakeśmy to już powiedzieli, nie tylko widywać, ale nawet spostrzegać swoich najbliższych sąsiadów. Duch jego krążył daleko, a gdzie bieży duch, tam i spojrzenie. Zapewne nieraz spotykał się z członkami rodziny Jondrette bądź w korytarzu, bądź na schodach, ale byli oni dla niego tylko zarysami postaci; tak mato na nich zważał, że poprzedniego wieczora potrafił na bulwarze, nie Poznając ich, córki Jondrette'a, gdyż niewątpliwie były to one, a widok tej, która weszła do jego pokoju, z trudnością zdołał obudzić w nim, poprzez wstręt i litość, niewyraźne przypomnienie, że ją już kiedyś widział.

Teraz wszystko mu się wyjaśniło. Zrozumiał, że sąsiad Jondrette zawodowo wyzyskiwał w swojej niedoli litość dobroczynnych osób; że wyszukiwał adresy i pisywał pod zmyślonymi nazwiskami do ludzi, o których sądził, że są bogaci i miłosierni, listy, które zanosili jego córki na własne ryzyko. Albowiem przykładowy ten ojciec doszedł już do tego, że ryzykował córki. Rozgrywał grę z losem i stawiał na kartę swoje dzieci. Wnosząc z ich wczorajszej ucieczki, zadyszania, strachu i tych kilku słów w złodziejskiej gwarze, które usłyszał, Mariusz domyślił się, że nieszczęśliwe dziewczyny uprawiały jeszcze i inne podejrzanę procedery i że z tego wszystkiego społeczeństwo ludzkie w jego dzisiejszej postaci ukształtowało dwie upadłe istoty, które nie były ani dziećmi, ani dziewczętami, ani kobietami, lecz jakimś rodzajem potworów nieczystych a niewinnych zarazem, spółdzonych przez nędzę.

Kiedy Mariusz przypatrywał się jej zdziwionym i bolesnym wzrokiem, dziewczyna kręciła się po izbie z zuchwałością widma.. Szastała się na wszystkie strony, nic sobie nie robiąc ze swej nagości; chwilami koszula jej, rozchełstana i podarta, opadała prawie do pasa. Przesuwała krzesła, brała do ręki drobiazgi toaletowe stojące na komodzie, dotykała ubrania Mariusza, plądrowała po wszystkich kątach.

– A, jak Bożę kocham – mówiła – pan ma lustro!

I nuciła sobie, jakby była sama, urywki z wodewilów, wesołe zwrotki, którym jej głos gardłowy i ochryple przydawał posępnego wyrazu. Spod tej pozornej bezczelności przebijało coś wymuszonego, niespokojnego i upokorzonego. Bezczelność wypływa z uczucia wstydu.

Mariusz namyślał się i pozwalał jej robić, co chciała.

Zbliżyła się do stołu.

– Aha! – rzekła – książki!

Jakieś światło mignęło w jej szklistych oczach. Ciągnęła dalej, a głos jej wyrażał radość, że może się czymś pochwalić – uczucie, które nie jest obojętne żadnemu ludzkiemu stworzeniu.

– Ja też umiem czytać!

Porwała szybko książkę, która otwarta leżała na stole, i przeczytała dość płynnie:

„... Generał Baudouin dostał rozkaz zdobycia, z pomocą pięciu batalionów swojej brygady, zamku Hougomont, który się znajduje na środku równiny Waterloo...”

Przerwała sobie:

– A, Waterloo! Wiem. To była kiedyś bitwa. Mój ojciec tam był. Ojciec służył przy wojsku. Myśmy wszyscy bonapartyści, ho, ho! Bili się tam z Anglikami.

Położyła książkę, wzięła pióro i zawołała:

– Umieć też i pisać!

Umoczyła pióro w kałamarzu i zwracając się ku Mariuszowi:

– Chce pan zobaczyć? – rzekła. – Niech pan patrzy. Napiszę panu coś.

I zanim miał czas odpowiedzieć, napisała na arkuszu czystego papieru, który leżał na stole: Salcesony idą.

Potem spojrzała na Mariusza i twarz jej zmieniła się dziwnie.

– Czy pan wie, panie Mariuszu, że ładny chłopak z pana? – zapytała.

Jednocześnie przyszło im obojgu to samo na myśl, tylko że ona uśmiechnęła się, a on się zarumienił.

Przybliżyła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Pan na mnie nie zwraca uwagi, ale ja pana znam, panie Mariuszu. Spotykam pana na schodach i nieraz widzę, jak pan wchodzi do jednego pana, co się nazywa Mabeuf i mieszka koło mostu Austerlickiego. Tak, widuję pana, bo nieraz spaceruję w tamtych stronach. Bardzo panu do twarzy z tymi poczochnymi włosami.

Głos jej starał się być miły, lecz stał się tylko cichy. Część słów przepadała gdzieś po drodze od gardła ku ustom, jakby na klawiaturze, gdzie nie wszystkie tony odpowiadają.

Mariusz cofnął się nieznacznie.

– Proszę pani – rzekł ze zwykłą sobie chłodną powagą – mam tu jakąś paczkę, która, zdaje mi się, należy do pani. Proszę, oto ona.

I oddał jej kopertę zawierającą cztery listy.

Klasnęła w ręce i zawołała:

– Ach, cośmy się tego naszukały!

Potem chwyciła paczkę, rozdarła kopertę i mówiła:

– Jak Bożę kocham, aleśmy się z siostrą naszukały! I pan to znalazł! Na bulwarze, prawda? To musiało być na bulwarze! Musiała upaść wtedy, kiedyśmy biegły. To ta smarkata upuściła. Jakaśmy przysły do domu, rozstap się, ziemio, nie ma nigdzie. A że nie chciałyśmy dostać w skórę, bo nam to do szczęścia wcale a wcale niepotrzebne, zmyśliłyśmy, żeśmy odniosły listy i że nam wszędzie pokazali figę. A tu raptem masz z powrotem te nieszczęsne listy. Ale po czym pan poznał, że to moje? A, prawda, po piśmie. To pana potraciłyśmy wczoraj wieczorem? Już było ciemno! Powiadam do siostry: „Czy to jakiś pan?” – a ona powiada: „Tak, to zdaje się jakiś pan”.

Mówiąc to rozwinęła prośbę adresowaną do dobroczynnego jegomościa z kościoła św. Jakuba.

– A! – rzekła – to prośba do tego starego, co chodzi na mszę. Właśnie w sam raz pora. Zaniosę. Da nam może co na śniadanie?

Potem zaczęła się śmiać i dodała:

– Wie pan, co to będzie, jeżeli dziś zjemy śniadanie? To będzie razem śniadanie onegdajsze, obiad onegdajszy, śniadanie wczorajsze i obiad wczorajszy, wszystko razem w kupie dziś rano. Tak, do stu diabłów, a jak to komu nie odpowiada, może sobie zdechnąć!

Słowa te przypomniały Mariuszowi, po co nieszczęsna dziewczyna przysłała do niego.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, ale nic nie znalazł.

Przetrzęsnąwszy wszystkie kieszenie, zdołał zebrać pięć franków i szesnaście su. Był to cały jego majątek w tej chwili.

Na dzisiejszy obiad wystarczy – pomyślał sobie. O jutrze pomyślimy jutro.

Odłożył dla siebie szesnaście su, a pięć franków dał dziewczynie.

Porwała pieniądze.

– Dobra! – zawołała. – Słońce świeci!

I jakby to słońce miało własność roztopiania w jej mózgu lawiny ulicznej gwary, wołała dalej:

– Pięć franków! Królik! A to klawo! Tylko ćpać i chlać, aż mu będzie uszami wyłaziło! Wyżerka będzie pierwszej klasy! Może sobie żałować, co?

Naciągnęła koszulę na ramiona, nisko się skłoniła Mariuszowi, przyjacielsko skinęła dłonią i skierowała się ku drzwiom, mówiąc:

– Do widzenia panu! Ale i tak pójde jeszcze do starego.

Przechodząc koło komody, spostrzegła na niej zeschlą skórkę chleba, pleśniejącą w kurzu. Rzuciła się na nią i zaczęła gryźć, mrucząc do siebie:

– Smaczne, chociaż twarde! Można sobie zęby połamać!

I wyszła.

Okienko Opatrzności

Pięć lat już przeżył Mariusz w biedzie, w niedostatku, w ubóstwie nawet, lecz dopiero teraz spostrzegł, że nie zaznał jeszcze prawdziwej nędzy.

Prawdziwą nędzą było to, co zobaczył przed chwilą. To widmo, które mu się przesunęło przed oczami. Bo kto widział tylko nędzę mężczyzny, ten nic nie widział – trzeba zobaczyć nędzę kobiety; a kto widział tylko nędzę kobiety, ten nic nie widział – trzeba zobaczyć nędzę dziecka.

Mariusz prawie wyrzucał sobie, że pogrążony w miłosnym rozmarzeniu, nigdy okiem nawet nie rzucił na swoich sąsiadów. Zapłacił za nich komorne, ale był to odruch tylko, każdy postąpiłby tak samo, on, Mariusz, powinien był zrobić coś więcej. Jak to? Ściana tylko przedzielała go od tych opuszczonych istot, które błąkały się po omacku wśród nocy, wyrzucone poza obręb żyjących; potraçał o nich, był jak gdyby ostatnim ogniwem rodu ludzkiego, którego oni dotykali, słyszał ich oddech, a raczej rżenie tuż obok siebie i nie zwracał na nich uwagi! Co dzień, w każdej chwili słyszał poprzez ścianę, jak ruszają się, chodzą, mówią, lecz nie słuchał!

A kiedy czynił sobie te wymówki (gdyż Mariusz, jak wszystkie serca prawdziwie zacne, bywał swoim własnym nauczycielem i łąał się, niekiedy więcej nawet, niż na to zasłużył),

wpatrywał się w ścianę, która go przedzielała od Jondrette'ów, jak gdyby jego wzrok, pełen współczucia, mógł przeniknąć poprzez tę zaporę i ogrzać tych nieszczęśliwych.

Ścianę stanowiła cienka warstwa tynku podtrzymywanego przez łąty i listwy, co jakeśmy już powiedzieli, pozwalało dokładnie rozróżniać głosy, a nawet i wyrazy. Trzeba było być takim jak Mariusz marzycielem, żeby tego nie spostrzec aż do tej pory. Ściana nie była wyklejona papierem ani po stronie Jondrette'ów, ani po stronie Mariusza; jej niespoista, niechlujna konstrukcja widoczna była jak na dłoni. Mariusz patrzył na ścianę, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę; czasem i zaduma rozważa, obserwuje i bada, tak jak myśl. Nagle podniósł się, spostrzegł u góry, prawie tuż pod sufitem, trójkątną dziurę powstałą między trzema łątami. Wypadło wapno, które zatykało tę próżnię. Stanąwszy na komodzie można było zajrzeć przez ten otwór do izby Jondrette'ów. Współczucie posiada i powinno posiadać swoją ciekawość. Dziura ta stanowiła jakby rodzaj okienka. Wolno jest z ukrycia podpatrywać nieszczęście po to, żeby mu pomóc.

Zobaczymy, co to za ludzie – pomyślał Mariusz – i co się tam dzieje.

Wdrapał się na komodę, przyłożył oko do szpary i spojrzął.

Dzikus w swoim legowisku

Miasta, na podobieństwo lasów, mają swoje ostepy, w których się kryje to, co najzłośliwsze i najniebezpieczniejsze. Tylko że w miastach to, co się tak ukrywa, jest okrutne, plugawe i małe, czyli szpetne; to zaś, co się ukrywa w lasach, jest okrutne, dzikie i wielkie, czyli piękne. Wybierając pomiędzy norami, wolę zwierzęce niż ludzkie. Jaskinie więcej są warte niż meliny.

To, co Mariusz ujrzał, było taką ludzką norą.

Mariusz był biedny i izdebka jego była uboga, ale jak jego ubóstwo było szlachetne, tak jego poddasze było schludne. Izba, w którą zapuścił wzrok w tej chwili, była obrzydliwa, brudna, smrodliwa, duszna, ciemna, plugawa. Jedyne meble: koszykowe krzesło, kulawy stół, parę starych skorup i w dwóch kątach dwa niemożliwe do opisanego barłogi; jedyne światło – mansardowe okno o czterech szybkach, zasnute pajęczynami. Wpadało przez ten otwór tyle tylko dnia, ile było trzeba, żeby z twarzy ludzkiej zrobić twarz widziadła. Ściany były odrapane, połatane, popękane, podobne do twarzy zniekształconej jakąś straszliwą chorobą. Spływała z nich lepka wilgoć. Widać było też bezwstydnymi rysunkami niezgrabnie nagryzłymi węglem.

Izba, którą Mariusz zajmował, miała przynajmniej wydeptaną kamienną posadzkę; ta zaś nie miała żadnej, chodziło się tam po prostu po ceglach czarnych od naniesionego błota.

Na tym nierównym gruncie, pokrytym stwardniałą warstwą kurzu i nie tkniętym przez miotłę, leżały w nieregularnych stosach stare chodaki, zużyte pończochy i najobrzydliwsze szmaty; zresztą – izba ta miała kominek, toteż wynajmowano ją za czterdzieści franków rocznie. W kominku tym było wszystko: fajerka, garnek, połamane deski, łachmany zawieszane na gwoździach, pusta klatka, kupa popiołu, a nawet i ogień. Kopciły się w nim smętnie dwa polana.

Jedno z legowisk znajdowało się przy drzwiach, drugie przy oknie. Obydwa jednym końcem dotykały komina i znajdowały się naprzeciwko Mariusza. W jednym z kątów sąsiadujących z otworem, przez który Mariusz zaglądał, w ramach z czarnego drzewa, wisiała na ścianie kolorowana rycina z napisem wielkimi literami pod spodem: SEN. Przedstawiona tam była śpiąca kobieta, dziecko spoczywające we śnie na jej kolanach i orzeł wśród obłoków, z koroną w dziobie; kobieta odsuwała koronę z głowy dziecka, nie budząc się zresztą wcale; w głębi

widać było wśród promieni Napoleona, wspartego na ciemnoniebieskiej kolumnie z złotym kapitelem.

Pod tym obrazem stał oparty ukośnie o ścianę jakiś prostokątny blat zbity z desek. Wyglądało to na obraz tyłem odwrócony, płótno oprawione w ramy i pewno zasmarowane po drugiej stronie albo może na zwierciadło zdjęte ze ściany i czekające tam w zapomnieniu, żeby je znowu powieszono.

Przed stołem, na którym dostrzegł Mariusz pióro, kałamarz i papier, siedział człowiek lat około sześćdziesięciu, mały, chudy, wyżółkły, dzikiego wejrzenia, z wyrazem twarzy przebiegłym, okrutnym i niespokojnym – jakiś ohydny łotr.

Człowiek ten miał długą, szpakowatą brodę. Odziany był w kobiecą koszulę, która odsłaniała jego kosmate piersi i nagie ramiona najeżone siwawym włosiem. Spod tej koszuli wyglądały uszargane spodnie i buty, z których wylaziły palce.

Palił fajkę. Nie było już chleba w tej nędznej norze, ale na tytoń jeszcze starczało.

Pisał, zapewne jakiś list w rodzaju tych, które Mariusz czytał niedawno.

Gruba kobieta, mogąca mieć równie dobrze lat czterdzieści jak i sto, przysiadła w kucki przy kominie, na gołych piętach.

I ona również odziana była tylko w koszulę i trykotową halkę, połatana kawałkami starego sukna. Fartuch z grubego płótna zakrywał tę halkę do połowy. Choć przykucnęła i skuliła się, widać było, że jest bardzo wysokiego wzrostu.

Przy swoim mężu wyglądała na olbrzymkę. Miała okropne, jasnorude, już siwiejące włosy, które czochrała sobie od czasu do czasu ogromnymi, zatłuszczonymi rękami o płaskich paznokciach.

Na jednym z barłogów dostrzegł Mariusz dziewczynkę, chudą, bladą, prawie nagą, która siedziała ze zwieszonymi nogami; wydawało się, że nie słyszy, nie widzi, nie żyje.

Była to zapewne młodsza siostra tej, która go niedawno odwiedziła.

Zdawała się mieć lat jedenaście lub dwanaście. Przypatrzysz się jej baczniej, można było poznać, że miała już co najmniej czternaście.

Nic w tym mieszkaniu nie wskazywało, że wykonywano tu jakąkolwiek pracę, nie było tam ani krosien, ani kołowrotka, ani żadnego innego narzędzia. W jednym kącie – jakieś żelastwo o podejrzanym przeznaczeniu. Widziałeś tutaj odrętwiące nieróbstwo, które idzie w ślad za rozpaczą, a poprzedza konanie.

Mariusz oglądał czas jakiś to grobowe wnętrze, straszliwsze od wnętrza grobu, bo czuć tu było szamotanie się ludzkiej duszy i drganie życia.

Słychać było skrzyp pióra po papierze. Mężczyzna, nie przestając pisać, pomrukiwał:

– Łajdactwo! Łajdactwo! Wszystko jest łajdactwo!

Ta odmiana przypowieści Salomona wyrwała westchnienie z piersi kobiety.

– Robaczku, uspokój się – rzekła. – Jeszcze sobie zaszkodzisz, kochanie. I tak twojej łaski za wiele, że piszesz do tych gałęzi, moje serce.

Strategia i taktyka

Mariusz, ze ściśniętym sercem, chciał już zejść z owego obserwatorium, które urządził sobie, kiedy jakiś nowy hałas zwrócił jego uwagę i zatrzymał go jeszcze.

Drzwi izby otworzyły się gwałtownie. W progu ukazała się starsza córka. Miała na nogach grube męskie trzewiki, powalane błotem, które obryzgało jej czerwone nogi aż do kostek; okryta była jakąś starą, podartą mantylą, której Mariusz przedtem na niej nie widział, gdyż wchodząc do niego zapewne rzuciła ją pod drzwiami, aby wzbudzić więcej litości, a po wyjściu znów narzuciła. Weszła, zatrzasnęła drzwi za sobą, zatrzymała się dla nabrania tchu, gdyż była bardzo zadyszana, po czym zawołała z wyrazem triumfu i radości:

– Idzie!

Ojciec spojrział na nią, matka odwróciła ku niej głowę, tylko młodsza siostra nie ruszyła się.

– Kto? – zapytał ojciec.

– Pan!

– Filantrop?

– Tak.

– Z kościoła Świętego Jakuba?

– Tak.

– Ten stary?

– Tak.

– I przyjdzie?

– Idzie za mną.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Naprawdę idzie?

– Jedzie dorożką.

– Dorożką! To Rotszyld!

Ojciec wstał.

– Dlaczego jesteś pewna? Jeżeli jedzie dorożką, to jak mogłaś przed nim zdążyć? Czyś mu przynajmniej dała adres jak się należy? Czy powiedziałaś, że to ostatnie drzwi w głębi korytarza, na prawo? Byle się tylko nie omylił. Więc go znalazłaś w kościele? Przeczytał mój list? Co ci powiedział?

– Ta, ta, ta! – rzekła dziewczyna. – Ale się śpieszysz, panie starszy! Więc to było tak: Weszłam do kościoła, on siedział tam, gdzie zwykle. Ukłoniłam się i oddałam mu list. Przeczytał go i spytał mnie: „Gdzie mieszkasz, moje dziecko?” – Ja powiadam: „Zaprowadzę pana”. A on na to: „Nie, daj mi wasz adres; moją córkę ma sprawunki do załatwienia, więc wezmę dorożkę i przybędę do was w tym samym czasie co ty”. – Dałam mu adres. Kiedy mu powiedziałam, w jakim to domu, jakby się zdziwił i zawahał na chwilę, a potem powiedział: „Wszystko jedno, przyjadę do was”. – Po skończonej mszy widziałam, jak wychodził z kościoła ze swoją córką i jak wsiadali do dorożki. I powiedziałam mu wyraźnie: ostatnie drzwi w głębi korytarza, na prawo.

– A skąd wiesz, że on przyjdzie?

– Bo widziałam dorożkę, jak wjeżdżała na ulicę Małego Bankiera– I dlatego co tchu pobiegłam naprzód.

– A skąd wiesz, że to ta sama dorożka?

– Ojej, bo zapamiętałam numer.

– Jaki numer?

– 440.

– No, to dobrze, masz rozum.

Dziewczyna zuchwale spojrzała ojcu w oczy i pokazała na swoje trzewiki.

– Mam rozum? – rzekła. – Możliwe, ale zapowiadam, że nie będę już nosić więcej tych

trzewików; najprzód dla zdrowia, potem dla czystości. Nic mnie tak nie złości jak te przeciekające podeszwy. Co krok to chlupot. Wolę chodzić boso.

– Masz słuszość – odpowiedział ojciec łagodnym głosem, który stanowił przeciwieństwo szorstkości dziewczyny. – Ale inaczej nie wpuściliby cię do kościoła, biedni tam muszą mieć trzewiki na nogach. Nie wolno wchodzić boso do Pana Boga – dodał z goryczą.

Potem, wracając do przedmiotu, który go zaprzętał:

– I jesteś pewna, że on przyjdzie?

– Jest o dwa kroki za mną – odpowiedziała.

Mężczyzna wstał. Twarz jego jak gdyby rozjaśniła się.

– Żono – zawołał – słyszysz? Idzie filantrop! Zagaś ogień!

Kobieta osłupiała. Nie ruszała się z miejsca. Mąż ze zwinnością kuglarza porwał wyszczerbiony garnek, który stał na kominie, i wylał wodę na głównie. Potem, zwracając się do starszej córki:

– A ty prędko zrób dziurę w krześle.

Córka nie zrozumiała.

Porwał krzesło i jednym kopnięciem przedziurawił słomianą plecionkę. Noga jego przeszła na wylot. Wyciągając ją z dziury, spytał córkę:

– Zimno na dworze?

– Bardzo zimno. Pada śnieg.

Ojciec zwrócił się ku młodszej córce, która siedziała na barłogu tuż przy oknie, i krzyknął grzmiącym głosem:

– Żywo, precz z łóżka, wałkoniu! Czy z ciebie nigdy nic nie będzie? Stłucz szybę.

Dziewczyna zeskoczyła z barłogu, szczękając zębami.

– Stłucz szybę – powtórzył.

Dziecko stanęło bez ruchu.

– Czy słyszysz? – powtórzył ojciec. – Powiadam ci, żebyś stłukła szybę!

Dziewczyna z tępyim posłuszeństwem wspięła się na palcach i uderzyła pięścią w szybę. Szkło prysło i rozpadło się z brzękiem.

– Dobrze – rzekł ojciec.

Rozkazywał poważnie i szorstko. Wzrok jego przebiegał szybko wszystkie kąty izby.

Wyglądał jak wódz, robiący ostatnie przygotowania, w chwili kiedy bitwa ma się rozpocząć.

Kobieta, która aż dotąd nie wymówiła ani jednego słowa, podniosła się i spytała głosem powolnym, głuchym, którego dźwięki zdawały się jakby mrozem ścięte:

– Co ty zamyślasz, kochanie?

– Kładź się do łóżka – odpowiedział mąż.

Ton, jakim wyrzekł to, nie dopuszczał wahania. Kobieta usłuchała i rzuciła się ciężko na jedno z legowisk.

Tymczasem w kącie słychać było łkanie.

– Co tam? – zawołał ojciec.

Młodsza córka, nie wychodząc z ciemnego kąta, w który się wcisnęła, pokazała zakrwawioną pięść. Skaleczyła się wybijając szybę. Usiadła przy posłaniu matki i płakała w cichości.

Teraz matka zerwała się i krzyknęła:

– Widzisz! To te twoje przekłete głupstwa! Wybiła szybę i przecięła sobie rękę.

– Tym lepiej – rzekł ojciec. – To było przewidziane.

– Jak to, tym lepiej?

– Milczec – odparł ojciec. – Znoszę wolność prasy.

Następnie rozdarł kobiecą koszulę, którą miał na sobie, wyrwał z niej kawał płótna i obwinał

nim co żywo zakrwawioną pięść dziewczyny.

Zrobiwszy to, z zadowoleniem popatrzył na rozdartą koszulę.

– I koszula także – rzekł. – Wszystko bardzo dobrze wygląda.

Mroźny wiatr gwizdał i wpadał do izby przez stłuczoną szybę. Przenikała też z dworu mgła i rozpływała się niby lekkie kłęby waty rozskubywane niewidzialnymi palcami. Przez stłuczone okno widać było, jak padał śnieg. Mróz, zwiastowany poprzedniego dnia przez gromniczne słońce, nadszedł rzeczywiście.

Ojciec powiódł wzrokiem dookoła, jakby dla przekonania się, czy przypadkiem o czymś nie zapomniał. Wziął starą łopatkę i narzucił popiołu na zmoczone główne, tak żeby ich nie było widać. Potem wyprostował się i oparł o komin.

– Teraz – rzekł – możemy przyjąć filantropa.

Promień w norze

Starsza córka podeszła do ojca i położyła rękę na jego ręce.

– Dotknij, jak mi zimno – rzekła.

– Ba! – odpowiedział ojciec. – Mnie jeszcze zimniej.

Kobieta zawołała gwałtownie:

– Ty zawsze masz wszystko lepsze od innych, nawet i dolegliwości.

– Idź do diabła! – odrzekł mężczyzna.

Mówiąc to spojrział na nią w taki sposób, że umilkła. W izbie zrobiło się cicho. Starsza córka niedbale wykruszała błoto ze swego płaszcza, młodsza nie przestawała szlochać. Matka pociągnęła ją do siebie i zaczęła całować, mówiąc cicho:

– Mój skarbie, to nic, to się zgoi; tylko nie płacz, bo się ojciec będzie gniewał.

– Nie! – zawołał ojciec – przeciwnie! Płacz, szlochaj, to dobrze!

Potem zwrócił się ku starszej:

– No i co? Jeszcze nie przyszedł! Może wcale nie przyjdzie? Zagasiłem ogień, zrobiłem dziurę w krześle, podarłem koszulę, stłukłem szybę i wszystko na nic?

– I dziecko skaleczył – mruknęła matka.

– Wiecie co – ciągnął ojciec – zimno jest jak w psiarni w tej czartowskiej dziurze. Jeżeli ten człowiek nie przyjdzie? To tak jest! Każe na siebie czekać, powiada: „No to i cóż, niech tam sobie czekają, oni są od tego”. Może cymbał zapomniał adresu? Założę się, że ten stary dureń...

W tej chwili zapukano z lekka do drzwi. Mężczyzna rzucił się do nich co prędzej i otworzył, wykrzykując z głębokimi ukłonami i uśmiechami uwielbienia:

– Racz wejść, łaskawy panie, czcigodny nasz dobroczyńco i ty zacna i czarująca damo.

Jakiś człowiek w dojrzałym już wieku i jakaś młoda osoba ukazali się na progu izby.

Mariusz ciągle trwał na swoim stanowisku. To, czego doświadczył w tej chwili, nie da się wypowiedzieć żadnym językiem na świecie.

Była to Ona.

Ktokolwiek kochał, ten zna całe promienne znaczenie, które zawierają w sobie trzy litery tego słowa: Ona.

Była to istotnie ona. Zaledwie ją Mariusz dostrzegł poprzez obłok świetlnej mgły, która się nagle roztoczyła przed jego oczami. Była to ta sama wdzięczna istota, tak długo nieobecna, ta

sama gwiazda, która mu świeciła przez sześć miesięcy, to samo spojrzenie, to samo czoło, te usta, ta twarz, co znikła tak nagle i odchodząc tak ciężkie ciemności zostawiła za sobą.

Pojawiła się wśród tych mroków, w tej izbie nędznej, w tej norze obrzydliwej, wśród tego plugastwa!

Mariusz drżał nieprzytomny. Czy to ona? Bicie serca mąciło mu wzrok. Czuł, że gotów jest rozszlochać się. Tak! Więc widzi ją znowu po tak długim szukaniu. Wydało mu się, że zgubił własną duszę i że ją odnajduje w tej chwili.

Była taka sama, tylko nieco bledsza; delikatną jej twarzyczkę okalał kapelusz z fiołkowego aksamitu, kibić jej ukryta była pod czarnym atłasowym płaszczkiem. Widać było spod jej długiej sukni małą nóżkę ujętą w jedwabny pantofelek.

Towarzyszył jej, jak zwykle, pan Biały.

Wszedłszy do izby, postąpiła kilka kroków i położyła na stole jakieś dosyć grube zawiniątko.

Starsza córka Jondrette'ów stanęła za drzwiami i przyglądała się ponuro aksamitnemu kapeluszowi, płaszczkowi z jedwabiu i tej pięknej, szczęśliwej twarzyczce.

Jondrette prawie płacze

Izba była tak dalece ciemna, że każdy, kto przychodził ze dworu, miał wrażenie, że się znalazł w piwnicy. Nowo przybyli weszli niepewnym krokiem, z trudem rozróżniając przedmioty, sami tymczasem dokładnie lustrowani przez mieszkańców izby, których oczy” przyzwyczajone były do tego półmroku.

Pan Biały zbliżył się ze swoim dobrym i smutnym spojrzeniem i rzekł do ojca Jondrette'a:

– Znajdzie pan w tym zawiniątku nowe odzienie, pończochy i wełniane kołdry.

– Nasz anielski dobroczyńca obdarza nas aż nadmiernie – rzekł Jondrette, kłaniając się do ziemi.

Następnie, kiedy nowo przybyli rozglądali się po tym żalonym wnętrzu, dodał szybko i po cichu, pochylając się do ucha starszej córki:

– A co, nie mówiłem? Łachy, a gotówki ani grosza. Wszyscy tacy sami. Ale, ale, jak był podpisany list do tego starego cymbała?

– Fabantou – odpowiedziała córka.

– Artysta dramatyczny, już wiem.

Jondrette w porę zapytał, gdyż w tej samej chwili pan Biały obrócił się ku niemu i odezwał się z miną człowieka, który chciałby sobie przypomnieć nazwisko:

– Widzę, że znajduje się pan w bardzo przykrym położeniu, panie...

– Fabantou – odpowiedział żywo Jondrette.

– Panie Fabantou, tak, tak, przypominam sobie.

– Tak, łaskawy panie, artysta dramatyczny, i to artysta, który miał niegdyś powodzenie.

W tym miejscu Jondrette uważał widać, że nadeszła chwila stosowna, aby oszołomić filantropa. Zawołał głosem przypominającym jednocześnie triumfalne przechwałki jarmarcznego kuglarza i pokorę żebraka siedzącego przy gościńcu:

– Uczeń Talmy, łaskawy panie, tak, tak. Jestem uczniem Talmy. Fortuna uśmiechała mi się kiedyś. Niestety, teraz znowu kolej niedoli. Patrz, szlachetny dobroczyńco, ani chleba, ani ognia. Moje biedne dzieci nie mają ognia! Moje jedyne krzesło dziurawe. Szyba wybita, w taką pogodę!

Moja małżonka w łóżku, chora.

– Biedna kobieta! – rzekł pan Biały.

– Moje dziecię skaleczone – dodał Jondrette.

Dziewczyna, pochłonięta przybyciem obcych, wlepiła oczy w „piękną pannę” i przestała szlochać.

– Płaczże! Rycz! – szepnął jej Jondrette.

I uszczypnął ją w zranioną rękę. Uczynił to wszystko z prawdziwym talentem kuglarza.

Mała zaczęła przenikliwie jęczeć.

Uroczą dziewczyną, którą Mariusz w sercu swoim nazywa „swoją Urszulą”, przybliżyła się spiesznie.

– Biedactwo! – rzekła.

– Patrz pani, moja anielska panienko! – ciągnął dalej Jondrette ma we krwi całą dłoń. To wypadek, pracowała przy maszynie żeby zarobić sześć su na dzień. Może trzeba jej będzie uciąć rękę.

– Czy być może? – rzekł stary pan, bardzo przejęty.

Dziewczyna, biorąc słowa ojca na serio, rozszołchała się jeszcze bardziej.

– Niestety! Wszystko być może, wspaniały nasz dobroczyńco – odparł ojciec.

Od niejakiego czasu Jondrette przypatrywał się „filantropowi” w jakiś osobliwy sposób. Mówiąc do niego, zdawał się obserwować go uważnie, jakby usiłował pozbierać wspomnienia. Nagle, korzystając z tego, że nowo przybyli ze współczuciem wypytywali dziewczynę o skaleczoną rękę, przemknął się do żony, która leżała na łóżku z miną przygnębioną i ogłupiałą, i szepnął jej szybko i bardzo cicho:

– Przypatrz się temu człowiekowi.

Po czym, zwracając się znowu do pana Białego, dalej ciągnął swe lamenty:

– Niech pan spojrzy, za całe ubranie mam na sobie tylko koszulę mojej żony, i to całkiem podartą! A jest zima! Nie mogę wyjść z domu, bo nie mam w czym. Gdybym miał choć jakie takie ubranie, poszedłbym do panny Mars, która mnie zna i bardzo mnie nawet lubi. Chyba wciąż jeszcze mieszka przy ulicy Tour-des-Dames. Czy pan uwierzy? Grywaliśmy razem na scenach prowincjonalnych! Dzieliłem jej wawrzyny. Ale nic z tego! I ani grosza w domu! Żona chora, a tu ani grosza! Żona cierpi na duszności; wiek, łaskawy panie. A i system nerwowy przyłączył się do tego. Trzeba ją ratować, tak samo jak córkę. Ale doktor! Ale apteka! Czym tu płacić, kiedy nie ma ani grosza! Łaskawy panie, szanowny panie, czy wie pan, co nas czeka jutro? Jutro to 4 lutego, dzień fatalny, ostateczny termin, który mi zapowiedział gospodarz domu; jeżeli mu tego wieczora nie zapłacę komornego, jutro moja starsza córka, ja, moja małżonka ze swoją gorączką, moje dziecko ze swoją raną, wszyscy czworo zostaniemy stąd wypędzeni i wyrzuceni precz na ulicę, na bulwar, bez dachu nad głową, na deszcz, na śnieg. Tak, zacny panie. Jestem dłużny za cztery kwartały, za cały rok! To jest razem sześćdziesiąt franków.

Jondrette kłamał. Wszystkie cztery raty wyniosłyby czterdzieści franków, a nie mógł być dłużny za cały rok, skoro zaledwie sześć miesięcy temu Mariusz zapłacił za półrocze.

Pan Biały dobył z kieszeni pięć franków i rzucił je na stół.

Jondrette zdążył mruknąć na ucho starszej córce:

– Bałwan! Co mi po jego pięciu frankach! Nie zwróci się nawet za krzesło i za szybę. I rób tu wydatki!

Tymczasem pan Biały zdjął obszerny, ciemny płaszcz, który nosił na swoim granatowym tużurku, i położył go na poręczu krzesła.

– Panie Fabantou – rzekł – mam przy sobie tylko te pięć franków ale odprowadzę córkę do domu i wrócę wieczorem; wieczorem musi pan zapłacić komorne, prawda?

Dziwny wyraz rozjaśnił twarz Jondrette'a. Odpowiedział szybko:

– Tak, przezacny panie. Punkt o ósmej powinienem się zjawić u mojego gospodarza.

– Więc przyjdę o szóstej i przyniosę panu sześćdziesiąt franków.

– Dobroczyńco! – zawołał Jondrette, nie posiadając się z radości.

I dodał po cichu:

– Przypatrz mu się dobrze, żono.

Pan Biały ujął pod rękę piękną dziewczynę i zwrócił się ku drzwiom.

– Zatem do widzenia, dobrzy ludzie – rzekł.

– O szóstej – rzekł Jondrette.

– Tak, punkt o szóstej.

W tej chwili płaszcz porzucony na krześle zwrócił uwagę starszej córki Jondrette'a.

– Panie – rzekła – pan zapomniał płaszcza.

Jondrette cisnął na córkę piorunujące spojrzenie połączone z groźnym ruchem ramion.

Pan Biały odwrócił się i odpowiedział z uśmiechem:

– Nie zapomniałem, ale go zostawiam.

– O, szlachetny opiekunie – rzekł Jondrette – o, wspaniały dobroczyńco! Doprawdy, łyż mam w oczach. Chciej mi pan pozwolić, żebym go odprowadził aż do dorożki.

Taksa dorożek: dwa franki za godzinę

Mariusz nic nie stracił z tej całej sceny, a jednak w gruncie rzeczy nic z niej nie widział. Oczy jego były wlepione w dziewczynę, serce jego pochwyciło ją, żeby tak rzec, i objęło całą, odkąd ukazała się na progu izby. Przez cały czas, kiedy tam była, żył owym życiem zachwytu, które wstrzymuje wszelkie postrzeganie zmysłów i kieruje wszystkie władze duszy w jedno tylko miejsce. Wpatrywał się nie w dziewczynę, ale w tę światłość, która miała na sobie jedwabny płaszczyk i aksamitny kapelusz. Gdyby weszła do izby gwiazda Syriusza, nie zostałby bardziej olśniony.

Kiedy dziewczyna rozwiązywała zawiniątko, rozkładała odzienie i kołdry, wypytywała zyczliwie chorą matkę i litowała się nad skaleczoną, śledził każdy jej ruch, starał się usłyszeć każde jej słowo. Znał już jej oczy, czoło, piękność, kibić, postawę, ale nie znał jej głosu. Zdawało mu się, kiedyś, w Ogrodzie Luksemburskim, że usłyszał, jak wymówiła kilka słów, ale nie był tego pewny. Oddałby dziesięć lat życia, żeby ją usłyszeć, żeby móc unieść w duszy odrobinę tej muzyki. Ale wszystko się gubiło w płaczącej deklamacji i grzmiących wybuchach Jondrette'a. Do zachwytu Mariusza przyłączył się gniew. Pożerał ją oczami. Niepodobna mu było pogodzić się z myślą, że istotnie miał przed sobą tę boską istotę pośród tych wszystkich plugawych stworzeń, w tej obrzydliwej norze. Zdawało mu się, że widzi kolibra wśród ropuch.

Kiedy wyszła, miał jedną tylko myśl: pobiec za nią, uczepić się jej śladów i nie puścić jej, póki się nie dowie, gdzie mieszka, żeby już jej nie stracić, skoro mu się udało tak cudownie ją odzyskać.

Zbiegł co tchu i wydostawszy się na bulwar, spostrzegł, że dorożka mija właśnie róg ulicy Małego Bankiera i wjeżdża do miasta.

Mariusz puścił się biegiem w tym kierunku. Z rogu bulwaru znowu zobaczył dorożkę, wjeżdżającą szybko w ulicę Mouffetard; była już daleko; jak ją dopędzić? Biec? Niepodobna.

Zresztą, z powozu łatwo było spostrzec człowieka, biegnącego co tchu w ślad za nim, i ojciec poznałby go. W tej chwili właśnie, przypadkiem niezwykłym i cudownym, ujrzał Mariusz pusty kabriolet przejeżdżający bulwarem. Należało wsiąść do tego kabrioletu i jechać za dorożką. Był to sposób pewny, skuteczny i żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiający.

Mariusz skinął na woźnicę, żeby stanął, i krzyknął mu:

– Biorę cię na godzinę!

Mariusz był bez krawata, miał na sobie stary, codzienny surdut, u którego brakowało guzików, koszula była przedarta w jednym miejscu na zakładzie gorsu.

Woźnica zatrzymał się, przymrużył oko i wyciągnął ku Mariuszowi lewą rękę, w znaczący sposób przebierając palcami.

– O co idzie? – rzekł Mariusz.

– Płacić z góry – rzekł woźnica.

Mariusz przypomniał sobie nagle, że miał wszystkiego szesnaście su.

– Ile? – zapytał.

– Dwa franki.

– Zapłacę w domu.

Woźnica za całą odpowiedź zagwizdał melodię z „Córki regimentu” i zaciął konia.

Mariusz patrzył na oddalający się kabriolet obłąkanym wzrokiem. Dla dwudziestu czterech su, których mu brakowało, tracił swoją radość, swoje szczęście, swoją miłość. Zapadał znowu w ciemność; przejrzał i oto znowu stawał się niewidomym. Wrócił do domu pogrążony w rozpacz.

Mógłby się pocieszyć tym, że pan Biały obiecał wrócić wieczorem i że należało tylko lepiej wziąć się do rzeczy tym razem, ażeby go znów nie stracić z oczu; ale w swoim zachwyceniu zaledwie słyszał, że o tym była mowa.

Kiedy już miał wejść na schody, spostrzegł po drugiej stronie bulwaru, tuż przy murze ciągnącym się wzdłuż ulicy Gobelinów, Jondrette’a odzianego w płaszcz „filantropa”. Rozmawiał z jednym z tych ludzi o podejrzanym wyglądzie, których określa się zwykle nazwą „podmiejskich włóczęgów”, ludzi o zagadkowym obliczu, o niepokojącej mowie, którzy tak wyglądają, jakby zawsze coś knuli, i którzy zwykle śpiją przez cały dzień, co każe wnosić, że pracują w nocy.

Ci dwaj ludzie, stojący nieruchomo i rozmawiający mimo gęsto padającego śniegu, mogli bez wątpienia zwrócić uwagę każdego policjanta. Ale Mariusz zaledwie ich zauważył.

Chociaż bardzo był zmartwiony, musiał jednak pomyśleć, że ten podmiejski włóczęga, z którym Jondrette rozmawiał, podobny jest do niejakiemu Panchauda, zwanego Wiosennym i także Urwipółciem, którego mu kiedyś pokazał Courfeyrac, a który uchodził w tej części miasta za dosyć niebezpiecznego nocnego rzezimieszka.

Nędza pomaga cierpieniu

Mariusz wchodził powoli po schodach rudery. Kiedy miał wejść do swej izdebki, spostrzegł w korytarzu starszą córkę Jondrette’a, która za nim szła.

Mariusz wszedł do pokoju i chciał zamknąć drzwi.

Lecz drzwi nie zamknęły się. Odwrócił się i zobaczył rękę, która je przytrzymała.

– Co tam znowu? – spytał. – Kto to?

Była to starsza Jondrette'ówna.

– To znów pani? – rzekł ostro prawie. – Czego pani chce?

Wydawała się zamyślona i nie odpowiadała. Nie miała już tej śmiałości co z rana. Nie weszła, tylko stała w mroku na korytarzu, gdzie Mariusz widział ją przez uchylone drzwi.

– No co? Proszę odpowiedzieć – rzekł Mariusz. – Czego pani chce ode mnie?

Podniosła na niego swój przygasty wzrok, gdzie zdawał się pełgać jakiś niewyraźny blask, i powiedziała:

– Panie Mariuszu, wygląda pan na smutnego. Co panu jest?

– Mnie? – rzekł Mariusz.

– Tak, panu.

– Nic mi nie jest.

– A jednak tak.

– Nie.

– A ja powiadam, że tak.

– Proszę mi dać spokój.

Mariusz znowu pchnął drzwi, ale ona je przytrzymała w dalszym ciągu.

– Przepraszam pana – rzekła – niech się pan nie gniewa. Choć pan niebogaty, był pan dobry dziś rano. Niech pan będzie dobry i teraz. Z pana łaski miałam co zjeść, proszę mi powiedzieć teraz, co panu dolega? Pan ma jakieś zmartwienie, to przecież widać. Ja nie chcę, żeby pan miał zmartwienie. Jak na to poradzić? Jeżeli bym się panu mogła na co przydać, to proszę mnie używać. Nie chcę znać pana sekretów, nie potrzebuje mi się pan z niczym zwierzać. Ale przecież i ja się mogę przydać. Mogę i panu dopomóc, kiedy pomagam ojcu. Jeżeli potrzeba zanieść gdzie list, iść do jakiegoś domu, rozpytywać się od drzwi do drzwi, znaleźć jakiś adres, chodzić za kim, to już ja się do tego nadaję. Toteż może mi pan otwarcie powiedzieć, co panu jest, a ja pójdę pogadać, z kim trzeba; czasem jak się pogada, to się zaraz i rzecz ułoży, i wszystko się załatwi. Niechże pan się namyśli, czybym ja się panu na co nie przydała.

W głowie Mariusza powstał nagły pomysł. Tonący chwytą się choćby i brzytwy.

Zbliżył się do dziewczyny.

– Słuchaj... – rzekł jej.

Przerwała mu z błyskiem radości w oczach:

– O, tak, niech mi pan mówi: ty!

– Niech będzie – ciągnął. – To ty przyprowadziłaś tu tego starego pana z córką?

– Ja.

– Czy znasz ich adres?

– Nie.

– Znajdź mi go.

Oczy dziewczyny, które zabłyśły radością, znowu stały się ponure.

– A, to tego panu potrzeba? – spytała.

– Tak.

– Czy pan ich zna?

– Nie.

– To znaczy – rzekła żywo – że jej pan nie zna, ale chce ją pan poznać.

To „ich” zamienione na „ją” miało w sobie coś znaczącego i gorzkiego.

– No cóż? Czy możesz to zrobić? – spytał Mariusz.

– Będzie pan miał adres pięknej panny.

Pochyliła głowę, a potem szybkim ruchem popchnęła drzwi, które zamknęły się.

Mariusz był znowu sam.

Opadł na krzesło, głowę i łokcie wsparł o łóżko i pograżył się w myślach, które na próżno usiłował uporządkować, wydany na pastwę zamętu. Wszystko, co się działo od rana: pojawienie się anioła, jego zniknięcie, niedawna rozmowa z tym nędznym stworzeniem, słaby błysk nadziei, migocący pośród ogromnej rozpacz, wszystko to bezładnie wypełniło jego mózg.

Nagle został gwałtownie wyrwany ze swego rozmarzenia.

Usłyszał donośny i ostry głos Jondrette'a, wymawiający słowa, j które zaciękały go w najbardziej nieoczekiwany sposób:

– A ja ci powiadam, że na pewno poznałem go.

O kimże mówił Jondrette? Kogóż to poznał? Czy pana Białego, ojca „jego Urszuli”? Co znowu! Czyżby go Jondrette mógł znać? Miałże Mariusz otrzymać w ten sposób, nagle i nieprzewidzianie, wszystkie objaśnienia, bez których własne życie było dla niego ciemne? Miałże się dowiedzieć nareszcie, kogo kochał? Kim była ta dziewczyna? Kim był jej ojciec? Czyżby gęsty mrok, który ich okrywał aż dotąd, miał się rozjaśnić? Czyżby się miała rozerwać zasłona? O, nieba!

Nie wszedł, lecz wskoczył na komodę i znów zajął miejsce przy małej szczelinie w ścianie.

Znów oglądał nędzną izbę Jondrette'ów.

Na co użyto pięciu franków pana Białego

Nic się tam nie zmieniło, tyle tylko, że matka i córki już skorzystały z otrzymanej paczki i włożyły pończochy i wełniane kaftany. Dwie nowe kołdry rozłożono na tapczanach.

Jondrette widocznie przed chwilą wrócił, bo jeszcze dyszał. Córki jego siedziały na ziemi obok komina, a starsza opatrywała rękę młodszej. Żona rozwaliła się na tapczanie przytykającym do komina, z wyrazem zdziwienia na twarzy. Jondrette ogromnymi krokami przechadzał się po izbie. Miał dziwne oczy.

Kobieta, która zdawała się zatrzwożona i onieśmielona wobec męża, odważyła się przemówić:

– Jakże to? Czy jesteś pewny?

– Pewny! Osiem lat minęło! Ale poznaję go! O tak, poznaję! Od razu go poznałem! Co? A tobie się to nie rzuciło w oczy?

– Nie.

– A przecie powiedziałem ci: „uważaj”. Ten sam wzrost, ten sam głos, ta sama twarz, niewiele nawet starsza, bo są ludzie, co się nie starzejają; nie wiem, jak oni to robią! Lepiej ubrany i to wszystko. Ach, tajemniczy stary diable, mam cię! Poczekaj!

Zatrzymał się i rzekł do córek:

– Wyoście mi się! Marsz! A to dziwne, że tobie się to od razu nie rzuciło w oczy!

Dziewczyny wstały, żeby wypełnić rozkaz. Matka wyszeptwała:

– Z tą chorą ręką?

– Dobrze jej zrobi świeże powietrze – odpowiedział Jondrette. – Idźcie!

Zostawszy sam z żoną, Jondrette zaczął znów chodzić po izbie. Przeszedł się dwa czy trzy razy w milczeniu. Następnie przez kilka minut wpychał w spodnie i obciągał damską koszulę, którą miał na sobie.

Nagle obrócił się ku żonie, założył ręce i zawołał:

– A wiesz ty, co ja ci jeszcze powiem? Ta panna...

– Co ta panna? – podchwyciła kobieta.

Mariusz nie mógł już wątpić, mówili o niej.

Słuchał ze straszliwym niepokojem. Zamienił się cały w słuch.

Lecz Jondrette schylił się i szeptał coś żonie do ucha. Potem wyprostował się i dokończył głośno:

– Powiadam ci, że to ona.

– Tak? – zapytała żona.

– Tak! – odpowiedział mąż.

Żadne wyrażenie nie potrafi oddać wszystkiego, co wyrażało „tak?” tej kobiety. Było to zdziwienie, wściekłość, nienawiść, złość, zmieszane i połączone razem w jedną potworną intonację. Widocznie dosyć było kilku słów, zapewne jakiegoś imienia, które jej mąż szepnął w ucho, aby ta ogromna, zaspana kobieta rozbudziła się i z odrażającej stała się straszliwą.

– Niepodobna! – wrzasnęła. – Kiedy sobie pomyślę, że moje córki chodzą boso i nie mają sukni na grzbiecie! A ta w futrze pokrytym atlasem, w aksamitnym kapeluszu, w bucikach; wszystko ma! Rzeczy na niej za przeszło dwieście franków! Pomyślałbyś, że to dama! Chyba ci się przywidziało? Zresztą, tamta była szkaradna, a ta jest niebrzydka; doprawdy, niebrzydka! To nie może być ona!

– A ja ci powiadam, że to ona. Przekonasz się!

Na to tak stanowcze twierdzenie baba podniosła swoją szeroką, czerwoną twarz i spojrzała w sufit z jakimś potwornym wyrazem. W tej chwili wydała się Mariuszowi groźniejsza jeszcze od męża. Była to maciora ze spojrzeniem tygrysy.

– Co u diabła! – zawołała. – Ta przekłeta ślicznotka, pannica, co z litością patrzyła na moje córki, miałyby być tą łajdaczką? O, ja bym jej obcasami flaki z brzucha wypruła!

Zeskoczyła z łóżka i stała przez chwilę, rozczochrana, z rozdętymi nozdrzami, z rozwartą gębą, z pięściami zaciśniętymi i odrzuconymi w tył, do ciosu. Potem znowu upadła na swój barłóg. Mężczyzna tymczasem chodził tam i z powrotem, nie zwracając uwagi na swoją samicę.

Po kilku chwilach milczenia przybliżył się do żony, stanął przed nią ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, tak samo jak pierwej, i rzekł:

– A wiesz ty, co ja ci jeszcze powiem?

– Co takiego? – spytała.

Odpowiedział jej krótko i z cicha:

– To, że nareszcie będę miał pieniądze. Posłuchaj. Mamy go, tego krezusa, albo jak byśmy go już mieli. Wszystko ułożone. Gadałem z ludźmi. Przyjdzie tu, kanalia, o szóstej wieczór ze swoimi sześćdziesięcioma frankami. Widziałas, jakim ja mu to wyrecytowałem, i te sześćdziesiąt franków, i tego gospodarza, i termin! Przyjdzie więc o szóstej, wtedy nasz sąsiad idzie na obiad, a stara Burgon zmywa naczynia w mieście. W całym domu nie ma nikogo. Sąsiad nigdy nie wraca przed jedenastą. Zresztą dziewczęta będą pilnowały. Ty nam pomożesz. Zobaczysz, jak mu ślicznie wyprzątniemy kieszenie.

– A jak sobie nie da wyprzątnąć? – zapytała kobieta.

Jondrette złowieszco machnął ręką i rzekł:

– To go sprzątniemy.

I zaczął się śmiać.

Mariusz po raz pierwszy widział go, jak się śmieje. Śmiech jego, zimny i cichy, przeszywał dreszczem.

Jondrette otworzył szafę, ukrytą w ścianie tuż przy kominie, wyciągnął starą czapkę i włożył ją na głowę, wyczyściwszy rękawem.

– A teraz – rzekł – wychodzę. Mam jeszcze do pogadania z tym i z owym. Zobaczysz,

wszystko pójdzie jak po maśle. Wróć, jak będę mógł najprędzej, to nie lada gratka. Ty zostań w domu.

Ledwie zdążył zrobić kilka kroków za progiem, kiedy drzwi znów się otworzyły i ukazał się w nich jeszcze raz jego dziki i przebiegły profil.

– Zapomniałem – rzekł. – Rozpalisz piecyk.

Mówiąc to rzucił w fartuch żonie tę samą pięciofrankówkę, którą mu zostawił „filantrop”.

– Piecyk? – zapytała kobieta.

– Tak.

– Ile trzeba węgla?

– Ze dwie miary.

– To będzie półtora franka, za resztę kupię co na obiad.

– Nie, do licha!

– Dlaczego?

– Nie wydawaj wszystkich pieniędzy.

– Dlaczego?

– Bo ja też muszę coś kupić.

– Co?

– Coś.

– A ile ci będzie trzeba?

– Jest tu gdzieś blisko sklep żelazny?

– Na ulicy Mouffetard.

– Prawda, na rogu, wiem już.

– Ale powiedz mi, ile ci będzie trzeba na to, co masz kupić?

– Od dwóch i pół do trzech franków.

– Niedużo zostanie na obiad.

– Dziś nie o jedzenie idzie. Jest lepsza rzecz do roboty!

– Dobrze, idź już, mój klejnocie!

Na to słowo żony Jondrette przymknął drzwi i tym razem Mariusz usłyszał, jak oddała się wzdłuż korytarza i szybko schodzi po schodach.

Na wieży św. Medarda wybiła pierwsza.

Solus cum solo in loco remoto non cogitabuntur orare Pater noster⁷

Mariusz, choć marzyciel, był jednak, jak to już powiedzieliśmy naturą zdecydowaną i energiczną.

– Trzeba zdeptać tych nędzników – rzekł.

Nie wyjaśniła mu się żadna z zagadek, których rozwiązania pragnął tak gorąco; przeciwnie, wszystko się chyba jeszcze bardziej pogmatwało. Nie dowiedział się niczego więcej o pięknej dziewczynie z Ogrodu Luksemburskiego i o człowieku, którego nazywał panem Białym – tyle tylko, że Jondrette ich znał. Poprzez niezrozumiałe słowa, które zostały powiedziane, jasno widział jedno, że przygotowywano zasadzkę, zasadzkę niewiadomą, ale straszną; że nad

⁷ Dwaj samotni ludzie w ustronnym miejscu nie będą myśleli o odmawianiu Ojciec nasz (łac.)

obojgiem wisiało wielkie niebezpieczeństwo, nad nią – może nad jej ojcem – na pewno; i że trzeba było ich ocalić; że należało zapobiec nikczemnym zamysłom Jondrette'ów i rozerwać sieci tych pajaków.

Przez chwilę przyglądał się żonie Jondrette'a. Wyciągała z kąta stary blaszany piecyk i szperała pomiędzy żelastwem.

Zszedł z komody, jak tylko mógł najostrożniej i najciszej.

Co miał robić? Czy ostrzec zagrożone osoby? Gdzie ich szukać? Nie znał ich adresu. Przez chwilę ukazały się one jego oczom i znów utonęły w niezmiernych głębiach Paryża. Czekać na pana Białego u drzwi, wieczorem, o godzinie szóstej, kiedy ma przyjść, i ostrzec go o zasadzce? Ale Jondrette i jego wspólnicy mogą go dostrzec na czatach, miejsce jest odludne, będą silniejsi od niego, znajdą sposób, żeby go schwytać lub oddalić, i ten, którego Mariusz pragnął uratować, będzie zgubiony. Przed chwilą wybiła pierwsza, zasadzka naznaczona była na godzinę szóstą. Mariusz miał przed sobą pięć godzin.

Jedno tylko mógł zrobić.

Włożył swoje przyzwoite ubranie, zawiązał chustkę na szyi, wziął kapelusz i wyszedł, nie więcej robiąc hałasu, niż gdyby stapał bosy po mchu.

Zresztą Jondrette'owa przebiegała w żelastwie.

Wyszedłszy z domu, udał się na ulicę Małego Bankiera.

Znajdował się już w połowie tej ulicy, w pobliżu bardzo niskiego muru, który nawet można przeskoczyć w pewnych miejscach, a który otacza jakiś pusty plac. Szedł powoli, zastanawiając się, śnieg głużył odgłos jego kroków; nagle usłyszał głosy rozmawiające gdzieś bardzo blisko. Obejrzał się – ulica pusta, nikogo nie widać, dzień biały, a jednak wyraźnie słyszał głosy.

Przyszło mu na myśl, żeby spojrzeć za mur, obok którego szedł.

Rzeczywiście zobaczył tam dwóch ludzi. Siedzieli na śniegu, oparci o mur, i rozmawiali po cichu.

Nie znał ich. Jeden, brodaty, miał na sobie bliznę, a drugi, długowłosy, jakieś łachmany. Brodaty miał na głowie grecką czapkę, drugi był z gołą głową, włosy miał ośnieżone.

Wysunąwszy nieco wyżej głowę, Mariusz mógł ich słyszeć.

Długowłosy trącał drugiego łokciem i mówił:

– Z pomocą „Kociej Łapy” to się musi udać.

– Tak ci się widzi? – rzekł brodaty.

A długowłosy odpowiedział:

– Na każdego wypadnie z pięćset okrągłaków. A jakby się co przydarzyło – to pięć lat, sześć, najwyżej dziesięć.–

Tamten odpowiedział mu z pewnym wahaniem i szcękając zębami.

– Ano, to jedno jest pewne. Po co szukać guza?

– Powiadam ci, że interes się uda – mówił znowu długowłosy. – Bryczuszka dziadka Ktosia będzie w pogotowiu.

Potem zaczęli rozmawiać o jakimś melodramacie, który widzieli poprzedniego dnia w teatrze Gaité.

Mariusz poszedł dalej.

Zdawało mu się, że niezrozumiałe słowa tych ludzi, w dziwny sposób ukrytych za murem i przykucniętych na śniegu, nie były może bez pewnego związku ze strasliwymi zamiarami Jondrette'a. To o tym „interesie” musiała być mowa.

Zwrócił się ku przedmieściu Saint-Marceau i zapytał w pierwszym napotkanym sklepie, gdzie jest komisariat policji.

Wskazano mu numer 14 przy ulicy Pontoise.

Tam się udał.

Funkcjonariusz policji daje adwokatowi dwa kuksańce

Odnalazłszy numer 14 przy ulicy Pontoise, wszedł na pierwsze piętro i zapytał o komisarza policji.

– Pana komisarza nie ma – powiedział mu woźny – ale jest inspektor, który go zastępuje. Chce się pan z nim widzieć? Czy to pilna sprawa?

– Tak – rzekł Mariusz.

Woźny wprowadził go do gabinetu komisarza. Stał tam za kratą mężczyzna wysokiego wzrostu, oparty o żelazny piecyk, i podnosił do góry poły obszernego surduta o trzech pelerynkach. Twarz miał prawie kwadratową, usta wąskie i zaciśnięte, bujne szpakowate faworyty, potęgujące groźę oblicza, i wzrok, który wywracał kieszenie.

Można było powiedzieć o tym wzroku, że nie tyle przeszywał, co raczej przeszukiwał.

Człowiek ten wyglądał nie o wiele mniej srogo i groźnie niż Jondrette. Spotkanie z buldogiem bywa równie niepokojące co i spotkanie z wilkiem.

– Czego chcecie? – rzekł do Mariusza, nie mówiąc mu nawet „panie”.

– Idzie tu o rzecz bardzo sekretną.

– Więc proszę mówić.

– I bardzo pilną.

– Więc proszę prędko.

Człowiek ten – spokojny i porywczy – i zatrząsał, i uspokajał równocześnie. Budził i strach, i zaufanie. Mariusz opowiedział mu całe zdarzenie: że pewna osoba, którą znał tylko z widzenia, miała zostać wciągnięta tego wieczora w zasadzkę; że on, Mariusz Pontmercy, adwokat, ze swego mieszkania, które sąsiaduje z gniazdem opryszków, na własne uszy wysłuchał przez ścianę ich zмовy; że zbrodniarz, który obmyślił zasadzkę, był to niejaki Jondrette; że będzie miał współników, prawdopodobnie włóczęgów podmiejskich, pomiędzy innymi niejakiego Panchauda, zwanego Wiosennym i także Urwipółciem; że córki Jondrette’a mają stać na czatach; że nie ma najmniejszego sposobu, aby uprzedzić zagrożonego człowieka zważywszy, że nie znane mu jest nawet jego nazwisko; i wreszcie, że wszystko to ma się odbyć o godzinie szóstej wieczorem, w najbardziej odosobnionym miejscu bulwaru Hôpital, w domu pod numerem 50/52.

Usłyszawszy ten numer, inspektor podniósł głowę i rzekł chłodno:

– Więc to w izbie położonej w głębi korytarza?

– Tak, tam – odpowiedział Mariusz. I dodał: – Czy pan zna ten dom?

Inspektor stał chwilę w milczeniu, potem rzekł, grzejąc sobie nogę u drzwiczek piecyka:

– Być może.

I ciągnął dalej przez zęby, mówiąc bardziej w swój krawat niż do Mariusza:

– Macza w tym pewnie palce „Kocia Łapa”.

Wyrażenie to uderzyło Mariusza.

– „Kocia Łapa”? – powtórzył. – Istotnie, słyszałem także i te słowa.

Tu opowiedział inspektorowi rozmowę długowłosego z brodatym, w śniegu za murem na uliczce Małego Bankiera.

Inspektor mruknął:

– A, długowłosa to pewnie Brujon, a brodaty to pewnie Półszeląg, zwany Dwa Miliardy. Powiedziawszy to, znowu spuścił oczy i rozmyślał chwilę.

– Co do dziadka Ktosia, zaczynam się domyślać. Masz tobie, spaliłem sobie surdut. Zawsze za mocno palą w tych przeklętych piecach! Numer 50/52, dawna posiadłość Gorbeau.

I spojrzął na Mariusza.

– Pan widział tylko długowłosego i brodatego?

– I Panchauda.

– A czy nie krążył tam taki młody, szatański elegancik?

– Nie.

– Ani ogromny, tęgi drab, podobny do słonia z Ogrodu Zoologicznego?

– Nie.

– Ani stary lis, który wygląda trochę na kuglarza?

– Nie.

– Co do czwartego, tego nikt nigdy nie widział, nawet jego adiutanci, wspólnicy i pomagierzy.

Nic dziwnego, że i pan go nie zauważył.

– Nie. A kimże są te wszystkie typy? – spytał Mariusz.

Inspektor odpowiedział:

– Zresztą, to nie ich godzina.

Umilkł, po czym znów się odezwał:

– 50/52, znam tę chałupę. Nie można schować się wewnątrz, bo się aktorzy spostrzegą, i wtedy mogliby odłożyć wodewil na kiedy indziej. Oni są tacy skromni! Wstydzą się publiczności. Nie, to trzeba będzie zrobić inaczej. Muszę usłyszeć, jak śpiewają, a potem ich puścić w taniec.

Skończywszy ten monolog, zwrócił się do Mariusza i zapytał, patrząc mu bystro w oczy:

– Czy pan się nie przestraszy?

– Czego? – spytał Mariusz.

– Tych ludzi?

– Nie więcej niż pana! – odpowiedział sucho Mariusz.

Inspektor spojrzął na Mariusza jeszcze baczniej i rzekł pewnym rodzajem uroczystej powagi:

– Mówi pan jak człowiek odważny i jak człowiek uczciwy. Odwaga nie lęka się występku, a uczciwość nie lęka się władzy.

Mariusz przerwał mu:

– Dobrze, ale co pan chce zrobić?

Inspektor odrzekł mu tyle tylko:

– Wiem, że każdy lokator tego domu ma klucz od wejściowych drzwi, żeby móc wracać w nocy. Ma pan pewnie taki klucz?

– Tak – rzekł Mariusz.

– Czy ma go pan przy sobie?

– Mam.

– Proszę mi go dać – rzekł inspektor.

Mariusz wyjął swój klucz z kieszeni, podał inspektorowi i powiedział:

– Ja radziłbym zabrać tam silny oddział.

Inspektor rzucił Mariuszowi spojrzenie, jakim Wolter obdarzyłby studenta z prowincji, który by mu się chciał przysłużyć! rymem; jednym ruchem wsunął swoje ogromne ręce w dwie ogromne kieszenie surduta i wyciągnął z nich dwa nieduże stalowe pistolety z tych, które wówczas nazywano „kuksańcami”. Podał je Mariuszowi i rzekł krótko:

– Proszę to wziąć, wrócić do domu i ukryć się w swoim pokoju. Niech myślą, że pan wyszedł.

Pistolety są nabite. Każdy dwiema kulami. Obserwować wszystko przez tę dziurę w ścianie, o której mi pan powiedział. Zejdą się. Niech zaczną robić swoje. Kiedy zajdą tak daleko, że osądzi pan, że ich trzeba powstrzymać – proszę strzelić. Byle nie za wcześnie. Reszta należy do mnie. Strzał w powietrze, w sufit, gdzie bądź. Przede wszystkim nie za wcześnie. Doczeka pan początku przestępstwa. Jest pan adwokatem, więc musi pan wiedzieć, co to znaczy.

Mariusz wziął pistolety i włożył je w boczne kieszenie surduta.

– Zanadto znać. Włóż je pan w kieszenie spodni.

Mariusz schował pistolety w kieszenie spodni.

– A teraz – mówił dalej inspektor – nie ma ani chwili do stracenia. Która godzina? Pół do trzeciej. Umówili się na siódmą?

– Na szóstą – rzekł Mariusz.

– Czasu dość – rzekł inspektor – ale nie więcej niż trzeba. Niech pan nie zapomni nic z tego, co powiedziałem. Paf! Jeden strzał z pistoletu.

– Może pan być spokojny – odpowiedział Mariusz.

Kiedy trzymał już rękę na klamce, zabierając się do wyjścia, inspektor zawołał jeszcze:

– Ale! Gdyby mnie pan potrzebował wcześniej, to przyjdź pan tu albo przyslij kogo. Proszę się pytać o inspektora Javerta.

Jondrette załatwia swój sprawunek

W kilka chwil potem, koło godziny trzeciej, Courfeyrac w towarzystwie Bossueta przechodził przypadkiem przez ulicę Mouffetard. Śnieg się wzmagał i sypał coraz gęściej. Bossuet mówił właśnie do Courfeyraca:

– Widząc te płatki śniegu, powiedziałbyś, że w niebie jest pomór na białe motyle.

Nagle Bossuet spostrzegł Mariusza idącego ulicą ku rogatce z jakimś osobliwym wyrazem twarzy.

– Patrzaj – rzekł Bossuet. – Mariusz.

– Widzę – odparł Courfeyrac – ale go nie zaczepimy.

– Dlaczego?

– Bo jest zajęty.

– Czym?

– Czy nie widzisz, jaką ma minę?

– Jaką

– Wygląda na człowieka, który za kimś idzie.

– A, prawda – rzekł Bossuet.

– Zobacz tylko, jak patrzy – rzekł znowu Courfeyrac.

– Za kim tak pędzi, u diabła?

– Jakaś spódniczka w kapelusiku z kwiatami. On jest zakochany.

– Ale – zrobił uwagę Bossuet – nie widzę nigdzie ani spódniczki ani kapelusika, ani kwiatów. Nie ma ani jednej kobiety na ulicy.

Courfeyrac spojrział i zawołał:

– Idzie za mężczyzną!

Rzeczywiście, jakiś mężczyzna w czapce, z siwą brodą, którą widać było nawet od tyłu, szedł

na jakie dwadzieścia kroków przed Mariuszem.

Człowiek ten ubrany był w nowiuteńki płaszcz, za duży na niego, i w straszliwie wystrzępione spodnie, całkiem poczerniałe od błota.

Bossuet roześmiał się.

– Cóż to znów za figura?

– To – odpowiedział Courfeyrac – to poeta. Poeci noszą dość chętnie spodnie handlarzy królików i płaszcze parów Francji.

– Zobaczymy, dokąd to idzie Mariusz – rzekł Bossuet – i ten drugi. Pójdziemy za nimi, co?

– Bossuecie! – zawołał Courfeyrac. – Orle z Meaux! Jesteś przeraźliwym bydłem. Któż chodzi za człowiekiem, który goni mężczyznę?

Zawrócili więc.

Mariusz rzeczywiście spostrzegł na ulicy Mouffetard Jondrette'a i zaczął go śledzić.

Jondrette szedł przed nim, nie domyślając się, że jest na uwięzi czyjegoś spojrzenia.

Skręcił z ulicy Mouffetard i Mariusz ujrzał, jak wchodzi do jednej z najokropniejszych bud przy ulicy Gracieuse. Zniknął tam na dobry kwadrans, potem wrócił na ulicę Mouffetard. Wstąpił do sklepu żelaznego, który się znajdował wówczas na rogu ulicy Pierre-Lombard, i w kilka minut później wyszedł ze sklepu trzymając w ręku duże dłuto z rękojeścią z białego drzewa. Schował je pod płaszcz. Doszedłszy do ulicy Petit-Gentilly, skręcił w lewo i wszedł szybko na ulicę Małego Bankiera.

Mariusz pomyślał sobie, że roztropnie będzie wrócić teraz do domu, korzystając z nieobecności Jondrette'a. Zresztą, robiło się już późno. Co wieczór pani Burgon, wychodząc na miasto, by zmywać naczynia po domach, miała zwyczaj zamykać drzwi od ulicy, które w ten sposób zamknięte bywały od zmroku; Mariusz dał swój klucz inspektorowi; należało więc się pośpieszyć.

Poszedł szybko w kierunku domu pod numerem 50/52. Drzwi wejściowe były jeszcze otwarte. Wszedł po schodach na palcach i prześliznął się wzdłuż muru korytarza aż do swego pokoju. Korytarz ten, jak to sobie przypominamy, miał po obu stronach izdebki w tej chwili puste i do wynajęcia. Pani Burgon zostawiała zwykle drzwi od nich pootwierane. Przechodząc pod jednymi z takich drzwi, Mariusz dostrzegł wyraźnie w nie zamieszkannej izdebce cztery nieruchome męskie głowy, widoczne w resztkach dziennego światła wpadającego przez małe okienko. Mariusz nie starał się przypatrzeć im, nie chcąc być samemu widzianym. Udało mu się wejść do pokoju niepostrzeżenie i bez szmeru. W sam czas; w chwilę później usłyszał, jak pani Burgon wychodzi, zamykając na klucz drzwi od ulicy.

Gdzie spotkamy się z piosenką na angielską melodię modną w roku 1832

Mariusz usiadł na łóżku. Mogło być pół do szóstej. Już tylko pół godziny dzieliło go od tego, co się miało stać. Słyszał bicie swego pulsu, jak się słyszy w ciemności tykanie zegarka. Myślał o tym podwójnym pochodzie, który się w tej chwili odbywał wśród zmroku, o zbrodni nadchodzącej z jednej strony, o sprawiedliwości nadchodzącej z drugiej. Nie bał się, ale nie mógł myśleć bez pewnego drżenia o tym, co się niebawem będzie działo. Jak każdemu, na kogo spadnie zniecka niezwykle wydarzenie, cały ten dzień wydawał mu się snem, i żeby sprawdzić,

czy aby nie znalazł się w mocy przykrego snu, czuł potrzebę dotykania chłodnej stali pistoletów, które miał w kieszeniach.

W izbie Jondrette'ów świeciło się; dziura w ścianie jaśniała czerwonym światłem, które się Mariuszowi wydawało koloru krwi.

Światło to nie mogło pochodzić od świecy. W izbie było cicho, nikt się nie ruszał, nikt się nie odzywał, nie oddychał, zalegało ją milczenie tak lodowate i głębokie, że gdyby nie to światło, można by sądzić, że się jest w pobliżu grobu.

Mariusz ostrożnie zdjął buty i wsunął je pod łóżko.

Upłynęło kilka minut. Nagle usłyszał skrzypnięcie wejściowych drzwi, ktoś ciężkim i szybkim krokiem wszedł na schody, przebiegł korytarz, u drzwi do izby podniosła się z hałasem klamka; Jondrette wrócił do domu.

Natychmiast dały się słyszeć głosy. W izbie zebrana była cała rodzina, ale w nieobecności pana siedziała cicho, jak wilczęta w nieobecności wilka.

– To ja – rzekł.

– Dobry wieczór, ojczulku – odszczeknęły córki.

– No i co? – rzekła matka.

– Wszystko idzie jak po maśle – odpowiedział Jondrette – tylko mi piesko zmarzły nogi. Widzę, żeś się ubrała, to dobrze. Trzeba, żebyś budziła zaufanie.

– Jestem gotowa do wyjścia.

– Ale nie zapomnisz nic z tego, co ci powiedziałem? Zrobisz wszystko, jak się należy?

– Bądź spokojny.

– Bo to... – rzekł Jondrette.

I nie dokończył.

Mariusz usłyszał, jak kładzie coś ciężkiego na stole; pewnie dłuto, które kupił.

– No – mówił dalej Jondrette – a czyście co jedli?

– Tak – odpowiedziała stara. – Miałam trzy spore kartofle i skorzystałam z ognia, żeby je upiec.

– Dobrze – odparł Jondrette. – Jutro ja zaprowadzę was na obiad. Będzie kaczką i rozmaite dodatki. Będziemy jedli jak Karol X. Wszystko idzie jak z płatka.

Potem dodał, zniżając głos:

– Pułapka otwarta. Koty już są.

Jeszcze bardziej zniżył głos i rzekł:

– Włóż to w ogień.

Mariusz usłyszał szelest węgla poruszanych obcęgami czy te innym żelaznym narzędziem, a Jondrette mówił dalej:

– Czy posmarowałaś zawiasy u drzwi, żeby nie skrzypiały?

– Posmarowałam – odpowiedziała kobieta.

– Która godzina?

– Niedługo będzie szósta. Tylko co biło pół u św. Medarda.

– Do diabła! – rzekł Jondrette. – Trzeba już wyprawić dziewczęta na czaty. Chodźcie no tu – dodał, zwracając się do córek.

Przez chwilę słychać było szepty.

Jondrette znowu odezwał się głośno:

– Stara Burgon na mieście?

– Tak – odpowiedziała matka.

– Czy na pewno sąsiada nie ma w domu?

– Nie było go przez cały dzień, a wiesz dobrze, że to godzina jego obiadu.

– Czy tylko na pewno?
– Jak najpewniej.
– Ale nie szkodzi – mówił Jondrette – pójsć sprawdzić, czy go przypadkiem nie ma. Weź no, córko, świecę i zajrzyj tam.

Mariusz zsunął się na podłogę i na czworakach, cichutko, wpełznął pod łóżko.

Ledwie się tam ulokował, spostrzegł światło przez szpary drzwi.

– Tato! – zawołał głos – nie ma go, wyszedł.

Mariusz poznał głos starszej dziewczyny.

– Czyś weszła do środka? – zapytał ojciec.

– Nie – odpowiedziała córka – ale klucz tkwi w zamku, więc wyszedł.

Ojciec zawołał znowu:

– Wejdz jednak, zobacz.

Drzwi się otworzyły i Mariusz ujrzał na progu starszą córkę Jondrette'a ze świecą w ręku. Była taka sama jak rano, tylko jeszcze bardziej przerażająca w tym świetle.

Szła wprost do łóżka; Mariusz miał chwilę niewysłowionej obawy, ale koło łóżka znajdowało się lustro przybite do ściany i tam właśnie kierowała się.

Stanęła na palcach i zaczęła się przyglądać. W sąsiedniej izbie słychać było brzęk poruszanego żelastwa.

Przyglądziła sobie ręką włosy i zaczęła uśmiechać się do lustra, nucąc swoim ochrypłym, ponurym głosem:

*Miłości nasze trwały tydzień cały,
Lecz przecież losy mogły być laskawsze
Dla dwojga serc, co po to się spotkały,
Żeby pokochać się na zawsze!
Żeby pokochać się na zawsze!*

Mariusz drżał. Zdawało mu się, że dziewczyna nie mogła nie usłyszeć jego oddechu.

Podeszła do okna i spoglądając przez szybę, powiedziała głośno, właściwym sobie, głupkowskim tonem:

– Jaki ten Paryż jest brzydki w białej koszuli! Znowu wróciła do lustra i przyglądała się sobie to na wprost, to z boku.

– No i co? – zawołał ojciec. – Co tam robisz tak długo?

– Szukam pod łóżkiem i pod meblami – odpowiedziała, wciąż poprawiając włosy. – Nie ma nikogo.

– Małpo jedna! – zawołał ojciec. – Wracaj mi zaraz, nie ma czasu!

– Już idę, już idę – mówiła dziewczyna. – Człowiek na nic nie ma czasu w tej ich przeklętej dziurze.

I zanuciła:

*Rzucasz mnie idąc na wojnę,
Smutek mój ścigać cię będzie...*

Raz jeszcze rzuciła okiem w lustro i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili Mariusz usłyszał bose kroki dziewcząt na korytarzu i głos Jondrette'a, który wołał za nimi:

– Uważajcie dobrze! Jedna od strony rogatki, druga na rogu ulicy Małego Bankiera. Ani na

chwile nie spuszczać z oka drzwi domu. Jakby się tylko pokazało cokolwiek, natychmiast przychodzić tutaj. Co tchu. Macie klucz od wejścia.

Starsza mruknęła:

– Stać na straży z bosymi nogami na śniegu!

– Jutro będziecie miały jedwabne buciki koloru skarabeusza – rzekł ojciec.

Zeszły ze schodów i w kilka chwil potem trzaśnięcie drzwiami wejściowymi oznajmiło, że już wyszły na ulicę.

W całym domu zostali tylko Jondrette'owie i Mariusz; a zapewne również i owe tajemnicze istoty, które Mariusz zauważył w zmroku za drzwiami nie zamieszkanego izdebki.

Na co użyto pięciu franków Mariusza

Mariusz uznał, że powinien już wrócić na stanowisko obserwacyjne. W mgnieniu oka, z właściwą swojemu wiekowi zwinnością, znalazł się przy otworze w ścianie.

Zajrzał.

Wnętrze izby Jondrette'ów przedstawiało widok osobliwy; Mariusz teraz dopiero mógł sobie wytłumaczyć dziwne światło, które przedtem spostrzegł. Paliła się tam świeca w mosiężnym, zaśniedziałym lichtarzu, lecz właściwie nie jej światło oświetlało izbę. Całe poddasze jakby iluminowane było czerwonym blaskiem idącym od sporego żelaznego piecyka, postawionego w kominie i pełnego rozżarzonych węgli. Był to ten piecyk, który żona Jondrette'a przygotowała z rana. Węgiel płonął i piecyk rozgrzał się do czerwoności. Migwały w nim błękitne płomyki, pozwalając rozróżnić kształt dłuta kupionego przez Jondrette'a na ulicy Pierre-Lombard. Dłuto, wetknięte w żar, było także czerwone. Widać też było w kącie przy drzwiach, przygotowane chyba na jakiś z góry przewidziany użytek, dwa stosy, jeden jakby żelastwa, drugi – postronków. Wszystko to w oczach człowieka, który by nie wiedział, co się tam szykowało, mogło się zarówno wydać złowieszcze, jak i całkiem zwykłe. Izba oświetlona w ten sposób wyglądała raczej na kuźnię niż na piekielne czeluście, ale Jondrette przy tym świetle podobny był bardziej do szatana niż do kowala.

Księżyc, wpadający poprzez cztery szyby okna, rzucał swoje blade światło na poczerwieniałą i rozgorzałą izbę i dla poetycznego umysłu Mariusza, który umiał marzyć nawet w chwilach czynu, wyglądało to niby myśl niebiańska wplatana w dręczące ziemskie sny.

Jondrette zapalił fajkę, usiadł na przedziurawionym krześle i pykał. Żona coś do niego mówiła po cichu.

Nagle Jondrette odezwał się głośno:

– Aha, coś mi się przypomniało! Na taką porę przyjedzie pewnie dorożka. Zapal latarnię, weź ją i jeżdż. Postoisz za drzwiami od ulicy. Kiedy usłyszysz, że dorożka zajechała, zaraz otworzysz, on wysiądzie, poświecisz mu na schodach i na korytarzu i kiedy on będzie wchodził tutaj, ty zbiegniesz prędko, zapłacisz woźnicy i odprawisz dorożkę.

– A pieniądze? – spytała żona.

Jondrette sięgnął do kieszeni i dał jej pięć franków.

– A to co znowu? – zawołała. Jondrette odpowiedział z godnością:

– To forsa, którą sąsiad dał nam dzisiaj rano.

I dodał:

– Wiesz co? Trzeba by tu dwóch krzesel.

– Po co?

– Żeby było na czym usiąść.

Mariusz uczył dreszcz w całym ciele, słysząc, jak Jondrette'owa odpowiada spokojnie:

– No to przyniosę od sąsiada.

Szybkim ruchem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Stało się to tak prędko, że Mariusz nie mógł zejść z komody schować się pod łóżkiem.

– Weź świecę – zawołał Jondrette.

– Nie trzeba – rzekła – tylko by mi zawadzała, muszę zabrać dwa krzesła. Księżyc świeci.

Mariusz usłyszał, jak ciężka ręka matki Jondrette szuka po omacku klucza w jego zamku. Drzwi się otworzyły. Stał nieruchomo, jak przygwożdżony do ściany, zdrętwiały z przerażenia. Jondrette'owa weszła.

Przez mansardowe okienko wpadało światło księżyca, jasną smugą dzieląc na dwie części mrok izdebki. Jedna z tych dwu części ciemności całkowicie zasłaniała ścianę, do której się przycisnął Mariusz, dzięki temu niewidzialny.

Jondrette'owa rozejrzała się, nie spostrzegła Mariusza, wzięła dwa krzesła – wszystkie, jakie miał – i wyszła, głośno zatraskując za sobą drzwi.

Wróciła do swojej izby.

– Są dwa krzesła.

– Bierz latarnię – rzekł mąż. – Schodź prędko.

Usłuchała spiesznie i Jondrette został sam.

Ustawił krzesła po dwóch stronach stołu, poruszył dłuto tkwiące w żarze, ustawił przed kominem stary parawan, żeby zasłonić piecyk, potem poszedł do kąta, gdzie leżał stos sznurów, i schylił się coś oglądając. Mariusz poznał wówczas, że to, co wziął za bezkształtną masę postronków, było bardzo starannie zrobioną sznurową drabiną z drewnianymi szczeblami i dwoma hakami do zaczepiania.

I ta drabina, i kilka potężnych narzędzi, wyglądających na prawdziwe maczugi z żelaza, które widać było wśród stosu żelastwa nagromadzonego za drzwiami, rano nie znajdowały się jeszcze w izbie Jondrette'ów i widocznie zostały przyniesione dopiero po południu, podczas nieobecności Mariusza.

To narzędzie ślusarskie – pomyślał Mariusz.

Gdyby Mariusz był nieco bardziej wykształcony w tym zakresie, mógłby rozpoznać wśród tego, co wziął za rysz tunek ślusarza, przyrządy do wyłamywania zamków i otwierania drzwi oraz do piłowania i przecinania.

Komin i stół z dwoma krzesłami znajdowały się na wprost Mariusza. Po zasłonięciu piecyka izbę oświetlała już tylko świeca; najmniejsza skorupa na stole czy na kominie rzucała duży cień. Wyszczerbiony dzban na wodę zaciemniał pół ściany. Panował w tej izbie niesamowity, przerażający spokój. Czulo się tu oczekiwanie na coś strasznego.

Jondrette usiadł znowu na swoim miejscu i był tak zajęty myślami, że nawet nie zauważył, jak mu zgasła fajka. Światło świecy uwydatniało dzikie i przebiegłe rysy jego twarzy. Niekiedy marszczył brwi i gwałtownie poruszał prawą ręką, jak gdyby odpowiadał na ostatnie rady, które mu podsuwał jakiś ponury monolog wewnętrzny. W jednej z tych tajemniczych odpowiedzi, które dawał sam sobie, wyciągnął nagle szufladę stołu, wyjął z niej długi nóż kuchenny i spróbował jego ostrza na paznokciu. Następnie włożył go z powrotem do szuflady i zasunął ją.

Mariusz jednocześnie wyjął z prawej kieszeni pistolet i odwiódł kurek.

Pistolet wydał przy tym lekki zgrzyt.

Jondrette zadrżał i na wpół podniósł się z krzesła.

– Kto tam? – krzyknął.

Mariusz wstrzymał oddech, Jondrette nasłuchiwał przez chwilę, po czym roześmiał się i rzekł:

– Osioł ze mnie! To trzeszczy przepierzenie.

Mariusz wciąż trzymał pistolet w ręku.

Dwa krzesła Mariusza stoją naprzeciw siebie

Nagle daleki i smutny dźwięk dzwonu wstrząsnął szybami.

Zegar na wieży u św. Medarda bił szóstą.

Jondrette odliczał uderzenia skinieniami głowy. Po wybiciu ostatniego palcami objaśnił świecę.

Potem zaczął chodzić po izbie, nasłuchiwał w korytarzu, chodził i znowu nasłuchiwał.

– Byle tylko przyszedł – mruczał pod nosem.

Ledwie usiadł z powrotem, drzwi otworzyły się.

Otworzyła je Jondrette'owa, po czym cofnęła się na korytarz z potwornym grymasem ugrzecznienia, oświetlonym z dołu przez latarnię.

– Proszę, niech pan wejdzie – mówiła.

– Proszę, szlachetny dobroczyńco – powtórzył Jondrette, zrywając się gwałtownie.

Ukazał się pan Biały.

Miał na twarzy wyraz pogody, który go czynił szczególnie czcigodnym.

Położył na stole cztery luidory.

– Panie Fabantou – rzekł – oto na twoje komorne i wasze pierwsze potrzeby. Później jeszcze zobaczymy.

– O, niech ci Bóg zapłaci, mój szlachetny dobroczyńco! – rzekł Jondrette.

I zbliżając się szybko do żony, dodał:

– Odpraw dorożkę!

Wymknęła się za drzwi, a mąż jej kłaniał się i podsuwał krzesło panu Białemu. Po chwili wróciła i szepnęła mu do ucha:

– Już.

Śnieg, który bez ustanku padał od rana, leżał na ulicy tak grubo, że nie było słychać ani przyjazdu dorożki przed chwilą, ani jej odjazdu.

Tymczasem pan Biały usiadł.

Jondrette zajął drugie krzesło, naprzeciw pana Białego. A teraz, żeby lepiej zrozumieć scenę, która nastąpi, niech sobie czytelnik wyobrazi mroźną noc, pustą dzielnicę Salpêtriére, przykrytą śniegiem i bielejącą w promieniach księżyca jak gdyby jakiś ogromny całun; mdłe światło ulicznych latarni gdzieniegdzie rozjaśniające czerwienią te tragiczne bulwary i długie rzędy czarnych wiązów; ani jednego przechodnia na jakie ćwierć mili dokoła, ruderę Gorbeau w najwyższym punkcie ciszy, grozy i nocy, a w tej ruderze, wśród tej pustki, wśród tych mroków, obszerną izbę Jondrette'a oświetloną jedną tylko świecą; w tej izbie dwóch ludzi przy stole: pana Białego, który siedzi spokojnie, i Jondrette'a ze straszliwym uśmiechem, jego żonę, matkę-wilczycę, w kącie, i za przepierzeniem Mariusza, który niewidzialny, w pogotowiu, nie tracąc ani jednego słowa, ani jednego ruchu, wytyżając wzrok, czeka z pistoletem w zaciśniętej dłoni.

Uważać na ciemne kąty

Usiadłszy na krześle, pan Biały spojrzął ku tapczanom, które były puste.

– Jakże się ma skaleczona dziewczynka? – zapytał.

– Źle – odpowiedział Jondrette ze zmartwionym i pełnym wdzięczności uśmiechem. – Bardzo źle, przezacny panie. Starsza siostra zaprowadziła ją do szpitala Bourbe, żeby ją tam opatrzono. Zobaczy je pan obie, zaraz wróca.

– Ale pani Fabantou wydaje mi się trochę zdrowsza? – rzekł pan Biały.

– Jest umierająca! – odparł Jondrette. – Ale to, uważa pan, krzepka kobieta! Wól, nie kobieta!

Jondrette'owa, wzruszona pochwałą, zawołała, mizdrząc się, jak potwór, który został pogłaskany:

– Zawsześ taki dobry dla mnie, mości Jondrette.

– Jondrette? – zapytał pan Biały. – Zdawało mi się, że się pan nazywa Fabantou?

– Fabantou, zwany Jondrette – podchwycił żywo mąż. – Przewisko aktorskie!

I przesyłając żonie wzruszenie ramion, czego pan Biały nie zauważył, mówił dalej głosem przesadnym i pieszczotliwym:

– Ach, to biedactwo i ja byliśmy zawsze dobrym małżeństwem. Cóż by nam zostało, gdybyśmy nie mieli choć tego! Jesteśmy tak nieszczęśliwi, czcigodny panie! Człowiek ma ręce, ale nie ma pracy! Człowiek ma chęci, ale nie ma roboty! Nie wiem prawdziwie, jak rząd układa to wszystko – słowo honoru, łaskawy panie, nie jestem wcale jakobinem ani żadnym zagorzalcem, nie życzę mu nic złego, ale gdybym był ministrem, może mi pan wierzyć, wszystko szłoby inaczej. Proszę, przykład – chciałbym moje córki wyuczyć robienia pudełek. Powiesz mi pan na to: Jak to! Rzemiosło? Tak! Rzemiosło, liche rzemiosło, byle żyć! Co za upadek, szlachetny dobroczyńco. Co za poniżenie, kiedy się było tym, czym myśmy byli! Niestety! Nie pozostało nam już nic z czasów naszego dobrobytu! Nic, tylko Jeden przedmiot, obraz, do którego jestem przywiązany, ale którego byłbym skłonny pozbyć się, bo trzeba żyć! *Item*⁸ trzeba żyć!

Podczas gdy Jondrette mówił, na pozór chaotycznie, co jednak bynajmniej nie odbierało jego twarzy wyrazu skupienia i przebiegłości, Mariusz podniósł wzrok i ujrzał w głębi izby – kogoś, kogo dotąd nie widział. Przed chwilą wszedł jakiś człowiek tak cicho, że nawet nie słyhać było skrzypnięcia zawiasów u drzwi. Miał on na sobie kamizelkę z fioletowego trykotu, starą, zużytą, poplamioną, podartą i ziejącą szparami na wszystkich szwach, szerokie spodnie z bawełnianego welwetu, grube skarpetki na nogach, był bez koszuli, z gołą szyją, z gołymi i tatuowanymi ramionami, z twarzą pomazaną na czarno. Usiadł w milczeniu na najbliższym, tapczanie, skrzyżowawszy ręce, a ponieważ znajdował się za żoną Jondrette'a, ledwie go było widać.

Ów rodzaj magnetycznego przeczucia, który ostrzega nasz wzrok, sprawił, że pan Biały odwrócił się prawie jednocześnie z Mariuszem. Nie mógł powściągnąć wyrazu zdziwienia, który nie uszedł oka Jondrette'a.

– A, widzę, że się pan przypatruje swojemu płaszczowi – zawołał, zapinając się z zadowoloną miną. – Jakby na mnie uszyty; doprawdy, jakby na mnie uszyty!

– Co to za człowiek? – zapytał pan Biały.

– Ten? – rzekł Jondrette. – To sąsiad. Niech pan na niego nie zważa.

⁸ poza tym (łac.)

Ów sąsiad miał powierzchowność osobliwą. Ale w okolicy przedmieścia Saint-Marceau znajduje się wiele fabryk wyrobów chemicznych. Robotnicy z tych fabryk miewają uczernione twarze. Cała osoba pana Białego tchnęła prostą a nieustraszoną ufnością. Mówił dalej:

– Przepraszam, o czym mi pan mówił, panie Fabantou?

– Mówilem, zacny i ukochany opiekunie – ciągnął Jondrette, wsparłszy się łokciami na stole i wlepiając w pana Białego wzrok uporczywy i tkliwy, dość podobny do spojrzenia węża boa – mówiłem panu, że mam obraz do sprzedania.

U drzwi dał się słyszeć lekki szmer. Wszedł drugi człowiek i też usiadł na tapczanie za Jondrette'ową. Miał jak i pierwszy obnażone ręce i na twarzy maskę z atramentu czy z sadzy.

Jakkolwiek ten człowiek dosłownie wśliznął się do izby, pan Biały spostrzegł go.

– Niech pan na to nie zwraca uwagi – rzekł Jondrette. – To domowi. Mówilem więc, że mam jeszcze cenny obraz... O, niech pan zobaczy.

Wstał, podszedł ku ścianie, o którą była oparta wspomniana już przez nas rama, odwrócił ją i postawił w tym samym miejscu pod ścianą.

Było to rzeczywiście coś na kształt obrazu, co blask świecy pozwalał od biedy obejrzeć. Mariusz nie mógł zobaczyć szczegółów, gdyż Jondrette stał między nim a malowidłem; dostrzegł tylko płótno zasmarowane pędzlem ordynarnego pacykarza i jakąś niby główną osobę, namalowaną z wrzaskliwą jaskrawością bohomasów jarmarcznych i scen zdobiących parawany.

– Co to jest? – zapytał pan Biały.

Jondrette wpadł w ferwor:

– Mistrzowskie malowidło, dzieło ogromnej wartości, mój dobroczyńco! Kocham ten obraz jak moje obie córki. Przywodzi mi na pamięć tyle wspomnień! Ale powiedziałem już i nie cofam słowa – jestem tak nieszczęśliwy, że byłbym skłonny go sprzedać!

Czy przypadkiem, czy też dlatego, że zaczynał go nurtować niepokój, wzrok pana Białego, niby to oglądając obraz, skierował się w głąb izby. Było tam już czterech ludzi, trzech siedzieli na tapczanie, jeden stał oparty o ścianę przy drzwiach, wszyscy z obnażonymi ramionami, nieruchomi, z twarzami umazanymi na czarno. Jeden z siedzących oparł się o ścianę i zamknął oczy; wydawało się, że śpi. Ten był stary; jego siwe włosy przy czarnej twarzy robiły okropne wrażenie. Dwaj inni zdawali się młodzi; jeden miał brodę, drugi długie włosy. Wszyscy bez obuwia; ci, co nie mieli na nogach skarpetek, byli boso.

Jondrette zauważył, że wzrok pana Białego zwrócił się ku tym ludziom.

– To przyjaciele, sąsiedzi – rzekł. – Umorusani, mają do czynienia z węglem. Oni są zdunami. Nie zajmuj się nimi, mój dobroczyńco, ale kup mój obraz. Miej litość nad moją nędzą. Nie będę się drożył. Ile go pan ceni?

– Ależ – rzekł pan Biały, patrząc Jondrette'owi prosto w oczy, jak człowiek, który się zaczyna mieć na baczości – to jest jakiś szyld znad oberży, wart ze trzy franki.

Jondrette odparł mu ze słodyczą:

– Czy ma pan przy sobie pugilares? Przystanę na trzech tysiącach franków.

Pan Biały wstał, oparł się o ścianę i szybko rozejrzał się po izbie.

Miał Jondrette'a po lewej ręce; od okna, a jego żonę i czterech mężczyzn po prawej, od drzwi. Mężczyźni ci nie ruszali się wcale i zdawali się go nie widzieć. Jondrette zaś zaczął mówić dalej, płaczącym głosem, ze spojrzeniem tak zamglonym i z tak żalną intonacją, że pan Biały mógł pomyśleć, iż człowiek, którego miał przed oczyma, po prostu oszalał z nędzy.

– Jeżeli pan nie kupi ode mnie tego obrazu, drogi dobroczyńco mówił Jondrette – nie ma już dla mnie ratunku i jedno pozostaje mi tylko, rzucić się do rzeki. Pomyśleć, że chciałem wyuczyć moje córki roboty ozdobnych pudełek, do świątecznych podarunków! A do tego potrzeba stołu z deską z tyłu, żeby się szkła nie zsuwały na ziemię trzeba specjalnego piecyka, garnka z trzema

przegrodami, żeby w nim robić klej o rozmaitej gęstości, do drzewa, do papieru i do materii; trzeba nożyka do krajania tektury, formy do pasowania pudełek, młotka do przybijania stalowych ozdób, pędzli, pędzelków, diabli wiedzą, czego jeszcze! A wszystko po to, żeby zarobić cztery su dziennie, pracując po czternaście godzin! Każde pudełko przechodzi trzynaście razy przez ręce robotnicy! Zwilżać papier, nic nie poplamić, uważać, żeby klej nie ostygł – niech to piorun strzeli! Za cztery su dziennie powiadam! Jak pan chce, żeby z tego wyżyć?

Mówiąc to wszystko, Jondrette nie patrzył na pana Białego, który mu się przyglądał. Wzrok pana Białego utkwiony był w Jondrette'a, a wzrok Jondrette'a w drzwi. Gorączkowa bacność Mariusza przebiegała od jednego do drugiego. Pan Biały wyglądał, jakby zadawał sobie pytanie: Czy to idiota? Jondrette powtórzył jeszcze parę razy w rozmaitych odcieniach tonacji żebrząco-błagalnej:

– Nie pozostaje mi nic, tylko rzucić się do rzeki! Któregoś dnia zszedłem już nawet z trzech schodów przy moście Austerlickim!

Nagle jego zagasłe źrenice rozgorzały ohydny płomieniem, ten mały człowiek wyprostował się i stał się straszny; postąpił o krok ku panu Białemu i zawołał grzmiącym głosem:

– To wcale nie o to idzie! Czy mnie pan nie poznaje?

Zasadzka

Drzwi izby otworzyły się gwałtownie i ukazało się w nich trzech ludzi w płóciennych niebieskich bluzach i maskach z czarnego papieru. Pierwszy z nich był chudy i miał w ręku długą pałkę okutą żelazem; drugi był rodzajem olbrzyma i trzymał przez środek rękojeści, ostrzem na dół, wielki topór rzeźniczy. Trzeci człowiek, barczysty, nie tak chudy jak pierwszy, nie tak atletyczny jak drugi, ścisnął w garści ogromny klucz, skradziony z drzwi jakiegoś więzienia.

Zdaje się, iż Jondrette czekał na ich przybycie. Zawiązała się szybka rozmowa między nim i człowiekiem uzbrojonym w pałkę, tym chudym.

- Wszystko gotowe? – zapytał Jondrette.
- Wszystko – odpowiedział chudy.
- A gdzie Montparnasse?
- Pierwszy amant rozmawia z twoją córką.
- Z którą?
- Ze starszą.
- Czy dorożka jest na dole?
- Jest.
- A bryczuszka zaprzężona?
- Zaprzężona.
- W dwa dobre konie?
- Doskonale.
- Czeka tam, gdzie kazałem?
- Tam.
- Dobrze – rzekł Jondrette.

Pan Biały był bardzo blady. Rozglądał się po izbie jak człowiek, który rozumie, co mu grozi; głowa jego, kolejno zwracając się ku wszystkim głowom, które go otaczały, obracała się z

powolnością zdziwioną i baczna, lecz nie było w jego postawie nic podobnego do strachu. Zrobił sobie ze stołu zaimprovizowany szaniec; ten człowiek, który przed chwilą wyglądał tylko na poczciwego starszego pana, stał się nagle atletą i położył swoją potężną pięść na poręczy krzesła ruchem groźnym i zastanawiającym.

Starzec ten, tak pewny siebie i tak odważny wobec podobnego niebezpieczeństwa, wydawał się jedną z tych natur, które w sposób najprostszy w świecie łączy odwagę i dobroć. Ojciec kobiety, którą kochamy, nigdy nie jest dla nas obcy; Mariusz był dumny z nieznanego.

Trzej ludzie, o których Jondrette powiedział: „oni są zdunami”, wybrali tymczasem ze stosu żelastwa, jeden – spore nożyce, drugi – obcęgi, trzeci – młot, i uszykowali się w poprzek drzwi, nie mówiąc ani słowa. Stary został na tapczanie i tylko na chwilę otworzył oczy. Żona Jondrette’a usiadła obok niego.

Mariusz pomyślał, że już za chwilę wypadnie wdać się w tę sprawę, i podniósł prawą rękę ku sufitowi, w kierunku korytarza, gotów do wypalenia z pistoletu.

Jondrette, ukończywszy swoją rozmowę z człowiekiem trzymającym maczugę, zwrócił się znowu ku panu Białemu i przy. akompaniamencie cichego, stłumionego, straszego śmiechu powtórzył swoje pytanie:

– Więc mnie pan nie poznaje?

Pan Biały spojrzał mu w oczy i rzekł:

– Nie.

Wtedy Jondrette zbliżył się do stołu.

Pochylił się nad świecą, skrzyżował ramiona, przysunął swoją kanciastą i okrutną szczękę, tak blisko jak mógł, do spokojnej twarzy Białego, który nawet nie drgnął, i w tej postawie dzikiego zwierza szczerzącego kły wrzasnął:

– Nie nazywam się Fabantou, nie nazywam się Jondrette, nazywam się Thénardier! Jestem karczmarzem w Montfermeil! Czy pan dobrze słyszy? Thénardier! Teraz poznaje mnie pan?

Ledwie dostrzegalny rumieniec przesunął się po czole pana Białego. Swoim zwykłym, spokojnym głosem, który ani nie zadrżał, ani się nie podniósł, odpowiedział:

– Nie więcej niż przedtem.

Mariusz nie usłyszał już tej odpowiedzi. Kto by go widział w tej chwili, wśród tych ciemności, ten zobaczyłby, że osłupiał jak rażony gromem. Kiedy Jondrette wyrzekł: „Nazywam się Thénardier”, zadrżał całym ciałem i oparł się o ścianę, jakby uczuł chłód ostrza przeszywającego mu serce szpady. A potem jego prawa ręka, gotowa lada chwila dać umówiony wystrzał, opadła powoli i kiedy Jondrette powtórzył: „Czy pan dobrze słyszy? Thénardier!”, słabnące palce Mariusza omal nie upuściły pistoletu. Jondrette, odkrywając nagle kim był, nie wywołał najmniejszego wzruszenia w panu Białym, a za to wstrząsnął Mariuszem.

To nazwisko Thénardier, którego pan Biały zdawał się nie zna wcale, Mariusz znał dobrze. Trzeba sobie przypomnieć, czym to nazwisko było dla niego! Nazwisko to nosił na sercu, zapisane w testamencie ojca! Nosił je w głębi myśli, w głębi pamięci, w tym świętym zleceniu: „Pewien Thénardier ocalił mi życie. Jeżeli go syn mój kiedy spotkał, niech zrobi dla niego wszystko, co tylko będzie w jego mocy”. Nazwisko to, jak sobie przypominamy, było jedną z pobożnych pamiątek jego duszy; w kulcie swoim wiązał je zawsze z nazwiskiem ojca. Jak to? Więc to był ów Thénardier, więc to był ten karczmarz z Montfermeil, którego na próżno i tak długo szukał! Odnaleziony nareszcie, ale jak! Ów zbawca jego ojca był bandytą; ów człowiek, któremu Mariusz pragnął się poświęcić, był potworem! Ten, który ocalił życie pułkownikowi Pontmercy, właśnie w tej chwili zamierzał dokonać zamachu, którego charakteru Mariusz dobrze jeszcze nie znał, ale który podobny był do morderstwa! I to na kim? Wielki Boże! Co za fatalność, co za gorzkie szyderstwo losu! Ojciec jego nakazywał mu z głębi mogiły zrobić

wszystko, co będzie w jego mocy, dla Thénardiera; od czterech lat Mariusz myślał tylko o jednym – żeby spłacić ten dług swego ojca, i właśnie wtedy, kiedy miał wydać w ręce sprawiedliwości złoczyncę, zabierającego się do wykonania zbrodni, przeznaczenie zawołało: To Thénardier!

Cóż począć? Co wybrać? Sprzeniewierzyć się pamięci, sprzeniewierzyć się najgłębszym zobowiązaniom powziętym wobec samego siebie, sprzeniewierzyć się najświętszemu obowiązкови zleconemu wyraźnie w ostatniej woli ojca, czy zezwolić na popełnienie zbrodni? Był bliski omdlenia.

Tymczasem Thénardier (nie będziemy go już odtąd nazywali inaczej) przechadzał się tam i z powrotem przed stołem, w stanie triumfalnego podniecenia.

Schwycił w garść świecę i postawił ją na kominie tak gwałtownie, że o mało nie zgasła i łój obryzgał ścianę.

Potem zwrócił się ku panu Białemu, blady, straszliwy, i wycharknął:

– A co, złapany jesteś, wpadłeś, nie wyjdiesz na sucho! I znów zaczął chodzić, wybuchając już do reszty:

– A! – wołał – znajduję cię nareszcie, mości filantropie, obdarty milionerze! Panie rozdawaczu lalek! Stary jolopie! Nie poznajesz mnie? Nie? To może nie ty byłeś u mnie w Montfermeil w mojej karczmie, osiem lat temu, w Wigilię Bożego Narodzenia 1823 roku?

To nie ty uprowadziłeś ode mnie dziecko Fantyny, Skowronka? To nie ty miałeś wtedy na sobie żółty surdut, co? I zawiniątko pełne odzieży w ręku, jak tutaj dziś rano? Widzisz go, żono, on chyba choruje na roznoszenie po domach paczek z wełnianymi pończochami. Miłosierny dziadek! Cóż to, czy masz fabrykę pończoch, mości milionerze? Pewnie oddajesz biednym twoje sklepowe zapasy, święty człowiecze? Co za błażeństwo! Ach, więc nie poznajesz mnie. A ja cię poznaję! Poznałem cię od razu, jak tylko wetknąłeś tu pysk.

Umilkł i zdawał się przez chwilę rozmawiać z samym sobą. Rzecz by można, że wściekłość jego, jak Rodan, przepadała w jakiejś podziemnej czeluści; potem, jakby kończąc głośno to, co sobie powiedział po cichu, uderzył pięścią w stół i zawołał:

– Ach, ta jego pocziwa mina!

I zwracając się do pana Białego:

– Do diabła, zakpiłeś sobie kiedyś ze mnie. Jesteś przyczyną wszystkich moich nieszczęść! Dostałeś za tysiąc pięćset franków dziewczynę, która była u mnie i której rodzice byli na pewno bogaci. Przyniosła mi już sporo pieniędzy i mogłem mieć z niej utrzymanie do końca życia. Oddałaby mi z procentem wszystko, com stracił w tej przeklętej garkuchni, gdzie szła zabawa jak sto diabłów i gdzie przejadłem jak ostatni dureń cały mój dobytek! Bodaj wszystko wino, które kto kiedy wypił u mnie, obróciło mu się w truciznę! Zresztą, pal sześć! Powiedz no, musiałeś się zdrowo nabijać ze mnie, kiedyś sobie poszedł ze Skowronkiem? Miałeś wtedy w lesie pałkę. Byłeś silniejszy. Wet za wet. Teraz moje na wierzchu. Jesteś z kretelem przegrany, robaczku! Ho, ho, boki zrywać ze śmiechu!

Thénardier przestał wreszcie mówić. Zadyszał się. Jego szczupłe, wąskie piersi pracowały jak kowalskie miechy. Oczy jego pełne były nikczemnego szczęścia istoty słabej, okrutnej i podłej, która może nareszcie zdeptać tego, kogo się lękała, i znieważać tego, komu schlebiała; szczęście karła, który by postawił stopę na głowie Goliata; radość szakala, który zaczyna rozszarpywać chorego byka, na tyle martwego, żeby już się nie mógł bronić, na tyle żywego, żeby jeszcze mógł cierpieć.

Pan Biały nie przerywał mu, ale kiedy on sam przerwał, powiedział:

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć. Pan się myli. Jestem człowiekiem biednym, a nie żadnym milionerem. Nie znam pana. Bierze mnie pan za kogo innego.

– A! – ryknął Thénardier – dobry wykręt! Upierasz się przy tej facecji! Bredzisz, mój stary. A, pan nie przypomina sobie! Pan nie widzi, kim jestem!

– O, bardzo pana przepraszam – odpowiedział pan Biały grzecznie i w takiej chwili taki ton zabrzmiał dziwnie i majestatycznie – widzę, że jest pan bandytą.

Któż nie zauważył, że istoty podłe łatwo się obrażają, że potwory są drażliwe. Na wyraz „bandyta” Thénardierowa podskoczyła na tapczanie, mąż jej porwał krzesło, jakby je chciał zdruzgotać w rękach.

– Nie ruszaj się! – krzyknął na żonę.

I zwracając się ku panu Białemu, zawołał:

– Bandyta?! Tak, wiem, że nas tak nazywacie, panowie bogaci! Rzeczywiście, zbankrutowałem, ukrywam się, nie mam chleba, nie mam grosza przy duszy – jestem bandytą! Już trzy dni nie miałem nic w ustach – jestem bandytą! Mości milionerze, dowiedz się w takim razie: urządziłem się, miałem koncesję, byłem wyborcą, jestem obywatelem; a pan może wcale nim nie jest!

Tu Thénardier postąpił o krok ku ludziom stojącym przy drzwiach i dodał, rozdygotany:

– I taki śmie mówić do człowieka jak do szewca!

Potem, zwracając się znowu do pana Białego, krzyknął w przyływie wściekłości:

– Dowiedz się jeszcze jednego, mości filantropie! Ja nie jestem człowiekiem podejrzanym, ja nie jestem człowiekiem, którego nazwiska nikt nie zna i który włóczy się po domach, żeby kraść dzieci! Jestem dawnym żołnierzem francuskim, miałem dostać order, byłem pod Waterloo i w bitwie ocalałem życie jednemu generałowi, który się nazywał hrabia jakoś tam! Powiedział mi swoje nazwisko, ale, cholera, miał już taki słaby głos, że usłyszałem tylko: merci. Wolałbym usłyszeć jego nazwisko niż podziękowanie. Mógłbym go później odszukać. Ten obraz, który masz przed oczami, który jest malowany przez Davida w Brukseli, czy wiesz, kogo on przedstawia? Mnie przedstawia! David chciał uwiecznić ten bohaterski czyn. To ja dźwigam na plecach tego generała i wynoszę go spod kartaczy. Tak to było! A ten generał nawet nigdy mi nic dobrego nie zrobił, nie więcej był wart od innych! Jednak ocalałem mu życie, sam się narażając, i mam na to kupę świadectw! Jestem żołnierz spod Waterloo, do stu tysięcy piorunów! A teraz, kiedy to wszystko łaskawie opowiedział – do rzeczy. Potrzeba mi pieniędzy, potrzeba mi dużo pieniędzy, potrzeba mi mnóstwo pieniędzy albo cię zamorduję, do kroćset milionów diabłów!

Tymczasem Mariusz odzyskał nieco władzę nad swoim wzburzeniem i słuchał. Ostatnia możliwość wątpliwości rozwiała się. Był to istotnie Thénardier z testamentu. Mariusz zadrżał na wyrzut niewdzięczności zrobiony jego ojcu, który on sam miał właśnie potwierdzić tak fatalnie. Udreka jego wzrosła.

Mistrzowski obraz, malowidło Davida, którego nabycie proponował Thénardier panu Białemu, był po prostu (co czytelnik już zapewne odgadł) szyldem jego dawnej oberży, malowanym, jak sobie przypominamy, przez niego samego, ostatnim szczątkiem ocalałym z jego bankructwa w Montfermeil.

Ponieważ Thénardier przestał wreszcie zasłaniać Mariuszowi, mógł on teraz przyjrzeć się obrazowi i w malowidle rozpoznał rzeczywiście bitwę, tło z dymu, i człowieka, który niósł drugiego na plecach. Był to Thénardier i Pontmercy, sierżant– zbawca i ocalony pułkownik. Mariusz odchodził od zmysłów; obraz ten zdawał się wskrzeszać jego ojca; nie był to już szyld karczmy w Montfermeil, było to zmartwychwstanie, grobowiec rozwarł się, wstało z niego widmo. Mariusz słyszał tętno serca w skroniach, w uszach grzmiały mu działa spod Waterloo, ojciec krwią zbroczony, niewyraźnie namalowany na tych złowieszczych deskach, przerażał go i zdawało mu się, że ta bezkształtna postać patrzy na niego.

Thénardier złapał wreszcie oddech, wlepił w pana Białego swoje krwawe źrenice i rzekł, cicho

i krótko:

– Co masz do powiedzenia, zanim z tobą zatańczymy?

Pan Biały milczał. Wśród tego milczenia ochrypli głos odezwa się z korytarza, szyszając złowrogo:

– Względem rąbania drzewa, to już ja jestem gotów.

To cieszył się człowiek z toporem.

Jednocześnie ogromna twarz, szczeciniasta i ziemistoszara, zajrzała do izby, ukazując w okropnym śmiechu nie zęby, lecz kły. Była to twarz człowieka z toporem.

– Dlaczego zdjąłeś maskę? – krzyknął na niego ze złością Thénardier.

– Żeby się śmiać – padła odpowiedź.

Od pewnego czasu pan Biały zdawał się uważać i śledzić wszystkie ruchy Thénardiera, który zaślepiony i olśniony własną wściekłością, chodził tam i z powrotem po swojej jaskini ze swobodą, która, dawała mu pewność, że drzwi są strzeżone, że trzyma w zbrojne dłoni bezbronnego, że jest ich dziewięciu przeciw jednemu, licząc Thénardierową za jednego tylko mężczyznę. Besztając człowieka! toporem, odwrócił się tyłem do pana Białego.

Pan Biały skorzystał z tej chwili, nogą odepchnął krzesło, pięścią stół i jednym skokiem, z nieprawdopodobną zwinnością, zanim Thénardier miał czas się odwrócić, znalazł się koło okna. Otworzył je, wskoczył na nie, przerzucił nogę przez parapet – było dziełem jednej chwili. Był już połową ciała na zewnątrz, kiedy sześć potężnych dłoni schwytało go i gwałtem wciągnęło na powrót do izby. To trzej „zdunowie” rzucili się na niego. Jednocześnie Thénardierowa złapała go za włosy.

Na harmider, jaki przy tym powstał, inni bandyci zbiegli się z korytarza. Stary, który siedział na tapczanie i który się wydawał pijany, zląkł z legowiska i zataczając się podszedł także, z młotem do rozbijania kamieni w rękę.

Jeden ze „zdunów”, którego umazaną twarz oświetlała świeca i w którym Mariusz pomimo uczernienia rozpoznał Panchauda, zwanego Wiosennym lub Urwipółciem, podniósł ponad głową pana Białego rodzaj krótkiej żelaznej pałki, mającej na obu końcach kule z ołowiu.

Mariusz nie mógł już powstrzymać się dłużej. Ojciec mój! – pomyślał – przebac mi! – I palec jego poszukał kurka pistoletu. Miał wypalić, kiedy nagle doszedł go głos Thénardiera:

– Nie robić mu nic złego!

Ten rozpaczliwy wysiłek ofiary, zamiast bardziej rozwścieczyć Thénardiera, uspokoił go. Było w nim dwóch ludzi: człowiek dziki i człowiek zręczny. Aż do tej chwili, w upojeniu triumfu, wobec zdobywcy powalonej na ziemię i nie dającej znaku życia, przeważał człowiek dziki; ale kiedy ofiara zaczęła się szamotać i próbowała walki, człowiek zręczny obudził się i wziął górę.

– Nie robić mu nic złego! – powtórzył i ani się domyślił, że przede wszystkim zatrzymał w ten sposób pistolet gotowy do strzału i obezwładnił Mariusza; znikła konieczność natychmiastowego działania i wobec tej nowej sytuacji uznał on, że można się jeszcze wstrzymać.

Zacząła się herkulesowa walka. Jednym ciosem pięści pan Biały zwałił z nóg starego złoczyńcę na podłogę, potem dwoma uderzeniami na odlew położył dwóch innych przeciwników i przycisnął ich udami; nędznicy rzęzili pod tym ciężarem, jakby pod brzemieniem młyńskiego kamienia; ale czterej inni schwycili straszliwego starca za obie ręce i za kark i trzymali go siedzącego okrakiem na dwóch powalonych „zdunach”.

Zdołali go wreszcie rzucić na tapczan najbliższy okna i tam opanować. Thénardierowa nie puściła z rąk jego włosów.

– Nie wtrącaj się do tego – powiedział Thénardier. – Podrzesz sobie szal.

Usłuchała jak wilczyca, która słucha wilka, z niechętnym pomrukiem.

– A wy – rzekł Thénardier – przetrząsnijcie mu kieszenie.

Zdawało się, że pan Biały zaniechał oporu. Przeszukali mu wszystkie kieszenie; miał przy sobie tylko skórzany woreczek, w którym było sześć franków i chustka do nosa. Thénardier włożył chustkę do swojej kieszeni.

– Jak to? Nie ma pugilaresu? – spytał.

– Ani zegarka – odpowiedział jeden ze „zdunów”.

– No tak – mruknął brzuchomówczym głosem człowiek w masce, trzymający ogromny klucz.

– To tęgi gracz.

Thénardier poszedł do kąta za drzwiami, wziął pęk sznurów i rzucił go im.

– Przywiążcie go do nogi łóżka – rzekł.

A spostrzegłszy starego, który po uderzeniu pięścią pana Białego leżał na podłodze i nie ruszał się:

– Czy Boulatruelle zabity? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Urwipoleć. – Pijany.

– Odsuńcie go w kąt.

Dwóch „zdunów” nogami popchnęło pijaka w kierunku kupy żelastwa.

Pan Biały nie bronił się już.

Złoczyńcy skrępowali go na stojąco, przywiązując solidnie do nogi tapczana, w miejscu najbardziej oddalonym od okna i najbliższym komina. Kiedy ostatni supeł został zaciśnięty, Thénardier wziął krzesło i siadł na nim prawie naprzeciw pana Białego. Po czym, oddalając ruchem ręki zbójów, którzy jeszcze przytrzymywali go

– Odejdźcie no trochę – rzekł. – Dajcie mi pomówić z panem.

Wszyscy cofnęli się ku drzwiom; on ciągnął:

– Źle pan zrobił, że pan próbował wyskoczyć przez okno. Mógł pan sobie złamać nogę. Teraz, jeżeli pan pozwoli, pogadamy spokojnie. Najprzód muszę się podzielić z panem spostrzeżeniem, jakie zrobiłem, mianowicie, że pan jeszcze ani razu nie krzyknął.

Thénardier miał słuszość, tak było w istocie, jakkolwiek ten szczegół uszedł uwagi Mariusza w jego wzburzeniu. Pan Biały zaledwie wymówił kilka słów, nie podnosząc głosu, i nawet podczas szamotania się z sześcioma bandytami pod oknem zachował najgłębsze i najosobliwsze milczenie. Thénardier mówił dalej:

– A przecież gdyby pan trochę zawołał o ratunek, nie uznałbym tego za niestosowne. – Ratunku! Bandyci! – to się zwykle mówi w takich razach, i co do mnie, wcale bym się o to nie obraził. To rzecz naturalna, że człowiek sobie hałasuje, kiedy się znajdzie wśród osób, które w nim nie wzbudzają dostatecznego zaufania! Powiem panu, jaki z tego wywodzę wniosek. Łaskawy panie, kto przybywa, kiedy się krzyczy? Policja. A tuż za policją? Sprawiedliwość. Otóż pan nie krzychał; więc widocznie tak samo jak my nie życzy pan sobie przybycia sprawiedliwości i policji. Od dawna już się domyślam, że pan ma jakiś interes w tym, żeby coś ukryć. Nam też na tym zależy, więc możemy dojść do porozumienia.

Mówiąc to wszystko, Thénardier nie spuszczał wzroku z pana Białego i zdawał się zatapiać ostrza żreń w najtajniejszych myślach swego więźnia. Ale on, związany sznurami, otoczony przez oprawców, do połowy już pogrążony jak gdyby w dole, co chwila głębiej go wchłaniającym, pozostawał niewzruszony. Był to widocznie człowiek o duszy niedostępnej trwodze i nie wiedzący, co to znaczy stracić głowę.

Thénardier podniósł się spokojnie, podszedł ku kominowi, odstawił parawan, oparł go o sąsiedni tapczan i odsłonił w ten sposób pełen żaru piecyk, w którym więzień mógł wyraźnie zobaczyć dłuto rozpalone do białości, nakrapiane tu i ówdzie szkarłatnymi gwiazdkami.

Następnie Thénardier znowu usiadł naprzeciw pana Białego.

– Wracam do tej sprawy – rzekł. – Możemy się porozumieć. Załatwmy to polubownie. Żle zrobiłem, że się przed chwilą uniosłem; sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy, zagalopowałem się, gadałem niedorzeczności. Na przykład powiedziałem, że skoro pan. Jest milionerem, żądam pieniędzy, dużo pieniędzy, mnóstwo pieniędzy. To by nie było rozsądne. Mój Boże, co z tego, że pan jest bogaty? Pan też ma wydatki, bo kto ich nie ma? Nie chcę pana zrujnować, nie jestem ostatecznie żadnym zdiepcą. Nie należę do ludzi, którzy mając przewagę położenia, przesadnie z niej korzystają. Więc niech stracę i też poniosę ofiarę. Wezmę tylko dwieście tysięcy franków.

Pan Biały nie wyrzekł ani słowa. Thénardier mówił dalej:

– Sam pan widzi, że ja do zgody jak ryba do wody. Nie znam pańskiego stanu majątkowego, ale wiem, że niewiele zważa pan na wydatki i że człowiek dobroczynny, jak pan, może dać dwieście tysięcy franków ojcu rodziny, który jest w potrzebie. Powiesz mi pan na to: „Ależ ja nie mam przy sobie dwustu tysięcy franków!” Ach, ja nie jestem aż tak znowu wymagający i wcale tego nie żądam. Poproszę pana tylko o jedno. Zechciej zrobić mi tę grzeczność i napisz, co ci podyktuję.

Thénardier przysunął stół aż do pana Białego, wyjął kałamarz, pióro i arkusz papieru z szuflady, którą zostawił nieco wysuniętą. Połyskiwało w niej długie ostrze noża.

Położył arkusz papieru przed panem Białym.

– Proszę pisać – rzekł.

Więzień odezwał się nareszcie:

– Jakże pan chce, żebym pisał. Jestem związany.

– To prawda, przepraszam – rzekł Thénardier – ma pan słuszność.

I zwracając się do Urwipołcia:

– Proszę odwiązać panu prawą rękę – rzekł.

Panchaud, zwany Wiosennym, zwany także Urwipoiciem, wykonał rozkaz Thénardiera. Kiedy prawa ręka więźnia była już wolna, Thénardier umoczył pióro w atramencie i podał mu.

Pan Biały wziął pióro.

Thénardier zaczął dyktować:

– „Moja córko...”

Więzień drgnął i podniósł oczy na Thénardiera.

– Niech pan napisze: „Kochana córko” – rzekł Thénardier.

Pan Biały usłuchał. Thénardier dyktował dalej:

– „Przybądź natychmiast”...

Przerwał.

– Mówi jej pan „ty”, prawda?

– Komu? – spytał pan Biały.

– No, do licha! – rzekł Thénardier. – Tej małej. Skowronkowi.

Pan Biały odpowiedział bez najmniejszego na pozór wzruszenia:

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Niech pan pisze dalej – rzekł Thénardier i zaczął znowu dyktować:

– „Przybądź natychmiast. Potrzebuję cię bezzwłocznie. Osoba, która ci ten list wręczy, przyprowadzi cię do mnie. Czekam cię. Przyjdź bez obawy”.

Pan Biały pisał wszystko. Thénardier rzekł nagle:

– Lepiej skreśl pan słowa „przyjdź bez obawy”. To może wywołać przypuszczenie, że coś jest nie w porządku i że można by się tu czegoś obawiać.

Pan Biały przekreślił te trzy wyrazy.

– Teraz – mówił dalej Thénardier – proszę podpisać. Jak się pan nazywa?

Więzień położył pióro i spytał:

– Do kogo to list?

– Wie pan dobrze – odpowiedział Thénardier – do małej. Przecież powiedziałem.

Widoczne było, że Thénardier stara się nie wymieniać imienia dziewczyny, o którą szło. Nazywał ją „małą” lub „Skowronkiem”, ale imienia jej nie wymówił ani razu. Była to przezorność sprytnego człowieka, zachowującego tajemnicę wobec swych współników. Powiedzieć imię, byłoby to oddać im w ręce cały „interes” i dać im więcej wiadomości niż było trzeba.

Ciągnął dalej:

– Niech pan podpisze. Jak się pan nazywa?

– Urban Fabre – rzekł więzień.

Thénardier kocim ruchem wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej chustkę zabraną panu Białemu. Poszukał na niej znaku i przybliżył do świecy.

– U. F., dobrze: Urban Fabre. No to podpisz pan: U.F.

Więzień podpisał.

– Ponieważ potrzeba dwóch rąk do złożenia listu, proszę mi go dać, ja go złożę.

Zrobiwszy to, Thénardier mówił dalej:

– Teraz adres: „Panna Fabre, ulica...” Wiem, że pan mieszka gdzieś niedaleko stąd, w okolicy kościoła św. Jakuba, ponieważ tam chodzą co dzień na mszę, ale nie wiem, na której ulicy. Widzę, że pan zrozumiał swoje położenie. Jak pan nie skłamał, mówiąc swoje nazwisko, to nie zechce pan podać fałszywego adresu. Proszę napisać własną ręką.

Więzień namyślał się chwilę, wreszcie wziął pióro i napisał: Do panny Fabre, w mieszkaniu pana Urbana Fabre, przy ulicy św. Dominika Nr 17.

Thénardier pochwycił list z gorączkowym pośpiechem.

– Żono! – zawołał.

Thénardierowa przybiegła.

– Masz list. Wiesz już, co masz zrobić. Dorożka czeka na dole. Jedź zaraz i wracaj *idem*⁹.

I wskazując na człowieka z toporem:

– Ty już zdjąłeś swoją maskę, więc pojedziesz z gospodynią. Na tylnym siedzeniu. Wiesz, gdzie zostawił bryczuszkę?

– Wiem – odpowiedział człowiek.

I postawiwszy swój obuch w kącie, poszedł za Thénardierową.

Kiedy już byli na korytarzu, Thénardier wysunął głowę przez półotwarte drzwi i zawołał za nimi:

– Tylko nie zgub listu. Pamiętaj, że masz przy sobie dwieście tysięcy franków.

Ochrypli głos żony odpowiedział:

– Nie bój się. Schowałam go na brzuchu.

Nie upłynęła minuta, kiedy usłyszano trzaśnięcia z bicza, które wkrótce ucichły w oddaleniu.

– Dobrze – mruknął Thénardier. – Pojechali prędko. Tak pędząc gospodyni będzie z powrotem za trzy kwadranse.

Przystawił sobie krzesło do komina i usiadł, zaplatając ręce na krzyż i przysuwając zabłocone buty do piecyka:

– Zimno mi w nogi – rzekł.

W izbie prócz Thénardiera i więźnia zostało już tylko pięciu bandytów. Ludzie ci, zamaskowani czy też umazani czymś czarnym, co z nich robiło, stosownie do wyboru przerażonego oka, węglarzy, Murzynów albo szatanów, mieli twarze otępiałe i ponure; zbrodnię

⁹ Tak samo (łac.)

wykonywali najwidoczniej jak powszednią robotę, spokojnie, bez gniewu i bez miłosierdzia, ogarnięci rodzajem nudy. Stali w kącie, stłoczeni jak bydło, i milczeli. Thénardier grzał sobie nogi. Więzień popadł znowu w swoje milczenie. Jakiś ponury spokój nastąpił po dzikiej wrzawie, która napełniała izbę jeszcze kilka chwil temu.

Mariusz czekał w trwodze, którą potęgowało wszystko. Zagadka była w tej chwili bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek. Cóż to za „mała”, którą Thénardier nazywał także „Skowronkiem”? Miałaby to być jego „Urszula”? Więzień nie zdawał się wcale reagować na słowo „Skowronek”; gdy je usłyszał, odpowiedział najnaturalniej w świecie: „Nie wiem, o czym pan mówi”. Z drugiej strony litery U. F. zostały nareszcie wyjaśnione, znaczyły „Urban Fabre” i „Urszula” nie miała już imienia Urszuli.

Upłynęło tak z pół godziny. Thénardier zdawał się zatopiony w ciemnych rozmyślniach, więzień siedział bez ruchu. Zdawało się jednak Mariuszowi, że od jakiegoś czasu słyszy koło niego lekki, stłumiony szmer.

Nagle Thénardier odezwał się do pana Białego:

– Panie Fabre, niech tam – powiem panu wszystko od razu.

Te kilka słów zdawało się zapowiadać jakieś wyjaśnienie. Mariusz nadstawił ucha. Thénardier mówił dalej:

– Moja żona niedługo wróci, niech pan będzie cierpliwy. Myślę, że Skowronek jest naprawdę pańską córką, i uważam za rzecz naturalną, żeby ją pan miał przy sobie. Ale niech pan posłucha. Moja żona przyjedzie do niej z pańskim listem. Siądą obie do dorożki razem z moim towarzyszem. W jednym miejscu za rogatkami czeka bryczuszka zaprzężona w parę dobrych koni. Na to miejsce zawiozą twoją panienkę. Wsiądzie z dorożki. Mój towarzysz wsiądzie z nią do bryczuszki, a moja żona wróci tu powiedzieć nam, że rzecz jest załatwiona. Co do twojej panienki, nie stanie się jej nic złego; bryczuszka zawiezie ją gdzieś, gdzie sobie będzie siedziała spokojnie, i jak tylko dostanę te marne dwieście tysięcy franków, to się ją panu zwróci. A jeżeli każesz mnie aresztować, to mój koleżka stuknie Skowronka. To wszystko.

Więzień nie odpowiedział ani słowem. Po chwili Thénardier odezwał się znowu:

– Jak tylko moja małżonka wróci i powie mi: „Skowronek jest już w drodze”, puścimy pana i będziesz mógł wrócić na noc do domu. Widzisz, że nie mamy żadnych złych zamiarów.

Strasliwe obrazy przesunęły się przez wyobraźnię Mariusza. Jak to? Więc porywana dziewczyna nie zostanie przywieziona? Jeden z tych potworów uprowadzi ją po ciemku... i dokąd?... Jeżeli to ona... Tak, to na pewno ona. Mariusz czuł, jak mu serce przestaje bić. Co począć? Czy wypalić z pistoletu? Oddać w ręce sprawiedliwości tych wszystkich nędzników? Ale wtedy straszny człowiek z toporem i tak wymknąłby się razem z porwaną dziewczyną, a Mariusz przypomniał sobie słowa Thénardiera, których krwawe znaczenie odgadywał: „Jeżeli każesz mnie aresztować, to mój koleżka stuknie Skowronka”.

Teraz już nie tylko przez poszanowanie ostatniej woli ojca, ale przez swą miłość, przez lęk o tę, którą kochał, powstrzymał się od strzału.

To okropne położenie, trwające już przeszło godzinę, zmieniało się co chwila. Mariusz znalazł jeszcze siłę, żeby rozpatrzeć po kolei wszystkie najdotkliwsze przypuszczenia, szukając nadziei i nigdzie JEJ nie znajdując. Od zgiełku jego myśli odcinała się grobowa cisza jaskini.

Wśród tego milczenia usłyszano łoskot drzwi od ulicy, które się otwały i po chwili zamknęły.

Więzień poruszył się w swych postronkach.

– Jest gospodyni – rzekł Thénardier.

Ledwo wypowiedział te słowa, kiedy rzeczywiście Thénardierowa wpadła do izby, czerwona, zadyszana, z pałającymi oczami, i zawołała, uderzając się ogromnymi dłońmi po udach:

– Fałszywy adres!

Bandyta, którego zabrała z sobą, ukazał się za nią i wziął swój topór.

– Fałszywy adres? – powtórzył Thénardier.

A ona na to:

– Nikogo! Żaden pan Urban Fabre nie mieszka pod siedemnastym na ulicy św. Dominika! Nikt nie wie, kto to taki!

Zatrzymała się dla nabrania tchu i mówiła dalej:

– Thénardier! Ten stary dziad wystrychnął cię na dudka! Sam widzisz, że jesteś za dobry! Ja na twoim miejscu pokrajałabym mu głowę na czworo, a gdyby i wtedy się stawiał, tobym go żywcem ugotowała! Musiałby powiedzieć, gdzie ma dziewczynę i pieniądze.

Mariusz odetchnął. Ona, Urszula czy Skowronek, ta, której nie potrafił już nazwać po imieniu, była ocalona.

Kiedy wściekła Thénardierowa urągała, jej mąż usiadł na stole; pozostał tak czas jakiś, nie mówiąc ani słowa, bujając prawą nogą w powietrzu i przypatrując się piecykowi z wyrazem ponurego zamyślenia.

Wreszcie rzekł do więźnia, powoli i z intonacją pełną szczególnego okrucieństwa:

– Fałszywy adres? I czegoś ty się spodziewał?

– Że zyskam na czasie! – krzyknął więzień grzmiącym głosem.

I równocześnie potrząsnął swoimi więzami; były poprzecinane. Więzień był już tylko za nogę przywiązany do łóżka.

Zanim siedmiu ludzi zdążyło zorientować się i rzucić na niego, on przechylił się ponad kominem, sięgnął ręką do piecyka, potem się wyprostował i naraz Thénardier, jego żona i bandyci, którzy cofnęli się zdumieni w głąb izby, ujrzeni z osłupieniem, jak podnosi w górę rozpalone do czerwoności, iskrzące się żłowieszczym blaskiem dłuto, prawie wolny i stojący przed nimi w niesamowitej postawie.

Śledztwo sądowe, które w rezultacie spowodowała zasadzka w ruderze Gorbeau, stwierdziło, że gdy żandarmi zbadali izbę, znaleźli na podłodze monetę dziesięciocentymową, przeciętą i obrobioną w szczególny sposób; miedziak ten był jednym z owych arcydzieł rzemiosła, które cierpliwość galerników wytwarza w ciemnościach i dla ciemności, arcydzieł, które nie są niczym innym jak narzędziami ucieczki. Te straszne i delikatne wytwory zdumiewającej sztuki są w jubilerstwie tym, czym przerośnięcie języka złoczyńców w poezji. Na galerach można spotkać Benvenuto Cellinich, tak jak w literaturze Villonów. Nieszczęśliwy człowiek, tęskniący do swobody, potrafi niekiedy bez żadnych narzędzi, za pomocą kozika czy starego noża, przeciąć pieniądz na dwie cienkie blaszki, wyłobić wewnątrz te dwie blaszki, nie naruszając wycisków stempla, i wyryć gwint na obrębie pieniądza w taki sposób, że blaszki na nowo przystają do siebie. Zakręca się je i odkręca według potrzeby, słowem jest to pudełeczko. W pudełeczku tym można ukryć sprężynę od zegarka, a ta sprężyna, odpowiednio użyta, przecina grube kajdany i żelazne kraty. Wydaje się, że wszystko, co ten nieszczęśliwy galernik posiada, to tylko jeden su; nieprawda, on posiada wolność. Podczas późniejszych dochodzeń policyjnych jeden z takich miedziaków znaleziony został w izbie, pod tapczanem koło okna, odśrubowany i w dwóch połówkach. Znaleziono także matą piłeczkę z błękitnej stali, która mogła zmieścić się wewnątrz miedziaka. Prawdopodobnie uwięziony miał go przy sobie, kiedy złoczyńcy zaczęli przetrząsać mu kieszenie, i wówczas ukrył miedziaka w dłoni, a następnie uwolnioną prawą ręką odśrubował go i użył piłki do przecinania postronków, którymi był skrępowany, co tłumaczyłoby lekkie szelest i nieznaczne ruchy więźnia, które Mariusz zauważył.

Żeby się nie zdradzić, nie mógł się jednak schylić i nie przeciął więzów lewej nogi.

Tymczasem bandyci po pierwszym zdumieniu odzyskiwali przytomność.

– Nie bój się – rzekł Urwipoleć do Thénardiera. – Trzyma się jeszcze za nogę i nie urwie się.

Ręczę za to. Ja sam mu przywiązałem to kopyto.

Tymczasem więzień podniósł głos:

– Jesteście nędznikami, ale moje życie niewarte jest obrony. A jeżeli sobie wyobrażacie, że moglibyście mnie zmusić do napisania tego, czego nie chcę napisać, i do powiedzenia, czego nie chcę powiedzieć, to...

Podwinął lewy rękaw i dodał:

– Patrzcie!

Wyciągnął ramię i przyłożył do ciała rozżarzone dłuto, które trzymał w prawej ręce za drewniany trzonek.

Dało się słyszeć syczenie przypalonej skóry, po izbie rozszedł się swąd właściwy miejscom tortur; Mariusz zachwiał się, oszalały ze zgrozy, nawet bandyci zadrżeli, a twarz dziwnego starca zaledwie drgnęła i kiedy czerwone żelazo zagłębiało się w dymiącą ranę, on niewzruszony i prawie dostojny, utkwiał w Thénardierze swój piękny wzrok, w którym nie było nienawiści i gdzie cierpienie rozplątywało się w pogodnej powadze.

U istot o wielkim i szlachetnym charakterze walki ciała i zmysłów, oddanych na pastwę cierpieniom fizycznym, wyprowadzają na wierzch duszę i opromieniają nią czoło, podobnie jak buntownicy żołdactwa zmuszają wodza do ukazania się.

– Nędznicy – rzekł – możecie nie bać się mnie, tak samo jak ja was się nie boję!

I wyrwijąc dłuto z rany, cisnął je przez okno, które pozostało otwarte; straszliwe gorejące narzędzie znikło, wirując w mroku nocy, i padło gdzieś daleko, aby zgasnąć wśród śniegu.

Więzień odezwał się znowu:

– Teraz róbcie ze mną, co sami chcecie.

Był rozbrojony.

– Złapcie go! – rzekł Thénardier.

Dwóch złoczyńców przytrzymało więźnia za ramiona, a zamaskowany człowiek z głosem brzuchomowcy stanął naprzeciwko, gotów roztrzaskać mu czaszkę uderzeniem klucza, gdyby choć drgnął.

Jednocześnie Mariusz usłyszał pod sobą, tuż koło przepierzenia, tak blisko, że nie mógł nawet widzieć rozmawiających, tych kilka słów wymówionych po cichu:

– Zostaje tylko jedno.

– Ciachnąć!

– Właśnie.

To mąż naradzał się z żoną.

Thénardier podszedł powoli do stołu, wysunął szufladę i wyjął z niej nóż.

Mariusz miażdżył w dłoni rękojeść pistoletu. Rozterka niesamowita. Od godziny już dwa głosy walczyły w jego sumieniu; jeden nakazywał mu szacunek dla ojcowskiego testamentu, drugi wołał o ratunek dla więźnia. Te dwa głosy bez przerwy odzywały się równocześnie i to go doprowadzało do szaleństwa. Aż do tej chwili miał jeszcze cień nadziei, że znajdzie się sposób pogodzenia tych dwóch obowiązków, ale nic się nie nadarzyło. Tymczasem niebezpieczeństwo nagliło, ostatni okres oczekiwania został przekroczony, Thénardier, o kilka kroków od więźnia, rozmyślał, z nożem w ręku.

Mariusz, nieprzytomny, rozglądał się wkoło, co zwykle bywa ostatnią, instynktowną ucieczką rozpacz.

Nagle drgnął.

U jego nóg, na stole, jasny promień księżyca w pełni oświecał i zdawał się wskazywać mu kawałek papieru. Na tym świstku wyczytał wyrazy, które niezgrabnymi literami napisała tego ranka starsza córka Thénardiera: *Salcesony idą*.

Myśl podobna do nagłego światła przebiegła umysł Mariusza; oto sposób, którego szukał, jedyne rozwiązanie tego straszliwego dylematu, który go dręczył: jak oszczędzić zabójcę i ocalić ofiarę. Ukląkł na komodzie, wyciągnął rękę, wziął świstek, oderwał delikatnie kawałek wapna od ściany, obwinął go w ten skrawek papieru i rzucił przez szparę na środek izby.

Była to już ostatnia chwila. Thénardier przewyciężył w końcu swoje ostatnie obawy, czy też ostatnie skrupuły, i szedł ku więźniowi.

– Coś spadło! – zawołała jego żona.

– Co? – rzekł mąż.

Kobieta podskoczyła i podniósłszy kawałek wapna, obwinięty w papier, podała go mężowi.

– Którędy to wleciało? – spytał Thénardier.

– A którędy miało wlecieć? – odparła kobieta. – Rozumie się, że przez okno.

– Widziałem nawet, jak leciało – rzekł Urwipoleć.

Thénardier szybko rozwinął świstek i przybliżył go do świecy.

– Pismo Eponiny! A niech to diabli! Dał znak żonie, która przybliżyła się żywo, i pokazał jej kartkę. Potem dodał głuchym głosem:

– Prędko! Dawajcie drabinę! Zostawmy szperkę w pułapce i bierzmy nogi za pas.

– Jak to? Nie skrećimy mu przedtem karku? – zapytała żona.

– Nie ma czasu.

– Ale którędy? – odezwał się Urwipoleć.

– Oknem – odpowiedział Thénardier. – Skoro Eponina rzuciła kamień przez okno, to znaczy, że z tej strony domu nie otoczyli. Zamaskowany brzuchomówca położył na ziemi swój ogromny klucz, wzniosł w górę obie ręce i klasnął trzykrotnie, nie mówiąc ani słowa. Był to jakby znak alarmu dla załogi okrętu; złoczyńcy trzymający więźnia puścili go; w mgnieniu oka drabina sznurowa została wyrzucona za okno i silnie przytwierdzona do futryny dwoma żelaznymi hakami.

Więzień nie zwracał uwagi na to, co się działo dokoła. Wyglądał, jakby marzył albo się modlił.

Gdy tylko drabina była umocowana, Thénardier zawołał:

– Chodź, kobieto! I rzucił się ku oknu.

Ale kiedy miał już przełożyć nogę przez parapet, Urwipoleć schwycił go gwałtownie za kołnierz:

– O, nie, stary cwaniaku, ty wyjdiesz ostatni!

– Ostatni! – zawyli chórem wszyscy bandyci.

– Jesteście dzieci – rzekł Thénardier – tracimy czas, a te psy już nam następują na pięty.

– No to ciągnijmy losy, kto pierwszy! – rzekł jeden z bandytów.

Thénardier zawołał:

– Czyście dostali bzika? Co za kupa idiotów! Tracić czas, losować! Jak wolicie, na węzełki czy na słomki, co? Albo wypisać nazwiska i wrzucić w czapkę?...

– Może chcecie w mój kapelusz? – odezwał się głos od progu.

Wszyscy się odwrócili. Był to Javert.

Trzymał w ręku kapelusz i nadstawiał go z uśmiechem.

Trzeba by zawsze zaczynać od aresztowania ofiar

Javert z nadejściem nocy rozstawił swoich ludzi i sam stanął na czatach za drzewami w pobliżu ulicy Gobelinów, która się znajduje na wprost rudery Gorbeau, po drugiej stronie bulwaru. Na początek „otworzył swój mieszek”, żeby schwytać do niego dziewczyny pilnujące przystępu do spelunki. Ale upolował tylko Anzelmę. Eponiny nie było na stanowisku; znikła i nie mógł jej złapać. Następnie Javert zaczął się znowu, czekając na umówiony znak. Przejeżdżająca i odjeżdżająca dorożka bardzo go zaniepokoiła. Wreszcie znecierpliwiał się i pewny, że tam się znajdowało „gniazdo”, pewny zdobyczy, gdyż poznał wśród wchodzących kilku bandytów, zdecydował się wejść nie czekając wystrzału.

Pamiętamy, że miał klucz Mariusza.

Zjawił się w samą porę.

Przerażeni bandyci chwycili znowu za broń, którą rozrzućili po całej izbie, chcąc uciekać. Szybciej niż w mgnieniu oka tych siedmiu ludzi o tak przerażającej powierzchowności stanęło ramię przy ramieniu w obronnej postawie, jeden ze swoim toporem, drugi z kluczem, trzeci z pałką, inni z nożycami, obcęgi i młotami, Thénardier z nożem w garści. Thénardierowa porwała ogromny kamień brukowy, który leżał koło okna i służył jej córkom za taboret.

Javert włożył kapelusz na głowę i zrobił dwa kroki w głąb izby, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z laską pod pachą i szpadą w pochwie.

– Spokojnie! – rzekł. – Nie wyjdziecie oknem, wyjdziecie drzwiami. Tak będzie zdrowiej. Was jest siedmiu, nas piętnastu. Po co się mamy brać za łby jak chłopci z Owernii. Bądźmy grzeczni.

Urwipoleć wyjął pistolet spod bluzy i wsunął go w dłoń Thénardiera, szepcząc mu na ucho:

– To Javert. Nie śmiem do niego strzelić. Odważysz się?

– No chyba! – odpowiedział Thénardier.

– To strzelaj!

Thénardier wziął pistolet i wycelował w Javerta. Javert, stojący o trzy kroki, spojrzął mu bystro w oczy i powiedział tyle tylko:

– Lepiej nie strzelaj, spali ci na panewce.

Thénardier nacisnął kurek. Spaliło.

– Przecież ci mówiłem! – rzekł Javert. Urwipoleć rzucił mu swoją maczugę pod nogi.

– Jesteś cesarzem diabłów! – zawołał. – Poddaję się.

– A wy? – zapytał Javert pozostałych bandytów.

Odpowiedzieli:

– My też.

Javert odezwał się spokojnie:

– Tak, to dobrze; wiedziałem, że będziecie grzeczni.

– Proszę tylko o jedną rzecz – rzekł Urwipoleć. – Żeby mi pozwolono mieć tytoń przez ten czas, kiedy będę w ciupie.

– Zgoda – rzekł Javert.

Odwrócił się i zawołał:

– Teraz wejdźcie!

Na wezwanie Javerta do izby wtargnęła gromada żandarmów z gołymi szablami w ręku i policjantów uzbrojonych w kastety i pałki. Bandytów skrupowano. W izbie zrobiło się ciemno od

tego tłoku, słabo oświetlonego jedną świecą.

– Wszystkim obrączki! – zawołał Javert.

– Zbliźcie się trochę! – krzyknął głos, który nie był głosem męskim, ale o którym nikt nie mógłby powiedzieć: to głos kobiety.

Thénardierowa schroniła się w kącie koło okna i ona to właśnie wydała ten ryk.

Policjanci i żandarmi cofnęli się.

Zrzuciła szal, na głowie miała kapelusz; mąż, skulony za nią, chował się prawie pod szalem; Thénardierowa przykrywała go swoim ciałem i obiema rękami wznosząc nad głową kamień, chwiała się jak olbrzymka, która ma cisnąć skałę.

Wszyscy cofnęli się w stronę korytarza. Pośrodku izby utworzyła się duża wolna przestrzeń.

Thénardierowa spojrzała na bandytów, którzy dali się skrzepować, i mruknęła głosem gardłowym i ochryplym:

– Tchórze!

Javert uśmiechnął się i posunął w kierunku wolnej przestrzeni, z której Thénardierowa nie spuszczała oczu.

– Nie zbliżaj się! Precz, bo cię zmiażdżę! – krzyknęła.

– Ale grenadier – rzekł Javert. – Matko, masz brodę jak mężczyzna, za to ja mam pazurki jak kobieta.

I znów posunął się naprzód.

Thénardierowa, rozczochrana i przerażająca, rozstawiła nogi wygięła się do tyłu i nieprzytomnie rzuciła kamień na głowę Javert Javert schylił się. Kamień przeszedł ponad nim, uderzył o mur w głębi, odrywając duży kawał wapna, i rykoszetował od ściany do ściany po izbie na szczęście prawie pustej, aż upadł martwy u nóg Javerta.

W tej samej chwili Javert podszedł do małżonków Thénardieir. Położył swe wielkie dłonie, jedną na ramieniu żony, drugą na głowie męża.

– Obrączki! – krzyknął.

Tłum żandarmów i policjantów wszedł z powrotem i w kilka chwil rozkaz Javerta był wykonany.

Thénardierowa, złamana, popatrzyła na związane ręce, swoje i męża, upadła na podłogę i zawołała – z płaczem:

– Moje córki!

– Siedzą w kozie – odparł Javert.

Tymczasem policjanci spostrzegli pijaka uśpionego za drzwiami i potrząsali nim. Obudził się mamrocząc:

– Skończone, Jondrette?

– Tak – odpowiedział Javert.

Szóstka związanych bandytów zachowała jeszcze swój wygląd upiorów; trzech o twarzach czernionych, trzech w maskach.

– Zostańcie zamaskowani – rzekł Javert.

I dokonując ich przeglądu spojrzeniem Fryderyka II na paradzie w Poczdamie, rzekł do trzech „zdunów”:

– Jak się masz, Urwipoleć? Jak się masz, Brujon? Jak się masz, Dwa Miliardy?

Potem, Zwracając się ku trzem bandytom w maskach, rzekł do człowieka z toporem:

– Jak się masz, Gueulemer?

A do człowieka z pałąk:

– Jak się masz, Babet?

I do brzuchomówcy:

– Uszanowanie, Claquesous.

W tej chwili spostrzegł więźnia złoczyńców, który od chwili wejścia policji nie odezwał się ani słowem, stał tylko ze spuszczoną głową.

– Rozwiążcie tego pana – rzekł Javert – i niech nikt stąd nie wychodzi.

Powiedziawszy to rozsiadł się władczo za stołem, na którym stała świeca i przybory do pisania, wyjął z kieszeni papier stemplowy i zaczął spisywanie protokołu.

Napisawszy kilka zdań niezmiennej formuły wstępnej, podniósł oczy.

– Proszę tu naprzód tego pana – rzekł – którego ci panowie skrepowali.

Agenci rozejrzeli się po izbie.

– No co? – spytał Javert. – Gdzie on jest?

Więzień złoczyńców, pan Biały, pan Urban Fabre, ojciec „Urszuli” albo „Skowronka”, znikł.

Drzwi były strzeżone, ale okna nikt nie pilnował. Kiedy Javert pisał, odwiązany skorzystał z zamętu, zamieszania, tłoku, ciemności w chwili kiedy uwaga nie była zwrócona na niego – wyskoczył oknem.

Jeden z agentów pobiegł do okna i spojrział. Nie było już widać nikogo. Sznurowa drabina jeszcze drżała.

– Niech cię diabli! – mruknął Javert przez zęby. – Ten musiał być najlepszy!

Część czwarta

**IDYLLA NA ULICY PLUMET
I EPOPEJA
NA UL. ŚW. DIONIZEGO**

Rozdział pierwszy

KILKA STRON HISTORII

Dobrze skrajane

1831 i 1832 – dwa lata, które wiążą się bezpośrednio z rewolucją lipcową, należą do najbardziej znamienitych i osobliwych momentów historii. Owe dwa lata, pośród lat poprzedzających je i następujących po nich, są jak dwie góry. Mają one rewolucyjną wielkość. Widać tam przepaści. Warstwy społeczne, same fundamenty cywilizacji, masywny blok nałożonych na siebie i mocno powiązanych interesów, wielowiekowe kontury starej formacji francuskiej – pojawiają się tu i nikną wśród burzliwych obłoków namiętności, systemów i teorii. Te pojawienia się i znikania nazwano oporem i ruchem. Chwilami prześwieca przez nie prawda, to światło ludzkiej duszy.

Ta godna uwagi epoka jest dostatecznie zamknięta i zaczyna dostatecznie się od nas oddalać, żeby można było już teraz uchwycić jej główne linie.

A więc spróbujmy.

Epoka Restauracji była jedną z tych faz przejściowych, trudnych do scharakteryzowania, w których jest znużenie, szum, gwar, senność, zamieszanie okresów, które po prostu oznaczają przybycie wielkiego narodu na miejsce postoju.

Dynastia Burbonów sądziła, że ma korzenie, ponieważ była przeszłością. Myliła się: była częścią przeszłości, ale całą przeszłością była Francja. Korzenie społeczeństwa francuskiego tkwiły nie w Burbonach, lecz w narodzie. Te niezbadane a żywotne korzenie nie tworzyły bynajmniej praw jednej rodziny, ale historię całego narodu. Znajdowały się one wszędzie, tylko nie pod tronem.

Dynastia Burbonów była dla Francji wspaniałym i krwawym węzłem jej historii, ale nie była już zasadniczym czynnikiem jej przeznaczenia i nieodzowną podstawą jej polityki. Można było obejść się bez Burbonów; obywano się bez nich przez dwadzieścia dwa lata; ciągłość została przerwana – nie domyślali się tego. Nigdy jeszcze, jak daleko sięga pamięć historii, monarchowie nie byli tak ślepi wobec faktów i wobec tej części boskiej władzy, którą fakty zawierają w sobie i głoszą. Nigdy jeszcze to przyziemne prawo, które nazywa się prawem królów, nie zaprzeczało w takim stopniu prawu z góry.

Oto kapitalny błąd, który doprowadził tę rodzinę do naruszenia gwarancji „oktrojowanych” w roku 1814, ustępstw, jak je ona nazywała. Rzecz smutna! Co ona nazywała swoimi ustępstwami, to były nasze zdobycze; co nazywała naszymi uroszczeniami, to były nasze prawa.

Kiedy według jej mniemania nadeszła stosowna godzina. Restauracja, uważając, że

zwyciężyła Bonapartego i zapaściła korzenie w kraju, to znaczy wierząc w swoją siłę i w swoją trwałość, nagle powzięła decyzję i zaryzykowała uderzenie. Pewnego poranka stanęła twarzą w twarz z Francją i podniesionym głosem odmówiła praw zbiorowych i praw indywidualnych, odmówiła narodowi suwerenności i obywatelowi wolności. Innymi słowy, zaprzeczyła narodowi praw do tego, co go czyniło narodem, a obywatelowi do tego, co go czyniło obywatelem.

Oto jest tło słynnych aktów, które nazwano ordonansami lipcowymi.

Restauracja upadła.

Rewolucja lipcowa jest triumfem prawa obalającego fakt. Rzecz to wspaniała.

Źle zszyte

Rewolucja roku 1830 prędko się zatrzymała.

Kiedy rewolucja osiada na mieliźnie, ludzie zręczni rozbierają okręt na kawałki.

Jeżeli wierzyć ludziom zręcznym, takie rewolucje, jak lipcowa, to przecięte arterie; trzeba je co rychlej podwiązać. Prawo, proklamowane ze zbytnią wspaniałością, wywołuje wstrząsy. Gdy przeto prawo zostaje wreszcie umocnione, trzeba wzmocnić państwo. Po zapewnieniu wolności trzeba pomyśleć o władzy.

Według tych polityków, dostatecznie pomysłowych, żeby wygodnym dla nich fikcjom nałożyć maskę konieczności, pierwszą potrzebą narodu po rewolucji, gdy ów naród stanowi część kontynentu monarchicznego, jest wynalezienie sobie dynastii. W ten sposób, powiadają, będzie on miał zapewniony pokój po rewolucji, to znaczy czas konieczny do opatrzenia ran i odbudowania domu. Dynastia kryje rusztowania i zastania szpitale.

Domy królewskie podobne są do owych indyjskich drzew figowych, których każda gałąź, schylając się aż do ziemi, zapuszcza w niej korzenie i sama staje się drzewem. Każda gałąź może stać się dynastią. O ile tylko schyli się aż do ludu.

Taka jest teoria ludzi zręcznych.

Oto, na czym polega ich wielka umiejętność – wydobyć ze zwycięstwa ton katastrofy, żeby ci, którym ono służy, też się zlekli, zaprawić strachem krok postawiony naprzód, przedłużyć linię rozwoju do punktu, gdzie postęp zwalnia biegu, osłabić barwę jutrzeńki, potępić i przytłumić żarliwy entuzjazm, obciąć ostre krawędzie i pazury, zatkać wata fanfary, obandażować prawo, owinać flanelą i prędko położyć do łóżka olbrzyma, któremu na imię lud, trzymać na diecie jego zbyt bujne zdrowie, wmówić Herkulesowi, że jest rekonwalescentem, rozmięnić przełom na drobne zarządzenia, umysłem spragnionym ideału dać ten nektar, ale pomieszany z ziółkami, pilnować, żeby nic się za dobrze nie udało, nałożyć na rewolucję abażur.

Rok 1830 wypraktykował tę metodę, zastosowaną już przez Anglię w roku 1688.

Pauperyzm, proletariat, płace, szkolnictwo, system karny, prostytutka, los kobiety, bogactwo, nędza, produkcja, spożycie, rozdział dóbr, wymiana, pieniądz, kredyt, prawo kapitału, prawo pracy – wszystkie te zagadnienia piętrzyły się nad społeczeństwem; straszliwe brzemie.

Zaledwie dwadzieścia miesięcy upłynęło od rewolucji lipcowej, a rok 1832 otwierał się pod znakiem niebezpieczeństwa i groźby.

Rok 1830 jest rewolucją, która zatrzymała się w połowie drogi. Postęp połowiczny, niby-prawo. Otóż logika nie uznaje pojęcia „mniej więcej”, zupełnie tak samo, jak słońce nie uznaje świecy.

Kto zatrzymuje rewolucje w połowie drogi? Burżuazja.
Dlaczego?
Dlatego że burżuazja to interes, który doszedł do skutku.
Wczoraj był apetyt, dziś jest jego zaspokojenie, jutro będzie sytość.

Fakty, z których historia się rodzi, ale których nie chce znać

Pod koniec kwietnia sytuacja zaostrzyła się. Od roku 1830 począwszy, tu i ówdzie zdarzały się drobne lokalne rozruchy, szybko tłumione, ale odradzające się – znamię wielkiego podziemnego pożaru. Dojrzewało coś strasznego. Dawały się dostrzec niewyraźne jeszcze i słabo oświetlone zarysy możliwej rewolucji.

Gorączka rewolucyjna rosła. Żaden punkt Paryża ani Francji nie był od niej wolny. Arteria pulsowała wszędzie. Jak błony, które powstają z pewnych stanów zapalnych i tworzą się w ciele ludzkim, sieć tajnych towarzystw zaczynała się rozprzestrzeniać po kraju. Z jawnego i tajnego jednocześnie Stowarzyszenia Przyjaciół Ludu powstało Stowarzyszenie Praw Człowieka.

Ze Stowarzyszenia Praw Człowieka wyszło Stowarzyszenie Czynu. Byli to niecierpliwi, którzy się odłączali i biegli przodem. Inne stowarzyszenia łączyły się w wielkie organizacje centralne. Sekcyjni nie mogli poradzić sobie z napływem nowych członków.

Wyraźniej niż w jakimkolwiek innym zgrupowaniu ludności dawała się odczuć ta sytuacja na przedmieściu św. Antoniego. Tu był punkt bolesny.

To stare przedmieście, zaludnione jak mrowisko, pracowite, odważne i gniewne jak ul, drżało w oczekiwaniu i pragnieniu rozruchów. Wszystko się tam burzyło, nie przerywając pracy. Nic nie może dać wyobrażenia o jego żywym i posępnym wyglądzie. Są na tym przedmieściu wstrząsające rozpacze ukryte pod dachami mansard; są tam także inteligencje płomienne i niepospolite. Skrajna rozpacz i szczyt inteligencji dają połączenie szczególnie niebezpieczne.

W roku 1793, zależnie od tego, czy idea wisząca w powietrzu była dobra lub zła, zależnie od tego, czy był dzień fanatyzmu czy też entuzjazmu, z przedmieścia św. Antoniego wyruszały dzikie legiony albo bandy heroiczne.

Naprzeciwko tych ludzi dzikich, przyznajemy to, i strasznych, ale dzikich i strasznych w imię dobra, są inni ludzie, uśmiechnięci, haftowani, złoceni, pokryci wstążkami i orderami, w jedwabnych pończochach, w białych pióropuszech, w żółtych rękawiczkach, w lakierowanych trzewikach, którzy siedząc koło marmurowego kominka, przy stole obitym aksamitem, łagodnie nalegają na utrzymanie i zachowanie przeszłości, średniowiecza, prawa boskiego, fanatyzmu, ciemnoty, niewolnictwa, kary śmierci, wojny i grzecznie, półgłosem sławią szablę, stos i szafot. My, gdybyśmy musieli wybierać między barbarzyńcami cywilizacji i cywilizowanym barbarzyństwem, wybralibyśmy barbarzyńców.

Ale, dzięki niebu, możliwy jest i inny wybór. Nie ma konieczności rzucenia się w przepaść, czy to w przód, czy w tył. Ani despotyzmu, ani terroryzmu. Chcemy postępu po łagodnym zboczu.

Rozdział drugi

EPONINA

Skowronkowe Pole

Mariusz był świadkiem niespodziewanego zakończenia zasadzki, na której ślad sam naprowadził Javena; ale zaledwie Javert opuścił rudery, zabierając ze sobą więźniów w trzech dorożkach, Mariusz wymknął się z domu. Była zaledwie dziewiąta. Udał się do Courfeyraca. Courfeyrac nie był już owym niefrasobliwym mieszkańcem dzielnicy łacińskiej; osiadł przy ulicy Szklarskiej „z powodów politycznych”; leżała ona w dzielnicy, którą upodobały sobie ówczesne powstania. Mariusz rzekł do Courfeyraca: – Przychodzę do ciebie na noc. – Courfeyrac wyciągnął z łóżka jeden materac (miał ich dwa), rozłożył na ziemi i rzekł: – Służę ci.

Nazajutrz o siódmej rano Mariusz wrócił do rudery, zapłacił komorne i drobne należności matce Burgon, załadował na ręczny wózek swoje książki, łóżko, stół, komodę i dwa krzesła, po czym odjechał, nie zostawiając adresu, i kiedy Javert tego jeszcze ranka wrócił, by wypytać go o wypadki poprzedniego wieczora, zastał tylko matkę Burgon, która odpowiedziała: – Wyprowadził się!

Stara jejmość była pewna, że Mariusz miał coś wspólnego ze złodziejami schwytanymi wieczorem: – Kto by pomyślał?– wykrzykiwała u stróżek w sąsiedztwie. – Takie to młode, wyglądało jak panienka!

Mariusz wyprowadził się tak szybko z dwóch powodów. Przede wszystkim budził w nim zgrozę ten dom, w którym z tak bliska i z całą ohydą i okropnością szczegółów widział szpetotę społeczną, szkaradniejszą jeszcze może od złego bogacza: złego nędzarza. Po wtóre, nie chciał być wmieszany w sprawę sądową, do której prawdopodobnie dojść miało, bo nie chciał świadczyć przeciw Thénardierowi.

Javert sądził, że młodzieniec, którego nazwiska nie zapamiętał, zląkł się i uciekł, a może i w ogóle nie wrócił do domu w czasie zasadzki; starał się jednak odszukać go, ale nadaremnie.

Upłynął miesiąc, potem drugi. Mariusz wciąż mieszkał u Courfeyraca. Dowiedziawszy się od początkującego adwokata, częstego bywalca poczekalni sądowej, że Thénardier siedzi, co poniedziałek składał dla niego w kancelarii więzienia La Force pięć franków.

Ponieważ wyczerpał swe zasoby, pożyczał te pięć franków od Courfeyraca. Pierwszy raz w życiu pożyczał pieniądze. Regularna przesyłka pięciu franków była podwójną zagadką – dla Courfeyraca, który je dawał, i dla Thénardiera, który je odbierał. Do kogo to idzie? – myślał Courfeyrac. – Skąd to przychodzi? – zapytywał się Thénardier.

Mariusz był zresztą zdruzgotany. Wszystko znowu zapadło jak w przepaść. Nie widział nic

przed sobą; życie jego znowu otoczyła tajemnica, w której błędził po omacku. Na chwilę ujrzał z bliska w tej ciemności ukochaną dziewczynę i starca wyglądającego na jej ojca, nieznanne istoty, które pochłonęły wszystkie jego myśli i stały się jego jedyną nadzieją na tym świecie; a kiedy już zdawało mu się, że je chwyta, podmuch uniósł te cienie. Ani jedna iskierka pewności i prawdy nie wytrysła, ze straszliwego wstrząsu. Wszelkie domysły były próżne. Nie znał już nawet imienia, choć sądził, że je zdobył. Na pewno to już nie Urszula. A Skowronek to przezwisko. A co myśleć o starcu? Czy rzeczywiście ukrywał się przed policją? Przypomnił sobie robotnika o białych włosach, którego spotkał w okolicy Inwalidów. Całkiem możliwe, że ów robotnik i pan Biały byli tą samą osobą. A więc się przebierał? Człowiek ten był i bohaterski, i podejrzany. Dlaczego nie wzywał pomocy? Dlaczego uciekł? Był czy też nie był ojcem dziewczyny? Na koniec – byłże w istocie człowiekiem, którego Thénardier zdawał się poznać? Czy Thénardier mógł się omylić? Ileż nierozwiązalnych zagadek! Wszystko to, co prawda, nie umniejszało anielskiego uroku dziewczyny z Ogrodu Luksemburskiego. Smutek przejmujący; Mariusz miał w sercu wielką miłość, a na oczach noc. Całe jego życie streszczało się teraz w słowach: Zupełna niepewność w nieprzeniknionym mroku. Zobaczyć ją, zobaczyć – wciąż jeszcze do tego wzdychał, ale już się tego nie spodziewał.

Na domiar nieszczęścia wróciła nędza. Czuł jej lodowate tchnienie przy sobie i za sobą. Jego udręka dawno już odzwyczała go od pracy, a nic niebezpieczniejszego jak przerwana praca; jest to znikające przyzwyczajenie. Łatwo je porzucić, trudno odzyskać.

A dni upływały, nie przynosząc nic nowego. Zdawało mu się tylko, że ponura przestrzeń, która mu pozostała do przebycia, skraca się z każdą chwilą. Zdawało mu się, że już widzi wyraźnie stromy brzeg bezdennej przepaści.

– Jak to – powtarzał sobie – więc jej przedtem nie zobaczę?

Kto pójdzie w górę ulicy św. Jakuba, minie roгатkę i dotrze, idąc pewien czas lewą stroną starego bulwaru wewnętrznego, do ulicy Sante, a potem Glacière, ten, nie dochodząc do rzeczulki Gobelinów, znajdzie się na czymś w rodzaju pola, które w długim i jednostajnym pasie bulwarów paryskich jest jedynym miejscem, gdzie Ruysdaël miałby ochotę usiąść.

Tam spotyka przechodnia nie dająca się określić aura wdzięku, zielona łączka przecięta sznurami, na których wiatr suszy szmaty, stara ferma ogrodnicza, zbudowana w czasach Ludwika XIII, z wysokim dachem o dziwacznie rozmieszczonych mansardach, walące się ogrodzenia, trochę wody między topolami, kobiety, śmiechy, głosy; na horyzoncie Panteon, drzewo przy Instytucie Głuchoniemych, Val-de-Grâce, czarny przysadzisty, fantastyczny, śmieszny i wspaniały, a w głębi surowe prostokątne wieże katedry Notre-Dame.

Ponieważ to miejsce warte jest widzenia, więc nikt tam nie chodzi. Od czasu do czasu tylko przejeżdżają obok wozy. Zdarzyło się kiedyś, że Mariusz w samotnej przechadzce zaszedł na tę łąkę koło tej wody. Wyjątkowo tego dnia ktoś szedł po bulwarze. Mariusz, uderzony półdzikim urokiem miejsca, zapytał przechodnia:

– Jak się nazywa ten zakątek?

Przechodzień odpowiedział:

– To Skowronkowe Pole.

I dodał:

– Tu Ulbach zabił pasterkę z Ivry.

Ale po słowie „Skowronkowe” Mariusz nic już nie słyszał. Kiedy człowiek jest rozmarzony, lada słowo może nagle wprowadzić ducha w stan jak gdyby stężenia. Cała myśl zgęszcza się nagle wokół jednej idei i niezdolna jest do przyjmowania innych wrażeń. Skowronek, było to imię, które w głębinach melancholii Mariusza zajęło miejsce Urszuli.

Ach! – pomyślał machinalnie, z brakiem logiki właściwym tego rodzaju wewnętrznym głosom

na stronie – to jej pole. Tu dowiem się, gdzie mieszka.

Skojarzenie to było niedorzeczne, ale nieodparte.

I zaczął codziennie przychodzić na to Skowronkowe Pole.

Zbrodnie rodzące się w wylęgarni więziennej

Triumf Javerta w ruderze Gorbeau zdawał się zupełny, ale takim nie był. Najprzód – co go najbardziej martwiło – nie uwięził więźnia. Jeżeli ten, kogo zabijają, ucieka, staje się bardziej podejrzany niż zabójca; ów osobnik, tak cenny łup dla bandytów, byłby prawdopodobnie nie mniej pożądaną zdobyczą dla władzy.

Poza tym umknął Javertowi Montparnasse. Wypadało czekać innej sposobności, żeby złowić tego „szatańskiego fircyka”. W istocie Montparnasse, spotkawszy Eponinę stojącą na warcie pod drzewami bulwaru, zabrał ją stamtąd, bo wolał bawić się w kochanka z córką niż w raka z ojcem. Dobrze na tym wyszedł. Był wolny. Co do Eponiny, Javert przyłapał ją wprawdzie, ale mizerna to była pociecha. Eponina dostała się do więzienia Magdalenek, gdzie siedziała Anzelma. Na koniec, w drodze z rudery Gorbeau do więzienia La Force, zaginął jeden z głównych aresztowanych, Claquesous. Czy stopniał w ciemności jak płatek śniegu w wodzie? Czy był w tajnym porozumieniu z agentami? Jakkolwiek rzecz się miała, Claquesous już się nie odnalazł. Javert był tym bardziej rozgniewany niż zdziwiony.

Co do Mariusza, „mazgaja-adwokata”, który prawdopodobnie stchórzył, a którego nazwiska nie pamiętał, Javert mało się o niego troszczył. Zresztą adwokata zawsze jakoś można odszukać. Tylko czy naprawdę był adwokatem?

Rozpoczęło się śledztwo.

Sędzia śledczy uznał za stosowne, żeby jednego z członków bandy „Kociej Łapy” nie zamykać w osobnej celi, miał bowiem nadzieję, że się zdradzi w rozmowie. Tym więźniem był Brujon, kudłaty opryszek z ulicy Małego Bankiera. Pozwolono mu chodzić po podwórzu Karola Wielkiego i dozorca mieli na niego baczne oko.

Złodzieje nie przerywają pracy, gdy się znajdują w ręku sprawiedliwości. Taka drobnostka nie jest dla nich przeszkodą. Można więzieniu za zbrodnię i rozpoczynać nową zbrodnię. Są to artyści, którzy chociaż posłali obraz na wystawę, niemniej gorliwie pracują u siebie nad nowym dziełem.

Brujon wydał się w więzieniu zupełnie ogłupiał. Niekiedy całymi godzinami stał na podwórzu Karola Wielkiego przed okienkiem kantyny i jak idiota patrzył na brudny cennik, którego początek opiewał: „Czosnek – 62 centymy”, a koniec: „Cygaro – 5 centymów”. Albo też cały czas drżał, szczekał zębami, mówił, że ma gorączkę, i zapytywał, czy wśród dwudziestu ośmiu łóżek na sali jedno jest wolne.

Pewnej nocy, kiedy dozorca, pilnujący sypialni na dole w Nowym Gmachu, wrzucał swój kasztan do skrzynki – używano tego sposobu dla upewnienia się, że dozorca ściśle wykonuje służbę; co godzina jeden kasztan musiał wpadać do skrzynki w każdej sypialni – otóż dozorca ów zobaczył przez judasza, że Brujon, siedząc w łóżku, pisał coś przy świetle lampki. Dozorca wszedł, wsadzono Brujona na miesiąc do osobnej celi, ale nie znaleziono tego, co napisał. Policja niczego się więcej nie dowiedziała.

To tylko jest pewne, że nazajutrz z podwórza Karola Wielkiego na sąsiednie podwórze

więzienne, ponad pięciopiętrowym gmachem, który je przedziela, został przerzucony „posłaniec”.

Więźniowie nazywają posłańcem misternie ugniecioną gałkę chleba. Gałka pada na podwórze; kto ją podniesie, ten ją otwiera i znajduje bilecik adresowany do jednego z więźniów. Jeśli znajduje ją więzień, oddaje według adresu, jeśli dozorca więzienny lub jeden z więźniów tajemnie zaprzędanych, których w więzieniach nazywają „baranami”, a na galerach „lisami”, bilet zostaje zaniesiony do kancelarii i oddany policji.

Tym razem „posłaniec” doszedł swego przeznaczenia, chociaż ten, do którego był adresowany, w tej chwili siedział zamknięty w osobnej celi. Adresatem był sam Babet, jeden z czterech hersztów bandy „Kociej Łapy”.

„Posłaniec” zawierał zwinięty papier, na którym napisane były te słowa: *Babet. Jest robota na ulicy Plumet. Kraty od ogrodu.* To właśnie napisał Brujon owej nocy.

Pomimo wścibskości dozorców i dozorczyń Babet znalazł sposób, żeby przesłać bilecik Brujona z La Force do więzienia Salpêtrière, gdzie była zamknięta jedna z jego „przyjaciółek”. Dziewczyna z kolei przesłała bilet swej znajomej imieniem Magnon, uważnie obserwowanej przez policję, ale jeszcze nie aresztowanej. Magnon miała z rodziną Thénardier stosunki, które opiszemy później i odwiedzając Eponinę mogła utrzymywać łączność między Salpêtrière a Magdalenkami.

Właśnie w owym czasie, z braku dowodów, córki Thénardiera, Eponina i Anzelma, zostały wypuszczone na wolność.

Kiedy Eponina wyszła, Magnon, czekając na nią pod bramą Magdalenek, oddała bilet Brujona do Babeta i poleciła „wyjaśnić” sprawę.

Eponina udała się na ulicę Plumet, odnalazła kraty i ogród, przyjrzała się domowi, śledziła, szpiegowała i po kilku dniach zaniósła Magnon sucharek, który Magnon oddała kochance Babeta w Salpêtrière. Sucharek w mrocznej symbolice złodziejskiej znaczy: „Nic z tego”.

Po upływie niecałego tygodnia, kiedy Babet i Brujon spotkali się na podwórzu, jeden idąc na śledztwo, a drugi z niego wracając: – No i co – zapytał Brujon – ulica P? – Sucharek – odpowiedział Babet.

Tak został poroniony zarodek zbrodni, który spłodził Brujon w więzieniu La Force.

Poronienie to jednak pociągnęło za sobą następstwa nie mające nic wspólnego z programem Brujona. Zobaczymy jakie.

Nieraz myśląc, że się zadzierzga jedną nić, nawiązuje się drugą.

Duch nawiedza pana Mabeuf

Mariusz nie chodził już do nikogo, niekiedy tylko zdarzało mu się spotkać z ojcem Mabeuf.

Gdy Mariusz z wolna zstępował po ponurych stopniach, które by można nazwać schodami piwnicy prowadzącymi do ciemności, gdzie nad głową słychać chodzących szczęśliwców, pan Mabeuf także spadał coraz niżej.

Flory okolic Caunteretz nikt zgoła nie kupował. Doświadczenia z indygo nie udawały się w małym ogródku dzielnicy Austerlickiej, źle wstawionym na działanie słońca. Pan Mabeuf mógł tam hodować tylko kilka rzadkich kwiatów, lubiących cień i wilgoć. Jednakże nie tracił odwagi. Dostał kawałek Ogrodu Botanicznego, w dobrym miejscu, i tam „własnym kosztem” robił próby

z indygo. Na to zastawił w lombardzie płyty swojej *Flory*. Śniadanie ograniczył do och jaj, z których jedno ustępował starej służącej, od piętnastu miesięcy nie biorącej pensji. Często śniadanie było całodziennym pokarmem. Cały dzień pracował przy zagonie indygo, a wieczorem wracał do siebie polewać kwiaty w ogrodzie i czytać książki. Pan Mabeuf miał wówczas około osiemdziesięciu lat.

Jednego wieczora miał osobliwe widzenie.

Wrócił do domu jeszcze za dnia. Matka Plutarch, podupadłszy na siłach, zachorowała i położyła się do łóżka. Na obiad ogryzł kość na której było trochę mięsa, przekąsił kawałkiem chleba znalezionym w kuchni i usiadł na obalonym słupku kamiennym, który w ogrodzie zastępował ławkę.

Pan Mabeuf zaczął kartkować i czytać, z pomocą okularów, dwie książki, które były jego namiętnością, a nawet, rzecz większej wagi w jego wieku, absorbowały go. Nie przerywając lektury, sponad książki, którą trzymał w ręku, spoglądał na swoje rośliny, a wśród nich na olbrzymi rododendron, który był jego pociechą. Był to czwarty dzień suszy, wiatru i spiekoty, bez jednej kropli deszczu; gięły się łądźki, pochylały pączki, opadały liście, wszystkie rośliny musiały być podlane; szczególnie rododendron był smutny. Ojciec Mabeuf należał do ludzi, dla których rośliny mają duszę. Starzec pracował cały dzień na swym zagonie indygo i był zupełnie wyczerpany, podniósł się jednak, położył książki na ławce, i pochylony, chwając się na nogach, poszedł aż do studni, lecz kiedy ujął łańcuch, nie mógł nawet pociągnąć na tyle, żeby go odzepić. Wtedy odwrócił się i ku niebu, które wypełniało się gwiazdami, wznosił wzrok pełen przerażenia.

Wieczór miał tę dziwną pogodę przygniatającą cierpienia ludzkie jakąś ponurą i wieczną radością. Noc zapowiadała się równie sucha jak dzień.

Wszędzie gwiazdy! – pomyślał starzec. – Ani jednej chmurki, ani kropli wody!

I głowa jego, podniesioną na chwilę, spadła na piersi.

Podniósł ją jeszcze i spojrzął w niebo, szepcząc:

– Przez litość, choć kropelkę rosy!

Raz jeszcze pociągnął łańcuch w studni, daremnie.

W tej chwili usłyszał głos mówiący:

– Ojciec Mabeuf, chce pan, to podleję ogród.

Jednocześnie coś zaszeleściło koło płotu, jak gdyby przechodziło tamtędy jakieś dzikie zwierzę, i starzec zobaczył wychodzącą z zarośli chudą postać, która stanęła przed nim i spojrzała nań śmiało. Wyglądało to równie na ludzką istotę, jak na widmo wyległe w mroku.

Nim ojciec Mabeuf, łatwo się lękający, zdołał odpowiedzieć słówko, już ta istota, z dziwną szybkością poruszająca się w cieniu, zdjęła łańcuch z haka, zanurzyła i wyciągnęła wiadro, napełniła konewkę i poczciwiec patrzył z radością, jak to bosonogie i obdarte widziadło przebiegało klomby, rozlewając dokoła życie. Szmer wody padającej na liście przepelniał zachwytem duszę ojca Mabeuf. Zdawało mu się, że teraz rododendron jest szczęśliwy.

Wypróżniwszy jedno wiadro, dziewczyna wyciągnęła drugie, potem trzecie. Podlała wszystkie kwiaty ogrodu.

Tak biegając po ścieżkach, przesuając się jak czarne widzenie, z rozpuszczonymi na wiatr końcami podartej chustki, zarzuconej na kościste ramiona, podobna była do nietoperza.

Gdy skończyła robotę, ojciec Mabeuf zbliżył się ze łzami w oczach i położył rękę na jej czole.

– Bóg ci pobłogosławi – rzekł. – Jesteś aniołem, bo pielęgnujesz kwiaty.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem diabłem, ale dla mnie to wszystko jedno.

Starzec, nie czekając na odpowiedź ani jej nie słysząc zawołał:

– Co za szkoda, że jestem taki nieszczęśliwy i biedny! Nie mogę nic dla ciebie zrobić.

- Owszem, może pan – rzekła.
- Cóż takiego?
- Powiedzieć mi, gdzie mieszka pan Mariusz.
- Starzec nie zrozumiał.
- Jaki pan Mariusz?
- Podniósł szkliste oczy i zdawał się szukać czegoś, co uciekało.
- Młody człowiek, który dawniej tu przychodził.
- Tymczasem pan Mabeuf szukał w pamięci.
- A, tak... – zawołał – wiem teraz, o co ci chodzi. Poczekaj! Pan Mariusz... baron Mariusz Pontmercy, to on! Mieszka... albo raczej już nie mieszka... Dalibóg, nie wiem gdzie. Tak mówiąc pochylał się, żeby poprawić gałązkę rododendronu, i dodał:
- Prawda, teraz sobie przypominam. Często przechodzi bulwarem, idąc w stronę Glaciere. Ulica Croulebarbe. Skowronkowe Pole. idź tamtędy, to go łatwo spotkasz.
- Gdy pan Mabeuf podniósł głowę, już nie było nikogo; dziewczyna znikła.
- Ogarnął go naprawdę strach.
- Do licha – pomyślał – gdyby nie to, że ogród jest podlany, uwierzyłbym, że to duch.

Zjawa ukazuje się Mariuszowi

Pewnego poranka, w kilka dni po tej wizycie „ducha” u ojca Mabeuf– był to poniedziałek, dzień pięciu franków, które Mariusz pożyczał od Courfeyraca dla Thénardiera – Mariusz włożył pieniądze do kieszeni i nim je odniósł do kancelarii więzienia, poszedł „przejść się trochę”, w nadziei, że po powrocie będzie mu łatwiej pracować. Co dzień zresztą powtarzała się ta sama historia. Po wstaniu z łóżka zasiadał nad książką i arkuszem papieru, żeby zabrać się do tłumaczenia; dostał wtedy do roboty przekład na język francuski sławnej kłótni Niemców Gansa i Savigny’ego; brał Savigny’ego, brał Gansa, przeczytał cztery wiersze, próbował pisać, nie mógł, bo jakaś gwiazda stawała między jego oczyma i papierem, i zrywał się z krzesła mówiąc: – Wyjdę. To mnie usposobi do pracy.

I szedł na Skowronkowe Pole.

Tu jeszcze wyraźniej widział gwiazdę, a daleko słabiej Savigny’ego i Gansa.

Powracał, usiłował znowu zabrać się do pracy i nigdy nie mógł; niepodobieństwem było związanie jakiegokolwiek z pozrywanych nici jego umysłu; wówczas mówił: – Jutro nie wyjdę. Przeszkadza mi to w pracy. – I wychodził co dzień.

Więcej mieszkał na Skowronkowym Polu niż u Courfeyraca. Jego prawdziwy adres brzmiał: bulwar Sante pod siódmym drzewem za ulicą Croulebarbe.

Tego ranka porzucił swoje siódme drzewo i usiadł na brzegu rzeczki Gobelinów. Wesole promienie słoneczne igrały wśród świeżych i pełnych blasku liści.

Marzył o „Niej”. Marzenie, stając się wyrzutem sumienia, spadało na niego bolesnym ciężarem; ze wstydem myślał o swoim lenistwie, tym paraliżu duszy, który ogarnął go coraz bardziej, i o tej nocy, która z każdą chwilą stawała się gęstsza, zakrywając mu już słońce.

Nagle usłyszał słowa:

– No! Nareszcie jest!

Podniósł oczy i poznał nieszczęśliwą dziewczynę, która kiedyś przyszła do niego, starszą

córkę Thénardierów, Eponinę; teraz wiedział już, jak jej na imię. Rzecz dziwna, zbiedniała i wyładniała, choć i jedno, i drugie wydawało się u niej niemożliwe. Dokonała podwójnego postępu – ku światłu i ku nędzy. Była bosa i w łachmanach, jak wtedy gdy tak śmiało weszła do jego pokoju, ale jej łachmany były o dwa miesiące starsze, bardziej dziurawe i brudniejsze. Ten sam zachrypły głos, to samo pociemniałe czoło o skórze spękanej od słońca, to samo spojrzenie ruchliwe, błędne i niepewne. Prócz tego miała w twarzy ten wyraz lękliwy i żalony, który dodaje do nędzy pobyt w więzieniu.

Żdźbła słomy i siana tkwiły w jej włosach, nie jak u Ofelii, która wpadła w obłąkanie, zaraziwszy się szaleństwem Hamleta, ale po prostu dlatego, że przespała noc na jakimś stajennym strychu.

Z tym wszystkim była jednak piękna. Jaka gwiazdą jesteś, o młodości!

Zatrzymała się przed Mariuszem z odrobiną radości na zsiniałej twarzy i czymś, co było podobne do uśmiechu.

Przez chwilę zdawało się, że nie może wydobyć z gardła ani słowa.

– Gdyby pan wiedział, ile się pana naszukałam! – rzekła wreszcie. – Wypuścili mnie, bo nie mieli przeciw mnie dowodów, a przy tym jestem jeszcze niepełnoletnia. Brakowało mi dwóch miesięcy. Ale się pana naszukałam! Całe sześć tygodni! Więc pan już tam nie mieszka?

– Nie – odpowiedział Mariusz.

– O, rozumiem, z powodu tej historii. Takie hece to nic przyjemnego, więc się pan wyprowadził. Ale dlaczego pan nosi taki stary kapelusz? Taki panicz powinien się ubierać elegancko. Niech pan powie, gdzie pan teraz mieszka?

Mariusz nie odpowiedział.

– O! – mówiła dalej – ma pan w koszuli dziurę. Muszę ją zacerować.

I znów zaczęła mówić tonem coraz smutniejszym:

– Nie bardzo się pan ucieszył na mój widok?

Mariusz milczał i ona zamilkła na chwilę, po czym zawołała:

– A gdybym chciała, tobym tak zrobiła, że musiałby się pan ucieszyć!

– Co? – zapytał Mariusz. – Co pani chce przez to powiedzieć?

– O, dawniej mówił mi pan „ty”! – odparła.

– No więc, co chcesz przez to powiedzieć?

Zagryzła usta, zdawała się wahać, jakby w duchu walczyła sama z sobą. Wreszcie zdecydowała się.

– Trudno, mniejsza o to. Pan jest smutny, a ja chcę, żeby pan był zadowolony. Niech mi pan przyrzeknie, że będzie się pan śmiał. Chcę, żeby się pan roześmiał i powiedział: „A to dobrze! To dobrze!” Biedny panie Mariuszu! Przecież pan powiedział, że mi pan da, co zechcę...

– Tak! Ale mów w końcu!

Spojrzała mu głęboko w oczy i powiedziała:

– Mam adres!

Mariusz zbladł. Wszystkie krew spłynęła mu do serca.

– Jaki adres?

– Adres, o który pan mnie prosił.

I dodała jakby z wysiłkiem:

– Adres... przecie pan wie?

– Tak – wybąkał Mariusz.

– Tej panienki!

Wymówiwszy ten wyraz, westchnęła głęboko.

Mariusz zeskoczył z bariery, na której siedział, i jak szalony porwał ją za rękę.

– O, zaprowadź mnie! Mów! Żądaj, czego tylko chcesz! Gdzie to?
– Niech pan idzie ze mną – odpowiedziała. – Nie wiem dobrze, jak się nazywa ta ulica ani który to numer. To jest w zupełnie innej stronie, ale dobrze znam ten dom i zaprowadzę pana.
Usunęła rękę i dodała tonem, który by przeszył serce człowieka uważnie ją obserwującego, ale na Mariuszu, pijanym ze szczęścia, nie zrobił najmniejszego wrażenia:
– Ach, jaki pan jest zadowolony!
Nagle Mariusz zachmurzył się. Schwycił Eponinę za ramię.
– Tylko zaklnij się...
– Zakląć się? – odparła. – Co to znaczy? Chce pan, żebym zakłęła?
I roześmiała się.
– Bo twój ojciec... Przyrzeknij mi, zaklnij się, Eponino. Przysięgnij, że nie powiesz tego adresu twojemu ojcu!
Eponina obróciła się ku niemu zdumiona.
– Eponino! Skąd pan wie, że nazywam się Eponina?
– Przyrzeknij mi to, o czym mówię!
Zdawało się, że go nie słyszy.
– To bardzo miło, że pan mnie nazywa Eponina!
Mariusz wziął ją za obie ręce.
– Ale odpowiedz mi, na miłość boską! Uważaj, co mówię, przysięgnij, że nie powiesz ojcu tego adresu!
– Ojcu? – rzekła. – Ach tak, mojemu ojcu! Może pan być spokojny. Siedzi. A zresztą, co mnie obchodzi mój ojciec.
– Ale mi nie przyrzekasz! – zawołał Mariusz.
– Niech pan mnie puści! – krzyknęła parszkając śmiechem. – Jak pan mną trzęsie! Tak, przyrzekam, przysięgam! Co mi to szkodzi? Nie powiem adresu mojemu ojcu. Wystarczy? Czy już wszystko? O to panu chodziło?
– Ani nikomu? – zapytał Mariusz.
– Ani nikomu.
– A teraz – rzekł Mariusz – zaprowadź mnie.
– W tej chwili?
– W tej chwili.
– Chodźmy. O, jaki zadowolony! – powiedziała.
Po kilku krokach zatrzymała się.
– Za blisko pan idzie za mną, panie Mariuszu. Ja pójdę naprzód, a pan niech idzie z daleka, jakby pan nie szedł za mną. Nie trzeba, żeby ludzie widzieli, że taki porządny młody człowiek, jak pan, idzie z taką kobietą jak ja.
Żaden język nie potrafi wyrazić tego wszystkiego, co się mieściło w słowie „kobieta”, wypowiedzianym w tej sytuacji przez to dziecko.
Uszła z dziesięć kroków i przystanąła; Mariusz znowu znalazł się przy niej. Nie odwracając głowy w jego stronę, zapytała:
– A czy pan pamięta, że mi pan coś obiecał?
Mariusz włożył rękę do kieszeni. Miał tylko pięć franków przeznaczonych dla Thénardiera. Wyjął je i wsunął Eponinie do ręki.
Otworzyła palce i pieniądz upadł na ziemię. Spojrzała ponuro na Mariusza i powiedziała:
– Ja nie chcę od pana pieniędzy.

Rozdział trzeci

DOM NA ULICY PLUMET

Tajemniczy dom

W połowie zeszłego wieku pewien prezydent parlamentu paryskiego, który miał kochankę i krył się z tym – bo w owym czasie wielcy panowie chwalili się swoimi kochankami, a mieszczanie ukrywali je – kazał zbudować dom na przedmieściu Saint-Germain, w samotnej ulicy Blomet, którą dziś nazywają Plumet, niedaleko miejsca zwanego wówczas „Walką Zwierząt”.

Był to jednopiętrowy dworek; dwa pokoje na parterze, dwa na pierwszym piętrze, na dole kuchnia, na górze buduar, strych pod dachem, a dokoła ogród, zamknięty od ulicy wysoką kratą. Ogród miał blisko morgę. Tyle tylko mogli zobaczyć przechodnie; ale za dworkiem było wąskie podwórko, a w głębi podwórka niski domek o dwóch izbach nad piwnicą, zbudowany umyślnie na wypadek, gdyby trzeba było ukryć dziecko i mamkę. Domek ten łączył się ukrytymi i tajemnie otwieranymi drzwiami z długim, wąskim i krętym korytarzem, wybrukowanym, bez dachu, poprowadzonym między dwoma wysokimi murami; korytarz ten, po mistrzowsku zamaskowany i jakby zagubiony między ogrodzeniami sąsiednich posesji, kluczył po zygzakowatej linii ich granic, wiodąc aż do drugich także ukrytych drzwi, odległych o pół ćwierci mili francuskiej od dworku, prawie w innej dzielnicy miasta, bo w nie zamieszkanym krańcu ulicy Babilońskiej.

Tędy to wchodził pan prezydent, a ci, co go szpiegowali i zauważyli, że pan prezydent codziennie gdzieś tajemniczo znika, nie mogli się domyślić, że udając się na ulicę Babilońską, idzie na ulicę Blomet. Dzięki zręcznemu kupnu gruntów dowcipny prezydent mógł zbudować to tajemnicze przejście u siebie, na własnej ziemi, a zatem bez kontroli. Później sprzedał częściowo na ogrody i pola grunty dotykające do korytarza, a właściciele tych kawałków ziemi, z obu stron, byli pewni, że mają przed sobą mur graniczny, i nie przypuszczali nawet istnienia korytarza, wijącego się wężykowato między ich ogrodami i sadami. Tylko ptaki oglądały tę osobliwość. Prawdopodobnie szczygły i sikory zeszłego stulecia złośliwie obgadywały pana prezydenta.

W październiku 1829 roku zjawił się człowiek podeszłego wieku i wynajął dom, oczywiście razem z tylnym budynkiem i korytarzem wychodzącym na ulicę Babilońską. Kazał założyć na nowo sekretne zamknięcia dwojga drzwi tego zamaskowanego przejścia. Dom był jeszcze umeblowany starymi meblami prezydenta i nowy lokator kazał je odnowić, dodał to, czego brakowało, naprawił bruk na podwórzu, posadki w pokojach, stopnie schodów, wstawił szyby w oknach i w końcu zamieszkał tam z młodą panną i starą służącą, czyniąc to tak dyskretnie, jakby się wkradał do cudzego domu, nie zaś wprowadzał do siebie. Sąsiedzi nie robili plotek z tej

przyczyny, że nie było tam żadnych sąsiadów.

Tym niedyskretnym lokatorem był Jan Valjean, a młodą panną Kozeta. Służąca nazywała się Toussaint i była kobietą, którą Jan Valjean wydobył ze szpitala i nędzy; była stara, pochodziła z prowincji i jąkała się – trzy zalety, które zdecydowały, że Jan Valjean wziął ją na służbę. Wynajął dom pod nazwiskiem pana Fauchelevant, rentiera. Ze wszystkiego, cośmy wyżej opowiedzieli, czytelnik niewątpliwie poznał Jana Valjean jeszcze prędzej niż Thénardier.

Dlaczego Jan Valjean opuścił klasztor Petit-Picpus? Co się stało?

Nic się nie stało.

Jak sobie przypominamy, Jan Valjean był szczęśliwy w klasztorze, tak szczęśliwy, że w końcu sumienie jego zaczęło się niepokoić. Codziennie widywał Kozetę, czuł rodzącą się i rozwijającą w swym sercu miłość ojcowską, strzegł duszy tego dziecka, mówił sobie, że Kozeta należy do niego, że nie mogą mu jej zabrać, że tak. będzie zawsze, że zapewne zostanie zakonnicą, codziennie wciągana do tego trybu życia, że w ten sposób klasztor stanie się odtąd dla niego i dla niej całym światem, że on tam zestarzeje się. ona dorośnie i później też się zestarzeje, a on umrze, że na koniec – rozkoszna nadzieja! – nic ich nigdy nie rozdzieli. Rozmyślając nad tym, zaczął się niepokoić. Badał siebie; zapytywał, czy to szczęście nie było egoizmem, czy nie powinno mu chodzić o drugie szczęście, szczęście dziecka, które zabrał dla siebie, on, starzec. Czy nie jest to kradzieżą? Mówił sobie, że ta dziecina ma prawo poznać życie, nim się go wyrzeknie, że odejmować jej z góry, nie zasięgnąwszy jej zdania, wszelkie radości pod pozorem, że się ją chroni od wszelkich ciężkich doświadczeń, korzystać z jej nieświadomości i odcięcia od świata, żeby wydobyć z niej sztuczne powołanie, jest to wynaturzać istotę ludzką i kłamać Bogu. Któż wie, czy później, zdawszy sobie pewnego dnia sprawę z tego i będąc zakonnicą wbrew chęci, Kozeta go znienawidzi? Ta ostatnia myśl, prawie samolubna i mniej heroiczna od innych, wydała mu się nieznośna. Zdecydował się opuścić klasztor.

Zdecydował się więc. Z rozpaczą stwierdził, że tak trzeba. Obaw nie miał już zresztą żadnych. Pięć lat pobytu między czterema murami i zniknięcia na pewno zniszczyły lub rozproszyły niebezpieczeństwo. Mógł spokojnie wrócić między ludzi. Postarzał, wszystko zmieniło się. Kto by go teraz poznał? A przy tym, w najgorszym razie, niebezpieczeństwo groziło tylko jemu i nie miał prawa skazywać Kozety na klauzurę dla tej tylko przyczyny, że sam był skazany na galery. Zresztą, czym jest niebezpieczeństwo w porównaniu z obowiązkiem? A wreszcie nic mu nie przeszkadzało być ostrożnym i mieć się na baczności.

Edukacja Kozety była prawie ukończona.

Raz powziąwszy postanowienie, czekał tylko sposobności. Wkrótce się nadarzyła. Stary Fauchelevant umarł.

Jan Valjean poprosił o posłuchanie u wielbnej przełożonej i oznajmił jej, że otrzymawszy po śmierci brata mały spadek, który pozwala mu żyć teraz bez pracy, opuszcza służbę klasztorną i zabiera z sobą córkę; że jednak byłoby niesprawiedliwe, aby Kozeta odebrała wychowanie bezpłatne, nie zostając zakonnicą, prosi więc pokornie wielbłą przełożoną, żeby raczyła przyjąć dla zgromadzenia pięć tysięcy franków jako zwrot kosztów pięcioletniego utrzymania dziecka.

W taki to sposób Jan Valjean opuścił klasztor. Wychodząc, sam poniósł, nikomu nie chcąc go powierzyć, mały kuferek, od którego klucz miał zawsze przy sobie. Kuferek intrygował Kozetę, bo wydobywała się z niego woń dziwnie balsamiczna.

Powiedzmy od razu, że odtąd z kuferkim tym nie rozstawał się nigdy. Bywała to pierwsza, niekiedy jedyna rzecz, którą zabierał przy przeprowadzce. Kozeta śmiała się z tego i nazywając ten kuferek „nieodłącznym” mówiła: – Jestem o niego zazdrosna!

Zresztą Jan Valjean wyszedł na świat nie bez pewnego uczucia lęku.

Wynalazł dom przy ulicy Plumet i w nim się zagrzebał. Nazywał się odtąd Ultym

Fauchelevant.

Jednocześnie wynajął dwa inne mieszkania w Paryżu, aby nie przebywając stale w tej samej dzielnicy, mniej zwracać na siebie uwagi, móc się oddalić w razie najłżejszego niepokoju i nie być zaskoczonym zniecacka, jak owej nocy, gdy cudem prawie wymknął się Javertowi. Te dwa mieszkania, bardzo skromne, wyglądające nawet ubogo, znajdowały się w dzielnicach bardzo od siebie oddalonych: jedno przy Zachodniej, drugie przy ulicy Człowieka Zbrojnego.

Na ulicy Człowieka Zbrojnego, to znowu na Zachodniej spędzał z Kozetą miesiąc lub półtora, nie ruszając z miejsca starej Toussaint. Używał do posług dozorców domowych i podawał się za rentiera z okolic Paryża, wynajmującego mieszkanie, żeby móc się zatrzymać w mieście. Ten człowiek tak cnotliwy miał trzy siedziby w Paryżu, aby ująć uwagi policji.

Jan Valjean jako gwardzista narodowy

Właściwie zresztą mieszkał przy ulicy Plumet i urządził sobie życie w sposób następujący:

Kozeta ze służącą zajmowała dworek; miała obszerną sypialnię z malowanymi ścianami, buduar ze złoconymi listwami i salon prezydenta, a w nim kobierce i obszerne, wygodne fotele; miała też ogród. Jan Valjean kazał postawić w pokoju Kozety łóżko pod baldachimem z antycznego trójbarwnego adamaszku, podłogę przykrył pięknym starym dywanem perskim, który kupił na ulicy Figuier-Saint-Paul u pani Gaucher; aby zaś złagodzić nieco tę surowość świetnej starzyzny wstawił tu również wesołe i zgrabne mebelki panieńskie, etażerkę, biblioteczkę z książkami o złoconych brzegach, z papierem listowym i przyborami do pisania, stolik do robótek inkrustowany perłową masą, emaliowaną szkatułkę i gotownię z japońskiej porcelany. Długie adamaszkowe portiery w pasy na czerwonym tle, w kolorach baldachimu, wisiały u okien na pierwszym piętrze. W pokojach na dole – firanki haftowane. Przez całą zimę mieszkanie Kozety ogrzewane było na dole i na górze. On sam zajmował w głębi podwórza pomieszczenia podobne do stróżówki, gdzie było łóżko na pasach z materacem, stół z surowego drzewa, dwa plecione krzesła, fajansowy dzban na wodę, kilka starych książek na półce, a w kącie cenny kuferek; nigdy nie palił ognia.

Przyjmując starą Toussaint na służbę, powiedział jej:

– Panienska jest panią domu.

– A pa-an, proszę pa-a-ana? – zapytała zdumiona Toussaint.

– Ja jestem czymś więcej niż panem domu, jestem ojcem.

Kozeta nauczyła się gospodarstwa domowego w klasztorze i teraz przez jej ręce przechodziły ich niewielkie wydatki. Codziennie Jan Valjean brał ją pod ramię i szli na spacer. Prowadził Kozetę do Ogrodu Luksemburskiego w aleję najmniej uczęszczaną, a co niedziela na mszę do kościoła św. Jakuba, ponieważ leżał on daleko.

Dzielnica, w której stał kościół, była bardzo uboga, rozdawał więc szczerze jałmużnę i dlatego to Thénardier adresował do niego list: *Wielmożnemu Dobroczynnemu Panu z kościoła św. Jakuba*. Chętnie prowadził Kozetę do ubogich i chorych. Żaden obcy nie wchodził do domu przy ulicy Plumet. Toussaint kupowała jedzenie, a Jan Valjean sam chodził po wodę do studni, znajdującej się tuż obok na bulwarze.

Przy furtce od ulicy Babilońskiej wisiała skrzynka w rodzaju skarbonki, przeznaczona na listy i dzienniki, że jednak troje mieszkańców pawilonu przy ulicy Plumet nie odbierało dzienników

ani listów, skrzynka, przyjmująca niegdyś miłosne liściki i poufne zwierzenia umizgalskiego palestranta, teraz służyła tylko do zawiadomień poborcy podatkowego i wezwań na wartę od dowódcy gwardii narodowej. Albowiem rentier Fauchelevant należał do gwardii narodowej; nie mógł wymknąć się z gęstych sieci spisu ludności w roku 1831. Władze miejskie owych czasów dotarły aż do klasztoru Petit-Picpus, nieprzystępnego a świętego obłoku, z którego Jan Valjean wyszedł jako człowiek w oczach merostwa nieposzlakowany, a więc i godny, by pełnić wartę.

Trzy lub cztery razy do roku Jan Valjean ubierał się w mundur i odbywał wartę; zresztą bardzo chętnie, gdyż było to dla niego doskonale przebranie, dzięki któremu miał styczność z ludźmi, pozostając w samotności. Doszedł właśnie lat sześćdziesięciu, wieku zwalnającego od służby, ale wyglądał ledwie na pięćdziesiąt, a przy tym nie miał żadnej ochoty do uwolnienia się od swojego sierżanta, popadając w zatarg z hrabią Lobau; nie miał papierów, ukrywał nazwisko i tożsamość osoby, ukrywał swój wiek, ukrywał wszystko i – jakżeśmy powiedzieli – był gwardzistą narodowym z dobrej woli. Być podobnym od pierwszego lepszego, co płaci podatki – oto cała jego ambicja. Zewnątrz – mieszczanin, wewnątrz – anioł, taki był ideał tego człowieka.

Jan Valjean, Kozeta i Toussaint wchodzili i wychodzili zawsze drzwiami od ulicy Babilońskiej. Kto ich nie spostrzegł przez kraty ogrodu, ten aniby się domyślił, że mieszkają przy ulicy Plumet. A krata zawsze była zamknięta. Jan Valjean nie uprawiał ogrodu, żeby nie przyciągał uwagi.

I to był może błąd.

Zaczyna się bitwa

Kozeta żyła w swoim cieniu, tak jak Mariusz w swoim, każdej chwili gotowa zapłonąć. Los ze swą tajemniczą i fatalną cierpliwością zbliżał ku sobie te dwie istoty roztesknione i naładowane burzliwą elektrycznością uczucia, te dwie dusze, które niosły miłość, jak dwie chmury niosą piorun, aby zbliżyć się i połączyć w spojrzeniu jak chmury w błyskawicy.

Od dawna już spostrzegła go i przypatrywała mu się, jak dziewczęta przypatrują się i widzą patrząc gdzie indziej. Kozeta wydawała się jeszcze Mariuszowi brzydka, a on już wydał się jej piękny. Ale że nie zwracał na nią uwagi, był jej obojętny.

Jednak mimo woli powiedziała sobie, że ten młodzieniec ma piękne włosy, piękne oczy, piękne zęby, przyjemne brzmienie głosu, bo usłyszała, jak rozmawiał z kolegami; że chodził pochylony, to prawda, ale z jakimś swoistym wdziękiem, że zdawał się wcale niegłupi, że cała jego postać była szlachetna, miła, prosta i dumna, i wreszcie, że wyglądał biednie, ale bardzo przyzwoicie.

Tego dnia, gdy ich oczy spotkały się i powiedziały sobie nagle te pierwsze, ciemne i niewysłowione rzeczy, które szepcze spojrzenie, Kozeta zrazu nie rozumiała. Zamyślona wróciła do domu na Zachodniej, gdzie Jan Valjean, według zwyczaju, spędzał sześć tygodni. Nazajutrz, obudziwszy się, pomyślała o nieznanym młodzieńcu – który dawniej tak obojętny i zimny, teraz zdawał się zwracać na nią uwagę – i bynajmniej nie sprawiło jej to przyjemności. Owszem, rozgniewał ją raczej ten wzgardliwy piękniś. Chęć walki obudziła się w jej duszy. Zdawało się jej – i czuła już dziecianną radość na myśl o tym – że wkrótce się zemści.

Codziennie z niecierpliwością czekała godziny przechadzki, a spotkawszy Mariusza, czuła się niewymownie szczęśliwa i sądziła, że szczerze wyraża swoje myśli mówiąc do Jana Valjean: –

Jaki rozkoszny jest ten Ogród Luksemburski!

Mariusz i Kozeta byli dla siebie jakby zanurzeni w nieprzeniknionej nocy. Nie rozmawiali z sobą, nie witali się, nie znali; widywali się tylko i jak gwiazdy na niebie, oddzielone milionami mil, żyli patrzeniem na siebie.

Tak Kozeta powoli stawała się kobietą i rozwijała się, piękna i zakochana, świadoma swej urody, nieświadoma swej miłości. A w dodatku zalotna przez niewinność.

On smutny, ona jeszcze smutniejsza

Każda sytuacja porusza w człowieku właściwy instynkt. Stara odwieczna matka natura ostrzegała po cichu Jana Valjean o obecności Mariusza. Jan Valjean drżał w najtajniejszej głębi swych myśli. Nic nie widział, nic nie wiedział, a jednak z upartą uwagą wpatrywał się w ciemności, którymi był otoczony, jakby czuł, że coś się buduje z jednej strony, że coś się z drugiej strony wali. Mariusz, przestrzeżony także przez tę samą matkę naturę, która jest głębokim prawem Boga, jak mógł, starał się unikać „ojca”. Zdarzało się jednak, że Jan Valjean spostrzegł go. Postępowanie Mariusza było w istocie niezwykle. Był podejrzanie roztropny i niezgrabnie śmiały. Nie zbliżał się już jak dawniej, zatrzymywał się z daleka i siedział w ekstazie; miał w ręku książkę i udawał, że czyta; po co udawał? Dawniej przychodził w starym ubraniu, teraz codziennie był w nowym; może nawet układał sobie włosy, strzelał oczyma, nosił rękawiczki; słowem Jan Valjean serdecznie znieawidził tego młodzieńca.

Jan Valjean nie przerywał przechadzek do Ogrodu Luksemburskiego; nie chciał zachowywać się inaczej niż zwykle, a nade wszystko lękał się, aby Kozeta nie odgadła, co go niepokoi; ale w godzinach tak słodkich dla dwojga zakochanych, gdy Kozeta posyłała uśmiech upojonemu Mariuszowi, który nic prócz tego nie spostrzegał i z całego świata widział tylko tę promienną, ubóstwianą twarz, Jan Valjean wpatrywał się w Mariusza okiem błyszczącym i groźnym. On, który w końcu uwierzył, że nie jest zdolny do żadnej niezyczliwości, gdy Mariusz był w ogrodzie, chwilami czuł, że znów staje się dziki i okrutny, czuł, że się roztwierają i burzą w nim przeciwko temu człowiekowi wszystkie stare głębie jego duszy, w której niegdyś tyle było złości. Zdawało mu się nawet, że znowu powstają w jego duszy jakieś nieznane wulkany.

Cóż to? Znowu ten człowiek! Czego on chce? Krąży, wywiaduje się, bada, próbuje i powiada: A czemu nie? Krąży koło życia Jana Valjean! Krąży koło jego szczęścia, żeby je porwać i zabrać!

Jan Valjean dodawał: Tak, tak właśnie! Czego szuka? Przygody? Miłości? A ja? Byłem najprzód najnędzniejszym z ludzi, a potem najnieszczęśliwszym; sześćdziesiąt lat przeżyłem na kolanach, przecierpiałem, ile tylko można przecierpieć, zestarzałem się nie znając młodości, żyłem bez rodziny, bez krewnych, bez przyjaciół, bez żony, bez dzieci, zostawiłem swoją krew na wszystkich cierniach, na wszystkich kamieniach, na wszystkich drogach, wzdłuż wszystkich murów, byłem łagodny, choć ze mną postępowano okrutnie, i dobry, choć ludzie byli dla mnie źli, pomimo to stałem się uczciwym człowiekiem, odpokutowałem za zło, które czyniłem, i przebaczyłem zło, które mi uczyniono, i oto, kiedy nareszcie otrzymałem nagrodę, kiedy skończyła się niedola, kiedy zbliżam się do celu, kiedy mam to, czego pragnę, to dobro okupione, zdobyte tak drogo – wszystko to ma zniknąć jak dym i stracę Kozetę, stracę moje życie, moją radość, moją duszę, bo się jakiemuś nicponiowi spodobało spacerować po Ogrodzie

Luksemburskim!

Wówczas źrenice jego napełniały się światłem ponurym i niezwykłym. Nie był to już człowiek patrzący na człowieka, nie był to wróg patrzący na wroga. Był to brytan śledzący złodzieja.

Wiemy, co się dalej stało. Mariusz stale postępował jak nieprzytomny. Pewnego dnia zaszedł za Kozeta aż na ulicę Zachodnią. Innego znowu rozmawiał z odźwiernym. Odźwierny ze swojej strony powiedział do Jana Valjean: – Proszę pana, rozpytywał się tu o pana Jakiś ciekawy młodzieniec. – Nazajutrz Jan Valjean rzucił na Mariusza spojrzenie, które on wreszcie spostrzegł. W tydzień później Jan Valjean wyprowadził się. Przysiągł sobie, że noga jego nie podanie ani w Ogrodzie Luksemburskim, ani na ulicy Zachodniej. Powrócił na ulicę Plumet.

Kozeta nie skarżyła się, nie powiedziała ani słowa, nie pytała, nie próbowała badać dlaczego; doszła do tego momentu, w którym nad wszystkim góruje obawa, żeby nie dać się przeniknąć i nie zdradzić swoich myśli. Jan Valjean nie znał z doświadczenia tych niedoli, jedynych, które są miłe, i jedynych, których sam nigdy nie przeżywał; dlatego też nie zrozumiał, jak poważną było rzeczą milczenie Kozety. Zauważył tylko, że posmutniała, i stał się ponury. Z obu stron stanęli do walki niedoświadczeni zapaśnicy.

Łańcuch

Nieszczęśliwszym z dwojga był Jan Valjean. Młodość, nawet wśród swoich smutków, sama sobie jest pociechą.

Bywały chwile, w których Jan Valjean tak cierpiał, że dzieciniał. Jest to właściwe cierpieniu, że odsłania ono dziecinne strony człowieka. Był przekonany, że Kozeta jest już dla niego stracona. Chciał walczyć, chciał ją zatrzymać przy sobie, zachwycić ją i olśnić jakimś zewnętrznym przepychem. Myśli te, dziecinne, jakieśmy powiedzieli, i zarazem starcze, właśnie przez tę swoją dziecinność dały mu dość trafne wyobrażenie o wpływie złożonych mundurów na wyobraźnię dziewcząt. Zdarzyło mu się raz widzieć przejeżdżającego konno generała w galowym uniformie, hrabiego Coutard, komendanta Paryża. Pozazdrościł temu wyłoczonemu człowiekowi; powiedział sobie, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł przywdziać taki strój, że na pewno olśniłby Kozetę, że gdyby prowadząc ją pod rękę i przechodząc koło bramy Ogrodu Tuileryjskiego, odbierał honory wojskowe, toby wystarczyło Kozecie i wybiło jej z głowy wszystkich młodych ludzi.

Niespodziewany wstrząs przyłączył się do tych smutnych myśli.

Nawet i wówczas, kiedy ich życie posmutniało, zachowali zwyczaj porannych przechadzek. Otóż pewnego październikowego ranka, skuszeni piękną pogodą jesieni roku 1831, wyszli na przechadzkę i stanęli o świcie przy rogatce Maine. Słońce jeszcze nie weszło; był dopiero pierwszy brzask, chwila rozkoszna i tajemnicza. Tu i ówdzie świeciły gwiazdy na bladym, głębokim błękitnie niebios, ziemia była jeszcze ciemna, niebo białe, żdźbła trawek drgały, wszędzie panował tajemniczy urok pierzchającego mroku.

Jan Valjean usiadł w bocznej alei, na belkach złożonych pod drzwiami jakiejś fabryki. Twarzą odwrócony ku drodze, a plecami ku światłu, zapomniał o słońcu, które wkrótce miało wzejść; utonął w jednym z tych głębokich marzeń, które skupiają całą duszę i niby w czterech murach więzłą wzrok. Są zamyślenia, które nazwać by można pionowymi; kiedy się jest na ich dnie, dużo

trzeba czasu, żeby się wydostać na ziemię. Jan Valjean zapuścił się w głąb jednego z takich marzeń. Myślał o Kozecie, o szczęściu, jakiego mógł doznać, gdyby nic nie stało między nią i nim, o jasności, jaką wypełniała jego życie, jasności, która była oddechem jej duszy. Był prawie szczęśliwy w tym marzeniu. Kozeta, stojąc tuż koło niego, patrzyła, jak różowieją obłoki.

Nagle zawołała:

– Ojczy, zdaje się, że coś nadjeżdża.

Jan Valjean podniósł oczy.

Kozeta miała słuszną.

Szosa, wiodąca do dawnej roгатki Maine, jest – jak wiadomo – przedłużeniem ulicy Sevres, przeciętym pod prostym kątem przez prawy bulwar wewnętrzny. W miejscu, gdzie zbiega się on z szosą, słychać było turkot, trudny do wytłumaczenia o tej godzinie, i w dali ukazał się niewyraźnie jak gdyby ruchomy zator. Coś bezkształtnego, co wyłoniło się z bulwaru, wyjeżdżało na szosę.

Rosło to, zdawało się poruszać w porządku, ale było najeżone i drżące; wyglądało jak wóz, lecz ładunku nie można było dostrzec. Były tam konie, koła, krzyki, trzaskania z bata. Kontury ustalały się stopniowo, chociaż jeszcze zatopione w ciemnościach. Był to rzeczywiście wóz, za nim drugi, trzeci i czwarty; siedem wozów wyjechało z bulwaru, tak blisko jeden za drugim, że głowy koni dotykały wozów jadących przed nimi. Jakieś sylwetki poruszały się na tych wozach, widać było w mroku błyski jak gdyby obnażonych szabli, słychać było szczęk przypominający poruszane łańcuchy, wszystko to posuwało się naprzód, głosy rosły; jakaś rzecz straszliwa z rodzaju tych, które wychodzą z jaskini snów.

W bliższej już odległości, przybierając kształty, zarysowało się to za drzewami upiornie sine i zaczęło bieleć; dzień, który powoli nastawał, kładł blade światło na tym rojowisku zarazem grobowym i żyjącym, głowy sylwetek stały się trupimi twarzami, i oto, co wreszcie można było zobaczyć:

siedem wozów jechało gęśiego po szosie. Sześć pierwszych miało niezwykłą konstrukcję. Przypominały one wózki bednarskie, coś w rodzaju długiej drabiny na dwóch kołach, którego przedłużenie od przodu stanowią dyszle. Każdy wóz, albo raczej każdą drabinę, ciągnęły cztery konie. Na tych drabinach siedziały dziwne grupy ludzi. Przy słabym świetle brzasku nie można ich było widzieć, lecz tylko domyślić się. Jechali po dwudziestu czterech na wozie, dwunastu z każdej strony, zwróceniu do siebie plecami, a twarzą do przechodniów, z nogami zwisłymi w powietrzu; za plecami coś im brzęczało – był to łańcuch, a na szyjach coś świeciło – były to obroże. Każdy miał osobną obrożę, ale łańcuch był wspólny dla wszystkich; tak więc jeżeli tym dwudziestu czterem ludziom zdarzyło się zejść z wozu i iść pieszo, chwyciła ich wtedy nieubłagana jedność i z łańcuchem, który się stawał ich kręgosłupem, musieli więc się po ziemi mniej więcej jak stonoga. W tyle i na przedzie każdego wozu stali dwaj ludzie z karabinami, każdy trzymając koniec łańcucha pod stopą. Obroże były kwadratowe. Na końcu jechał normalny, wielki wóz bez przykrycia, zaprzężony w sześć koni; załadowany był brzęczącym stosem żelaznych kotłów, garnków, kuchenek i łańcuchów, wśród których leżało kilku ludzi skrepowanych postronkami i wyglądających na chorych.

Wszystkie niedole złączyły się w tym orszaku w jeden chaos; były tam kąty twarzowe wszystkich zwierząt, byli starcy, młodzieńcy, były gołe czaszki, siwe brody, cyniczne monstra, nadasana rezygnacja, grymas okrutnego uśmiechu, dziwaczne postawy, ryje nakryte czapkami, główki jakby dziewczęce z lokami na skroniach, twarze dziecinne i dlatego właśnie straszne, wychudłe oblicza szkieletów, którym brakowało tylko śmierci. Na pierwszym wozie widać było Murzyna, który zapewne był dawniej niewolnikiem i teraz mógł porównywać łańcuchy. Straszliwe zrównanie w dół, ku hańbie, dotknęło tych czół; na tym stopniu poniżenia wszyscy

przeszli najostatniejsze przemiany w najostateczniejszych głębiach duszy, i ciemnota ich, która się stała otepieniem, dorównywała inteligencji, która się zamieniła w rozpacz. Niepodobna było wybierać między tymi ludźmi, ukazującymi się oczom niby ekstrakt błota. Ten, kto formował ową ohydłą procesję, z pewnością nie pomyślał o żadnej klasyfikacji. Istoty te zostały powiązane i zestawione w pary bezładnie, prawdopodobnie w nieporządku alfabetycznym, i jak szło załadowane na wozy. Jednakże skupione razem okropności dają w końcu wspólną wypadkową; z dodawania nieszczęśników zawsze wynika suma; każdy łańcuch miał wspólną duszę, każdy wóz swoją fizjonomię. Na jednym śpiewali, na drugim wyli, na trzecim wyciągali ręce po jałmużnę, na innym znowu zgrzytali zębami, tam grozili przechodniom, ówdzie bluźnili Bogu; ostatni wóz milczał jak mogiła. Dante pomyślałby, że widzi podróżujące kręgi piekielne.

Oczy Jana Valjean nabrały strasznego wyrazu. Nie miał już źrenic, lecz to głębokie szkło, które czasem u ludzi nieszczęśliwych zastępuje spojrzenie, zdaje się nie widzieć nic z rzeczywistości i tylko odbija w migotliwych blaskach jakieś strachy i katastrofy. Na patrzył na widowisko, lecz przeżywał wizję. Chciał się podnieść, biec, uciekać, ale nie mógł poruszyć nogami. Niekiedy rzeczy, na które patrzymy, chwytają nas i trzymają. Siedział tak przykuty, osłupiały, bezmyślny i zapytywał sam siebie w ogromnej, nieokreślonej trwodze, co znaczą te dręczące go upiory, skąd wychodzi to ścigające go pandemonium. Nagle podniósł rękę do czoła – ruch właściwy ludziom, którym nagle wraca pamięć – przypomniał sobie, że była to zwykła trasa, że stosowano tę drogę okrężną, aby uniknąć zawsze możliwego spotkania z orszakiem królewskim na szosie prowadzącej do Fontainebleau, i że przed trzydziestu pięciu laty on sam też przejeżdżał przez tę rogatkę.

Kozeta nie mniej była przerażona, choć w inny sposób. Nie rozumiała, zabrakło jej tchu, nie chciała wierzyć własnym oczom, w końcu zawołała:

– Ojczy! Kto to jedzie na tych wozach?

Jan Valjean odpowiedział:

– Skazańcy.

– Dokąd jadą?

– Na galery.

– Ojczy, czy to jeszcze ludzie?

– Czasami – odpowiedział nieszczęśnik.

W istocie był to konwój skazańców, który wyruszywszy przed świtem z Bicetre, przejeżdżał przez rogatkę Maine.

Jan Valjean wrócił do domu przybity. Takie spotkania są strasznymi ciosami, a wspomnienie ich podobne jest do gwałtownego Wstrząsu.

Wracając na ulicę Babilońską, Jan Valjean zauważył jednak, że Kozeta nie wypytywała go już więcej o to, co zobaczyła; może zbyt był pogrążony w bolesnych myślach i zbyt znękany, żeby słyszeć jej słowa i odpowiadać na nie? Dopiero wieczorem, kiedy Kozeta szła do swojego pokoju, usłyszał, jak półgłosem mówiła do siebie: – Mój Boże, zdaje mi się, że gdybym z bliska zobaczyła któregoś z tych ludzi, umarłabym na sam widok!

Rozdział czwarty

POMOC Z DOŁU MOŻE BYĆ POMOCĄ Z GÓRY

Zewnętrzna rana leczy ból wewnętrzny

Tak więc ich życie chmurzyło się stopniowo. Pozostała im tylko jedna rozrywka – niegdyś szczęście – nosić chleb ludziom, którzy cierpieli głód, i odzienie ludziom, których nękało zimno. Kozeta często towarzyszyła Janowi Valjean i w tym nawiedzaniu ubogich odzyskiwali nieco dawnego szczęścia. Niekiedy po dobrze spędzonym dniu, gdy wielu niedolom dopomogli, gdy przyodziali i nakarmili wiele drobnych dzieci, Kozeta była wieczorem trochę weselsza. W owym to czasie odwiedzili poddasze Jondrette’a.

Nazajutrz po tych odwiedzinach Jan Valjean zjawił się rano w domu, spokojny jak zwykle, ale z szeroką raną na lewej ręce, zaognioną i rozjątrzoną, podobną do oparzenia, którą jakoś wytłumaczył. Wskutek tej rany cały miesiąc miał gorączkę i nie wychodził. Nie chciał żadnego lekarza. Kiedy Kozeta nalegała, mówił:

– Wezwij weterynarza.

Rano i wieczór Kozeta opatrywała mu ranę z taką troskliwością i tak niewypowiedzianie szczęśliwa, że może mu być użyteczna, iż Jan Valjean czuł znowu dawną radość rozpraszającą jego obawy i troski; patrzył na Kozetę i powtarzał sobie: – O, pocziwa rano! O, dobry bólu!

W czasie choroby ojca Kozeta porzuciła dworek i z przyjemnością przebywała w małej izdebce na tylnym podwórzu. Po całych dniach siedziała przy Janie i czytała mu książki, jakie chciał; przeważnie opisy podróży. Jan Valjean odradzał się; jego szczęście odżywało w niebiańskich promieniach. Ogród Luksemburski, nieznany natręt, chłód Kozety – wszystkie te chmury jego duszy przeminęły – Doszło do tego, że myślał: Uroiłem sobie to wszystko. Jestem stary wariat.

Szczęście jego było tak wielkie, że straszne i niespodziewane odkrycie Thénardierów w norze Jondrette’a jakby prześliznęło się po nim. Zdołał umknąć, jego trop zgubili – o co więcej mogło mu chodzić? Jeśli pomyślał o tej przygodzie, to po to tylko, żeby litować się nad tymi nędznikami. Siedzą w więzieniu i nie mogą już szkodzić – myślał – ale jaki rozpaczliwy jest los tej rodziny!

O potwornej wizji z rogatki Maine Kozeta nie wspomniała już nigdy.

W klasztorze siostra Mechtylda uczyła ją muzyki. Kozeta miała głos przyjemny i pełen uczucia i nieraz wieczorem w skromnym mieszkaniu rannego śpiewała smutne pieśni, które

radowały Jana Valjean.

Nadeszła wiosna, ogród w tej porze roku był tak piękny, że Jan Valjean powiedział do Kozety:

– Przestałaś tam chodzić, wybierz się na spacer.

– Jak chcesz, ojciec – odpowiedziała Kozeta.

I posłuszna jego woli, znów przechadzała się, jak dawniej, po ogrodzie, najczęściej sama, bo jak powiedzieliśmy, Jan Valjean, prawdopodobnie obawiając się, żeby go nie spostrzeżono przez kratę, prawie nigdy tam nie zaglądał.

Rana Jana Valjean odmieniła ich życie.

Widząc, że ojciec mniej cierpi, że przychodzi do zdrowia i wydaje się szczęśliwy, Kozeta czuła radość, która rozgościła się w jej sercu tak nieznacznie i naturalnie, że jej prawie nie spostrzegła. A przy tym był marzec, dni robiły się dłuższe, mijała zima, jak zwykle unosząc ze sobą trochę naszych smutków; potem nadszedł kwiecień, ten świt lata, świeży jak wszystkie jutrenki, wesoły jak czasy dzieciństwa, czasem trochę płaczący jak noworodek. W tym miesiącu przyroda ma rozkoszne blaski, które z nieba, obłoków, drzew, łąk i kwiatów przenikają do ludzkich serc.

Kozeta była jeszcze zbyt młoda, żeby nie przeniknęła jej ta radość kwietniowa, tak bardzo podobna do niej samej. Rano, koło dziesiątej, kiedy po śniadaniu udało jej się wyciągnąć ojca na kwadrans do ogrodu i kiedy chodziła z nim razem po słońcu koło ganku, podtrzymując jego chorą rękę, nie dostrzegła nawet, że co chwila śmieje się i jest szczęśliwa.

Upojony Jan Valjean widział, że staje się znowu rumiana i wesoła.

– O, pocziwa rano! – powtarzał po cichu.

I był wdzięczny Thénardierom.

Kiedy się rana zagoiła, znowu zaczął przechadzki w samotnych miejscach, o zmroku.

Błędem byłoby sądzić, że przechadzając się tak samotnie w nie zamieszkanym stronach Paryża, można się ustrzec od wszelkiej przygody.

Matka Plutarch nie ma kłopotu z wytłumaczeniem zjawiska

Pewnego wieczora mały Gavroche nic nie jadł; przypomniał sobie, że i poprzedniego dnia też się obył bez kolacji; to już zaczynało być męczące. Postanowił spróbować, a nuż uda się coś zjeść. Zaczął wałęsać się za Salpêtrière, w pustej, mało zamieszkanym okolicy. Tam to zwykle zdarzają się gratki; gdzie nie ma nikogo, tam można coś znaleźć. Dotarł do osady, która, jak mu się wydało, była wioską Austerlitz.

W jednej ze swoich dawniejszych wycieczek zauważył tam stary ogród, gdzie widział tylko jednego starca i jedną staruszkę, a w tym ogrodzie niezgorszą jabłoń. Obok jabłoni stała nie domknięta skrzynia na owoce, z której można by wyciągnąć jabłko. Jabłko to kolacja, jabłko to życie. Co zgubiło Adama, mogło uratować Gavroche'a. Ogród ciągnął się wzdłuż samotnej, niebrukowanej uliczki, obrzeżonej po obu stronach zaroślami; domów nie było widać; żywopłot oddzielał ogród od uliczki.

Gavroche poszedł w tamtą stronę, znalazł uliczkę, poznał jabłoń, sprawdził, że skrzynia stoi, i zbadał żywopłot; taki płot przesadza się jednym susem. Zaczynało zmierzchać, na ulicy nie było nawet kota, pora wydawała się stosowna. Gavroche zebrał się do skoku i nagle się zatrzymał. W

ogrodzie rozmawiano. Zajrzał przez szparę.

O dwa kroki od niego, tuż pod płotem, z drugiej strony, dokładnie w tym miejscu, gdzie byłby wylądował, leżał kamień zastępujący ławkę; siedział na nim starzec z ogrodu, a obok starca stała staruszka. Najwidoczniej zrzędziła. Gavroche bez ceremonii zaczął podsłuchiwać.

– Panie Mabeuf! – mówiła stara.

Mabeuf! – pomyślał Gavroche – pocieszne nazwisko.

Starzec nie odzywał się. Staruszka powtórzyła:

– Panie Mabeuf!

Starzec, nie podnosząc oczu od ziemi, nareszcie odpowiedział:

– Co tam znowu, matko Plutarch?

Matka Plutarch! – pomyślał Gavroche – drugie pocieszne nazwisko.

Matka Plutarch odezwała się znowu i starzec, rad nierad, musiał wejść w rozmowę.

– Gospodarz jest niezadowolony.

– Dlaczego?

– Bo mu się należy za trzy kwartały.

– Jeszcze trzy miesiące, a będziemy mu winni za cztery.

– Powiada, że wyrzuci pana na ulicę.

– To pójdę.

– Sklepiarka chce, żeby jej zapłacić. Nie daje ani wiązki drzewa. Czym będziemy palić zimą?

– Słońce grzeje.

– Rzeźnik odmawia kredytu; nie chce więcej dawać mięsa.

– To bardzo dobrze. Ja źle trawię mięso. Za ciężkie.

– Co będziemy mieli na obiad?

– Chleb.

– Piekarz żąda choć części długu i mówi: Nie ma pieniędzy, to i nie ma chleba.

– Nie mam ani grosza.

Staruszka odeszła, starzec został. Zaczął rozmyślać. Gavroche myślał także. Robiła się noc.

Pierwszym rezultatem rozmyślań Gavroche'a było to, że zamiast przeskoczyć żywopłot, przykucnął pod nim. Gałęzie u dołu były trochę rzadsze.

O! – zawołał w duchu Gavroche – sypialnia! – I ułożył się wygodniej. Plecami dotykał prawie ławki ojca Mabeuf. Słyszał nawet oddech starca.

Na kolację spróbował się zdrzemnąć.

Spał na jedno oko i drzemiąc czuwał.

Blade niebo zmierzchu rozjaśniało nieco ziemię i uliczka tworzyła siną linię między dwoma rzędami ciemnych zarośli.

Nagle na tym jaśniejszym pasie ukazały się dwie sylwetki.

Jedna szła przodem, druga o kilka kroków za nią.

– Idą jacyś dwaj – mruknął Gavroche.

Pierwsza postać wydawała się starym mieszczaninem, zgarbionym i zamyślonym, odzianym bardzo skromnie, który szedł powoli z powodu podeszłego wieku, używając wieczornej przechadzki.

Druga była prosta, silna, wysmukła. Miarkowała kroki według kroków pierwszej, lecz chód jej, umyślnie zwolniony, zdradzał gibkość i zwinność. Postać ta, choć trochę dzika i niepokojąca, była uosobieniem tego, co wówczas nazywano elegancją; kapelusz miał świetny krój, surdut był czarny, zgrabny, prawdopodobnie z cienkiego sukna, wcięty w pasie. W sposobie trzymania głowy była jakaś wdzięczna męska siła, a pod kapeluszem widać było w zmroku błady

młodzieńczy profil. Profil ten miał różę w ustach. Gavroche od razu poznał tę drugą postać; był to Montparnasse.

O pierwszej zaś mógł tyle tylko powiedzieć, że był to jakiś starszy człowiek.

Gavroche niezwłocznie zabrał się do obserwacji. Jeden z dwóch przechodniów najwidoczniej miał jakieś zamiary wobec drugiego. Gavroche ze swego miejsca mógł widzieć, co będzie dalej. Sypialnia w samą porę stała się kryjówką.

Montparnasse na łowach o tej porze, w tym miejscu – groźna rzecz. Gavroche czuł, że jego serce ulicznika ściska się litością nad starym człowiekiem.

Ale co począć? Wmieszać się w to? Słaby biegnący na pomoc słabemu? Montparnasse nieźle by się uśmieł. Gavroche wiedział przecież, że ten straszny dziewiętnastoletni bandyta zgniótlby na miazgę naprzód starca, potem dziecko.

Kiedy Gavroche tak rozmyślał, nastąpił napad, szybki i ohydny. Napad tygrysa na muła, napad pająka na muchę. Montparnasse znieacka rzucił różę, skoczył na starca, schwycił go za szyję, ścisnął i zawisł na niej. Gavroche o mało nie krzyknął. Po chwili jeden z tych ludzi leżał pod drugim; powalony charczał i szamotał się, a pierś miał przygniecioną kolanem z marmuru. Tylko że stało się zupełnie inaczej, niż to przewidział Gavroche. Pod spodem leżał Montparnasse, a na wierzchu znajdował się stary poczwiiec.

Działo się to wszystko o kilka kroków od Gavroche'a.

Starzec, otrzymawszy cios, odbił go, i to tak strasznie, że w mgnieniu oka napastnik i napastowany zmienili role.

A to dzielny inwalida – pomyślał Gavroche.

I mimo woli klasnął w dłonie. Ale klaśnięcie nie doszło do zapaśników ogłuszonych walką.

Wreszcie zrobiło się cicho.

Montparnasse przestał się szamotać.

Gavroche szepnął na stronie: – Czyżby umarł?

Staruszek nie wyrzekł słowa, nie krzyknął. Powstał i Gavroche usłyszał, jak mówi do Montparnasse'a:

– Wstań!

Montparnasse podniósł się, ale poczwiiec trzymał go. Montparnasse był upokorzony i wściekły jak wilk, którego by złapał baran.

Gavroche patrzył i słuchał, usiłując uszami zdwoić siłę wzroku. Bawiło go to niesłuchanie.

I wynagrodzony został za sumienną emocję widza. Mógł ukradkiem pochwycić rozmowę, która w ciemnościach brzmiała dziwnie tragicznie. Stary poczwiiec pytał, Montparnasse odpowiadał:

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Jesteś silny i zdrow. Dlaczego nie pracujesz?

– Bo to mnie nudzi.

– Czym się trudnisz?

– Próżniactwem.

– Mów serio. Czy mogę ci w czymś pomóc? Kim chcesz zostać?

– Złodziejem.

Zamilkł na chwilę. Starzec zamyślił się głęboko. Stał nieruchomy i nie puszczał Montparnasse'a.

Chwilami młody bandyta, silny i zwinny, rzucał się jak dziki zwierz w samotrzasku. Wstrząsał się, podstawił nogę, wił się wściekle, usiłując uciec. Starzec nie zdawał się zważać na to i jedną garścią trzymał jego obie ręce z wszechwładną obojętnością bezwzględnej siły.

Zamyślenie starca trwało kilka chwil, potem spojrzawszy w oczy Montparnasse'owi i podniósłszy łagodnie ton, wygłosił doń wśród tych ciemności rodzaj uroczystej przemowy, z której Gavroche nie stracił ani sylaby:

– Moje dziecko, przez lenistwo wchodzisz oto w najpracowitszą egzystencję. Tak, powiadasz, że jesteś próżniakiem! Przygotuj się do ciężkiej pracy. Czy widziałeś pewną maszynę, bardzo groźną? Nazywa się ona walcownią. Trzeba się jej strzec, bo jest podstępna i okrutna jeżeli ci złapie połę ubrania, wciągnie cię całego. Ta maszyna to próżniactwo. Zatrzymaj się, póki jeszcze czas, i ratuj się. Inaczej zginiesz; nim się obejrzyysz, schwyca cię jej zęby. Kiedy raz w nie wpadniesz, pożegnaj się z nadzieją. Do roboty, leniwcze! Dość odpoczynku! Nieubłagana ręka pracy trzyma cię. Zarabiać na chleb, mieć zajęcie, wypełniać obowiązki – nie chcesz tego? Być jak inni – to cię nudzi? Cóż, będziesz musiał pracować inaczej. Praca jest prawem, kto odpycha jej nudę, ten będzie miał jej mękę. Nie chcesz być robotnikiem, będziesz niewolnikiem. Jeżeli praca puści z jednej strony, to cię chwyci z drugiej; nie chcesz być jej przyjacielem, będziesz jej Murzynem! Tak, nie chciałeś uczciwego znoju ludzi, będziesz miał krwawy pot potępieńców. Kiedy inni śpiewają, ty będziesz charczał. Z daleka, z dołu, patrzeć będziesz na innych ludzi przy pracy i wyda ci się, że odpoczywają. Cóż, nie podoba ci się praca! Masz na myśli tylko jedno: jak by dobrze zjeść, dobrze się napić i dobrze się wyspać. Będziesz pił wodę, będziesz jadł czarny chleb, spał na deskach z żelazem przykutym do nóg, którego zimno czuć będziesz nocą na nagim ciele! Skruszysz to żelazo, uciekniesz. Dobrze. Będziesz czołgał się w zaroślach i karmił się zielskiem jak leśne zwierzęta. I zostaniesz schwytyany. Wówczas będziesz leżeć kilka lat w lochu, przykuty do muru, szukając po omacku dzbana z wodą, gryząc plugawy chleb ciemności, którego pies by nie tknął, będziesz jadł groch, który już jadło robactwo. I staniesz się stonogą w piwnicy. O, miej litość nad sobą! Nędzny dzieciaku, nie ma dwudziestu lat, jakieś ssał pierś matki, może tę matkę masz jeszcze! Zaklinam cię, usłuchaj. Chcesz ubrać z cienkiego sukna, lakierowanych trzewików, chcesz fryzować włosy i skraplać je pachnącą wodą, chcesz podobać się dziewczętom, być ładny. Będziesz miał ogoloną głowę, czerwony Spencer na grzbiecie i saboty na nogach. Chcesz mieć pierścien na palcu; będziesz miał obrozę na szyi. A jeżeli spojrzysz na kobietę, dostaniesz kijem. I wejdiesz tam w dwudziestym roku, a wyjdiesz w pięćdziesiątym! Wejdiesz młody, świeży, rumiany, z błyszczącymi oczyma, białymi zębami i bujnymi włosami młodości, a wyjdiesz złamany, zbity, pomarszczony, bezzębny, straszny, z siwym włosiem! Ach, biedne dziecko, jesteś na złej drodze, próżniactwo źle ci radzi; kradzież jest najmoźniejszą pracą. Wierzaj mi, nie podejmuj się ciężkiej pracy leniwca. Trudny jest żywot hultaja. Daleko łatwiej być uczciwym człowiekiem. Idź teraz i zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Ale! Czego chciałeś ode mnie? Sakiewki? Masz.

I starzec, puściwszy Montparnasse'a, włożył mu w rękę woreczek, który bandyta przez chwilę ważył na dłoni. Potem, ostrożnie, jakby ją ukraść, Montparnasse wsunął nieznacznie sakiewkę do tylnej kieszeni surduta.

To powiedziawszy i uczyniwszy, pocziwiec odwrócił się i spokojnie poszedł dalej.

– Stary osioł! – mruknął Montparnasse.

Kim był ów staruszek? Czytelnik domyślił się zapewne.

Zdumiony Montparnasse patrzył, jak znika w ciemności. Ta zaduma stała się dla niego fatalna w skutku.

Starzec się oddalał, a tymczasem zbliżał się Gavroche.

Gavroche, spojrzawszy z ukosa, upewnił się, że ojciec Mabeuf siedzi jeszcze na ławce; spał. Ulicznik wypełznął spod krzaków i zaczął czołgać się za plecami nieruchomego Montparnasse'a.

Podpełznął do niego nie widziany i nie słyszany, cicho wsunął rękę w tylną kieszeń surduta z cienkiego czarnego sukna, chwycił sakiewkę, wydobyl rękę i czołgając się znowu, umknął w

ciemnościach jak jaszczurka. Montparnasse, który nie widział powodu do ostrożności i zamyślił się po raz pierwszy w życiu, nie spostrzegł niczego. Gavroche, wróciwszy tam, gdzie siedział ojciec Mabeuf, rzucił sakiewkę przez płot i co tchu uciekł.

Sakiewka spadła na nogę ojca Mabeuf. Uderzenie obudziło go. Pochylił się i podniósł ją. Nie rozumiejąc, co to znaczy, otworzył sakiewkę. Były w niej dwie przegródki; w jednej trochę drobnej monety, w drugiej sześć napoleonów.

Pan Mabeuf, bardzo przestraszony, zaniósł to gospodyni.

– Widać spadła z nieba! – rzekła matka Plutarch.

Rozdział piąty

KTÓREGO KONIEC NIE JEST PODOBNY DO POCZĄTKU

Samotność i koszary

Cierpienie Kozety, choć tak dojmujące i żywe jeszcze przed czterema czy pięcioma miesiącami, teraz, mimo jej wiedzy, zaczynało się uspokajać. Przyroda, wiosna, młodość, przywiązanie do ojca, wesołość ptaków i kwiatów sączyły w tę duszę dziewczęcą powoli, codziennie, kropla po kropli coś, co podobne było do zapomnienia. Czy ogień zagasł w niej zupełnie? Czy tylko tworzyły się pokłady popiołu? To pewne, że już nie czuła prawie bolesnego i palącego miejsca.

Pewnego dnia nagle pomyślała o Mariuszu:

– To dziwne! – rzekła – już o nim nie myślę.

W tym samym tygodniu zauważyła przechodzącego przed kratą ogrodu pięknego oficera ułanów, o cienkiej talii, w ślicznym mundurze, rumianego jak panienska, z szablą pod pachą, z upomadowanymi wąsami, w lakierowanej czapce. Miał przy tym jasne włosy, oczy ciemnoniebieskie i wylupiaсте, twarz okrągłą, próżną, zuchwałą i ładną; zupełne przeciwieństwo Mariusza. W ustach cygaro. Kozeta pomyślała, że oficer ten zapewne należał do pułku, który stał w koszarach przy ulicy Babilońskiej.

Nazajutrz zobaczyła, jak przechodził znowu. Zapamiętała sobie godzinę. Od tej chwili – czy to był przypadek? – widywała go prawie codziennie.

Właśnie wtedy Mariusz bliski był agonii i mówił: – Żebym przynajmniej mógł ją zobaczyć, nim umrę! – Gdyby życzenie jego się spełniło, ujrzałby w tej chwili Kozetę zerkającą na ułana i bez słowa umarłby z rozpaczy.

Kto był temu winien? Nikt.

Co wypełniało duszę Kozety? Namietność, w której zapanował stan uspokojenia lub snu; miłość w chwiejnej równowadze; coś, co było przezroczyście, lśniące, na pewnej głębokości zamażone, a jeszcze głębiej ciemne. Obraz pięknego oficera odbijał się na powierzchni. A czy głęboko, na samym dnie, tkwiło jakieś wspomnienie? Może. Kozeta nie wiedziała.

Tymczasem zdarzył się dziwny wypadek.

Strach pomnożony przez komentarze starej Toussaint

Przy kracie od ulicy stała w ogrodzie kamienna ławka, którą przed oczami ciekawych zasłaniał grabowy szpaler, ale przechodzień mógł dosięgnąć jej przez szpaler i kratę, bardzo wyciągając rękę.

Pewnego wieczora tegoż miesiąca kwietnia Jan Valjean wyszedł; Kozeta po zachodzie słońca usiadła na ławce. Wiatr szeleścił między drzewami, Kozeta marzyła; jakiś niewytłumaczony smutek ogarniał ją z wolna, ów nieodparty smutek wieczorny, który pochodzi może – kto to wie? – z tajemnicy grobu, odmykającej się o tej godzinie.

Może Fantyna stała w tym cieniu?

Kozeta podniosła się z ławki, powoli obeszała ogród, stąpając po trawie wilgotnej od rosy i mówiąc do siebie w melancholijnym somnambulizmie, który ją opanował: – Doprawdy, o tej porze potrzebne są w ogrodzie saboty. Można dostać kataru.

Siadając spostrzegła w miejscu, z którego przed chwilą wstała, duży kamień, widocznie świeżo położony.

Kozeta patrzyła na kamień, zapytując siebie, co to ma znaczyć. Nagle przyszło jej na myśl, że kamień ten nie sam się dostał na ławkę, że ktoś go położył, że jakaś ręka wsunęła się przez kratę; ogarnął ją strach. Nie tknęła kamienia i nie śmiać obejrzeć się, uciekła do domu i zamknęła natychmiast okiennice, założyła sztabę i zasunęła zasuwę przy oszklonych drzwiach od ganku.

Zapytała starej Toussaint:

– Czy ojciec wrócił?

– Jeszcze nie, proszę panienki.

Jan Valjean, człowiek lubiący rozmyślania i nocne przechadzki, wracał dosyć późno.

– Toussaint – mówiła dalej Kozeta – czy ty starannie zamykasz okiennice od ogrodu i wkładasz końce sztab w kółka, jak się należy?

– O, niech panienka będzie spokojna.

Kozeta wiedziała, że Toussaint o tym pamięta, ale nie mogła się powstrzymać i zawołała:

– Bo tu tak pusto!

– O, co to, to prawda – odparła Toussaint. – Mogą tu człowieka zamordować, nim zdąży pisnąć. A do tego pan nie sypia w domu. Ale niech panienka się nie boi, zamykam okna jak fortece. Same kobiety w mieszkaniu – jak tu się nie bać? Wyobraża sobie panienka? Jacyś ludzie wchodzą w nocy do pokoju, powiadają: Milcz! – i zaczynają nam podrzynać gardła. Mniejsza o śmierć, i tak wszyscy umrzemy, wiadomo, że trzeba umrzeć, ale jakie paskudne musi być dotknięcie takich ludzi. A w dodatku na pewno rzną tępymi nożami! O, mój Boże!

– Cicho, Toussaint – rzekła Kozeta. – Zamknij wszystko dokładnie.

Kozeta, przestraszona melodramatem, który Toussaint ułożyła naprędce, nie śmiała nawet jej powiedzieć: Idź obejrzeć kamień, który ktoś położył na ławce! – Bała się otworzyć drzwi od ogrodu, skąd mogli wejść „ci ludzie”. Kazała służącej starannie pozamykać wszystkie drzwi i okna i obejrzeć cały dom od piwnicy po strych, zamknęła się na klucz w swoim pokoju, zajrzała pod łóżko, położyła się i miała niespokojny sen. Całą noc widziała kamień wielki jak góra i pełen jaskiń.

O wschodzie słońca (wschodzące słońce ma to do siebie, że śmiejemy się z nocnych majaków tym serdeczniej, im większym nas przejmowały lękiem) Kozeta obudziwszy się pomyślała o wczorajszym strachu jak o dręczącym śnie i powiedziała do siebie:

– Co mi się uroiło? – Słońce, które się przedzierało przez szczeliny okiennic i złociło jej adamszkowe firanki, uspokoiło ją tak dalece, że z myśli jej pierzchnęły wszystkie widziadła, nawet i kamień.

Ubrała się, zeszła do ogrodu, pobiegła do ławki i uczuła, jak zimny pot występuje jej na czoło. Kamień leżał.

Trwało to jednak tylko chwilę. Co przeraża w nocy, we dnie budzi ciekawość.

– No, to popatrzmy – powiedziała.

Podniosła kamień, który był dość duży. Pod spodem leżało coś jak gdyby list.

Była to koperta z białego papieru. Kozeta wzięła ją i obejrzała: nie miała adresu ani pieczętki z drugiej strony. Ale koperta, chociaż otwarta, nie była pusta. Widać było w środku kartki papieru.

Wyjęła je z koperty. Nie był to już ani strach, ani ciekawość, ale początek niepokoju.

Koperta zawierała niewielki zeszycik, którego kartki były ponumerowane i zapisane pięknym i drobnym pismem.

Kozeta zamyśliła się. Szukała jakiegoś nazwiska, ale na próżno, jakiegoś podpisu – też bez skutku. Do kogo to było adresowane? Prawdopodobnie do niej, bo czyjaś ręka położyła pakiet na jej ławce. Od kogo pochodziło? Jakiś urok nieprzeparty padł na nią, próbowała odwrócić oczy od tych kartek, spojrzała w niebo, na ulicę, na akacje oblane światłem, na gołębie lecące nad sąsiednim dachem, potem spojrzenie jej padło nagle na rękopis i powiedziała sobie, że trzeba dowiedzieć się, co w nim jest.

Oto, co tam czytała:

Sprowadzenie wszechświata do jednej istoty, rozszerzenie jednostki aż do Boga – oto czym jest miłość.

Rozdzieleni kochankowie oszukują nieobecność tysiącem złud, które jednak są na swój sposób rzeczywiste. Nie wolno im się widzieć, nie mogą do siebie pisywać, a jednak znajdują tysiące tajemniczych sposobów, żeby rozmawiać. Przesyłają sobie śpiew ptaków, zapach kwiatów, śmiech dzieci, światło słońca, tchnienie wiatru, promienie gwiazd, cały wszechświat. Dlaczego by nie mieli tak czynić? Wszystkie dzieła boże przeznaczone są na usługi miłości. Miłość jest dość potężna, żeby przekazywanie swoich myśli zlecać całej przyrodzie.

O wiosno, jesteś listem, który do niej pisze.

Prawdziwa miłość wpada w rozpacz lub w zachwycenie z powodu byle zgubionej rękawiczki lub znalezionej chustki i potrzebuje wieczności dla swego poświęcenia i swoich nadziei. Składa się z rzeczy nieskończenie wielkich i z nieskończenie małych.

– „Czy przychodzi jeszcze do Luksemburskiego Ogrodu?” – „Nie, panie”. – „W tym kościele bywa na mszy, prawda?” – „Już tu nie przychodzi”. – „Czy wciąż mieszka w tym domu?” – „Wyprowadziła się”. – „Gdzie teraz mieszka?” – „Nie powiedziała”.

Spotkałem na ulicy bardzo ubogiego młodzieńca, który kochał. Kapelusz miał stary, odzież zużyta, łokcie dziurawe, woda lała mu się do butów, a gwiazdy do duszy.

Wielka to rzecz być kochanym! Większa jeszcze – kochać! Serce staje się bohaterskie dzięki namiętności. Wszystko, co ma ono w sobie, jest samą czystością, na czymkolwiek się wesprze, jest wzniosłe i wielkie. Myśl niegodna nie wyrośnie w tym sercu, tak samo jak pokrzyw” nie wyrośnie na lodzie. Dusza

wyniosła i pogodna, niedostępna niskim żądom i przyziemnym wzruszeniom, górując nad chmurami i cierniami tego świata, nad szaleństwami, kłamstwem, nienawiścią, próżnością i nędzą, zamieszkuje błękitny niebios i czuje tylko głębokie, ukryte wstrząsy losu, jak szczyty górskie czuje) trzęsienie ziemi.

Gdyby ani jeden człowiek na świecie nie kochał, słońce by zgasło.

Kozeta po przeczytaniu listu

Czytając te kartki, Kozeta coraz głębiej tonęła w marzeniach. Kiedy podniosła oczy po przeczytaniu ostatniego wiersza zeszytu, piękny oficer (była to jego godzina) przechodził triumfalnie koło kraty. Wydał się jej obrzydliwy.

Od kogo pochodziły te kartki? Kto je napisał?

Kozeta nie wahała się ani chwili. Jeden tylko człowiek.

On!

W jej umyśle rozjaśniło się zupełnie; wszystko ukazało się znowu. Czowała niesłychaną radość i głęboki niepokój. To on! On do niej pisał! On był tutaj! To jego ramię wsunęło się przez kratę! Kiedy ona o nim zapomniała, on ją odnalazł! Ale czy go zapomniała? Nie! Nigdy! Była szalona, wierząc w to choć przez chwilę. Zawsze go kochała, zawsze ubóstwiała. Ogień skrył się, żarzył czas pewien pod popiołem, ale wiedziała przecież, że on wżera się tylko coraz głębiej i oto buchnął znowu i ogarnął ją całą. Ów zeszyt był niby płomień przerzucony z tamtej duszy w jej duszę. Czowała, że pożar powrócił z nową siłą. Każde słowo z zeszytu głęboko zapadło w jej serce.

– O, tak! – mówiła – tak, poznaję. Wszystko to przeczytałam już w jego oczach.

Przez cały dzień Kozeta chodziła jak odurzona. Zaledwie mogła myśleć, myśli jej były jak poplątany młotek, nie umiała sformułować żadnych przypuszczeń, drżąc spodziewała się – ale czego? Czegoś nieokreślonego. Nie śmiała sobie nic obiecywać i niczego nie chciała sobie odmówić. Twarz jej co chwila bladła, dreszcze przenikały ciało. Chwilami miała wrażenie, że stąpa wśród chimer, mówiła do siebie: – Czy to prawda? – i dotykała przez suknię ukochanego papieru, przyciskała go do serca, czuła brzegi kartek i gdyby Jan Valjean ujrzał ją wtedy, zdradzałby na widok tej radości nieznanej a pełnej światła, tryskającej spod jej powiek.

O, tak! – myślała. – To on! To od niego dla mnie.

I mówiła sobie, że go odnalazła dzięki pośrednictwu aniołów, za sprawą jakiegoś boskiego przypadku.

Co za transfiguracja miłości! Co za marzenie! Ten boski przypadek to pośrednictwo aniołów było gałką z chleba, którą jeden złodziej rzucił drugiemu z podwórza Karola Wielkiego nad dachem więzienia La Force.

Starzy są od tego, żeby w porę wychodzili

Wieczorem Jan Valjean wyszedł; Kozeta ubrała się, uczesała włosy jak najbardziej twarzowo i włożyła suknię z dekoltem głęboko wyciętym, jak mówią młode dziewczęta, „trochę

nieprzyzwoitym”. Nie było to ani trochę nieprzyzwoite, a tylko ładne. Ubrała się tak, sama nie wiedząc dlaczego.

Czy chciała wyjść? Nie.

Czy spodziewała się odwiedzin? Nie.

O zmroku zeszła do ogrodu. Toussaint zajęta była w kuchni, której okna wychodziły na tylne podwórko.

Zaczęła przechadzać się, odsuwając rękami gałęzie drzew, bo niektóre zwieszały się bardzo nisko.

Tak doszła do ławki.

Kamień leżał w tym samym miejscu.

Usiadła i położyła delikatną białą rękę na tym kamieniu, jakby chciała go popieścić i podziękować mu.

Nagle doznała nieopisanego wrażenia, jakiego mimo woli się doświadcza, kiedy ktoś znienacka stanie za nami.

Odwróciła głowę i podniosła się.

Był to on.

Stał z odkrytą głową. Wydawał się blady i wychudły. Ledwie można było dostrzec jego czarne ubranie. Zmrok położył cień na Jego pięknym czole i zakrył mu oczy ciemnością. Było w nim, pod jakąś mglistą i delikatną zasłoną, coś ze śmierci i nocy. Na jego twarzy jaśniały ostatnie światła dnia, który umiera, i ostatnie myśli duszy, która odchodzi.

Zdawało się, że nie był jeszcze widmem, a przestał już być człowiekiem.

Kapelusz jego leżał obok, rzucony w zarośla.

Kozeta, bliska omdlenia, nie krzyknęła. Cofała się powoli, czuła bowiem, że ją coś przyciąga. On nie ruszył się z miejsca. Czuła, jakby otuliło ją coś niewysłowionego a smutnego – spojrzenie jego oczu, których nie widziała.

Cofając się napotkała drzewo i oparła się o nie. Gdyby nie to drzewo, byłaby upadła.

Wówczas usłyszała jego głos, ten głos, którego naprawdę nigdy jeszcze nie słyszała, szepczący trochę głośniejszym od szmeru liści:

– Niech mi pani wybaczy, że tu jestem. Serce mam pełne pani, nie mogłem tak żyć dłużej i przyszedłem. Czy pani przeczytała to, co położyłem na ławce? Czy mnie pani choć trochę poznaje? Niech się pani nie boi. Jak ten czas leci! Czy pani pamięta ten dzień, kiedy pani na mnie spojrzała? To było w Ogrodzie Luksemburskim, przy gladiatorze. A kiedy pani koło mnie przeszła? To było szesnastego czerwca i drugiego lipca. Niedługo minie rok. Dawno już pani nie widziałem. Pytałem kobiety wynajmującej krzesła w ogrodzie, powiedziała, że już pani nie przychodzi. Mieszkała pani przy ulicy Zachodniej na trzecim piętrze, w nowym domu. Widzi pani, że wiem? Śledziłem panią. Co miałem robić? Później pani zniknęła. Zdawało mi się raz, że pani przechodziła, kiedy czytałem dzienniki pod arkadami Odeonu. Pobiegłem. Ale nie: to była jakaś młoda osoba w podobnym kapeluszu. W nocy przychodzę tutaj. Niech się pani nie lęka, nikt mnie nie widzi. Przychodzę popatrzeć z bliska na pani okna. Gdyby pani wiedziała, jak bardzo kocham! Przepraszam, sam nie wiem, co mówię, może pani się gniewa. Gniewa się pani?

– O moja matko! – powiedziała Kozeta.

I zachwiała się, jakby miała umrzeć.

Podtrzymał ją, osunęła się, wziął ją w swoje objęcia i przytulił z całej siły, nie wiedząc, co czyni. Trzymał ją tak, sam chwiejąc się na nogach.

Ujęła jego rękę i położyła ją sobie na sercu. Wyczuł swój list i wyszeptał:

– Więc kocha mnie pani?

Odpowiedziała głosem cichym jak tchnienie, ledwie dosłyszalnym:

– Cicho! Ty wiesz!

I ukryła zarumienione policzki na piersi dumnego i upojonego szczęściem młodzieńca.

Usiadł na ławce, ona przy nim. Zabrakło im słów. Gwiazdy zaczynały wschodzić. Jak doszło do tego, że ich usta spotkały się? Jak dochodzi do tego, że ptak śpiewa, śnieg topnieje, róża otwiera się, maj rozkwita, że biały świt wstaje za czarnymi drzewami na drżącym szczycie wzgórz?

Pocałunek – to było wszystko.

Powoli zaczęli rozmawiać. Po milczeniu, które jest pełnią szczęścia, nadeszła chwila zwierzeń. Noc była pogodna i jasna nad ich głowami. Te dwie istoty, czyste jak duchy, opowiedziały sobie wszystko – swoje sny, upojenia, zachwyty, złudzenia i zwątpienia, jak ubóstwiali się z daleka, jak pragnęli się nawzajem i jak wielka była ich rozpacz, kiedy przestali się widywać. W idealnej poufałości, której nic już powiększyć nie mogło, zwierzyli sobie wzajem wszystko, co mieli najskrytszego i najtajniejszego. Opowiedzieli sobie, z całą najczystsza wiarą w swoje złudzenia, wszystko, cokolwiek miłość, młodość i ta reszta dzieciństwa, która w nich była jeszcze, podsunęły im na myśl. Te dwa serca przelały się jedno w drugie i po upływie godziny młodzieniec miał w sobie duszę dziewczyny, a dziewczyna miała w sobie duszę młodzieńca. Przeniknęli się, oczarowali, olśnili.

Kiedy skończyli rozmowę, kiedy już powiedzieli sobie wszystko, ona położyła głowę na jego ramieniu i zapytała:

– Jak panu na imię?

– Mariusz – odpowiedział. – A pani?

– Kozeta.

Rozdział szósty

MAŁY GAVROCHE

Złośliwy figiel wiatru

Po roku 1823, kiedy karczma w Montfermeil tonęła powoli nie w przepaści bankructwa, lecz w kloace drobnych długów, małżonkom Thénardier przybyło dwoje dzieci, dwóch chłopców. W ten sposób mieli pięcioro: dwie córki i trzech synów. Duży przychówek.

Thénardierowa wyjątkowo szczęśliwie uwolniła się od dwóch najmłodszych, kiedy jeszcze byli całkiem mali.

Owa Magnon, o której mówiliśmy niedawno, była tą samą służącą, którą uzyskała od poczciwego pana Gillenormand alimenty na utrzymanie dwojga swoich dzieci. Mieszkała na nadbrzeżu Celestynów, na rogu ulicy Piżmowej, która zrobiła, co mogła, aby zamienić na przyjemny zapach swoją nie najlepszą sławę. Pamiętna jest do dzisiaj straszna epidemia krupu, która trzydzieści pięć lat temu dotknęła nadrzeczne dzielnice Paryża. W tej epidemii Magnon straciła jednego dnia swoich dwóch synów, jeszcze bardzo małych; jednego rano, drugiego wieczorem. Był to dla niej cios. Dzieci te były drogie matce: przedstawiały wartość osiemdziesięciu franków miesięcznie. Te osiemdziesiąt franków bardzo punktualnie wypłacał w imieniu pana Gillenormand jego plenipotent, pan Barge, emerytowany komornik, mieszkający przy ulicy Króla Sycylii. Ze śmiercią dzieci renta była pogrzebana. Magnon poszukała na to rady. W tej ciemnej masonerii zła, do której należała, ludzie wiedzą o sobie wszystko, dochowują tajemnicy i pomagają sobie wzajemnie. Magnon potrzebowała dwojga dzieci. Thénardierowa miała ich dwoje. Ta sama płeć, ten sam wiek. Dobre rozwiązanie dla jednej, dobra lokata dla drugiej. Mali Thénardierowie zostali synami Magnon. Magnon wyprowadziła się z nadbrzeża Celestynów i zamieszkała przy ulicy Clocheperce. W Paryżu tożsamość osób przerywa się przez przeprowadzkę z ulicy na ulicę.

Urząd Stanu Cywilnego, nie wiedząc o niczym, nie wdał się w tę sprawę i podstawienie odbyło się w sposób najprostszy w świecie. Thénardierowa zażądała za pożyczanie dzieci dziesięciu franków miesięcznie, które jej Magnon przyrzekła, a nawet płaciła. Nie trzeba dodawać, że pan Gillenormand dotrzymywał swojego zobowiązania. Odwiedzał malców co pół roku. Nie spostrzegł zmiany. – Panie – mówiła mu Magnon – jacy oni podobni do pana.

Thénardier, który potrafił prędko zmieniać skórę, skorzystał z tej sposobności, żeby stać się Jondrette'em. Do świadomości jego dwóch córek i Gavroche'a istnienie najmłodszych braci prawie nie dotarło. Na pewnym stopniu nędzy panuje obojętność krainy umarłych i na żywe istoty patrzy się jak na upiory. Ludzie są często dla swoich najbliższych tylko bezkształtnymi postaciami cienia, ledwo odrębnymi od mglistego tła życia, i łatwo wracają w niewidzialne.

Dwa małe podrzutki nie mogły narzekać na Magnon. Za rekomendację służyło im osiemdziesiąt franków, więc obchodzono się z nimi dobrze, jak z każdą rzeczą, z której ciągnie się zysk. Byli nieźle odziani, nieźle żywieni, prawie jak „mali panicze”, lepiej traktowani przez przybraną matkę niż przez prawdziwą.

Ale całkiem niespodzianie biedni malcy, z którymi dotąd nawet w złej doli los obchodził się dość łaskawie, zostali szorstko rzućeni w wir życia i musieli rozpocząć je na własną rękę.

Zbiorowe aresztowanie przestępców, takie jak to, które się odbyło na poddaszu Jondrette’a, z konieczności pociągające za sobą dalsze poszukiwania i uwięzienia, jest prawdziwą klęską dla tej ohydnej, tajnej przeciw społeczności, która żyje pod społeczeństwem jawnym. Katastrofa Thénardierów spowodowała katastrofę Magnon.

Pewnego dnia, wkrótce po przekazaniu Eponinie przez Magnon kartki w sprawie ulicy Plumet na ulicy Clocheperce odbyła się obława policyjna; Magnon została ujęta i razem z nią wpadli do sieci mieszkańcy całego domu, wszyscy podejrzani. Dwaj chłopcy bawili się wówczas w tylnym podwórzu i nie wiedzieli o niczym; kiedy chcieli wrócić, znaleźli drzwi zamknięte i dom pusty. Szewc z przeciwka zawołał ich i oddał im kawałek papieru, który „matka” dla nich zostawiła. Na tym papierze był adres: Pan Barge, poborca renty, ulica Króla Sycylii 8. Szewc powiedział:

– Nie będziecie już tu mieszkali. Idźcie tam. To niedaleko. Pierwsza ulica na lewo. Pytajcie się o drogę z tym papierem.

Dzieci poszły; starszy brat prowadził młodszego, trzymając w ręku kartkę, która miała być ich przewodnikiem. Było zimno i małe, zdrętwiałe palce chłopca słabo trzymały ową kartkę. Na zakręcie uliczki Clocheperce powiew wiatru wyrwał mu ją, a że noc już zapadała, dziecko nie mogło jej odszukać.

Zaczęli błądzić po ulicach na los szczęścia.

Mały Gavroche wykorzystujący Napoleona Wielkiego

Wiosną w Paryżu zdarzają się dość często ostre i przykre wiatry, od których człowiek nie całkiem zamarza, ale porządnie marznie. Te wiatry, psujące piękną pogodę wiosenną, działają dokładnie tak, jak podmuch zimnego powietrza, które wciska się do ciepłego pokoju przez szparę w nie domkniętych oknach lub drzwiach. Wydaje się wtedy, że w ponurej bramie zimy została szpara i wiatr przez nią uchodzi. Na wiosnę roku 1832, kiedy Europę nawiedziła pierwsza w tym stuleciu wielka epidemia, wiatry były jeszcze ostrzejsze i bardziej przenikliwe niż zwykle. Uchyliły się wówczas bramy jeszcze bardziej lodowate niż bramy zimy. Były to bramy grobu. W tych wiatrach czuć było tchnienie cholery.

Pewnego wieczora, kiedy podobny wichur dał tak okropnie, jak gdyby powrócił styczeń, i mieszkańcy Paryża na nowo poubierali się w zimowe palta, mały Gavroche, wesoły i drżący pod swymi łachmanami, stał w zachwyceniu przed sklepem jakiegoś fryzjera w okolicy Orme-Saint-Gervais. Był wystrojony w wełnianą chustkę kobiecą, nie wiedząc jak zdobył ją, z której zrobił sobie szalik. Mały Gavroche zdawał się pochłonięty zachwytem dla woskowej panny młodej, wygorsowanej, w wianku z pomarańczowego kwiecica, która obracała się w koło za szybko, ukazując przechodniom, między dwoma kinkietami, swój uśmiech; naprawdę zaś oglądał sklep tylko dlatego, żeby zobaczyć, czy nie udałoby się świsnąć z wystawy kawałka mydła, który by

mógł następnego dnia odprzedać za jednego su „fryzjerowi” z przedmieścia. Nieraz już miewał śniadanie z takiego chleba. To zajęcie, do którego miał duże zdolności, nazywało się w jego języku „golić brodę golibrodom”.

Wpatrując się w lalkę i zerkając na mydło, Gavroche mruczał przez zęby.

– We wtorek. Nie, nie we wtorek. Czy we wtorek? Może to i we wtorek. Tak, we wtorek.

Nie dowiedziano się nigdy, o co chodziło w tym monologu.

Jeżeli przypadkiem monolog odnosił się do dnia, w którym malec ostatni raz jadł obiad, toby znaczyło, że przed trzema dniami, gdyż rzecz działa się w piątek.

W sklepie ogrzonym przez piec, w którym dobrze napalono, fryzjer golił klienta i od czasu do czasu rzucał spojrzenia w stronę tego wroga, tego zziębniętego i zuchwałego ulicznika, który obie ręce trzymał w kieszeniach, ale najwidoczniej działał myślą.

Kiedy Gavroche tak oglądał pannę młodą, wystawę i mydła windsorskie, dwaj chłopcy, nierównego wzrostu, dość czysto ubrani i jeszcze mniejsi od niego, z których jeden wyglądał na siedem, a drugi na pięć lat, nacisnęli nieśmiało klamkę i weszli do sklepu, prosząc nie wiadomo o co, może o litość, płaczącym głosem, podobniejszym do jęku niż do prośby. Mówili obaj naraz i niepodobna było zrozumieć ich słów, ponieważ łkania przerywały głos młodszemu, a zęby starszego dzwoniły z zimna. Fryzjer obrócił się z wściekłością na twarzy i nie odkładając brzytwy, odsunął starszego lewą ręką, młodszego kolanem, po czym wypchnąwszy ich na ulicę, zamknął drzwi mówiąc:

– Tylko zimno wpuszczają nie wiedzieć po co!

Chłopcy poszli dalej, płacząc. Tymczasem zachmurzyło się, zaczynał padać deszcz.

Mały Gavroche pobiegł za nimi i zaczepił ich.

– Co wam się stało, smyki?

– Nie wiemy, gdzie iść spać – odpowiedział starszy.

– Tylko to? – rzekł Gavroche. – Wielkie rzeczy. Czy dlatego się płacze? A to żółtodzioby!

I z nieco drwiącą wyższością, a zarazem jakoś czule, poważnie i opiekuńczo rzekł do nich:

– Knoty, chodźcie ze mną!

– Dobrze, proszę pana – rzekł starszy. I obaj malcy poszli za nim jak za arcybiskupem.

Przestali płakać.

Gavroche powędrował razem z nimi ulicą św. Antoniego w kierunku Bastylii.

Odchodząc obejrzał się i obrzucił fryzurę oburzonym spojrzeniem.

– Nie ma toto wcale serca, jak wilk! – mruczał. – Angielskie ziółko!

Jakaś dziewczyna, widząc ich idących gęsiego z Gavroche'em na czele, wybuchnęła głośnym śmiechem. Śmiech ten nie odznaczał się uszanowaniem dla maszerującej trójki.

– Dzień dobry, panno Omnibus – powiedział jej Gavroche.

W chwilę potem przypomniał sobie fryzjera i dodał:

– Pomyliłem zwierzęta, to nie wilk, ale wąż. Golibrodo, pójdę po ślusarza i każę ci przyprawić dzwonek do ogona.

Przygoda z fryzjerem uczyniła go agresywnym. Przeskakując przez rynsztok, zawołał do brodatej stróżki, godnej witać Fausta na Brockenie, która szła z miotłą w rękę:

– Ach, więc pani wychodzi na miasto razem ze swoim koniem?

I mówiąc to obryzgał lakierowane buty jakiegoś przechodnia.

– Ty łajdaku! – zawołał z wściekłością poszkodowany.

Gavroche wysunął nos z chustki.

– Pan ma do kogoś pretensję?

– Do ciebie! – rzekł przechodzień.

– Biuro zamknięte – odparł Gavroche – dziś już nie przyjmuję żadnych zażaleń.

Tymczasem, idąc dalej ulicą, spostrzegł pod jedną z bram zziębniętą do szpiku kości żebraczkę, lat trzynastu lub może czternastu, tak krótko ubraną, że było jej widać kolana.

– Biedna dziewczyna! – rzekł Gavroche. – Nie ma nawet majtek. Masz, weź chociaż to.

I odwinąwszy z szyi swój ciepły szalik, rzucił go na chude i fioletowe z zimna ramiona żebraczki, na których jego szalik stał się znowu chustką.

Mała popatrzyła na niego ze zdziwieniem i w milczeniu przyjęła chustkę. Na pewnym stopniu nędzy człowiek w swoim otepieniu już nie narzeka na zło i nie dziękuje za dobroć.

– Brrr! – wstrząsnął się Gavroche, dygocąc teraz bardziej niż święty Marcin, który jednak zostawił sobie połowę swego płaszcza.

Po tym „brrr!” ulewa rozszrożyła się jeszcze bardziej. Złośliwe niebiosy karzą niekiedy dobre uczynki.

– O! – zawołał Gavroche – a to co znaczy? Znowu deszcz! Mój Boże, jeżeli to dłużej potrwa, skreślam swój abonament.

I poszedł dalej.

– Mniejsza o to – dodał po chwili, rzucając okiem na żebraczkę otulającą się jego szalem – ma przynajmniej coś porządnego na grzbiecie.

I patrząc na chmurę, zawołał:

– Nie udało ci się!

Dwaj malcy dreptali za nim.

Kiedy przechodzili koło jednego z tych gęsto zakratowanych okien wystawowych, które wskazują na piekarnię, gdyż chleb, jak złoto, trzymany jest za żelaznymi kratami, Gavroche odwrócił się:

– Smyki! Jedliście obiad?

– Proszę pana – odpowiedział starszy – nic jeszcze nie jedliśmy od samego rana.

– Więc nie macie ani ojca, ani matki? – zapytał majestatycznie Gavroche.

– Przepraszam pana, mamy tatę i mamę, ale nie wiemy, gdzie oni są.

– Czasami jest lepiej tego nie wiedzieć – rzekł Gavroche, który był filozofem.

– Już dwie godziny – mówił dalej starszy – chodzimy i szukamy czegoś do jedzenia po bramach, ale nic nie znaleźliśmy.

– Wiem – rzekł Gavroche – to psy wszystko wyjadają. – I po chwili milczenia dodał:

– A więc to tak, zgubiliśmy naszych autorów. Nie wiemy, cośmy z nimi zrobili. To nieładnie z waszej strony, łobuzy. Zawieruszyć starszych ludzi! Ale było nie było, trzeba coś przekąsić.

Nie zadawał im dalszych pytań. Nie mieli gdzie mieszkać, cóż prostszego?

Starszy z dwóch „smyków”, prawie całkiem powróciwszy do dziecięcej beztroski, zawołał:

– To dopiero heca! Mamusia mówiła, że w palmową niedzielę zaprowadzi nas na palmy.

– Napalmy w piecu! – odpowiedział Gavroche.

Przystanął tymczasem, obmacując i przetrząsając wszystkie zakamarki swoich łachmanów.

Na koniec podniósł głowę z miną, która miała wyrażać tylko zadowolenie, lecz była pełna triumfu.

– Uspokójmy się, szczeniaki! Oto kolacja dla trzech.

I wyciągnął z którejś kieszeni jeden su.

Nie dając malcom czasu na wyrażenie podziwu, wepchnął ich obu przed sobą do piekarni i rzucił swoją monetę na ladę, wołając:

– Panie starszy, chleba za pięć centymów! Sprzedawca, którym był sam właściciel piekarni, wziął chleb i nóż.

– W trzech kawalkach, panie starszy! – polecił Gavroche i dodał z godnością: – Jest nas trzech.

A widząc, że piekarz, przyjrawszy się trzem biesiadnikom wziął chleb razowy, głęboko wsadził palec do nosa, wciągnął powietrze tak potężnie, jakby na końcu tego palca była szczypta tabaki Fryderyka Wielkiego, i zawołał z wyrazem oburzenia:

– A to co?

Piekarz odpowiedział:

– Jak to co? Chleb, bardzo dobry chleb drugiego gatunku.

– To znaczy ordynarny razowiec – odparł Gavroche, spokojny i pełen zimnej pogardy. – Białego chleba, panie starszy! Ja stawiam!

Piekarz nie mógł powstrzymać uśmiechu i krając biały chleb patrzył na nich z wyrazem współczucia, które dotknęło Gavroche’a.

– Że co, panie Piekarski? Co nas pan tak mierzysz? Może pan jeszcze łokcia weźmiesz?

Wszyscy trzej, postawieni jeden na drugim, nie mieli więcej niż trzy łokcie.

Kiedy chleb został pokrajany, piekarz schował pieniądze i Gavroche odezwał się do dzieci:

– Weinajcie!

Chłopcy patrzyli na niego zdziwieni.

Gavroche zaczął się śmiać.

– Ach, prawda! Jeszcze nie rozumieją, takie to małe!

I powtórzył:

– Jedzcie.

To mówiąc, podał każdemu po kawałku chleba. Sądząc, że starszy, który mu się wydawał godniejszy rozmowy, zasługiwał na szczególną zachętę i że należało mu oszczędzić wszelkiego wahania w zaspokojeniu apetytu, dodał wręczając mu największą porcję:

– Zatkaj tym sobie jadaczkę. Jeden kawałek był mniejszy od pozostałych; Gavroche wziął go dla siebie.

Biedne dzieciaki były, nie wyłączając Gavroche’a, bardzo głodne. Pochłaniając chleb wielkimi kęsami, tarasowały niewielką przestrzeń przed ladą i piekarz, jak tylko zainkasował należność, przybrał niechętny wyraz twarzy.

– Wracajmy na ulicę – rzekł Gavroche.

I poszli dalej w kierunku Bastylii.

Od czasu do czasu, kiedy mijali oświetlone wystawy sklepów, młodszy malec zatrzymywał się, żeby zobaczyć godzinę na ołowianym zegarku, który nosił na sznurku obwiązany dokoła szyi.

– Głupie to jak but z lewej nogi – mówił wtedy Gavroche.

Potem, zamyślony, mruczał przez zęby:

– Swoją drogą, gdybym ja miał dzieci, dałbym im lepszą szkołę.

Kiedy kończyli już swój chleb i zbliżali się do rogu ponurej ulicy des Ballets, w głębi której widać niską i groźną furtę więzienia La Force, ktoś się odezwał:

– A, to ty, Gavroche?

– A, to ty, Montparnasse? – odpowiedział Gavroche.

Jakiś dorosły mężczyzna zaczepił chłopca, a mężczyzną tym był rzeczywiście Montparnasse, przebrany, w niebieskich okularach, lecz łatwy do poznania dla Gavroche’a.

– Ty spryciarzu! – mówił dalej Gavroche – masz przyodziewek koloru okładów z lnianego siemienia i niebieskie okulary jak doktor. Znasz się na stylu, słowo honoru!

– Pst! – odpowiedział Montparnasse – nie tak głośno! I szybko odciągnął Gavroche’a poza światło padające ze sklepów.

Dwaj malcy szli za nim machinalnie, trzymając się za ręce. Kiedy znaleźli się pod czarnym łukiem jakiejś bramy, ukryci przed spojrzem i deszczem, Montparnasse zapytał:

– Wiesz, dokąd idę?

– Na szubienicę! – rzekł Gavroche.

– Kawalarz jesteś – odrzekł Montparnasse i dodał: – Babet na mnie czeka.

– Ach! – zawołał Gavroche – ona ma na imię Babet.

Montparnasse zniżył głos:

– Nie ona, on.

– O, Babet?

– Tak, Babet.

Myślałem, że go opieczętowali.

– Zdjął pieczęć – odrzekł Montparnasse.

I szybko opowiedział chłopcu, że tego dnia rano Babet zdołał umknąć, skręcając na lewo, zamiast na prawo, w „korytarzu badań”.

Gavroche wyraził podziw dla tej zręczności.

– Co za dentysta! – rzekł.

Montparnasse dodał kilka szczegółów ucieczki Babeta i zakończył słowami:

– Ale to jeszcze nie wszystko.

Gavroche, słuchając go, wziął laskę, którą Montparnasse trzymał w ręku, niechcący pociągnął za jej górną część i ukazało się ostrze sztyletu.

– O! – zawołał, szybko wsuwając pochwę na sztylet – zabrałeś swojego zandarma przebranego po cywilnemu.

Montparnasse przymrużył oko.

– Do diabła! – rzekł Gavroche – więc idziesz na salcesony?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział Montparnasse obojętnie. – Zawsze nie zawodzi mieć przy sobie szpilkę.

Gavroche nalegał:

– Co masz zamiar zrobić w nocy?

Montparnasse przybrał znowu tajemniczą minę i rzekł, polykając sylaby:

– To i owo.

I nagle, zmieniając temat, dodał:

– Coś ci powiem.

– Co znowu?

– Zupełnie inna historia. Wyobraź sobie, parę dni temu spotykam jakiegoś cywila. Dostaję od niego długie kazanie i sakiewkę. Kładę ją do kieszeni. W chwilę później sięgam po nią, a w kieszeni nie ma nic.

– Oprócz kazania – rzekł Gavroche.

– A ty – pytał Montparnasse – gdzie idziesz teraz?

Gavroche pokazał swoich dwóch protegowanych i oświadczył:

– Idę położyć spać te dzieci.

– Gdzie je położysz?

– U mnie w domu.

– To znaczy gdzie?

– U mnie w domu.

– Więc masz mieszkanie?

– Mam

– Gdzie?

– W słoniu – rzekł Gavroche.

Montparnasse, jakkolwiek z natury mało dziwiący się, nie mógł powstrzymać okrzyku:

– W słoniu!

– No tak, w słoniu! Czy to takie dziwne?

Pod wpływem tej uwagi Montparnasse odzyskał spokój i rozsądek. Zdawało się, że nabrał większego szacunku dla mieszkania Gavroche'a.

– Rzeczywiście – rzekł – tak jest, w słoniu... A czy tam dobrze?

– Bardzo dobrze – rzekł Gavroche – nawet byczo. Nie ma przeciągów, jak pod mostem.

– Jak wchodzisz?

– Wchodzę.

– Jest jakaś dziura? – dopytywał się Montparnasse.

– No chyba. Ale nie trzeba o niej mówić. Między przednimi nogami. Szpicle jej nie zauważyli.

– Przez nią włączysz? Rozumiem.

– Chwytam się rękami, raz, dwa i już mnie nie widać.

Po chwili milczenia Gavroche dodał:

– Dla tych malców będę miał drabinę.

Montparnasse zaczął się śmiać.

– Gdzie, u diabła, wytrzasnąłeś tych szczeniaków? Gavroche odpowiedział po prostu:

– Dostałem to bractwo w prezencie od jednego golibrody. A teraz dobranoc, idę z nimi do mojego słonia. Gdybyś mnie przypadkiem potrzebował której nocy, możesz się tam zgłosić. Mieszkam na pierwszym piętrze. Nie ma portiera. Pytaj o pana Gavroche'a.

– Dobrze – odrzekł Montparnasse.

Po czym rozstali się; Montparnasse poszedł w stronę placu Gréve, Gavroche w stronę Bastylii.

Na południowo-wschodnim rogu placu Bastylii, w pobliżu wylotu kanału, wykopanego w dawnej fosie tej fortecy więzienia, istniał Jeszcze dwadzieścia lat temu dziwny pomnik, wymazany już z pamięci paryżan, który jednak zasługiwał na nią, był bowiem pomysłem „członka Instytutu, generała-dowódcy armii egipskiej”.

Mówimy: pomnik, chociaż była to tylko makieta. Ale ta makieta wspaniała szkic, dostojny trup myśli napoleońskiej, którą kilka porywów wiatru uniosło i odrzuciło daleko od nas, stała się historyczna i miała coś ostatecznego, co kontrastowało z jej prowizorycznością. Był to słoń wysoki na czterdzieści stóp; zbudowany z desek i cegły, dźwigał on na grzbiecie wieżę, przypominającą dom i pomalowaną z początku na zielono przez jakiegoś pacykarza, później na czarno przez niebo, deszcze i czas. W tej pustej i odsłoniętej części placu szerokie czoło kolosa, jego trąba, kły, wieża, ogromny zad i nogi, podobne do czterech kolumn, rysowały nocą na tle gwiaździstego nieba sylwetkę zdumiewającą i groźną. Nie wiadomo było, co miała znaczyć. Był to jakby symbol siły ludu, posępny i ogromny, widmo potężne i widzialne, stojące obok niewidzialnego upiora Bastylii.

Niewielu cudzoziemców odwiedzało ten zabytek, żaden przechodzień na niego nie patrzył. Rozsypywał się w gruzy; za każdą zmianą pory roku tynk odpadający mu z boków zostawiał szkaradne rany. „Edylowie”, jak się to mówi w wytwornym stylu, zapomnieli o nim od roku 1814. Stał ów słoń w swoim kącie ponury, chory, chylący się do upadku, w środku gnijącego ogrodzenia, które ustawicznie zanieczyszczali pijani woźnice. Brzuch miał cały w szczelinach, jakaś deska sterczała z ogona, między nogami wyrosły wysokie chwasty, a ponieważ przez trzydzieści lat otaczający go plac podniósł się w powolnym, lecz ciągłym procesie, który niedostrzegalnie dźwiga w górę grunt wielkich miast, więc słoń stał w dole, jak gdyby się ziemia pod nim zapadała. Był brudny, pogardzany, odpychający i wspaniały, brzydki w oczach mieszczucha, melancholijny w oczach myśliciela. Miał w sobie coś ze śmiecia, który zostanie wymięciony, i z majestatu skazanego na ścięcie.

Jakeśmy powiedzieli, nocą jego wygląd zmieniał się. Noc stwarza właściwą atmosferę dla wszystkiego, co jest cieniem. Jak tylko zapadał zmierzch, stary słoń przeżywał transfigurację; stawał się spokojny i groźny w niewzruszenie pogodnych ciemnościach. Należąc do przeszłości, należał do nocy i niknąc w niej, pozostawał wielki.

Do tego kąta placu, zaledwie oświetlonego odblaskiem oddalanej latarni, zaprowadził Gavroche dwóch „smyków”.

Niech nam będzie wolno przerwać tu sobie i przypomnieć, że jesteśmy wciąż w najprawdziwszej rzeczywistości i że dwadzieścia lat temu sąd karny rozpatrywał sprawę o włóczęgostwo i niszczenie pomników publicznych, wytoczoną przeciwko dziecku, które złapano śpiące we wnętrzu tego właśnie słonia z placu Bastylli.

Przypomniawszy o tym, ciągniemy dalej naszą opowieść. W pobliżu kolosa Gavroche, rozumiejąc, jak nieskończenie wielkie może działać na nieskończenie małe, rzekł:

– Smarkacze, nie bójcie się.

Następnie wszedł przez dziurę w ogrodzeniu otaczającym słonia i pomógł malcom przedostać się przez nią. Dzieci, trochę wylękłe, szły za Gavroche’em, nie mówiąc ani słowa i powierzając się całkowicie tej małej opatrności w łachmanach, która im dała chleba i obiecała dach nad głową.

Leżała tam wzdłuż ogrodzenia drabina, która służyła w dzień robotnikom z sąsiedniej budowy. Gavroche podniósł ją z zadziwiającą siłą i oparł o jedną z przednich nóg słonia. Tam gdzie kończyła się drabina, można było dojrzeć rodzaj czarnego otworu w brzuchu kolosa.

Gavroche wskazał swoim gościom drabinę i otwór, po czym rzekł:

– Wejdźcie tam.

Dwaj mali chłopcy patrzyli na siebie przestraszeni.

– Boicie się, smyki! – zawołał Gavroche.

I dodał:

– Zaraz zobaczycie.

Objął silnie chropowatą nogę słonia i w mgnieniu oka, nie racząc posłużyć się drabiną, był przy otworze. Wszedł do środka jak zaskroniec wślizgujący się w rozpadlinę skały i zniknął, a w chwilę potem malcy zobaczyli rysującą się niewyraźnie, jak sinoszara plama, jego głowę, wychyloną z dziury pełnej ciemności.

– No! – zawołał – włazić, smyki, zobaczycie, jak tu dobrze! Włóż ty – zwrócił się do starszego – podam ci rękę.

Malcy trącili się łokciami; Gavroche napędzał im strachu, ale jednocześnie ośmielał ich, a przy tym deszcz padał coraz większy. Starszy zdecydował się. Młodszy, widząc, że brat wchodzi na drabinę, a on zostaje sam między nogami tej ogromnej bestii, miał wielką ochotę rozplakać się, ale nie śmiał.

Starszy wchodził, chwiejąc się na szczeblach drabiny. Gavroche podtrzymywał go na duchu okrzykami, jakimi fechtmistrz zwraca się do swoich uczniów albo mulnik do swoich mulów:

– Nie bój się!

– Dobrze!

– Dalej!

– Postaw tu nogę!

– Daj rękę!

– Śmiało!

Kiedy był już przy otworze, pochwycił go nagle i silnie za ramię i przyciągnął do siebie.

– Zrobione! – zawołał.

Malec znalazł się w środku.

– Teraz – rzekł Gavroche – zaczekaj na mnie. Niech pan będzie łaskaw usiąść.

I wysunąwszy się z dziury, ześliznął się ze zwinnością wiewiórki po nodze słonia, zeskoczył na trawę, wziął na ręce pięcioletniego chłopca i postawił go na samym środku drabiny; potem zaczął wchodzić za nim, wołając na starszego:

– Ja go będę pchał, a ty ciągnij.

W jednej chwili malec został podniesiony, popchnięty, wciągnięty i wpakowany do dziury, nie zorientowawszy się nawet, co się z nim dzieje; Gavroche, wchodząc za nim, zepchnął nogą drabinę, która upadła na trawę, klasnął w ręce i zawołał:

– Jesteśmy! Niech żyje generał Lafayette! Wyrzuciwszy z siebie ten triumfalny okrzyk, dodał:

– Smyki! Jesteście w moim domu.

Gavroche był rzeczywiście w swoim domu.

O niespodziewana użyteczności rzeczy bezużytecznych! O miłosierdzie rzeczy wielkich! O dobroci olbrzymów! Ten ogromny pomnik, który zawierał niegdyś myśl cesarza, stał się mieszkaniem ulicznika.

Malec został przyjęty i przytulony przez kolosa. Wystrojeni na niedzielę mieszczanie, przechodząc około słonia na placu Bastylli, pytali nieraz, mierząc go pogardliwym spojrzeniem swoich wylupiastych oczu: „Po co to stoi?” „To” stało po to, ażeby ochronić od zimna, szronu, gradu i deszczu, żeby zasłonić od wichrów zimowych i uratować od noclegu w błocie, który sprowadza gorączkę, lub od noclegu w śniegu, który sprowadza śmierć – dziecko bez ojca i matki, bez chleba, bez odzienia, bez przytułku. „To” stało, aby przytulić niewinną istotę, którą odepchnęło społeczeństwo. „To” stało, aby zmniejszyć wielkość publicznej winy. Była to kryjówka otwarta dla tych, przed którymi wszystkie drzwi są zamknięte. Zdawało się, że stary, wynędzniały olbrzym, pokonany przez robactwo i zapomnienie, pokryty naroślami, pleśnią i wrzodami, chwiejący się, spróchniały, opuszczony, potępiony, niby olbrzymi żebrak, błagający na próżno o jałmużnę życzliwego spojrzenia na publicznym placu, ulitował się nad innym żebrakiem, nad biednym pigmejem, błakającym się bez butów, bez dachu nad głową, chuchającym w palce, okrytym gałganami, karmiącym się tym, co inni wyrzucają. Oto, po co stał słoń na placu Bastylli.

Dziura, przez którą Gavroche dostał się do wnętrza, była szparą ledwo od zewnątrz widzialną, bo ukryta pod brzuchem słonia, a tak ciasną, że rzeczywiście tylko koty i dzieci mogły się przez nią przecisnąć.

– Najprzód – rzekł Gavroche – zapowiemy portierowi, że nas nie ma w domu.

I zanurzając się w ciemności ze swobodą człowieka, który zna swoje mieszkanie na pamięć, wziął deskę i zakrył nią dziurę.

Potem znowu zanurzył się w ciemność. Dzieci usłyszały syczenie zapalki, zanurzonej w butelce fosforycznej. Zapalek chemicznych jeszcze nie znano, krzesiwo Fumade'a było wtedy ostatnią zdobyczą postępu. Malcy, oślepieni nagłym światłem, zmrużyli oczy – to Gavroche zapalił kawałek knota nasyconego żywicą. Ten stoczek, który bardziej kopcił, niż świecił, ukazał nieco wnętrza słonia.

Dwaj goście Gavroche'a rozglądali się dokoła i przeżywali to, co by zapewne przeżywał ktoś zamknięty we wnętrzu wielkiej beczki heidelberskiej, lub raczej to, czego doświadczać musiał Jonasz w biblijnym brzuchu wieloryba; jakiś olbrzymi szkielet objawił się im i otoczył ich. W górze długa, brunatna belka, z której w pewnych odległościach wychodziły mocne, wklęsłe pręty, wyobrażała stos pacierzowy z jego żebrami; stalaktyty wapna zwieszały się z nich niby jelita, a na całej szerokości rozpięte tkaniny pajęczce zdawały się naśladować zakurzone przepony. Tu i ówdzie widać było wielkie czarne plamy, które zdawały się żyć i szybko, nagłym i przerażonym ruchem, zmieniały miejsce.

Odlamki, spadłe z grzbietu słonia na jego brzuch, wypełniały zagłębienie tak, że można było po nim chodzić jak po podłodze.

Młodszy z dwóch malców przytulił się do brata i rzekł półgłosem:

– Ciemno.

Słowo to wywołało oburzenie Gavroche'a; osłupiałe miny dwóch smyków wskazywały na potrzebę wstrząsu.

– A co to za gadanie? – zawołał. – Kpicie, czy co? Mało wam jeszcze? Tuileryjskich salonów wam potrzeba? Spadliście z byka? Wiedźcie, że ze mną nie ma żartów.

Parę szturchańców dobrze robi na strach. To wzmacnia i uspokaja.

Dwaj malcy podeszli bliżej do Gavroche'a.

Gavroche, ojcowsko rozczulony tym zaufaniem, przeszedł „od powagi do słodczy” i odezwał się do młodszego:

– Głuptasie! – rzekł, łagodząc zniewagę pieszczotliwą intonacją głosu. – To tam na ulicy jest ciemno. Tam deszcz pada, a tu nie pada: tam zimno, tu nie ma ani szczypty wiatru; tam tłumy ludzi, tu nie ma nikogo; tam księżyc nawet nie świeci, a tu jest moja świeca, do stu diabłów!

Dzieci zaczęły się rozglądać po apartamencie z mniejszym strachem, lecz Gavroche nie zostawił im wiele czasu do namysłu.

– Dalej! – rzekł.

I popchnął ich – jesteście szczęśliwi, że możemy to tak nazwać – w głąb pokoju.

Tam stało jego łóżko.

Łóżku Gavroche'a nie można było nic zarzucić. To znaczy, że miało materac, kołdrę i alkowę z firankami.

Materacem była mata słomiana, kołdrą dosyć duża płachta z grubej, szarej wełny, bardzo ciepła i prawie nowa. A oto, jak wyglądała alkowa.

Stały tam trzy dosyć długie tyki, mocno wbite w pokrytą warstwą gruzu ziemię, to jest w brzuch słonia, dwie z przodu, a jedna z tyłu, i związane sznurem u góry, aby tworzyły piramidę. Te związane tyki podtrzymywały mosiężną siatkę zarzuconą na nie i zręcznie przymocowaną kawałkami żelaznego drutu w ten sposób, że je dokładnie okrywała. U dołu duże kamienie, ułożone wkoło na podłodze, przyciskały siatkę, dzięki czemu nic się nie mogło pod nią precisnąć. Owa siatka była po prostu częścią kraty, jakiej w menażeriach używa się do pomieszczeń dla ptactwa. Łóżko Gavroche'a umieszczone było pod nią jak w klatce. Wszystko razem przypominało namiot Eskimosa.

Ta właśnie siatka zastopowała firanki.

Gavroche odsunął nieco kamienie przyciskające ją z przodu i dwie części siatki, zachodzące jedna na drugą, rozchyliły się.

– Na czworaki, smarkacze! – zawołał.

Ostrożnie wpuścił swoich gości do klatki, wczołgał się za nimi, przesunął kamienie i zamknął szczelnie szparę.

Leżeli wszyscy trzej na macie.

Jakkolwiek byli mali, żaden z nich nie mógł stanąć w tej alkowie. Gavroche wciąż trzymał w ręku swój stoczek.

– A teraz – rzekł – kimajcie! Zgaszę kandelabr.

– Proszę pana – zapytał starszy z braci, wskazując na drucianą siatkę – co to jest?

– To – odpowiedział poważnie Gavroche – to jest od szczurów. Kimajcie!

Uczuł jednak, że winien jest tym drobnym istotom kilka słów objaśnienia, i dodał:

– Ten cały interes jest z Ogrodu Zoologicznego. To jest potrzebne dla dzikich zwierząt, mają tam tego do licha i trochę. Trzeba tylko przeleźć przez mur, wdrapać się przez okno, precisnąć

się pod bramą i można brać i wybierać.

Mówiąc to okrywał częścią kołdry najmłodszego, który szeptał:

– O, jak dobrze! Jak ciepło!

Gavroche zwrócił zadowolone spojrzenie na swoją kołdrę.

– To też z Ogrodu Zoologicznego. Zabrałem to małpom. I pokazując starszemu matę, na której leżał, matę bardzo grubą i kunsztownie plecioną, rzekł.

– A to było u żyrafy.

Umilkł, po czym dodał jeszcze:

– Wszystko to miały zwierzęta. Zabrałem im. Nie gniewały się wcale, bo powiedziałem, że to dla słońia. Znów milczał chwilę i znów dodał:

– Przełazi się przez mury, gwizdże się na rząd.

Chłopcy wyrażali spojrzeniem bojaźliwy i zdumiony szacunek, jaki w nich budziła ta istota nieulekła i przedsiębiorcza, ten włóczęga taki sam jak oni, samotny i bezbronny jak oni, łączący w sobie nędzę i potęgę, która im się wydawała nadprzyrodzona, i mający w twarzy wszystkie grymasy starego kłowna, pomieszane z najbardziej dziecinnym i uroczym uśmiechem.

– Proszę pana – zapytał lekliwie starszy – a czy pan się nie boi policjantów?

Gavroche ograniczył się do odpowiedzi:

– Nie mówi się „policjantów”, tylko „salcesonów”.

Młodszy miał oczy otwarte, ale nic nie mówił. Ponieważ leżał na skraju maty, a starszy znajdował się w środku, Gavroche otulił go kołdrą jak matka i podniósł mu trochę pod głową matę, wpychając pod spód stare gałgany, żeby malec miał poduszkę. Następnie zwrócił się do starszego:

– He! Ładnie tu, prawda?

– O, tak! – odpowiedział starszy, przyglądając się Gavroche’owi z wyrazem wybawionego anioła.

Przemokłym do suchej nitki biedakom zaczynało się robić ciepło.

– No więc – mówił dalej Gavroche – po co było płakać?

I pokazując młodszego brata starszemu, ciągnął:

– Nie dziwię się takiemu knotowi jak ten, ale żeby taki duży beczał, to trzeba być kretynem; kto płacze, wygląda jak cielę.

– Mój Boże! – rzekło dziecko – nie mamy już domu, nie wiedzieliśmy, gdzie pójść.

– Smyku! – odparł Gavroche. – Nie mówi się „dom”, mówi się „buda”.

– I jeszcze baliśmy się zostać sami w nocy.

– Nie mówi się „noc”, ale „kawa”.

– Dziękuję panu – odpowiedziało dziecko.

– Słuchaj – rzekł Gavroche – nigdy nie trzeba kwękać o byle co. Ja się wami zaopiekuję. Zobaczysz, jaka będzie zabawa. Latem będziemy się kąpali razem z Franusiem, moim kolegą, w przystani na Sekwanie, będziemy biegali nago po tratwach przed mostem Austerlickim; praczki się o to wściekają. Krzyczą, klną; nie masz pojęcia, jakie to śmieszne! Pójdziemy obejrzeć człowieka – kościotrupa. Takiego, co żyje. To jest na Polach Elizejskich. Gość chudy jak nie wiem co. Potem was zaprowadzę do teatru. Zobaczycie Fryderyka Lemaître. Mam bilety, znam aktorów, sam nawet grałem w jednej sztuce. Kilku nas było takich smyków, biegaliśmy pod płótnem i to naśladowało morze. Dostaniecie zajęcie w moim teatrze. Pójdziemy zobaczyć dzikich. To nie są prawdziwi dzicy. Mają na sobie różowe trykoty, które się marszczą, a na łokciach widać cery z białych nici. Potem pójdziemy na operę. Wejdziemy razem z klakierami. Klaka w operze jest bardzo dobrze urządzona. Do teatrzyków bulwarowych z klaką nie chodzę. Pokażę wam kata. Mieszka na ulicy Marais, nazywa się pan Sanson, ma skrzynkę do listów na

drzwiach. Ach, jak wesoło można się bawić!

W tej chwili kropla wosku spadła na palec Gavroche'a i przypomniała mu rzeczywistość.

– Do stu diabłów! – zawołał – knotek się topi. Nie mogę przecież wydawać więcej niż jednego su miesięcznie na oświetlenie. Kto się kładzie do łóżka, powinien spać. Nie mamy czasu na czytanie romansów pana Paul de Kock. A i światło mogłoby się przedostać przez szczeliny w bramie, salcesonom więcej nie trzeba.

– A przy tym – zauważył bojaźliwie starszy, bo on tylko miał odwagę odzywać się do pana Gavroche'a i odpowiadać mu – mogłaby na słomę upaść iskra. Trzeba się strzec, żeby nie spalić domu.

– Nie mówi się „spalić dom” – rzekł Gavroche. – Mówi się „skopcić bude”.

Burza wzmagala się. Wśród uderzeń piorunów slychać było ulewę bijącą o grzbiet kolosa.

– Deszcz może się dać wypchać! – rzekł Gavroche. – Lubię slychać, jak się leje z tej karafki po nogach mojego domu. Głupie deszczysko na próżno się wysila, marnuje swój towar; nie może nas przemoczyć i dlatego stary nosiwoda tak zrzędzi.

Po tej aluzji do pioruna, której wszelkie konsekwencje Gavroche brał na siebie jako filozof dziewiętnastego stulecia, zajaśniała ogromna błyskawica, tak świetna, że blask jej wtargnął przez otwór aż do brzucha słońia. Prawie jednocześnie rozległ się wściekły grzmot. Dwaj malcy krzyknęli i podskoczyli tak żywo, że omal nie rozsunęli siatki, ale Gavroche zwrócił ku nim swoją zuchowatą twarz i na uderzenie pioruna odpowiedział wybuchem śmiechu:

– Spokojnie, dzieci! Nie rozwalajmy budynku. Jaki piękny grzmot, pogratulować! I błyskawica też nie tandetna. Brawo, Pan Bóg! Do diaska, udało się niewiele gorzej niż w teatrze Ambigu.

To rzekłszy poprawił siatkę, popchnął łagodnie malców na posłanie, przycisnął im kolana, żeby się dobrze wyciągnęli, i zawołał:

– Kiedy Bozia zapala świeczkę, to ja mogę zdmuchnąć swoją. Młodzieńcy, trzeba spać. Nie wysypiać się to jest bardzo niezdrowa rzecz. Od tego zalatuje człowiekowi z korytarza, czyli jak mówią w eleganckim świecie, śmierdzi z gęby. Otulcie się dobrze w kołdrę. Zaraz gaszę. No, już?

– Już – szepnął starszy. – Tak mi jest dobrze, jakbym miał puchową poduszkę pod głową.

– Nie mówi się „pod głową” – krzyknął Gavroche. – Mówi się „pod kopsą”.

Chłopcy przytulili się do siebie. Gavroche ułożył ich jeszcze wygodniej na macie, podciągnął kołdrę aż po uszy, wreszcie po raz trzeci rozkazał w swoim dostojnym języku:

– Kimajcie!

I zdmuchnął światło.

Ledwie świeca zgasła, jakieś niezwykle drzenie zaczęło wstrząsać siatką, pod którą leżeli trzej chłopcy. Było to szybkie skrobanie wydające metaliczny dźwięk, jakby jakieś pazury i zęby zgrzytały na miedzianym drucie. Towarzyszyły temu najrozmaitsze rodzaje przenikliwych pisków.

Pięcioletni malec, usłyszawszy nad głową szmer, zlodowaciał ze strachu i trącił łokciem brata, lecz ten już „kimał”, stosownie do rozkazu Gavroche'a. Wówczas malec, nie mogąc już wytrzymać ośmielił się zainterpelować Gavroche'a, jak mógł najciszej, powstrzymując oddech:

– Proszę pana...

– Hę? – zapytał Gavroche, który ledwie zamknął powieki.

– Co to jest?

– To szczury – odpowiedział Gavroche.

I znów przytulił głowę do maty.

Istotnie, w drewnianych wnętrzościach słońia roilo się od szczurów. To właśnie były te

czarne, żywe plamy, o których wspominaliśmy. Przy blasku świeczki czuły jeszcze respekt, ale gdy tylko ta pieczara, która była jak gdyby ich państwem, została z powrotem oddana ciemności, zaatakowały tłumnie namiot Gavroche'a, wdrapały się aż na szczyt i gryzły druty, szukając drogi do tej niezwyklej fortecy.

Jednakże malec wciąż nie zasypiał.

– Proszę pana... – szepnął znowu.

– He? – rzekł Gavroche.

– Co to takiego szczury?

– To takie myszy.

To objaśnienie dodało nieco odwagi malcowi. Widział już w swoim życiu białe myszki i nie bał się ich wcale. Jednakże odezwał się jeszcze raz:

– Proszę pana...

– He? – zapytał znowu Gavroche.

– Dlaczego pan nie ma kota?

– Miałem – odpowiedział Gavroche – przyniosłem tutaj, ale one mi go zjadły.

To drugie objaśnienie zburzyło dzieło pierwszego i mały zaczął znowu drzeć ze strachu. Rozmowa między nim i Gavroche'em rozpoczęła się po raz czwarty.

– Proszę pana...

– He?

– Kogo one zjadły?

– Kota.

– A one, to znaczy kto?

– Szczury.

– Myszy?

– Tak, szczury.

Dzieciak, przerażony tymi myszami, które zjadają koty, pytał dalej:

– Proszę pana, a czy te myszy mogłyby i nas zjeść?

– I jeszcze jak! – odrzekł Gavroche.

Przestrach dziecka doszedł do szczytu. Ale Gavroche dodał:

– Nie bój się! Nie mogą wejść. A zresztą ja tu jestem! Masz, weź mnie za rękę. Bądź cicho i kimaj!

Gavroche wyciągnął do malca rękę poprzez śpiącego w środku starszego brata. Dziecko przycisnęło jego dłoń do siebie i poczuło się śmieiej. Odwaga i siła udzielają się w tajemniczy sposób. Dokoła nich zrobiło się cicho, rozmowa przestraszyła i oddaliła szczury, a gdy w kilka chwil później wróciły z nową wściekłością, trzech chłopców, pogrążonych we śnie, nic już nie słyszało.

Godziny nocy upływały. Cień zasłał olbrzymi plac Bastylli, od czasu do czasu podnosił się zimowy wiatr, zmieszany z deszczem, patrole sprawdzały bramy, aleje, parkany, ciemne kąty i szukając nocnych włóczęgów, przechodziły w milczeniu koło słonia; potwór stojący nieruchomo, z oczami otwartymi w mrok, zdawał się rozmyślać, jakby głęboko zadowolony ze swojego dobrego uczynku, i chronił przed niebem i ludźmi troje biednych dzieci pogrążonych we śnie.

Kiedy zbliżał się świt, jakiś człowiek wybiegł z ulicy św. Antoniego, przebiegł przez plac i prześliznął się między sztachetami aż pod brzuch słonia. Gdyby jakiegokolwiek światło padło na tego człowieka, łatwo byłoby odgadnąć po jego przemoczonej odzieży, że spędził noc na deszczu. Kiedy stanął pod słoniem, wydał okrzyk dziwaczny, nie należący do żadnego języka, który jedna tylko papuga mogłaby oddać dokładnie. Powtórzył dwukrotnie ten okrzyk, o którym jakie takie wyobrażenie dać może następująca pisownia:

– Kirikikiu!

Kiedy tak zawołał po raz drugi – jasny, wesoły i młody głos odpowiedział z głębi słonia:

– Jestem.

Prawie natychmiast zasłaniająca otwór deska usunęła się, dając przejście dziecku, które się ześliznęło w dół po nodze słonia i zwinnie wylądowało obok owego człowieka. Był to Gavroche. Człowiekiem, który na niego czekał, był Montparnasse.

Ów okrzyk „kirikikiu” oznaczał bez wątpienia to samo, co chłopiec wyraził słowami: „Zapytasz o pana Gavroche’a”.

Usłyszawszy wezwanie, Gavroche obudził się od razu, wyskoczył ze swej alkowy, rozsuwając nieco drucianą siatkę, którą starannie zamknął za sobą, odsłonił otwór i zszedł na dół.

Mężczyzna i chłopiec poznali się w milczeniu wśród ciemności; Montparnasse powiedział tylko tyle:

– Jesteś nam potrzebny do pomocy.

Gavroche nie potrzebował innego wyjaśnienia.

– Dobra – odrzekł.

I obaj poszli ku ulicy św. Antoniego, z której wyszedł Montparnasse, lawirując zręcznie w długim strumieniu ogrodniczych wózków, które o tej godzinie jadą w kierunku Hal.

Ogrodnicy, siedzący na wózkach wśród stosów warzyw, na wpół drzemiąc, po oczy zawinięci w płachty, bo deszcz lał strumieniami, nie spojrzeli nawet na tych dziwnych przechodniów.

Koleje ucieczki

Opowiedzmy teraz, co się działo tej samej nocy w więzieniu La Force.

Ucieczka została uknuta przez Babeta, Brujona, Gueulemera i Thénardiera, chociaż Thénardier siedział w oddzielnej celi. Babet uciekł już na własną rękę, tego dnia właśnie, jak wiemy z tego, co Montparnasse opowiedział Gavroche’owi. Montparnasse miał im pomagać z zewnątrz.

Chwila była tym bardziej stosowna do przedsięwzięcia ucieczki, że właśnie dekarze naprawiali część dachów więzienia. Pawilon św. Bernarda nie był wskutek tego zupełnie odcięty od pawilonu Karola Wielkiego i pawilonu św. Ludwika. Na dachach stały rusztowania i drabiny, czyli mówiąc inaczej, mosty i schody prowadzące do wybawienia.

Słabym punktem więzienia był Nowy Budynek, najbardziej odrapana rudera, jaką można sobie wyobrazić. Mury tego pawilonu tak dalece przetrawiła saletra, że musiano poobijać deskami sklepienia cel, gdyż odrywające się od nich kamienie spadały na posłania więźniów. W tej jednak ruinie umieszczono lekkomyślnie najniebezpieczniejszych oskarżonych, „grube sprawy”, jak się to mówi w języku więziennym.

Nowy Budynek mieścił cztery sypialnie, położone jedna nad drugą, i poddasze, które nazywano „Letniskiem”. Szeroki przewód kominowy, prawdopodobnie resztką dawnej kuchni książąt de La Force, wychodził z parteru, przecinał wszystkie cztery piętra, dzieląc na dwa sypialnie, gdzie wyglądał jak spłaszczona kolumna, i kończył się na dachu.

Gueulemer i Brujon umieszczeni zostali w jednej sypialni. Przez ostrożność posadzono ich na samym dole. Przypadek zrządził, że głowy ich przytęczały owego komina.

Thénardier znajdował się dokładnie nad ich głowami na poddaszu zwanym Letniskiem.

Tej samej nocy, kiedy mały Gavroche zaopiekował się bezdomnymi chłopcami, Brujon i Gueulemer, którzy wiedzieli, że zbiegły rano Babet oczekuje ich na ulicy razem z Montparnasse'em, wstali po cichu i za pomocą gwoźdźcia, znalezionego przez Brujona, zabrali się do wiercenia otworu w rurze kominowej. Odłamki padały na pryczę Brujona, więc też nie było ich słychać. Deszcz z gradem i grzmoty wstrząsały drzwiami w zawiasach, robiąc w więzieniu hałas ogromny i pożyteczny. Ci z więźniów, którzy się przebudzili, udali, że zasypiają znowu, nie przeszkadzając Gueulemerowi i Brujonowi. Brujon był zręczny, Gueulemer silny. Najmniejszy nawet szmer nie zaniepokoił strażnika śpiącego w okratowanej celce, która wychodziła na sypialnię, podczas gdy bandyci przebijali mur i wspinali się wewnątrz komina, aby po wyłamaniu żelaznej kraty zamykającej go u góry, stanąć w końcu na dachu. Deszcz i wichura wzmogły się, dach był śliski.

– Jaka czarna kawa, w sam raz, żeby się urwać! – rzekł Brujon.

Przepaść szerokości sześciu stóp, a głębokości osiemdziesięciu dzieliła ich jeszcze od muru. Na dnie tej przepaści widać było połyskujący w mroku karabin wartownika. Złoczyńcy przywiązali do odłamków kraty, pozostałych w wylocie komina, sznur, który Brujon ukreślił w swojej celi, drugi jego koniec przerwali przez mur, przesadzili jednym skokiem przepaść, uchwycili się rękoma krawędzi muru i jeden za drugim zjechali po sznurze na daszek kąpieliska.

Następnie ściągnęli sznur, zeskoczyli na podwórze i znaleźli się na ulicy.

Niecałe trzy kwadransy upłynęły od chwili, kiedy usiedli w ciemnościach na swoich pryczach z gwoździem w rękę i projektem w głowie.

W kilka chwil potem spotkali Babeta i Montparnasse'a, którzy krążyli w pobliżu.

Pociągając ku sobie sznur, zerwali go i kawałek pozostał na dachu, przywiązany do komina. Nie zdarzyło im się zresztą nic złego, to jedno chyba, że starli sobie prawie wszystką skórę z rąk.

Tej samej nocy Thénardier został uprzedzony, nie wiadomo w jaki sposób, i nie spał.

Około pierwszej, mimo ciemności, ujrzał na dachu dwa cienie przesuwające się wśród deszczu i wiatru przed okienkiem naprzeciw jego celi. Jeden z cieni zatrzymał się na mgnienie oka przed okienkiem. Był to Brujon. Thénardier poznał go i zrozumiał wszystko. To mu wystarczyło.

Jako niebezpieczny bandyta, oskarżony o nocną zasadzkę z użyciem broni, był pod ścisłym dozorem. Przed jego celą przechadzał się strażnik z nabitym karabinem, zmieniany co dwie godziny. Letnisko było oświetlone lampą wiszącą na ścianie. Więzień miał nogi skute piętnastofuntowymi kajdanami.

Pozwolono mu zachować przy sobie coś na kształt żelaznego kołka, co mu służyło do zawieszania chleba w szparze ściany, aby jak mówił, „zabezpieczyć go od szcurów”. Ponieważ Thénardier był dobrze pilnowany, nie wydawało się, żeby ten kołek mógł być niebezpieczny. Później jednak przypomniano sobie, że któryś ze strażników powiedział:

– Lepiej by było dać mu tylko drewniany kołek.

O godzinie drugiej po północy wartownik, stary żołnierz, miał zmianę; zastąpił go młody rekrut. Po dwóch godzinach, przy następnej zmianie, o czwartej rano znaleziono go śpiącego i leżącego jak kłoc na ziemi przy separacie Thénardiera. Thénardiera już w niej nie było. Na podłodze leżały rozbite kajdany. W suficie celi była dziura, a nad nią, w dachu, druga. Jedna deska z pryczy była wyrwana i zapewne zabrana, gdyż jej nie znaleziono. Znaleziono natomiast w celi do połowy opróżnioną butelkę zawierającą resztę odurzającego wina, którym żołnierz został uspiiony. Bagnet strażnika również znikł.

Kiedy to wszystko odkryto, wydawało się, że Thénardier jest poza zasięgiem wszelkich poszukiwań. W rzeczywistości jednak, choć opuścił już Nowy Budynek, znajdował się jeszcze w wielkim niebezpieczeństwie.

Wydostawszy się na dach Nowego Budynku, znalazł resztę sznura Brujona, wiszącą na

prętach kraty u szczytu komina, lecz ten urwany kawałek sznura był za krótki i Thénardier nie mógł uciec przez mur, jak to uczynili Brujon i Gueulemer.

Skrecając z ulicy des Ballets na ulicę Króla Sycylii, spotyka się tuż za rogiem, po prawej stronie, wstrętne wyglądające zagłębienie. W ubiegłym stuleciu stał tam dom, z którego została jedynie tylna ściana, prawdziwa ruina, wznosząca się między sąsiednimi budynkami do wysokości trzeciego piętra.

Na szczyt tej właśnie ruiny wszedł Thénardier wkrótce po trzeciej rano.

W jaki sposób udało mu się tam dostać? Nigdy nie zdołano tego wytłumaczyć ani zrozumieć. Błyskawice zapewne przeszkadzały mu i zarazem pomagały. Czy skorzystał z drabin i rusztowań dekarzy, aby przechodząc z dachu na dach, z gzymsu na gzyms, przez pawilony Karola Wielkiego i św. Ludwika, i wreszcie przez mur, dotrzeć do ruiny na ulicy Króla Sycylii? Czy też może deskę ze swojej pryczy przerzucił jako pomost między dachem Letniska i murem, a następnie czołgał się po szczycie muru dokoła całego więzienia, aż trafił na ową ruinę? Na oba sposoby ucieczka wydawała się nieprawdopodobna. Czy Thénardier, pod wpływem nieubłaganego pragnienia wolności, które zmienia przepaści w rowy, żelazne kraty w plecionki z wikliny, beznogiego kalekę w atlete, podagryka w ptaka, głupotę w instynkt, instynkt w inteligencję, inteligencję w geniusz – czy Thénardier wynalazł i zaimprovizował jakiś trzeci sposób? Nie wyjaśniono tego nigdy.

Jakkolwiek się to stało, Thénardier, zlany potem, przesiąkły deszczem, w ubraniu poszarpanym na strzępy, z pościeranymi rękami, z łokciami we krwi, z podrapanymi kolanami, wszedł na tę ścianę, wyciągnął się jak długi na jej szczycie, ale tam już mu zabrakło sił. Wysokość trzech pięter dzieliła go od bruku ulicy.

Sznur, który miał, był za krótki.

Czekał błądy, wyczerpany, utraciwszy całą nadzieję, jeszcze okryty zasłoną nocy, lecz zdający sobie sprawę, że nadchodzi dzień, przerażony myślą, że za chwilę usłyszy na pobliskiej wieży św. Pawła uderzenie godziny czwartej, godziny, o której przyjdą zmieniać wartę i zobaczą strażnika uspiętego pod przedziurawionym dachem, i osłupiały patrzył w dół, w tę straszliwą głębię, gdzie pod światłem latarń rozciągał się mokry i czarny bruk, ten bruk upragniony i groźny, który oznaczał śmierć i jednocześnie oznaczał wolność.

Wybiła czwarta. Thénardier zadrzał. W kilka chwil potem wybuch w więzieniu niespokojny i pomieszany rozgwar, który jest pierwszym następstwem odkrytej ucieczki. Trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi, szcęk krat i zawiasów, głosy straży, chrapliwe nawoływania dozorców, uderzenia kolbami o bruk – dochodziły aż do niego.

Leżąc tak w rozpacz, zobaczył nagle, choć jeszcze ulica była zupełnie ciemna, przesuwanego się wzdłuż ścian człowieka, który nadchodził od ulicy Brukowej i zatrzymał się przed zagłębieniem, ponad którym Thénardier trwał jakby zawieszony. Po chwili do tego człowieka przyłączył się drugi, który szedł z taką samą ostrożnością, następnie trzeci, wreszcie czwarty. Kiedy się połączyli, jeden z nich otworzył furtkę w parkanie i wszyscy czterej weszli na plac, gdzie stała drewniana szopa. Zatrzymali się wprost pod Thénardierem. Widocznie obrali to miejsce, żeby rozmawiać nie wystawiając się na widok przechodniów i wartownika, stojącego nie opodal przy furtce więzienia. Trzeba zresztą dodać, że deszcz uwięził wartownika w jego budce. Thénardier, nie mogąc rozpoznać twarzy tych ludzi, nastawił ucha na ich słowa, z rozpaczliwą uwagą człowieka, który czuje, że jest zgubiony.

Przed oczami Thénardiera przesunęło się coś podobnego do nadziei – ci ludzie mówili gwarą złodziejską.

Nie śmiał ich zawołać – jeden okrzyk, gdyby go kto usłyszał, mógł wszystko popsuć; przyszedł mu jednak do głowy pomysł, ostatni błysk nadziei; wyjął z kieszeni kawałek sznura

Brujona, który odwiązał od komina na Nowym Budynku, i rzucił go na dół.

Lina upadła przy nogach czterech ludzi.

– Wdowa po nieboszczyku Dyndale – rzekł Babet.

– To mój szpagat – zawołał Brujon.

– Karczmarz tu jest – rzekł Montparnasse.

Spojrzeni w górę. Thénardier wysunął nieco głowę.

– Prędeż! – rzekł Montparnasse. – Brujon, masz drugi kawał sznura?

– Mam.

– Zwiąż oba razem. Rzucimy mu, przywiąże go do ściany, to wystarczy, żeby zejść.

Thénardier ośmielił się odezwać półgłosem:

– Zesztywniałem z zimna.

– Rozgrzejesz się.

– Nie mogę się ruszyć.

– Tylko się zsuniesz, my cię już złapiemy.

– Ręce mi zdrętwiały.

– Przywiąż tylko linę do muru.

– Nie dam rady.

– Któryś z nas musi wleźć – stwierdził Montparnasse.

– Trzy pięt! – szepnął Brujon.

Stary przewód kominowy, prowadzący do pieca, który stał w szopie, szedł po murze do samego szczytu, kończąc się prawie w tym miejscu, gdzie było widać Thénardiera. Przewód ten, już wówczas zniszczony i porysowany, później rozpadł się całkiem, lecz do tej pory jeszcze widać jego ślady.

– Można by wleźć tędy – rzekł Montparnasse.

– Przez tę rurę – zawołał Babet – dorosły człowiek się nie przecisnie, trzeba by jakiego pętaka.

– Trzeba by pętaka – powtórzył Brujon.

– Skąd go wziąć? – zapytał Gueulemer.

– Zaczekajcie – rzekł Montparnasse. – Już mam.

Montparnasse otworzył po cichu furtkę w parkanie, upewnił się, że na ulicy nikogo nie ma, wyszedł ostrożnie, zamknął za sobą furtkę i pobiegł w kierunku Bastylii.

Upłynęło siedem, może osiem minut – osiem tysięcy wieków dla Thénardiera; Babet, Brujon i Gueulemer przez cały czas milczeli; w końcu furtka otworzyła się i ukazał się zadyszany Montparnasse prowadzący Gavroche'a. Dzięki deszczowi ulica była wciąż pusta.

Mały Gavroche wszedł na placik i spokojnie obejrzał bandytów. Woda ściekała mu z włosów.

– Co trzeba zrobić? – zapytał.

– Wleźć na szczyt tą rurą – odpowiedział Montparnasse.

– Z tym szpagatem – dodał Babet.

– I fest go tam przytranzolić – dorzucił Brujon.

Chłopiec spojrzał na linę, przewód kominowy i mur, po czym mruknął pogardliwie coś, co miało oznaczać:

– Wielkie rzeczy!

– Tam na górze siedzi człowiek, którego uratujesz – wyjaśnił jeszcze Montparnasse.

– Zrobisz to? – zapytał Brujon.

– Głupi jesteś – odpowiedział chłopiec, jak gdyby pytanie wydało mu się niestosowne, i zdjął trzewiki.

Gueulemer podparł Gavroche'a ramieniem, wsadził go na dach szopy, którego spróchniałe deski uginały się pod ciężarem dziecka, i dał mu sznur związany tymczasem przez Brujona.

Chłopiec podszedł do rury, do której nietrudno było się dostać przez dużą szczelinę tuż nad dachem. Kiedy miał rozpocząć wspinaczkę, Thénardier, widząc bliskie ocalenie, wychylił się za krawędź muru; pierwszy brząsk dnia oświetlił nieco jego spocone czoło, sine policzki, długi i ostry nos, siwą, najeżoną brodę i Gavroche poznał go.

– O! – powiedział – to mój ojciec!... Ale to nic nie szkodzi.

I wzięwszy linę w zęby, śmiało począł się wdrapywać. Dostał się na szczyt, siadł okrakiem na starym murze i mocno przywiązał linę do ramy okiennej.

W chwilę potem Thénardier był na ulicy.

Skoro tylko dotknął bruku i poczuł się wolnym od niebezpieczeństwa, zapomniał o zmęczeniu, zimnie i strachu; wszystkie okropności, które przeszedł, znikły jak dym, cała jego niezwykła i krwiożercza inteligencja obudziła się, śmiała i swobodna, gotowa ruszyć przed siebie. Oto, jakie były pierwsze słowa tego człowieka:

– Jest jaka rozróbka?

– Schowajmy się w kąt – rzekł Brujon. – Pogadamy krótko i zaraz się rozejdziemy. Był niezłe wyglądający interes na ulicy Plumet. Pusta ulica, dom w ogrodzie za starymi kratami, same kobiety.

– No więc, czemu nie? – zapytał Thénardier.

– Twoja córka Eponina zbadła sprawę – odpowiedział Babet.

– I przyniosła Magnon sucharek – dodał Gueulemer. – Nie ma tam nic do roboty.

– Niegłupia dziewczyna – mruknął Thénardier. – W każdym razie trzeba zobaczyć.

– Tak, tak – odrzekł Brujon. – Trzeba zobaczyć.

Żaden z nich nie zwracał już uwagi na Gavroche'a, który podczas tej rozmowy siedział na jednym z murowanych słupów parkanu, może czekając, żeby ojciec obejrzał się na niego, potem zaś wziął trzewiki i rzekł:

– Wszystko załatwione? Nie jestem wam potrzebny? W takim razie idę sobie, muszę pobudzić moich smyków.

I odszedł. Pięciu ludzi wyszło kolejno zza parkanu.

Kiedy Gavroche znikł na zakręcie ulicy des Ballets, Babet zwrócił się do Thénardiera:

– Czy widziałeś tego pętaka? – zapytał go.

– Którego?

– Tego, co się wdrapał do ciebie ze sznurem.

– Nie bardzo.

– Coś mi się zdaje, że to twój syn.

– Co ty powiesz? – rzekł Thénardier. – Rzeczywiście?

I poszedł dalej.

Rozdział siódmy

ZACHWYTY I SMUTKI

Pelnia światła

Czytelnik domyślił się, że Eponina, poznawszy przez kratę mieszkankę ulicy Plumet, dokąd ją wysiała Magnon, najprzód oddaliła bandytów od tej ulicy, a potem zaprowadziła tam Mariusza i że Mariusz po kilku dniach ekstazy przed kratą, party tą siłą, która ciągnie żelazo ku magnesowi, a zakochanego ku domowi ukochanej, wszedł do ogrodu Kozety jak Romeo do ogrodu Julii. Przyszło mu to nawet łatwiej; Romeo musiał przeskakiwać przez mur, Mariusz obluzował tylko w starej kracie ogrodzenia jeden z prętów, chwiejnych jak zęby zgrzybiałego człowieka. Był szczupły i przesunął się bez trudu.

A że nikt nigdy tą ulicą nie przechodził, on zaś jedynie nocą wślizgiwał się do ogrodu, nikt go nie zobaczył. Od błogosławionej i świętej godziny, w której pocałunek zaręczył ze sobą te dwie dusze, Mariusz przychodził tam co wieczór.

Nocami, kiedy byli razem, ogród wydawał się miejscem żyjącym i świętym. Wszystkie kwiaty otwierały kielichy i wysyłały ku zakochanym odurzające wonie; oni otwierali swoje dusze, które spływały na kwiaty. Bujny świat roślinny drżał dokoła od przelewającego się w nim życia i upojenia; oni mówili o swojej miłości i słowa ich budziły w drzewach dreszcze.

Co zawierały te słowa? Tyle co oddech. Nic więcej. Te tchnienia wystarczały, aby wywołać wzruszenie na całej przyrodzie. Magiczna potęga, której nie rozumiałby nikt, kto by czytał w książce te rozmowy, stworzone po to, żeby wiatr je uniósł i rozproszył wśród liści jak dym. Odejmiście od szeptów dwojga zakochanych melodię, która wychodzi z duszy i towarzyszy słowom jak akompaniament na lirze, a zostanie wam tylko cień i powiecie: Jak to, więc to nie jest nic więcej? Tak, dziecinna pustota, powtarzanie w kółko tego samego, wybuchy śmiechu z byle powodu, słowa bez związku, głupstwa – to właśnie jest to, co świat ma najwspanialszego i najgłębszego, jedyne rzeczy, które warto mówić i których warto słuchać!

Ten, kto nigdy nie słuchał i sam nigdy nie mówił tych głupstw zasługujących na politowanie, jest człowiekiem głupim i złym.

Kozeta mówiła do Mariusza:

– Czy wiesz?...

(Wśród tego wszystkiego, w tej niebiańskiej niewinności, sami nie wiedząc, jak się to stało, zaczęli się tykać).

– Czy wiesz, że ja mam na imię Eufrazja?

– Eufrazja? Nieprawda, przecież ty jesteś Kozeta.

– Ach, to jest takie brzydkie przezwisko, które dostałam, kiedy byłam mała. Eufrazja to moje

prawdziwe imię! Czy ci się podoba?

– Owszem... Ale i Kozeta brzmi ładnie.

– Bardziej ci się podoba niż Eufrazja?

– Chyba tak.

– No to i mnie też. Rzeczywiście, Kozeta to ładne imię. Mów do mnie Kozeta.

Powiedziała to z uśmiechem, zamieniającym ich dialog w idyllę godną jakiegoś zakątka w niebie.

Ubóstwiali się.

Ale siły trwałe i niezienne nigdy nie przestają istnieć. Dwoje młodych kocha się, uśmiecha do siebie, śmieje, przekomarza, splata dłonie, mówi sobie „ty”, a wieczność pozostaje sobą. Zakochani kryją się w wieczorze, w zmroku, stają się niewidzialni w towarzystwie ptaków i róż, hipnotyzują się poprzez ciemności sercami, które jaśnieją im w oczach, mówią półgłosem, szepczą, a tymczasem w nieskończonej przestrzeni gwiazdy krążą po swoich torach.

Zaczyna się ściemniać

Jan Valjean nie domyślał się niczego.

Kozeta była wesola i to wystarczało do jego szczęścia. Zaprzątnię uczuciem myśli Kozety i obraz Mariusza wypełniający jej duszę nie umniejszały nieporównanej czystości jej pięknego, pogodnego czoła.

W tym wieku dziewczyna nosi swoją miłość jak anioł lilię. Jan Valjean był więc spokojny. A przy tym, gdy dwoje zakochanych doszło do porozumienia, wszystko idzie jak najlepiej; osobę trzecią, która by mogła przeszkadzać ich miłości, trzyma się w doskonałym zaślepieniu, za pomocą niewielu środków ostrożności, zawsze takich samych u wszystkich zakochanych. Kozeta nigdy więc i w niczym nie sprzeciwiała się Janowi Valjean. Chciał iść na przechadzkę? Dobrze, ojczulku. Chciał zostać w domu? Świetnie. Chciał spędzić wieczór razem z nią? Była zachwycona. Zwykle wracał do siebie o dziesiątej i Mariusz wchodził wtedy do ogrodu dopiero po tej godzinie, gdy usłyszał z ulicy, że Kozeta otwiera drzwi na ganek. Nie potrzebujemy chyba mówić, że we dnie Mariusz tam się nie pokazywał. Jan Valjean zapomniał nawet o jego istnieniu. Raz tylko, pewnego ranka, zapytał Kozety: – Co to, masz ubielone plecy? – To poprzedniego wieczora Mariusz w uniesieniu przycisnął ją do ściany.

Stara Toussaint kładła się wcześniej i po skończonej robocie myślała tylko o spaniu, toteż tak samo jak Jan Valjean nie wiedziała o niczym.

Mariusz nigdy nie wchodził do domu. Kiedy był z Kozetą, kryli się we wnęce koło ganku, żeby nikt nie mógł ich zobaczyć i usłyszeć z ulicy; siedzieli tam i często rozmowę zastępowało im ściskanie sobie rąk po dwadzieścia razy na minutę i spoglądanie na gałęzie drzew. Gdyby wtedy padł piorun w odległości trzydziestu kroków, nawet by go nie zauważyli, tak oboje byli sobą pochłonięci.

A jednak zbliżały się rozmaite powikłania.

Pewnego wieczora Mariusz szedł na schadzkę bulwarem Inwalidów; szedł, jak zwykle, ze spuszczoną głową; kiedy miał skręcić w ulicę Plumet, usłyszał tuż przy sobie głos:

– Dobry wieczór, panie Mariuszu!

Podniósł głowę i poznał Eponinę.

Sprawiło to na nim dziwne wrażenie. Ta dziewczyna nie przyszła mu na myśl ani razu od czasu, jak go zaprowadziła na ulicę Plumet; nie widział jej potem i zupełnie o niej zapomniał. Czuł się wobec niej bardzo zobowiązany, jej zawdzięczał swoje obecne szczęście, a jednak to spotkanie nie było mu przyjemne.

Odpowiedział z pewnym zakłopotaniem:

– A, to panna Eponina?

– Dlaczego mnie pan nazywa panną? Czy panu zrobiłam co złego?

– Nie – odparł.

Oczywiście, nie miał do niej żadnej urazy. Przeciwnie. Ale czuł, że teraz, kiedy był na ty z Kozetą, nie mógł postąpić inaczej i musiał mówić Eponinie panna.

Ponieważ milczała, powiedziała:

– No, niech pan powie...

Tu przerwała. Zdawało się, że zabrakło słów tej dziewczynie, niedawno tak beztroskiej i pewnej siebie. Chciała się uśmiechnąć i nie mogła. Powiedziała tylko:

– Więc?...

Potem znów umilkła i spuściła oczy.

– Dobranoc, panie Mariuszu – rzekła nagle i odeszła.

Niespodziewany stróż

Nazajutrz był 3 czerwca – 3 czerwca 1832 roku, data, którą trzeba wymienić z powodu ważnych wypadków zawisłych wówczas nad Paryżem jak chmury zwiastujące burzę. Mariusz szedł o zmroku tą samą drogą co poprzedniego wieczora, z sercem pełnym rozkosznych myśli, kiedy między drzewami bulwaru spostrzegł idącą naprzeciw Eponinę. Dwa dni z rzędu to za wiele. Zawrócił szybko, skręcił z bulwaru i poszedł na ulicę Plumet ulicą Monsieur.

Eponina poszła za nim aż do ulicy Plumet, co się jej dotychczas nie zdarzyło. Zwykle wystarczało jej, że go ujrzała, kiedy przechodził bulwarem, i nie starała się z nim spotkać. Wczoraj dopiero spróbowała z nim pomówić.

Eponina szła więc za Mariuszem, który nie wiedział o tym. Zobaczyła, jak odsunął pręt kraty i wśliznął się do ogrodu.

– Oho! – rzekła. – Wchodzi do domu!

Podeszła do kraty i dotykając po kolei prętów łatwo poznała ten, który odsunął Mariusz.

Szepnęła ponuro:

– Co to, to nie, Lizeto!

Usiadła na podmurowaniu kraty, tuż obok ruchomego prętu, jakby go pilnowała. W tym właśnie miejscu krata dotykała sąsiedniego muru, tworząc ciemny kąt, w którym Eponina znikła zupełnie.

Siedziała dłużej niż godzinę, nieruchoma, milcząca, pogrążona w myślach.

Około dziesiątej jeden z nielicznych na tej ulicy przechodniów, jakiś starszy człowiek, który śpieszył do domu i szybkim krokiem mijał to miejsce samotne i nie najlepszą mające sławę, usłyszał głuchy i groźny głos wydobywający się z kąta między kratą a murem ogrodu:

– Nie dziwiłabym się, gdyby tu przychodził co wieczór!

Przechodzień obejrzał się dokoła, nie zobaczył nikogo, nie odważył się zajrzeć w ciemny kąt i

przestraszony podwoił kroku.

Dobrze zrobił, że się pośpieszył, bo w kilka minut później sześciu ludzi, którzy szli jeden za drugim w pewnych odstępach i trzymając się murów, przez co wyglądali na jakiś pijany patrol, weszło na ulicę Plumet.

Pierwszy, zbliżywszy się do kraty ogrodu, stanął i czekał na towarzyszy; po chwili zebrała się cała szóstka.

Ludzie ci zaczęli rozmawiać po cichu:

– To tu – rzekł jeden.

– Czy oni tu mają w ogrodzie psa? – zapytał drugi.

– Cholera ich wie. Na wszelki wypadek przyniosłem mu gałkę do zeżarcia.

– Masz plaster, żeby wywalić szybę?

– Mam.

– Krata jest stara – dodał piąty, który miał głos brzuchomówcy.

– To klawo – rzekł drugi – nie zaskrzypi pod piłą i nie będzie dużo kramu z robotą.

Szósty, który jeszcze dotąd ust nie otworzył, zabrał się do oglądania kraty, jak to godzinę temu uczyniła Eponina, ujmując kolejno za każdy pręt i potrząsając nim ostrożnie. Doszedł wreszcie do prętu, który Mariusz obluźnił. Gdy już miał za niego ująć, jakaś ręka nagle wynurzyła się z cienia, opadła mu na ramię, coś odepchnęło go silnie i głos ochryply rzekł cicho:

– Jest pies.

W tej samej chwili stanęła przed nim blada dziewczyna. Człowiek doznał wstrząsu, jaki zwykle wywołuje niespodziane wydarzenie. Wyglądał jak najeżony potwór; nie ma nic straszniejszego niż widok popłochu u drapieżników. Ich przerażenie jest przerażające. Cofnął się i wybełkotał:

– Co to za błaźnica?

– Twoja córka.

Rzeczywiście była to Eponina, a człowiekiem, któremu się ukazała, był Thénardier.

Kiedy ją ujrzano, pięciu innych, to jest Claquesous, Gueulemer, Babet, Montparnasse i Brujon, zbliżyło się bez szmeru, bez pośpiechu, nie mówiąc ani słowa, ze złowrogą powolnością właściwą tym mocnym ludziom.

Każdy z nich miał w ręku jakieś ohydne narzędzie. Gueulemer trzymał zakrzywione szczypce, które bandyci nazywają „Franusią”.

– A ty co tu robisz? Czego chcesz? Zwariowałaś? – krzyknął

Thénardier, o ile można krzyczeć szeptem.

– Po co przychodzisz przeszkadzać nam w robocie?

Eponina ze śmiechem rzuciła mu się na szyję:

– Przyszłam, ojczulku, bo mi się zachciało przyjść. Czyż już nie wolno usiąść sobie na kamieniu? Ale wy nie powinniście tutaj przychodzić. Czego tu chcecie, kiedy to jest sucharek? Przecież Magnon dostała ode mnie wiadomość. Nic tu nie ma do roboty. Pocałujże mnie, kochany ojczulku! Tak dawnośmy się nie widzieli! Znaczy się, że wyszedłeś?

Thénardier próbował uwolnić się od uścisków Eponiny i mruczał:

– Dobrze. Pocałowałaś mnie. Tak, wyszedłem. Już nie siedzę. A teraz ruszaj precz.

Eponina nie puszczała go jednak i podwoiła pieśczoć.

– A jak to zrobiłeś, ojczulku? Trzeba mieć nie byle jaki rozum, żeby coś takiego potrafić. Opowiedz mi o tym. A matka? Gdzie jest matka? Opowiedz mi coś o mamusi.

Thénardier odpowiedział:

– Jest zdrowa, nie wiem zresztą, puść mnie. Powiadam ci, ruszaj sobie.

Eponina wzięła za rękę Montparnasse’a.

– Uważaj – rzekł – bo się zatniesz, majcher mam otwarty.

– Mój Montparnasseczku – odparła ze słodyczą – trzeba mieć zaufanie do ludzi. Jestem chyba córką mojego ojca. Panie Babet, panie Gueulemer, to przecież ja miałam zbadać tę sprawę.

Dłonią kościstą i wątlą jak dłoń szkieletu ścisnęła potężne łapsko Gueulemera i mówiła dalej:

– Wiecie dobrze, że nie jestem głupia. Zawsze mi ufacie. Nieraz już wyświadczyłam wam usługi. Otóż wywiedziałam się o wszystkim i powiadam wam, szkoda ryzyka. Przysięgam, że w tym domu nie ma nic do roboty.

– Tu są samotne kobiety – rzekł Gueulemer.

– Nie, kobiety wyprowadziły się.

– Ale świece nie wyprowadziły się! – rzekł Babet.

I pokazał Eponinie w górze, między wierzchołkami drzew, światło, z którym ktoś szedł po strychu dworku. To stara Toussaint rozwieszała bieliznę.

Eponina spróbowała jeszcze raz.

– Ale to biedni ludzie – rzekła. – Nie mają złamanego szeląga.

– Idź do diabła! – krzyknął Thénardier. – Jak przewrócimy cały dom, że piwnica będzie na górze, a strych na dole, to ci powiemy, co tam jest.

I pchnął ją, chcąc przejść.

– Kochany przyjacielu Montparnasse – rzekła Eponina. – Proszę cię, jesteś przecież poczciwy chłopak, nie wchodźcie!

– Strzeż się, mówię ci, bo możesz się zaciąć! – odparł Montparnasse.

Thénardier odezwał się znowu stanowczym głosem:

– Zjeżdżaj, córka, i nie przeszkadzaj ludziom w pracy.

Eponina puściła rękę Montparnasse'a i zapytała:

– Więc chcecie wejść do tego domu?

– Troszeczkę! – rzekł śmiejąc się brzuchomówca. Po tych słowach oparła się plecami o kratę i patrząc na sześciu uzbrojonych bandytów, których twarze nabrały w ciemnościach szatańskich rysów, oświadczyła głosem ścisłym, lecz silnym:

– Ale ja nie chcę.

Zatrzymali się zdumieni. Tylko brzuchomówca śmiał się jeszcze. Ona mówiła dalej:

– Przyjaciele, posłuchajcie uważnie. Tu nie ma żartów. Teraz ja mówię. Jeżeli wejdziecie do ogrodu, jeżeli tylko dotkniecie tej kraty, będę krzyczeć, walić do drzwi, rozbudzę ludzi i sprowadzę żandarmów, żeby was nakryli wszystkich sześciu.

– Ona to zrobi – rzekł cicho Thénardier do Brujona i brzuchomówcy.

Przytaknęła ruchem głowy i dodała:

– Zaczynając od mojego ojca! Thénardier zbliżył się do niej.

– Ręce przy sobie, panie starszy! – zawołała.

Cofnął się, mrużąc pod nosem: – Co jej się stało? – i dodał:

– Ach, ty suko!!

Eponina wybuchnęła jakimś straszliwym śmiechem.

– Jak się wam podoba, ale nie wejdziecie. Nie jestem suką, bo jestem córką wilka. Jest was sześciu – wielka rzecz! Jesteście mężczyznami, ja jestem kobietą, ale nie boję się was, wcale się nie boję. Ruszajcie do diabła, bo już mnie nudzicie. Idźcie, gdzie chcecie, ale tu nie przychodźcie, zabraniam wam tego! Wy z nożami, ja z pantoflem – wszystko mi jedno, zbliżcie się tylko.

Postąpiła krok ku bandytom. Była straszna. Zaczęła się znowu śmiać.

– Dalibóg, niczego się nie boję. I tak latem będę głodna, zimą będę marzła. Głupie te chłopcy, myślą, że nastraszą dziewczynę! Czym? Pęknać można ze śmiechu! Dlatego, że macie kochanki,

szurgoty, co się chowają pod łóżko, kiedy na nie krzykniecie, to się wam zdaje, żeście tacy straszni? Ja się niczego nie boję!

Utkwiła wzrok w Thénardierze i powiedziała:

– Nawet ciebie!

I mówiła dalej, wodząc po bandytach krwawymi źrenicami widma:

– Co mi szkodzi, jeżeli jutro znajdą mnie tu na bruku, zadźganą nożem przez ojca, albo za rok wyłowią mnie w Saint-Cloud razem ze starymi korkami i trupami potopionych psów!

Musiała przerwać, gdyż wstrząsnął nią atak suchego kaszlu; oddech jej wydobywał się chrapliwie z wątlej piersi.

Bandyci, zdumieni i zirytowani, że jedna dziewczyna krzyżuje ich plany, odeszli w cień za latarnią i tu zaczęli się naradzać. Ich gwałtowne gesty zdradzały upokorzenie i wściekłość.

Eponina tymczasem przyglądała im się ze spokojnym i groźnym wyrazem twarzy.

– Coś w tym jest – rzekł Babet. – Ona ma jakiś powód. Może się zakochała w psie? Swoją drogą szkoda okazji. Dwie kobiety i stary, który mieszka od tyłu. W oknach wiszą niezgorsze firanki; Stary to pewnie Żyd. Myślę, że interes jest dobry.

– W takim razie wy wejdźcie – zawołał Montparnasse. – Weźcie się do roboty, a ja zostanę tu z dziewczyną i jeżeli piśnie...

Błysnął ostrzem noża, który trzymał otwarty w rękawie. Thénardier milczał i zdawał się z góry przyjmować decyzję. Brujon, który uchodził prawie za wyrocznię i jak wiadomo, „nastreczył robotę”, jeszcze się nie odezwał. Stał, jakby głęboko zamyślony. Miał opinię człowieka, który nie cofa się przed żadnym niebezpieczeństwem, i wszyscy wiedzieli, że raz dla kawału obrabował posterunek żandarmerii. Oprócz tego układał wiersze i piosenki, co mu dawało wielki autorytet.

Babet zapytał go:

– Cóż, Brujon, nic nie mówisz?

Brujon milczał jeszcze przez chwilę, potem kilka razy na różne sposoby potrząsnął głową i na koniec zdecydował się przemówić:

– Posłuchajcie: dziś rano widziałem dwa bijące się wróble, wieczorem spotykam kłótliwą kobietę. To zły znak. Idźmy stąd.

I poszli.

Odchodząc Montparnasse mruczał:

– Wszystko jedno, ale gdyby co do czego, tobym ją stuknął.

Babet odpowiedział:

– Ja nie. Nie podnoszę ręki na płeć piękną.

Na rogu ulicy zatrzymali się i po cichu wymienili kilka zagadkowych zdań następującej treści:

– Gdzie będziemy spać tej nocy?

– Pod Paryżem.

– Thénardier, masz przy sobie klucz od kraty?

– Pewnie, że mam.

Eponina, która ich nie spuszczała z oczu, zobaczyła, że zawracają w stronę, z której przyszli. Wstała i cichaczem poczołgała się za nimi wzdłuż murów i domów. Odprowadziła ich tak aż do bulwaru. Tu się zatrzymała, widząc tych sześciu mężczyzn znikających w ciemnościach, jakby się w nich roztapiali.

Mariusz tak bardzo wraca do rzeczywistości, że zostawia Kozecie swój adres

Podczas kiedy pies w ludzkiej postaci pilnował kraty ogrodu i bandyci ustępowali wobec uporu jednej dziewczyny, Mariusz rozmawiał z Kozetą.

Nigdy niebo nie było gwiaździstsze i piękniejsze, drzewa bardziej drżące i zapach ziół bardziej przenikliwy; nigdy śpiew ptaków usypiających w listowiu nie był tak czarowny; nigdy wszechświat harmonią swej pogody nie wtórował lepiej wewnętrznej muzyce miłości; nigdy Mariusz nie był bardziej zakochany, szczęśliwy, pełen zachwytu. Ale zastał Kozetę smutną. Widocznie płakała, gdyż miała oczy zaczerwienione.

Pierwszym słowem Mariusza było:

– Co ci jest?

Ona odpowiedziała:

– Zaraz ci powiem.

Potem usiadła na ławce przy ganku i kiedy on siadał przy niej, drżący z niepokoju, mówiła dalej:

– Dziś rano ojciec mi powiedział, żebym się przygotowała do podróży, bo ma załatwić jakieś sprawy i pewno wyjedziemy.

Mariusz zadrżał od stóp do głów.

Nie wyrzekł ani słowa. Kozeta czuła tylko, że ma rękę bardzo zimną. Z kolei ona zapytała:

– Co ci jest?

Odpowiedział tak cicho, że ledwie usłyszała:

– Nie zrozumiałem, co powiedziałaś.

– Dziś rano ojciec mi powiedział – powtórzyła – żebym załatwiła drobne sprawunki i była gotowa, że mi da swoją bieliznę do zapakowania, że musi wyjechać, że wyjedziemy, że potrzebny będzie duży kufer dla mnie, a mały dla niego, że to wszystko trzeba przygotować w ciągu tygodnia, że może pojedziemy do Anglii.

– Ależ to potworne! – zawołał Mariusz.

To pewne, że w tej chwili żadne nadużycie władzy, żaden gwałt, żadne znęcanie się najpotworniejszych tyranów, żaden czyn Buzyrysa, Tyberiusza lub Henryka VIII nie dorównywał w mniemaniu Mariusza temu okrucieństwu: pan Fauchelevent zabiera córkę do Anglii, bo ma interesy.

Zapytał słabym głosem:

– I kiedy wyjedziesz?

– Nie powiedział kiedy.

– A kiedy wrócisz?

– Nie powiedział kiedy.

Mariusz wstał i rzekł chłodno:

– Więc pani jedzie, panno Kozeto?

Kozeta podniosła ku niemu swoje piękne oczy, pełne trwogi i odpowiedziała jak nieprzytomna:

– Dokąd?

– Do Anglii. Jedzie pani?

– Dlaczego mi mówisz pani?

– Pytam, czy pani pojedzie?

– Co mam zrobić? – rzekła załamując ręce.

– Więc jedzie pani?

– Jeżeli ojciec jedzie?

– Więc pani pojedzie?

Kozeta wzięła rękę Mariusza i ścisnęła ją bez odpowiedzi.

– Dobrze – rzekł Mariusz. – Więc ja pojedę gdzie indziej.

Kozeta bardziej wyczuła znaczenie tych słów, niż rozumiała. Zbladła tak, że w ciemności widać było jej bladość. Wyjąkała:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Mariusz spojrzał na nią, podniósł z wolna oczy ku niebu i odpowiedział:

– Nic.

Kiedy spuścił oczy, ujrzał, że Kozeta uśmiecha się do niego. Uśmiech kochanej kobiety świeci jasnością widoczną i w nocy.

– Ach, jacy my jesteśmy głupi! Mariuszu, mam pomysł.

– Jaki?

– Jedź za nami! Powiem ci, dokąd! Przyjedź tam, gdzie ja będę!

Mariusz obudził się już zupełnie. Spadł z obłoków w rzeczywistość i zawołał:

– Jechać za wami! Oszalałaś? Na to trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam! Jechać do Anglii? Ależ ja jestem winien sam nie wiem ile, przeszło dziesięć luidorów Courfeyrakowi, jednemu z moich przyjaciół, którego nie znasz. Mam stary kapelusz, który nie wart trzech franków, mam surdut bez kilku guzików na przedzie, mam podartą koszulę, dziurawe łokcie, dziurawe buty. Od sześciu tygodni nie myślę o tym i nic ci nie powiedziałem. Kozeto, jestem nędzarzem. Widujesz mnie tylko w nocy i dajesz mi swą miłość; gdybyś mnie zobaczyła we dnie, dałabyś mi jałmużnę jak żebrakowi. Jechać do Anglii! Nie mam nawet czym zapłacić za paszport!

Oparł się o drzewo, załamał ręce nad głową i zaczął trzeć czołem o korę, nie czując ani drzewa” które mu obdzierało skórę, ani gorączki, która młotem biła mu w skroniach, nieruchomy, bliski upadku, jak posąg rozpaczy.

Długo stał w tej pozycji. W takich otchłaniach można zapomnieć się na całą wieczność. W końcu odwrócił się. Usłyszał za sobą stłumiony głos, łagodny i smutny.

To Kozeta płakała.

Płakała już przeszło dwie godziny obok pogrążonego w rozmyślaniach Mariusza.

Wziął ją za rękę i powiedział:

– Kozeto, nigdy nikomu nie dawałem słowa honoru, bo to budzi we mnie lęk, czuję wtedy obecność ojca. Otóż daję ci najświętsze słowo honoru, że jeżeli wyjedziesz, to ja umrę.

Ton, jakim wymówił te słowa, miał tyle spokojnego i uroczystego smutku, że Kozeta zadrzała. Uczuła zimno, jakie sprawia bliskość nieuniknionej grozy. Dreszcz przerwał jej łkanie.

– A teraz posłuchaj – rzekł. – Nie czekaj na mnie jutro.

– Dlaczego?

– Dopiero pojutrze.

– O, dlaczego?

– Zobaczysz.

– Nie widzieć cię cały dzień! To niemożliwe!

– Poświęćmy jeden dzień, żeby mieć może całe życie. I Mariusz dodał półgłosem do siebie: – Ten człowiek nie zmienia swych zwyczajów i nikogo jeszcze nie przyjął w dzień.

– O kim mówisz? – zapytała Kozeta.

– Ja? Nic nie mówię.

– Więc czego się spodziewasz?

– Poczekaj dwa dni.

– Chcesz tego?

– Tak jest, Kozeto.

Ujęła jego głowę w obie ręce, wspięła się na palce i szukała nadziei w jego oczach.

Mariusz mówił dalej:

– Jeszcze jedno, musisz znać mój adres, bo kto wie, może coś zająć. Mieszkam u przyjaciela, który się nazywa Courfeyrac, ulica Szklarska 16.

Poszukał w kieszeni, wyjął szczyryk i wyrył nim na tynku ściany: Szklarska 16.

Tymczasem Kozeta znowu zaczęła wpatrywać mu się w oczy.

– Powiedz mi, jaki masz pomysł, Mariuszu? Ty coś wymyśliłeś? Powiedz mi. O, powiedz, żebym mogła spać spokojnie!

– Niemożliwe, żeby Bóg chciał nas rozdzielić, to wymyśliłem. Czekaj na mnie pojutrze.

– A cóż pocznę przez tak długi czas? – zapytała Kozeta. – Ty bo Jesteś wolny, możesz iść, gdzie chcesz. Jacy szczęśliwi są mężczyźni. Ja zostanę sama! O, jak mi będzie smutno! Co chcesz zrobić jutro wieczorem, powiedz?

– Spróbuję jednej rzeczy.

Kiedy Mariusz wyszedł, ulica była pusta. Eponina właśnie odprowadzała bandytów do bulwaru.

Gdy Mariusz zamyślił się oparłszy głowę o drzewo, przyszedł mu do głowy pewien pomysł; pomysł, który niestety sam uważał za niedorzeczny i beznadziejny. Powziął desperackie postanowienie.

Stare serce spotyka się z młodym

Dziadek Gillenormand miał w owym czasie lat dziewięćdziesiąt jeden z okładem. Jak dawniej mieszkał razem z panną Gillenormand przy ulicy Panien Kalwaryjskich 6, w starym domu będącym jego własnością. Był to, jak sobie przypominamy, jeden z tych zabytkowych starców, którzy czekają śmierci wyprostowani i nie dają się ugiąć ani brzemieniu lat, ani zmartwieniom.

Przez cztery lata spokojnie czekał na Mariusza, przekonany, że ten mały hultaj prędzej czy później zadzwoni do jego drzwi, ale zdarzały się ponure godziny, kiedy mówił sobie, że jeżeli Mariusz każe czekać na siebie jeszcze dłużej... Bał się nie śmierci, ale myśli, że może już nigdy nie zobaczy Mariusza. Nie zobaczy już Mariusza – dotąd ani razu nie przeszło mu to przez mózg; teraz myśl ta zaczęła się pojawiać i przerażała go. Nieobecność, jak to zwykle bywa w wypadku głębokich uczuć rodzinnych, powiększała tylko jego miłość do niewdzięcznego wnuka, który poszedł sobie w świat. O słońcu myślimy najwięcej w grudniowe noce, podczas dziesięciostopniowych mrozów. Pan Gillenormand – tak mu się przynajmniej zdawało – nie był zdolny do uczynienia wobec wnuka pierwszego kroku pojednawczego. – Krew by mnie zalała – mawiał. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, ale myślał o Mariuszu z coraz głębszym rozczuleniem i niemą rozpaczą starca, który już odchodzi w ciemność.

Kazał sobie powiesić nad łóżkiem – tak żeby budząc się ze snu mieć go od razu przed oczami – stary portret swojej drugiej córki, zmarłej pani Pontmercy, zrobiony, gdy miała osiemnaście lat. Nieustannie patrzył na ten portret. Pewnego dnia powiedział przypatrując się mu:

– Uważam, że jest do niej podobny.

– Do mojej siostry? – podchwyciła pana Gillenormand. – Tak.

Starzec dodał:

– I do niego też.

Pewnego razu, kiedy siedział ścisnąwszy kolana, z przymkniętymi oczami, w postawie pełnej przygnębienia, córka ośmieliła się odezwać:

– Ojczy, czy zawsze czujesz tę samą urazę?

I zatrzymała się, nie mając odwagi dokończyć.

– Do kogo? – zapytał.

– Do biednego Mariusza.

Podniósł swoją starą głowę i położywszy na stole zaciśniętą dłoń, wychudłą i pomarszczoną, zawołał tak gniewnie, jak mu się zdarzało w przystępach największej irytacji:

– Biedny Mariusz, powiadasz panna! Ten panicz to hultaj, niegodziwiec, fircyk, niewdzięcznik bez serca i bez duszy, zarozumialec, po prostu zły człowiek!

I odwrócił głowę, żeby córka nie ujrzała łzy w jego oku. W trzy dni potem przerwał milczenie, które już trwało od czterech godzin, i odezwał się znienacka do córki:

– Miałem już zaszczyt prosić pannę Gillenormand, żeby nigdy ze mną o tym nie mówiła.

Zresztą, co było łatwe do przewidzenia, pannie Gillenormand nie udało się podstawić na miejsce Mariusza swojego ulubieńca, oficera ułanów. Teodul nie spodobał się. Pan Gillenormand nie przyjął tej zamiany. Pustki w sercu nie wypełnia się byle czym. Ze swej strony Teodul, chociaż umiał ocenić spadek po dziadku, nie znosił zabiegania o względy. Starzec nudził ułana, a ułan drażnił starca. Porucznik Teodul był niewątpliwie wesoły, ale gadatliwy; frywolny, ale bez elegancji; hulaka, ale w złym stylu; miał kochanki, to prawda, i dużo o nich mówił, to też prawda, ale mówił źle. Każda jego zaleta miała jakąś wadę. Pana Gillenormand drażniły jego opowiadania o tanich przygodach miłosnych z okolic koszar przy ulicy Babilońskiej. A przy tym porucznik Gillenormand przychodził czasami w mundurze z trójkolorową kokardką. Przez to jedno już stał się nieznośny.

Pewnego wieczora – było to 4 czerwca, co nie przeszkadzało, że u Pana Gillenormand palił się dobry ogień na kominku – starzec odesłał córkę, która szyla w sąsiedniej izbie. Był sam w swoim pokoju ozdobionym scenami pasterskimi, nogi oparł o krawędź kominka i na pół zasłonięty dużym parawanem o dziewięciu skrzydłach, siedział na miękkich poduszkach fotela, oparty o stół, na którym płonęły dwie świece woskowe pod zielonym abażurem, i trzymał w ręku książkę, ale jej nie czytał.

Kiedy trwał tak pogrążony w głębokiej zadumie, wszedł stary sługa, Baskijczyk, i zapytał:

– Czy pan może przyjąć pana Mariusza?

Starzec wyprostował się nagle, blady i podobny do trupa, którego podnosi wstrząs galwaniczny. Cała krew spłynęła mu do serca. Wyjąkał:

– Jakiego pana Mariusza?

– Nie wiem – odrzekł Baskijczyk, zatrwożony i zbity z tropu wyrazem twarzy swojego chlebobdawcy – nie widziałem go. To Nikoleta powiedziała: „Przyszedeł młody człowiek, powiedz, że to pan Mariusz”.

Pan Gillenormand wyszeptał po cichu:

– Prosić.

Siedział, nie ruszając się z miejsca, z chwiejącą się głową i oczami utkwionymi we drzwi. Otworzyły się. Wszedł młody człowiek. Był to Mariusz.

Mariusz zatrzymał się przy drzwiach, jakby czekając na wezwanie, żeby się zbliżył.

W cieniu abażura nie można było zobaczyć wyraźnie jego nędznej odzieży. Widać było tylko twarz spokojną i poważną, ale dziwnie smutną.

Pan Gillenormand siedział jakby zniedołężniały ze zdumienia i radości, przez długą chwilę widząc przed sobą tylko jasność jak gdyby wizji. Był bliski omdlenia; widział Mariusza poprzez oślepiający blask. Tak, to był on, Mariusz!

Nareszcie! Po czterech latach! Uchwycił go całego jednym rzutem oka. Wydał mu się piękny, szlachetny, wytworny, dorosły – dojrzały mężczyzna o swobodnym i ujmującym zachowaniu, pełen wdzięku. Miał ochotę wyciągnąć ku niemu ramiona, przywołać go i rzucić się w jego objęcia, serce jego topniało z rozkoszy, czułe słowa wzbierały w nim i przepelniały mu piersi. Cała ta czułość ukazała się na koniec, dotarła do warg i przez sprzeczność, która stanowiła rdzeń jego natury, wyraziła się cierpko. Zapytał opryskliwie:

– Po co pan tu przyszedł?

Mariusz odpowiedział z zakłopotaniem:

– Panie...

Pan Gillenormand chciał, żeby Mariusz rzucił się w jego objęcia. Był niezadowolony z niego i z siebie. Uczuł, że sam był opryskliwy, a Mariusz zimny. Nieznośny, bolesny niepokój ogarnął starca. Czuł się przecież tak roztkliwiony, rozrzewniony; dlaczego na zewnątrz umiał być tylko szorstki i twardy?" Powróciła gorycz. Przerwał Mariuszowi tonem zrzędlivym:

– Więc po co pan przychodzi?

To „więc” znaczyło: jeżeli nie po to, żeby mnie uściskać. Mariusz spojrział na dziadka, którego blada twarz wydawała się jak z marmuru.

– Panie...

Starzec przerwał surowo:

– Czy przychodzisz prosić o przebaczenie? Czy zrozumiałeś swoją winę?

Chciał naprowadzić Mariusza na właściwą drogę i myślał, że „dziecko” ugnie się. Mariusz zadrział; żądano od niego, żeby się wyparł ojca; spuścił oczy i odpowiedział:

– Nie, proszę pana.

– A więc – gwałtownie zawołał starzec z boleścią przejmującą i gniewną – czego pan chce ode mnie?

Mariusz złożył ręce, postąpił krok naprzód i rzekł słabym i drżącym głosem:

– Panie, miej litość nade mną.

To słowo poruszyło pana Gillenormand; powiedziane wcześniej, byłoby go rozczuliło, ale przybywało za późno. Starzec podniósł się; wsparł się oburącz na lasce, usta miał blade, głowa mu drżała, ale jego wysoka postać górowała nad pochyłym Mariuszem.

– Litość nad tobą, mój panie! Młodzieniec prosi o litość dziewięćdziesięcioletniego starca! Wchodzisz w życie, ja je opuszczam; chodzisz na widowiska, na bale, do kawiarni, na bilard, jesteś dowcipny, podobasz się kobietom, jesteś ładnym chłopcem; ja w pełni lata spluwam w ogień rozpalony na kominku; jesteś bogaty jedynym prawdziwym bogactwem, ja mam wszystkie nędze starości, niemoc, samotność! Masz trzydzieści dwa zęby, zdrowy żołądek, żywe oko, siłę, apetyt, zdrowie, wesołość, las czarnych włosów; ja straciłem już i siwe, straciłem zęby, tracę nogi, tracę pamięć, wciąż mi się mylą trzy nazwy ulic: ulica Charlot, ulica Chaume i ulica Świętego Klaudiusza – do tego już doszedłem. Ty masz przed sobą całą przyszłość pełną słońca, ja zaczynam już nic nie widzieć, coraz dalej posuwam się w noc; jesteś zakochany, to pewne, mnie nikt w świecie nie kocha, i ty prosisz mnie o litość! Dalibóg! Molier o tym zapomniał! Jeśli w taki sposób żartujecie sobie w sądach, panowie adwokaci, to wam serdecznie wieszczę. Jesteście błazny!

I dziewięćdziesięcioletni starzec dodał gniewnie i poważnie:

– No, czego pan chce ode mnie?

– Panie – rzekł Mariusz – wiem, że moja obecność jest ci niemiła, ale przyszedłem poprosić

cię tylko o pewną rzecz i zaraz odejdę.

– Głupi jesteś! – rzekł starzec. – Kto ci mówi, żebyś sobie poszedł?

Ten gwałtowny sposób popychania wnuka do czułości sprawił tyle tylko, że Mariusz zamilkł. Pan Gillenormand skrzyżował ramiona na piersi, co było u niego gestem szczególnie majestatycznym, i rzekł z goryczą:

– Skończmy już. Przychodzi pan prosić mnie o coś. O cóż więc? O co? Proszę mówić.

– Panie – rzekł Mariusz, patrząc jak człowiek, pod którym otwiera się przepaść – przychodzę prosić o pozwolenie wejścia w związki małżeńskie.

Pan Gillenormand zadzwonił. Baskijczyk uchylił drzwi.

– Poproś moją córkę.

Po chwili drzwi się znowu otwały, panna Gillenormand nie weszła, lecz tylko ukazała się w nich; Mariusz stał milezący, z opuszczonymi rękami i miną winowajcy; pan Gillenormand przechadzał się wszcz i wzdłuż po pokoju. Odwrócił się do córki i rzekł:

– Nic takiego. To pan Mariusz. Powiedz mu dobry wieczór. Pan Mariusz chce się zenić. Oto wszystko. Możesz odejść.

Ochryply i przerywany głos starca był oznaką najwyższego uniesienia. Ciotka spojrzała na Mariusza z przerażeniem. Wydawało się, że go prawie nie poznaje, nie powiedziała ani słowa, nie uczyniła żadnego ruchu i znikła na skinienie ojca prędzej niż żdźbło słomy pędzone huraganem.

Pan Gillenormand oparł siei plecami o kominiek.

– A więc masz stanowisko? Zrobiłeś majątek? Ile zarabiasz na adwokaturze?

– Nic – odpowiedział Mariusz stanowczo i z rezygnacją niemal zaczepną.

– Nic. Więc utrzymujesz się tylko z tysiąca dwustu liwrów, które ci dają?

Mariusz nie odpowiedział. Pan Gillenormand mówił dalej:

– Rozumiem teraz, panna jest bogata?

– Jak ja.

– Co? Bez posagu?

– Bez.

– A w sperandzie?

– Prawdopodobnie nic.

– Goluteńka! A kim jest jej ojciec?

– Nie wiem.

– Jak się nazywa?

– Panna Fauchelevant.

– Fauche... jak?

– Fauchelevant.

– Phi! – odezwał się starzec.

– Panie! – krzyknął Mariusz.

Pan Gillenormand przerwał mu tonem człowieka, który mówi do siebie:

– Otóż to, dwadzieścia jeden lat, bez stanowiska w świecie, tysiąc dwieście liwrów na rok; pani baronowa Pontmercy będzie kupować u straganiarki włoszczyzny za dwa su.

– Panie – odparł Mariusz, jakby obłąkany świadomością, że ostatnia nadzieja rozwiała się – zaklinam cię ze złożonymi rękami, na miłość boską, błagam cię na klęczkach, pozwól mi się z nią ożenić!

Starzec roześmiał się sucho i ponuro, odkaszlnął i rzekł:

– Aha! Powiedziałaś sobie: Niech to piorun, pójdę do tego starego piernika, do tego głupiego safanduty! Jaka szkoda, że nie mam dwudziestu pięciu lat! Wtedy bym mu kropnął orację! Wtedy

dopiero gwizdałbym na jego pozwolenie! Ale i tak powiem mu: Stary kretynie, za wiele robię ci szczęścia moją obecnością, mam ochotę ożenić się, zaślubić mniejsza o to kogo, córkę licha wie kogo, nie mam butów, ona nie ma koszuli, wszystko jest w porządku, mam ochotę wyrzucić za okno moją przyszłość, młodość, życie, mam ochotę dać nurka w nędzę z żoną na karku, tak mi się podoba, musisz się zgodzić – i stara mumia się zgodzi. Dalej więc, chłopcze, rób, jak ci się podoba, przywiąż sobie kamień do szyi, ożeń się z tą swoją Pousselevent, Coupelevent... Nigdy, mój panie, nigdy!

– Dziadku!

– Nigdy!

To „nigdy” wymówił starzec takim tonem, że Mariusz utracił wszelką nadzieję. Przeszedł przez pokój powoli, chwiejąc się, ze spuszczoną głową, jakby umierał raczej, niż odchodził.

Pan Gillenormand wiódł za nim oczami i kiedy drzwi otworzyły się, kiedy Mariusz miał wyjść, w kilku susach przebiegł pokój z energią porywczych i rozpieszczonych starców, chwycił Mariusza za kołnierz, gwałtownie wciągnął go do pokoju, rzucił na fotel i rzekł:

– Opowiedz mi wszystko!

Jedno słówko „dziadku”, które się wyrwało Mariuszowi, wywołało tę rewolucję.

Mariusz patrzył na niego nieprzytomnie. Ruchliwa twarz pana Gillenormand wyrażała już tylko szorstką i niewystawioną dobroć. Odezwało się serce dziadka.

– No, słucham, opowiedz swe miłości, rozgadaj się, mów wszystko, do diaska! Jacy głupi są ci młodzi ludzie!

– Dziadku – odezwał się Mariusz.

Twarc starca zajaśniała niewymowną radością.

– A tak, nazywaj mnie dziadkiem, a zobaczysz!

Było coś tak dobrego, czułego, prostego i ojcowskiego w tej porywczoci starca, że Mariusz, w nagłym przejściu od rozpacz do nadziei, został tym jakby ogłuszony i odurzony. Siedział przy stole, w świetle świec widać było jego zniszczone ubranie, które pan Gillenormand oglądał ze zdumieniem.

– Otóż, mój dziadku... – rzekł Mariusz.

– Ach tak – przerwał pan Gillenormand – ty, widzę, naprawdę nie masz ani grosza. Ubrany jesteś jak złodziej.

Poszukał w szufladzie, wyjął sakiewkę i położył na stole:

– Masz sto luidorów, kup sobie kapelusz.

– Mój dziadku – mówił dalej Mariusz – mój dziaduniu, gdybyś wiedział! Kocham ją! Nie wyobrażasz sobie, pierwszy raz zobaczyłem ją w Ogrodzie Luksemburskim, bo ona tam przychodziła. Z początku nie zwracałem na nią uwagi, później, nie wiem, jak się to stało, zakochałem się. O, jaki byłem nieszczęśliwy! Teraz wreszcie widuję ją co dzień, u niej, ojciec nie wie o niczym, wyobraź sobie, dziadku, mają wyjechać, spotykamy się w ogrodzie, jej ojciec zabiera ją do Anglii, więc pomyślałem: Pójdę do dziadka i opowiem mu wszystko. – Oszalałbym, umarłbym, zachorował, rzuciłbym się do Sekwany. Muszę się z nią koniecznie ożenić, bo inaczej zwariuję. Oto cała prawda. Mieszka w ogrodzie zamkniętym kratą, na ulicy Plumet. To jest w stronie Inwalidów.

Pan Gillenormand rozpromieniony szczęściem usiadł obok Mariusza. Słuchając go, rozkoszując się dźwiękiem jego głosu, zażył powoli spory niuch tabaki. Usłyszawszy słowa „na ulicy Plumet” przerwał i resztę tabaki rozsypał na kolana.

– Ulica Plumet! Powiadasz, ulica Plumet? Poczekaj no! Czy w tamtej stronie nie ma koszar? Ależ tak, to to samo. Twój kuzyn Teodul mówił mi o niej, ten ułan, oficer. Kokietka, poczciwy chłopcze, kokietka! Dalibóg, prawda, ulica Plumet. Dawniej nazywała się Blomet. Teraz

przypominam sobie. Słyszałem o tej małej zza kraty na ulicy Plumet. W ogrodzie. Masz dobry gust. Podobno niezgorsza. Mówiąc między nami, ten głupi wojak trochę się do niej umizgał. Nie wiem, jak daleko tam zaszło. Ale ostatecznie to nieważne, a przy tym nie trzeba mu wierzyć. On lubi się chwalić. Mariuszu, moim zdaniem, dobrze robisz, że się kochasz. To właśnie przystoi twemu wiekowi. Wolę, żebyś się kochał w spódniczce do pioruna! choćby w dwudziestu spódniczkach, niż w panu Robespierre. Tak, trzeba być rozsądnym chłopcem. Przychodzisz do dziadka, który w gruncie rzeczy jest poczciwym człowiekiem i zawsze ma kilka rulonów dukatów w starej szufladzie; powiadasz mu: dziaduniu, oto jaka historia. A dziadek mówi: najprostsza w świecie. Młodość ma swoje prawa, starość ma swoje obowiązki. I ja byłem młody, i ty będziesz stary. No, mój chłopcze, oddasz to swojemu wnukowi. Masz dwieście pistoli. Baw się, u diabła! Doskonale! Sprawa tak się powinna ułożyć. Nie trzeba się żenić, ale to nic nie przeszkadza. Rozumiesz mnie?

Mariusz, skamieniały i nie mogąc wymówić ani słowa, potrząsnął głową na znak, że nie rozumie.

Starzec parsknął śmiechem, zmrużył pomarszczoną powiekę, uderzył go dłonią po kolanie, spojrzął mu w oczy tajemniczo i radośnie, po czym rzekł tkliwie, wzruszając ramionami:

– Głuptasie, zrób z niej swoją kochankę.

Mariusz zbladł. Nic nie rozumiał ze wszystkiego, co powiedział dziadek. Gadanina o ulicy Blomet, o koszarach, o ułanie przesunęła się przed nim jak senne majaczenie. Nic z tego nie mogło się odnosić do Kozety, która była lilią. Poczciwy stary bredził. Ale to bredzenie zakończyło się słówkiem, które Mariusz zrozumiał, słówkiem, które śmiertelnie znieważało Kozetę. Wyrażenie: „Zrób z niej swoją kochankę” jak miecz przeszło serce surowego młodzieńca.

Powstał, podniósł kapelusz i poszedł ku drzwiom silnym i pewnym krokiem. Tu obrócił się, uklonił się nisko dziadkowi, podniósł głowę i rzekł:

– Przed pięciu laty znieważył pan mego ojca, dziś znieważa pan moją żonę. O nic już pana nie proszę. Żegnaj.

Pan Gillenormand, zdumiony, otworzył usta, wyciągnął ręce, chciał się podnieść i nim zdołał wyrzec słowo, już drzwi się zamknęły i Mariusz znikł.

Starzec siedział chwilę nieruchomy, jak rażony piorunem, nie mogąc przemówić ani odetchnąć; zdawało się, że jakaś żelazna garść ścisnęła mu gardło. Na koniec zerwał się z fotela, podbiegł do drzwi o ile można bieć po dziewięćdziesiątce, otworzył i zawołał:

– Na pomoc! Na pomoc!

Ukazała się córka, potem służący. Starzec jęczał żałośnie:

– Biegnijcie za nim! Zatrzymajcie go! Co ja mu złego zrobiłem? Oszalał! Poszedł! O mój Boże! Teraz już nie wróci!

Poszedł do okna od ulicy, otworzył je starczymi, drżącymi rękami, wychylił się więcej niż przez pół i podczas gdy Baskijczyk i Nikoleta trzymali go z tyłu, wołał:

– Mariusz! Mariusz! Mariusz! Mariusz!

Ale Mariusz nie mógł już słyszeć, gdyż w tej właśnie chwili skręcił za róg ulicy św. Ludwika.

Starzec gestem rozpaczy dwa lub trzy razy podniósł ręce do skroni, cofnął się chwiejnym krokiem i padł na fotel bez sił, bez głosu, bez jednej łzy, potrząsając głową i poruszając nieprzytomnie ustami, a przed oczami i w sercu rosło coś posepnego i bez granic, co było podobne do nocy.

Rozdział ósmy

DOKĄD IDĄ

Jan Valjean

Tego samego dnia, około czwartej po południu, Jan Valjean siedział sam na jednym z najsamotniejszych wałów Pola Marsowego. Czy to przez ostrożność, czy też dlatego, że chciał zebrać myśli, a może po prostu skutkiem nieznacznej zmiany przyzwyczajzeń, jaka dokonuje się powoli w każdym ludzkim istnieniu, Jan Valjean rzadko teraz wychodził razem z Kozetą. Miał na sobie kurtkę robotniczą, spodnie z szarego płótna i czapkę, której szeroki daszek zakrywał mu twarz. Był teraz zupełnie spokojny o Kozetę; znikło wszystko, co go przez pewien czas trwożyło i martwiło; ale przed dwoma tygodniami zjawiała się inna troska. Pewnego dnia, przechadzając się po bulwarze, spostrzegł Thénardiera; dzięki przebraniu Thénardier nie poznał go; lecz od tamtego czasu Jan Valjean widział go kilkakrotnie i nabrał pewności, że Thénardier włączył się w tej dzielnicy miasta. Było to dla niego dość, żeby powziąć zasadniczą decyzję. Bliskość Thénardiera oznaczała wiele niebezpieczeństw naraz.

Prócz tego Paryż nie był spokojny; zaburzenia polityczne stworzyły tę niedogodność dla ludzi mających coś do ukrycia w swym życiu, że policja stała się bardzo niespokojna i podejrzliwa; tropiąc ludzi takich jak Pepin lub Morey, łatwo mogła trafić na człowieka w rodzaju Jana Valjean.

Zważywszy to wszystko, Jan Valjean postanowił opuścić Paryż, a nawet Francję, i przenieść się do Anglii. Uprzedził o tym Kozetę. Chciał wyjechać w ciągu tygodnia. Siedział teraz na Polu Marsowym, na zboczach wału, i rozmyślał o Thénardierze, o policji, o podróży i o trudnościach, jakie będzie miał ze zdobyciem paszportu.

Wszystkie te sprawy niepokoiły go wielce.

Wreszcie jeden fakt nie wytłumaczony a najnowszy do reszty rozbudził jego podejrzliwość. Tego właśnie ranka, wstawszy wcześniej, spacerował po ogrodzie, zanim otworzyły się okiennice u Kozety, gdy nagle spostrzegł na ścianie litery, wyryte prawdopodobnie gwoździem: Szklarska 16.

Napis był świeży, rysy białe na poczeriałym ze starości tynku, zeszkrobane wapno pokrywało jeszcze, jak delikatny puder, liście pokrzyw rosnących pod ścianą. Widocznie napis powstał w ciągu nocy. Co to mogło być? Adres? Sygnał dla innych? Przestroga dla niego? W każdym razie na pewno ktoś wchodził do ogrodu, jacyś nieznajomi tu bywali. Nie wspominał Kozecie o napisie na ścianie, gdyż nie chciał jej przestraszyć.

Zajęty tymi rozmyślaniami, spostrzegł po cieniu rzuconym przez słońce, że ktoś zatrzymał się

za nim na szczycie wału. Już miał się odwrócić, gdy na kolana upadł mu papier złożony we czworo, jakby jakaś ręka rzuciła go ponad jego głowę. Wziął kartkę, rozwinął i przeczytał te słowa, napisane ołówkiem dużymi literami:

WYPROWADŹCIE SIĘ

Jan Valjean podniósł się szybko, ale już nikogo nie było na wale; rozejrzał się dokoła i spostrzegł jakąś istotę wyższą niż dziecko, niższą niż mężczyzna, ubraną w szarą bluzę i popielate spodnie welwetowe; stworzenie to przeskoczyło wał i znikło w rowie Pola Marsowego.

Jan Valjean wrócił natychmiast do domu, zatopiony w myślach.

Mariusz

Mariusz wyszedł od pana Gillenormand zdruzgotany. Wchodził do tego domu z niewielką nadzieją, opuszczał go z niezmierną rozpaczą.

Ci, co znają się na sercu ludzkim, łatwo zrozumieją, że oficer ułanów, głupawy kuzyn Teodul, nie zostawił śladu w jego umyśle – Nawet najmniejszego. Zdawałoby się, że poeta dramatyczny mógłby wydobyć pewne powikłanie z rewelacji, jaką dziadek niespodzianie uraczył wnuka. Ale ile by zyskał na tym dramat, tyle straciłaby prawda. Mariusz był w tym wieku, w którym nie wierzy się w rzeczy złe; później nadchodzi wiek, w którym wierzy się we wszystko. Podejrzenia nie są niczym innym jak zmarszczkami. Wczesna młodość ich nie ma. Podejrzewać Kozetę! Mariusz prędzej by popełnił każdą inną zbrodnię.

Zaczął chodzić po ulicach – zwykła to ucieczka ludzi cierpiących. O czym myślał, nigdy nie mógł sobie przypomnieć. O drugiej nad ranem wrócił do Courfeyraca i w ubraniu rzucił się na swój materac. Słońce wzeszło już, kiedy usnął okropnym, ciężkim snem, w którym nieustannie snują się po głowie myśli. Gdy się obudził, zobaczył stojących w pokoju Courfeyraca, Enjolrasa, Feuilly'ego i Combeferre'a, w kapeluszach na głowie, gotowych do wyjścia i bardzo czymś przejętych.

Courieyrac zapytał go:

– Czy pójdziesz na pogrzeb generała Lamarque?

Wydało mu się, że Courfeyrac mówi po chińsku.

Wyszedł wkrótce po nich. Włożył do kieszeni pistolety, które Javert powierzył mu podczas przygody w dniu 3 lutego i które pozostały w jego rękach. Pistolety były jeszcze nabite. Trudno byłoby powiedzieć, jakie ciemne myśli nawiedzały go, kiedy je ze sobą zabierał.

Wieczorem, punkt o dziewiątej, jak obiecał Kozecie, zjawił się na ulicy Plumet. Gdy zbliżył się do kraty, zapomniał o wszystkim. Od czterdziestu ośmiu godzin nie widział Kozety, teraz ją ujrzy, wszelka inna myśl znikła, czuł tylko niewymowną i głęboką radość. Minuty, w których przeżywamy wieki, są tak wszechwładne i cudowne, że kiedy nadchodzą, całkowicie wypełniają serce.

Mariusz odsunął pręt w kracie i wbiegł do ogrodu. Nie było Kozety w miejscu, gdzie zwykle go oczekiwała. Przedarł się przez gęstwinę i podszedł do wnęki koło ganku. Tam na mnie czeka – myślał. I tam nie było Kozety. Podniósł oczy i zobaczył, że okiennice są pozamykane. Obszedł ogród; ogród był pusty. Wówczas wrócił do dworku i oszalały z miłości, pijany, przerażony,

przywiedziony do rozpaczony bólem i niepokojem, jak człowiek wracający do swojego domu o niezwyklej godzinie, zastukał w okiennice. Zastukał raz i drugi, ryzykując, że okno się otworzy i wyjrzy z niego posepna twarz ojca, który zapytał: Czego pan chce? – Nic to nie znaczyło w porównaniu z nurtującym go przecuciem. Dobijał się długo, a potem zwołał: – Kozeto! Kozeto! – powtórzył gwałtownie. Nikt nie odpowiedział.

Wszystko skończone. Nikogo nie było w ogrodzie i nikogo nie było w domu.

Nagle usłyszał głos, który zdawał się pochodzić z ulicy i wołał poprzez drzewa:

– Panie Mariuszu!

Wyprostował się.

– Co? – zapytał.

– Panie Mariuszu, czy pan tam jest?

– Jestem.

– Panie Mariuszu – mówił dalej głos – pańscy przyjaciele czekają na pana przy barykadzie na ulicy Konopnej.

Głos ten nie był mu nieznajomy. Przypomnił zachrypły i ostry głos Eponiny. Mariusz pobiegł do kraty, pchnął ruchomy pręt, wysunął głowę i ujrzał, że ktoś, kto wyglądał na chłopca, szybko biegnąc ginął w mroku.

Pan Mabeuf

Sakiewka Jana Valjean nie przydała się panu Mabeuf. Pan Mabeuf w swej dziecinnie nieskazitelną uczciwość nie przyjął daru nieba; nie wierzył, że gwiazda może spaść w postaci złotych monet. Nie odgadł, że to, co spadło z nieba, pochodziło od Gavroche'a. Zaniósł sakiewkę do komisariatu swojej dzielnicy, aby jako przedmiot w jego przekonaniu zgubiony, nie przepadła właścicielowi. Teraz dopiero sakiewka przepadła na dobre. Nikt się po nią oczywiście nie zgłosił, a pana Mabeuf nie wspomogła.

Pan Mabeuf zaś coraz bardziej podupadał.

Pewnego dnia matka Plutarch powiedziała mu:

– Nie mam za co kupić obiadu.

Obiadem nazywała kawałek chleba i kilka kartofli.

– A na kredyt? – zapytał pan Mabeuf.

– Wie pan przecież, że nie chcą kredytować.

Pan Mabeuf otworzył bibliotekę, długo oglądał swoje książki jedną po drugiej, jak ojciec zmuszony do zdziesiątkowania potomstwa i zastanawiający się nad wyborem ofiary, gwałtownie chwycił jedną, włożył pod pachę i wyszedł. Po dwóch godzinach wrócił, nie mając już nic pod pachą, położył trzydzieści su na stole i rzekł:

– To na obiad.

Matka Plutarch spostrzegła, że od tej chwili pogodna twarz starca zaczęła się okrywać posepną zasłoną, która pozostała już na zawsze.

Nazajutrz, na trzeci dzień, codziennie trzeba było robić to samo. Pan Mabeuf wychodził z książką i wracał z pieniędzmi. Ponieważ antykwariusze wiedzieli, że sprzedaje przyciśniętą koniecznością, dawali dwadzieścia su za książkę, za którą zapłacił niegdyś dwadzieścia franków. Nieraz u tego samego księgarza. Czasami mówił: – przecież mam już osiemdziesiąt lat – jakby

się spodziewał, że prędzej doczeka się końca swoich dni niż końca swojej biblioteki. Był coraz smutniejszy. Raz tylko rozpogodził się. Wyszedł z Robertem Estienne, którego sprzedał za trzydzieści pięć su na ulicy Malaquais, a wrócił z Aldem, którego nabył za czterdzieści su na ulicy des Grés. – Jestem winien pięć su – oświadczył rozradowany matce Plutarch. Tego dnia nie jadł obiadu.

Miał zwyczaj czytać co wieczór przed pójściem do łóżka kilka stron Diogenesa z Laerty. Znał na tyle grekę, że mógł smakować we wszystkich pięknościach tekstu. Nie miał już żadnej innej pociechy. Tak upłynęło kilka tygodni. Nagle matka Plutarch zachorowała. Smutną jest rzeczą nie mieć za co kupić chleba u piekarza, smutniejszą nie mieć pieniędzy na kupno lekarstwa w aptece. Pewnego wieczora lekarz zapisał bardzo drogą miksturę. Przy tym stan chorej pogarszał się, trzeba było nająć kobietę do pielęgnowania; pan Mabeuf otworzył bibliotekę; była pusta. Ostatnia książka powędrowała już do antykwariusza. Pozostał tylko Diogenes z Laerty.

Wziął pod pachę tę jedyną swoją książkę i wyszedł; było to 4 czerwca 1832 roku; udał się pod bramę św. Jakuba do następcy Royola i powrócił ze stu frankami. Położył garść pięciofrankówek na nocnym stoliku starej służącej i bez słowa zamknął się w swoim pokoju.

Nazajutrz o świcie usiadł w ogrodzie na obalonym słupie i przez płot można było widzieć, jak cały ranek siedział nieruchomy, z pochylonym czołem, błędząc oczami po zwiędłych zagonach. Chwilami mżył deszcz, ale starzec zdawał się tego nie spostrzegać.

Po południu dały się słyszeć w Paryżu niezwykle hałasy. Przypominało to strzały karabinowe i krzyki tłumu.

Ojciec Mabeuf podniósł głowę, spostrzegł przechodzącego ogrodnika i zapytał:

– Co to się dzieje?

Ogrodnik, niosący rydel na ramieniu, odpowiedział najspokojniej:

– To rozruchy.

– Co to znaczy rozruchy?

– No tak. Biją się.

– Dlaczego się biją?

– Bo ja wiem? – odpowiedział ogrodnik.

– A gdzie? – zapytał pan Mabeuf.

– W stronie Arsenалу.

Ojciec Mabeuf wrócił do pokoju, wziął kapelusz, machinalnie poszukał jakiejś książki, żeby ją włożyć pod pachę, nic nie znalazł, powiedział: – Aha, prawda! – i wyszedł krokiem człowieka nieprzytomnego.

Rozdział dziewiąty

5 CZERWCA 1832 ROKU

Wiosną roku 1832, mimo że cholera od trzech miesięcy mroziła umysły i swoją grozą uspokajała ich wzburzenie, Paryż był gotów do wybuchu. Wielkie miasto bywa podobne do nabitej armaty; jednej iskry wystarcza wtedy, żeby ta armata strzeliła. W czerwcu 1832 roku iskrą stała się śmierć generała Lamarque.

Lamarque był człowiekiem sławy i czynu. Miał kolejno, za Cesarstwa i za Restauracji, oba rodzaje odwagi konieczne w tych dwóch epokach, odwagę na polu walki i odwagę na trybunie. Za Restauracji był wymowny, tak jak poprzednio był waleczny; w jego słowach czuło się szablę. Zasiadał między lewicą a skrajną lewicą, kochany przez tłum za to, że wiernie służył cesarzowi. Traktaty 1815 roku oburzały go jak osobista zniewaga. Nienawidził Wellingtona żywiolową nienawiścią, która podobała się tłumowi, i od lat siedemnastu, zaledwie zwracając uwagę na współczesne wydarzenia, majestatycznie nosił żałobę po Waterloo. W agonii przyciskał do piersi szpadę, którą mu ofiarowali oficerowie Stu Dni. Napoleon umarł, wymawiając słowo „armia”, Lamarque wymawiając słowo „ojczyzna”. O jego śmierci, którą przewidywano, lud myślał z lękiem jako o wielkiej stracie. Rząd oczekiwał jej też z lękiem jako okazji do rozruchów. Ta śmierć była żałobą. Jak wszystko co gorzkie, żałoba może się zmienić w rewoltę. Tak też się stało.

Czwartego czerwca i nazajutrz rano, w dzień wyznaczony na pogrzeb Lamarque'a, przedmieście św. Antoniego, przez które miał przechodzić kondukt, przybrało groźny wygląd. Ta gwarna sieć ulic zappełniła się hałasem. Wszyscy zbroili się, jak mogli. Na ulicy Traversiere, przed zakładem Rolanda, i na placu Spalonego Domu, przed warsztatem ślusarskim Berniera, stały grupki szepczących ludzi. Jako najbardziej ruchliwy, zwracał tam na siebie uwagę niejaki Mavot, który w żadnym warsztacie nie był dłużej niż tydzień odprawiany przez pracodawców, „ponieważ bez przerwy trzeba było się z nim kłócić”. Poległ on następnego dnia na barykadzie przy ulicy Ménilmontant. Pretot, który też miał zginąć w walce, pomagał Mavotowi i gdy go pytano: „Do czego dążysz?” – odpowiadał: „Do powstania”. Robotnicy zgromadzeni na rogu ulicy Bercy oczekiwali człowieka nazwiskiem Lemarin, organizatora spisku na przedmieściu Saint-Marceau. Umówione hasła krążyły z ust do ust niemal jawnie.

Piątego czerwca więc, w dzień na przemian deszczowy i słoneczny, kondukt pogrzebowy generała Lamarque szedł ulicami Paryża z oficjalną asystą wojskową, przez ostrożność nieco wzmocnioną. Dwa bataliony z bębniami owiniętymi w krepę i karabinami odwróconymi lufą do ziemi, dziesięć tysięcy gwardzistów z szablami przy boku oraz artyleria gwardii narodowej eskortowały karawan, który ciągnęła młodzież. Tuż za nimi kroczyli oficerowie ze Schroniska Inwalidów, niosąc gałązki wawrzynu, a dalej ogromny, podniecony, dziwny tłum, członkowie

Towarzystwa Przyjaciół Ludu, studenci prawa, studenci medycyny, uchodźcy najrozmaitszych narodowości, sztandary hiszpańskie, włoskie, niemieckie, polskie, trójbarwne w poziome pasy – wszystkie flagi świata, dzieci wywijające zielonymi gałązkami, kamieniarze i cieśle, którzy właśnie strajkowali, drukarze wyróżniający się czapkami z papieru; maszerowali dwójkami albo trójkami, wznosząc okrzyki, prawie wszyscy uzbrojeni w kije, niektórzy w szable, bez żadnego porządku, a jednak ożywieni jedną duszą; chwilami bezładna ciżba, to znowu regularna kolumna. Poszczególne grupki wybierały sobie dowódców; jakiś mężczyzna z parą pistoletów, których zupełnie nie ukrywał, zdawał się dokonywać przeglądu szeregów, które się przed nim rozstępowały. Na ulicach przyległych do bulwaru, w gałęziach drzew, na balkonach, w oknach, na dachach domów, roiło się od głów mężczyzn, kobiet i dzieci; ich oczy wyrażały niepokój; jeden tłum, uzbrojony, maszerował, a drugi, wylękły, przyglądał się.

Rząd ze swej strony także obserwował. Obserwował z dłonią na rękojeści szabli. Na placu Ludwika XV można było widzieć stojące w pogotowiu, z pełnymi ładownicami i nabitą bronią, cztery szwadrony karabinierów i trębaczy w pierwszym szeregu; w dzielnicy łacińskiej i w Ogrodzie Botanicznym rozsypała się gwardia miejska, w Hali Win stał szwadron dragonów, na placu Gréve pół dwunastego pułku szwoleżerów, druga jego połowa wypełniała dziedziniec Luwru. Reszta wojska, nie mówiąc o oddziałach z okolic Paryża, czekała w koszarach. Zaniepokojony rząd zawiesił nad niebezpiecznym tłumem dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy w mieście i trzydzieści tysięcy na peryferiach.

Orszak szedł z gorączkową powolnością od mieszkania zmarłego przez bulwary do placu Bastylli. Co pewien czas padało, ale deszcz nie robił żadnego wrażenia na tym tłumie. Nie brakło incydentów: oprowadzano trumnę dookoła kolumny Vendôme, posypały się kamienie, gdy książę Fitz-James ukazał się na balkonie z nakrytą głową, kogut galijski został zerwany z ludowego sztandaru i rzucony w błoto, przy bramie św. Marcina raniono policjanta, któryś oficer z dwunastego pułku szwoleżerów powiedział na cały głos: „Ja jestem republikaninem”, gdy studenci politechniki przybyli, wbrew zakazowi swoich przełożonych, z orszaku rozległy się głosy: „Niech żyje politechnika, niech żyją republikanie!” Na placu Bastylli przyłączyły się do konduktu długie szeregi mieszkańców przedmieścia św. Antoniego i jakieś niesamowite wrzenie zaczęło ogarniać tłum.

Minąwszy plac Bastylli, karawan pojechał wzdłuż kanału, przebył mały most i dotarł do esplanady koło mostu Austerlickiego. Tam zatrzymał się. Gdyby wówczas spojrzeć na to mrowie ludzkie z lotu ptaka, wyglądałoby ono jak kometa, której głowa leżała na esplanadzie, a ogon, rozpostarty na nadbrzeżu Bourdon i przykrywający plac Bastylli, sięgał aż do bramy św. Marcina.

Utworzył się krąg dookoła karawanu. W tłumie zapanowała cisza. Przemówił Lafayette, żegnając Lamarque’a. Był to moment wzruszający i wspaniały; wszyscy odkryli głowy i wszystkie serca mocniej zabiły. Nagle w środku grupy otaczającej karawan zjawiał się mężczyzna na koniu, cały w czerni i z czerwonym sztandarem w ręku – niektórzy mówili, że z czerwoną czapką zatknietą na pikę. Lafayette odwrócił głowę.

Ten czerwony sztandar wywołał burzę i zniknął w niej. Od bulwaru Bourdon do mostu Austerlickiego tłumem wstrząsnął jeden z łych okrzyków, które przypominają falę na morzu: – Lamarque do Panteonu! Lafayette na ratusz! – Młodzież przy entuzjastycznej aprobacie tłumu zaczęła ciągnąć karawan Lamarque’a w stronę mostu Austerlickiego, a dorożkę Lafayette’a przez nadbrzeże Morland.

Tymczasem z lewego brzegu ruszyli konni gwardziści, aby zagrozić most, a na prawym brzegu wyłonili się dragoni, zajmując nadbrzeże Morland. Ludzie ciągnący Lafayette’a zauważyli ich niespodzianie na zakręcie i zawołali: – Dragoni! dragoni! – Oni zaś, trzymając

jeszcze pistolety w olstrach, szable w pochwach i karabinki na ramieniu, jechali stępa, złowrogo wyczekujący.

Na dwieście kroków przed małym mostem przystanęli. Dorożka Lafayette'a podjechała ku nim, dragoni rozstąpili się, przepuścili ją i znowu zwarli szeregi. W tej chwili tłum był już o krok od nich. Przerażone kobiety uciekały.

Co się stało w tej minucie fatalnej? Nikt nie potrafiłby tego stwierdzić na pewno. Jedni opowiadają, że od Arsenалу rozległ się głos trąbki dający sygnał do ataku, inni mówią, że jakieś dziecko raniło sztyletem dragona. W każdym razie nagle padły trzy strzały: pierwszy zabił dowódcę szwadronu Choleta, drugi głuchą staruszkę, która zamykała okno w swoim mieszkaniu na ulicy Contrescarpe, trzeci zdarł naramiennik jednemu z oficerów. Jakaś kobieta zawołała: – Zaczynają za wcześnie! – Wtem na wprost nadbrzeża Morland ukazał się przybywający dopiero z koszar szwadron dragonów, który z gołymi szablami popędził galopem przez ulicę Bassompierre i bulwar Bourdon, zmiatając wszystko, co mu stało na drodze.

Teraz nie trzeba już nic więcej. Zrywa się nawałnica, padają kamienie, wybucha kanonada, wiele ludzi rzuca się do podnóża skarpy i przechodzi przez wąską odnogę Sekwany, dziś zasypaną; warsztaty na wyspie Louviers, jakby zawczasu przygotowana reduta, w jednej chwili są przepełnione walczącymi. Wirywa się słupy, strzela z pistoletów, zaczyna rosnać barykada, odepchnięci przez wojsko młodzi ludzie przebiegają razem z karawanem most Austerlicki i atakują gwardię miejską, nadchodzą karabinierzy, dragoni sieką szablami, tłum rozbiega się na cztery strony świata, szcęk wojny rozchodzi się po całym Paryżu, ludzie wołają „do broni!”, pędzą, przewracają się, uciekają, stawiają opór. Gniew roznosi powstanie, jak wiatr iskry pożaru.

Rozdział dziesiąty

ATOM BRATA SIĘ Z HURAGANEM

Nieco wyjaśnień na temat źródeł poezji Gavroche'a O wpływie członka Akademii Francuskiej na tę poezję

W tej właśnie chwili dzieciak w łachmanach, który szedł ulicą Ménilmontant, trzymając w ręku kwitnącą gałązkę zerwaną na wzgórzach Belleville, zobaczył na wystawie sklepu ze starym żelastwem antyczny pistolet kawaleryjski. Rzucił na bruk swoją gałązkę i zawołał:

– Kumo Niewiadomska, pożyczam od was tę maszynę.

I uciekł z pistoletem.

W kilka minut potem przerażeni mieszczanie, pierzchający ulicą Amelot i ulicą Niską, spotkali chłopca, który wymachiwał pistoletem i śpiewał:

*W nocy nie widzimy wcale,
W dzień widzimy doskonale.
Spasły mieszczuch jak miech sapie;
Nim sens pism fałszywych złapie;
Bądź cnotliwy, młody wnuku!
Tereferekuku!*

To mały Gavroche szedł na wojnę.

Na bulwarze spostrzegł, że pistolet nie miał kurka.

Od kogo nauczył się tej zwrotki, którą przyśpiewywał sobie w marszu, gdzie się nauczył innych piosenek, które chętnie śpiewał przy każdej sposobności? Nie wiemy. Może sam je tworzył? Gavroche znał zresztą wszystkie ludowe piosenki będące w obiegu i przyozdabiał je własnymi pomysłami. Psotnik i sowizdrzał, bez troski łączył głosy przyrody z głosami Paryża. Repertuar ptaków spletał z repertuarem pracowni malarskich. Znał młodych malarzy, plemię blisko spokrewnione z jego światem. Zdaje się, że przez kilka miesięcy był czeladnikiem drukarskim. Pewnego dnia posłano go z jakimś poleceniem do pana Baour-Lormian, jednego z czterdziestu Nieśmiertelnych. Gavroche był ulicznikiem literatury.

Nawiasem mówiąc, Gavroche nie domyślał się, że w tę okropną deszczową noc, kiedy ofiarował dwóm malcom gościnę w swoim słońiu, wykonywał funkcję Opatrzności wobec własnych braci. Wieczorem bracia, nad ranem ojciec – to były wydarzenia owej nocy. Opuściwszy przed świtem ulicę des Ballets, spieszenie wrócił do słońia, z ręcznie wydobył z niego

malców, podzielił między nich jakieś improwizowane śniadanie, po czym odszedł, powierzając ich dobrej matce ulicy, której sam zawdzięczał prawie całe swoje wychowanie. Przed rozstaniem się z nimi powiedział, żeby wieczorem przyszli na to samo miejsce, i wygłosił następujące przemówienie pożegnalne:

– Teraz daję nogę albo inaczej mówiąc drapaka, czyli jak powiadają w Wersalu, zjeżdżam. Pętaki, jeżeli nie znajdziecie taty i mamy, wróćcie tu wieczorem, wykombinuję wam kolację i położę was spać.

Dzieci zabrane przez żandarma czy też skradzione przez jakiegoś cyrkowca, a może po prostu zablakane w niezmiernym labiryncie paryskim, nie wróciły. Najniższe rejony naszego społeczeństwa są pełne takich zgubionych śladów. Gavroche już nie zobaczył malców. Od tej nocy upłynęło dziesięć, może dwanaście tygodni. Nieraz drapał się w głowę i zadawał sobie pytanie: – Gdzie, u diabła, podziały się moje dzieci?

Tymczasem z pistoletem w garści doszedł do ulicy Pont-aux-Choux. Zauważył, że na tej ulicy tylko jeden sklep był otwarty, i to, rzecz godna zastanowienia, sklep z ciastkami. Miał doskonałą okazję, żeby zjeść jeszcze kawałek placka z jabłkami, zanim wkroczy w nieznane. Gavroche zatrzymał się, obmacał spodnie, przetrząsnął kamizelkę, wyrzucił kieszenie, nie znalazł ani jednego su i zaczął wołać: – Ratunku!

Przykra to rzecz nie zjeść ostatniego ciastka.

Poszedł jednak dalej.

W dwie minuty później był na ulicy św. Ludwika. Przechodząc ulicą Parku Królewskiego, zapragnął powetować sobie nieosiągalny placek z jabłkami i oddał się niewypowiedzianemu rozkosznemu zajęciu, jakim jest rozdzieranie w biały dzień afiszów teatralnych.

Nieco dalej, widząc przechodzącą grupę ludzi o dostatnim wyglądzie, których zaliczył do klas posiadających, wzruszył ramionami i splunął przed siebie filozoficzną zólcją:

– Jakie te rentiery tłuste! Opycha się to, po kostki brodzi w dobrym jedzeniu. Zapytaj ich, co robią z pieniędzmi – sami nie wiedzą. Żrą je chyba! Wszystko pchają w kałdun.

Gavroche maszeruje

Wymachiwanie pistoletem bez kurka na środku ulicy jest do tego stopnia funkcją społeczną, że Gavroche'owi z każdym krokiem przybywało werwy. Śpiewał *Marsylianę* pokrzykując między wierszami:

– Wszystko w porządku! Łupie mi lewa łapa, złapałem reumatyzm, ale jestem zadowolony, obywatele! Niech się burżujstwo ma na bacności, bo zaraz zacznę odstawiać wywrotowe piosenki. Co to są szpicle? To psy! Nie, do cholery, nie obrażajmy psów. Swoją drogą chciałbym wziąć któregoś z nich na muszkę mojego pistoletu. Idę z bulwaru, moi kochani, tam jest gorąco, tam się gotuje! Pora już zebrać szumowiny z garnka. Naprzód, chłopcy! Niech krew nieczysta zaleje bruzdy naszych pól. Oddaję życie za ojczyznę, już nie zobaczę swojej kochanki, swojej kochanki Anki – nigdy już! Ale niech tam, niech żyje humor! Do broni, psiakrew! Dostyc już mam despotyzmu.

W tej chwili koń przejeżdżającego ulicą gwardzisty narodowego potknął się i upadł. Gavroche położył pistolet na bruku, podał rękę gwardziście i pomógł mu podnieść konia. Następnie zabrał swój pistolet i poszedł dalej.

Na ulicy Thorigny było cicho i spokojnie. Ta apatia, właściwa przedmieściu Marais, stanowiła dziwną sprzeczność z niezmierną wrzawą dokoła. Przed progiem domu rozmawiały cztery kumoszki. Były to trzy stróżki i jedna gałganiarka z koszem i haczykiem.

Zdawały się stać we cztery w czterech rogach starości, którymi są zgrzybiałość, niedołęstwo, nędza i smutek.

Gałganiarka miała pokorną minę. W tym ulicznym świecie gałganiarka kłania się, a stróżka protekcyjnie kiwa głową. Pochodzi to stąd, że śmietnik bywa tłusty lub chudy, zależnie od fantazji tego, kto administruje śmieciami. I miotła może być łaskawa.

Gałganiarka, kosz na odpadki pełen wdzięczności, uśmiechała się – i to jakim uśmiechem! – do trzech stróżek. Rozmawiały mniej więcej w ten sposób:

– No i co, ten panin kot jest zawsze taki zły?

– Co robić, mój Boże, wiadomo, że koty zawsze skaczą psom do oczu. A psy się skarżą.

– I ludzie też.

– Ale pchły z kota przynajmniej nie przechodzą na ludzi.

– To nie o to chodzi; psy są niebezpieczne. Pamiętam rok, kiedy było tyle psów, że aż gazety o tym pisały. To było wtedy, kiedy w Tuilerych duże barany ciągnęły powozik króla rzymskiego. Pamięta pani króla rzymskiego?

– Ja wołałam księcia Bordeaux.

– A ja znałam Ludwika XVII. Wolę Ludwika XVII.

– A jakie mięso jest drogie, pani Patagon!

– Ach, nie mówcie mi o rzeźnikach, to okropieństwo. Straszne okropieństwo. A ludzie znajdują w tym przyjemność.

Tu wtrąciła się gałganiarka:

– Interes nie idzie, panie dobrodziejki. Śmiecie są chude. Ludzie nic już nie wyrzucają, sami wszystko jedzą.

– Są biedniejsi od was, matko Vargoulême.

– O, to prawda – odpowiedziała ustępliwie gałganiarka – ja mam przynajmniej swoje zajęcie.

Po chwili milczenia gałganiarka, czując potrzebę popisania się, tak przyrodzoną naturze człowieka, dodała:

– Jak wracam rano, przetrząsam kosz, przebieram i sortuję śmiecie. Mam tego w izbie całe stopy. Gałgany kładę do koszyka, ogryzki do szaflika, płótno do szafki, wełnę do komody, stare papiery w kącie pod oknem, rzeczy do jedzenia kładę do miski, kawałki szkła do komina, stare trzewiki za drzwiami, a kości pod łóżko.

Gavroche przystanął z tyłu i słuchał:

– Babule – rzekł – skąd wam przyszło rozmawiać o polityce?

Odpowiedziała mu salwa jazgotu na cztery głosy:

– Patrzcie go, jeszcze jeden zbrodniarz!

– Co to on trzyma w garści? Pistolet!

– No proszę, taki obdarty mikrus!

– I nie usiedzi to spokojnie, dopóki nie obali rządu!

Gavroche, pełen pogardy, raczył odpowiedzieć tylko gestem, podnosząc koniec nosa dużym palcem szeroko otwartej dłoni.

Gałganiarka krzyknęła:

– Paskudny oberwaniec!

Kumoszka, którą nazywano panią Patagon, klasnęła z oburzenia w dłonie:

– Będzie na pewno jakieś nieszczęście. W sąsiednim domu jest taki miedziak z bródką. Co dzień go widziałam, jak prowadził się z jedną młódką w różowym czepku, a dzisiaj niósł fuzję.

Kuma Bacheux powiada, że w zeszłym tygodniu była rewolucja w... w... Już nie pamiętam gdzie... w Pontoise. A teraz ten urwis z pistoletem! Podobno na ulicy Celestynów jest pełno armat. I jak tu rząd ma sobie dać radę z takimi nicponiami, które same już nie wiedzą, co wymyślić, żeby niepokoić ludzi. A już się zaczynało trochę uspokajać po tych wszystkich nieszczęściach, mój Boże! Ta biedaczka królowa uciekała – sama widziałam – na prostym wózku! I przez to wszystko znów podrożeje tabaka. Okropność! Zobaczysz, łotrze, pójdę patrzeć, jak cię będą gilotynować!

– Kapie ci z nosa, staruszek – odpowiedział Gavroche. – Podetrzyj go sobie.

I poszedł dalej.

Starzec wywołuje zdziwienie dziecka

Na rynku św. Jana, gdzie posterunki były już rozbrojone, Gavroche przyłączył się do grupy, której przewodzili Enjolras, Courfeyrac, Combeferre i Feuilly. Wszyscy byli jako tako uzbrojeni, Enjolras w myśliwską dwururkę, Combeferre w karabin gwardii narodowej z numerem oddziału i dwa pistolety za pasem, które było widać pod jego rozpiętym surdudem. Jan Prouvaire miał mały kawaleryjski karabinek, Bahorel – zwykły karabin. Courfeyrac wywijał laskę z obnażonym sztyletem. Feuilly ze szpadą w dłoni kroczył na czele i krzyczał: – Niech żyje Polska!

Przybyli tu z nadbrzeża Morland, bez krawatów, bez kapeluszy, zziębnięci, przemoczeni deszczem, z błyskawicami w oczach. Gavroche zagadnął ich spokojnie:

– Dokąd idziemy?

– Chodź z nami – odparł Courfeyrac.

Tuż za Feuillym maszerował, a raczej podskakiwał Bahorel, czujący się jak ryba w wodzie rozruchów. Miał na sobie purpurową kamizelkę i sypał zadzierzystymi dowcipami. Jego kamizelka przerażała jakiegoś przechodnia, który wrzasnął jak opętany:

– Czerwoni idą!

– Czerwoni, czerwoni! – przedrzeźniał Bahorel. – Co za śmieszny lęk, obywatelu burżuju. Ja nie drzę na widok polnego maku, nie truchleję wobec czerwonego kapturka. Obywatelu burżuju, wierz mi, zostawmy rogatemu bydłu strach przed czerwienią.

Zbliżył się do rogu, gdzie wisiał sobie spokojnie kawałek papieru dyspensa arcybiskupa Paryża, zezwalająca jego „owieczkom” na spożywanie jajek podczas wielkiego postu.

Bahorel krzyknął:

– Owieczki! To znaczy, mniej łagodnie mówiąc, barany!

I zerwał z muru list pasterski. Czynem tym zjednął sobie uznanie Gavroche’a. Odtąd Gavroche zaczął uważnie obserwować Bahorela.

– Nie masz racji, Bahorel – zauważył Enjolras. – Nie trzeba było ruszać tego ogłoszenia, bo my z nim nie walczyliśmy. Niepotrzebnie marnujesz swój gniew. Oszczędzaj siły, bracie.

– Każdy na swój sposób, Enjolras – odparł mu Bahorel. – Ta proza biskupia drażni mnie, chcę jeść jajka bez niczyjego pozwolenia. Ty jesteś z tych, co się palą na zimno, a ja się po prostu bawię. Zresztą nie marnuję sił, na odwrót, biorę rozpęd. I jeżeli podarłem ten list pasterski, to – na Heraklesa! – tylko po to, żeby zaostrzyć sobie apetyt.

Wyrażenie „na Heraklesa” zastanowiło Gavroche’a. Korzystał z każdej okazji, żeby się uczyć, a ten niszczyciel afiszów budził w nim szacunek.

– Co to znaczy „na Heraklesa”? – zapytał go.

– To znaczy po łacinie „psiakrew”.

Towarzyszył im wrzaskliwy orszak: studenci, artyści, robotnicy z przedmieść, robotnicy portowi, uzbrojeni w kije i bagnety; niektórzy mieli, jak Combeferre, pistolety za pasem.

Między nimi szedł człowiek, który wydawał się bardzo stary. Nie miał żadnej broni i chociaż zamyślony, starał się nie pozostawać w tyle za innymi.

Gavroche spostrzegł go.

– Kto to taki? – zapytał Courfeyraca.

– Jakiś starowina.

Był to pan Mabeuf.

Starzec

Opowiedzmy, co się stało.

Na ulicy Lesdiguières spotkali idącego wolno starca. Zwróciło ich uwagę, że szedł zygzakiem, jak pijany. Prócz tego trzymał kapelusz w ręku, mimo że całe rano padał deszcz i że padało również w tej chwili. Courfeyrac poznał ojca Mabeuf. Znał go, gdyż nieraz aż do jego drzwi odprowadzał Mariusza. Wiedział, że stary skarbnik parafii i bibliofil był człowiekiem spokojnym i więcej nawet niż nieśmiałym, toteż ze zdumieniem zobaczył go w tym tłumie, o kilka kroków od szarzy konnicy, prawie w środku strzelaniny, z odkrytą głową przechadzającego się wśród kul.

Podszedł do niego i między dwudziestopięcioletnim powstańcem a osiemdziesięcioletnim starcem zawiązał się taki dialog:

– Panie Mabeuf, niech pan wraca do domu.

– Dlaczego?

– Bo będzie gorąco.

– To dobrze.

– Rąbanie szabłami, strzelanina, panie Mabeuf.

– To dobrze.

– Strzelanie z armat.

– To dobrze. A wy dokąd idziecie?

– My idziemy obalić rząd.

– To dobrze.

I poszedł za nimi. Od tej chwili nie odezwał się ani słowem. Krok jego stał się nagle pewny i silny. Robotnicy chcieli go prowadzić pod ręce, ale odmówił poruszeniem głowy. Wysunął się prawie do pierwszego szeregu i miał ruchy człowieka, który idzie, a twarz człowieka, który śpi.

– Jaki zacięty starzec! – szeptali studenci.

Przez szeregi przebiegała wieść, że to dawny członek Konwentu, stary królobójca.

Tłum wszedł w ulicę Szklarską. Mały Gavroche szedł jak trębacz przed pierwszym szeregiem, drąc się na całe gardło.

Śpiewał:

Patrz, wszedł księżyc, chodź do lasu,

*Karolko, ach, nie traćmy czasu!
Nie chcę, tam ciemno jest i chłód!
Don, don, don,
Pójdziemy do Meudon.
Ja mam jednego tylko Boga. jednego króla, jeden grosz i jeden but.*

*W sztok się zalały dwa wróbelki,
Wypity rosy dwie kropelki.
Jak w Galilejskiej Kanie cud!
Zi, zi, zi,
Pójdziemy do Passy.
Ja mam jednego tylko Boga. jednego króla, jeden grosz i jeden but.*

*Z wilikami było też sto pociech,
Aż tygrys śmiał się w swojej grocie,
Jak jeden wilk drugiego bódł.
Tu, tu, tu,
Pójdziemy do Chatou.
Ja mam jednego tylko Boga, jednego króla, jeden grosz i jeden but.*

*On błaga, ona klnie i zrzędzi.
Więc z lasu dzisiaj nic nie będzie,
Bo tam ciemno jest i chłód.
Nie, to nie,
W Paryżu nie jest źle.
Ja mam jednego tylko Boga, jednego króla, jeden grosz i jeden but.*

Szli w kierunku św. Mederyka.

Ochotnicy

Co chwila tłum się powiększał. Przy ulicy des Billettes przyłączył się do nich jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu, szpakowaty, którego sylwetkę tchnącą energią i zdecydowaniem, śmiałą i surową minę Courfeyrac, Enjolras i Combeferre spostrzegli od razu, choć go nie znali. Gavroche śpiewał, gwizdał, nucił, wyteżał krok w pierwszym szeregu, stukał w okiennice sklepów kolbą swojego pistoletu bez kurka i tak był tym wszystkim pochłonięty, że nie zwrócił uwagi na tego człowieka.

Tak się zdarzyło, że przechodzili ulicą Szklarską koło mieszkania Courfeyraca.

– Doskonała okazja – rzekł Courfeyrac. – Zapomniałem sakiewki i zgubiłem kapelusz. – Odłączył się od gromady i przeskakując po cztery stopnie schodów naraz, pobiegł do siebie. Wziął stary kapelusz i sakiewkę. Zabrał też kwadratową skrzynkę wielkości sporej walizy, która była ukryta pod brudną bielizną. Kiedy zbiegał na dół, dozorczyńni zawołała:

– Ktoś czeka na pana.

- Kto taki?
- Nie wiem.
- Gdzie?
- U mnie w stróżówce.
- Niech go diabli wezmą! – rzekł Courfeyrac.
- Ale ten człowiek czeka już więcej niż godzinę – nalegała dozorczyńni.

W tej samej chwili ktoś wyglądający na młodego robotnika, chudy, blady, niski, piegowaty, odziany w dziurawą bluzę i łatane welwetowe spodnie, bardziej podobny do przebranej dziewczyny niż do mężczyzny, wyszedł z izby i zapytał Courfeyraca głosem, który jako żywo nie miał w sobie nic kobiecego:

- Proszę pana, gdzie jest pan Mariusz?
- Nie ma go w domu.
- Czy wróci wieczorem?
- Nie wiem.

I Courfeyrac dodał:

- Ja na pewno nie wrócę.

Młody robotnik spojrzał na niego uważnie i zapytał:

- Bo co?
- Bo nic.
- Gdzie pan idzie?
- A co cię to obchodzi?
- Pozwoli pan zanieść kufer?
- Idę na barykady.
- Czy mogę pójść z panem?

- Jak ci się podoba – odpowiedział Courfeyrac. – Ulica jest otwarta, bruk jest dla wszystkich.

I pobiegł, żeby dogonić przyjaciół. Złączywszy się z nimi, oddał kufer jednemu z towarzyszy. Dopiero w kwadrans potem spostrzegł, że młody robotnik rzeczywiście poszedł za nim.

Tłum nie zawsze idzie tam, gdzie chce. Wy tłumaczyliśmy już, że unosi go pęd wiatru. Minęli św. Mederyka i sami nie wiedząc jak, znaleźli się na ulicy św. Dionizego.

Rozdział jedenasty

KORYNT

Historia Koryntu od czasu jego założenia

Paryżanie, którzy dzisiaj wchodzą na ulicę Rambuteau od strony Hal i widzą po prawej ręce, naprzeciw ulicy Zakręt, sklep koszykarza z wywieszką, którą jest koszyk mający kształt cesarza Napoleona Wielkiego i zaopatrzonego w napis:

NAPOLEON NOWY, CAŁY WIKLINOWY,

nie domyślają się straszliwych scen, jakich widownią było to miejsce przed trzydziestu zaledwie laty. Tu była ulica Konopna i sławna gospoda zwana Koryntem.

Dla jasności opowiadania niech nam wolno będzie uciec się do prostego sposobu, użytego już raz przy opisie bitwy pod Waterloo. Kto chce mieć dosyć dokładny obraz rozmieszczenia domów stojących w owym czasie koło wieży św. Eustachego, na północno-wschodnim rogu Hal Paryskich, gdzie dziś kończy się ulica Rambuteau, niech sobie przedstawi w przestrzeni między ulicą św. Dionizego i Halami dużą literą N, której ramionami pionowymi byłyby ulice Wielka Żebracza i Konopna, a linią ukośną ulica Mała Żebracza. Stara ulica Zakręt przecinała owe trzy linie pod bardzo ostrymi kątami i w rezultacie płatanina tych czterech ulic utworzyła na przestrzeni stu sążni kwadratowych, między Halami i ulicą św. Dionizego z jednej strony, a ulicą Łabędzią i Dominikańską z drugiej, siedem wysepek domów dziwacznie ściętych, różnej wielkości, rozrzuconych przypadkowo i oddzielonych wąskimi szczelinami niby bloki kamienne w warsztacie kamieniarza.

Powiedzieliśmy „wąskimi szczelinami”, bo trudno jest dać dokładniejsze wyobrażenie o tych uliczkach ciemnych, ściśniętych, kanciastych i otoczonych ośmiopiętrowymi rudery. Rudery te były tak zniszczone, że na ulicy Konopnej i Małej Żebraczej podtrzymywały je belki opierające się o ściany przeciwległych domów. Ulica była wąska, a rynsztok szeroki, przechodzień szedł po zawsze błotnistym bruku, ocierając się o sklepy podobne do piwnic, o grube słupy połączone żelaznymi łańcuchami, o olbrzymie stosy śmieci i bramy zbrojne w ciężkie, odwieczne kraty. Przebicie ulicy Rambuteau zniszczyło to wszystko.

Przechodzień skręcający z ulicy św. Dionizego w Konopną widział ją przed sobą, zwężającą się stopniowo jak lejek. Na końcu tej ulicy, bardzo krótkiej, zagradzał mu drogę od strony Hal rząd wysokich domów i można by przypuszczać, że ulica jest zamknięta, gdyby nie dwa ciemne przesmyki na prawo i na lewo, które dawały przejście. Była to ulica Zakręt, która miała jeden

wylot na Dominikańską, a drugi na Łabędzią i Małą Żebraczą. W głębi tej niby ślepej uliczki, na rogu prawego przesmyka, stał dom niższy niż inne, wysunięty na jezdnię jak półwysep.

W tym to właśnie domu, o dwóch tylko piętrach, rozsiadła się wesoło przed trzystu laty słynna gospoda. Miejsce było dobre, gospoda przechodziła z ojca na syna.

Za czasów Maturyna Regnier gospoda nazywała się „Pot-aux-Roses”, a że wówczas były w modzie rebusy, więc za wywieszkę miała na różowo pomalowany słupek. W przeszłym stuleciu zacy Natoire, jeden z mistrzów fantazji, dziś wzgardzony przez wyznawców napuszonego ideału, upiwszy się kilka razy w tej gospodzie przy tym samym stole, przy którym upijał się sławny Regnier, przez wdzięczność wymalował na różowym słupku winną kiść. Właściciel z radości zmienił nazwę i kazał napisać złotymi głoskami: „Pod Winogronami z Koryntu”. Stąd wzięła się nazwa Korynt. Ostatni z tej dynastii oberżystów, ojciec Hucheloup, nie wiedząc już nic o rodzinnej tradycji, pomalował słupek na niebiesko.

Ojciec Hucheloup prawdopodobnie przyszedł na świat z talentem chemika, ale został kucharzem; w gospodzie jego nie tylko się piło, ale i jadło. Wynalazł on doskonałą potrawę, którą tylko u niego można było dostać; potrawą tą były faszerowane karpie. Jakiś już mówili, Courfeyrac i jego przyjaciele upodobali sobie Korynt jako Jeden z najchętniej uczęszczanych lokali czy zgoła punktów zbornych.

Żona oberżysty, stara Hucheloup, była istotą brodatą i bardzo szpetną. Około roku 1830 ojciec Hucheloup zmarł, zabierając z sobą do grobu tajemnicę przyrządzania faszerowanych karpie. Wdowa, mało nadająca się do tego, żeby ją kto chciał pocieszyć, sama prowadziła dalej gospodę, ale kuchnia spadła na poziom niesłychanie niski, a wino, które zawsze było złe, stało się obrzydliwe. Courfeyrac

i jego przyjaciele wciąż jednak chodzili do Koryntu – przez pietyzm, jak powiadał Bossuet.

Dwie służące, zwane Matelota i Gibelota, pomagały matce Hucheloup podawać dzbany z winem i stawiać w glinianych misach przed wygłodzonymi gośćmi różne polewki. Matelota, gruba, okrągła, rudowłosa i krzykliwa, dawna ulubienica nieboszczyka Hucheloup, była brzydsza od wszystkich potworów mitologicznych, ale że wypada, aby służąca ustępowała pierwszeństwa swojej pani, była mniej brzydka niż matka Hucheloup. Gibelota, wysoka, delikatna i limfatycznie blada, z podkrążonymi oczami, opadłymi powiekami, zawsze wyczerpana i słaba, chora na coś, co nazwać by można chronicznym wycieńczeniem, wstawała pierwsza, kładła się spać ostatnia, usługiwała wszystkim, nawet drugiej służącej, cicho, spokojnie, pokornie, uśmiechając się mimo znużenia jakimś błędnym, sennym uśmiechem.

Na drzwiach prowadzących do sali restauracyjnej przeczytać można było sentencję wypisaną kredą przez Courfeyraca:

RACZ SIĘ, O ILE MOŻESZ, JEDZ, JEŚLIŚ ODWAŻNY

Beztroski początek

Laigle z Meaux, jak wiadomo, częściej mieszkał u Joly’ego niż gdzie indziej. Traktował mieszkanie jak ptak gałąź. Dwaj przyjaciele mieszkali razem, jedli razem i spali razem. Rano, piątego czerwca, poszli na śniadanie do Koryntu.

Była dziewiąta, gdy otworzyli drzwi gospody.

Weszli na pierwsze piętro.

Matelota i Gibelota zapytały, co podać.

– Ostrygi, ser i szynkę – rzekł Laigle.

Usiedli za stołem.

W pustej gospodzie nie było nikogo prócz nich dwóch.

Gibelota, poznawszy Joly'ego i Laigle'a, postawiła na stole butelkę wina.

Zabierali się właśnie do ostryg, kiedy w otworze schodów ukazała się głowa i jakiś głos zawołał:

– Przechodziłem tędy. Zaleciał mnie na ulicy rozkoszny zapach sera z Brie. Więc wchodzę.

Był to Grantaire.

Wziął taboret i usiadł przy stole.

Gibelota na widok Grantaire'a przyniosła jeszcze dwie butelki. A więc razem trzy.

– Czy masz zamiar wypić te dwie butelki? – zapytał Laigle Grantaire'a.

Grantaire odpowiedział:

– Wszyscy są domyślni, ty jeden bezmyślny. Dwie butelki nie zdziwiły jeszcze żadnego mężczyzny.

Joly i Laigle zabrali się najprzód do jedzenia. Grantaire zaczął od picia. Szybko opróżnił pół butelki.

– Masz chyba dziurę w brzuchu? – zapytał Laigle.

– A ty na łokciu – odparł Grantaire.

I wychyliwszy szklanę, dodał:

– Doprawdy, orle mów pogrzebowych, masz stary przyodziewek.

– Ma się rozumieć – odpowiedział Laigle. – Toteż mój surdut i ja żyjemy w przykładowej zgodzie. Stare surduty to jak starzy przyjaciele.

– Grantaire – zapytał – czy przychodzisz z bulwaru?

– Nie.

– Joly i ja widzieliśmy początek pogrzebu.

– To wspaniały widok – rzekł Joly.

– Jaka to spokojna ulica! – zawołał Laigle. – Kto by się domyślił, że Paryż przewrócony jest do góry nogami? Zaraz poznać, że tu dawniej mieściły się same klasztory. Pełno tu było mnichów: trzewiczkowych, bosych, ogolonych, brodatych, szarych, czarnych, białych, franciszkanów, minorytów, kapucynów, karmelitów, małych augustianów, wielkich augustianów, starych augustianów... istne mrowisko.

– Nie mówmy o mnichach – przerwał Grantaire – bo zaraz mam ochotę się podrapać.

Grantaire rozpoczynał swoją drugą butelkę, gdy ze schodów wyłonił się nowy przybysz. Był to chłopczyk niespełna dziesięcioletni, obdarty, drobny, żółty, o wychudzonej twarzy i bystrym spojrzeniu, niesłychanie rozczochrany, przemokły od deszczu, ale uśmiechnięty.

Bez wahania, wybierając między trzema, choć najwidoczniej nie znał żadnego, chłopiec odezwał się do Laigle'a z Meaux:

– Pan jest Bossuet?

– To moje imię chrzestne – odpowiedział Laigle. – Co powiesz?

– Jeden wysoki blondyn zapytał mnie na bulwarze: „Czy znasz matkę Hucheloup?”

Odpowiedziałem: – Znam, na ulicy Konopnej, wdowa po starym. – A on mi na to: „Idź tam. Zastaniesz u niej pana Bossueta i powiesz mu ode mnie: ABC”. To na pewno jakiś kawał, prawda? Dał mi dziesięć su.

– Joly, pożycz mi dziesięć su – rzekł Laigle i obracając się do Grantaire'a, dodał: – Grantaire, pożycz mi dziesięć su.

Zebrawszy tym sposobem dwadzieścia su, Laigle dał je malcowi.

– Dziękuję panu – rzekł chłopczyk.

– Jak się nazywasz? – zapytał Laigle.

– Franuś, przyjaciel Gavroche’a.

– Zostań z nami – rzekł Laigle.

– Zjedz z nami śniadanie – uzupełnił Grantaire.

Malec odpowiedział:

– Nie mogę, jestem z orszaku; to ja krzyczę: Precz z Polignakiem!

I mocno szurgnąwszy nogą, co miało oznaczać ukłon pełen szacunku, chłopczyk poszedł sobie.

Laigle zamyślił się i po chwili rzekł półgłosem:

– ABC to znaczy pogrzeb Lamarque’a.

– Wysoki blondyn – dodał Grantaire – to Enjolras. Wzywa cię.

– Pójdziemy? – zapytał Bossuet.

– Deszcz pada – rzekł Joly. – Przysięgałem, że pójdę w ogień, ale nie w wodę. Nie chcę dostać kataru.

– Ja zostaję – rzekł Grantaire. – Wolę śniadanie niż pogrzeb.

– A więc zostajemy – zakończył Laigle. – Pijmy! Zresztą można nie być na pogrzebie i zdążyć jeszcze na ruchawkę.

– A, ruchawka, rozumiem! – zawołał Joly.

Laigle zatarł ręce:

– Oto wreszcie poprawimy trochę rewolucję z 1830 roku. Rzeczywiście, uciska ona naród ze wszystkich stron.

– Nic mnie nie obchodzi wasza rewolucja – rzekł Grantaire. – Wcale nie mam nienawiści do obecnego rządu. To korona, którą łagodzi włóczkowy czepek. Berło zakończone parasolem. Zdaje mi się, że dziś, na taką pogodę, król Ludwik Filip mógłby użyć w dwojaki sposób swej królewskiej godności: wyciągnąć berło przeciw ludowi i otworzyć parasol przeciw chmurom.

Sala była ciemna, gęste chmury zakryły słońce. W gospodzie i na ulicy nie było nikogo, wszyscy poszli „popatrzeć, co się dzieje”.

– Czy to południe, czy północ? – zawołał Bossuet. – Ciemno jak w rogu. Gibeloto, podaj świecę!

Grantaire, smutny, popijał.

– Enjolras gardził mną – mruknął. – Przysłał Franusia do Bossueta. Gdyby przyszedł po mnie, poszedłbym z nim. Tym gorzej dla Enjolrasa! Nie pójdę na ten jego pogrzeb.

Powziąwszy takie postanowienie, Bossuet, Joly i Grantaire nie ruszyli się z szynkowni. Około drugiej po południu stół, przy którym siedzieli, był zastawiony próżnymi butelkami. Palily się dwie świece, jedna w mosiężnym lichtarzu, całkiem pozieleniałym od grynszpanu, druga w szyjce obtłuczonej butelki. Grantaire namówił Joly’ego i Bossueta na wino, a Joly i Bossuet namówili Grantaire’a na wesołość.

Bossuet, dobrze podchmielony, zachowywał się spokojnie. Siedział we framudze otwartego okna, mocząc plecy na deszczu, i spoglądał na przyjaciół.

Nagle usłyszał za sobą wrzawę, szybkie kroki i krzyki: – Do broni! Odwrócił się i na rogu ulicy św. Dionizego, u wylotu Konopnej, zobaczył Enjolrasa z karabinem, Gavroche’a z pistoletem, Feuilly’ego i Courfeyraca z szablami, Prouvaire’a, Combeferre’a i Bahorela uzbrojonych w karabiny, a za nimi tłum zbrojny i wzburzony.

Ulica Konopna nie była dłuższa nad strzał karabinowy. Bossuet, złożony przy ustach dłonie w kształt tuby, zawołał:

– Courfeyrac! Courfeyrac! Hop, hop!
Courfeyrac usłyszał, spostrzegł Bossueta i wbiegł w Konopną wołając: – Czego chcesz? – co skrzyżowało się z zapytaniem: – Dokąd idziesz?
– Stawiać barykadę – odpowiedział Courfeyrac.
– Więc chodź tutaj! Miejsce dobre; stawiaj tutaj.
– To prawda, Orle – rzekł Courfeyrac.
I na skinienie Courfeyraca tłum rzucił się w ulicę Konopną.

Noc zapada nad Grantaire'em

Miejsce rzeczywiście było znakomite: wejście w ulicę szerokie, głąb jej zwężona i prawie zamknięta przez Korynt, ulica Zakręt łatwa do zagrodzenia i z lewa, i z prawa, natarcie możliwe tylko od św. Dionizego, to jest od przodu i z odsłoniętych pozycji. Podchmielony Bossuet miał bystre spojrzenie trzeźwego Hannibala.

Gdy zbrojny tłum wpadł na ulicę, mieszkańców ogarnął strach. Przechodnie uciekli. W mgnieniu oka, w głębi, na prawo i na lewo, pozamykały się sklepy, bramy, okna i okienka różnych rozmiarów, od parteru aż po dachy. Jakaś wylężniona starowinka wywiesiła przez okno materac na dwóch kijach do suszenia bielizny, aby ją chronił od kul. Tylko dom, gdzie mieściła się gospoda, stał otworem z tej prostej przyczyny, że tłum wtargnął do środka. – O mój Boże! Mój Boże! – jęczała matka Hucheloup.

Bossuet zszedł na spotkanie Courfeyraca.

Joly stanął w oknie i wołał:

– Courfeyrac, dlaczegoś nie wziął parasola? Zakatarzysz się!

Tymczasem w ciągu kilku minut wyrwano dwadzieścia prętów żelaznych z okratowanych okien gospody i rozebrano dziesięć sążni bruku. Gavroche i Bahorel zatrzymali i przewrócili na bok wóz fabrykanta wapna, nazwiskiem Anceau, zawierający trzy beczki z wapnem, i ułożyli na nich warstwę brukowców; Enjolras otworzył piwnicę i wszystkie stare beczki od wina ustawione zostały przy beczkach z wapnem. Kiedy Bossuet i Courfeyrac spojrzeli na ulicę, już potowa jej była zagrodzona wałem, wyżej niż na wzrost człowieka. Nie ma nic zręczniejszego nad rękę ludu do budowania tego, co trzeba budować niszcząc.

Matelota i Gilbelota pomagały w pracy. Gibelota zносиła gruz na barykadę z równie spokojną i zaspianą miną, jak podawała wino.

W głębi ulicy przejeżdżał omnibus zaprzężony w dwa białe konie.

Bossuet przeskoczył stos kamieni, pobiegł, zatrzymał woźnicę» poprosił podróżnych, żeby wysiedli, podał rękę „damom”, odprawił konduktora i wrócił, prowadząc za uzdę konie ciągnące pojazd.

W chwilę później wyprężone konie puszczono na ulicę Zakręt, a przewrócony omnibus uzupełnił barykadę.

Przerażona matka Hucheloup uciekła na pierwsze piętro.

Patrzyła błędnymi oczami, nic nie widząc; chciała krzyczeć, ale okrzyki strachu zamierały jej w gardle.

– Koniec świata! – szeptała.

Joly złożył pocałunek na czerwonym i pomarszczonym karku wdowy Hucheloup, mówiąc do

Grantaire'a:

– Zawsze uważałem, że karczek kobiety to rzecz niezmiernie delikatna.

Ale najwyższe rejony szaleństwa osiągnął Grantaire. Kiedy Matelota wróciła na piętro, chwycił ją wpół i poprowadził ku oknu wybuchając śmiechem.

– Matelota jest brzydka! – wołał. – Jest brzydka jak marzenie! Matelota jest chimera! Uściskaj mnie, Mateloto! Jesteś zmysłowa i wstydliva. Masz policzki, które czekają na pocałunek siostrzany, i wargi, które wzywają ust kochanka!

– Cicho bądź, opoju! – krzyknął mu Courfeyrac.

Grantaire odpowiedział:

– Jestem kapitułom i laureatem turnieju poetyckiego w Tuluzie!

Enjolras, który stał na barykadzie z karabinem w rękę, podniósł ku niemu swoją piękną i surową twarz. Miał on w sobie, jak wiadomo, coś spartańskiego i purytańskiego. Zginąłby w Termopilach razem z Leonidasem i spaliłby Droghedę z Cromwellem.

– Grantaire! – zawołał. – Idź się gdzieś przespać! To jest miejsce upojenia, ale nie pijaństwa! Nie wolno ci hańbić barykady!

Te słowa wywarły osobliwe wrażenie na Grantairze. Można by powiedzieć, że zachował się, jakby mu ktoś wylał na twarz szklankę zimnej wody. Wydawało się, że raptownie otrzeźwiał. Usiadł przy stole koło okna, wsparł się na łokciach, popatrzył na Enjolrasa z niewypowiedzianą słodyczą i powiedział:

– Ty wiesz, że ja w ciebie wierzę.

– Wynoś się.

– Pozwól mi się tu przespać.

– Prześpij się, ale gdzie indziej! – zawołał Enjolras.

Ale Grantaire, wciąż wlepiając w niego tkliwe i zamglone spojrzenie, odparł na to:

– Pozwól mi tu spać aż do śmierci. Enjolras spojrzał na niego z pogardą.

– Grantaire – rzekł. – Ty nie potrafisz wierzyć, myśleć, chcieć, żyć ani umrzeć.

Grantaire odpowiedział poważnie:

– Zobaczysz.

Wybelkotał jeszcze kilka niezrozumiałych słów, po czym jego głowa opadła ciężko na stół i jak to zwykle bywa w drugim stadium pijackiego zamroczenia, po chwili Grantaire już spał.

Próba pocieszenia wdowy Hucheloup

Bahorel, zachwycony barykadą, wołał:

– A to wydekoltowana ulica, aż miło spojrzeć!

Courfeyrac, demolując częściowo gospodę, starał się pocieszyć wdowę po szynkarzu:

– Matko Hucheloup, przecież niedawno skarżyliście się, że spisali protokół, bo Gibelota trzepała dywan za oknem, prawda?

– Rzeczywiście, kochany panie Courfeyrac. O mój Boże! Czy i ten mój stół zabieriecie do tych waszych zberezeństw? A rząd to mi nie tylko za dywan, ale i za doniczkę kwiatów, która spadła z mansardy na ulicę, kazał zapłacić sto franków kary. Co za niegodziwość!

– Otóż, matko Hucheloup, my teraz mścimy się za was.

Matka Hucheloup nie zdawała się dostrzegać w tym akcie sprawiedliwości zysku dla siebie.

Deszcz ustał. Nadciągali nowi ochotnicy. Robotnicy przynieśli pod bluzami baryłkę prochu, koszyk pełen butelek z kwasem siarkowym, kilka karnawałowych pochodni i kosz lampionów, które „zostały z imienin króla”. Uroczystość ta odbyła się niedawno, pierwszego maja. Tłuczono jedyne latarnie na ulicach Konopnej i św. Dionizego oraz wszystkie inne w sąsiedztwie, na ulicy Zakręt, na Łabędziej, Dominikańskiej, Małej i Wielkiej Żebraczej.

Enjolras, Combeferre i Courfeyrac kierowali całą akcją. Teraz budowano jednocześnie dwie barykady, obie oparte o Korynt i prostopadłe do siebie; większa zamykała ulicę Konopną, mniejsza Zakręt od strony Łabędziej. Ta druga barykada, bardzo wąska, zbudowana była z samych beczek i brukowców. Pracowało przy niej około pięćdziesięciu ludzi; trzydziestu z nich było uzbrojonych w karabiny, gdyż po drodze zaciągnęli większą pożyczkę w sklepie rusznikarskim.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej dziwacz nego i pstrokat ego niż ta gromada. Jeden miał Spencer, kawaleryjską szablę, dwa pistolety, drugi – bez kurtki i w okrągłym kapeluszu – rożek z prochem zawieszony u pasa. Ktoś wołał: – Wyrznijmy ich wszystkich co do nogi i umrzyjmy z bagnetem w dłoni! – Ten nie miał nawet bagnetu

Inny pysznił się lederwerkami i ładownicą gwardii narodowej, z wyszytym czerwoną wełną napisem: „Porządek publiczny”. Dodajcie do tego ogromną rozpiętość wieku i rozmaitość twarzy – drobni ludzie o bladej cerze obok opalonych na brąz robotników portowych. Wszyscy się śpieszyli i pomagając sobie nawzajem, rozmawiali o widokach powodzenia – że około trzeciej rano nadejdą posiłki, że jeden pułk jest pewny, że Paryż powstanie. Pełne grozy słowa przeplatały się z wesołymi żartami. Wszyscy wyglądali na braci, chociaż nie znali swoich nazwisk. Wielkie niebezpieczeństwa w tym są piękne, że ukazują braterstwo nie znających się ludzi.

W kuchni rozpalono ogień i topiono na kule dzbany, łyżki, widelce, całą cynową zastawę gospody. Praca nie przeszkadzała w picu wina. Między szklankami leżały beładnie napoje, śrut i kule. W sali bilardowej matka Hucheloup, Matelota i Gibelota, każda na swój sposób przerażona, jedna ogłupiała, druga zadyszana, trzecia skupiona, darły stare szmaty i robiły szarpie.

Wysoki mężczyzna, którego Courfeyrac, Combeferre i Enjolras spostrzegli, kiedy przyłączył się do gromady przy ulicy des Billettes, pomagał przy budowie małej barykady i okazał się bardzo użyteczny. Gavroche pracował przy dużej. Natomiast młody robotnik, który przyszedł do domu Courfeyraca i pytał o pana Mariusza, zniknął, mniej więcej wówczas, kiedy przewracano omnibus.

Gavroche, zachwycony, promieniejący radością, wziął na siebie podtrzymywanie entuzjazmu. Biegał, krzątał się, hałasował, migotał jak iskra. Zdawał się być tu dla zachęty innych. Czy miał po temu jakąś przyczynę? Tak, swoją nędzę. Czyżby miał skrzydła? Tak, swoją wesołość. Był jak huragan. Co krok wyrastał z ziemi, jego głos rozlegał się bez przerwy. Dwojąc się i trojąc był jednocześnie wszędzie; jego wszechobecność prawie irytowała, ale nic go nie mogło powstrzymać. Ogromna barykada czuła go na swym grzbiecie. Zawstydział próżniaków, pobudzał leniwych, dodawał sił zmęczonym, niecierpliwiał zamyślonych, w jednych budził humor, w innych energię, w jeszcze innych gniew; przygadywał studentom, docinał robotykom, przystawał na chwilę, siadał, znów się zrywał i wlatywał nad tym pracowitym zgiełkiem, przeskakiwał z miejsca na miejsce, mruczał, brzęczał i nękał jak mucha ogromny zaprzęg wozu rewolucji.

Jego chude ramiona były w nieustannym ruchu, a drobne płuca nieustannie krzyczały:

– Śmiało! Dawajcie więcej kamieni z bruku! Jeszcze beczek! Jeszcze więcej! Czy już nic nie ma? Zatkanąć mi tę dziurę koszykiem gruzu! Mała jest ta wasza barykada. Trzeba ją podciągnąć w górę. Znieście i zwalcie wszystko na kupę, rozbierzcie dom! O, szklane drzwi!

Jeden z robotników zawołał:

– Szklane drzwi? A to po co, mikrusie?

– Na Heraklesa! – odparł Gavroche. – Szklane drzwi to w barykadzie świetna rzecz. Nie obronią nas przed atakiem, ale utrudnią zdobycie barykady. Czy nigdy nie chodziłeś kraść jabłek za murem, na którym leżały potłuczone butelki? Szklane drzwi pokaleczą nogi gwardii narodowej, kiedy będzie chciała wdrzeć się na barykadę. Szkło jest zdradzieckie jak diabli. Słabą macie wyobraźnię, towarzysze.

Gavroche był zirytowany swoim pistoletem bez kurka. Chodził od jednego do drugiego, wołając: – Dajcie mi karabin! Dlaczego nie dostałem karabina?

– Tobie karabin? – rzekł Combeferre.

– A dlaczego nie? – odparł Gavroche. – W roku 1830, kiedyśmy mieli awanturę z Karolem X, przecież dostałem.

Enjolras wzruszył ramionami.

– Kiedy będzie dość karabinów dla dorosłych, wtedy zaczniemy je rozdawać dzieciom.

Gavroche odwrócił się dumnie i rzekł:

– Jeżeli ciebie zabiją przede mną, zabiorę twój.

– Smarkaczu! – krzyknął Enjolras.

– Młokosie! – odrzekł Gavroche.

Jakiś elegant, zabłąkany w tej ulicy, zwrócił ich uwagę.

Gavroche zawołał:

– Chodź do nas, młodzieńcze! Jak to? Nic nie zrobimy dla tej starej ojczyzny?

Elegant uciekł.

Przygotowania

Dzienniki ówczesne, które pisały, że barykada na ulicy Konopnej, ten „bastion prawie nie do zdobycia” – jak ją nazywały – sięgać pierwszego piętra, myliły się. W rzeczywistości jej przeciętna wysokość nie przekraczała sześciu, może siedmiu stóp. Zbudowana była w ten sposób, że walczący mogli albo ukryć się za nią, albo też wejść na szczyt po czterech stopniach z ułożonych na jej wewnętrznej stronie kamieni. Na zewnątrz barykada, składająca się ze stosów kamieni brukowych i beczek połączonych belkami i deskami, które wetknięto w koła wozu po wapnie i przewróconego omnibusu, wyglądała jak najeżony labirynt. Między domami i przeciwległym gospodzie krańcem barykady pozostawiono wąskie przejście na jednego człowieka, dzięki czemu można się było stamtąd wydostać. Dyszel omnibusu, przywiązany sznurami, sterczał prostopadle i na jego szczycie powiewała czerwona chorągiew.

Małej barykady na Zakręcie, ukrytej za domem mieszczącym gospodę, nie było widać. Obie barykady razem tworzyły prawdziwą redutę. Enjolras i Courfeyrac nie uznali za stosowne zamknąć drugą odnogę ulicy Zakręt, prowadzącą przez Dominikańską do Hal, zapewne chcieli zabezpieczyć sobie połączenie z miastem, a od trudnej do sforsowania uliczki Dominikańskiej atak wydawał się im mało prawdopodobny.

Cała robota wykonana była w ciągu godziny bez żadnej przeszkody i nikt z garstki tych dziwnych ludzi nie zobaczył ani bermycy, ani bagnetu. Nieliczni przechodnie, którzy w tym momencie rozruchów mieli jeszcze odwagę zapuścić się w ulicę św. Dionizego, rzuciwszy okiem

w Konopną spostrzegali barykadę i przyśpieszali kroku.

Po skończeniu obu barykad i wywieszeniu chorągwi wyniesiono z gospody stół, na który wszedł Courfeyrac. Enjolras przyniósł kwadratowy kuferek i Courfeyrac otworzył go. Kuferek był pełen naboju. Na ten widok najodważniejszych przeszedł dreszcz i zapanowało milczenie.

Courfeyrac z uśmiechem rozdzielił amunicję.

Każdy dostał po trzydzieści sztuk. Wielu miało proch i ci zabrali się do wyrabiania nowych naboju ze świeżo wytopionych kul. Baryłka prochu stała na osobnym stole przy drzwiach jako rezerwa.

Kiedy barykady były gotowe; stanowiska wyznaczone, karabiny nabite, warty rozstawione, samotni w środku tych strasznych ulic, którymi nikt już nie przechodził, otoczeni murami milczących, Jakby wymarłych domów, gdzie zastygł wszelki ruch, okryci zasłoną gęstniejącego zmierzchu, w tym mroku i w tej ciszy, pełnych tragizmu i grozy, zwiastunach czegoś, co miało nadejść, odcięci od świata, uzbrojeni, zdecydowani, spokojni, powstańcy czekali.

Ochotnik z ulicy des Billettes

Zrobiła się zupełna noc; nic nie nadchodziło. Słyszeć było tylko głuchą wrzawę i czasem strzały, ale rzadkie i dalekie. Ta przedłużająca się zwłoka znaczyła, że rząd spokojnie gromadzi siły. Pięćdziesięciu ludzi czekało na sześćdziesiąt tysięcy.

Enjolras czuł, że ogarnia go zniecierpliwienie, właściwe silnym duszom stojącym u progu groźnych zdarzeń. Poszedł po Gavroche'a, który zajął się wyrobem amunicji w izbie parterowej, przy skąpym świetle dwóch świeczek postawionych przez ostrożność na bufecie, gdyż na stołach rozsypany był proch. W tej chwili Gavroche był bardzo zajęty, ale właściwie nie nabojami.

Mężczyzna z ulicy des Billettes wszedł do izby i usiadł za stołem stojącym w najciemniejszym kącie. Dostał mu się duży karabin, który trzymał między kolanami. Gavroche, pochłonięty dotąd mnóstwem „zabawnych” rzeczy, nie zauważył jeszcze tego człowieka.

Kiedy wszedł, Gavroche machinalnie powiódł za nim oczami, z podziwem przyjrzał się jego karabinowi, a potem, gdy mężczyzna usiadł, chłopiec nagle wstał. Kto by śledził owego mężczyznę aż do tej chwili, dostrzegłby, że przypatrywał się on barykadzie i powstańcom ze szczególną uwagą, lecz odkąd wszedł do gospody, zatonął w myślach i jak gdyby przestał widzieć, co się dokoła niego dzieje. Chłopiec podszedł do zamysłonego jegomościa i zaczął krążyć dokoła niego na palcach, jakby nie chciał go obudzić. Równocześnie jego dziecięca twarz, tak zuchwała i zarazem tak poważna, tak trzpiotowata i tak rozumna, tak wesoła i tak bolesna, grała mimiką dorosłego człowieka, mówiącą: Co znowu?... Nie może być!... Chyba przywidzenie... Skąd mi to przyszło do głowy?... Czyżby to był...? Ależ nie!... A jednak tak!... A jednak nie! – i tak dalej. Gavroche kołysał się na piętach, zaciskał pięści w kieszeniach, poruszał szyją jak ptak i całą swoją przenikliwość wyrażał wysuniętą naprzód dolną wargą. Był zdumiony, niepewny, niedowierzający, przekonany i olśniony. Wszystko w nim pracowało; instynkt, który węszy, i inteligencja, która konstruuje. Najoczywiej przydarzyło się Gavroche'owi coś bardzo ważnego.

Wtedy właśnie zbliżył się do niego Enjolras.

– Jesteś mały – powiedział – i nikt cię nie zobaczy. Wyjdź za barykady, przesun się pod ścianami domów, rozejrzyj się po ulicach i opowiedz mi, co się tam dzieje.

Gavroche wyprostował się.

– Więc i tacy mali na coś się przydają! Całe szczęście! Idę! Ufaj pan małym, ale nie dowierzaj dużym... – Tu Gavroche podniósł głowę, ściszył głos i dodał, pokazując na człowieka z ulicy des Billettes: – Widzi pan tego drągała?

– No i co?

– To policjant.

– Jesteś tego pewny?

– Niecałe dwa tygodnie temu ściągnął mnie za ucho z parapetu na moście Królewskim, gdzie sobie odpoczywałem.

Enjolras szybko opuścił malca i szepnął kilka słów do znajdującego się w izbie robotnika z magazynów wina. Robotnik wyszedł i natychmiast wrócił z trzema innymi. Czterech mężczyzn, czterech tragarzy o szerokich barach, spokojnie, nie zwracając na siebie uwagi, zajęło miejsce za stołem, o który wsparł się łokciem człowiek z ulicy des Billettes; byli gotowi w razie potrzeby rzucić się na niego.

Wówczas podszedł Enjolras i zapytał:

– Kto pan jest?

Na to niespodziane zapytanie człowiek drgnął. Zatopił spojrzenie w jasnych źrenicach Enjolrasa i widocznie odgadł jego myśl. Uśmiechnął się uśmiechem nieskończenie pogardliwym, pełnym energii i determinacji, po czym odpowiedział z wyniosłą powagą:

– Rozumiem, o co chodzi... Tak jest!

– Jesteś szpiclem?

– Jestem wykonawcą władzy.

– Nazywasz się?

– Javert.

Enjolras skinął na czterech ludzi. Nim Javert zdążył się odwrócić, został powalony na ziemię, związany i zrewidowany.

Znaleziono przy nim okrągłą karteczkę oprawioną w dwa szkiełka; z jednej strony widniał herb Francji oraz słowa „Dozór i czujność”, z drugiej napis: „Javert, inspektor policji, lat pięćdziesiąt dwa” i podpis ówczesnego prefekta policji, pana Gisquet.

Miał również zegarek i sakiewkę z paroma sztukami złota. Zostawiono mu pieniądze i zegarek. Za zegarkiem, w głębi kieszonki, znaleziono jeszcze papier złożony we czworo. Enjolras rozwinął go i przeczytał następujące polecenie skreślone własnoręcznie przez prefekta policji:

Bezpośrednio po wykonaniu swojej misji politycznej inspektor Javert zbada dokładnie, czy rzeczywiście złoczyńcy grasują na prawym brzegu Sekwany przy moście Jenajskim.

Po skończonej rewizji podniesiono Javerta, skrępowano mu ręce i z tyłu i przywiązano do sławnego słupa, od którego gospoda niegdyś wzięła swą nazwę.

Gavroche, przypatrujący się tej scenie i wyrażający swoją aprobatę milczącym skinieniem głowy, zbliżył się do Javerta i rzekł:

– To mysz złapała kota.

Na widok przywiązanego do słupa Javerta nadbiegli Courfeyrac, Bossuet, Joly, Combeferre i ludzie z obu barykad.

Javert, przywiązany do słupa tak mocno, że nie mógł się poruszyć, podniósł głowę z nieustraszoną spokojem człowieka, który nigdy nie skłamał.

– To szpicel – rzekł Enjolras.

I obróciwszy się do Javerta, dodał:

– Będziesz rozstrzelany na dziesięć minut przed wzięciem barykady.

Javert odpowiedział najbardziej władczym tonem, jakiego używał:

– Dlaczego nie zaraz?

– Oszczędzamy prochu.

– W takim razie skończcie pchnięciem noża.

– Szpiclu – odpowiedział piękny Enjolras – jesteśmy sędziami, nie mordercami.

Potem zawołał Gavroche'a.

– Ruszaj do roboty! Zrób, co ci kazałem.

– Już idę – rzekł Gavroche.

Zatrzymał się jednak jeszcze na chwilę.

– Żeby nie zapomnieć: dacie mi jego karabin! – zawołał. – Oddaję wam muzykanta, ale klarnet mnie się należy.

Zasalutował i wesoło wsunął się w szczelinę przy wielkiej barykadzie.

Rozdział dwunasty

MARIUSZ WCHODZI W MROK

Z ulicy Plumet do dzielnicy św. Dionizego

Ów głos, który z mroku wezwał Mariusza na barykadę przy ulicy Konopnej, wydał mu się głosem przeznaczenia. Chciał umrzeć, nadarzała się sposobność; stukał do drzwi grobu, jakaś tajemnicza ręka podała mu klucz. Złowrogie korytarze otwierające się w ciemnościach przed rozpaczą są kuszące. Mariusz odsunął żelazny pręt, który go tylokrotnie wpuszczał do ogrodu, wyszedł na ulicę i powiedział: – Chodźmy!

Oszalały z boleści, nie widząc przed sobą nic pewnego, żadnej nadziei, niezdolny nic już przyjąć od losu po tych dwóch miesiącach spędzonych w upojeniu młodości i miłości, przytłoczony rozpaczą, miał teraz tylko jedno pragnienie: skończyć jak najprędzej.

Poszedł szybko przed siebie. Przypadkowo był uzbrojony w pistolety Javerta.

Młody człowiek, który mignął mu przed oczami, znikł gdzieś wśród ulic.

Wyszedłszy z ulicy Plumet bulwarem, Mariusz minął plac i most Inwalidów, Pola Elizejskie, plac Ludwika XV i wszedł na ulicę Rivoli. Sklepy były jeszcze otwarte, gaz palił się pod arkadami, kobiety robiły sprawunki, jedzono lody w kawiarni Laiter i ciastka w cukierni Angielskiej.

Mariusz wszedł przez pasaż Delorme w ulicę św. Honoriusza. Tu sklepy były zamknięte, kupcy rozmawiali przy uchylonych drzwiach, krążyli przechodnie, paliły się latarnie i od pierwszego piętra w górę wszystkie okna były oświetlone jak zwykle. Na placu Pałacu Królewskiego stała konnica.

Mariusz szedł ulicą św. Honoriusza. W miarę jak oddalał się od Pałacu Królewskiego, coraz mniej widział oświetlonych okien; sklepy tu były zamknięte naглуcho, nikt nie rozmawiał na progach, ulica posepniała, a tłum gęstniał. Tu bowiem przechodnie byli tak liczni, że stali się tłumem. Nikt nie mówił w tym tłumie, a jednak szedł od niego szmer głuchy i głęboki.

Na zakręcie ulicy Księżej tłum już nie posuwał się dalej. Tworzył skupioną, potężną, nieprzeniknioną masę ludzi rozmawiających szeptem. Nie było tam prawie czarnych surdutów i okrągłych kapeluszy. Długie kurty, bluzy, czapki, głowy rozczochrane, twarze szare. Za tym gąszczem ludzi, na ulicy Roule, Księżej i na przedłużeniu św. Honoriusza, w żadnym oknie nie płonąła świeca. Samotne, malejące rzędy latarni gubiły się w głębi ulic. Ówczesne latarnie, podobne do dużych czerwonych gwiazd, zawieszonych na sznurach, rzucały na bruk cień w kształcie ogromnego pająka. Ulice te nie były puste. Widać było na nich złożone w kozły karabiny, ruszające się bagnety i biwakujące wojsko. Ciekawość nikogo nie pchnęła do przekroczenia tej granicy. Tu już przechodnie nie krążyli. Tu kończył się tłum, a zaczynała się

armia.

Klucząc zaułkami, doszedł Mariusz do uliczki, która jak sądził, była ulicą Garncarską; na środku uliczki potknął się o przeszkodę. Wyciągnął ręce. Był to przewrócony wóz; Mariusz stapał po kałużach, po rozkopanej ziemi i wyrwach w bruku. Widocznie zaczęto tu stawiać barykadę, lecz ją opuszczono. Przeskoczył przez spiętrzone kamienie bruku i znalazł się po drugiej stronie przeszkody. Szedł pod ścianami domów, według nich się kierując. Niedaleko za barykadą wydało mu się, że widzi coś białego.

Podszedł bliżej i rozpoznał kształty. Były to dwa białe konie; konie z omnibusu, wyprężone rano przez Bossueta, które błąkały się po ulicach przez cały dzień, a teraz stanęły tutaj ze zrezygnowaną cierpliwością bydłat, nie rozumiejących czynów człowieka, jak człowiek nie pojmuje czynów Opatrzności.

Mariusz minął konie i gdy skręcał, jak mu się zdawało, w ulicę Umowy Społecznej, kula, wystrzelona nie wiadomo skąd, świsnęła w ciemności tuż nad jego głową i przebiła mosiężny talerz zawieszony nad sklepem fryzjera. Jeszcze w roku 1846 można było oglądać na ulicy Umowy Społecznej tę przebitą wywieszkę,

Ten strzał był jeszcze jakimś znakiem życia. Od tej chwili Mariusz nic już nie spotykał.

Cała ta jego droga podobna była do zstępowania w dół po czarnych schodach.

Szedł jednak naprzód.

Krawędź

Mariusz dotarł do Hal.

Tu było jeszcze spokojniej, ciemniej i martwiej niż w sąsiednich ulicach. Można było powiedzieć, że lodowaty spokój grobów wyszedł z ziemi i rozpostarł się na jej powierzchni.

Jakiś czerwony blask odcinał wszakże od czarnego tła wysokie dachy domów, które zagradzały ulicę Konopną od strony kościoła św. Eustachego. Był to blask pochodni z barykady Koryntu. Mariusz poszedł w kierunku tej łuny. Zawiodła go ona do Rynku Warzywnego i stamtąd zobaczył ciemny wylot ulicy Dominikańskiej. Wszedł w nią. Posterunek powstańców ustawiony w drugim końcu ulicy nie spostrzegł go. Mariusz czuł, że jest już blisko tego, czego szukał; stapał na palcach.

Doszedł w ten sposób do tej części uliczki Zakręt, którą Enjolras, jak pamiętamy, pozostawił nie zabarykadowaną, aby mieć wyjście na zewnątrz. Wysunął głowę zza węgła ostatniego domu po lewej stronie i zajrzał w głąb tego zaułka.

Tuż za ciemnym rogiem zaułka i ulicy Konopnej, rzucającym szeroką płachtę cienia, która go czyniła niewidzialnym, Mariusz zauważył światelka na bruku, fragment gospody, lampion mrugający we wnęce jakiejś dziwacznej ściany i przykucniętych ludzi z karabinami na kolanach. Dzielilo go od nich niespełna dziesięć sążni. To było wnętrze barykady.

Domy stojące po prawej stronie zaułka zakryły przed nim resztę gospody, wielką barykadę i sztandar.

Mariuszowi pozostało jeszcze zrobić jeden tylko krok.

Nieszczęśliwy młodzieniec usiadł na kamieniu pod bramą, skrzyżował ramiona i zaczął myśleć o swoim ojcu.

Zaczął myśleć o tym bohaterskim pułkowniku Pontmercy, który był tak wspaniałym

żołnierzem, za Republiki bronił granic Francji, a za cesarza dotarł do granic Azji, widział Genuę, Aleksandrię, Mediolan, Turyn, Madryt, Wiedeń, Drezno, Berlin, Moskwę, na polach zwycięskich bitew w całej Europie zostawił krople tej samej krwi, która płynęła w żyłach Mariusza, posiwił przedwcześnie w trudach żołnierskiej dyscypliny i dowództwa, żył nigdy nie odpinając pasa, z frędzlami epoletów spadającymi na pierś, z kokardą poczerniałą od prochu i czołem pooranym zmarszczkami od kasku, w obozowych barakach, na postojach, w ambulansach, aż wreszcie po dwudziestu latach wrócił z wielkich wojen, przynosząc do domu szramę na policzku i twarz uśmiechniętą, prostą, spokojną, budzącą uwielbienie, czysty jak dziecko, zrobiwszy wszystko, co mógł, dla Francji i nic przeciwko niej.

Myślał, że oto nadszedł i jego dzień, że wybiła wreszcie jego godzina, że po ojcu on z kolei będzie teraz odważny, nieustraszony, zuchwały, pójdzie naprzód pod gradem kul, nadstawi pierś na bagnety, będzie przelewać krew, szukać wroga, szukać śmierci; że teraz on ruszy na wojnę i stanie na polu bitwy, a polem bitwy, na którym stanie, jest ulica, a wojna, na którą ruszy, jest wojną domową!

Ujrzał przed sobą wojnę domową niby otwartą otchłań, która za chwilę go pochłonie.

I wówczas zadrżał.

Pomyślał o szpadzie ojca, którą dziadek sprzedał handlarzowi starego żelastwa, a której stary niegdyś nie mógł przeboleć. Mówił sobie, że gdyby teraz miał przy sobie tę szpadę, gdyby zabrawszy ją znad wezglowia zmarłego ojca, ośmielił się jej użyć do nocnej walki ulicznej między Francuzami, na pewno by przepaliła mu dłonie i zapłonęła nad nim jak miecz archanioła! Powinien być szczęśliwy – mówił sobie – że nie ma jej, że zginęła; stało się dobrze i sprawiedliwie, dziadek był prawdziwym stróżem stawy jego ojca, lepiej, że stara szpada pułkownika, sprzedana na licytacji, dostała się w ręce tandeciarza i rdzewiała na stosie żelastwa, niżby miała dziś rozkrwawić ciało ojczyzny.

Udręczony nadmiarem myśli, zwiesił głowę.

Nagle podniósł ją. Bo dokonało się w jego umyśle jakieś potężne sprostowanie. W bliskości grobu myśl rozszerza się, ogarnia więcej, gdy się jest bliskim śmierci, zaczyna się widzieć prawdziwie. Wizja walki, w którą, czuł to, być może wejdzie już za chwilę, pojawiła się przed nim nie żalosna, lecz świetna. Wojna uliczna przeobraziła się niespodzianie, nie wiadomo jaką pracą ducha, przed okiem jego umysłu. Wszystkie hałaśliwe pytajniki marzenia wyłoniły się od nowa, lecz tym razem nie wywołały u niego pomieszania. Na wszystkie miał odpowiedź.

Dlaczego by ojciec miał się oburzać? Czyż nie zdarza się, że powstania urastają do godności obowiązku? W czymże to hańbiąca jest dla syna pułkownika Pontmercy ta walka, która się rozpoczyna? Przywrócić prawdę społeczną, oddać tron wolności, uczynić lud ludem, człowieka władcą, włożyć z powrotem purpurę na głowę Francji, odbudować w całej pełni rozum i sprawiedliwość, wyplenić wszelkie ziarno antagonizmu, oddając każdemu jego godność, usunąć przeszkodę, jaką jest monarchia, na drodze do powszechnego pokoju, zrównać ludzkość wobec prawa – jaka sprawa może być sprawiedliwsza, i jaka zatem wojna wznioślejsza? Takie wojny budują pokój. Potężna twierdza przesądów, przywilejów, zabobonów, kłamstw, łupiestw, nadużyć, gwałtów, mroków wznosi jeszcze nad światem swoje wieże zbudowane z nienawiści. Trzeba ją zburzyć. Niechaj runie ta masywna ohyda. Jest wielkość w zwycięstwie pod Austerlitz, ale w zdobyciu Bastylli jest ogrom niezmierny.

Podczas gdy tak rozmyślał, przygnębiony, lecz już zdecydowany, a mimo wszystko pełen jeszcze niepewności i drżący na myśl o tym, co miał uczynić, spojrzenie jego błędziło po wnętrzu barykady. Powstańcy rozmawiali półgłosem, nie ruszając się, i dawała się tam odczuć ta cisza, która oznacza ostatni moment oczekiwania.

Rozdział trzynasty

WIELKOŚĆ ROZPACZY

Sztandar – akt pierwszy

Nic jeszcze nie nadchodziło. Na wieży św. Mederyka wybiła dziesiąta. Enjolras i Combeferre z karabinami w ręku usiedli w przejściu koło wielkiej barykady. Nie mówili do siebie; słuchali, czy nie doleci ich uszu choćby najbardziej stłumiony i daleki odgłos kroków.

Nagle wśród tej złowrogiej ciszy rozległ się głos świeży, młody, wesoły, który zdawał się dochodzić z ulicy św. Dionizego i śpiewał na melodię znanej, starej piosenki *Przy świetle księżycy* te słowa, zakończone okrzykiem naśladującym pianie koguta:

*Mokro jest mi w nosie,
Mój drogi Bugeaud.
Mam mały donosik,
Gdzie żandarmi są.*

*Niebieskie mundury –
Pełno ich jest tu.
A na czapkach kury –
Ku-kukuryku!*

Ścisnęli się za ręce.

– To Gavroche – rzekł Enjolras.

– Ostrzega nas – rzekł Combeferre.

Tupot biegnących nóg zakłócił spokój pustej ulicy, jakieś stworzenie zwinniejsze od linoskoczka wdrapało się na omnibus i zdyszany Gavroche zeskoczył z barykady wołając:

– Dajcie karabin! Idę!

Elektryczny wstrząs przebiegł przez barykadę, słyhać było ruchy rąk chwytających za broń.

– Chcesz mój? – zapytał chłopca Enjolras.

– Wolę ten duży – odpowiedział Gavroche.

I wziął karabin Javerta.

Dwaj wartownicy wycofali się i wrócili tuż za Gavroche'em. Jeden był to powstaniec z narożnego posterunku, drugi z ulicy Małej Żebraczej. Wartownik z Dominikańskiej pozostał na stanowisku, co wskazywało, że od strony mostów i Hal nic nie nadchodzi.

Ulica Konopna, z której bruku widać było w świetle padającym na sztandar tylko kilka kamieni, wyglądała jak jakieś wielkie czarne drzwi otwarte w kłębach dymu.

Wszyscy zajęli swoje stanowiska.

Czterdziestu trzech powstańców, a wśród nich Enjolras, Combeferre, Courfeyrac, Bossuet, Joly, Bahorel i Gavroche, ukłękło za barykadą, głową sięgając jej krawędzi, z lufami strzelb i karabinów opartymi o kamienie jak w strzelnicach; baczni, milczący, gotowi do strzału. Sześciu pod dowództwem Feuilly'ego stanęło ze strzelbami przy twarzy w oknach obu pięter Koryntu.

Upłynęło jeszcze kilka chwil, potem dał się wyraźnie słyszeć od strony Saint-Leu odgłos kroków miarowych, ciężkich, tłumnych. Hałas ten, zrazu słaby, później wyraźny, wreszcie głośny i dudniący, zbliżał się z wolna, uparcie, bez przerwy, ze spokojną i straszną nieustannością. Nic innego nie dało się słyszeć. Była to jednocześnie cisza i stąpanie posągu Komandora, ale ten kamienny krok miał w sobie coś olbrzymiego i wielokrotnego, co przywodziło na myśl zarazem obraz tłumu i obraz widma, jak gdyby nadchodził przerażający posąg istoty, której imię jest Legion. Te kroki stawały się bliższe, coraz bliższe i w końcu stanęły. Zdawało im się, że z końca ulicy słychać oddech wielu ludzi. Jednakże nic nie było widać, tylko daleko w gęstych ciemnościach połyskiwało mnóstwo metalowych nitek cienkich jak igły, prawie niedostrzegalnych; drgały one, przypominając fosforyczne sieci, które w chwili zasypiania widzimy pod zamkniętymi powiekami wśród pierwszych oparów snu. Były to bagnety i lufy karabinów, niewyraźnie oświetlone dalekim odblaskiem pochodni.

Nastąpiła przerwa, jakby z obu stron jeszcze czekano. Nagle z głębi mroku przemówił głos tym bardziej złowrogi, że nie było widać mówiącego, jak gdyby to się odezwały same ciemności. Głos ten zawołał:

– Kto tam?

Równocześnie dał się słyszeć chrzęst opuszczanych karabinów.

Enjolras odpowiedział donośnie i z dumą:

– Rewolucja francuska!

– Ognia! – zakomenderował głos.

Błyskawica przemknęła czerwienią przez wszystkie fasady domów, jakby nagle otworzyły się i zamknęły drzwi rozżarzonego pieca.

Straszliwa detonacja wstrząsnęła barykadą. Czerwona chorągiew upadła. Salwa była tak gwałtowna i gęsta, że złamała drzewce, czyli wierzchołek dyszla omnibusu. Kule, odbite od ścian domów, upadły za barykadę i raniły kilku ludzi.

Pierwsza salwa zmroziła wszystkich. Uderzenie było nie byle jakie i nawet najodważniejsi mieli się nad czym zastanowić. Naprzeciw nich stał z pewnością co najmniej pułk.

– Towarzysze – zawołał Courfeyrac – nie marnujmy prochu. Czekajmy, aż wejdą w ulicę.

– A przede wszystkim – powiedział Enjolras – podnieśmy sztandar!

I schylił się po sztandar, który upadł u jego stóp.

Po drugiej stronie słychać było uderzenia stempli w lufach; wojsko nabijało broń.

Enjolras odezwał się znowu:

– Kto jest odważny? Kto na nowo zawiesi sztandar nad barykadą?

Nikt nie odpowiedział. Wejście na barykadę, w chwili kiedy żołnierze na pewno znowu do niej celowali, oznaczało po prostu śmierć. Najdzielniejszy nawet człowiek waha się, nim dobrowolnie pójdzie na pewną zagładę. Sam Enjolras zadrżał. Powtórzył:

– Nikt się nie zgłasza?

Sztandar – akt drugi

Odkąd powstańcy przybyli do Koryntu i zabrali się do stawiania barykady, nikt już nie zwracał uwagi na ojca Mabeuf. Pan Mabeuf nie opuścił jednak oddziału. Wszedł do parterowej sali gospody i usiadł za ladą. Tu jakby unicestwił się w sobie. Przestał już patrzeć i myśleć. I Courfeyrac, i inni podchodzili do niego kilka razy, przestrzegając przed niebezpieczeństwem, namawiając, żeby sobie poszedł, ale mieli wrażenie, że ich nie słyszy. Kiedy nikt do niego nie mówił, wargi starca poruszały się, jakby odpowiadał, a kiedy się do niego odzywano, usta mu nieruchomiały i oczy traciły wszelki wyraz życia; Od kilku godzin siedział w tej samej pozie, z pięściami na kolanach i głową zwieszoną w dół, jakby spoglądał w przepaść. Nic go już nie zdołało poruszyć; duch jego zdawał się błędzić daleko od barykady. Kiedy powstańcy zajmowali swoje posterunki w gospodzie, na dole został tylko Javert przywiązany do słupa, powstaniec z obnażoną szablą, pilnujący Javerta, i on, Mabeuf. W chwili ataku detonacja dotarła do niego. Jak obudzony ze snu, podniósł się nagle, przeszedł przez salę i gdy Enjolras powtarzał swoje wezwanie: – Nikt się nie zgłasza? – ujrano starca stojącego na progu gospody.

Jego widok zrobił duże wrażenie. Zaczęto wołać:

– To jeden z tych, co głosowali, poseł do Konwentu! To przedstawiciel ludu!

Prawdopodobnie nie słyszał tych okrzyków.

Szedł prosto do Enjolrasa, między powstańcami rozstępującymi się przed nim z religijną czcią. Wyrwał sztandar z rąk Enjolrasa, który cofał się oniemiały. Nikt nie miał odwagi ani przeszkodzić, ani pomóc temu osiemdziesięcioletniemu starcowi, gdy z trzęsącą się głową, ale pewnym krokiem zaczął wchodzić powoli po kamiennych schodach barykady. Było to tak niesamowite i tak wspaniałe, że wszyscy dokoła krzyknęli: – Zdjąć czapki! – Za każdym stopniem, na który wchodził, widok nabierał coraz większej grozy: jego białe włosy, zgrzybiała twarz, jego wysokie, łyse i pomarszczone czoło, zapadłe oczy, usta zdziwione i otwarte, starcze ramię podnoszące czerwony sztandar wylaniały się z cienia i olbrzymiały w krwawym blasku pochodni; zdawało się, że to duch roku 1793 wychodzi spod ziemi ze sztandarem terroru w ręku.

Kiedy był już na najwyższym schodku, kiedy ten duch, drżący i straszliwy, stojący na tym szańcu z rupieci i brukowców, naprzeciw tysiąca dwustu niewidocznych karabinów, wyprostował się, stawiając czoło śmierci, jakby był silniejszy od niej, cała barykada nabrała w ciemnościach rozmiarów nadnaturalnych i olbrzymich.

Nastała cisza, jaka zapada w obliczu cudów.

Wśród tej ciszy starzec potrząsnął czerwonym sztandarem i krzyknął:

– Niech żyje rewolucja! Niech żyje Republika! Braterstwo, równość i śmierć!

Powstańcy za barykadą usłyszeli cichy i szybki szept, podobny do modlitwy księdza, któremu się śpieszy. Był to zapewne głos komisarza policji, który z drugiego końca ulicy przywoływał starca do porządku.

Następnie ten sam przeraźliwy głos, który przedtem krzyknął: „Kto tam?”, zawołał:

– Cofnąć się!

Pan Mabeuf, silny, z dzikim spojrzeniem, ze źrenicami rozjaśnionymi ponurymi ogniami obłędu, podniósł sztandar nad głową i powtórzył:

– Niech żyje Republika!

– Ognia! – rozkazał głos.

Druga salwa, podobna do ognia kartaczowego, spadła na barykadę.

Starzec zgiął kolana, potem się podniósł, wypuścił sztandar i upadł w tył, na bruk, prosto jak

deska, z rozkrzyżowanymi rękami.

Krew chlusnęła strumieniem spod jego ciała. Stara głowa, blada i smutna, zdawała się patrzeć w niebo.

Jedno z tych wzruszeń silniejszych od woli człowieka, które sprawiają, że zapomina się nawet o obronie, zawładnęło powstańcami; zbliżyli się do trupa z lękiem i szacunkiem.

– Co to za ludzie ci królobójcy! – rzekł Enjolras. Courfeyrac pochylił się do ucha Enjolrasa:

– Coś ci powiem, ale tylko tobie, bo nie chcę osłabiać entuzjazmu. To nie był żaden królobójca, ja go znałem. Nazywał się ojciec Mabeuf. Nie wiem, co mu się dzisiaj stało. To był sobie taki poczciwy niedołęga. Spójrz na jego twarz.

– Głowa niedołęgi, a serce Brutusa – odpowiedział Enjolras.

Po czym podniósł głos:

– Obywatele! Oto przykład, jaki starzy dają młodym. Wahaliśmy się, on przyszedł! Cofnęliśmy się, on poszedł naprzód! Oto, czego ci, którzy drżą ze starości, uczą tych, którzy drżą ze strachu! Ten starzec jest dostojny w obliczu ojczyzny. Miał długie życie i wspaniałą śmierć! Teraz zabierzmy jego zwłoki, niech każdy z nas broni tego martwego starca, tak jakby bronił swojego żywego ojca, i niech jego obecność wśród nas uczyni tę barykadę niezdobytą! Szmer aprobaty pełnej smutku i energii przyjął jego słowa. Enjolras schylił się, uniósł głowę starca i z powagą ucałował go w czoło, a następnie, odsuwając mu ręce i dotykając umarłego z tkliwą ostrożnością, jakby się bał, żeby mu nie zrobić krzywdy, zdjął z niego surdut, pokazał wszystkim jego krwawe dziury i powiedział:

– Oto jest nasz sztandar.

Gavroche lepiej by zrobił, gdyby wziął karabin Enjolrasa

Na ciało ojca Mabeuf zarzucono długi czarny szal wdowy Hucheloup. Sześciu ludzi zrobiło ze strzelb nosze, złożyli na nich zwłoki i z odkrytymi głowami, powoli, uroczyście zanieśli je do izby na parterze i złożyli na dużym stole.

Ludzie ci, zajęci poważną i świętą czynnością, zupełnie zapomnieli o swoim niebezpiecznym położeniu.

Kiedy zwłoki niesiono obok obojętnego na wszystko Javerta, Enjolras rzekł do szpiega:

– Zaraz nadejdzie twoja kolej.

Tymczasem małemu Gavroche'owi, który jedyny nie opuścił stanowiska i czuwał, wydało się, że jacyś ludzie idą cichymi krokami ku barykadzie. Nagle zawołał:

– Baczość!

Courfeyrac, Enjolras, Jan Prouvaire, Combeferre, Joly, Bahorel, Bossuet i inni wypadli z gospody. Był już najwyższy czas. Ujrzano iskrzący się gąszcz bagnatów, który falował nad barykadą. Rośli gwardziści municypalni wdzierali się do środka, jedni po omnibusie, inni przez przejście pod ścianą. Chłopiec cofał się przed nimi, ale nie uciekał.

Chwila była krytyczna. Była to ta pierwsza minuta powodzi, kiedy rzeka przybiera do wysokości tamy i woda zaczyna sączyć się przez szczeliny. Jeszcze sekunda, a barykada byłaby zdobytą.

Bahorel rzucił się na pierwszego gwardzistę, który stanął na jej szczycie, i zabił go wystrzałem

z karabinu; drugi gwardzista zabił Bahorela pchnięciem bagnetu. Inny powalił już Courfeyraca, który wołał: – Do mnie! – Najwyższy ze wszystkich, rodzaj olbrzyma, szedł z bagnetem na Gavroche’a. Chłopiec podniósł małymi dłońmi ogromny karabin Javerta, rezolutnie zmierzył do olbrzyma i pociągnął za kurek. Karabin nie wystrzelił. Javert nie nabił go. Gwardzista zaśmiał się i podniósł bagnet na dzieciaka.

Lecz zanim bagnet dotknął Gavroche’a, karabin wypadł z rąk żołnierza, kula trafiła go w środek czoła i powaliła na wznak. Druga kula ugodziła w piersi innego gwardzistę, który walczył z Courfeyrakiem, i ten runął na bruk.

To Mariusz wszedł na barykadę.

Baryłka prochu

Mariusz z ukrycia za węglem ulicy Zakręt patrzył na początek walki, niezdecydowany i drżący. Nie mógł jednak długo opierać się tajemniczemu i wszechwładnemu przyciąganiu, które nazwać by można wołaniem przepaści. Patrząc na zbliżające się niebezpieczeństwo, na śmierć pana Mabeuf, tę posępną zagadkę, i na śmierć Bahorela, słysząc wołanie Courfeyraca: „Do mnie!” i widząc zagrożone dziecko, przyjaciół, którzy oczekiwali, żeby im pomógł albo ich pomścił – przestał się wahać i rzucił się do walki z dwoma pistoletami w rękę. Pierwszym strzałem ocalił Gavroche’a, drugim oswobodził Courfeyraca.

Na odgłos strzałów, na krzyk padających gwardzistów oblegający wdarli się na barykadę i z jej szczytu wylaniał się teraz cały tłum żołnierzy z gwardii miejskiej, oddziałów liniowych i gwardii narodowej podmiejskiej, wychylonych do połowy ciała, z karabinami w rękach.

Pokrywali już przeszło dwie trzecie barykady, ale nie przeskakiwali na drugą stronę, jakby w obawie przed zasadzką. Zaglądali w ciemne wnętrza jak do jaskini lwa. Błyski pochodni oświetlały tylko bagnety, bermyce i niespokojne, gniewne oczy.

Mariusz nie miał już naboji, odrzucił wystrzelone pistolety, ale zobaczył przy drzwiach gospody baryłkę z prochem.

Kiedy odwracał się, patrząc w tę stronę, jakiś żołnierz wycelował w niego. W tej samej chwili czyjaś ręka zakryta lufą karabinu. To przyskoczył młody robotnik w welwetowych spodniach. Strzał padł, przeszył mu rękę, a może nie tylko rękę, bo młody człowiek przewrócił się, ale kula nie dosięgła Mariusza. Wśród gęstego dymu nikt prawie tego nie zauważył. Mariusz wchodził właśnie do izby i ledwie spostrzegł, co się stało.

Powstańcy, zaskoczeni wprawdzie, nie dali się zastraszyć i prędko opamiętali. Enjolras zawołał: – Czekajcie! Nie strzelać na ślepo! – W istocie, w pierwszym zamieszaniu mogli ranić jedni drugich. Większa ich część stanęła w oknach pierwszego piętra i na poddaszu, skąd górowali nad nacierającymi. Najodważniejsi, z Enjolrasem, Courfeyrakiem, Janem Prouvaire i Combeferre’em, dumnie oparli się o ściany domów, niczym nie osłonięci, i stali naprzeciw żołnierzom i gwardzistom, wychylającym się spoza barykady.

Dokonało się to wszystko bez pośpiechu, z dziwną i groźną powagą, która poprzedza bitwy. Przeciwnicy celowali do siebie z tak bliska, że mogliby ze sobą rozmawiać. Kiedy miała paść iskra, oficer w haftowanym kołnierzu, z ogromnymi epoletami, wyciągnął szablę i zawołał:

– Złóżcie broń!

– Ognia! – rozkazał Enjolras.

Strzały z obydwóch stron padły jednocześnie i wszystko zasłonił dym.

Dym ostry i duszący, w którym z głuchym i słabym jękiem czołgali się konający i ranni.

Kiedy dym opadł, ujrzano przerzedzone szeregi walczących, którzy nie ustąpiwszy z miejsca, w milczeniu nabijali broń.

Nagle rozległ się grzmiący głos:

– Precz stąd albo wysadzę barykadę w powietrze!

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Mariusz wszedł do gospody, zabrał beczułkę z prochem i wykorzystując dym oraz tę jakby mgłę, która wypełniła oszańcowane wnętrza, podczołgał się pod barykadą aż do kamiennej wnęki, gdzie umieszczona była pochodnia. Wyrwać pochodnię, postawić we wnęcie baryłkę, podsunąć stos kamieni pod baryłkę, której denko wyskoczyło natychmiast z niesamowitym posłuszeństwem, wszystko to zajęło Mariuszowi tyle czasu, ile trzeba, żeby się schylić i wyprostować. Teraz wszyscy, gwardziści narodowi, gwardziści miejscy, oficerowie i żołnierze, zebrani na drugim końcu barykady, patrzyli w osłupieniu, jak jedną nogą oparty na spiętrzonych kamieniach, z pochodnią w ręku, z twarzą rozświetloną ponurą determinacją, Mariusz pochyła płomień pochodni ku strasznej wnęcie, w której widać było otwartą baryłkę prochu, i woła przerażającym głosem:

– Precz stąd albo wysadzę barykadę w powietrze! Mariusz, tu, na tej barykadzie, po osiemdziesięcioletnim starcu, był uosobieniem młodej rewolucji po ukazaniu się starej.

– Wysadzisz barykadę – zawołał sierżant – ale i siebie!

Mariusz odpowiedział:

– I siebie!

I zbliżył pochodnię do baryłki z prochem.

Ale na barykadzie nie było już nikogo. Napastnicy, porzuciwszy swoich zabitych i rannych, biegli w nieładzie, jeden przez drugiego ku krańcowi ulicy i znowu roztapiali się w ciemnościach. Ogarnął ich popłoch.

Barykada była wolna.

Koniec poezji Jana Prouvaire'a

Wszyscy otoczyli Mariusza. Courfeyrac rzucił mu się na szyję.

– Więc przyszedłeś!

– Co za szczęście! – zawołał Combeferre.

– Zjawiliś się w samą porę! – rzekł Bossuet.

– Gdyby nie ty, już bym nie żył – wtrącił Courfeyrac.

– Gdyby nie pan, tobym wsiąkł! – dodał Gavroche.

Mariusz zapytał:

– Kto jest dowódcą?

– Ty – rzekł Enjolras.

Żar, który przez cały dzień palił jego mózg, ustąpił teraz miejsca wirowi i Mariusz miał uczucie, że ten wir jest gdzieś na zewnątrz niego i unosi go. Dzielili go już od życia niezmierna odległość. Dwa jasne miesiące radości i miłości nagle zakończyły się tą straszną bezdenną przepaścią; Kozeta była dla niego stracona, pan Mabeuf dał się zabić za Republikę, on sam został

dowódcą powstańców; wszystko to chwilami wydawało mu się potwornym snem. Musiał wyteżać umysł, żeby sobie przypomnieć, że to, co go otacza, jest rzeczywistością. Patrzył na własny dramat jak na niezrozumiałą sztukę.

W tym zamroczeniu umysłu nie poznał Javerta, który przywiązany do słupa, nie odwróciwszy głowy, podczas szturm na barykadę przyglądał się otaczającej go rewolcie z rezygnacją męczennika i majestatem sędziego. Mariusz nawet go nie spostrzegł.

Tymczasem napastnicy nie ponawiali ataku, słychać było tylko ruch i kroki w końcu ulicy, nikt się jednak w nią nie zapuszczał; czekali może na rozkazy albo posiłki, by rzucić się znowu na tę niezdobytą redutę. Powstańcy rozstawili posterunki, a niektórzy z nich, studenci medycyny, zabrali się do opatrywania rannych.

Z gospody wyrzucono stoły, prócz dwóch, na których leżały szarpie i naboje, oraz stołu, na którym spoczywał ojciec Mabeuf.

Ustawiono je na barykadzie i zamiast nich rozłożono w izbie parterowej materace z łóżek matki Hucheloup i służących. Na tych materacach położono rannych. Nikt nie wiedział, co się stało z trzema nieszczęsnymi mieszkankami Koryntu, aż wreszcie znalazły się w piwnicy.

Bolesne wzruszenie zachmurzyło radość ocalonej barykady. Zarządzony został apel. Jednego z powstańców brakowało. Którego? Jednego z najdroższych, jednego z najdzielniejszych, Jana Prouvaire'a. Szukali go wśród rannych – na próżno; szukali między poległymi – i tam go nie było. Widocznie dostał się do niewoli.

Combeferre powiedział do Enjolrasa:

– Mają naszego przyjaciela; my mamy ich agenta. Czy bardzo ci zależy na śmierci tego szpicla?

– Tak – odpowiedział Enjolras – ale mniej niż na życiu Jana Prouvaire'a.

Działo się to w izbie na parterze, przy słupie, do którego przywiązany był Javert.

– A więc – rzekł Combeferre – przywiążę białą chustkę do laski i pójdę jako parlamentariusz zaproponować im wymianę jeńców.

– Posłuchaj – rzekł Enjolras, kładąc rękę na ramieniu Combeferre'a.

Z końca ulicy dochodził charakterystyczny szczeł broni. Męski głos zawołał:

– Niech żyje Francja! Niech żyje przyszłość!

Poznano głos Prouvaire'a.

Mignęła błyskawica i rozległ się strzał.

I znów zapanowała cisza.

– Zabili go! – zawołał Combeferre.

Enjolras spojrzął na Javerta i rzekł:

– Twoi przyjaciele rozstrzelali cię.

Agonia śmierci po agonii życia

Osobliwością tego rodzaju wojny jest to, że szturm do barykad odbywa się prawie zawsze od przodu i że oblegający unikają zwykle okrążania pozycji, ponieważ lękają się zasadzek albo też nie mają odwagi zapuścić się w kręte uliczki. Czujność powstańców zwrócona więc była w stronę wielkiej barykady, której niewątpliwie groziło niebezpieczeństwo i gdzie na pewno walka miała rozpocząć się od nowa. Mariusz jednak pomyślał także o małej barykadzie i poszedł ją

obejrzeć. Była pusta i strzeżona jedynie przez lampion chwiejący się między kamieniami. Uliczka Zakręt i rozgałęzienia Łabędziej i Małej Żebraczej były zresztą zupełnie spokojne.

Kiedy Mariusz powracał po skończonym przeglądzie, usłyszał słaby głos wołający go z ciemności:

– Panie Mariuszu!

Zadrżał, gdyż poznał głos, który przed dwiema godzinami zawołał go przez kratę na ulicy Plumet.

Teraz jednak głos ten był słaby jak oddech.

Rozejrzał się, ale nie zobaczył nikogo.

Sądził, że się myli i że to było złudzenie, dodane przez jego wyobraźnię do tych wszystkich niezwykłych wydarzeń, które kłębiły się dokoła niego. Ruszył naprzód, żeby wyjść z kąta między murami, gdzie stała barykada.

– Panie Mariuszu! – powtórzył głos.

Tym razem nie mógł wątpić, usłyszał wyraźnie; popatrzył dokoła i nic nie zobaczył.

– U pana stóp – powiedział głos.

Schylił się i zobaczył w cieniu jakiś kształt, który się ku niemu czołgał. Coś pełzło po bruku i właśnie to coś odzywało się do niego.

Światło lampionu pozwoliło mu dostrzec bluzę, podarte welwetowe spodnie, bose nogi i wielką plamę wyglądającą jak kałuża krwi. Zobaczył również bladą twarz, która podniosła się ku niemu i zapytała:

– Pan mnie nie poznaje?

– Nie.

– Jestem Eponina.

Mariusz schylił się szybko. Była to rzeczywiście ta nieszczęśliwa dziewczyna, przebrana za mężczyznę.

– Jak się tu dostałaś? Co tu robisz?

– Umieram – odpowiedziała.

Są słowa i zdarzenia, które budzą z największego przygnębienia. Mariusz zawołał, jakby zerwawszy się ze snu:

– Jesteś ranna! Poczekaj, zaniosę cię do izby. Opatrzę cię. Czy to ciężka rana? Jak cię mam wziąć, żeby nie urazić? Gdzie cię boli? Na pomoc! Mój Boże! Ale po coś tu przyszła?

I usiłował wsunąć ramię pod jej plecy, żeby ją podnieść. Podnosząc dziewczynę dotknął jej ręki. Eponina wydała słaby okrzyk.

– Czy cię uraziłem? – zapytał Mariusz.

– Trochę.

– Przecież dotknąłem tylko ręki.

Podniosła dłoń do jego oczu i Mariusz zobaczył na środku tej dłoni czarną dziurę.

– Co się stało z twoją ręką? – zapytał.

– Przebita.

– Przebita?

– Tak.

– Czym?

– Kulą.

– W jaki sposób?

– Czy widział pan karabin wycelowany w pana?

– Tak, i widziałem też rękę, która zakryła lufę.

– To była moja ręka.

Mariusz zadrżał.

– Co za szaleństwo! Biedne dziecko! Ale tym lepiej, to niegroźna rana, pozwól, zaniosę cię na łóżko. Zrobię ci opatrunek, nie umiera się od przebitej dłoni.

Eponina szepnęła:

– Kula przeszła rękę, ale wyszła przez plecy. Już nie warto mnie stąd zabierać. Powiem panu, jak pan może mi zrobić lepszy opatrunek niż chirurg. Niech pan siądzie przy mnie na tym kamieniu.

Usłuchał; Eponina położyła głowę na jego kolanach i nie patrząc na niego, powiedziała:

– O, jak dobrze. Jak mi przyjemnie. Już nic nie boli.

Przez chwilę leżała w milczeniu, potem z wysiłkiem odwróciła twarz i spojrzała na Mariusza.

– Wie pan, panie Mariuszu, drażniło mnie, że pan wchodzi do tego ogrodu. To nie miało żadnego sensu, bo przecież sama pokazałam panu ten dom i powinnam była zrozumieć, że młody człowiek taki jak pan...

Przerwała i nie kończąc smutnej myśli, która ją zapewne nurtowała, dodała z rozdzierającym uśmiechem:

– Uważał pan, że jestem brzydka, prawda?

I mówiła dalej:

– Widzi pan, jest pan zgubiony! Nikt już teraz nie wyjdzie z tej barykady. I to ja pana tu sprowadziłam. Umrze pan na pewno. Ale kiedy widziałam, że żołnierz do pana celuje, zasłoniłam mu wylot lufy. To było śmieszne, ale chciałam umrzeć przed panem. Kiedy kula mnie trafiła, przyczołgałam się w to miejsce; nikt mnie nie zauważył i nie zabrali mnie. Czekałam na pana i mówiłam sobie: czy on nie przyjdzie? Ach, gdyby pan wiedział! Gryzłam swoją bluzę, tak mnie bolało. Teraz jest mi już dobrze. Kiedyś dał mi pan pięć franków, a ja powiedziałam, że nie chcę pańskich pieniędzy. Czy pan je przynajmniej wtedy podniósł? Przecież pan nie jest bogaty. Powinien był pan podnieść, nie przyszło mi do głowy, żeby to panu powiedzieć. Słońce tak pięknie świeciło, było ciepło. Pamięta pan, panie Mariuszu? Ach, jestem szczęśliwa! Wszyscy umrą.

Mariusz patrzył z głębokim współczuciem na to nieszczęsne stworzenie.

– Ach – zawołała nagle – ból wraca. Duszę się! – Zaczęła gryźć swoją bluzę, jej nogi coraz sztywniej wyciągały się na bruku.

W tej właśnie chwili koguci głos małego Gavroche'a rozległ się na barykadzie. Chłopiec wszedł na stół, aby nabić karabin, i śpiewał wesoło popularną wówczas piosenkę:

*Gdy się pokaże Lafayette,
Wszyscy żandarmi krzyczą wnet:
Kto żyje, w nogi!
Kto żyje, w nogi!*

Eponina podniosła się, posłuchała i szepnęła:

– To on.

I zwracając się do Mariusza, powiedziała:

– Tam jest mój brat. Nie chcę, żeby mnie zobaczył. Jeszcze mnie zwymyśla.

– Twój brat? – zapytał Mariusz, który w tej chwili ogromnej goryczy i smutku myślał o obowiązkach, jakie ojciec przekazał mu względem Thénardierów. – Kto jest twoim bratem?

– Ten mały.

– Ten, który śpiewa?

– Tak.

Mariusz poruszył się.

– O nie, niech pan nie odchodzi – powiedziała – to już nie potrwa długo. – Podniosła się nieco, ale głos jej był bardzo cichy i przerywany czkawką. Chwilami rżenie nie pozwalało jej mówić. Zbliżyła, ile tylko mogła, swoją twarz do twarzy Mariusza i odezwała się jakimś dziwnym tonem:

– Niech pan posłucha, nie chcę panu zrobić na złość. Mam w kieszeni list do pana. Od wczoraj. Kazano mi odnieść go na pocztę. Schowałam list. Nie chciałam, żeby doszedł do pana. Ale może miałby pan do mnie o to żal tam, gdzie się już niedługo spotkamy. Bo się zobaczymy, prawda? Niech pan weźmie swój list.

Konwulsyjnie schwyciła dłoń Mariusza przebitą ręką, lecz zdawała się nie czuć już bólu. Włożyła dłoń Mariusza do kieszeni swej bluzy.

Mariusz dotknął kartki papieru.

– Niech pan weźmie – powiedziała.

Mariusz wziął list.

Skinęła głową na znak zadowolenia i zgody.

– Ale za to przyrzeknie mi pan...

Zatrzymała się.

– Co? – zapytał Mariusz.

– Niech mi pan przyrzeknie!

– Przyrzekam.

– Niech mi pan przyrzeknie, że mnie pan pocałuje w czoło, kiedy umrę. Poczuję to i po śmierci.

Głowa Eponiny opadła na kolana Mariusza, powieki zamknęły się.

Miał wrażenie, że jej biedna dusza już uleciała. Leżała bez ruchu.

Nagle otworzyła powoli oczy, w których ukazała się posepna głębia śmierci, i powiedziała głosem, którego tkliwość zdawała się przychodzić już z innego świata:

– Bo widzi pan, panie Mariuszu, zdaje mi się, że byłam w panu trochę zakochana.

Spróbowała jeszcze uśmiechnąć się i skoła.

Gavroche, głęboki rachmistrz odległości

Mariusz dotrzymał obietnicy. Złożył pocałunek na bladym czole, na którym perlił się zimny pot.

Nie była to niewierność względem Kozety, lecz pełne zadumy i tkliwe pożegnanie nieszczęśliwej duszy.

Nie bez drżenia wziął list, który mu oddała Eponina. Odgadł, że zawiera coś ważnego. Pragnął go przeczytać jak najprędzej. Takie już jest serce ludzkie – ledwie biedna dziewczyna zamknęła oczy, Mariusz myślał o rozwinięciu tej kartki.

Ostrożnie złożył Eponinę na ziemi i odszedł. Coś szeptało mu, że przy jej zwłokach nie powinien czytać tego listu.

Zbliżył się do świecy w izbie na parterze. Był to bilecik złożony i zapieczętowany z wytworną starannością kobiecą. Adres, pisany ręką kobiety, był taki:

Pan Mariusz Pontmercy, u pana Courfeyraca

Złamał pieczętkę i przeczytał:

Ukochany mój!

Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczór będziemy na ulicy Człowieka Zbrojnego 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.

Kozeta

4 czerwca

Taka była niewinność ich miłości, że Mariusz nie znał nawet pisma Kozety.

W kilku słowach da się opowiedzieć, co zaszło. Wszystko było sprawką Eponiny. Po wieczorze trzeciego czerwca dręczyły ją nieustannie dwie myśli: jak przeszkodzić zamiarom jej ojca i bandytów wobec domu przy ulicy Plumet i jak rozłączyć Mariusza z Kozetą. Zamieniła swoje łańchmany z pierwszym napotkanym ulicznikiem, który myśl przebrania się za kobietę przyjął jako dobry kawał, i włożyła na siebie męskie ubranie. Ona to dała Janowi Valjean na Polu Marsowym wymowną przestrożę: Wyprowadźcie się! Jan Valjean powrócił do domu i powiedział do Kozety: „Przenosimy się dziś wieczór razem z Toussaint na ulicę Człowieka Zbrojnego. W przyszłym tygodniu będziemy w Londynie”. Zdruzgotana tą niespodziewaną decyzją, Kozeta skreśliła naprędce kilka słów do Mariusza. Ale jak oddać list na pocztę? Sama nie wychodziła, a Toussaint, zdumiona takim zleceniem, pewnie pokazałaby list panu Fauchelevant.

Wśród tej rozterki Kozeta spostrzegła przez kratę Eponinę, która przebrana za chłopca krążyła teraz nieustannie w okolicach ogrodu. Kozeta przywołała „młodego robotnika” i wsunęła mu w rękę pięć franków oraz list, ze słowami: – Zanieście ten list natychmiast według adresu. – Eponina schowała list do kieszeni. Nazajutrz, piątego czerwca, poszła do Courfeyraca rozpytać się o Mariusza, nie żeby mu oddać list, ale co łatwo pojmie każda dusza zakochana i zazdrosna, żeby „popatrzeć”. Tu czekała na Mariusza, a przynajmniej na Courfeyraca. Kiedy Courfeyrac powiedział: – Idziemy na barykady! – przyszła jej nagle do głowy pewna myśl. Rzucić się w tę śmierć, jak była gotowa rzucić się w każdą inną, i wtrącić w nią Mariusza. Poszła za Courfeyrakiem, zapamiętała sobie, gdzie zabrano się do budowy barykady, i pewna, iż Mariusz jak zwykle o zmroku zjawi się na wieczornej schadzce, jako że nic nie wiedział, bo ona przejęła list, poszła na ulicę Plumet; tam doczekała się Mariusza i w imieniu przyjaciół wezwała go na barykadę. Liczyła na jego rozpacz, kiedy nie znajdzie w domu Kozety, i nie omyliła się. Sama także wróciła na Konopną. Wiemy już, co się dalej stało.

Umarła z tą tragiczną radością zazdrosnych serc, które pociągają za sobą w śmierć ukochaną istotę, myśląc: nikt go mieć nie będzie.

Mariusz okrył pocałunkami list Kozety. Więc kochała go! Pomyślał na chwilę, że nie powinien umierać. Potem powiedział sobie: – Odjeżdża! Ojciec zabiera ją do Anglii, a mój dziadek nie chce zezwolić na małżeństwo. Nic się nie zmieniło w fatalnym losie. – I wówczas pomyślał, że pozostały mu do spełnienia dwa obowiązki: zawiadomić Kozetę o swojej śmierci i posłać jej ostatnie pożegnanie oraz uratować z nadchodzącej katastrofy tego nieszczęsnego dzieciaka, brata Eponiny, a syna Thénardiera.

Miał przy sobie pugilares, ten sam, w którym przedtem mieścił się zeszytik z wyznaniem miłości dla Kozety. Wydarł kartkę i napisał ołówkiem te słowa:

Nasze małżeństwo jest niemożliwe. Prosiłem o pozwolenie dziadka, odmówił: nie mam majątku. Ty także. Pobiegłem do Ciebie, ale Cię nie zastałem. Nie zapomniałem danego Ci słowa, dotrzymuję go. Umieram. Kocham Cię. Kiedy to będziesz czytać, duch mój stanie przy Tobie i

uśmiechniecie do Ciebie.

Nie mając czym zapieczętować listu, złożył papier we czworo i napisał adres:

*Panna Kozeta Fauchelevant, u pana Fauchelevant,
ulica Człowieka Zbrojnego 7.*

Złożywszy list, siedział chwilę zamyślony, wziął znowu pugilares, otworzył i tym samym ołówkiem napisał na pierwszej stronie te słowa:

*Nazywam się Mariusz Pontmercy. Proszę zanieść mojego trupa do
mojego dziadka, pana Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich 6, w
dzielnicy Marais.*

Włożył pugilares do kieszeni surduta, po czym zawołał Gavroche'a. Na głos Mariusza chłopiec przybiegł z uradowaną i usłużną miną.

– Czy chcesz coś zrobić dla mnie?

– Wszystko, jak Bożę kocham! – zawołał Gavroche. – Gdyby nie pan, byłoby już po mnie jak dwa a dwa cztery.

– Widzisz ten list?

– Widzę.

– Weź go. Wyjdź zaraz z barykady – Gavroche niespokojnie zaczął się drapać za uchem – i jutro rano oddasz go według adresu pannie Kozecie u pana Fauchelevant, ulica Człowieka Zbrojnego, numer 7.

Bohaterski dzieciak odpowiedział:

– Aha, właśnie tymczasem wezmą barykadę i mnie tu nie będzie.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa barykadę szturmować zaczną nad ranem i nie zdobędą jej przed południem.

Rzeczywiście; chwila wytchnienia, którą oblegający dali barykadzie, przedłużała się. Była to jedna z tych przerw, tak częstych w nocnych walkach, po których rozpoczyna się ze zdwojoną zaciętością nowy bój.

– A więc – zapytał Gavroche – może bym odniósł pana list jutro rano?

– To będzie za późno. Prawdopodobnie otoczą barykadę, wszystkie ulice będą strzeżone i nie wyjdiesz. Idź zaraz.

Gavroche, nie znajdując już żadnej odpowiedzi, stał niepewny i smutnie drapał się za uchem. Nagle właściwym sobie ptasim ruchem porwał list i oświadczył:

– Dobrze.

I pobiegł przez uliczkę Zakręt.

Gavroche wpadł na pewien pomysł, który wpłynął na jego postanowienie, nie wyjawiał go wszakże z obawy, aby Mariusz się nie sprzeciwił.

Jest dopiero północ – myślał sobie – na ulicę Człowieka Zbrojnego niedaleko, zaraz zaniosę list i wrócę na czas.

Rozdział czternasty

ULICA CZŁOWIEKA ZBROJNEGO

Bibuła-gaduła

Czymże są zaburzenia w mieście przy niepokojach duszy? Człowiek to jeszcze większa głęбина niż lud. Jan Valjean był wydany na pastwę przerażającej zamieszki. Rozwarły się przed nim wszystkie otchłanie. Jak Paryż, tak i on drżał na progu strasznej i tajemniczej rewolucji. Dość było na to kilku godzin. Jego los i sumienie nagle pokryły się mrokiem. O nim, tak samo jak o Paryżu, można było powiedzieć: dwie zasady stanęły naprzeciw siebie. Anioł biały i anioł czarny wezmą się za bary nad brzegiem przepaści. Który z nich zepchnie drugiego? Który zwycięży?

W przeddzień piątego czerwca Jan Valjean w towarzystwie Kozety i Toussaint przeniósł się na ulicę Człowieka Zbrojnego. Oczekiwała go tam niespodzianka.

Kozeta nie bez oporu opuściła ulicę Plumet. Po raz pierwszy, od czasu jak mieszkali razem, wola Kozety nie była zgodna z wolą Jana Valjean; jeżeli jedna i druga nie starły się z sobą, to w każdym razie były sprzeczne. Z jednej strony zjawiał się sprzeciw, z drugiej – nieugiętość. Rada: Wyprowadźcie się! – zniecierpliwiona dana mu przez nieznanego, przerażała Jana Valjean tak dalece, że na nic nie zważał. Zdawało mu się, że jest odkryty i ścigany. Kozeta musiała ustąpić.

Oboje przybyli na ulicę Człowieka Zbrojnego nie otworzywszy ust, nie wymówiwszy do siebie ani słowa, każde zajęte własnymi myślami. Jan Valjean był tak niespokojny, że nie dostrzegł smutku Kozety, a Kozeta taka smutna, że nie widziała niepokojów Jana Valjean.

Jan Valjean zabrał z sobą Toussaint, czego nigdy poprzednio nie czynił. Przewidywał, że może nie wróci na ulicę Plumet, a nie mógł ani pozostawić za sobą Toussaint, ani powierzyć jej swojej tajemnicy.

Mieszkanie przy ulicy Człowieka Zbrojnego było w podwórzu, na drugim piętrze, i składało się w dwóch pokoi sypialnych, jadalni i tuż przy niej kuchni z pawlaczem, gdzie stało łóżko, które przypadło w udziale Toussaint. Jadalnia była zarazem przedpokojem i rozdzielała obie sypialnie. Mieszkanie było zaopatrzone we wszelkie potrzebne sprzęty.

Człowiek równie prędko odzyskuje spokój, jak wpada w trwogę; taka jest jego natura. Zaledwie Jan Valjean przybył na ulicę Człowieka Zbrojnego, obawy jego zmniejszyły się i stopniowo znikły. Są takie miejsca uspokajające, które działają na umysł prawie mechanicznie. Ulica była nieuczęszczana, mieszkańcy spokojni. Janowi Valjean jakby udzielił się spokój tej uliczki starego Paryża, tak wąskiej, że do zamknięcia jej dla ruchu kołowego wystarczała belka położona w poprzek na dwóch słupkach, cichej i głuchej wśród wrzawy miasta, ciemnej w

południe i że tak powiem, niezdolnej do wzruszeń między swoimi dwoma rzędami wysokich stuletnich domów, milczących jak wszyscy starcy. Było w tej ulicy jakieś zastygłe zapomnienie. Jan Valjean odetchnął. Któż by go tu mógł odnaleźć?

Około piątej Toussaint, krzątająca się nieustannie i wielce przejęta tą niewielką przeprowadzką, postawiła na stole w jadalni półmisek z zimnym drobiem, na który Kozeta zgodziła się spojrzeć przez wzgląd na ojca.

Następnie, pod pozorem uporczywej migreny, powiedziała Janowi Valjean dobranoc i zamknęła się w swojej sypialni. Jan Valjean zjadł z apetytem skrzydełko kury i wsparty na stole, coraz pogodniejszy, czuł się coraz bardziej bezpieczny.

Podczas tego skromnego obiadu kilkakrotnie dochodził go jak gdyby z daleka głos Toussaint, która jękając się mówiła: – Proszę pana, coś się dzieje w Paryżu, biją się. – Ale zajęty swoimi myślami, nie zwrócił na to uwagi, bo prawdę mówiąc, nie słyszał, co mówiła.

Wstał i zaczął się przechadzać od okna do drzwi i od drzwi do okna, coraz spokojniejszy.

Razem z uspokojeniem powracała w jego myśli Kozeta, jedyny przedmiot jego zainteresowania. Nie dlatego, żeby go zatrwożył ów ból głowy, małe rozdrażnienie nerwów i dąsy dziewczęce – ta chwilowa chmurka zniknie jutro lub pojutrze – ale myślał o przyszłości i – jak zwykle – myślał z rozczuleniem. Zdawało mu się, że nic już nie stoi na przeszkodzie, żeby jego życie dalej potoczyło się szczęśliwie. W pewnych godzinach wszystko wydaje się nam niemożliwe; w innych znowu wszystko wydaje się łatwe. Jan Valjean był właśnie w jednej z takich dobrych godzin. Zazwyczaj przychodzą one po złych, jak dzień po nocy, przez to prawo następstwa i kontrastu, które jest samą istotą natury, a które umysły powierzchowne nazywają antytezą. W tej spokojnej ulicy, na którą się schronił, Jan Valjean uwalniał się od wszystkiego, co go niepokoiło od pewnego czasu. Właśnie dlatego, że widział wiele ciemności, zaczynał stopniowo dostrzegać pogodne niebo. Już to było szczęśliwą wróżbą, że bez żadnego wypadku i bez żadnych powikłań opuścił ulicę Plumet. Może roztropnie byłoby wyjechać z Francji, choćby na kilka miesięcy, i udać się do Londynu? Więc pojedzie! Francja czy Anglia, wszystko mu jedno, gdzie będzie, byle miał przy sobie Kozetę. Kozeta była jego ojczyzną. Kozeta była całym jego szczęściem. Myśl, że może on jej do szczęścia nie wystarczy, ta myśl, która niegdyś przyprawiała go o bezsenność i gorączkę, teraz nie przychodziła mu do głowy. Zastygły w nim wszystkie cierpienia, był pełen optymizmu.

Przechadzając się powoli wzdłuż i wszerz pokoju natknął się nagle spojrzeniem na coś dziwnego.

Naprzeciwno, w pochylonym lustrze stojącym na kredensie, ujrzał i wyraźnie przeczytał takie oto słowa:

Ukochany mój!

Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczór będziemy w ulicy Człowieka Zbrojnego 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.

Kozeta

4 czerwca

Jan Valjean stanął przerażony.

Kozeta położyła po przyjeździe teczkę z papierem listowym i bibułą przed lustrem i pogrążona w bolesnym niepokojem zapomniała jej zabrać, nie zauważywszy, że jest otwarta, i to na tej właśnie stronie bibuły, którą osuszyła list napisany do Mariusza i przesłany mu przez młodego robotnika z ulicy Plumet. Pismo odcisnęło się na bibule.

Lustro je odbijało.

Jan Valjean zachwiał się, wziął do ręki bibułę, upuścił ją i padł na stary fotel obok kredensu, ze spuszczoną głową i szklanymi, obłąkanymi oczyma. Powiedział sobie, że to było oczywiste, że światło świata zgasło dla niego i że Kozeta napisała ten list do jakiegoś mężczyzny. Dusza jego stała się znowu straszna i w ciemnych jej głębiach usłyszał głuchy ryk. Spróbujcie wydrzeć lwu psa, którego ma w swej klatce!

Rzecz dziwna i smutna, w tej chwili Mariusz nie miał jeszcze listu Kozety; zdradziecki przypadek oddał go wcześniej Janowi Valjean niż Mariuszowi.

Jan Valjean do tego dnia nie upadł pod brzemieniem żadnej przeciwności. Przeszedł najstraszniejsze próby; nie szczędzono mu żadnych udręczeń; okrutny los, zbrojny we wszystkie kary i omyłki społeczeństwa, prześladował go zawzięcie. Jan Valjean nigdy się nie cofnął ani zawahał. Kiedy było trzeba, przyjmował każdą ostateczność; poświęcił swoją odzyskaną nietykalskość ludzką, oddał swoją wolność, naraził głowę, wszystko stracił, wszystko wycierpiał i pozostał bezinteresowny i stoicki; chwilami można było sądzić, że wyzbył się samego siebie jak męczennik. Jego sumienie, zaprawione do odparcia wszelkich ataków przeciwności, zdawało się niezdołbane. Otóż, kto by zajrzał w tej chwili do jego sumienia, musiałby stwierdzić, że słabnie.

Albowiem ze wszystkich katuszy, jakich doznał w długiej torturze życia, ta była najstraszniejsza. Nigdy jeszcze nie chwyciły go tak potężne kleszcze. Czuł, że się w nim tajemniczo poruszała cała jego ukryta wrażliwość. Czuł, że coś w nim szarpnęło nie znaną mu strunę. Niestety, najwyższą próbą, lepiej powiedzmy, jedyną próbą, jest utrata kochanej istoty.

Biedny, stary Jan Valjean wprawdzie kochał Kozetę tylko jak ojciec, ale jak zauważyliśmy poprzednio, wdowieństwo jego życia wlało w to ojcostwo wszystkie rodzaje miłości: kochał Kozetę jak córkę i kochał ją jak matkę, i kochał ją jak siostrę. A że nie miał nigdy ani kochanki, ani żony, a natura jest wierzyicielem bezlitosnym, to uczucie, najsilniejsze ze wszystkich, też przymieszało się do innych, niepewne siebie, nieświadome, czyste czystością zaślepienia, niebiańskie, anielskie, boskie; nie tyle uczucie, ile instynkt, nie tyle instynkt, ile pociąg niedostrzeżony i niewidzialny, ale rzeczywisty; i miłość w pełnym znaczeniu tego słowa była w jego niezmierniej czułości dla Kozety niby w górach żyła złota, ukryta i dziewicza.

Toteż kiedy ujrzał, że wszystko się skończyło ostatecznie, że Kozeta ucieka, że mu się wysuwa z rąk, pierzcha, rozplywa jak mgła wycieka jak woda, gdy mu stanęła przed oczami ta miazdząca oczywistość: inny jest celem jej serca, inny jest pragnieniem jej życia, inny jest jej kochankiem; ja tylko ojcem, ja nie istnieję! – gdy już nie mógł powątpiewać, gdy powiedział sobie: – ona wydziera się z mej duszy! – boleść, jakiej doznał, przeszła wszelkie wyobrażenie! Zrobić wszystko, co zrobił dotychczas – i na tym zakończyć! I stać się niczym! Wtedy, powiedzieliśmy, dreszcz buntu przeniknął go od stóp do głów. Uczuł aż w korzonkach włosów potężne przebudzenie się egoizmu i „ja” zawyło w otchłaniach tego człowieka.

Jan Valjean wziął jeszcze raz bibułę do ręki i przekonał się jeszcze raz; siedział pochylony i osłupiały, wpatrzony w te nieubłagane litery, i powstała w nim mgła tak gęsta, że można by sądzić, iż całe wnętrze jego duszy runęło.

Patrzył na to odkrycie rozrastające się w jego jakby sennej wyobraźni, patrzył ze spokojem pozornym i strasznym, bo rzecz to groźna, kiedy spokój człowieka jest zimny jak posąg.

Instynkt jego nie wahał się ani chwili. Porównał pewne okoliczności, pewne daty, pewne rumieńce i blade Kozety i powiedział sobie: to on. Przenikliwość rozpacz jest niby zaczarowany łuk, który nigdy nie chybia celu. Zaraz w pierwszym domyśle dosięgnął Mariusza. Nie znalazł nazwiska, ale natychmiast odgadł człowieka. W nieubłaganej wizji wspomnienia dostrzegł wyraźnie nieznanego włóczkę z Ogrodu Luksemburskiego, nędznego poszukiwacza miłostek, romansowego próżniaka, durnia i nikczemnika, bo nikczemnością jest umizganie się do dziewcząt mających przy boku kochającego je ojca.

Stwierdziwszy niezbicie, że przyczyną tego był ów młodzieniec i że wszystko wywodzi się od niego, on Jan Valjean, człowiek odrodzony, człowiek, który tyle pracował nad swą duszą i tyle robił wysiłków, aby całe swoje życie, wszystkie nędze i wszelkie nieszczęsna przetopić w miłość, zajrzał w głąb siebie i zobaczył tam widmo – Nienawiść.

Kiedy tak rozmyślał, weszła Toussaint. Jan Valjean wstał i zapytał:

– W której to stronie? Nie wiecie?

Toussaint, zdumiona, zapytała:

– Czego pan sobie życzy? Przecież przed chwilą mówiliście, że się biją?

– A tak, proszę pana – odpowiedziała Toussaint. – Biją się w stronie Świętego Mederyka.

Istnieją machinalne nakazy, które poza naszą wiedzą dobywają się z samego dna naszego umysłu. Niewątpliwie pod działaniem jednego z takich nakazów, nie bardzo świadom dlaczego, Jan Valjean w pięć minut później znalazł się na ulicy.

Z odkrytą głową usiadł na progu domu. Zdawał się nasłuchiwać.

Zapadła już noc.

Ulicznik, nieprzyjaciel światła

Ile czasu tak przesiedział? Jakie były przyływy i odpływy jego tragicznych rozmyślań? Czy wyprostował się? Czy pozostał zgięty? A może pochylił się tak bardzo, że aż się załamał? Czy mógł dźwignąć się jeszcze, odnaleźć jakiś trwały grunt w swojej świadomości? Sam zapewne nie umiałby powiedzieć.

Ulica była pusta. Kilku niespokojnych mieszczan, pośpiesznie wracając do domów, ledwie go spostrzegło. W czasach niebezpiecznych każdy myśli o sobie. Latarnik o zwykłej godzinie przyszedł zapalić latarnię, stojącą wprost drzwi numeru siódmego, i poszedł sobie. Temu, kto by mu się przyjrzał w tej chwili, Jan Valjean nie wydałby się żywym człowiekiem. Siedział nieruchomy na progu swoich drzwi, jak złodowaciały upiór. Rozpacz mrozi. Słysząc było głos dzwonu i jakiś głuchy, burzliwy szum. Wśród niespokojnego bicia w dzwony i dalekiego zgiełku walki zegar na kościele św. Pawła wybił jedenastą, poważnie, nie śpiesząc się; bo głos dzwonu to człowiek, a głos zegara to Bóg. Jan Valjean, obojętny na późną porę, nie poruszył się. Tymczasem prawie w tej samej chwili rozległa się seria strzałów od strony Hał, potem druga, jeszcze gwałtowniejsza; prawdopodobnie był to szturm na barykadę na ulicy Konopnej, który, jak widzieliśmy, odparł Mariusz. Na odgłos tej dwukrotnej salwy, której wściekłość jakby wzrosła wśród głuchej ciszy nocnej, Jan Valjean zadrzał, odwrócił się w stronę, skąd dochodził hałas, potem znowu zgarbił się na progu, założył ręce na krzyż i głowa jego powoli opadła na piersi.

Znowu rozpoczął ponurą rozmowę z sobą samym.

Nagle podniósł oczy, ktoś szedł ulicą, usłyszał kroki gdzieś blisko, spojrzął i przy świetle latarni zobaczył nadchodzącą od strony Archiwów jakąś postać, bladą, młodą i zadzierzystą.

To Gavroche wszedł w ulicę Człowieka Zbrojnego.

Gavroche patrzył w górę i zdawał się czegoś szukać. Widział doskonale Jana Valjean, ale nie zwracał na niego uwagi.

Popatrzawszy się w górę, spojrzął w dół; wspinając się na palce, dotykał drzwi i okien na parterze; wszystkie były zamknięte i zaryglowane. Zbadawszy pięć lub sześć tak

zabarykadowanych domów, chłopiec zagał rozważania na ten temat następującymi słowy:

– Psiakrew!

Potem znowu zaczął patrzeć w górę.

Jan Valjean, który przed chwilą nie przemówiłby słowa do nikogo, mimo woli odezwał się do dziecka:

– Czego chcesz, mały?

– Chcę jeść – odpowiedział Gavroche rzeczowo. I dodał: – Sam pan jest mały.

Jan Valjean poszukał w kieszeni i wyjął pięciofrankówkę. Ale Gavroche, ruchliwy jak pliszka, szybko przechodził od jednego gestu do drugiego i tymczasem podniósł już kamień. Spozstrzegł bowiem latarnię.

– Cóż to, u was się jeszcze pali na ulicach. Co wy sobie myślicie, moi przyjaciele? Co za nieporządki! Stłuczmy to!

I rzucił kamień w latarnię, której szyby upadły z takim łoskotem, że mieszcuchy, skulone za frankami w sąsiednim domu, zawołały: – Wrócił rok dziewięćdziesiąty trzeci!

Latarnia zakołysała się gwałtownie i zgasła. Ulica nagle zatoneła w ciemnościach.

– Tak, stara ulico – rzekł Gavroche – kładź teraz szlafmycę na głowę.

I obróciwszy się do Jana Valjean, dodał:

– Jak się nazywa ten olbrzymi gmach, który macie tam na końcu ulicy? Archiwa, prawda? Przydałoby się wykopać te kolumny, co przed nim stoją, i ułożyć z nich jakąś barykadkę.

Jan Valjean zbliżył się do Gavroche’a.

– Biedne dziecko – rzekł półgłosem do siebie – jest głodne.

I włożył mu w rękę pięć franków.

Gavroche podniósł nos, zdumiony wielkością tej monety. Przyjrzał się jej w mroku, zachwycony blaskiem. Znał pięciofrankówki tylko ze słyszenia, podobała mu się ich reputacja i ucieszył się, że wreszcie ogląda jedną z bliska. Powiedział więc: – Przypatrzmy się tygrysowi.

Oglądał monetę kilka chwil, potem obrócił się do Jana Valjean, oddał mu pieniądze i rzekł majestatycznie:

– Burżuju, wolę rozbijać latarnie. Zabierz swoje dzikie zwierzę. Nie dam się przekupić. Ma to pięć szponów, ale mnie nie draśnie.

– Masz matkę? – zapytał Jan Valjean.

Gavroche odpowiedział:

– Może nawet bardziej na pewno niż pan.

– W takim razie – rzekł Jan Valjean – schowaj te pieniądze dla matki.

Gavroche uczuł się poruszony. Zauważył zresztą, że człowiek, z którym rozmawiał, nie miał kapelusza i to wzbudziło w nim zaufanie.

– Naprawdę? – rzekł. – Nie po to pan daje, żebym nie tłukł latarni?

– Tłucz, co ci się podoba.

– Porządny z pana człowiek – rzekł Gavroche.

I włożył pięć franków do jednej ze swych licznych kieszeni.

Nabrawszy zaufania, rzekł:

– Pan jest z tej ulicy?

– Tak, bo co?

– Czy może mi pan wskazać numer siódmy?

– Na co ci potrzebny numer siódmy?

Chłopiec zamilkł w obawie, czy aby za dużo nie powiedział. Energicznie podrapał się w głowę i odpowiedział tylko:

– Ano tak sobie.

Pewna myśl przemknęła w umyśle Jana Valjean. Rozpacz bywa przenikliwa. Zapytał chłopca:

– Może przynosisz list, na który czekam.

– Pan? – odparł Gavroche. – Pan nie jest kobietą.

– List jest do panny Kozety, prawda?

– Kozeta – mruknął Gavroche. – Zdaje mi się, że to jest właśnie to śmieszne imię.

– Otóż ja mam jej oddać ten list. Daj!

– W takim razie powinienes pan wiedzieć, że jestem przysłany z barykady.

– Pewnie, że wiem.

Gavroche wsunął rękę do innej znów kieszeni i wyjął papier złożony we czworo.

Następnie, salutując po wojskowemu, rzekł:

– Respekt dla depeszy! Pochodzi od rządu tymczasowego.

– Daj – rzekł Jan Valjean.

Gavroche trzymał papier wysoko nad głową.

– Nie wyobrażaj pan sobie, że to bilecik miłosny. To dla kobiety, ale i dla ludu. My bijemy się i szanujemy płeć piękną. Nie jesteśmy jak te lwy salonowe, co gruchają z gęsiami.

– Dawaj!

– Co prawda – mówił dalej Gavroche – masz pan minę porządnego człowieka.

– Dawaj żywo!

– Masz pan.

I oddał papier Janowi Valjean.

– I śpiesz się, panie Ktoś, bo panna Ktosieta czeka.

Gavroche był z tego konceptu bardzo zadowolony.

Jan Valjean zapytał:

– Czy odpowiedź trzeba odnieść na Świętego Mederyka?

– Strzeliłbyś pan wtedy zwierza, którego pospolicie nazywają bykiem – odpowiedział Gavroche. – List pochodzi z barykady na ulicy Konopnej i ja tam wracam. Dobranoc, obywatelu.

To powiedziawszy odszedł albo, mówiąc dokładniej, poleciał jak ptak ku miejscu, z którego przybył. Dał nurka w ciemności, jakby je przebijał z szybkością wystrzelonego pocisku. Ulica Człowieka Zbrojnego znowu stała się cicha i pusta; w jednym mgnieniu oka ten dziwny dzieciak, w którym było coś z mgły, pogrążył się w cieniu wśród rzędów czarnych domów i zniknął jak dym w ciemnościach. Można by sądzić, że się rozwiął w powietrzu, gdyby w kilku minut po jego zniknięciu głośny brzęk tłuczonego szkła i szcęk padających na bruk szyb latarni nie rozbudził znowu oburzonych mieszczan. To Gavroche przechodził ulicą Chaume.

Podczas gdy Kozeta i Toussaint śpią

Jan Valjean wrócił do domu z listem Mariusza. Po omacku wszedł po schodach, zadowolony z ciemności niby sowa trzymająca w szponach lup, po cichu otworzył i zamknął drzwi swego pokoju, nadstawił ucha, czy nie słyhać gdzie szmeru, przekonał się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Kozeta i Toussaint śpią, zanurzył kilka zapalek w butelce fosforycznej, ale żadnej nie zapalił, tak mu drżały ręce; to, co popełnił, było jednak kradzieżą. W końcu zapalił świecę, usiadł przy stole, rozwinął papier i przeczytał.

W gwałtownych wzruszeniach człowiek nie czyta, ale żeby tak rzec, miażdży papier, który

trzyma w rękę; dusi go jak ofiarę, gniecie i zapuszcza weń szpony swego gniewu lub radości; przebiega aż do końca, przeskakuje na początek; uwaga jest rozgorączkowana, obejmuje całość, przybliżoną treść, chwytą jeden punkt, a reszta znika. W liście Mariusza do Kozety Jan Valjean zobaczył tyle tylko:

...Umieram... Kiedy to będziesz czytać, duch mój stanie przy Tobie...

Odczytując te dwa wiersze doznał niesamowitego olśnienia; przez chwilę był jakby unicestwiony nagłą zmianą doznań, która się dokonywała w jego sercu, i patrzył na list Mariusza z pijackim jakby zdziwieniem; miał przed oczami wspaniały widok: śmierć znienawidzonej istoty.

Wydał straszny okrzyk wewnętrznej radości. A więc już się skończyło! Rozwiązanie nadeszło wcześniej, niżby się ośmielił spodziewać. Oto zniknął ten, który ciążył na jego losie. Zniknął sam, dobrowolnie. On, Jan Valjean, niczym się do tego nie przyłożył, nie jego to wina, że „ten człowiek” umiera. Może nawet już umarł. Tu gorączka zaczęła rachować: nie, jeszcze nie umarł! Widocznie list pisany był z tą myślą, że Kozeta będzie go czytała nazajutrz rano; po dwóch salwach, które słyszano między godziną jedenastą i północą, nie było walki; na barykadę uderzą dopiero nad ranem; ale to wszystko jedno, jeżeli „ten człowiek” wmieszał się do tej wojny, już po nim; wciągnięty został w nieubłagane koło maszyny. Jan Valjean poczuł się oswobodzony. Więc znowu będzie sam z Kozetą. Współzawodnik ustępuje; przyszłość rozpoczyna się od nowa. Wystarczy schować list do kieszeni. Kozeta nigdy nie będzie wiedziała, co się z „tym człowiekiem” stało. „Wystarczy poczekać na bieg wypadków. Ten człowiek nie umknie śmierci. Jeżeli jeszcze nie umarł, umrze na pewno. Co za szczęście!”

Powiedziawszy sobie w duchu to wszystko, spochmurniał.

Potem zszedł na dół i obudził odźwiernego.

W niespełną godzinę później Jan Valjean wyszedł na ulicę w mundurze gwardii narodowej i z bronią w rękę. Odźwierny bez trudu znalazł w sąsiedztwie wszystko, czego mu brakowało do ekwipunku. Miał nabity karabin i ładownicę pełną amunicji. Poszedł w stronę Hal.

Nadmierna gorliwość Gavroche'a

Tymczasem Gavroche'owi zdarzyła się przygoda. Sumiennie ukamienowawszy latarnię na ulicy Chaume, Gavroche wszedł na ulicę Vieilles-Haudriettes i nie widząc tam żywej duszy, uznał, że ma dobrą okazję do pofolgowania swojemu natchnieniu pieśniarskiemu.

Śpiewając nie zwalniał kroku, przeciwnie, przyspieszał go. Na uśpione lub przerażone domy zaczął rozsiewać takie oto płomienne kuplety:

*W starej, altance gil zawodzi:
Atala taka święta była,
A z kim to w podróż się puściła?*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

Nie gderz, Piotrusiu, co szkodzi,

*Że bardzo lubi mnie Ludmiła,
Catus przez okno mi przesyła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

*Z miłością życie płynie słodziej.
Choć na mnie sidła zastawiła,
Sama w nie wpadła Bogumiła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

*Uroda na bezdroża wodzi.
Janeczko, dusza moja śniła,
Żeś mnie tuliła i pieściła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

W czasie śpiewu Gavroche nie szczędził min i gestów. Ruch jest komentarzem melodii. Twarz jego, niewyczerpany repertuar masek, robiła grymasy bardziej fantastyczne niż dziurawa bielizna schnąca na porywistym wietrze. Na nieszczęście był sam i otoczony nocą, cuda te przeminęły więc nie widziane i niewidzialne. Zdarzają się takie stracone bogactwa.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

– Dosyc tej ballady.

Jego kocia żrenica spostrzegła w zagłębieniu bramy to, co w malarstwie nazywa się kompozycją – żywą istotę i przedmiot; przedmiotem był ręczny wózek, żywą istotą – chłop z Owernii, śpiący w wózku.

Drażki wózka opierały się o bruk, a głowa Owerniaka o krawędź wózka. Leżał on skulony na tej równi pochyłej, nogami dotykając ziemi.

Gavroche, doświadczony w sprawach tego świata, poznał pijaka.

Był to tragarz, który wypił bardzo dużo i spał bardzo mocno.

Oto – pomyślał Gavroche – do czego przydają się letnie noce. Owerniak zasypia w swoim wózku. Zabierzemy wózek dla republiki, a pijaka zostawimy monarchii.

W głowie błysnęła mu bowiem myśl: „Ten wózek wyglądałby pierwszorzędnie na naszej barykadzie”.

Owerniak chrapał.

Gavroche delikatnie pchnął wózek w tył, a Owerniaka pociągnął z przodu, czyli za nogi, i po chwili chłop, wciąż śpiąc w najlepsze, leżał na bruku.

Wózek został oswobodzony.

Gavroche, przywykły do spotykania się z niespodziankami, miał zawsze wszystko przy sobie. Poszukał w kieszeniach, wyjął skrawek papieru i kawałek czerwonego ołówka, który ściągnął jakiemś cieśli.

Napisał:

REPUBLIKA FRANCUSKA
Otrzymało twój wózek.

I podpisał:

Gavroche

To uczyniwszy włożył papier do kieszeni welwetowej kamizelki chłopca, który dalej chrapał, chwycił drążki w obie garście i pobiegł w kierunku Hał, popychając przed sobą wózek z triumfalnym łoskotem.

Było to niebezpieczne. Przy Drukami Królewskiej mieściła się wartownia. Gavroche nie pomyślał o tym. Stali tam gwardziści narodowi z przedmieścia. Oddział zaniepokoił się i kilku gwardzistów, śpiących na łóżkach polowych, podniosło głowy. Dwie latarni stłuczone jedna po drugiej, piosenka śpiewana na całe gardło, było to już bardzo wiele jak na te tchórzliwe uliczki, które lubią spać od zachodu słońca i wcześniej gaszą świece. Już od godziny ulicznik hałasował w tej spokojnej dzielnicy jak komar w butelce. Sierżant z przedmieścia słuchał i czekał. Był to człowiek ostrożny.

Wściekły turkot wózka dopełnił miary oczekiwania i sierżant zdecydował się zrobić rekonesans.

Jest ich tu cała gromada – pomyślał – idźmy ostrożnie.

Nie wątpił, że hydra anarchii wypełzła ze swej kryjówki i szalała w dzielnicy.

Ostrożnymi krokami ruszył na wywiad.

Nagle, kiedy Gavroche, popychając wózek, miał skręcać z ulicy Vieilles-Haudriettes, spotkał się oko w oko z mundurem, czakiem, kitą i karabinem.

Zatrzymał się po raz drugi.

– O! – rzekł – to on. Uszanowanie, porządku publiczny.

Zdziwienie było zawsze u Gavroche'a krótkie i zniknęło szybko.

– Dokąd idziesz, łobuzie? – krzyknął sierżant.

– Obywatelu – rzekł Gavroche – jeszcze cię nie nazwałem burżujem. Dlaczego mnie znieważasz?

– Dokąd idziesz, hultaju?

– Mój panie – odparł Gavroche – może wczoraj byłeś człowiekiem dowcipnym, ale dziś rano widocznie cię zdegradowali.

– Pytam cię, dokąd idziesz, łotrze! Gavroche odpowiedział:

– Jaki pan jest grzeczny. Dalibóg, nigdy bym nie dał panu tyle lat, co pan ma. Powinien pan sprzedać swoje włosy po sto franków sztuka. Dostałbyś pan za wszystkie razem pięćset franków.

– Dokąd idziesz, dokąd, dokąd, bandyto?

Gavroche odparł spokojnie:

– A fe! Jakie brzydkie słowa. Na drugi raz, mój panie, jak ci mamka będzie dawać piersi, niech ci potem lepiej obetrze głowę.

Sierżant nastawił bagnet.

– Powiesz mi w końcu, dokąd idziesz, nędzniku?

– Mój generale – odrzekł Gavroche – idę po doktora. Żona mi rodzi.

– Do broni! – krzyknął sierżant.

Ocalić się z pomocą tego, co nas zgubiło, oto arcydzieło dzielnego człowieka. Gavroche jednym rzutem oka objął całą sytuację. Wózek go skompromitował, wózek powinien go obronić.

Kiedy sierżant miał już rzucić się na Gavroche'a, wózek, zamieniony w pocisk, pchnięty z całych sił, potoczył się na niego z furją i sierżant, ugodzony w brzuch, upadł na wznak w

rynsztek, a jego karabin wystrzelił w powietrze.

Słyszając krzyk sierżanta, żołnierze z wartowni wybiegli bezładnie na ulicę, wystrzał z karabinu stał się dla nich pobudką do salwy na chybił trafił, po czym znowu nabili broń i znowu zaczęli strzelać.

Ta karabinowa zabawa w ciuciubabkę trwała dobry kwadrans i pociągnęła za sobą kilka ofiar w postaci szyb.

Tymczasem Gavroche, który uciekał, ile miał sił w nogach, był już oddalony o pięć albo sześć ulic i dysząc siedział na kamieniu przy rogu ulicy Czerwonych Dzieci.

Nadślułkiwał.

Odetchnąwszy chwilę, odwrócił się w stronę, skąd dochodziła go zawzięta strzelanina, podniósł lewą rękę do wysokości nosa i trzykrotnie wysunął ją ku przodowi, uderzając się prawą w tył głowy; jest to monumentalny gest, w którym ulicznicy Paryża streścili ironię francuską, gest widocznie skuteczny, skoro już przetrwał pół wieku.

Gorzka refleksja zakłóciła jednak jego wesołość.

– No tak – powiedział sobie – wesoło mi, tarzam się ze śmiechu, ale zszedłem z drogi i teraz trzeba będzie okrażać. Bylebym się tylko nie spóźnił na barykadę!

I znowu zaczął biec.

Biegając zadał sobie pytanie:

– Ale w którym to ja miejscu przerwałem?

I pędem przemierzając ulicę, dalej śpiewał swoją piosenkę; wśród ciemności coraz ciszej rozlegały się słowa:

*Ale czy kto się na to zgodzi,
Żeby Bastylia znów ożyła
Przyda się jeszcze nasza siła.
Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

*Więc wszyscy razem, starzy, młodzi,
Uderzmy znowu w Luwr, gdzie zgniła
Monarchia gniazdo swe uwila.
Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

*Krata wolności nie odgrodzi.
Króla Karola nie zbawiła,
Korona mu się odkleiła.
Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?
Hej ha!*

Przygoda Gavroche'a przechowała się w podaniach dzielnicy Temple jako jedno z najbardziej wstrząsających wspomnień starych mieszkańców Marais i w ich pamięci nosi tytuł: „Nocny atak na wartownię Drukami Królewskiej”.

Część piąta

JAN VALJEAN

Rozdział pierwszy

WOJNA WŚRÓD CZTERECH ŚCIAN

Co robić w przepaści, jeżeli nie rozmawiać

Pod okiem Enjolrasa, bo Mariusz nic już nie widział, powstańcy wykorzystali noc. Nie tylko naprawili, ale powiększyli barykadę. Podwyższyli ją o dwie stopy. Żelazne pręty, umocowane między kamieniami, wyglądały jak sterzące piki. Wszelkiego rodzaju rupiecie i zewsząd poznoszone gruzy pokryły zewnętrzną część barykady. Naprawili także kamienne schody, po których można było wejść na nią jak na mur cytadeli.

Zabitych złożono na stos na uliczce Zakręt, którą powstańcy wciąż jeszcze mieli w swoim ręku. W miejscu tym bruk na długo pozostał czerwony. Wśród poległych było czterech gwardzistów narodowych z przedmieścia. Enjolras kazał odłożyć na bok ich mundury.

Radził, żeby się przespać teraz ze dwie godziny. Rada Enjolrasa była rozkazem. Niewielu jednak z niej skorzystało.

Feuilly użył tych trzech godzin na wyrzucie napisu w murze naprzeciw oberży:

NIECH ŻYJĄ LUDY!

Te trzy wyrazy, wydrapane gwoździem w tynku, widniały na tej Ścianie jeszcze w roku 1848.

Trzy kobiety, korzystając z nocnej przerwy, zniknęły na dobre; powstańcy odetchnęli swobodniej.

Znalazły one sposób schronienia się w którymś z sąsiednich domów.

Większość rannych mogła i chciała jeszcze walczyć. W kuchni, którą zamieniono na ambulans, leżało na posłaniu z materaców i słomy pięciu ciężko rannych, wśród nich dwóch miejskich gwardzistów. Opatrzono ich przed innymi.

W izbie na parterze pozostał tylko Mabeuf pod czarnym całunem i Javert przywiązany do słupa.

– Tutaj jest sala umarłych – powiedział Enjolras.

W sali tej, słabo oświetlonej łożówką, stół z nieboszczykiem był umieszczony w głębi w poprzek za słupem tak, że stojący Javert i leżący Mabeuf tworzyli jakby rodzaj krzyża.

Dyszel omnibusu, choć złamany przez kule, sterczał jeszcze do góry i można było zawiesić na nim chorągiew.

Enjolras, który miał tę cechę wodza, że zawsze wykonywał to, co powiedział, przywiązał do tego drzewca podziurawiony i skrwawiony płaszcz zabitego starca.

Nie było już nic do jedzenia. Ani chleba, ani mięsa. Pięćdziesięciu ludzi z barykady w ciągu szesnastu godzin wyczerpało do cna licze zapasy gospody. Ponieważ nie było co jeść, Enjolras nie pozwolił pić. Zupełnie zabronił wina i ograniczył porcje wódki.

W piwnicy znaleziono piętnaście pełnych butelek, szczelnie zapieczętowanych. Enjolras i Combeferre obejrzel je, a Combeferre wracając na górę rzekł:

– To stare zapasy ojca Hucheloup, który był kiedyś kupcem winnym.

– To musi być prawdziwe wino – dodał Bossuet. – Szczęście, że Grantaire śpi; gdyby się trzymał na nogach, niełatwo byśmy ocalili te butelki.

Mimo szemrania Enjolras objął butelki swoim zakazem i żeby były nietykalne, jak jakaś świętość, kazał je postawić pod stołem, na którym spoczywał ojciec Mabeuf.

O drugiej nad ranem policzyli się. Było ich jeszcze trzydziestu siedmiu.

Zaczynało świtać. Zgaszono pochodnię, na powrót wstawioną w kamienne zagłębienie. Ciemne wnętrze barykady, podobne do podwórza urządzonego na ulicy, wyglądało w ponurej szarości poranka jak pokład zniszczonego okrętu. Poruszały się na nim czarne sylwetki ludzi z załogi. Nad tym strasznym gniazdem cienia milczące domy wznosiły sine zarysy pięter; w górze kominy już białaty– Niebo miało piękny, nieokreślony odcień, który jest może bielą, a może błękitem. Ptaki przelatywały z radosnym świergotem. Na dachu wysokiego domu w głębi barykady, zwróconego ku wschodowi, kładł się różowy odbłask.

– Cieszę się, że pochodnia jest zgaszona – rzekł Courfeyrac do Feuilly’ego. – Nieprzyjemny był jej płomień chwiejący się na wietrze. Wyglądało to, jakby się bała. Światło pochodni podobne jest do mądrości ludzi tchórzliwych: drży i dlatego jest niepewne.

Świt budzi i ptaki, i myśli. Wszyscy zaczęli rozmawiać.

Joly, widząc kota przechadzającego się po rynnie, filozofował na jego temat.

– Co to jest kot? – mówił. – Korekta. Pan Bóg stworzywszy mysz powiedział sobie: O, zrobiłem głupstwo! – I wtedy stworzył kota. Kot jest poprawką myszy. Mysz razem z kotem to przejrany i poprawiony tekst dzieła stworzenia.

Rozjaśnienia i przyćmienia

Enjolras poszedł na rekonesans. Wyszedł przez uliczkę Zakręt, przesuając się wzdłuż domów.

Powstańcy, stwierdźmy to, byli pełni nadziei. Łatwość, z jaką odepchnęli nocny atak, sprawiła, że już niemal lekceważyli atak, który miał nastąpić o świcie. Oczekiwali go uśmiechając się. Nie wątpili o sukcesie, jak nie wątpili o swojej sprawie. Na pewno zresztą otrzymają pomoc. Liczyli na nią. Z ową skłonnością do przewidywania zwycięstwa, która jest wielką siłą walczącego Francuza, dzielili nadchodzący dzień na trzy okresy, których byli pewni: o szóstej rano pułk, który „obrobili”, przejdzie na ich stronę, w południe wybuchnie powstanie w całym Paryżu, o zachodzie słońca zacznie się rewolucja.

Enjolras wrócił. Wracał z posepnej wyprawy orła w otaczającą gniazdo ciemność. Słuchał przez chwilę tej radosnej wrzawy ze skrzyżowanymi ramionami i ręką na ustach. Potem, świeży i różowy we wzrastającej jasności poranka, rzekł:

– Cała armia paryska naciera. Trzecia część tej armii oblega barykadę, na której wy jesteście. Prócz tego gwardia narodowa. Poznałem czaka piątego pułku liniowego i sztandar szóstej legii.

Zostaniecie zaatakowani za godzinę. Lud burzył się wczoraj, ale dziś JUZ się nie rusza. Nie trzeba niczego oczekiwać, niczego się spodziewać. Przedmieścia nie więcej niż pułku. Jesteście opuszczeni.

Słowa te upadły w gwar rozmów i podziały na obrońców barykady tak, jak na rój pszczoł działa pierwsza kropla burzy. Wszyscy oniemieli. Nastąpiła chwila tak niewypowiedzianej ciszy, że można by było usłyszeć przelatującą śmierć.

Chwila ta była krótka.

Jakiś głos z samego końca szeregów krzyknął do Enjolrasa:

– Niech i tak będzie. Wzniesmy barykadę na dwadzieścia stóp i wszyscy tu zostanemy. Obywatele, niech nasze trupy zaprotestują. Pokażmy, że chociaż lud porzuca republikanów, republikanie nie porzucają ludu.

Słowa te wyłoniły wspólną myśl z ciężkiej chmury odosobnionych niepokoju. Przyjęte zostały z entuzjazmem.

Nie dowiedziano się nigdy nazwiska człowieka, który je powiedział. Był to jakiś nieznany robotnik, bezimienny, zapomniany, przemijający bohater, ów wielki anonim, zjawiający się zawsze w przełomowych chwilach ludzkości, u początków narodzin nowego społeczeństwa, który w decydującym momencie wypowiada nieodwołalnie rozstrzygające słowo i znika w ciemnościach, on, który przez minutę, w świetle błyskawicy, reprezentował lud i Boga.

To nieubłagane postanowienie jakby unosiło się w powietrzu dnia 6 czerwca 1832 roku; prawie w tym samym czasie powstańcy z barykady św. Mederyka wydali okrzyk, który przeszedł do historii i został wciągnięty do protokołu: „Wszystko jedno, czy dostaniemy pomoc, czy nie! Zginęmy tu, aż do ostatniego!”

Jak widać, obie barykady, choć materialnie oddzielone, miały łączność.

O pięciu mniej, o jednego więcej

Kiedy ów człowiek, który zadekretował „protest trupów”, wypowiedział i określił wspólną treść ich dusz, ze wszystkich ust wyszedł ten sam okrzyk dziwnie spokojny i straszny, żałobny w znaczeniu, triumfalny w tonie.

– Niech żyje śmierć! Zostanemy tu wszyscy!

– Dlaczego wszyscy? – rzekł Enjolras.

– Wszyscy! Wszyscy!

– Pozycja jest dobra – rzekł Enjolras – barykada piękna. Wystarczy trzydziestu ludzi. Po co poświęcać czterdziestu?

Odpowiedzieli:

– Bo żaden nie zechce odejść.

– Obywatele – zawołał Enjolras prawie gniewnie – republika nie jest dość bogata w ludzi, żeby nimi niepotrzebnie szafować. Szukanie czczej chwały to marnotrawstwo. Jeżeli dla niektórych obowiązkiem jest odejść stąd, obowiązek ten powinien być spełniony jak każdy inny.

– Tak – wtrącił jeden z gromady – odejść to łatwo powiedzieć. Barykada jest otoczona.

– Od strony Hal nie – rzekł Enjolras. – Ulica Zakręt jest wolna, a przez ulicę Dominikańską można się przedostać na plac Młodzianków.

– Ale tam się wpadnie – odparł inny głos z tłumu. – Posterunek wojskowy albo gwardyjski

zobaczy przechodzącego człowieka w bluzie i w czapce. Skąd idziesz? Czy nie z barykady? Obejrzą ci ręce. Czuć cię prochem. I kula w głowę.

Enjolras, nie odpowiadając, trącił w ramię Combeferre'a i obydwaj weszli do izby.

Po chwili wyszli. Enjolras trzymał w obu rękach cztery mundury, które przedtem schowano, a Combeferre niósł za nim lederwerki i kaszkiety.

– W tych mundurach – rzekł Enjolras – można wmieszać się w szeregi i umknąć. Dla czterech wystarczy.

I rzucił cztery mundury na ziemię odartą z bruku. Nikt się nie poruszył w tym stoickim audytorium. Combeferre zabrał głos:

– No, miejcie trochę litości. Czy wiecie, o kogo tu chodzi? Chodzi o kobiety. Posłuchajcie. Czy nie ma kobiet i dzieci? Czy nie ma matek kołyszących niemowlęta i otoczonych drobiazgiem? Statystyki stwierdzają, że śmiertelność opuszczonych dzieci wynosi pięćdziesiąt pięć na sto. Powtarzam: chodzi o kobiety, o matki, o dziewczęta, o drobne dzieci. Alboż o was mówię? Wiadomo, kim jesteście, wiadomo, żeście odważni, do kroćset! wszyscy wiemy, że każdy z was czuje w duszy radość i dumę, oddając życie za wielką sprawę, że każdy z was czuje się powołany, żeby zginąć z pożytkiem i chwałą, że każdemu drogi jest udział w triumfie. Doskonale! Ale nie jesteście sami na świecie. Są i inne istoty, o których należy pomyśleć. Nie bądźmy samolubni.

Wszyscy ponuro pochylili głowy.

Dziwne bywają sprzeczności serca ludzkiego w najbardziej podniosłych chwilach.

Combeferre, który tak mówił, nie był przecież sierotą. Pamiętał o innych matkach, a o swojej zapomniał. Szedł na śmierć. Był „samolubny”.

Mariusz, którego trawił głód i gorączka, pożegnawszy po kolei wszystkie swoje nadzieje, wyrzucony na rafę cierpienia, najposępniejszy z rozbitków, miotany gwałtownymi uczuciami i świadomy bliskiego końca, pogrążał się coraz bardziej w tym wizyjnym otepieniu, jakie zawsze poprzedza chwilę fatalną, dobrowolnie oczekiwaną.

Jednak ta scena wzruszyła go. Było w niej coś, co dotarło swoim ostrzem aż do jego świadomości i obudziło go. Miał już tylko jedno pragnienie – śmierć i odsuwał od siebie wszystko, co by mogło go odciągnąć od tej myśli, ale w tym posępnym lunatyzmie wydało mu się, że kiedy sam ginie, może jeszcze kogoś ocalić.

Rzekł więc doniosłym głosem:

– Enjolras i Combeferre mają słuszość; obejdzie się bez niepotrzebnych ofiar. Przyłączam się do nich i wzywam, żebyście się pośpieszyli. Są między wami tacy, którzy mają rodziny, matki, siostry, żony i dzieci. Niechaj ci wyjdą z szeregów.

Nikt się nie ruszył.

– Żonaci oraz utrzymujący rodziny wystąpić z szeregów! – powtórzył Mariusz.

Powaga jego była wielka. Enjolras był dowódcą barykady, lecz Mariusz jej wybawcą.

– Rozkazuję! – zawołał Enjolras.

– Proszę was o to – rzekł Mariusz.

Wówczas, wzruszeni słowami Combeferre'a, zachwiani rozkazem Enjolrasa, roztkliwieni prośbą Mariusza, ci bohaterscy ludzie zaczęli się nawzajem wydawać. – To prawda – mówił młodzieniec do dojrzałego człowieka. – Jesteś ojcem rodziny. Idź. – To raczej ty – odparł tamten – masz na utrzymaniu dwie siostry. – Wybuchnęła niezwykła walka. Nikt nie chciał, żeby go wypędzono z grobu.

– Śpieszmy się – powiedział Courfeyrac – za kwadrans już będzie za późno.

– Obywatele – ciągnął Enjolras – mamy tu republikę i obowiązuje powszechne głosowanie. Sami wyznaczcie tych, którzy powinni odejść.

Usłuchali go. Po kilku minutach pięciu ludzi jednomyślnie wybranych wystąpiło z szeregów.

– Jest ich pięciu! – zawołał Mariusz. Mundurów było tylko cztery.

– Trudno – powiedzieli wybrani – jeden musi zostać.

Szlachetna kłótnia rozpoczęła się na nowo.

– Ty masz żonę, która cię kocha. – A ty masz starą matkę. – Ty nie masz już ani ojca, ani matki, co się stanie z twoimi trzema małymi braćmi? – Ty masz pięcioro dzieci. – A ty powinienesz żyć, masz dopiero siedemnaście lat.

– Prędeż – powtórzył Courfeyrac.

Ktoś zawołał do Mariusza:

– Niech pan wybierze tego, który ma zostać.

– Tak – powiedziało tych pięciu – niech pan wybiera. Usłuchamy.

Mariusz nie sądził, żeby cokolwiek mogło go jeszcze wzruszyć. Kiedy jednak pomyślał, że ma wybrać na śmierć człowieka, cała krew spłynęła mu do serca. Zbladłby, gdyby mógł jeszcze bardziej zblednąć.

Podszedł ku tym pięciu, którzy się do niego uśmiechali i z tym wielkim ogniem w oczach, który płonie w historii Termopil, zaczęli wołać jeden przez drugiego: – Mnie! Mnie! Mnie!

Porachował ich bezmyślnie; tak, było niewątpliwie pięciu. Potem spuścił oczy na cztery mundury. I w tej właśnie chwili piąty mundur spadł jak z nieba. Piąty człowiek był ocalony.

Mariusz podniósł oczy i poznał pana Fauchelevant.

Jan Valjean wszedł na barykadę.

Może zasięgnąwszy informacji, czy też instynktownie, a może przypadkiem przyszedł przez uliczkę Zakręt. Był w mundurze gwardzisty, więc nikt go nie zatrzymał. Powstaniec stojący na warcie w uliczce, widząc samotnego gwardzistę, nie wszczynał alarmu. Pozwolił mu przejść, myśląc sobie, że zapewne chce przystać do powstania, a w najgorszym razie zostanie jeńcem. Chwila była zbyt ważna, aby wartownik mógł zejść ze stanowiska.

Kiedy Jan Valjean wszedł do reduty, nikt go nie spostrzegł, bo oczy wszystkich zwrócone były na pięciu wybranych i na cztery mundury. Ale Jan Valjean widział i słyszał, po cichu zdjął z siebie mundur i dorzucił go na stos.

Wrażenie było nie do opisanania.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Bossuet.

– To jest człowiek – odpowiedział Combeferre – który ocala innych.

Mariusz dodał z powagą:

– Znam go.

Ta rękojmia wystarczyła wszystkim.

Enjolras obrócił się do Jana Valjean:

– Witaj, obywatelu – rzekł.

I dodał:

– Wiesz, że czeka nas śmierć.

Jan Valjean, nie odpowiadając, pomagał ubrać się w swój mundur powstańcowi, którego ocalił.

Jaki horyzont można oglądać ze szczytu barykady

Enjolras stał na kamieniach ułożonych w stopnie, wsparty łokciem na lufie karabinu. Rozmyślał; zadrżał, jakby przeszedł jakiś podmuch; przez miejsca, w których jest śmierć, przebiegają takie prorocze prądy.

Z jego źrenic, zapatrzonych w głąb, wydobywały się jakieś tłumione ognie. Nagle wyprostował głowę i jego jasne włosy podniosły się jak włosy anioła na posępnej kwadrydze z gwiazd – wyglądały niby lwia grzywa zjeżona grozą w płomienną aureolę. Enjolras zawołał:

– Obywatele, czy wyobrażacie sobie przyszłość? Ulice miast zalane światłem, zielone gałęzie na progach, zbratane narody, starcy błogosławiący dzieci, przeszłość pojednana z przyszłością, myśliciele korzystający z pełnej swobody, wierzący z pełnej równości, religia zastąpiona przez niebo, Bóg jako bezpośredni kapłan, sumienie ludzkie jako ołtarz, koniec wszelkich nienawiści, zjednoczenie warsztatu i szkoły, kara i nagroda sprowadzone do publicznego potępienia i publicznej pochwały. Praca dla wszystkich, dla wszystkich prawa, nad wszystkimi pokój, koniec rozlewów krwi, koniec wojen, szczęśliwe matki! Poskromić materię, oto pierwszy krok; zrealizować ideał, oto drugi krok. Zastanówcie się, co już uczynił postęp. Niegdyś pierwotne plemiona trzęsły się z lęku, widząc hydrę, która swoim tchnieniem zionęła na wody, smoka, który wyrzucał z paszczy ogień, latającego gryfa, powietrznego potwora o skrzydłach orła i szponach tygrysa; przerażające zwierzęta, które panowały nad człowiekiem. Człowiek jednak zastawił swoje sidła, święte sidła rozumu, i wreszcie schwycił potwory. Poskromiliśmy hydrę i nazywa się ona statkiem parowym, poskromiliśmy smoka i nazywa się on parowozem, już wkrótce poskromimy gryfa, już go trzymamy; nazywa się on balonem. W dzień, kiedy zakończy się to prometejskie dzieło, kiedy człowiek ostatecznie podporządkuje swojej woli potrójną chimere starożytności, hydrę, smoka i gryfa, stanie się on panem wody, ognia i powietrza i dla reszty żywego stworzenia będzie tym, czym dawni bogowie byli niegdyś dla niego. Odwagi, idźmy naprzód! Ach, rodzaj ludzki będzie wyzwolony, podniesiony i dozna pociechy! Zapewniamy go o tym z tej barykady. Skąd ma się odezwać głos miłości, jeżeli nie z wyżyn poświęcenia? O moi bracia, w tym miejscu połączyli się ci, co myślą, i ci, co cierpią; ta barykada nie jest zbudowana z kamienia ani z belek, ani z żelastwa, lecz z dwóch stosów – ze stosu idei i ze stosu cierpień. Nędza spotyka się tu z ideałem. Dzień obejmuje tu w uścisku noc i mówi do niej: umrę z tobą, a ty się odrodzisz ze mną. Z uścisku wszystkich nieszczęść rodzi się wiara. Cierpienia przynoszą tu swoją agonię, idee swoją nieśmiertelność. Ta agonია pomieszana z tą nieśmiertelnością złoży się na naszą śmierć. Bracia, kto tu umiera, umiera w promieniach przyszłości. Wchodzimy do grobu rozjaśnionego jutrzeńką.

Enjolras przerwał sobie raczej, niż skończył przemawiać; jego wargi poruszały się w milczeniu, jak gdyby mówił jeszcze sam do siebie, i powstańcy, wyrażając uwagę, aby nie stracić tych słów, patrzyli na niego. Nie było oklasków, ale długo szeptało. Słowo jest podmuchem i poruszone przez nie umysły podobne są do szeleszczących liści.

Mariusz nieprzytomny, Javert małomówny

Powiedzmy, co się działo tymczasem w myślach Mariusza.

Czytelnik pamięta, jaki był stan jego duszy. Przypomnieliśmy przed chwilą, że wszystko było dla niego już tylko przywidzeniem. Umysł jego spowila mgła. Mariusz, podkreślmy to, stał w cieniu wielkich, mrocznych skrzydeł, które rozpościerają się nad konającymi. Czuł, że wchodzi w grób. Wydawało mu się, że jest już z tamtej strony muru, i na twarze żyjących patrzył oczami umarłego.

W jaki sposób dostał się tu pan Fauchelevant? Dlaczego przyszedł? Co zamierza tu robić? Mariusz nie zadawał sobie tych pytań. Rozpacz człowieka ma tę właściwość, że zagarnia wszystkich dokoła nas, wydawało mu się więc całkiem logiczne, że wszyscy szukają śmierci.

Tylko serce ścisnęło mu się na myśl o Kozecie.

Zresztą pan Fauchelevant nie przemówił do niego ani słowa, nie spojrzał nawet na niego i zdawał się nie słyszeć, kiedy Mariusz powiedział: znam go.

Takie zachowanie się pana Fauchelevant sprawiło ulgę Mariuszowi i gdyby można użyć tego wyrażenia dla określenia takich wrażeń, powiedzielibyśmy, że podobało mu się. Zawsze czuł, że w żaden sposób nie potrafiłby przemówić do tego zagadkowego człowieka, który wydawał mu się zarazem i podejrzany, i imponujący. Prócz tego zaś od dawna już go nie widział, co naturom nieśmiałym i zamkniętym w sobie, jak Mariusz, jeszcze bardziej uniemożliwia rozmowę.

Pięciu wybranych opuściło barykadę przez uliczkę Zakręt; byli łądząco podobni do gwardzistów. Jeden z nich, odchodząc, płakał. Przed odejściem uściskali tych, którzy pozostali.

Kiedy pięciu ludzi odesłanych życiu odeszło, Enjolras pomyślał o skazanym na śmierć. Wszedł do izby na parterze. Javert, przywiązany do słupa, dumał.

– Potrzeba ci czego? – zapytał Enjolras.

Javert odpowiedział:

– Kiedy mnie zabijecie?

– Poczekaj. W tej chwili potrzebujemy wszystkich ładunków.

– Więc dajcie mi wody – rzekł Javert.

Enjolras sam mu podał szklanekę wody, a że Javert był związany, podniósł mu ją do ust.

– Czy to wszystko? – zapytał Enjolras.

– Niewygodnie mi przy tym słupie – odpowiedział Javert. – Nie najczulsze macie serca, kiedyście mnie tak zostawili na całą noc. Związujcie mnie, jak wam się podoba, ale możecie przecież położyć mnie na stole, jak tego.

I ruchem głowy wskazał na zwłoki pana Mabeuf.

Na rozkaz Enjolrasa czterech powstańców odwiązało Javerta od słupa. Kiedy to robili, piątą trzymał bagnet przyłożony do jego piersi. Ręce miał wciąż skrepowane z tyłu, a nogi mu związane sznurkiem cienkim i mocnym, tak żeby mógł stąpać drobnym krokiem, jak człowiek idący na rusztowanie. W ten sposób zaprowadzono go na drugi koniec izby, do stołu, na którym położono go i mocno przywiązano w połowie ciała.

Kiedy krepowano Javerta, jakiś mężczyzna, stojący w progu przypatrywał mu się ze szczególną uwagą. Na widok cienia padającego od tego człowieka, Javert odwrócił głowę. Podniósł oczy i poznał Jana Valjean. Nie zadrzał nawet, wyniosłe zamknął powieki i powiedział tylko: – Oczywiście.

Sytuacja staje się coraz poważniejsza

Rozjaśniało się szybko. Ale ani jedno okno nie otworzyło się, nie uchyliły się ani jedne drzwi; ten świt nie obudził nikogo. Mówiliśmy już, że wojsko wycofało się z przeciwległego barykadzie krańca ulicy Konopnej; wydawała się ona wolna i otwierała się dla przechodniów ze złowrogim spokojem. Ulica św. Dionizego była niema jak aleja tebańskich sfinksów. Ani żywej duszy na zalanych słońcem rogach. Jakże posępne jest światło słoneczne na pustych ulicach!

Było pusto, ale nie głucho. Z pewnej odległości dawał się słyszeć jakiś tajemniczy ruch. Niewątpliwie chwila krytyczna była coraz bliższa. Jak poprzedniego wieczora, placówki opuściły stanowiska, lecz tym razem wszystkie.

Barykada była silniejsza niż podczas pierwszego ataku. Po odejściu pięciu powstańców jeszcze ją podwyższono.

Za radą wartownika, który obserwował okolicę Hal, Enjolras, obawiając się napaści z tyłu, powziął poważną decyzję. Kazał zabarykadować wolną dotąd uliczkę Zakręt. W tym celu zerwano bruk sprzed kilku domów. Teraz barykada, zamurowana z trzech stron: z przodu od Konopnej, od Łabędziej i Małej Żebraczej z lewej strony, od Zakrętu z prawej, stała się rzeczywiście prawie nie do zdobycia, lecz powstańcy też byli w niej całkowicie zamknięci. Miała trzy fronty, bez żadnego już jednak wyjścia. – Twierdza, ale i pułapka – Powiedział śmiejąc się Courfeyrac.

Jak wczorajszego wieczora, wszystkie oczy były wpatrzone, można by prawie powiedzieć: wparte w koniec ulicy, teraz widoczny w świetle dnia.

Oczekiwanie nie trwało długo. Wrzawa wyraźnie dochodziła od strony Saint-Leu, nie było to jednak podobne do poruszeń pierwszego ataku. Brzęk łańcuchów, niepokojący turkot czegoś ciężkiego, szczęk spiżu podskakującego na bruku, jakiś jakby uroczysty zgiełk, zapowiadały, że zbliża się złowieszcza machina żelazna. Dreszcz przeniknął wnętrzości tych starych ulic, spokojnych, zabudowanych dla płodnej cyrkulacji interesów i idei, a bynajmniej nie przeznaczonych dla potwornych kół wojny.

Żrenice obrońców barykady utkwione były w koniec ulicy z coraz bardziej zaciętą gotowością.

Ukazała się armata.

Artylerzyści popychali działo osadzone na lawecie; konie były odprężone; dwóch żołnierzy podtrzymywało lawetę, a czterech pchało koła; inni szli z tyłu prowadząc jaszczyk. Widać było dymiący się lont.

– Ognia! – krzyknął Enjolras.

Cała barykada dała ognia, huk był straszny; tumany dymu skryły armatę i żołnierzy; po kilku sekundach chmura rozproszyła się, armata i ludzie ukazali się znowu, artylerzyści dalej popychali działo i ustawiali je naprzeciw barykady, spokojnie, bez pośpiechu. Ani jeden nie został ugodzony. Dowódca baterii siadł na lawecie armaty i regulował cel z powagą astronoma ustawiającego lunetę.

– Brawo, kanonierzy! – zawołał Bossuet.

I cała barykada zaklaskała w dłonie.

Po chwili armata, ustawiona na samym środku ulicy, w poprzek rynsztoka, była gotowa do strzału. Jej potężna paszcza otworzyła się ku barykadzie.

– Nabić broń! – rozkazał Enjolras.

Jak barykada wytrzyma strzał armatni? Czy pocisk zrobi wyłom? Takie zadawano sobie pytania. Kiedy powstańcy ładowali karabiny, artylerzyści nabijali armatę.

Wielki był niepokój w reducie.

Przyłożono lont – działo wypaliło.

– Jestem! – zawołał wesoły głos.

Kula armatnia ugodziła w barykadę i w tej samej chwili Gavroche wpadł do środka.

Przyszedł od strony ulicy Łabędziej, przeskoczywszy z łatwością barykadę na Małej Żebraczej.

Gavroche wywarł większe wrażenie niż wystrzał armatni.

Kula ugrzęzła w gruzach. Złamała tylko koło omnibusu i zgruchotała do reszty stary wóz handlarza wapnem. Ujrzawszy to, cała barykada wybuchnęła śmiechem.

– Strzelajcie dalej! – zawołał Bossuet do artylerzystów.

Z artylerzystami nie ma żartów

Otoczono Gavroche'a.

Nie miał jednak czasu opowiedzieć swych przygód. Mariusz z drzeniem odprowadził go na bok.

– Po coś tu przyszedł?

– Jak to? – odparł chłopiec. – A pan?

I utkwił w Mariuszu swoje epicko zuchwałe spojrzenie. Płomień dumy rozszerzał jego źrenice.

Mariusz mówił dalej surowym tonem:

– Kto ci kazał wracać? Czy przynajmniej oddałeś list według adresu?

Gavroche miał trochę wyrzutów sumienia z powodu tego listu. Śpiesząc się, żeby jak najprędzej wrócić, raczej się go pozbył, niż oddał. Ale wydobył się z kłopotu najpospolitszą drogą: skłamał wierutnie.

– Obywatelu, oddałem list dozorczy. Dama spała. Dostanie list, kiedy się obudzi.

Mariusz, wysyłając list, miał cel podwójny: pożegnać się z Kozetą i ocalić Gavroche'a. Musiał się zadowolić połową tego, czego pragnął.

Uderzył go pewien związek między wysłaniem listu i zjawieniem się na barykadzie pana Fauchelevant. Pokazał go Gavroche'owi.

– Czy znasz tego człowieka?

– Nie – odpowiedział Gavroche.

Rzeczywiście, jak pamiętamy, Gavroche widział Jana Valjean w nocy.

Niepewne i chorobliwe domysły, które powstały na chwilę w umyśle Mariusza, rozproszyły się. Nie znał przecież poglądów pana Fauchelevant. Może był on po prostu republikaninem i stąd jego obecność w walce?

Tymczasem Gavroche był już na drugim końcu barykady i wołał:

– Gdzie jest mój karabin?

Courfeyrac kazał mu go oddać.

Gavroche ostrzegł swoich „towarzyszy”, jak ich nazywał, że barykada jest otoczona. Przedarł

się z wielkim trudem. Batalion liniowy, stojąc na ulicy Małej Żebraczej, czuwał od strony Łabędziej; ze strony przeciwnej gwardia miejska zajmowała Dominikańską. Przed sobą mieli główną część wojska. Gavroche opowiedział to wszystko i dodał na zakończenie:

– Upoważniam was do przetrzepania im skóry.

Enjolras tymczasem patrzył przez strzelnicę i nasłuchiwał. Oblegający, zapewne niezadowoleni ze strzału armatniego, już go nie powtórzyli.

Kompania piechoty zajęła koniec ulicy, za armatą. Żołnierze wrywali kamienie z bruku i układali na wprost barykady podmurowanie, stanowisko strzelnicze wysokości nie większej niż jakieś osiemnaście cali. Na lewym krańcu tego podmurowania widać było czoło batalionu gwardzistów ulokowanego na ulicy św. Dionizego.

Enjolrasowi zdawało się, że słyszy osobliwy szmer, towarzyszący posuwaniu jaszczyka z kartaczami, i zobaczył, że dowódca baterii zmienił kierunek i przesuwając lufę w lewo. Potem artylerzyści nabili armatę. Dowódca sam chwycił lont i zbliżył się do ognia.

– Schylić głowy, uszykujcie się wzdłuż muru – zawołał Enjolras – klęknąć pod barykadą!

Rozproszeni koło gospody powstańcy, którzy zeszli ze swoich stanowisk w chwili przybycia Gavroche'a, rzucili się bezładnie ku barykadzie, ale nim wykonali rozkaz Enjolrasa, rozległ się przeraźliwy ryk wystrzału kartaczami. Były to rzeczywiście kartacze.

Strzał, skierowany w przejście między redutą a domem, odbił się od ściany i ten straszny rykoszet ugodził śmiertelnie dwóch powstańców i ranił trzech.

Jeszcze kilka takich strzałów i barykada byłaby nie do utrzymania. Kartacze wpadały do środka.

Rozległ się szmer przyrażenia.

– Postarajmy się nie dopuścić do drugiego strzału – rzekł Enjolras.

I opuściwszy karabin, zmierzył do dowódcy baterii, który w tej chwili, pochylony na lawecie, poprawiał i ostatecznie ustalał cel. Z lufy karabinu trysnęła błyskawica. Artylerzysta dwa razy okręcił się dokoła siebie z wyciągniętymi rękami i podniesioną głową, jakby chciał zaczerpnąć powietrza, po czym zwałił się bokiem na armatę i został tak bez ruchu.

Trzeba go było zabrać i zastąpić innym. Zyskali więc kilka minut.

Użytek starego talentu kłusowniczego niezawodnej celności strzału, która wpłynęła na wyrok z roku 1796

Powstańcy naradzali się pośpiesznie. Obstrzał armatni znów się rozpoczął, kartacze zburzą barykadę w ciągu kwadransa. Należało bezwzględnie unieszkodliwić strzały.

Enjolras rzucił rozkaz:

– Trzeba umieścić tam materac.

– Nie ma materaca – rzekł Combeferre. – Leżą na nim ranni.

Jan Valjean, siedząc na skraju trotuaru, przy gospodzie, trzymał między kolanami strzelbę i aż do tej pory nie brał udziału w niczym. Jakby nie słyszał, że dokoła odbywały się głosy walczących: patrzcie, bezczynna strzelba!

Na dźwięk rozkazu rzuconego przez Enjolrasa wstał. Pamiętamy przecież, że gdy oddział przybył na ulicę Konopną, jakaś staruszka, przewidując kule, wywiesiła przed oknem materac.

To okno znajdowało się na mansardzie sześciopiętrowego domu stojącego nieco przed barykadą. Materac, ułożony w poprzek, oparty był o dwie tyczki do suszenia bielizny, a u góry przywiązany dwoma sznurkami do gwoździ wbitych w ramy okna. Sznurki te, wyraźnie widoczne na tle nieba, wydawały się cienkie jak włosy.

– Może mi kto pożyczyć dwustrzałowego karabinu? – zapytał Jan Valjean.

Enjolras podał mu swój, który nabił przed chwilą. Jan Valjean zmierzył do okienka i strzelił. Jeden sznurek został przecięty. Materac wisiał już tylko na drugim.

– Jan Valjean strzelił powtórnie. Drugi sznurek uderzył o szybę okienka. Materac zsunął się między tyczkami i spadł na ulicę.

Barykada klaskała.

Wszyscy zawołali:

– Mamy materac!

– Tak – rzekł Combeferre – ale kto po niego pójdzie?

Rzeczywiście, materac upadł przed barykadą, między obleganymi i oblegającymi. Śmierć sierżanta artylerii doprowadziła wojsko do wściekłości; żołnierze, położywszy się za zasłoną z kamieni brukowych, od kilku minut strzelali w barykadę, czekając, kiedy po uzupełnieniu obsługi znów odezwie się działo. Powstańcy nie odpowiadali im, aby oszczędzać amunicji. Strzały rozbijały się o barykadę, ale gęsto świstające kule czyniły ulicę niebezpieczną.

Jan Valjean przesunął się koło ściany, wyszedł na jezdnię, przeszedł pod gradem pocisków aż do materaca, podniósł go, włożył sobie na plecy i wrócił na barykadę. Sam zastawił przejście materacem, w ten sposób przysuwając go do muru, że artylerzyści nie mogli go widzieć.

Teraz powstańcy czekali na nowy strzał armatni.

Nastąpił niebawem.

Armata z rykiem wyrzuciła ładunek kartaczy. Ale nie było rykoszetu, kule uwięzły w materacu. Rezultat odpowiadał oczekiwaniom. Barykada ocalała jeszcze raz.

– Obywatelu – powiedział Enjolras do Jana Valjean. – Republika dziękuje ci!

Bossuet podziwiał i śmiał się. Zawołał:

– To niemoralne, żeby materac miał taką siłę. Triumf tego, co się ugina, nad tym, co ciska pioruny. Ale wszystko jedno. Chwała materacowi, który unieszkodliwia armatę!

Strzał, który nie chybia celu, nie zabijając nikogo

Ogień oblegających nie ustawał. Strzały armatnie i karabinowe następowały po sobie kolejno, niewielkie jednak czyniąc spustoszenie. Ucierpiała od nich tylko górna część fasady Koryntu. Okna pierwszego piętra i poddasza, dziurawione kulami i kartaczami, rozpadały się powoli. Powstańcy, którzy mieli tam stanowiska, musieli się cofnąć.

Zresztą jest to taktyka normalna przy ataku na barykady; strzelać długo, aby wyczerpać amunicję obleganych, jeśli popełniają oni ten błąd, że odpowiadają strzelaniem. Kiedy po słabnięciu ich ognia oblegający poznają, że brak już im kul i prochu, wtedy przypuszczają atak. Enjolras nie wpadł w tę zasadzkę; barykada nie odpowiadała wcale.

Przy każdej salwie oddziału Gavroche wypychał sobie policzek językiem na znak głębokiej pogardy.

– To dobrze – powiedział – drzyjcie płótno. Potrzeba nam szarpi.

Courfeyrac zapytywał kartacze o powody małych szkód, jakie wyrządzały, i mówił do armaty:
– Jakoś kiepsko się trzymasz, moja staruszko!

W czasie bitwy strony intrygują się jak na balu. Prawdopodobnie milczenie reduty zaczęło niepokoić oblegających i budzić w nich obawę jakiejś niespodzianki; zapragnęli więc stwierdzić, co się dzieje za tą kupą kamieni, za tym niezdobytym wałem, który obojętnie przyjmował pociski, nie odpowiadając na nie. Powstańcy spostrzegli nagle kask błyszczący w słońcu na sąsiednim dachu. Jakiś saper stał przy wysokim kominie, jakby na warcie. Spojrzenie jego padało prosto na barykadę.

– Krępuje nas ten dozorca – rzekł Enjolras.

Jan Valjean oddał był karabin Enjolrasa, ale miał swoją strzelbę.

Nie rzekłszy słowa, zmierzył do sapersa i w chwilę później kask, przestrzelony kulą, spadł z łoskotem na ulicę. Przestraszony żołnierz wycofał się.

Miejsce jego zajął drugi obserwator. Był nim oficer. Jan Valjean nabił strzelbę, zmierzył do nowo przybyłego i kask oficera spadł w ślad za kaskiem żołnierza. Oficer nie upierał się i prędko zniknął. Tym razem zrozumiano przestrożę. Nikt się nie pojawił na dachu; wojsko zrezygnowało z podpatrywania barykady.

– Dlaczego nie zabił pan tego człowieka? – zapytał Bossuet Jana Valjean.

Jan Valjean nie odpowiedział.

Nieład stronnikiem ładu

Bossuet szepnął Combeferre'owi do ucha:

– Nie odpowiedział na moje pytanie.

– Ten człowiek czyni dobro kulami – odrzekł Combeferre.

Ci, którzy zachowali w pamięci tę odległą epokę, przypominają może sobie, że podmiejska gwardia narodowa dzielnie walczyła przeciwko powstaniom. Szczególną zapamiętałością i odwagą odznaczała się w dni czerwcowe 1832 roku. Ten czy ów oberżysta z Pantin, z Vertus czy z la Cunette, którego „zakład” był nieczynny z powodu zamieszek, nabierał isticie lwiej odwagi na widok swej pustej sali tańca i szedł na śmierć w obronie porządku uosobionego w postaci szynku. W owych czasach, mieszczańskich i heroicznych zarazem, przeciwko rycerzom idei występowali paladyni interesu. Prozaiczność pobudek nie pomniejszała brawury ruchu. Malejący stos dwudziestofrankówek skłaniał bankierów do śpiewania Marsylianki. Lirycznie przelewano krew za sprawę kontuaru i z lacedemońskim entuzjazmem broniono sklepu, tego ogromnego zdrobnienia ojczyzny.

W istocie, powiedzmy to, szło wówczas o sprawy bardzo poważne. Żywioły społeczne, w oczekiwaniu dnia, kiedy znajdą się w równowadze, ruszyły do walki.

Drugim znakiem czasu było zbratanie się anarchii z prządowością.

Zwolennicy ładu bronili go w sposób bezładny, niekarny. Bębny zaczynały bić znienacka, na rozkaz jakiegoś pułkownika gwardii narodowej, na dowolnie zarządzony apel. Tu jakiś kapitan rzucał się w wir walki pod wpływem przelotnego natchnienia; tam jakiś oddział gwardii walczył na własną odpowiedzialność i własne ryzyko. W chwilach przelomowych w ogniu utarczek radzono się nie tyle dowódców, ile własnych instynktów.

Cywilizacja, na nieszczęście będąca w owej epoce raczej splotem interesów niż zbiorem

zasad, była zagrożona lub też za taką się miała; podnosiła alarm i oto każdy, kto chciał, pomagał jej i ochraniał ją według własnego widzimisie; pierwszy lepszy przybłąda obwoływał się zbawcą społeczeństwa.

Gorliwość doprowadzała czasem do zbrodni. Ten czy ów pluton gwardii narodowej uznawał sam siebie trybunałem wojennym i w ciągu pięciu minut sądził i tracił wziętego do niewoli powstańca.

Szóstego czerwca 1832 roku kompania gwardii narodowej pod komendą Fannicota z własnej i nieprzymuszonej woli dała się zdziesiątkować na ulicy Konopnej. Ten niezwykle fakt został stwierdzony przez śledztwo zarządzane po uśmierzeniu powstania 1832 roku. Kapitan Fannicot, krewki i buńczuczny mieszczanin z rasy kondotierów porządku, których opisywaliśmy wyżej, fanatyczny a niesforny stronnik rządu, nie mógł się oprzeć pokusie otwarcia ognia przed oznaczoną godziną i ambicji zdobycia barykady samemu tylko, czyli ze swoją kompanią. W chwili gdy się najmniej tego spodziewano, kapitan Fannicot pchnął swoich ludzi przeciw barykadzie. Ten manewr, wykonany bardziej zapalczywie niż strategicznie, drogo kosztował kompanię. Ledwie bowiem przebyła dwie trzecie ulicy, przywitała ją salwa z barykady. Czterech najodważniejszych, którzy biegli na przedzie, legło pod samą redutą. Po krótkim wahaniu zuchwała gromada gwardzistów, odważnych, lecz pozbawionych wojskowej wytrzymałości, musiała cofnąć się, pozostawiając na bruku piętnaście trupów. Chwila wahania pozwoliła powstańcom ponownie naładować broń. I zanim kompania zdążyła schronić się za rogiem, dosięgła jej następna mordercza salwa. Przez chwilę, wzięta we dwa ognie, znalazła się w zasięgu baterii, która nie mając odpowiedniego rozkazu, nie zaprzestała strzelać. Nieustraszony i nieroztropny Fannicot padł wśród trafionych kartaczami. Zabiło go działo – bron stronników ładu.

Atak ów, bardziej wściekły niż poważny, rozdrażnił Enjolrasa.

– Głupcy! – zawołał. – Wysyłają na rzeź swoich żołnierzy i zmuszają nas do marnowania amunicji.

Enjolras odezwał się, jak przystoi generałowi buntu, którym był w istocie. Powstanie i represja nie walczą równą bronią. Powstanie rozporządza ograniczoną liczbą i strzałów, i ludzi. Wyczerpana ładownica i zabity człowiek nie dają się zastąpić. Represja nie skąpi ludzi, bo ma armię, i nie żałuje amunicji, bo ma Vincennes. Represja ma tyle pułków, ile barykada ma obrońców, i tyle arsenałów, ile barykada ładownic. Są to zatem boje jednego przeciwko stu, które zawsze kończą się zmiażdżeniem barykady; chyba że rewolucja, nagle wybuchając, rzuci na szalę swój gorejący miecz archanioła. Zdarza się to. Wówczas wszystko powstaje, bruki zaczynają wrzeć, mnożą się ludowe reduty, Paryż drży potężnie, *quid divinum*¹⁰ wydobywa się, 10 sierpnia jest w powietrzu, 29 lipca jest w powietrzu, objawia się cudowne światło, rozwarty pysk przemocy cofa się i armia, ten lew, widzi przed sobą spokojnie stojącego proroka – Francję.

Dowiadujemy się imienia kochanki Enjolrasa

Courfeyrac, siedzący na kamieniu obok Enjolrasa, w dalszym ciągu przeklinał armatę i za każdym razem, kiedy z potwornym hałasem przelatywała chmura pocisków, która nazywa się karłalem, przyjmował ją wybuchem ironii:

¹⁰ Coś boskiego (łac.)

– Nadwerężysz sobie płuca, mój biedny, stary brutalu, robisz mi zmartwienie, marnujesz swój hałas. To nie grzmot, to kaszel.

Stojący w pobliżu śmiali się.

– Podziwiam Enjolrasa – mówił Bossuet. – Zachwyca mnie jego niewzruszona odwaga. Żyje samotnie i to go może czyni nieco smutnym. Enjolras skarży się na swoją wielkość, która skazuje go na wdowieństwo. My wszyscy mamy mniej lub więcej kochanek, które robią z nas ludzi szalonych, czyli odważnych. Kiedy człowiek jest zakochany jak tygrys, wtedy bić się jak lew to dla niego fraszka. Jest to pewien sposób zemsty za pociski miłości, jakimi poraziły nas gryzетки, panie nasze. Wszystkie nasze bohaterstwa pochodzą od naszych kobiet. Mężczyzna bez kobiety jest jak pistolet bez kurka; to kobieta sprawia, że mężczyzna strzela. A więc, Enjolras nie ma kobiety. Nie kocha się, a jednak potrafi być nieustraszony. To niesłychane, że można być zimnym jak lód i śmiałym jak ogień.

Enjolras zdawał się nie słuchać, ale ktoś, kto by znajdował się blisko niego, usłyszałby, jak szepnął cicho słowo: – *Patria*¹¹.

Bossuet śmiał się jeszcze, kiedy Courfeyrac krzyknął:

– Coś nowego!

I naśladując głos woźnego wywołującego nazwiska, dodał:

– Nazywam się Ośmioletka.

W samej rzeczy nowa osobistość wkroczyła na scenę. Było to drugie działo.

Artylerzyści szybko wykonali manewr i odprzodkowali to działo obok pierwszego.

Zaczynało zarysowywać się rozwiązanie.

W kilka chwil później oba działa, obsługiwane z pośpiechem, strzelały prosto na redutę; ogień plutonu liniowego i plutonu gwardii wspierał artylerię.

W pewnej odległości słychać było inną kanonadę. W tym samym czasie, kiedy dwa działa waliły do szanca na ulicy Konopnej, dwa inne, jedno wycelowane w ulicę św. Dionizego, drugie w ulicę Aubry-le-Boucher, zasypywały pociskami barykadę św. Mederyka. Cztery armaty pośpiesznie sobie wtórowały.

Ponure psy wojny czekały do siebie.

Z dwóch dział, które waliły teraz w barykadę na ulicy Konopnej, jedno strzelało kartaczami, drugie kulami.

Działo strzelające kulami wycelowane było nieco za wysoko, a strzały były tak wymierzone, że kule uderzały w skraj górnego węgła barykady, odbijały się od niego i kruszyły kamienie brukowe, których odłamki padały na powstańców.

Taki sposób strzelania zmierzał do zepchnięcia powstańców ze szczytu reduty, aby musieli zgrupować się w jej wnętrzu, a więc zapowiadał natarcie.

Po wyparciu walczących – kulami ze szczytu barykady i kartaczami z okien gospody – kolumny szturmowe mogłyby zapuścić się w ulicę, nie wystawiając się na cel, może nawet niepostrzeżenie, nagle wdrzeć się na redutę, jak poprzedniego wieczora, i kto wie, czy nie zdobyć jej zniemacka.

– Koniecznie trzeba zmniejszyć szkodliwość tych dział – rzekł Enjolras i zawołał: – Ognia do artylerzystów!

Wszystko było gotowe. Barykada, która milczała już od tak dawna, dała wściekłą salwę; z radością jak gdyby i zażarcie wystrzelili tak siedem, osiem razy z rzędu, ulica wypełniła się osłepiającym dymem i po kilku minutach, poprzez tę mgłę zmieszana z płomieniami, z trudem zobaczyć można było dwie trzecie artylerzystów zwisających na kołach armat. Ci, którzy

¹¹ Ojczyzna (łac.)

pozostali, nie przestali obsługiwać dział z surowym spokojem, ale ogień stał się rzadszy.

– Dobrze idzie – rzekł Bossuet do Enjolrasa. – Udało się.

Enjolras potrząsnął głową i odpowiedział:

– Jeszcze kwadrans takiego powodzenia, a nie będzie nawet dziesięciu naboju na barykadzie.

Zdaje się, że Gavroche usłyszał te słowa.

Gavroche przed barykadą

Courfeyrac nagle spostrzegł kogoś przed barykadą, na ulicy, pod kulami.

Gavroche zabrał z gospody kosz na butelki, wyszedł przez przekop i spokojnie zaczął opróżniać ładownice gwardzistów narodowych, zabitych pod barykadą.

– Co tam robisz? – zapytał Courfeyrac.

Gavroche odpowiedział:

– Obywatelu, napełniam koszyk.

– Nie widzisz, że kartaczą?

Gavroche odpowiedział:

– A tak, pada. Co z tego?

Courfeyrac zawołał:

– Wracaj!

– Zaraz wrócę – odrzekł Gavroche.

I jednym skokiem rzucił się w ulicę.

Pamiętamy, że kompania gwardzistów kapitana Fannicot, ustępując, postawiła za sobą sznur trupów.

Ze dwudziestu poległych gwardzistów leżało tam rozrzuconych po bruku na całej długości ulicy. Dwadzieścia ładownic dla Gavroche'a. Zapas naboju dla barykady.

Dym strzałów wypełnił ulicę jak gęsta mgła. Kto widział chmurę opadłą w wąwóz górski między dwoma stromymi zboczami, ten potrafi wyobrazić sobie ten dym zgęszczony między dwoma ciemnymi rzędami wysokich domów. Podnosił się z wolna i odnawiał za każdym wystrzałem, stąd rosła ciemność wśród białego dnia. Walczący na dwóch końcach dość krótkiej przeciw ulicy ledwo się nawzajem widzieli.

Ta ciemność, prawdopodobnie pożądana i przewidziana przez dowódców kierujących szturmem do barykady, była korzystna dla Gavroche'a.

Pod skłębioną zasłoną dymu i dzięki swej drobnej postaci, nie dostrzeżony posunął się daleko w ulicę. Bez większego niebezpieczeństwa wypróżnił siedem czy osiem ładownic.

Czołgał się na brzuchu, pędził na czworakach, trzymając koszyk w zębach, kręcił się, pełznął, wił jak wąż od jednego do drugiego trupa i opróżniał ładownice, jak małpa łuska orzechy.

Z barykady, od której nie był jeszcze bardzo oddalony, nie odważono się przywoływać go z powrotem, bojąc się zwrócić na niego uwagę oblegających.

Przy trupie jakiegoś kaprała znalazł rożek z prochem.

– I to się przyda – rzekł, chowając rożek do kieszeni. Posuwając się wciąż naprzód, dotarł do miejsca, gdzie dym strzałów stawał się przezroczysty.

Wreszcie tyralierzy piechoty, przykucnięci za swoją osłoną z kamieni, i tyralierzy gwardii

podmiejskiej, zgrupowani za rogiem ulicy, zaczęli nagle pokazywać sobie coś, co się ruszało wśród dymu.

Kiedy Gavroche zabierał ładunki sierżantowi leżącemu przy brzegu trotuaru, kula trafiła trupa.

– Tam do licha! – rzekł Gavroche. – Zabijają mi moich nieboszczyków.

Druga kula skrzesła iskry na bruku, tuż obok niego.

Trzecia przewróciła mu koszyk.

Gavroche spojrział i zobaczył, że strzały pochodzą od gwardzistów.

Wstał, wyprostował się, ujął pod boki i z włosami rozwianymi przez wiatr, wpatrując się w strzelających gwardzistów, zaśpiewał:

*Ktoś kimś w Hawrze poniewiera –
Wszystko wina jest Waltera.
Ktoś jest głupi w Palaiseau –
Wszystko przez tego Rousseau.*

Potem podniósł koszyk, zebrał co do jednego ładunki, które się wysypały, i zbliżając się ku strzałom, zaczął opróżniać nową ładownicę. Tam chybiła go czwarta kula. Gavroche zaśpiewał:

*Nie chcą wybrać mnie na mera –
Wszystko wina jest Waltera.
Chłystek jestem, nie ma co –
Wszystko przez tego Rousseau.*

Piąta kula wywołała tylko trzecią zwrotkę:

*Dobry humor mnie rozpiera –
Wszystko wina jest Waltera.
Ale portki mi się drą –
Wszystko przez tego Rousseau.*

Tak trwało pewien czas.

Był to widok przerażający i urzekający zarazem. Ostrzeliwany Gavroche kpił ze strzelaniny. Zdawał się bawić wyśmienicie. Był to wróbel dziobiący strzelców. Na każdy wystrzał odpowiadał zwrotką piosenki. Strzelali do niego nieustannie i zawsze chybiali. Gwardziści narodowi i żołnierze śmieli się celując. To padł plackiem na ziemię, to powstał, to skrył się w kąt bramy, podskoczył, znikł, ukazał się znowu, na strzały odpowiadał grymasami, a jednocześnie zbierał ładunki, opróżniał ładownice i napełniał koszyk. Powstańcy, wstrzymując oddech z niepokoju, śledzili go wzrokiem. Barykada drżała, on śpiewał. Nie był to dzieciak, nie był to mężczyzna, ale Jakiś dziwny ulicznik– czarodziej. Rzekłbyś, nietykalny karzelek z tłumu. Kule uganiały się za nim, on był zwinniejszy od kul. Grał ze śmiercią w jakąś przerażającą ciuciubabkę; ilekroć zbliżała się płaskonosa twarz widma, dawał jej szcztka w nos.

Jedna wszakże kula, lepiej wymierzona lub bardziej od innych radziecka, dosięgła jednak tego chłopca– ognika. Gavroche zachwiał się i upadł. Cała barykada krzyknęła; ale ten pigmej miał w sobie coś z Anteusza. Dla ulicznika dotknąć się bruku, to jak dla olbrzyma dotknąć ziemi. Gavroche upadł tylko po to, żeby się zaraz podnieść; usiadł na bruku, długa struga krwi spływała mu po twarzy podniósł obie ręce do góry, spojrział w stronę, z której przyszedł strzał, i zaczął śpiewać:

*Człowiek tylko guzy zbiera –
Wszystko wina jest Waltera.
Lecę nosem w rynsztok, o! –
Wszystko przez tego...*

Nie dokończył. Druga kula tego samego strzelca przerwała piosenkę. Tym razem upadł twarzą w bruk i już się nie poruszył. Wielka dusza małego człowieczka uleciała.

W jaki sposób brat staje się ojcem

W tym samym czasie, w Ogrodzie Luksemburskim – spojrzenie dramatu winno przeniknąć wszędzie – szło dwoje dzieci, trzymając się za ręce. Jedno mogło mieć siedem, drugie pięć lat. Deszcz je zmoczył, więc szły aleją po słonecznej stronie; starszy chłopiec prowadził młodszego; byli obdarci, mizerni, mieli wygląd dzikich ptaków. Młodszy powtarzał: – Chce mi się jeść.

Starszy, już trochę w roli opiekuna, prowadził brata lewą ręką, a w prawej trzymał kijek.

Byli sami w ogrodzie. Ogród był pusty, bramy zamknięte z nakazu policji spowodowanego powstaniem. Biwakujące tu wojsko wyruszyło do walki.

O tych to właśnie dwóch malców martwił się Gavroche, jak sobie czytelnik przypomina. Były to dzieci Thénardierów umieszczone u Magnon, przypisywane panu Gillenormand, a teraz jak liście zerwane z tych gałęzi bez korzeni i gnane wiatrem po ziemi.

Ubranie ich, schludne, kiedy byli jeszcze u Magnon i gdy służyło ono za prospekt dla pana Gillenormand, teraz podarło się w strzępy.

Te biedne istotki należały już do rubryki statystycznej „dzieci opuszczonych”, które policja znajduje, zbiera, gubi i znowu odnajduje na paryskim bruku.

Trzeba było aż zaburzeń tego dnia, aby dwaj mali nędzarze mogli znaleźć się w tym ogrodzie. Gdyby ich spostrzegli dozorczy, wypędziliby te łachmany. Małym biedakom nie wolno wchodzić do ogrodów publicznych; a jednak należałoby pomyśleć, że jako dzieci mają prawo do kwiatów.

Chwilami, kiedy powiał wiatr, dolatywały niewyraźne krzyki, jakaś wrzawa, burzliwy łoskot karabinowych strzałów i głuchy huk armat. Dym unosił się nad dachami od strony Hal. Dzwon, który zdawał się nawoływać, dzwonił w oddali.

Ale dzieci nie zwracały uwagi na tę wrzawę. Młodszy powtarzał półgłosem: – Chce mi się jeść.

Prawie jednocześnie z malcami do wielkiej sadzawki zbliżyła się druga para. Był to pięćdziesięcioletni jegomość, który prowadził za rękę sześcioletniego jegomościa. Zapewne ojciec i syn. Jegomość sześcioletni trzymał w ręku duże drożdżowe ciastko.

W owym czasie mieszkańcy niektórych sąsiednich domów przy ulicy Madame i Enfer mieli klucze od Ogrodu Luksemburskiego i mogli korzystać z nich, kiedy bramy były już zamknięte; później zniesiono ten przywilej. Ojciec i syn wyszli najwidoczniej z któregoś z takich domów.

Dwaj biedni malcy zobaczyli nadchodzącego „pana” i skryli się za szopę, w której mieszkały łabędzie.

Ów pan był to mieszczanin, może ten sam, którego spotkał raz pewnego Mariusz, ogarnięty gorączką miłości, także przy tej sadzawce, i słyszał, jak radził synowi, żeby „unikał zbytków”.

Miał minę uprzejmą i wyniosłą, a usta nie domknięte i uśmiechnięte. Ten uśmiech mechaniczny, pochodzący z nadmiaru szczęk, a niedostatku skóry, pokazywał raczej zęby niż duszę. Chłopiec, z napoczętym ciastkiem w ręku, był wyraźnie przekarmiony. Malec z powodu rozruchów miał na sobie mundurek gwardii narodowej, ojciec zaś przez roztropność pozostał w ubraniu cywilnym.

Ojciec i syn zatrzymali się przy wielkiej sadzawce, gdzie pluskały się łabędzie. Ów mieszczanin zdawał się mieć szczególny sentyment dla łabędzi. Był do nich podobny o tyle, że chodził jak one.

Łabędzie pływały właśnie, co jest ich głównym talentem, i były wspaniałe.

Gdyby ci dwaj malcy mogli usłyszeć i zrozumieć, doszłyby ich te oto słowa człowieka poważnego. Ojciec mówił do syna:

– Mędrzec zadowala się niewielkim! Spójrz na mnie, mój synu. Nie lubię przepychu. Nie widziano mnie nigdy w ubiorze wyszytym złotem i drogimi kamieniami; ten fałszywy blask zostawiam duszom źle ukształconym.

W tej chwili wzmogły się głucho krzyki dochodzące od strony Hał, bicie dzwonu i wrzawa.

– Co to jest? – zapytał chłopiec.

Ojciec odpowiedział:

– Rozpusta uliczna.

Nagle zauważył dwóch obdartych malców, stojących za zielonym domkiem łabędzi.

– Oto już początek – rzekł.

I po chwili milczenia dodał:

– Anarchia wciska się do tego ogrodu.

Tymczasem chłopiec ugryzł kawałek ciastka, wypłuł go i nagle zaczął płakać.

– Czego płaczesz? – zapytał ojciec.

– Już mi się nie chce jeść.

Ojciec uśmiechnął się rozumnie:

– Moje dziecko, nie trzeba być głodnym, żeby jeść ciastko.

– To ciastko mi nie smakuje. Jest czerstwe.

– Nie chcesz go?

– Nie.

Ojciec pokazał mu łabędzie.

– Rzuć je tym płetwonogom.

Chłopiec zawahał się; można już nie chcieć ciastka, ale to jeszcze nie powód, żeby je oddawać. Ojciec mówił dalej:

– Bądź ludzki. Trzeba mieć litość dla zwierząt.

I biorąc ciastko z ręki syna, rzucił je do sadzawki.

Ciastko upadło blisko brzegu.

Łabędzie były daleko, na środku sadzawki, zajęte polowaniem na jakąś zdobycz. Nie widziały ani pana, ani ciastka.

Pan, w obawie, żeby ciastko nie utonęło nadaremnie, rozpoczął jakąś sygnalizację telegraficzną, która zwróciła wreszcie uwagę łabędzi.

Spostrzegły coś pływającego na powierzchni, jak okręty zmieniły kierunek i z wolna popłynęły ku ciastku, z majestatycznym spokojem, jaki przystoi białym ptakom.

– Łabędzie rozumieją znaki – rzekł mieszczanin uszczęśliwiony swoją pomysłowością.

W tej chwili daleka wrzawa miejska znowu wzrosła, tym razem złowrogo. Niektóre powiewy wiatru mówią wyraźniej niż inne. Ten, który dał w tej chwili, wyraźnie donosił bicie w bębny, krzyki, strzały i ponury dwugłos dzwonów i armat. Jednocześnie czarna chmura nagle zasłoniła słońce.

Łabędzie jeszcze nie dopłynęły do ciastka.

– Wracajmy – rzekł ojciec – szturmują do Tuileriów.

I odszedł, prowadząc za rękę swego małego mieszcucha.

Syn, żałując łabędzi, odwracał głowę ku sadzawce, dopóki na zakręcie alei nie stracił jej z oczu.

Tymczasem razem z łabędziami dwaj biedni zabłąkani malcy zbliżyli się do ciastka. Pływało na wodzie. Mniejszy patrzył na ciastko, większy patrzył na odchodzącego pana.

Ojciec i syn zniknęli w labiryncie alei prowadzących na wielkie schody od ulicy Madame.

Kiedy już nie było ich widać, starszy chłopiec położył się plackiem na ziemi przy brzegu sadzawki, lewą ręką uczepił się krawędzi, przechylił się ku wodzie, tak że o mało nie spadł, i prawą rękę z kijem wyciągnął ku ciastku. Łabędzie spostrzegły nieprzyjaciela i zaczęły się śpieszyć, ale swoim pośpiechem pomogły małemu rybakowi; poruszyły piersiami wodę i jedna z kolistych koncentrycznych fal lekko popchnęła ciastko ku dziecku. Kiedy ptaki dopłynęły, ciastko było już koło kijka. Chłopiec uderzył kijkiem w wodę, przyciągnął ciastko do brzegu, odstraszył łabędzie, porwał ciastko i podniósł się.

Ciastko było mokre, ale chciało im się jeść i pić. Starszy rozłamał ciastko na dwoje, mniejszą część wziął sobie, większą podał małemu bratu i rzekł:

– Masz, wcinaj.

Mortuus pater filium moriturum expectat¹²

Mariusz wyskoczył za barykadę. Combeferre pobiegł za nim. Ale było za późno. Gavroche był martwy. Combeferre zabrał koszyk z ładunkami. Mariusz zabrał chłopca.

Ach! – myślał. – To, co ojciec Gavroche’a uczynił dla jego ojca, on oddaje synowi; ale Thénardier przyniósł jego ojca żywego, on niósł martwe dziecko.

Kiedy Mariusz z Gavroche’em na rękach wrócili do reduty, miał, jak i chłopiec, twarz zlaną krwią.

W chwili gdy schylał się, żeby podnieść Gavroche’a, kula drasnęła go w czaszkę; nawet tego nie spostrzegł.

Courfeyrac odwiązał z szyi chustkę i owinął Mariuszowi czoło.

Złożono Gavroche’a na stole obok Mabeufa i oba ciała okryto czarnym szalem; starczyło go i dla starca, i dla dziecka.

Combeferre rozdał ładunki z przyniesionego koszyka.

Dostało się każdemu po piętnaście strzałów.

Jan Valjean siedział wciąż w tym samym miejscu, na brzegu trotuaru, nieruchomy. Gdy Combeferre podawał mu piętnaście ładunków, przecząco potrząsnął głową.

– A to osobliwy dziwak – rzekł cicho Combeferre do Enjolrasa. – Znajduje sposób, żeby się nie bić na tej barykadzie.

– Co mu nie przeszkadza jej bronić – odpowiedział Enjolras.

– Bohaterstwo ma swoich oryginałów – wtrącił Combeferre.

A Courfeyrac, który usłyszał, dorzucił:

– To inny gatunek niż ojciec Mabeuf.

¹² Zmarły ojciec czeka na syna, który ma umrzeć (łac.)

Combferre, przepasany fartuchem, opatrywał rannych; Bossuet i Feuilly robili ładunki z prochu, który Gavroche zabrał poległemu kapralowi. Bossuet mówił do Feuilly'ego: – Wkrótce wsiądziemy do dylizansu na drugą planetę. – Courfeyrac, siedząc na kamieniach, które sobie zarezerwował przy Enjolrasie, układał i porządkował cały arsenał: swoją laskę ze szpadą, swój karabin, dwa pistolety i kij; czynił to ze starannością dziewczęcia porządkującego swój koszyczek do robótki. Jan Valjean, milcząc, patrzył na ścianę przed sobą. Jakiś robotnik włożył na głowę szeroki słomiany kapelusz matki Hucheloup, żeby – jak mówił – nie opalić się na słońcu. Joly oglądał sobie język w lusterku wdowy Hucheloup. Paru powstańców znalazło w szufladzie suche skórki spleśniałego chleba i zjadało je chciwie. Mariusz rozmyślał z niepokojem o tym, co już wkrótce powie mu ojciec.

Sęp dostaje się w inne szpony

Nagle między dwoma wystrzałami usłyszano daleki dźwięk zegara bijącego godzinę.

– Południe – rzekł Combferre.

Jeszcze nie przebrzmiało dwunaste uderzenie, gdy Enjolras zerwał się i piorunującym głosem zawołał ze szczytu barykady:

– Znosić bruk do domu! Zatkanąć nim otwory okien na dole i na poddaszu! Połowa ludzi do broni, potowa niech nosi bruk! Nie ma ani chwili do stracenia!

Na skraju ulicy ukazał się w bojowym ordynku oddział saperów z siekierami na ramieniu.

Nie mogło to być nic innego niż czołówka kolumny. Jakiej? Oczywiście kolumny szturmowej, ponieważ saperzy mający rozbierać barykadę szli zawsze przed żołnierzami, którzy mieli ją zdobyć.

Rozkaz Enjolrasa został wykonany z systematycznym pośpiechem właściwym okrętom i barykadom, jedynym miejscem, z których nie ma ucieczki.

Następnie zabarykadowano okna na dole i ustawiono w pogotowiu żelazne sztaby, które na noc zakładano od wewnątrz na drzwi gospody.

Twierdza była gotowa, niczego nie brakowało. Barykada była wałem, a karczma obronną wieżą. Pozostałymi kamieniami założono przejście przy ścianie.

Enjolras powiedział do Mariusza:

– Jesteśmy obydwaj dowódcami. Ja wydam ostatnie rozkazy wewnątrz, ty zostań na zewnątrz i uważaj.

Mariusz stanął na szczycie barykady i patrzył. Enjolras kazał zabić gwoździemi drzwi do kuchni, którą jak pamiętamy, zamieniono na ambulans.

– Ostrożnie z rannymi – rzekł.

Ostatnie instrukcje wydawał w izbie na parterze, silnym, ale spokojnym głosem. Feuilly słuchał i odpowiadał w imieniu wszystkich.

– Na pierwszym piętrze potrzebne są topory do zrąbania schodów. Czy macie je?

– Mamy – rzekł Feuilly.

– Ile?

– Dwa topory i siekiere.

– Wystarczy. Jest tu nas dwudziestu sześciu zdolnych do walki.

– Ile karabinów?

– Trzydzieści cztery.

– O osiem za dużo. Miejcie te osiem karabinów nabite i pod ręką. U pasa szable i pistolety. Dwudziestu ludzi na barykadzie. Sześciu przyczai się w oknach pierwszego piętra i na strychu, żeby strzelać do oblegających przez strzelnice z kamieni brukowych. Niech ani jeden nie zostanie bezczynny. Jak tylko bęben uderzy do ataku niech cała dwudziestka wskoczy na barykadę. Pierwsi zajmą najlepsze miejsca.

Wydawszy te rozporządzenia, obrócił się do Javerta i rzekł:

– Nie zapomniałem o tobie.

I położywszy pistolet na stole, dodał:

– Ostatni, który stąd wyjdzie, rozwali łeb temu szpiegowi.

– Tu? – zapytał jakiś głos.

– Nie, tego trupa nie godzi się mieszać z naszymi poległymi. Można wyprowadzić go za małą barykadę, na Zakręt. Barykada ma tylko cztery stopy wysokości. On jest dobrze związany. Tam go zaprowadzić i zastrzelić.

Ktoś miał w tej chwili wyraz twarzy obojętniejszy jeszcze niż Enjolras; tym kimś był Javert.

W tej chwili pojawił się Jan Valjean.

Stał dotąd w gromadzie powstańców. Teraz wyszedł naprzód i zapytał Enjolrasa:

– Czy pan jest dowódcą?

– Ja.

– Przed chwilą dziękował mi pan.

– W imieniu Republiki. Barykada ma dwóch zbawców: Mariusza Pontmercy i pana.

– Czy sądzi pan, że zasłużyłem na nagrodę?

– Niewątpliwie.

– Więc proszę o nią.

– Jaka?

– Żebym mógł sam palnąć w łeb temu człowiekowi.

Javert podniósł głowę, zobaczył Jana Valjeana, drgnął niepostrzeżenie i rzekł:

– Słusznie.

Enjolras zabrał się do nabijania karabinu; powiódł oczami dokoła i zapytał:

– Nikt się nie sprzeciwia?

I obróciwszy się do Jana Valjeana, rzekł:

– Weź pan sobie tego szpicla.

Jan Valjean objął w posiadanie Javerta, siadając na brzegu stołu. Wziął pistolet i cichy zgrzyt oznajmił, że go nabija. W tejże chwili usłyszano głos trąbki.

– Do broni! – zawołał Mariusz ze szczytu barykady.

Javert zaśmiał się właściwym sobie cichym śmiechem i patrząc uporczywie na powstańców, rzekł:

– Nie lepiej się macie niż ja.

– Wszyscy na ulicę! – zawołał Enjolras.

Powstańcy rzucili się tłumnie, a Javert krzyknął w ślad za nimi:

– Do prędkiego zobaczenia!

Zemsta Jana Valjean

Kiedy Jan Valjean pozostał sam z Javertem, odwiązał sznur krepujący więźnia w pasie, a zawiązany na supeł pod stołem, i dał mu znak, żeby wstał.

Javert usłuchał, z tym nieopisanym uśmiechem, który wyraża całą wyższość uwięzionej władzy.

Jan Valjean wziął Javerta za postronek, jak bierze się konia za uzdę, i ciągnąc go za sobą, wyszedł z gospody, powoli, bo Javert ze spętanymi nogami mógł stąpać tylko drobnym krokiem.

Jan Valjean trzymał w ręku pistolet.

Tak przeszli przez trapezoidalne wnętrza barykady. Powstańcy, zajęci bliskim szturmem, odwróceny byli plecami. Tylko Mariusz, stojący bokiem na lewym krańcu nasypu, widział, jak przechodzili. Grobowe światło, które miał w duszy, oświetliło tę grupę złożoną ze skazańców i kata.

Jan Valjean nie bez trudu przeciągnął Javerta przez małą barykadę uliczki Zakręt, nie puszczając go jednak ani na chwilę.

Kiedy przebyli barykadę, znaleźli się w uliczce sami. Nikt ich nie mógł już widzieć. Róg kamienicy zasłaniał ich przed okiem walczących. Trupy zniesione z barykady leżały tuż obok, ułożone w straszliwy stos.

Wśród tych zwłok widać było siną twarz, rozpuszczone włosy, przestrzeloną rękę i na wpół obnażoną pierś niewieścią. Była to Eponina.

Javert spojrział z ukosa na zmarłą i najzupełniej spokojny powiedział półgłosem:

– Zdaje mi się, że znam tę dziewczynę.

Potem odwrócił się do Jana Valjean.

Jan Valjean wsunął pistolet pod pachę i utkwiał w Javercie spojenie, które i bez słów mówiło wyraźnie: – To ja, Javercie!

Javert odpowiedział:

– Mścij się więc.

Jan Valjean wy dobył z kieszeni nóż i otworzył.

– Majcher? – zawołał Javert. – Masz słuszość! To stosowniejsza broń dla ciebie.

Jan Valjean przeciął postronek, który Javert miał na szyi, następnie sznur na rękach, po czym schylił się, przeciął szpagat u nóg i prostując się, rzekł:

– Jest pan wolny.

Javert niełatwo się dziwił. A jednak, choć tak świetnie panował nad sobą, nie mógł przewyciężyć wzruszenia. Otworzył usta i stał nieruchomo.

Jan Valjean mówił dalej:

– Nie sądzę, żebym stąd wyszedł. Ale jeżeli jakimś przypadkiem wy dostanę się, to mieszkam pod nazwiskiem Faucheleyent, przy ulicy Człowieka Zbrojnego pod siódmym.

Javert skrzywił się jak tygrys jedną stroną ust i mruknął przez zęby:

– Strzeż się.

– Niech pan idzie – rzekł Jan Valjean.

Javert odparł:

– Powiedziałeś: Faucheleyent, ulica Człowieka Zbrojnego?

– Numer siódmy.

Javert powtórzył półgłosem:

– Numer siódmy.

Zapiął surdut, sztywno, po wojskowemu wyprostował się, wykonał pół obrotu, skrzyżował ramiona i trzymając się jedną ręką za podbródek, zaczął iść w kierunku Hal. Jan Valjean śledził go spojrzeniem. Uszedłszy kilka kroków, Javert odwrócił się i krzyknął na Jana Valjeana:

– Nudzi mnie to, niech mnie pan raczej zabije.

Javert sam nawet nie spostrzegł, że mówił do Jana Valjeana „pan”.

– Niech pan sobie idzie – odpowiedział Jan Valjean.

Javert oddalił się wolnym krokiem. Po chwili skręcił za róg ulicy Dominikańskiej.

Kiedy Javert zniknął, Jan Valjean wystrzelił z pistoletu w powietrze.

Potem wrócił na barykadę i rzekł:

– Skończone.

A oto, co się tymczasem stało.

Mariusz, bardziej zajęty tym, co się działo na zewnątrz barykady, niż tym, co w środku, dotychczas nie przypatrzył się uważniej szpiegowi związanemu i uwięzionemu w ciemnym kącie izby.

Kiedy zobaczył go przy świetle dnia, jak przechodził barykadę idąc na śmierć, poznał go. Przypomniał sobie inspektora z ulicy Pontoise i dwa pistolety od niego otrzymane, a których on, Mariusz, użył tu właśnie, na tej barykadzie; przypomniał sobie nie tylko twarz, ale i nazwisko.

Ale wspomnienie to było mgliste i niepewne jak wszystkie jego myśli. Nie tyle stwierdził, ile raczej zadał sobie pytanie: – Czy to aby nie inspektor policji, który mówił, że się nazywa Javert?

Może był jeszcze czas, żeby wstawić się za tym człowiekiem? Ale należałoby wprzód wiedzieć, czy to rzeczywiście ten sam Javert.

Mariusz zawołał do Enjolrasa, który stał na drugim końcu barykady:

– Enjolras!

– Co?

– Jak się nazywa ten człowiek?

– Kto?

– Agent policji. Znasz jego nazwisko?

– Naturalnie. Sam powiedział.

– Jakże się nazywa?

– Javert.

Mariusz drgnął.

W tej chwili usłyszano strzał z pistoletu.

Jan Valjean ukazał się i krzyknął:

– Skończone!

Ponury dreszcz przeniknął serce Mariusza.

Bohaterowie

Nagle uderzono w bębny do szturm.

Atak był gwałtowny jak nawałnica. Poprzedniego dnia żołnierze zbliżali się do barykady cichaczem, w ciemności, jak wąż boa. Teraz, w dzień, w odsłoniętej ulicy, zaskoczenie było niemożliwe, zresztą odsłonięte już baterie, już zaryczały działa, armia rzuciła się na barykadę.

Tym razem wściekłość zajęła miejsce zręczności. Silna kolumna piechoty liniowej, w równych odstępach przetykana gwardią narodową i pieszą gwardią miejską, mając za sobą niezliczone masy, które dawały się słyszeć, choć niewidoczne, wpadła biegiem w ulicę przy odgłosie bębnow i trąb, z bagnetami złożonymi do ataku, z saperami na czele, i nie zważając na strzały, uderzyła w barykadę niby spizowa belka w mur.

Mur wytrzymał.

Nacierający mieli za sobą liczbę, powstańcy pozycję. Stali na szczycie i z bliska razili żołnierzy, którzy potykali się o trupy i rannych i z trudem wdzierali się na stromą ścianę barykady. Ta barykada, zbudowana znakomicie i świetnie umieszczona, mogła z garstką ludzi trzymać w szachu cały legion. Wszelako kolumna oblegających ciągle wzrastała i mimo gradu kul zbliżała się nieubłaganie, krok za krokiem, powoli, ale pewnie; armia ścisnęła barykadę jak śruba prasę.

Ataki powtarzały się jeden za drugim. Wzrastała zgroza.

Wówczas na tej kupie kamieni przy ulicy Konopnej wszczęła się walka godna murów Troi. Ci ludzie, mizerni, obdarci, wyczerpani, którzy od dwudziestu czterech godzin nie jedli, nie spali, mieli tylko po kilka nabożów i na próżno szukali jeszcze po pustych kieszeniach, prawie wszyscy ranni, z głowami i rękami w bandażach rdzawych od krwi, czarnych od sadzy, z dziurami w odzieniu, przez które sączyła się krew, ledwie uzbrojeni w złe karabiny i stare wyszczerbione szable – stali się tytanami. Wojsko dziesięć razy przypadało do barykady, nigdy nie mogąc jej wziąć.

Aby pojąć tę walkę, trzeba by wyobrazić sobie ogień podłożony pod stos straszliwej odwagi, i pożar, który by stąd powstał. To nie była bitwa, lecz wnętrze pieca; usta dyszały tu płomieniem, twarze były niezwykle, kształty ludzkie zdawały się czymś niemożliwym, walczący płonęli i straszliwy był widok tych salamander buntu poruszających się w czerwonym dymie.

Walczyli wręcz, zwarci ze sobą, na pistolety, na szable, na pięści, z dala, z bliska, z góry, z dołu, zewsząd, z dachu domu, z okien gospody, z otworów piwnicy, gdzie kilku się wśliznęło. Na wpół zburzona fasada Koryntu była straszna. Okno, poszczerbione kartaczami, straciło szyby i ramy i stanowiło tylko bezkształtną dziurę, którą zastawiono naprędce kamieniami z bruku. Poległ Bossuet, poległ Feuilly, poległ Courfeyrac, poległ Joly; Combeferre, trzy razy pchnięty w pierś bagnetem, w chwili gdy podnosił rannego żołnierza, spojrzął jeszcze w niebo i skonał.

Mariusz wciąż walczył; był tak poraniony, zwłaszcza w głowę, że twarz nikła mu we krwi, jakby mu ją ktoś zakrył czerwoną chustką.

Tylko Enjolras nie odniósł rany. Kiedy nie miał już broni, wyciągał rękę na prawo i lewo, a powstańcy podawali mu, co kto miał. Zostały mu w ręku cztery ułamki szpady; o jeden więcej niż Franciszkowi I pod Marignan.

Krok za krokiem

Kiedy z dowódców pozostali przy życiu już tylko Enjolras i Mariusz na dwóch krańcach barykady, środek, którego tak długo bronili Courfeyrac, Joly, Bossuet, Feuilly i Combeferre, załamał się. Armata, nie robiąc w nim wylomu, dość szeroko go wyszczerbiła; szczyt runął w tym miejscu pod kulami, a szczątki, które upadły i na zewnątrz, i do środka, utworzyły dwa usypiska po obu stronach barykady, jedno z przodu, drugie z tyłu. Usypisko zewnętrzne tworzyło

równię pochyłą, pozwalającą wejść na szaniec.

Przypuszczono tam silne natarcie i natarcie to udało się. Tłum najeżony bagnietami, pchnięty naprzód, wdarł się na szaniec gimnastycznym krokiem i szerokie czoło kolumny szturmowej ukazało się wśród dymu na szczycie barykady. Tym razem był to koniec. Garstka powstańców, broniąca środka, cofnęła się w popłochu.

Wtedy u niektórych zbudziło się rozpaczliwe ukochanie życia. Widząc wycelowany w siebie las karabinów, nie chcieli umierać. Była to ta chwila, kiedy instynkt zachowawczy zaczyna wyć, kiedy w człowieku odzywa się zwierzę. Byli przyparci do wysokiego, sześciopiętrowego domu, który tworzył tył reduty. Ten dom mógł dać ocalenie. Dom ten był zabarykadowany i jakby zamurowany od góry do dołu. Zanim piechota liniowa znajdzie się we wnętrzu szanca, jakieś drzwi zdążyłyby jeszcze otworzyć się i zamknąć, wystarczyłoby mgnienie oka, a brama tego domu, nagle uchylona i natychmiast zamknięta, to było życie dla tych straceńców. Za domem były ulice, możliwość ucieczki, przestrzeń. Zaczęli walić w bramę kolbami i nogami, wołając, krzycząc, błagając, składając ręce. Nikt nie otworzył.

Ale Enjolras i Mariusz oraz siedmiu czy ośmiu zebranych dokoła nich rzucili się naprzód i osłonili tamtych. Enjolras krzyknął do żołnierzy: Stójcie! – a kiedy jakiś oficer nie usłuchał, Enjolras zabił oficera. Stał teraz na wewnętrznym placu szanca, pod samą ścianą Koryntu, ze szpadą w jednej, z karabinem w drugiej dłoni, i przytrzymał otwarte drzwi gospody, zagradzając dostęp napastnikom. Krzyczał do zrozpaczonych: – Tylko jedna brama jest otwarta. Ta! – I osłaniając ich własnym ciałem, sam jeden stawiając czoło całemu batalionowi, przepuścił ich za sobą. Wszyscy wpadli do środka. Wykonując karabinem, którego teraz używał jak laski, manewr nazywany przez szermierzy różą, Enjolras odbił bagnety dokoła siebie i przed sobą i wszedł ostatni; nadeszła straszna chwila, kiedy żołnierze chcieli wtargnąć, a powstańcy zamknąć się. Drzwi zatrzaśnięto z taką gwałtownością, że kiedy podskoczyły w ramie, ujrzano pięć obciętych i przyklejonych do drzewa palców żołnierza, który się ich uczepił.

Mariusz pozostał na zewnątrz. Kula strzaskała mu obojczyk; czuł, że mdleje i pada. W tej chwili, kiedy oczy miał już zamknięte, poczuł szarpnięcie silnej dłoni, która go chwyciła, i omdlenie, w które się osuwał, zaledwie dało mu czas na tę oto myśl zmieszaną z ostatnim wspomnieniem Kozety: Dostałem się do niewoli. Będę rozstrzelany.

Enjolras, nie widząc Mariusza wśród tych, którzy schronili się do gospody, pomyślał to samo. Ale byli w takim położeniu, kiedy każdy miał czas pomyśleć tylko o własnej śmierci. Enjolras zasunął sztabę, zaryglował drzwi, dwa razy przekręcił klucze w zamku i w kłódce, a tymczasem z zewnątrz padały gwałtowne uderzenia, żołnierze walili kolbami, saperzy siekierami. Tu skierowało się główne natarcie. Rozpoczęło się teraz oblężenie gospody.

Żołnierzy, powiedzmy to, opanowała furia.

Rozwścieczyła ich śmierć sierżanta artylerii, a później, co gorsza, w czasie godzin, które poprzedziły atak, rozeszła się między nimi wieść, że powstańcy kaleczą jeńców i że w gospodzie znajdują się zwłoki żołnierza bez głowy. Takie straszliwe pogłoski towarzyszą zwykle wojnom domowym i tego właśnie rodzaju zła plotka stała się później przyczyną katastrofy przy ulicy Transnonain.

Kiedy zabarykadowano drzwi, Enjolras powiedział do towarzyszy: – Sprzedajmy się drogo.

Niczego nie zabrakło przy zdobywaniu gospody Hucheloup; ani deszczu kamieni brukowych, które spadając z okien i z dachu na oblegających, krzeszały gniew żołnierzy, miażdżąc ich straszliwie, ani strzałów z piwnicy i strychu, ani wściekłości natarcia, ani zażartości obrony, ani w końcu, kiedy drzwi ustąpiły, opętanej rzezi. Gdy napastnicy wpadli do gospody, potykając się o deski wyważonych drzwi, nie znaleźli tam ani jednego powstańca. Kręte schody, porąbane toporem, leżały pośrodku sali na parterze, kilku rannych konało, wszyscy pozostali przy życiu

znajdowali się na pierwszym piętrze i stamtąd, przez otwór w suficie, który był przedtem wejściem na schody, buchnął przerażający ogień. Były to ostatnie naboje. Kiedy się wyczerpały, kiedy ci konający bohaterowie nie mieli już ani prochu, ani kul, każdy wziął w rękę po dwie butelki przygotowane przez Enjolrasa i stawili czoło natarciu uzbrojeni w te kruche maczugi. Były to butelki z kwasem azotowym. Strzelanina oblegających, choć utrudniona i z dołu do góry idąca, była zabójcza. Otwór w suficie otoczyły wkrótce martwe głowy, z których sączyły się długie, czerwone i dymiące strugi.

Orestes na czczo, Pylades pijany

Na koniec, podając sobie ręce, wdrapując się po szczątkach schodów, czepiając się ścian i sufitu, rąbiąc ostatnich, którzy stawiali opór w otworze, ze dwudziestu oblegających żołnierzy, gwardzistów narodowych i miejskich – prawie wszyscy oszpeceni ranami na twarzy, oślepieni krwią i wściekłością – wdarło się do izby na pierwszym piętrze. Tam czekał na nich tylko jeden człowiek, Enjolras. Bez ładunków, bez szabli, trzymał tylko lufę od dubeltówki, bo kolbę strzaskał na głowie jednego z atakujących. Zagroził się bilardem przed napastnikami, cofnął w róg sali i tu ze spojrzeniem dumnym, wyniosłym czołem i ułamkiem broni w rękę, był jeszcze tak straszny, że pustka powstała dookoła. Jakiś głos zawołał:

– To dowódca! To on zabił artylerzystę. Niech zostanie tam, gdzie stoi. Rozstrzelajmy go na miejscu!

– Rozstrzelajcie – rzekł Enjolras.

I odrzuciwszy lufę swojej dubeltówki, założył ręce i nadstawił pierś.

Odwaga wobec śmierci zawsze wzrusza ludzi. Gdy Enjolras założył ręce, czekając na koniec, wrzawa w izbie umilkła i cały ten chaos uciszył się nagle w jakimś pogrzebowym skupieniu. Zdawało się, że groźny majestat bezbronnego i nieruchomego Enjolrasa przytłoczył ten zgiełk i że ten młodzieniec, jedyny z powstańców, który nawet nie był ranny, samą tylko władczą powagą swego spokojnego spojrzenia, wspaniały, unurzany we krwi, piękny, obojętny, jakby go się kule nie miały, zmusił tę ponurą ciżbę, żeby go zabiła z szacunkiem.

Dwunastu ludzi uformowało się w pluton w przeciwnym końcu sali i milcząc nabijało karabiny. Sierżant zakomenderował:

– Cel!

Wtem wtrącił się oficer:

– Zaczekajcie.

I obróciwszy się do Enjolrasa, zapytał:

– Czy zawiązać panu oczy?

– Nie.

– Czy to pan zabił sierżanta artylerii?

– Tak.

Przed kilku minutami obudził się Grantaire.

Grantaire, jak sobie przypominamy, spał od poprzedniego dnia w górnej izbie gospody, siedząc na krześle i oparty o stoł.

Był on w całym znaczeniu tego wyrażenia pijany jak bela. Szkaradna mieszanina piołunówki i spirytusu wtrąciła go w letarg. Stołek jego był mały, nieprzydatny dla barykady, więc zostawiono

mu go.

Otrzeźwienie pijanego podobne jest do rozdarcia się zasłony. Spostrzega on od razu, jednym rzutem oka wszystko, co było ukryte. Pamięć nagle odżywa i pijak, nie mający pojęcia o wydarzeniach ostatniej doby, ledwie otwiera oczy, już się w nich orientuje. Jasność umysłu wraca mu w mgnieniu oka i niby łuska z oczu, z mózgu spada mgła pijaństwa, ustępując miejsca jasnej obserwacji rzeczywistości.

Żołnierze zajęci Enjolrasem nie spostrzegli Grantaire'a, który siedział w drugim końcu izby, jakby schowany za bilardem, i sierżant zamierzał już powtórzyć komendę: „Cel!”, gdy nagle tuż obok usłyszał silny głos wołający:

– Niech żyje Republika! Ja jestem z nimi!

Grantaire wstał. Niezmierne światło całej walki, którą przespał i w której nie brał udziału, pojawiło się w błyszczącym spojrzeniu przetworzonego pijaka.

Powtórzył:

– Niech żyje Republika!

Przeszedł salę pewnym krokiem i stanął na wprost karabinów, obok Enjolrasa.

– Zabijcie nas obu jedną salwą – – powiedział.

I obracając się do Enjolrasa, zapytał nieśmiało:

– Pozwolisz?

Enjolras uściśnął mu dłoń i uśmiechnął się.

Uśmiech nie zamarł jeszcze na jego ustach, kiedy rozległa się salwa.

Enjolras, przeszyty ośmiu kulami, pozostał oparty o ścianę, jakby go strzały do niej przybiły. Tylko głowa opadła mu na pierś.

Grantaire martwy runął u jego nóg.

W kilka chwil potem żołnierze ścigali ostatnich powstańców ukrywających się na piętrze. Strzelali przez drewniane kraty na strychu. Walczono na poddaszu. Wyrzucano ciała przez okno, czasami jeszcze żywe. Dwóch wołtyżerów, którzy usiłowali podnieść strzaskany omnibus, zostało zabitych strzałami z mansardy. Mężczyzna w bluzie, ugodzony bagnetem w brzuch i wypchnięty przez okienko, leżał rżąc na bruku. Jakiś żołnierz szamotał się z powstańcem na pochyłości dachu i nie chcąc się poniechać, spadli razem, trzymając się w objęciach straszliwym uściskiem. Podobna walka w piwnicy. Krzyki, strzały, straszliwy tupot. Potem cisza. Barykada była wzięta.

Żołnierze zaczęli przeszukiwać okoliczne domy ściągając zbiegów.

Jeniec

Mariusz był rzeczywiście jeńcem. Jeńcem Jana Valjean.

Ręka, która padającego schwyciła z tyłu i której uścisk poczuł, kiedy tracił przytomność, była ręką Jana Valjean.

Jan Valjean nie brał udziału w walce oprócz tego, że się narażał. Gdyby nie on, w ostatniej godzinie konania barykady nikt by nie pomyślał o rannych. On to, jak Opatrzność, wszędzie obecny podczas rzezi, podnosił upadających, zanosił do izby na parterze i opatrywał. Kiedy nie nosił rannych, naprawiał barykadę. Ale oni razu nie podniósł ręki do strzału czy uderzenia, choćby po to, żeby się bronić. Doznał zresztą zaledwie kilku zadraśnień. Kule go omijały. Jeżeli

wchodząc do tego grobu myślał o samobójstwie, to mu się nie udało urzeczywistnić tego pragnienia. Nie sądźmy jednak, żeby przyszła mu do głowy myśl o samobójstwie, czynnie sprzecznym z religią.

W gęstej chmurze walki Jan Valjean zdawał się nie widzieć Mariusza, ale nie spuszczał go z oczu. Gdy upadł trafiony kulą karabinową, Jan Valjean skoczył ze zwinnością tygrysa, rzucił się na niego jak na łup i uniósł.

Atak był w tej chwili tak gwałtownie skoncentrowany wkoło Enjolrasa i drzwi gospody, że nikt nie zobaczył, jak Jan Valjean, niosąc na rękach omdlałego Mariusza, przeszedł przez ogołocone z bruku wnętrze barykady i znikł za węglem Koryntu.

Przypominacie sobie ten róg, który wrzynał się niby przylądek w ulicę; zasłaniał on od kul i kartaczy, a również i od ludzkich spojrzeń kilka stóp kwadratowych ziemi. Zdarza się w czasie pożaru izba, której ogień nie ogarnie, i podczas najgwałtowniejszej burzy morskiej jakieś spokojne zagłębienie w rafach. W tym to właśnie jakby zagięciu wewnętrznego trapezu barykady skonała Eponina.

Tu zatrzymał się Jan Valjean, ostrożnie złożył na ziemi Mariusza, wsparł się o mur i rozejrzał dokoła.

Położenie było groźne.

Na chwilę, na kilka minut najdłużej, ten załom muru był schronieniem, ale jak wydostać się z tej rzezi? Przypomniawszy sobie, w jakiej śmiertelnej trwodze znalazł się na ulicy Polonceau przed ośmiu laty i w jaki sposób udało mu się umknąć; wówczas było to trudne, teraz niemożliwe. Miał przed sobą nieubłagany, głuchy, sześciopiętrowy dom. Po prawej stronie miał barykadę, dość niską, zamykającą ulicę Małą Żebraczą; przeskoczyć przez tę przeszkodę było rzeczą nietrudną, ale sterczał sponad niej szpaler bagnetów. Oddziały wojska stały na czatach w tyle barykady. Przejść barykadę, znaczyło to oczywiście narazić się na ogień plutonowy; każda głowa, która by wysunęła się za mur, stałaby się celem sześćdziesięciu strzałów z karabinu. Po lewej stronie miał pole bitwy. Za węglem była śmierć.

Co począć?

Jan Valjean spojrzawszy na dom naprzeciwko, spojrzawszy na stojącą obok barykadę, a potem spojrzawszy w ziemię z gwałtownością ostatniego wysiłku, jakby chciał prześwidrować ją oczami.

A kiedy tak w nią patrzył, coś, co ledwie potrafił dostrzec w tej przedśmiertnej chwili, zarysowało się u jego nóg, jakby potęgą wzroku wykrzesał to, czego pragnął. O kilka kroków od siebie, u stóp barykady nieubłagane strzeżonej z zewnątrz, pod stosem kamieni ujrzał na wpół ukrytą kratę żelazną, leżącą poziomo na wysokości bruku. Ta kratka, złożona z kilku poprzecznych prętów, miała powierzchnię około dwóch stóp kwadratowych. Bruk umacniający kratę został wyrwany. Była jakby wyjęta z oprawy. Za prętami widniał ciemny otwór, podobny do rury komina lub cylindra studni. Jan Valjean rzucił się ku kracie. Jego stara umiejętność organizowania ucieczek jak błyskawica rozjaśniła mu umysł. Usunął kamienie, podniósł kratę, bezwładnego jak trup Mariusza włożył na ramiona, pomagając sobie łokciami i kolanami, spuścił się z tym brzemieniem w rodzaj studni, na szczęście nie bardzo głębokiej, zamknął za sobą ciężką kratę żelazną, na którą znowu spadły poruszone kamienie bruku, i stanął na dnie wyłożonym płytami kamiennymi, trzy łokcie pod ziemią – wszystkiego tego dokonał jakby w gorączce, z siłą olbrzyma i szybkością orła; trwało to zaledwie kilka minut.

Jan Valjean znalazł się z wciąż nieprzytomnym Mariuszem w jakimś długim korytarzu podziemnym.

Ogarnął go tu głęboki spokój, zupełna cisza i noc.

Wróciło mu wrażenie, jakiego doświadczył niegdyś, wpadając z ulicy do klasztoru. Tylko że dziś unosił z sobą nie Kozetę, lecz Mariusza.

Teraz ledwo dochodziła go z góry, w postaci niewyraźnego szmeru, straszliwa wrzawa zdobywanej szturmem gospody.

Rozdział drugi

WNĘTRZNOŚCI LEWIATANA

Historia starożytna kanałów

Gdyby wyobrazić sobie Paryż zdjęty na podobieństwo przykrywki, podziemna sieć kanałów, oglądana z lotu ptaka, narysowałaby po obu brzegach Sekwany rodzaj wielkiej gałęzi zaszczerpionej na rzece. Na prawym brzegu kanał obwodowy byłby pniem tej gałęzi, kanały doprowadzające – jej konarami, a pomniejsze, ślepo kończące się ścieki – gałązkami.

Dokładniejszy obraz tej niezwyklej figury geometrycznej można uzyskać, przedstawiając sobie rozłożony na tle mroków jakiś dziwaczny i niezmiernie zagmatwany alfabet wschodni, którego bezkształtne litery połączone byłyby między sobą na pozór chaotycznie i jakby przypadkowo, czasem wierzchołkami, kiedy indziej znowu krańcami.

Ścieki są sumieniem miasta. Wszystko się w nich zbiega i konfrontuje. W tym sinym przybytku panują ciemności, ale nie ma już żadnych tajemnic. Każda rzecz ma swój kształt prawdziwy albo przynajmniej ostateczny. Stos śmieci ma tę zaletę, że nie kłamie. Tam się schroniła naiwność. Wszystkie brudy cywilizacji, odbywszy swoją służbę, wpadają w ten grób prawdy, gdzie znajduje swój kres gigantyczne obsuwanie się gruntu społecznego. Wpadają, ale rozpościerają się w całej okazałości. Ten chaos jest spowiedzią. Koniec wszelkich fałszywych pozorów, nie ma mowy o żadnej szmince, plugastwo zdejmuje koszulę, absolutna nagość, klęska złudzeń i miraży, nic ponad to, co jest i co przybiera złowrogą postać tego, co się kończy. Rzeczywistość i nicość. Odłamek butelki wyznaje pijaństwo, pałak koszyka opowiada o tajnikach koszykowego; ogryzek, który niegdyś miał swoje poglądy na literaturę, z powrotem staje się ogryzkiem; podobizna na miedzianym groszaku szczerze pokrywa się jadowitym grynszpanem, splunięcie Kaifasza spotyka wymioty Falstaffa, luidor pochodzący z szulerni uderza o gwóźdź, z którego zwisa kawałek sznura samobójcy, siny płód toczy się zawinięty w cekiny, które tańczyły w Operze w ostatni tłusty wtorek, biret, który sądził ludzi, tarza się obok zgniłego łachmana, który był spódnicą ulicznej dziewczyny; to już nie jest braterstwo, ale tykanie się. Wszystko, co się malowało, teraz nurza twarz w brudzie. Ostatnia zasłona została zerwana. Ściek jest cynikiem. Mówi wszystko.

Ta szczerokość nieczystości podoba się nam i działa kojąco na duszę. Kiedy życie na ziemi wypełnia człowiekowi widowisko, jakie dają, przybierając majestatyczne pozy, racja stanu, niewzruszoność przysięgi, mądrość polityczna, sprawiedliwość ludzka, uczciwość zawodowa, koniunkturalne przypiływy bezwzględności, nieprzekupne togi – doznaje się ulgi, wchodząc do ścieku i widząc błoto, które to wszystko wyznaje.

W średniowieczu kanały paryskie były legendarne. W szesnastym wieku Henryk II próbował je zbadać, lecz próba się nie powiodła.

Na początku bieżącego stulecia wciąż jeszcze były miejscem tajemniczym. Paryż domyślał się, że ma pod sobą straszną piwnicę. Mówiono o niej, jak o owej potwornej kałuży tebańskiej, w której roily się stonogi mające po piętnaście stóp długości i która mogłaby służyć za wannę dla Behemota.

Otwór kanału na ulicy Mortellerie sławny był z zaraźliwych wyziewów, które się z niego wydobywały. Zamknięty kratą z ostro zakończonych sztab żelaznych, podobnych do szeregu zębów, wyglądał na tej nieszczęsnej ulicy jak paszcza smoka ziejąca piekłem na ludzi. Wyobraźnia ludowa przydała ponuremu zlewowi Paryża jakiejś ohydnej nieskończoności. Nawet policji nie przychodziła myśl zbadania tych kryjówek trądu. Któż by się odważył przetrząsać to niewiadome, zapuścić sondę w te cienie, robić odkrycia w tej przepaści. Było to przerażające. Jednak znalazł się ktoś taki. Kloaka miała swojego Krzysztofa Kolumba.

Pewnego dnia w roku 1805, podczas jednej z rzadkich wizyt, które cesarz składał Paryżowi, minister spraw wewnętrznych asystował przy wstawaniu monarchy. Słychać było na placu Karuzelu szczęk szabel tych niezwykłych żołnierzy wielkiej Republiki i wielkiego Cesarstwa. Cała ówczesna armia była tam, na dziedzińcu Tuileriów, reprezentowana przez szwadrony lub plutony strzegące spoczynku Napoleona; była to owa świetna epoka, w której wielka armia miała za sobą Marengo, a przed sobą Austerlitz.

– Najjaśniejszy panie – powiedział minister spraw wewnętrznych do Napoleona – widziałem wczoraj najodważniejszego człowieka w twoim cesarstwie.

– Kim jest ten człowiek – zapytał porywczo cesarz – i co zrobił?

– Chce dopiero zrobić, najjaśniejszy panie.

– Cóż takiego?

– Zwiedzić paryskie kanały.

Człowiek ten istniał rzeczywiście i nazywał się Bruneseau.

Nieznane szczegóły

I zwiedził je. Była to straszna wyprawa, nocna walka przeciw zarazie i truciznie. Była to również podróż odkrywczą. Jeden z uczestników tej wyprawy, inteligentny robotnik, bardzo wówczas młody, jeszcze przed kilku laty opowiadał ciekawe szczegóły, które Bruneseau uznał za konieczne pominąć w raporcie złożonym prefektowi policji, jako niegodne stylu urzędowego.

Tu i ówdzie, głównie pod Pałacem Sprawiedliwości, rozpoznano ślady komórek dawnych więzień, umieszczonych tu właśnie, w kanałach. Ohydne *in pace*. Żelazna obręcz wisiała jeszcze na łańcuchu w jednej z takich celek. Zamurowano je wszystkie. Niektóre odkrycia były bardzo niezwykle; między innymi znaleziono szkielet orangutana, który zniknął z Ogrodu Zoologicznego w roku 1800. Zniknięcie to prawdopodobnie nie było bez związku ze słynnym i niezaprzeczonym pojawieniem się diabła na ulicy Bernardynów, w ostatnim roku osiemnastego stulecia. Biedny diabeł skończył, topiąc się w kanale.

W drugim sklepionym korytarzu, kończącym się pod Łukiem Marion, wzbudził podziw znawców doskonale zachowany kosz szmaciarza. Muł, który robotnicy kanalizacyjni nauczyli się w końcu poruszać bez lęku, obfitował wszędzie w drogocenne przedmioty, złotą i srebrną

bizuterię, szlachetne kamienie, monety. Olbrzym, które by przefiltrował tę kloakę, odkryłby w swoim filtrze bogactwa stuleci. Pod rozgałęzieniem ulic Temple i Sainte-Avoye znaleziono osobliwy medal protestancki z miedzi, przedstawiający no jednej stronie wieprza w kapeluszu kardynalskim, a po drugiej wilka ubranego w tiarę.

Cała wizytacja podziemnych nieczystości Paryża trwała siedem lat od roku 1805 do 1812. W czasie tych podróży Bruneseau projektował poważne roboty, kierował nimi i doprowadzał je do końca; w roku 1808 obniżył poziom kanału Ponceau i budując wszędzie nowe przewody, przedłużył w roku 1809 kanały pod ulicą św. Dionizego aż do fontanny Młodzianków, w roku 1812 do ulicy Pokoju i alei d'Antin. Jednocześnie też dezynfekował i oczyszczał całą sieć. W drugim roku tej pracy wziął do pomocy swojego zięcia Nargaud.

W ten sposób na początku naszego stulecia stare społeczeństwo zatroszczyło się o swoją podszewkę i zrobiło toaletę swoich ścieków, coś przynajmniej w sobie oczyszczając.

Kręte, pełne zapadlin, pozbawione bruku, usiane trzęsawiskami, wznoszące się i zniżające bezsensownie, smrodliwe, dzikie, przerażające, pogrążone w ciemnościach, z bliznami na kamiennych płytach i szramami na ścianach, odrażające – takie były przed laty starożytne ścieki paryskie. Odnogi we wszystkie strony, krzyżujące się przejścia, rozgałęzienia w kształcie ptasich łap lub gwiazd, jak w okopach, przewody bez wyjścia, ślepe zaułki, przeżarte saletrą sklepienia, ziejące zarazą doły, liszajowate wycieki na ścianach, krople wilgoci spadające ze sklepień, nieprzejrzone ciemności; nic nie dorównywało okropnościom tej starej krypty sączącej zgniliznę, tego systemu trawienno Babilonu, tej jaskini, grobu, pieczary przewierconej ulicami, tytanicznego kretowiska, w którym umysł zdaje się spostrzegać błędzącego w mroku, w plugastwie, które było świetnością, ogromnego ślepego kreta – przeszłość.

Dziś ściek paryski jest czysty, chłodny, prosty, poprawny. Jest on prawie urzeczywistnieniem tego ideału, który określa się w Anglii wyrazem *respectable*¹³. Jest godny, siwiejący, wyciągnięty pod sznur, można by prawie powiedzieć: wymuskany. Jest w nim niemal jasno. Nieczystości zachowują się tu przyzwoicie.

Trzydzieści lat temu, w epoce powstania piątego i szóstego czerwca, w wielu miejscach ściek paryski był jeszcze ściekiem prawie starożytnym. Wiele ulic, dziś wypukłych, było naówczas wklęsłymi szosami. W licznych punktach, przy zbiegu ulic lub na rogach placów, znajdowały się duże kwadratowe kraty z żelaza, których grube sztaby, wyszlifowane stopami przechodzącego tłumu, były niebezpieczne dla powozów i przewracały konie. Stara kloaka gotycka wysuwała jeszcze cyniczne swe paszcze. Kamienne jej podniebienia, niekiedy otoczone słupkami, otwierały się w ogromnym rozziwieniu z posagową bezczelnością.

¹³ Godny szacunku (łac.)

Rozdział trzeci

BŁOTO, ALE I DUSZA

Niespodzianki kanału

Jan Valjean znajdował się w paryskim ścieku. Jest to jeszcze jedno podobieństwo Paryża do morza. Nurek może w nim zniknąć jak w oceanie. Było to przejście niesłychane. Z samego środka miasta Jan Valjean wyszedł poza miasto i w mgnieniu oka, w ciągu czasu potrzebnego na podniesienie i zamknięcie pokrywy, przeszedł z białego dnia w zupełną ciemność, z południa w północ, z hałasu w ciszę, spod gradu piorunów w bezruch grobu i zbiegiem rzeczy jeszcze cudowniejszym niż na ulicy Polonceau, z najniebezpieczniejszego położenia do najbezwzględniejszego bezpieczeństwa.

Gwałtowny upadek do piwnicy, zniknięcie w lochach Paryża, zejście z powierzchni ziemi, gdzie dokoła czyhała śmierć, do tego grobowca, w którym było życie – była to chwila bardzo dziwna. Przez kilka minut stał jak nieprzytomny i nasłuchiwał w osłupieniu.

Ranny nie ruszał się wcale i Jan Valjean nie wiedział, czy ten, którego wniósł do tego grobu, był żywy czy umarły.

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał, było osłepienie. Nagle przestał widzieć. Zdawało mu się również, że w jednej chwili ogłuchł.

Nic nie słyszał. Dzięki grubości ziemi, która go dzieliła od ulicy, krwawa burza, szalejąca o kilka stóp nad nim, dochodziła do niego, jak to powiedzieliśmy, głucho i niewyraźnie niby jakiś szum głębin. Czuł tylko, że ma twardy grunt pod nogami, nic więcej, ale to było już dość. Wyciągnął rękę, później drugą, dotknął się muru z dwóch stron i stwierdził, że korytarz jest wąski; pośliznął się i poczuł, że bruk jest wilgotny. Ostrożnie wysunął nogę, obawiając się dziury, studni lub topieli, i nabrał pewności, że bruk idzie dalej. Smrodliwy zaduch objaśnił go o miejscu, w którym się znajdował.

Po upływie kilku chwil przestał być ślepy. Nieco światła wpadało z otworu, którym się wśliznął, i wzrok jego dostosował się do tej piwnicy. Zaczynał rozróżniać kształty. Za jego plecami korytarz, w którym się zarył – żaden inny wyraz nie oddałby lepiej położenia był zamurowany. Był to jeden z tych ślepych zaułków, które język specjalny nazywa rozgałęzieniami kanału. Przed nim stała inna ściana, ściana mroku. Światło otworu gasło o dziesięć lub dwadzieścia kroków od miejsca, w którym znajdował się Jan Valjean, i szarawym blaskiem rozjaśniało zaledwie kilka metrów wilgotnych murów korytarza. Dalej ciemność stawała się nieprzenikniona; lęk powstrzymywał przed wejściem w tę otchłań grożącą śmiałkowi

utonięciem; jednak można i trzeba było zapuścić się w tę ścianę mgły. Trzeba było nawet jak najprędzej. Jan Valjean pomyślał, że kratę, spostrzeżoną przez niego pod brukiem, mogli również spostrzec żołnierze i że życie zależało od tego przypadku. Mogli też zejść w studnię i zacząć poszukiwania. Nie było chwili do stracenia. Przedtem złożył Mariusza na bruku, teraz zebrał go – jest to także wyraz dokładnie rzecz malujący – wziął znów na barki i poszedł. Zdecydowanie wkroczył w tę ciemność.

Kiedy przeszedł z pięćdziesiąt kroków, musiał przystanąć. Nastęczało się pytanie. Korytarz kończył się u innego przewodu, który przecinał go poprzecznie. Były zatem dwie drogi. Którą obrać? Czy należało skrócić w lewo, czy też w prawo? Jak zorientować się w tym czarnym labiryncie? Labirynt ten ma wszakże swoją nić – spadek. Iść w kierunku spadku, znaczy iść ku rzece.

Jan Valjean zrozumiał to natychmiast. Pomyślał sobie, że znajduje się prawdopodobnie pod Halami; że jeżeli wybierze kierunek na lewo i pójdzie w dół, za niecały kwadrans dotrze do brzegu rzeki w okolicy między mostem Wymiany i Nowym Mostem, czyli w jasny dzień ukaże się w najbardziej ruchliwym punkcie Paryża. Lepiej było zagłębić się w labirynt, zaufać ciemnościom i sprawę wyjścia oddać w ręce Opatrzności. Poszedł pod górę, na prawo.

Kiedy skręcił do nowej galerii, oddalone światło otworu znikło, znowu spadła na niego zasłona zupełnej ciemności i ośleplł powtórnie. Mimo to jednak posuwał się nie wolniej niż przedtem. Ramiona Mariusza miał zarzucone na szyję, jego nogi zwiślały mu na plecach. Jan Valjean przytrzymał jedną ręką ramię, drugą zaś dotykał ścian. Twarz Mariusza dotykała jego twarzy i kleiła się do niej, gdyż była zakrwawiona. Czuł, jak spływa po nim i przesiąka mu pod ubranie ciepły strumień krwi Mariusza. Ale wilgotne ciepło koło ucha, którego dotykały usta rannego, oznaczało oddech, a więc życie. Szedł w ciemnościach, podobny do duchów nocy po omacku poruszających się w niewidzialnym i zagubionych w podziemnych żyłach mroku.

Powoli jednak – czy to dlatego, że oddalone okienka dopuszczały nieco rozproszonego światła w głąb tej nieprzejranej mgły, czy też, że oczy przyzwyczajały się do ciemności – zaczęło mu się zdawać, że coś widzi, i chwilami jakby dostrzegał to ścianę, której dotykał, to sklepienie, pod którym przechodził.

Powoli też, trzeba to przyznać, zaczynał go ogarniać strach. Mrok, który go otaczał, przenikał mu do mózgu. Szedł wśród zagadki. Ten kloaczny akwedukt jest groźny; krzyżuje się on i wikła zawrotnie. Być pochłoniętym przez ten Paryż ciemności – to rzecz okrutna. Jan Valjean musiał wynajdywać, prawie wymyślać sobie drogę, nie widząc jej. W tym nieznanym każdy krok, który stawiał, mógł być ostatnim krokiem. Jak się stąd wydostanie? Czy znajdzie wyjście? Czy znajdzie je na czas? Czy zdoła przeniknąć i przebić tę kolosalną gąbkę podziemną składającą się z kamiennych komórek? Czy natrafi na jakiś niespodziewany węzeł ciemności? Czy dojdzie do nierozwiązywalnego i nieprzebytego? Czy Mariusz umrze z upływu krwi, a on sam z głodu? Czy skończy się tak, że zginą obaj i staną się dwoma szkieletami w jakimś zakamarku tej nocy? Nie wiedział. Zadawał sobie te pytania i na żadne nie potrafił odpowiedzieć. Kiszki Paryża to przepaść. Jan Valjean był jak prorok w brzuchu potwora.

Przy każdym rozgałęzieniu korytarza Jan Valjean obmacywał narożniki i gdy spostrzegał, że boczny otwór jest węższy od korytarza, w którym się znajdował, nie skręcał, lecz szedł dalej prosto, rozumując słusznie, że każda węższa droga może doprowadzić go do ślepej ściany i jedynie oddalić od celu, czyli od wyjścia.

Nagle zobaczył przed sobą swój cień. Rysował się on na tle ledwie dostrzegalnej czerwoności, która zabarwiała słabą purpurą bruk pod Jego stopami oraz sklepienie ponad głową i ślizgała się z prawej i z lewej strony po wilgotnych murach. Zdumiony, odwrócił się.

Za nim, w tej części korytarza, którą już przeszedł, w odległości, która wydała mu się ogromną, błyszcząca, przebijając swoim światłem gęsty mrok, jak gdyby jakaś straszna gwiazda, zdająca się spoglądać na niego.

Była to posepna gwiazda policji, która wschodziła w kanale.

Za nią poruszało się w cieniu osiem, może dziesięć postaci karnych, wyprostowanych, niewyraźnych, strasznych.

Wyjaśnienie

Szóstego czerwca nakazane zostało przetrząśnięcie kanałów. Obawiano się, żeby zwyciężeni nie szukali w nich schronienia, i prefekt Gisquet miał przeszukać Paryż ukryty, w tym samym czasie, kiedy generał Bugeaud wymiatał Paryż jawny. Trzy plutony agentów i uprzątaczy kanałów przeglądały podziemną otchłań Paryża: pierwszy – prawy brzeg, drugi – lewy, trzeci zaś wyspę Cite.

To, co w tej chwili szło na Jana Valjean, było latarnią prawobrzeżnego patrolu.

Patrol ten zwiedził już ukośną galerię i trzy ślepe korytarze pod ulicą Cadran. Kiedy obnosił on swą latarnię po tych labiryntach, Jan Valjean napotkał na swej drodze wejście do galerii i zorientowawszy się, że jest węższe od głównego przejścia, nie wszedł w nie i poszedł dalej. Wychodzącym z galerii pod ulicą Cadran policjantom zdawało się, że słyszą odgłos kroków idących w kierunku kanału obwodowego. Były to rzeczywiście kroki Jana Valjean. Sierżant dowodzący patroliem podniósł latarnię i jego ludzie zaczęli wpatrywać się w ciemności, skąd dochodził szmer.

Dla Jana Valjean była to chwila, której opisać niepodobna.

Na szczęście, on dobrze widział latarnię, a latarnia widziała go źle. Ona była światłem, on był cieniem. Był daleko i wtapiał się w mrok. Przyłgął do ściany i stanął.

Zresztą nie zdawał sobie sprawy z tego, co się za nim poruszało. Bezsenność, głód, wzruszenia i jego wprowadziły w stan półmaligny. Widział migające światło i dokoła tego światła cienie. Co to było? Nie miał pojęcia.

Kiedy Jan Valjean się zatrzymał, hałas ustał.

Ludzie należący do patrolu słuchali i nic nie słyszeli, patrzyli i nic nie widzieli. Zaczęli się naradzać.

Podczas tej narady doszli do wniosku, że ulegli złudzeniu, że szmeru wcale nie było, że dalej nie ma nikogo i nie warto zapuszczać się w kanał obwodowy, gdyż byłaby to strata czasu, jak najspieszniej natomiast trzeba iść w kierunku św. Mederyka, bo jeżeli gdzieś może być coś do roboty, jeżeli uda się wytropić zbiega, to właśnie w tamtej dzielnicy.

Sierżant dał rozkaz, żeby skręcili w lewo, ku Sekwanie. Gdyby im przyszło do głowy rozdzielić się na dwa oddziały i pójść w dwóch kierunkach, Jan Valjean zostałby schwytany. Wszystko zawisło na tym włosku. Prawdopodobnie jednak instrukcje prefektury, przewidując możliwość walki i obecność znaczniejszej liczby powstańców w kanale, zabraniały patrolom dzielić się na grupy. Patrol odszedł, pozostawiając za sobą Jana Valjean, który dostrzegł tyle tylko, że latarnia obróciła się nagle i zgasła.

Przed odejściem sierżant, dla zaspokojenia swego policyjnego sumienia, wystrzelił z karabinu w stronę, którą opuszczali, w kierunku Jana Valjean. Echo rozniosło wzdłuż krypty detonację

niby burczenie w tym tytanicznym brzuchu. Odłamek tynku, który upadł z pluskiem w wodę o kilka kroków od Jana Valjean, uświadomił go, że kula trafiła w sklepienie tuż nad jego głową.

Kroki równe i powolne odbijały się jeszcze przez kilka chwil po bruku, cichnąc coraz bardziej w rosnącym oddaleniu; grupa czarnych postaci zagłębiała się coraz dalej, migotliwe i rozkołysane światło rzucało na sklepienie czerwona smugę, która zwężała się coraz bardziej i wreszcie znikła; powróciła głęboka cisza, powróciła nieprzejrzana ciemność, mrok znowu stał się ślepy i głuchy. Jan Valjean, wciąż nie mając odwagi poruszyć się, długo jeszcze stał oparty o mur, z nastawionym uchem, z natężoną źrenicą, patrząc, jak się rozwiewa ten widmowy patrol.

Człowiek tropiony

Należy oddać policji owych czasów tę sprawiedliwość, że nawet podczas najcięższych zamieszek publicznych niezachwianie wypełniała swój obowiązek dozoru i baczności. Wśród wydarzeń politycznych, które mogły mieć nieobliczalne skutki, w obliczu zagrażającej rewolucji, nie pozwalając przeszkodzić sobie, agent policyjny mimo powstania i barykad tropił złodzieja.

Coś w tym właśnie rodzaju odbywało się po południu szóstego czerwca nad brzegiem Sekwany, na skarpie lewego wybrzeża, nieco za mostem Inwalidów.

Dwaj ludzie na tym to wybrzeżu, oddzieleni od siebie pewną odległością, zdawali się obserwować wzajemnie, unikając się jednakże. Ten, który szedł naprzód, starał się oddalić, ten zaś, który szedł z tyłu, starał się przybliżyć.

Była to niby partia szachów rozgrywana z daleka i w milczeniu. Ani jeden, ani drugi nie zdradzał pośpiechu i obydwaj szli powoli, jakby w obawie, że nadmierny pośpiech może podwoić kroki partnera.

Tych dwóch ludzi można było łatwo dostrzec tylko z przeciwległego brzegu i temu, kto by ich oglądał z tej odległości, człowiek, idący przodem, wydałby się istotą nastroszoną, obdartą i cherlawą, niespokojną i drżącą pod łachmanem bluzy, drugi zaś – osobą klasyczną i urzędową, noszącą surdut władzy zapięty na wszystkie guziki.

Czytelnik poznałby może tych dwóch ludzi, gdyby ich zobaczył z bliska.

Jaki był cel drugiego człowieka?

Prawdopodobnie pragnął odziać pierwszego nieco cieplej.

Kiedy człowiek ubrany przez państwo ściga człowieka w łachmanach, to po to, żeby zrobić z niego także człowieka ubranego przez państwo. Tyle tylko, że w inną barwę. Być odzianym w błękit – to rzecz chlubna; być odzianym w czerwień – rzecz nieprzyjemna.

Istnieje też bowiem purpura poniżenia.

Pierwszy człowiek starał się zapewne uniknąć jakiegóż nieprzyjemności i jakiegóż rodzaju purpury.

Jeżeli drugi pozwalał mu iść naprzód i nie schwytał go jeszcze, to według wszelkiego prawdopodobieństwa dlatego, że się spodziewał przychwycić go na jakimś interesującym spotkaniu i dostać w swoje ręce jakieś cenne towarzystwo.

Przypuszczenie to jest tym prawdopodobniejsze, że człowiek zapięty aż po szyję, spostrzegłszy z wybrzeża na ulicy przejeżdżającą pustą dorożkę, dał znak dorożkarzowi; dorożkarz zrozumiał, poznał zapewne, z kim ma do czynienia, ściągnął cugle i zaczął jechać powoli po jezdni za tymi dwoma. Ponura i obdarta postać idąca przodem nie spostrzegła tego

wcale.

Jedna z sekretnych instrukcji policyjnych danych agentom zawiera taki artykuł: „Mieć zawsze pod ręką pojazd miejski, na wszelki wypadek”.

Tak manewrując, każdy ze swej strony z nienaganną strategią, zbliżyli się obaj do zjazdu, po którym dorożkarze jadący od Passy zbaczali z ulicy na wybrzeże, aby napoić konie w Sekwanie.

Człowiek w bluzie zamierzał prawdopodobnie wejść tym zjazdem na ulicę, żeby próbować zniknąć na Polach Elizejskich, miejscu obsadzonym drzewami, ale też pilnie strzeżonym przez agentów policji, gdzie ścigający znalazłby więc łatwo pomoc.

Ku wielkiemu zdziwieniu swojego obserwatora człowiek tropiony nie skręcił wcale na zjazd. Szedł dalej brzegiem Sekwany wzdłuż ulicy.

Jego położenie stawało się w ten sposób krytyczne.

Jeżeli nie zamierzał się rzucić do Sekwany, co mógł jeszcze przedsięwziąć?

Co prawda ten kraniec wybrzeża był zasłonięty przed wzrokiem ludzkim przez stos gruzu, sześć do siedmiu stóp wysoki, pochodzący z jakiejś rozbiórki. Ale czy ten człowiek mógł myśleć, że będzie bezpieczny za rumowiskiem, które dosyć było obejść, by go złapać? Byłoby to dziecinadą. Z pewnością na to nie liczył. Naiwność złodziei nie sięga tak daleko.

Stos gruzu tworzył nad brzegiem wody rodzaj pagórka, wznoszącego się coraz wyżej aż do prostopadłego muru, nad którym leżała ulica.

Człowiek ścigany doszedł do tego wzniesienia i okrążył je tak, że idący za nim stracił go z oczu.

Ten skorzystał teraz, że sam też nie jest przez niego widziany, porzucił wszelkie udawanie i zaczął iść bardzo szybko. W kilka chwil wchodził już za stos gruzu. Tam zatrzymał się zdumiony. Człowieka, którego ścigał, nie było.

Zbieg nie mógł się rzucić do Sekwany ani wdrapać na mur, bo ten, który go śledził, byłby to zobaczył. Cóż się więc stało?

Człowiek w surducie zapiętym po szyję podszedł do krańca wybrzeża i przystanął tam w zamyśleniu, z zaciśniętymi pięściami, bystro rozglądając się wokół. Nagle uderzył się w czoło. Tam gdzie ziemia graniczyła z wodą, zobaczył żelazną kratę, szeroką i niską, sklepioną, opatrzoną w potężny zamek i trzy masywne zawiasy. Ta kratka, rodzaj drzwi wybitych w murze nadbrzeża, wychodziła jednocześnie na rzekę i na skrawek brzegu. Wpływał spod niej brunatny strumyk. Strumyk ten wpadał do Sekwany.

Za grubymi, zardzewiałymi prętami kraty można było rozpoznać rodzaj sklepionego i ciemnego korytarza.

Człowiek skrzyżował ramiona i popatrzył na kratę z wyrzutem.

Ponieważ spojrzenie nie wystarczyło, spróbował ją popchnąć; wstrząsnął nią, ale kratka ani drgnęła. Prawdopodobnie została przed chwilą otwarta, jakkolwiek nie słychać było najmniejszego skrzypnięcia, co jest rzeczą niezwykłą dla kraty tak zardzewiałej; to jednak było pewne, że ją zamknięto z powrotem. A zatem osobnik, przed którym te drzwi się otworzyły, miał nie wytrych, lecz klucz.

Człowiek usiłujący poruszyć kratę zrozumiał to natychmiast i z ust jego wyrwała się pełna oburzenia sentencja:

– Ładne rzeczy! Rządowym kluczem!

Następnie uspokoił się w mgnieniu oka i pomieścił cały tłum wewnętrznych przypuszczeń w szeregu wykrzykników wymówionych tonem prawie ironicznym:

– No! no! no! no!

Po tych słowach, spodziewając się nie wiadomo czego – czy że człowiek w bluzie stamtąd wyjdzie, czy też, że inni tam wejdą – stanął na czatach za stosem gruzu z cierpliwą zaciekłością

psa wystawiającego zwierzyńcę.

Dorożka, która przedtem jechała za nim krok w krok, stała teraz nad nim na skraju ulicy. Przewidując długie czekanie, woźnica założył na pyski swoich koni worek z owsem, wilgotny od spodu, tak dobrze znany paryżanom, którym, nawiasem mówiąc, bywa też czasem zakładany przez rząd. Przez most Jenajski przechodzili niekiedy ludzie, którzy przystawali i odwracali głowy, żeby popatrzeć przez chwilę na te dwa nieruchome szczegóły krajobrazu: człowieka na brzegu Sekwany i dorożkę na nadbrzeżnej ulicy.

On także niesie swój krzyż

Jan Valjean zaczął iść dalej i już nie zatrzymywał się.

Było chyba koło trzeciej po południu, kiedy doszedł do głównego kanału.

Zdziwiło go przede wszystkim niespodziane rozszerzenie się korytarza. Znalazł się nagle w galerii, której ścian nie mógł dosięgnąć wyciągając w bok obie ręce, i pod sklepieniem, którego nie dotykał głową. Istotnie, główny kanał ma osiem stóp szerokości i siedem wysokości.

Punkt, w którym kanał Montmartre łączy się z wielkim kanałem, jest punktem przecięcia dwóch innych galerii podziemnych: galerii pod ulicą Provence i galerii pod rzeźnią. Mając do wyboru te cztery drogi, człowiek mniej roztropny byłby niezdecydowany. Jan Valjean wybrał najszerszą, to jest kanał obwodowy. Ale tu wracało pytanie: iść w dół, czy pod górę? Pomyślał, że czas nagli i że mimo ryzyka powinien czym prędzej dostać się do Sekwany. Innymi słowy, postanowił iść ze spadkiem. Skręcił w lewo.

Dobrze na tym wyszedł. Błędne byłoby mniemanie, że kanał obwodowy ma dwa wyjścia, jedno przy Bercy, a drugie koło Passy, że zgodnie ze swoją nazwą biegnie pod ziemią po zewnętrznym obwodzie prawobrzeżnego Paryża. Ten wielki kanał, który jest po prostu dawnym strumieniem Ménilmontant, kończy się, gdy iść nim pod prąd, ślepym zaułkiem u stóp wzgórza Ménilmontant, w miejscu, gdzie niegdyś strumień miał swoje źródło. Gdyby Jan Valjean poszedł pod górę, po tysiącnych wysiłkach, wyczerpany znużeniem, konający w ciemnościach, dotarłby do ślepej ściany. Byłby zgubiony.

Instykt pokierował nim szczęśliwie. Pójście w dół było rzeczywiście jedyną drogą ocalenia.

Tuż za odnogą, która była prawdopodobnie kanałem św. Magdaleny, zatrzymał się. Był bardzo zmęczony. Dostyc szerokie okienko, wychodzące zapewne na ulicę Andegaweską, przepuszczało dużo światła. Ostrożnie, jakby miał do czynienia z własnym bratem, Jan Valjean złożył rannego na występie muru. Zakrwawiona twarz ukazała się w bladym świetle okienka jak na dnie grobu. Mariusz miał oczy zamknięte, kosmyki włosów przyklejone do skroni niby pędzle zaschłe w czerwonej farbie, ręce zwisały bezwładnie, dłonie były zimne, krew skrzepła w kącikach warg. Gruzeł krwi tkwił w węźle krawata, koszula przywarła do ran, ubranie ocierało się o głębokie skaleczenia. Jan Valjean, rozchyliwszy końcem palców odzież Mariusza, położył rękę na jego piersi; serce jeszcze biło. Podarł swoją koszulę, obwiązał rany, jak najlepiej potrafił, i zatamował upływającą krew; następnie, schyliwszy się w tym półcieniu nad wciąż nieprzytomnym i prawie nie oddychającym Mariuszem, popatrzał na niego z nie dającą się opisać nienawiścią.

Poprawiając odzież Mariusza, znalazł w jego kieszeniach dwie rzeczy: zapomniany od poprzedniego dnia kawałek chleba i pugilares. Zjadł chleb i otworzył pugilares. Znalazł tam

kartkę i na niej kilka słów napisanych ręką Mariusza. Przypominamy je sobie:

*Nazywam się Mariusz Pontmercy. Proszę zanieść mojego trupa do
mojego dziadka, pana Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich 6, w
dzielnicy Marais.*

Jan Valjean przy świetle okienka przeczytał te słowa i stał przez chwilę jakby pogrążony w samym sobie, powtarzając półgłosem: – Ulica Panien Kalwaryjskich, numer szósty, pan Gillenormand. – Włożył z powrotem pugilares do kieszeni Mariusza. Po zjedzeniu chleba czuł się silniejszy; wziął znowu Mariusza na plecy, oparł troskliwie jego głowę na swoim prawym ramieniu i poszedł dalej w dół kanału.

Ciemność gęstniała dokoła niego coraz bardziej, on jednak nie przestawał posuwać się w niej po omacku.

Nagle ta ciemność stała się straszna.

Topiel

Jan Valjean uczył, że wchodzi w wodę i nie ma już pod stopami bruku, lecz muł.

Jan Valjean natrafił na grząską zapadlinę.

Tego rodzaju osiadanie ziemi często zdarzało się wówczas pod Polami Elizejskimi, gdzie niewdzięczny dla robót hydraulicznych grunt źle utrzymywał podziemne budowle, gdyż był nazbyt sypki.

Topiel napotkana przez Jana Valjean powstała z ulewy, która spadła poprzedniego dnia. Ułożony na piasku bruk obsunął się, woda deszczowa wypełniła zagłębienie, przeciekła dalej pod chodnik i tak go podmyła, że się zapadł. Na jak dużej przestrzeni? Nie sposób było odgadnąć. Ciemność zalegała gęstsza niż gdzie indziej. Była to dziura pełna błota w mrocznej jaskini.

Jan Valjean uczył, że kamienie uciekają mu spod nóg. Wszedł w to błoto. Pod wodą stojącą na powierzchni dotykał mułu. Trzeba było iść dalej. Wkrótce miał muł po kostki, a wodę po kolana. Szedł trzymając oburącz Mariusza, o ile możliwości nad wodą. Teraz muł sięgał mu po łydki, a woda po pas. Odwrot miał już odcięty i zanurzał się coraz głębiej. Ten muł, dość gęsty na ciężar jednego człowieka, widocznie nie mógł utrzymać dwóch. I on, i Mariusz wydostaliby się zapewne, ale pojedynczo. Jan Valjean szedł przed siebie, trzymając na rękach tego umierającego, który może był już trupem.

Woda sięgała mu po pachy; czuł, że się zapada. Ledwo mógł poruszać nogami w głębokim błocie. Gąszcz, który go podtrzymywał, był zarazem przeszkodą. Dobywając ostatka sił, niósł ciągle Mariusza i szedł dalej, ale zanurzał się coraz głębiej.

Zagłębił się jeszcze bardziej, przechylił głowę do tyłu, aby uniknąć wody i aby móc oddychać. Kto by go widział w tych ciemnościach, pomyślałby, że to maska pływająca na powierzchni mroku; jak przez mgłę dostrzegał nad sobą zwieszoną głowę i bladą twarz Mariusza; zrobił rozpaczliwy wysiłek i wysunął naprzód nogę; uderzył o coś twardego. Jakiś punkt oparcia. Czas był zaiste.

Wyprostował się, obrócił i z rozpaczliwą energią uczeplił się tej podpory. Zdawało mu się, że wstąpił na pierwszy stopień schodów prowadzących do życia.

Ten punkt oparcia, napotkany w mule w ostatniej chwili, był początkiem drugiego końca ocembrowania, które ugięło się jak deska i nie załamując się, w całości leżało pod wodą. Dobrze zbudowane bruki sklepiają się w ten sposób i są na tyle wytrzymałe. Fragment zatopionej cembrowiny był solidnym pomostem i wystarczyło stanąć na nim, aby ująć niebezpieczeństwa. Jan Valjean wszedł po tej pochyłości i dotarł do drugiego brzegu trzęsawiska.

Wychodząc z wody, potknął się o kamień i upadł na kolana. Pomyślał, że to dobrze, i przez kilka chwil pozostał w tej pozycji, pogrążony w jakiejś milczącej rozmowie z Bogiem.

Wstał, trzęsąc się z zimna, cuchnący i zgarbiony pod na pół martwym brzemieniem, które dźwigał; ociekał błotem, ale duszę miał pełną przedziwnej jasności.

Czasem człowiek osiada na mieliźnie, myśląc, że jest blisko portu

Jeszcze raz ruszył w drogę.

Szedł z rozpaczą, dosyć szybko, i zrobił tak ze sto kroków, nie podnosząc głowy, prawie nie oddychając, kiedy nagle uderzył się o ścianę. Doszedł do zakrętu kanału i napotkał mur. Podniósł oczy i u końca podziemia, daleko przed sobą, spostrzegł światło. Tym razem nie było to światło straszne, ale dobre i jasne. Światło dnia.

Jan Valjean zobaczył wyjście.

Nie czuł już znużenia, nie czuł ciężaru Mariusza, odzyskał swoje stalowe nogi i raczej biegł, niż szedł. Im był bliżej, tym wyraźniej rysowało się wyjście. Był to łuk niższy od sklepienia, które obniżało się stopniowo, i węższy od galerii, która kurczyła się, w miarę jak sklepienie opadało.

Jan Valjean doszedł do wyjścia.

Doszedłszy zatrzymał się.

Istotnie miał przed sobą wyjście, ale wyjść nie mógł.

Łuk zamknięty był silną kratą, a krata, według wszelkiego prawdopodobieństwa rzadko obracająca się na zardzewiałych zawiasach unieruchomiona była w swoim kamiennym obramowaniu mocnym zamkiem, który czerwona rdza czyniła podobnym do ogromnej cegły.

Było już pewno pół do dziewiątej; zapadał zmrok.

Jan Valjean położył Mariusza pod murem na suchej części cembrowiny, zbliżył się do kraty i zacisnął obie dłonie na żelaznych prętach; wstrząs był potężny, lecz krata nawet nie drgnęła. Jan Valjean chwycił pręty jeden po drugim, spodziewając się, że wyrwie najslabszy i z jego pomocą wysadzi kratę lub zdruzgotuje zamek. Żaden pręt nie poruszył się. Zęby tygrysa nie są mocniej osadzone. Bez lewara nie mógł wyważyć kraty. Przeszkoda była nie do przewyciężenia. Ani mowy o otworzeniu kraty.

Więc miał tu skonać? Co począć? Zawrócić? Znowu rozpocząć straszną podróż podziemną? Sił mu już na to nie starczało. Zresztą, jak powtórnie przebyć tę topiel, z której wydobył się cudem? A za trzęsawiskiem, czyż nie groził patrol policji, któremu pewnie by nie umknął po raz drugi? I dokąd iść? Jaki obrać kierunek? Schodzenie po pochyłości nie prowadziło do celu. Choćby doszedł do innego wyjścia, natknąłby się na kratę lub czop. I inne wyjścia najprawdopodobniej tak zabezpieczono. Tylko przypadek oderwał kratę, przez którą wszedł, ale na pewno pozostałe wyloty kanałów były zamknięte. Udało mu się jedynie uciec do więzienia.

Wszystko więc przepadło. Cały wysiłek Jana Valjean okazał się bezużyteczny. Bóg odmówił pomocy.

Obydwaj zostali schwytni w ciemną i ogromną sieć śmierci. Jan Valjean czuł, jak po jej czarnych niciach, drgających w mroku, biegnie straszliwy pająk.

Odwrócił się plecami do kraty i usiadł, a raczej upadł na bruk obok nieruchomego Mariusza i głowa osunęła mu się na kolana. Nie ma wyjścia – to była już ostatnia kropla goryczy.

O kim myślał Jan Valjean tak przytłoczony nieszczęściem? Nie o sobie i nie o Mariuszu. Myślał o Kozecie.

Oddarta poła surduta

Wśród tego unicestwienia jakaś ręka oparła się na jego ramieniu i odezwał się cichy głos:

– Dzielimy się pół na pół.

Człowiek wśród tym mroków? Nic bardziej nie jest podobne snu niż rozpacz. Jan Valjean pomyślał, że śni. Nie słyszał przecież kroków. Czy to możliwe? Podniósł oczy.

Przed nim ktoś stał.

Człowiek ten miał na sobie bluzę i był bosy, trzewiki trzymał w lewym ręku. Najwidoczniej zdjął je, żeby podejść niepostrzeżenie.

Jan Valjean zorientował się w mgnieniu oka. Spotkanie było niespodziewane, ale poznał tego człowieka od razu. Był to Thénardier.

Jakkolwiek – żeby tak powiedzieć – wyrwany ze snu, Jan Valjean, przywykły do nagłych alarmów i niespodzianych ciosów, które wymagają szybkiego odparowania, natychmiast odzyskał całą przytomność umysłu. Zresztą położenie nie mogło się pogorszyć; są takie rozpaczliwe momenty, które nie mają już wyższego stopnia, i nawet Thénardier nie mógł uczynić tej nocy ciemniejszą.

Nastąpiła teraz chwila wyczekiwania.

Thénardier podniósł prawą rękę do czoła, robiąc z niej daszek, zmarszczył brwi, zmrużył oczy i ścisnął wargi w sposób charakterystyczny dla człowieka nateżającego uwagę, aby rozpoznać, kogo ma przed sobą. Nie udało mu się to jednak. Jak powiedzieliśmy, Jan Valjean siedział tyłem do światła, a przy tym był tak zmieniony, obłocony i zakrwawiony, że i w południe nikt by go nie poznał. Thénardier natomiast, któremu w samą twarz padało światło przedostające się zza kraty, światło piwniczne co prawda i blade, ale mimo bladeści oświetlające, od razu – jak powiada pełna siły, choć banalna metafora – rzucił się w oczy Janowi Valjean. Te odmienne warunki zapewniały mu przewagę w tajemniczym pojedynku, który miały stoczyć ze sobą dwie sytuacje i dwaj ludzie. Spotkanie odbywało się między Janem Valjean, który pozostawał zakryty, i Thénardierem, który był bez maski.

Jan Valjean w lot spostrzegł, że Thénardier go nie poznał.

Przez chwilę patrzyli na siebie w tym półcieniu, jakby się obaj nawzajem mierzyli. Thénardier pierwszy przerwał milczenie:

– Jakim sposobem chcesz wyjść?

Jan Valjean nie odpowiedział.

Thénardier zaś ciągnął:

– Nie ma mowy o otwarciu drzwi wytrychem. A jednak musisz stąd wyjść.

- To prawda – rzekł Jan Valjean.
- W takim razie podzielimy się pół na pół.
- Co to znaczy?

– Zabiłeś tego człowieka. W porządku. A ja mam klucz.

Thénardier wskazywał przy tym na Mariusza.

– Nie znam cię, ale chcę ci pomóc. Musisz być jednym z przyjaciół – powiedział jeszcze.

Jan Valjean zaczynał rozumieć. Thénardier uważał go za mordercę.

Thénardier dodał:

– Słuchaj, kolego. Nie zabiłeś go przecież, nie zajrzawszy mu do kieszeni. Daj mi połowę, a ja ci otworzę drzwi.

I wydobywając spod dziurawej bluzy gruby klucz, mówił dalej:

– Chcesz zobaczyć, jak wygląda klucz od ulicy? Popatrz.

Jan Valjean „zdrętwiał ogłupiały” (wyrażenie pochodzi od starego Comeille’a) tak dalece, że nie wierzył własnym oczom. Opatrzność zjawiała się przed nim, przybierając tę straszną postać; anioł wybawienia wyszedł spod ziemi w osobie Thénardiera.

Thénardier wsadził rękę do wielkiej kieszeni ukrytej pod bluzą, wyjął stamtąd sznur i podał go Janowi Valjean.

– Masz – rzekł – daję ci ten sznur na dodatek.

– Po co mi sznur?

– Potrzebny ci jest jeszcze kamień, ale go znajdziesz za drzwiami. Tam leży taka kupa gruzu.

– Po co kamień?

– Niedołęgo, skoro masz go wrzucić do rzeki, potrzebny ci jest kamień i sznur, bo inaczej to będzie pływało po wierzchu.

Jan Valjean wziął sznur. Bywa tak, że machinalnie bierzemy, co nam dają.

Thénardier trzasnął palcami, jakby pod wpływem jakiejś nagłej myśli.

– Powiedz mi jedną rzecz, kolego. Jak wydobyłeś się z tego trzęsawiska? Ja nie miałem odwagi tam wejść. Pfu! Nie można powiedzieć, żebyś ładnie pachniał.

Po chwili dodał:

– Masz rację, że nie odpowiadasz na moje pytania. Dobrze się przygotowujesz do tej paskudnej chwili, kiedy będziesz rozmawiał z sędzią śledczym. A nic nie mówiąc, na pewno nie odezwiesz się zanadto głośno. Mniejsza o to. Ale chociaż nie widzę twojej twarzy i nie znam twojego nazwiska, nie myśl aby, że nie wiem, kto jesteś i czego chcesz. Wiem wszystko. Poturbowałeś trochę tego jegomościa, a teraz chciałbyś go gdzieś schować. Szukasz rzeki, bo w niej się ukryje każde głupstwo. Wydobędę cię z kłopotu. Pomagać poczciwym chłopakom to dla mnie wielka frajda.

Mimo tej pochwały milczenia, w widoczny sposób usiłował wciągnąć Jana Valjean w rozmowę. Trącił go w ramię, żeby mu się przyjrzeć z profilu, i zawołał nie podnosząc jednak zbyt głośno swego przyciszonego głosu:

– A co do tego trzęsawiska, to jesteś patentowany głupiec. Dlaczegoś tam nie wrzucił tego człowieka?

Jan Valjean wciąż milczał.

Thénardier mówił dalej, przy czym podciągał ku grdyce szmatę zastępującą mu krawat, który to gest wyraża u ludzi pełnych powagi najwyższy stopień zadowolenia z siebie.

– W gruncie rzeczy może i postąpiłeś rozsądnie. Robotnicy, którzy przyjdą zatkać dziurę, jak dwa a dwa cztery, znaleźliby zgubionego obywatela. Powolutku, po nitce do kłębka, można by wtedy odnaleźć ślad i trafić do ciebie. Ktoś przechodził kanałem! Kto? Którędy wyszedł? Czy nikt go przy wyjściu nie widział? Policja ma dużo dowcipu. Kanał jest zdradliwy i denuncjuje

człowieka. Takie odkrycie to dla policji sensacja; zwraca uwagę, bo mało kto załatwia swoje interesy w kanale. Każdy ma do dyspozycji rzekę. Rzeka to prawdziwy grób. Po miesiącu wyłowią twojego pasażera pod Saint-Cloud. Ale co to komu zaszkodzi? To już jest tylko kawał ścierwa. Kto zabił tego człowieka? Paryż. I policja nawet nie zaczyna śledztwa. Dobrześ zrobił.

Im wymowniejszy był Thénardier, tym bardziej uporczywie milczał Jan Valjean. Thénardier znowu trącił go w ramię.

– A teraz dobijmy targu. Podzielmy się. Widziałeś mój klucz, pokaż mi swoje pieniądze.

Miał wyraz twarzy dziki i podstępny, nieco groźny, ale mimo wszystko przyjacielski.

Jedno było dziwne. Thénardier nie zachowywał się całkiem normalnie; wyglądał jakby czymś skrzepowany, chociaż nie stwarzał specjalnie nastroju konspiracji; mówił cicho; od czasu do czasu kładł palec na ustach i szeptał: Pst! Trudno było odgadnąć powód takiego postępowania. Byli przecież sami. Jan Valjean pomyślał, że może inni bandyci kryli się w jakimś niedalekim zakamarku i Thénardier nie chciał się z nimi dzielić.

Thénardier odezwał się znowu:

– Skończmy. Ile ten frajer miał?

Jan Valjean poszukał w kieszeniach.

Jak pamiętamy, zawsze miał przy sobie pieniądze. Jego smutne życie, pełne niespodzianek, narzuciło mu tę zasadę. Tym razem jednak został zaskoczony zupełnie nagle. Kiedy poprzedniego wieczora wdziewał mundur gwardii narodowej, pogrążony w ponurych myślach, zapomniał o pugilaresie. Miał tylko trochę bilonu w kieszonce kamizelki. Było tego około trzydziestu franków. Wywrócił przesiąkniętą błotem kieszonkę i położył na murze luidora dwie pięciofrankówki i pięć czy sześć monet dziesięciocentymowych.

Thénardier wysunął dolną wargę i znacząco pokiwał głową.

– Zabiłeś go za tanie pieniądze – rzekł.

Zaczął poufale obmacywać kieszenie Janowi Valjean i Mariuszowi. Jan Valjean nie przeszkadzał mu, uważając tylko na to, żeby się nie obrócić do światła. Przetrasając surdut Mariusza, Thénardier ze zręcznością kuglarza oderwał niepostrzeżenie kawałek poły i ukrył pod bluzą, myśląc sobie zapewne, że ten kawałek sukna posłuży mu później do rozpoznania zabójcy i zabitego. Nie znalazł zresztą nic, co by powiększyło sumę tamtych trzydziestu franków.

– Rzeczywiście – powiedział – wynosi kolega z kanału trupa, którego majątek dużo nie wynosi.

I zapominając, że mówił o podziale pół na pół, zabrał wszystko.

Wahał się tylko, czy brać miedziaki. Po namyśle zgarnął je także, mrużąc:

– Niech tam. Nie szlachtuje się ludzi po tak niskiej cenie. Po czym znowu wyjął klucz spod bluzy.

– Teraz, mój kochany, trzeba ci otworzyć. Tu, jak na jarmarku, płaci się przy wyjściu. Zapłaciłeś, więc wychodź.

I zaczął się śmiać.

Czy wyświadczając tym kluczem przysługę nieznanemu i wypuszczając go za kratę, miał szczerzy i bezinteresowny zamiar ocalenia mordercy? Wydaje się to nader wątpliwe.

Thénardier pomógł Janowi Valjean zarzucić Mariusza na plecy, potem na palcach, wciąż boso, skierował się ku wyjściu, dając ręką znak, żeby iść za nim, popatrzył przez kratę, położył palec na ustach i przez kilka chwil stał jakby niezdecydowany; upewniwszy się wreszcie, włożył klucz do zamku. Zasuwa ustąpiła i drzwi obróciły się na zawiasach, bez żadnego trzasku ani zgrzytu, zupełnie cicho.

Widocznie krata i zawiasy, starannie naoliwione, otwierały się częściej, niżby kto przypuszczał. Ta cichość była złowroga; czuło się w niej kroki zdążające ukradkiem na zewnątrz

i do środka, dokonywane w milczeniu wyprawy i powroty nocnych ludzi, stąpanie wilka zbrodni. Kanał był z pewnością współnikiem jakiejś tajemniczej bandy. Ta milcząca krata ukrywała złoczyńców.

Thénardier uchylił drzwi na tyle tylko, żeby Jan Valjean mógł się przez nie przecisnąć, zamknął je z powrotem i dwa razy przekręcił klucz, po czym znikł w ciemnościach, bezszelestny jak oddech. Zdawało się, że chodzi na aksamitnych łapach tygrysa.

Ohydna opatrność powróciła w niewidzialne.

Jan Valjean wyszedł z kanału.

Mariusz wydaje się martwy komuś, co się na tym zna

Położył Mariusza na brzegu.

Wydostali się!

Smrodliwe wyziewy, ciemność, groza – były za nim. Otoczyło go zdrowe, świeże, czyste, radosne powietrze, nadające się do oddychania. Wszędzie dokoła cisza, rozkoszna cisza tej chwili, w której słońce właśnie zaszło na pogodnym niebie. Zmrok już zapadł, nadchodziła noc, wielka oswobodzicielka i przyjaciółka tych wszystkich, którym potrzebny jest płaszcz ciemności, żeby się pozbyć udreki. Gdziekolwiek było spojrzeć, niebo ofiarowywało oczom swój bezgraniczny spokój.

Jan Valjean stał przez chwilę urzeczony tą dostojną i pieśczośliwą pogodą. Zdarzają się takie minuty zapomnienia, cierpienie wypuszcza wówczas nędzarza ze swych szponów, myśli zacierają się, spokój spowija rozmarzonego człowieka jak noc i wśród świateł zmierzchu, na podobieństwo wieczornego nieba, w duszy wschodzą gwiazdy. Jan Valjean mimo woli zapatrzył się w ten ogrom ciemnej Jasności, który miał nad sobą; majestatyczna cisza odwiecznych niebios była dla jego zamyślenia kąpielą w zachwycie i modlitwie. Potem, jakby mu nagle wróciło poczucie obowiązku, pochylił się nad Mariuszem i zaczerpnąwszy w dłonie wody, prysnął mu nią lekko na twarz. Powieki Mariusza nie otworzyły się, ale rozchylone usta oddychały.

Jan Valjean miał już powtórnie zanurzyć rękę w rzece, lecz oto nagle doznał niemiłego uczucia, jakby stał za nim ktoś, kogo on nie widział.

Raz już wspomnieliśmy o tym wrażeniu, znanym każdemu.

Odwrócił się.

Rzeczywiście ktoś stał za nim.

Wysoki człowiek, odziany w długi surdut, z rękami założonymi na piersi, w prawej ręce trzymając pałkę z ołowianą gałką, stał o kilka kroków za Janem Valjean schylonym nad Mariuszem.

W zmroku wieczornym wydawał się zjawą. Prostak przestraszyłby się go z powodu ciemności, człowiek myślący z powodu pałki.

Jan Valjean poznał Javerta.

Czytelnik odgadł zapewne, że to Javert właśnie tropił Thénardiera. Javert, po nieoczekiwanym wydostaniu się z barykady, poszedł do prefektury policji, osobiście złożył prefektowi meldunek na krótkiej audiencji, a potem bezzwłocznie wrócił do swoich obowiązków, które – pamiętamy

znalezioną przy nim notatkę – polegały na obserwowaniu prawego brzegu rzeki w okolicy Pól Elizejskich, gdyż miejsce to od pewnego czasu przyciągało uwagę policji. Tu spostrzegł Thénardiera i poszedł jego śladem. Resztę znamy.

Czytelnik zrozumiał też niewątpliwie, że tak uprzejme otwarcie kraty przed Janem Valjean było podstępem Thénardiera. Czuł on, że Javert nadal czeka; ścigany człowiek ma niezawodny węch. Wypychając na zewnątrz Jana Valjean jako swojego zastępcę, Thénardier dawał łup policji, naprowadzał ją na inny ślad, kazał jej zapomnieć o sobie dla poważniejszej sprawy, wynagradzał Javerta za oczekiwanie, co szpicelowi jest zawsze miłe, zyskiwał trzydzieści franków i liczył, że uda mu się umknąć, korzystając z zamieszania.

Jan Valjean wpadł z jednej opresji w drugą.

Dwa spotkania jedno po drugim, Javert po Thénardierze, to zaiste ciężka próba.

Javert nie poznał Jana Valjean, który jak powiedzieliśmy, zmieniony był nie do poznania. Stojąc wciąż na miejscu, niedostrzegalnym ruchem ścisnął silniej pałkę i odezwał się spokojnie:

– Kto pan jest?

– Ja.

– Kto taki?

– Jan Valjean.

Javert włożył pałkę w zęby, zgiął kolana, pochylił się, położył na ramionach Jana Valjean swoje potężne dłonie, które wpiły się w nie jak kleszcze, przypatrzył mu się i poznał. Ich twarze prawie się dotykały. Spojrzenie Javerta było straszne.

Jan Valjean nie próbował wydobyć się z uścisku Javerta, podobny do lwa, który nie broni się od szponów rysia.

– Inspektorze Javert – rzekł – jestem w pańskiej mocy. Zresztą już od rana uważam się za twojego więźnia. Nie po to dałem panu mój adres, żeby uciekać. Zabierz mnie. Ale wprzód zrób mi pan jedną łaskę.

Javert zdawał się nie słyszeć. Utkwił w Janie Valjean nieruchome źrenice. Zmarszczył brodę i wysunął wargi, co nadało jego twarzy wyraz jakiejś ponurej zadumy. Na koniec puścił Jana Valjean, wyprostował się, wziął pałkę w garść i jakby mówiąc przez sen, raczej wyszeptał, niż powiedział:

– Co pan tu robi i co to za człowiek, ten drugi?

W dalszym ciągu nie tykał Jana Valjean.

Jan Valjean odpowiedział i dopiero dźwięk jego głosu jakby obudził Javerta:

– Właśnie o nim chciałem mówić. Rozporządzaj pan mną, jak się panu podoba, ale najpierw pomóż mi odnieść go do domu. O to jedno proszę.

Twarcz Javerta ściągnęła się, jak to mu się zdarzało, ilekroć ktoś próbował prosić go o ustępstwo. Mimo to nie odpowiedział odmownie.

Pochylił się znowu, wyjął z kieszeni chustkę, umoczył ją w wodzie i otarł zakrwawione czoło Mariusza.

– Ten człowiek był na barykadzie – rzekł półgłosem, jakby do siebie. – Nazywano go Mariuszem.

Pierwszorządny szpicel Javert wszystko podsłuchał, wypatrzył i zauważył; choć sądził, że umrze, szpicelował bliski już agonii; oparty o krawędź grobu, jeszcze zbierał informacje.

Ujął rękę Mariusza, szukając pulsu.

– On jest ranny – rzekł Jan Valjean.

– Zabity – odparł Javert.

Jan Valjean odpowiedział:

– Nie. Jeszcze żyje.

– Więc pan go przyniósł tutaj z barykady?– zapytał Javert.

Musiał być nadzwyczaj zajęty swymi myślami, skoro nie zapytał o szczegóły tej dziwnej podróży przez kanały i nie spostrzegł nawet że Jan Valjean odpowiedział mu milczeniem.

Jan Valjean również wydawał się zajęty jedną tylko myślą i rzekł:

– Mieszka w Marais na ulicy Panien Kalwaryjskich, u dziadka... Zapomniałem nazwiska.

Poszukał w surducie Mariusza, wydobyl pugilares, otworzył go i podał Javertowi razem z zapisaną kartką.

Było jeszcze dość światła, żeby ją przeczytać. Javert miał zresztą wzrok nocnych ptaków. Przeczytał słowa napisane przez Mariusza i mruknął:

– Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich numer 6. Następnie zawołał:

– Dorożka!

Pamiętamy, że dorożka na wszelki wypadek czekała.

Javert zatrzymał pugilares Mariusza.

W chwilę potem pojazd zjechał na sam brzeg. Mariusza złożono na siedzeniu w głębi. Javert usiadł z Janem Valjean na przedzie.

Po zamknięciu drzwiczek dorożka szybko ruszyła w kierunku placu Bastylli.

Oddalili się od Sekwany i wjechali w miasto. Dorożkarz, tworzący na koźle czarną sylwetkę, okładał batem swoje chude szkapy. We wnętrzu dorożki panowała martwa cisza. Nieruchomy Mariusz, plecami wciśnięty w róg między oparciem a poręczą, z głową opadłą na piersi, ze zwieszonymi rękami i sztywnymi nogami, zdawał się czekać już tylko na trumnę. Jan Valjean wyglądał jak cień, Javert jak głaz; w tej pełnej ciemności dorożce, której wnętrze, ilekroć przejeżdżali koło latarni, ukazywało się bladospine jak w blasku błyskawicy, przypadek połączył w jakiejś złowroziej konfrontacji trzy magiczne odmiany spokoju: trupią, widmową i posagową.

Powrót syna marnotrawnego, który strwonił życie

Za każdym wstrząsem dorożki kropla krwi spadała z włosów Mariusza.

Była już ciemna noc, kiedy dorożka stanęła przed domem numer 6 na ulicy Panien Kalwaryjskich.

Javert wysiadł pierwszy, jednym rzutem oka sprawdził numer nad bramą i podniósłszy ciężki młotek z kutego żelaza, ozdobiony staroświecką modą kozłem, który bódł satyra, gwałtownie zastukał. Drzwi uchylily się, Javert pchnął je. Wyjrzał zza nich dozorca; ziewał, na wpół jeszcze śpiący, i trzymał w ręku świecę.

Javert odezwał się do niego tonem, jaki przystoi rządowi przemawiającemu do dozorczy do domu rebelianta:

– Tu mieszka Gillenormand?

– Tu, a czego pan chce?

– Odnoszą mu syna.

– Syna? – powtórzył tępo dozorca.

– Już nieżywego.

Za Javertem stał Jan Valjean, obdarty i brudny; dozorca popatrzył na niego z widocznym lękiem, ten zaś poruszył przecząco głową.

Dozorca jakby nie rozumiał ani słów Javerta, ani znaku Jana Valjean. Javert mówił dalej:

– Poszedł na barykadę, macie go z powrotem.

– Na barykadę? – zawołał dozorca.

– Dał się zabić. Idźcie obudzić ojca.

Dozorca nie ruszył się z miejsca.

– Prędeż! – krzyknął Javert.

I dodał:

– Jutro będzie tu pogrzeb.

Dla Javerta wszystko, co się zdarzało na ulicy, podlegało niewzruszonym kategoriom, które są podstawą czujności i dozoru. Każdy wypadek miał swoją rubrykę; wszelkie możliwe wydarzenia leżały jakby w szufladkach, z których wychodziły stosownie do okoliczności w rozmaitych dozach; na ulicy mogły mieć miejsce: zakłócenie porządku, rozruchy, karnawał, pogrzeb.

Dozorca obudził tylko Baskijczyka, Baskijczyk Nikoletę, Nikoleta ciotkę Gillenormand. Dziadka zostawiono w spokoju, uważając, że zawsze dość wcześnie dowie się o nieszczęściu.

Wniesiono Mariusza na pierwsze piętro, tak że nikt nic nie słyszał w innych częściach domu, i złożono go na starej kanapie w przedpokoju pana Gillenormand. Gdy Baskijczyk wyruszył po lekarza, a Nikoleta otwierała szafę z bielizną, Jan Valjean uczył, że Javert dotyka jego ramienia; Zrozumiał i zszedł na dół, a Javert krok w krok za nim.

Odźwierny patrzył na nich – jak wtedy kiedy się zjawili – zaspany i przestraszony.

Wsiedli do dorożki, dorożkarz zajął swoje miejsce na koźle.

– Inspektorze Javert – rzekł Jan Valjean – proszę pana jeszcze o jedną łaskę.

– Jaka? – zapytał opryskliwie Javert.

– Pozwól mi wstąpić na chwilę do domu. Później zrobi pan ze mną, co pan zechce.

Javert milczał przez chwilę, wsunawszy brodę w kołnierz surduta, po czym opuścił szybę powozu.

– Dorożkarzu – polecił – jedź na ulicę Człowieka Zbrojnego numer 7.

Zachwiany absolut

Przez całą drogę nie otworzyli ust.

Czego chciał Jan Valjean? Dokończyć tego, co rozpoczął; zawiadomić Kozetę, powiedzieć jej, gdzie jest Mariusz, może udzielić jej jeszcze jakichś innych pożytecznych informacji i przekazać, gdyby mu na to pozwolono, swoją ostatnią wolę. Co do niego samego, wszystko już się skończyło; był schwytywany przez Javerta i nie stawiał mu oporu. Inny na jego miejscu pomyślałby o sznurku, który mu dał Thénardier, i o kracie pierwszego więzienia, które go czekało, ale od spotkania z biskupem Jan Valjean czuł – podkreślmy to – głęboki religijny wstręt do zamachu na życie ludzkie, choćby swoje własne.

Przy wylocie ulicy Człowieka Zbrojnego dorożka zatrzymała się, ponieważ ulica ta była zbyt wąska dla pojazdów. Javert i Jan Valjean wysiedli.

Weszli w ulicę. Jak zwykle była pusta. Javert kroczył za Janem Valjean. Podeszli pod numer siódmy. Jan Valjean zastukał. Drzwi się otworzyły.

– Dobrze – rzekł Javert. – Idź pan na górę.

I dodał z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zadawał sobie gwałt wymawiając te słowa:

– Ja tu zaczekam.

Jan Valjean spojrział na Javerta. Taki sposób postępowania nie należał do zwyczajów inspektora. Jednak nie zdziwił się, że Javert okazuje mu to wyniosłe zaufanie, zaufanie kota, który pozwala myszy poruszać się w zasięgu swoich pazurów, gdyż był najzupełniej zdecydowany oddać się w jego ręce i już raz ze wszystkim skończyć. Pchnął drzwi, wszedł do domu i zawołał do odźwiernego, który z łóżka pociągnął za sznurek: – To ja! – wszedł na schody.

Stanąwszy na pierwszym piętrze, zatrzymał się. Wszystkie drogi męki mają swoje stacje. Małe okienko nad podestem było otwarte. Jak w wielu starych domach, klatka schodowa miała okna od ulicy. Stojąca naprzeciwko latarnia rzucała nieco blasku na stopnie, co pozwalało oszczędzać na oświetleniu wejścia.

Jan Valjean wysunął głowę przez okno, może chcąc odetchnąć świeżym powietrzem, a może tylko machinalnie. Wyrzwał na ulicę. Była krótka, latarnia oświetlała ją od końca do końca. Jan Valjean zachwiał się ze zdumienia: na ulicy nie było nikogo.

Javert odszedł.

Dziadek

Baskijczyk i dozorca wnieśli Mariusza do salonu na tej samej kanapie, na której go położono po przyjeździe. Wezwany lekarz przybył niezwłocznie. Ciotka Gillenormand wstała z łóżka.

Na rozkaz lekarza postawiono obok kanapy łóżko na pasach.

Lekarz obejrzał Mariusza i przekonawszy się, że puls bije, że rana na piersi nie jest głęboka, a krew zakrzepła w kącikach ust spłynęła z nozdrzy, kazał go położyć na wznak, bez poduszki, głowę równo z ciałem, nawet nieco niżej, z obnażoną piersią, aby ułatwić oddychanie. Panna Gillenormand, widząc, że rozbierają Mariusza, wyszła i zabrała się do odmawiania różańca w swoim pokoju.

Ciało do pasa nie było poważniej uszkodzone; kula, odbiwszy się od pugilaresu, zboczyła i ześliznęła się po żebrach, rozdzierając ciało szpetnie, ale niegłęboko, a więc niezbyt niebezpiecznie. W długiej podróży podziemnej złamany obojczyk przesunął się i to rzeczywiście mogło niepokoić. Ramiona nosiły ślady szabli. Żadna szrama nie oszpeciła twarzy, ale głowa była cała pocięta. Jakie były te rany na głowie? Czy zatrzymywały się na skórze, przy włosach? Czy naruszyły czaszkę? Tego nie można było jeszcze orzec. Ważny symptomat stanowiło wywołane przez nie omdlenie, a z takich omdleń człowiek nie zawsze się budzi. Prócz tego krwotok wyczerpał rannego. Barykada ochroniła Mariusza przed ranami od pasa w dół.

Lekarz zamyślił się smutnie. Czasami czynił głową znak przeczenia, jakby odpowiadał na pytanie, które sobie zadawał w duchu. Zły to znak dla chorego – taki tajemniczy dialog lekarza z samym sobą.

Kiedy ocierał twarz Mariusza i z lekka dotykał palcem powiek, ciągle zamkniętych, otwarty się drzwi w głębi salonu i blada, wyniosła postać stanęła na progu.

Był to dziadek.

Starcy mają lekki sen; pokój pana Gillenormand przylegał do salonu i mimo wszelkich ostrożności hałas obudził go. Zdziwiony światłem w szczelinie pod drzwiami, wstał z łóżka i wszedł po cichu.

Stał zdziwiony na progu, z ręką opartą o klamkę na wpół otwartych drzwi, z głową nieco

naprzód pochyloną i drżącą, w białym szlafroku, prostym, gładkim jak całun; przypominał widmo zagładające w grób.

Ujrzał łóżko i na materacu młodzieńca we krwi, bladego bledością wosku, jego zamknięte oczy, otwarte usta, sine wargi, ciało obnażone do pasa, całe w szkarłatnych ranach, nieruchome i jaskrawo oświetlone.

Dziadek zadrżał od stóp do głów tak silnie, jak tylko stare, zeszywniałe ciało może zadrzeć. Jego oczy o starczo pożółkłych białkach zamglila szklista powłoka, cała twarz w jednej chwili zapadła się trupio, ręce mu zwisły, jakby pękła w nich sprężyna, i osłupienie wyraziło się w rozsunięciu palców obu drżących dłoni, kolana ugięły się do przodu, ukazując przez otwarte poły szlafroka wychudłe nogi z najeżonymi siwymi włosami.

– Mariusz! – szepnął.

– Proszę pana – rzekł Baskijczyk – przynieśli panicza. Był na barykadzie i...

– Nie żyje! – krzyknął starzec przerażającym głosem. – A zbój!

Naraz jakaś upiorna przemiana zaszła w zgrzybiałym starcu, który się wyprostował jak młody chłopiec.

– Panie – rzekł – jest pan lekarzem. Chciej mi najpierw jedno powiedzieć. Nie żyje, czy tak?

Lekarz milczał, pełen niepokoju.

Pan Gillenormand załamał ręce i wybuchnął strasznym śmiechem.

– Nie żyje! Nie żyje! Dał się zabić na barykadzie. Z nienawiści do mnie! Na złość mnie! Ach, ty krwiopijco! To tak do mnie wracasz! O nędzo mojego życia. Zabili go!

Podszedł do okna, otworzył je na oścież, jakby mu było duszno, i twarzą zwrócony ku ciemności, zaczął mówić do nocy zalegającej ulicę:

– Pocięty, posiekany, zarżnięty, zamordowany, pokrajany, porąbany w kawałki! Patrzcie go, łajdaka! Wiedział dobrze, że na niego czekam, że kazałem uporządkować jego pokój i że zawiesiłem sobie nad łóżkiem jego portret z dziecinnych lat! Wiedział, że go przyjmę w otwarte ramiona, że wzywałem go od dawna, że po całych wieczorach siedziałem przy kominku z rękami założonymi na kolanach, nie wiedząc, co robić, że ogłupiałem od tego! Dobrze wiedziałeś, że wystarczyłoby ci wrócić i powiedzieć: To ja – a byłbyś panem domu; ja byłbym ci posłuszny i robiłbyś, co chciał z tym starym safandulą, twoim dziadkiem! Wiedziałeś to, a jednak powiedziałeś: Nie, nie pójdę, to rojalista! – I wolałeś iść na barykady i dać się tam zabić ze złości! Z zemsty za to, com ci mówił o jego wysokości księciu de Berry! To haniebne! Połóżcie się teraz i śpijcie spokojnie! Nie żyje. Oto moje przebudzenie.

Zbliżył się do Mariusza, który leżał blady i nieruchomy. Białe wargi starca poruszały się machinalnie; wydobywały się z nich, niby rżący oddech konającego, prawie niedostłyszalne słowa: – A, serce z kamienia! A, klubista! Zbrodniarz! Septembrzysta! – Były to ciche wyrzuty agonii wobec trupa.

Powoli jednak, jako że wybuchy wewnętrzne zawsze muszą wydobyć się na wierzch, związek słów wracał, lecz starzec jakby nie miał siły wymawiać ich wyraźnie; głos jego stał się głuchy i zagasty, jakby przychodził z drugiego brzegu otchłani:

– Wszystko mi jedno, i ja też umrę. Pomyśleć tylko, że nie ma w Paryżu spódniczki, która by nie czuła się szczęśliwa, uszczęśliwiając tego łotra! Będą dwa pogrzeby naraz. I takeś się urządził dla pięknych oczu generała Lamarque? Co ci zrobił dobrego ten generał Lamarque? Rębacz, gaduła! Dać głowę za trupa! Jak tu nie zwariować? I kto to zrozumie? W dwudziestym roku życia! I nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć, czy za sobą czegoś nie zostawia. Tak, teraz biedni starcy muszą umierać samotnie. Zdychaj w swej dziurze, sowo! Ha, tym lepiej, tego się spodziewałem, to mnie od razu zabije. Jestem zbyt stary; mam sto lat, mam sto tysięcy lat, od dawna już mam prawo umrzeć. Taki cios to koniec. Stało się, co za szczęście! Po co mu pod nos

podsuwać amoniak i te wszystkie leki? Na próżno tracisz czas, głupi lekarzu! Idź sobie, nie żyje, na dobre nie żyje. Znam się na tym, bo sam już jestem nieżywy. Nie zrobił tego do połowy. Tak, dzisiejsze czasy są haniebne, haniebne, haniebne! Oto, co myślę o was, o waszych ideach, o waszych systemach, o waszych mistrzach, o waszych wyroczniach, o waszych uczonych, o waszych lajdackich pisarzach, o waszych gałganach filozofach i o wszystkich rewolucjach, które od sześćdziesięciu lat płoszą stada kruków w Tuileriach! A że byłeś bez litości, dając się zabić w taki sposób, nie będę nawet czuł żalu po twojej śmierci – słyszysz, morderco?

W tej chwili Mariusz powoli otworzył powieki i jego wzrok jeszcze zamglony, jakby się dziwił przebudzeniem z letargu, spoczął na panu Gillenormand.

– Mariuszu! – krzyknął starzec. – Mariuszu! Mój mały Mariuszu! moje dziecko! mój synu kochany! Otwierasz oczy, patrzysz na mnie żyjesz, dzięki ci!

I mdlejąc osunął się na podłogę.

Rozdział czwarty

JAVERT WYKOLEJONY

Javert wolnym krokiem wyszedł z ulicy Człowieka Zbrojnego. Po raz pierwszy w życiu szedł z pochyloną głową i również po raz pierwszy w życiu założył ręce w tył.

Aż do tego dnia z dwóch postaw Napoleona Javert przybierał tylko jedną, tę, która wyraża niezłomną decyzję – ramiona skrzyżowane na piersi; druga, która wyraża niepewność – ręce założone w tył – nie była mu znana. Teraz dokonała się odmiana; jego powolne ruchy i cała ponura postać zdradzały głęboką rozterkę.

Zapisał się w milczące uliczki.

Szedł jednak w określonym kierunku.

Obrał najkrótszą drogę do Sekwany, dotarł do nadbrzeża Wiązów, poszedł nim wzdłuż rzeki, minął plac Gréve i zatrzymał się w pewnej odległości od komisariatu na placu Châtelet, koło mostu Notre-Dame. Między tym mostem i mostem Wymiany z jednej strony, a między nadbrzeżami Białoskórników i Kwiatowym z drugiej, Sekwana tworzy rodzaj kwadratowego jeziora, przez które przepływa wartki prąd.

Wszyscy żeglujący po Sekwanie boją się tego miejsca. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż ten prąd, ściśnięty w owym czasie i pieniący się między słupami młyna stojącego na moście, dziś zburzonego. Dwa mosty tak bliskie sobie powiększają niebezpieczeństwo; woda pędzi pod łukami z niesamowitym pośpiechem. Toczy swoje groźne fałdy i spiętrzona rzuca się na filary, jakby je chciała wyrwać płynnymi postronkami. Kto tam wpadnie, ten już nie wypływa na powierzchnię; najlepsi pływacy toną w tym miejscu.

Javert oparł łokcie o parapet, brodę skrył w dłoniach i machinalnie zatapiając paznokcie w gęstych faworytach, zamyślił się.

Nowe, rewolucyjne, katastrofalne rzeczy zaszły w głębi jego duszy; miał się nad czym zastanowić.

Cierpiał straszliwie.

Od kilku godzin przestał być prostym człowiekiem.

Wszystko w nim się zmąciło; ten mózg, tak jasny w swojej ślepcie, utracił swą przezroczystość; w tym kryształach zjawiała się chmura. Javert czuł, że poczucie obowiązku rozdwa się w jego świadomości, i nie potrafił tego ukryć przed sobą. Kiedy tak niespodzianie spotkał nad brzegiem Sekwany Jana Valjean, podobny był do wilka odzyskującego swoją zdobycz i do psa odnajdującego swojego pana.

Widział przed sobą dwie drogi, obie jednakowo proste, ale było ich dwie i to go przerażało, jego, który w całym swoim życiu znał tylko jedną prostą drogę. A najbardziej go nękało, że te drogi były rozbieżne. Jedna z tych linii prostych wykluczała drugą. Która była słuszna?

Znajdował się w położeniu nie do opisania.

Zawdzięczać ocalenie życia złoczyńcy, przyjąć ten dług i spłacić go, znaleźć się wbrew samemu sobie na równi z wyrzutkiem społeczeństwa i oddać mu usługę za usługę, dopuścić do tego, żeby mu ktoś powiedział: możesz iść – i z kolei powiedzieć temu człowiekowi: jesteś wolny – poświęcić z osobistych pobudek obowiązki, który jest najwyższym prawem, i wyczuwać w tych osobistych pobudkach coś, co jest także prawem i może jeszcze wyższym; zdradzić społeczeństwo, żeby pozostać wiernym sumieniu – wszystko to było absurdalne, ale rzeczywiste i zważyło się na Javerta, miażdżąc go swym ciężarem.

Jedno go zdumiało – że Jan Valjean darował mu życie, i jedno wprowadziło w stan zupełnego osłupienia – że on, Javert, darował życie Janowi Valjean.

Co się z nim stało? Szukał samego siebie i nie mógł odnaleźć.

Co uczynić teraz? Oddać Jana Valjean w ręce policji – źle, zostawić Jana Valjean na wolności – źle. W pierwszym wypadku człowiek reprezentujący władzę spadał niżej od człowieka z galer, w drugim galernik stawał się wyższy nad prawo i deptał je. Czy tak, czy owak, Javert ściągał na siebie hańbę. Czy z tej, czy z tamtej strony mógł go spotkać tylko upadek. Los prowadzi czasem człowieka na strome szczyty niemożliwości, poza którymi życie jest tylko przepaścią. Javert stał na jednym z takich szczytów.

Niepokoilo go także to, że mimo woli zaczął myśleć. Zmusiła go do tego już sama gwałtowność jego sprzecznych wzruszeń. Myślenie było czynnością, której nie praktykował i która sprawiała mu dotkliwy ból.

Każda myśl zawiera jakąś ilość wewnętrznego buntu i Javert irytował się, kiedy poczuł w sobie coś takiego.

Rozmyślanie o czymkolwiek poza ciasnym kręgiem jego czynności urzędowych uważał zawsze za bezużyteczne i męczące, a rozmyślanie o wydarzeniach ostatniego dnia było już dla niego prawdziwą katuszą. Należało jednak zajrzeć w swoje sumienie po tych wstrząsach i zdać sobie sprawę z samego siebie.

W jego refleksjach coraz bardziej wzbierała groza.

Mógłby sobie wyrzucać i owego powstańca, którego odwiózł na ulicę Panien Kalwaryjskich, ale o tym nawet nie pomyślał. Mniejsza wina ginęła w większej. Zresztą, powstaniec przecież już nie żył, a według przepisów śmierć uwalnia od odpowiedzialności prawnej.

Ciężarem, który przygniatał jego duszę, był Jan Valjean.

Jan Valjean dezorientował go. Wszystkie prawdy, na których dotychczas opierał całe swoje życie, runęły wobec tego człowieka. Gnębiła go wspaniałomyślność Jana Valjean względem niego, Javerta. Inne fakty, które sobie przypominał, a które dawniej uważał za kłamstwa i brednie, odżyły teraz jako rzeczywistość. Za Janem Valjean pojawił się pan Madeleine i obydwie postacie, nakładając się na siebie, stworzyły jedną całość nakazującą szacunek. Javert czuł, że coś okropnego przenika do jego duszy: podziw dla galernika. Szacunek dla człowieka skazanego przez prawo – czy to do czego podobne? Dreszcz wstrząsał nim na tę myśl, ale nie mógł się jej oprzeć. Daremnie szamotał się; musiał uznać w duchu szlachetność tego nędznika. To było dla niego straszne.

Dobroczynny złoczyńca, łagodny i zawsze gotowy nieść pomoc, galernik o ludzkim sercu, który odpłacał dobrem za zło, przebaczeniem za nienawiść, przekładał litość nad zemstę, własną zgubę nad zgubę wroga, ocalał własnego oprawcę i klęczał na szczycie cnoty, bliższy aniołom niż ludziom! Javert zmuszony był wyznać sobie, że taki potwór istnieje.

Nie mogło tak trwać dłużej.

Nie bez sprzeciwu – stwierdzamy to z naciskiem – poddał się temu potworowi, temu haniebnemu aniołowi, wstrętnemu bohaterowi,

który go w tym samym prawie stopniu oburzał, co zdumiewał. Ze dwadzieścia razy, gdy siedział w dorożce naprzeciw Jana Valjean, zaryczał w nim tygrys praworządności. Ze dwadzieścia razy brała go ochota rzucić się na Jana Valjean, schwytać go i pożreć, to znaczy aresztować. Cóż było łatwiejszego? Zawołać na pierwszy lepszy posterunek, koło którego przejeżdżali: oto zbiegły kryminalista! Wezwać żandarmów i rozkazać im: zabierzcie go! – a potem pójść sobie, zostawić tego potępieńca i nie troszczyć się o resztę. Nad tym człowiekiem wisi nieodwołalnie brzemień prawa i prawo zrobi z nim co zechce.

Cóż bardziej słusznego? Javert powiedział sobie to wszystko, chciał się przemóc, działać i zaaresztować go, ale i wówczas, i teraz nie potrafił. Jego ręka, konwulsyjnie podnosząca się do kołnierza Jana Valjean, opadała za każdym razem, jakby leżał na niej jakiś ogromny ciężar. W głębi jego myśli odzywał się głos, dziwny głos, który wołał: Dobrze, wydaj swojego zbawcę, a potem każ przynieść miskę Poncjusza Piłata i umyj sobie szpony.

Zwracał myśl ku sobie i obok olbrzymiego Jana Valjean widział się mały i upodlony.

Galernik był jego dobroczyńcą.

Dlaczego pozwolił temu człowiekowi darować sobie życie? Miał prawo zostać zabity na tej barykadzie. Powinien był skorzystać z tego prawa. Mógł wezwać innych powstańców na pomoc przeciw Janowi Valjean i kazać się rozstrzelać, tak byłoby lepiej.

Najbardziej dręczyło go to, że stracił pewność siebie. Czuł, że nie ma gruntu pod nogami. Kodeks w jego ręku był już tylko odłamkiem strzaskanego miecza. Obudziły się w nim nieznanne skrupuły.

Doznawał jakiegoś uczuciowego objawienia, zupełnie różnego od litery prawa, którą jedynie dotąd się kierował. Dawna sumienność przestała mu już wystarczać. Nowe, nieoczekiwane fakty stały przed nim, żeby go obezwładnić. Nieznany świat ukazał się jego duszy: zobowiązanie wynikające z doznanego dobrodziejstwa, poświęcenie, współczucie, wyrozumiałość, litość triumfująca nad surowością, zrozumienie każdej indywidualności, koniec bezapelacyjnych wyroków, które potępiają na zawsze, prawo, któremu wolno się wzruszyć, jakaś sprawiedliwość boska, idąca pod prąd sprawiedliwości ludzkiej. Widział w ciemnościach, jak wschodzi słońce nieznannej etyki, budząc w nim grozę i olśnienie. Był jak sowa zmuszona patrzeć wzrokiem orła.

Musiał przyznać, że dobroć istnieje. Ten przestępca był dobry. I on sam, rzecz niesłychana, zrobił dziś dobry uczynek. A więc uległ demoralizacji.

Uważał, że stchórzył. Myślał o sobie z przerażeniem. Jak to? Ten wielkoduszny nędznik odkrył pęknięcie w pancerzu, który chroni społeczeństwo. Jak to? Uczciwy sługa prawa znalazł się nagle między dwiema zbrodniami, między zbrodnią wypuszczenia człowieka na wolność i zbrodnią aresztowania go. Nie wszystko zatem jest pewne w poleceniach, jakie państwo daje urzędnikowi? Więc istnieją bezdroża obowiązku. Więc to prawda?

Czy to możliwe, żeby dawny bandyta, dźwigający na plecach wyroki prawa, wyprostował się i w końcu miał słusność? To nie do wiary. A więc są wypadki, w których prawo powinno się cofnąć wobec przestoczzonego zbrodniarza i prosić o przebaczenie!

Tak, to była prawda, Javert to widział, dotykał tego i nie tylko nie mógł zaprzeczyć, ale nawet brał w tym udział. To były rzeczywiście fakty. Obrzydliwa jest rzeczywistość aż do tego stopnia potworna.

Gdyby fakty spełniały swój obowiązek, dowodziłyby jedynie słusności prawa. Fakty zsyła sam Bóg. Czyżby teraz miała zejść z nieba anarchia?

A zatem – wyolbrzymiające wszystko wzburzenie i fałszywa optyka bezradności przesłoniły mu to, co by go mogło podtrzymać, i Javert obejmował teraz społeczeństwo, ludzkość, świat jednym prostym i okropnym konturem – a zatem prawo karne, prawomocny wyrok, powaga ustawodawstwa, orzeczenia najwyższych instancji, całe sądownictwo, ściganie i karanie

przestępstwa, przykazania urzędowej mądrości, nieomyślność trybunałów, podstawy monarchii, te różne dogmaty, na których opiera się polityka i ład społeczny, władza, sprawiedliwość, logika kodeksu, idea społeczeństwa, oficjalne prawdy – wszystko to obraca się w ruiny, gruzy, chaos; on sam, Javert, stróż porządku, nieprzekupność na służbie policji, opatrność i pies podwórzowy społeczeństwa, leży pokonany na ziemi, a na tych ruinach stoi człowiek w zielonej czapce i w aureoli nad czołem. Oto, jaki zamęt powstał w duszy Javerta i jaka straszliwa wizja mu się ukazała.

Czy mógł to znieść? Nie.

Nie można sobie wyobrazić stanu gwałtowniejszego wzburzenia. Były tylko dwa sposoby wyjścia z niego. Jeden: ruszyć zdecydowanym krokiem po Jana Valjean i wtrącić galernika do więzienia. Drugi...

Javert odsunął się od parapetu i tym razem z podniesioną głową poszedł pewnym i silnym krokiem w kierunku komisariatu, który wskazywała latarnia na rogu placu Châtelet.

Przyszedłszy tam, zobaczył przez oszklone drzwi policjanta i wszedł do środka. Wymienił swoje nazwisko, wylegitymował się i usiadł za stołem, na którym płonęła świeca. Znalazł tam pióro ołowiany kałamarz i papier do protokołów i sprawozdań z nocnych patroli.

Javert wziął arkusz papieru i zaczął pisać. Oto, co napisał:

Kilka uwag dla dobra służby

Po pierwsze: proszę pana prefekta, żeby sam zechciał na to rzucić okiem.

Po wtóre: aresztaci przyprowadzeni na śledztwo zdejmują trzewiki i stoją boso na kamiennej posadzce przez cały czas trwania rewizji osobistej. Wielu wraca do więzienia z kaszlem. To pociąga wydatki na szpital.

Po trzecie: siedzenie podejrzanych osobników z pomocą agentów rozstawionych w pewnych odległościach od siebie jest skuteczne, trzeba jednak mieć na uwadze, żeby przynajmniej dwaj agenci nie spuszczały się z oczu, zważywszy, że gdy z jakiej bądź przyczyny jeden agent zachwieje się w wypełnianiu obowiązków, drugi powinien nad nim czuwać i w potrzebie zastąpić go.

Po czwarte: nie można sobie wytłumaczyć, dlaczego specjalny regulamin więzienia Magdalenek zabrania więźniowi mieć krzesło, nawet za opłatą.

Po piąte: przy kantynie u Magdalenek są tylko dwa pręty, wskutek czego więźniowie mogą dotykać ręki sprzedającej.

Po szóste: więźniowie zwani szczekaczami, dlatego że wywołuje innych więźniów do rozmównicy, każą sobie płacić dwa su za wyraźne wywołanie nazwiska. Jest to kradzież.

Po siódme: w warsztacie tkackim strąca się więźniom dziesięć su od sztuki; jest to nadużycie przedsiębiorcy, bo ich płótno nie jest gorsze.

Po ósme: nie jest dobrze, że przychodzący na widzenie do więzienia La Force muszą przechodzić przez oddział kobiecy, udając się do rozmównicy w pawilonie św. Marii Egipcjanki.

Po dziewiąte: jest rzeczą pewną, że żandarmi opowiadają sobie na podwórzu prefektury szczegóły z przesłuchiwań oskarżonych. Jest 10 poważne uchybienie, gdy żandarm, który powinien dochowywać świącie tajemnicy, opowiada, co słyszał w gabinecie sędziego śledczego.

Po dziesiąte: pani Henry jest uczciwą kobietą, jej kantyna jest bardzo schludna, ale miejsce kobiety nie jest przy drzwiach więziennych. Nie licuje to z

powagą więziennictwa w kraju wielkiej kultury.

Javert napisał to pismem równym, starannym, nie opuściwszy ani jednego przecinka i silnie skrzypiąc piórem po papierze. Na koniec podpisał się:

*Javert
Inspektor I klasy*

*Komisariat na placu Châtelet.
7 czerwca 1832 r., około pierwszej nad ranem.*

Wysuszył atrament, złożył arkusz jak list, zapieczętował, napisał na wierzchu: *Notatka dla administracji*, zostawił swoje pismo na stole i trzasnąwszy oszklonymi drzwiami, wyszedł z komisariatu.

Znowu przeciął na ukos plac Châtelet, poszedł na wybrzeże i z dokładnością automatu wrócił na miejsce, które opuścił przed kwadransem; oparty łokciami o parapet stał tak samo jak przedtem i w tym samym punkcie, jakby się w ogóle stamtąd nie ruszył. Dokoła panowała nieprzenikniona ciemność. Była to ta grobowa pora, która następuje po północy. Gęste chmury zasłaniały niebo.

Na bruku nadbrzeżnej ulicy latarnia kładła czerwoną plamę. Mosty, jeden za drugim, roztopiały we mgle swoje sylwetki. Rzeka przybrała po niedawnych deszczach.

Miejsce, gdzie stał Javert, znajdowało się nad samym prądem, obmurowanie schodziło pionowo w groźną spiralę wiru, która skręcała się i rozkręcała jak śruba bez końca.

Javert pochylił głowę i spojrzał. Wszystko było czarne. Dochodził do niego szum spienionych fal, ale rzeki nie było widać. Czasami w tej przepaścistej głębi wiła się jakaś lśniąca smuga, gdyż woda nawet w najciemniejsze noce potrafi nie wiadomo jakim sposobem zapalać światła, które zamienia w węże. Te błyski gasły po chwili i wszystko znowu stawało się nierozpoznawalne i bezgraniczne. W dole nie płynęła woda, lecz zionęła otchłai. Ściana nadbrzeżna, stroma, niewyraźna, pomieszana z mgłą, uciekała oczom i podobna była do krawędzi nieskończoności.

Nic nie było widać, załatywał tylko wrogi chłód wody i mdły zapach wilgotnych kamieni. Przepaść wysyłała w górę swój niesamowity oddech.

Przybór wody, nie tyle dający się dostrzec, co odgadnąć, tragiczny szept fal, ogrom ponurych łuków mostu, możliwość upadku w czarną próżnię na dole – wszystko w tych mrokach pełne było grozy.

Javert przez kilka minut stał bez ruchu nad otwartą pod nim ciemnością i wpatrywał się w niewidzialne z natężeniem, jakby skupiając uwagę. Woda szumiała. Nagle zdjął kapelusz i położył go na parapecie. Po chwili wysoka i czarna postać, którą spóźniony przechodzień mógłby wziąć z daleka za upiora, stanęła na parapecie pochyliła się ku Sekwanie i znowu wyprostowana spadła w ciemność; rozległ się głuchy plusk i tylko noc widziała konwulsje tej czarnej postaci znikającej pod wodą.

Rozdział piąty

WNUK I DZIADEK

Znowu spotykamy drzewo obite blachą

W jakiś czas po wypadkach, któreśmy opowiedzieli, imć Boulatruelle przeżył wielkie wzruszenie.

Imć Boulatruelle to ów dróżnik z Montfermeil, którego już widzieliśmy w mrocznych częściach tej książki.

Boulatruelle – jak sobie może czytelnik przypomina – oddawał się różnym i podejrzanym zajęciom. Tłukł kamienie i niepokoił podróżnych na gościńcu. Robotnik drogowy i złodziej, marzył o skarbach zakopanych w lesie Montfermeil. Spodziewał się, że pewnego dnia znajdzie pieniądze w ziemi u stóp jakiegoś drzewa, a na razie chętnie szukał ich w kieszeniach przechodniów.

Ostatnio jednak zachowywał się ostrożnie, ponieważ cudem tylko wydobył się z opałów. Został on aresztowany na poddaszu Jondrette'a razem z innymi bandytami. Nałogi czasem się przydają – uratowało go pijaństwo. Nie umiano w żaden sposób ustalić, w jakim charakterze tam się znalazł – jako rabuś czy jako obrabowany. Sprawa jego została umorzona na podstawie niezbitcie stwierdzonego faktu, że w czasie zasadzki był pijany, i dzięki temu wyszedł na wolność.

Pewnego poranka Boulatruelle, idąc jak zwykle do pracy, a może i na zasadzkę, nieco przed wschodem słońca, zobaczył między drzewami człowieka, którego sylwetka, mimo iż widział ją tylko od tyłu, z daleka i wśród szarówki, nie była mu nieznajoma. Chociaż pijak, Boulatruelle miał dobrą pamięć, tę nieodzowną broń każdego, kto żyje w niezupełnej zgodzie z prawem.

Gdzież, u diabła, mogłem widzieć coś podobnego do tego człowieka? – zastanawiał się. Potrafił odpowiedzieć sobie tylko tyle, że człowiek ten podobny był do kogoś, kto pozostawił w jego wspomnieniach jakiś niewyraźny ślad.

Boulatruelle pomyślał o skarbie. Poszperawszy w pamięci, przypomniał sobie, że przed kilku laty obudził jego podejrzenia osobnik, który jak mu się wydawało, mógł być tym samym człowiekiem.

Pod ciężarem tych rozmyślań pochylił głowę; ruch to naturalny, ale niezbyt zręczny. Kiedy ją podniósł, nic już nie mógł dostrzec. Człowiek znikł w lesie i w mroku.

– Do pioruna! – rzekł Boulatruelle – znajdę go. Dowiem się, co to za ptaszek. Ten włóczęga spod kociej łapy chodzi tu nie bez kozery. W moim lesie nikt nie może mieć przede mną tajemnic.

Wziął swoją bardzo ostrą motykę.

– Ot – mruknął – jest czym pogrzebać w ziemi i w człowieku.

Aby związać przerwaną nić, ruszył spieszenie w kierunku, w którym najprawdopodobniej poszedł ów człowiek, i zapuścił się w zarośla.

Jakiś myśliwy, który o tej wczesnej porze z daleka przechodził lasem, gwizdząc sobie piosenkę o Guillerym, nasunął mu myśl wdrapania się na drzewo. Boulatruelle, choć stary, był zwinny. Pod ręką miał wysoki buk, godny Tityra i Boulatruelle'a. Wdrapał się na niego, jak mógł najwyżej.

Pomysł był dobry. Badając okolicę w stronie, gdzie las jest najgęstszy i najdzikszy, Boulatruelle nagle spostrzegł tego człowieka.

Zobaczył go i natychmiast zgubił z oczu. Człowiek wszedł, a raczej wśliznął się na polankę dość odległą i zasłoniętą wysokimi drzewami, ale Boulatruelle znał ją doskonale i zauważył przy stosie kamieni chory kasztan, obandażowany przybitą do kory blachą. Tę polankę niegdyś nazywano łąką Blaru. Stos kamieni, który leżał tam nie wiadomo po co przed trzydziestu laty, leży pewnie do dziś. Nic nie jest równie długotrwałe jak stos kamieni, chyba ogrodzenie z desek. Jedno i drugie jest tymczasowe. Najlepszy powód, żeby trwać długo.

Boulatruelle, lekki i radosny, raczej zeskoczył z drzewa, niż zszedł. Znalazł legowisko, teraz trzeba było tylko złowić zwierza. Prawdopodobnie był tam ów sławny skarb.

Wszedł bez wahania w gęstwinę krzaków.

Przedzierał się przez ostrokrzewy, tarniny, pokrzywy, dzikie róże, osty i kolczaste ciemię. Podrapał się okrutnie.

Na koniec po czterdziestu minutach doszedł do łączki Blaru. spocony, zmęczony, zadyszany, podrapany, wściekły.

Na polanie nie było nikogo.

Boulatruelle podbiegł do kamieni. Leżały na swoim miejscu; nikt ich nie zabrał.

Człowiek zaś zniknął w lesie. Wymknął się. Gdzie? Którędy?

W jaką wszedł gęstwinę? Niepodobna odgadnąć.

A najboleśniesz było to, że za stosem kamieni, naprzeciw drzewa obandażowanego blachą, Boulatruelle zobaczył świeżo poruszoną ziemię, zapomnianą albo porzuconą motykę i dół.

Dół był pusty.

– Ach, ty złodzieju! – krzyknął Boulatruelle, podnosząc w górę obie pięści.

Po wyjściu z jednej wojny domowej Mariusz gotuje się do drugiej

Przez długi czas Mariusz był półmartwy, półżywy. Przez kilka tygodni miał gorączkę z majaczeniami i dosyć groźne zaburzenia mózgowie, raczej od wstrząsów, których doznał odnosząc rany w głowę, niż od samych ran.

Po całych nocach w złowrogim gorączkowym podnieceniu i z uporem agonii powtarzał imię Kozety. Duże rany były niebezpieczne, gdyż ich ropa przy pewnych stanach atmosfery mogła zostać wchłonięta przez organizm i zabić chorego; za każdą zmianą pogody, przy lada burzy, lekarz niepokoił się. – Chory przede wszystkim nie może mieć żadnych wzruszeń – powtarzał. Dopóki trwało niebezpieczeństwo, pan Gillenormand siedział jak obłąkany przy łóżku Mariusza i

jak on był półmartwy, półżywy.

Codziennie, a niekiedy dwa razy dziennie, jakiś siwy pan, według relacji dozorca bardzo porządnie ubrany, przychodził dowiadywać się o rannego i przynosił dużą paczkę szarpi do opatrunków.

Na koniec siódmego września, dokładnie w cztery miesiące od owej bolesnej nocy, w której przyniesiono do dziadka umierającego Mariusza, lekarz oświadczył, że ręczy za jego życie. Zaczęła się rekonwalescencja. Ale z powodu złamania obojczyka Mariusz musiał jeszcze przez dwa miesiące leżeć na szeszlengu.

Ta długa choroba i powolny powrót do zdrowia zabezpieczyły go przed poszukiwaniami władz. We Francji żaden gniew, nawet publiczny, nie trwa dłużej niż pół roku. Zamieszki są tak dalece winą wszystkich w obecnym stanie społeczeństwa, że daje się po nich odczuć potrzeba przymknięcia oczu.

Pan Gillenormand przeszedł przez wszystkie rozpacze, a później przez wszystkie radości. Z wielką trudnością odwiedziono go od zamiaru czuwania nocami przy rannym; kazał ustawić swój wielki fotel przy łóżku Mariusza; żądał, żeby córka dawała najpiękniejsze płótno na opatrunki i bandaże. Panna Gillenormand, jako osoba dojrzała i roztropna, znalazła sposób oszczędzania płótna, wmawiając w ojca, że czyni zadość jego rozkazom. Pan Gillenormand nie dawał się jednak przekonać, że grube płótno jest równie dobre na szarpie jak batyst, a stare lepsze niż nowe. Był obecny przy wszystkich opatrunkach, podczas których panna Gillenormand wychodziła wstydliwie do drugiego pokoju. Gdy odcinano nożyczkami zgangrenowane kawałki ciała, krzyczał: aj, aj. – Wzruszający był widok, jak ten starzec drżącymi rękami podawał rannemu ziółka w filiżance. Lekarza zasypywał pytaniami, nie spostrzegając, że ciągle pyta o to samo.

Owego dnia, w którym lekarz oświadczył, że niebezpieczeństwo już minęło, starowina szalał z radości. Próbował wziąć Nikoletę na kolana. Tytułował Mariusza baronem i wołał: – Niech żyje Republika! – Nie uznawał już siebie, uważał się za nic. Mariusz był panem domu, starzec z radości wyrzekł się władzy ojcowskiej i stał się wnukiem swego wnuka.

W tej radości pan Gillenormand był wzruszająco dziecinny. Nie chcąc naprzykrzać się rekonwalescentowi, stawał za nim i uśmiechał się do niego. Był zadowolony, wesoły, zachwycony, czarujący, młody. Jego białe włosy dodawały łagodnego majestatu radości rozlanej na jego twarzy. Kiedy wdźwięk łączy się ze zmarszczkami, budzi uwielbienie. Jest coś z jutrzeńki w szczęściu starości.

Tymczasem Mariusz, pozwalając się bandażować i pielęgnować, myślał tylko o Kozecie.

Kiedy gorączka i maligna opuściły go, nie wspominał już jej imienia i można było sądzić, że już o niej nie myśli. On milczał dlatego, że duszą był przy niej.

Nie wiedział, co się stało z Kozetą. Wydarzenia z ulicy Konopnej wynurzały się z jego pamięci jak obłok mgły; niewyraźne cienie krążyły w jego umyśle: Eponina, Gavroche, Mabeuf, Thénardierowie i tragiczne postacie przyjaciół w dymie barykady; dziwny udział pana Fauchelevent w tej krwawej przygodzie był dla niego zagadką wśród nawałnicy; nie rozumiał, dlaczego żyje, nie rozumiał, kto i w jaki sposób go ocalił, i nikt w domu tego nie wiedział; powiedziano mu tylko, że został przywieziony w nocy na ulicę Panien Kalwaryjskich.

Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość stały się mglistymi pojęciami, ale wśród tej mgły jeden punkt trwał, jedno było wyraźne i jasne – silne postanowienie jakby wykute w granicie: odnaleźć Kozetę.

Nie ukrywał przed sobą czekających go przeszkód i trudności.

Zanotujmy tu jeden szczegół: wszystkie starania, cała tkliwość dziadka nie podbiła go, nie rozczuliła. Przede wszystkim nie znał całych jej rozmiarów, a po wtóre umysł chorego, może

jeszcze rozgorączkowany, nie dowierzał tym pieszczotom, które były dla niego dziwne i nowe, a miały go zapewne ujarzmić. Przyjmował je chłodno. Biedny dziadek na próżno wysiłał swój stary uśmiech. Mariusz mówił sobie, że wszystko to dobre, póki on się nie odzywa, ale gdy wspomni o Kozecie, ujrzy całkiem inną twarz i rzeczywisty stosunek dziadka do niego wówczas się odsłoni.

A przy tym, w miarę jak odzyskiwał życie, wracały dawne urazy, otwierały się stare rany pamięci; wspominał przeszłość, pułkownik Pontmercy stawał między nim a panem Gillenormand i Mariusz mówił sobie, że niczego dobrego nie można się spodziewać po człowieku, który był tak niesprawiedliwy i twardy dla jego ojca. Razem ze zdrowiem wracała cierpkość wobec dziadka. Biedny starzec cierpiał i milczał.

Pan Gillenormand, choć tego nie okazywał, zauważył, że Mariusz od chwili, gdy go przyniesiono i gdy odzyskał przytomność, ani razu nie nazwał go ojcem. Nie mówił mu co prawda „proszę pana”, ale unikając jednego i drugiego znajdował zawsze jakiś wymijający sposób zwracania się do niego.

Chwila przełomowa zbliżała się najwidoczniej.

Jak prawie zawsze bywa w podobnych razach, przed przystąpieniem do bitwy Mariusz przedsięwziął próbną utarczkę. Pewnego poranka pan Gillenormand wzięwszy do ręki gazetę odezwał się lekceważąco o Konwencie i zakończył rojalistyczną sentencją na temat Dantona, Saint-Justa i Robespierre’a. – Ludzie dziewięćdziesiątego trzeciego roku byli olbrzymami – odparł surowo Mariusz. Starzec umilkł i przez cały dzień nie powiedział już ani słowa.

Mariusz, który od najmłodszych lat znał niezłomny charakter dziadka, ocenił to milczenie jako stłumiony gniew i wywnioskował, że walka będzie zacięta; w zakątkach myśli zaczął mnożyć przygotowania do boju.

Postanowił sobie, iż w razie odmowy poszarpie bandażę, rozecie zestawiony obojczyk, rozjątrzy rany i nie będzie przyjmował żadnych pokarmów. Rany były jego bronią. Dostanie Kozetę albo umrze.

Czekał na sprzyjającą chwilę z podstępą cierpliwością choych.

Chwila ta nadeszła.

Mariusz atakuje

Pewnego dnia, kiedy ciotka porządkowała buteleczki i filiżanki na marmurowym blacie komody, pan Gillenormand, pochyliwszy się ku Mariuszowi, powiedział do niego swoim najtkliwszym tonem:

– Wiesz co, Mariuszu, na twoim miejscu jadłbym teraz więcej mięsa niż ryb. Smażona ryba dobra jest w początkach rekonwalescencji, ale żeby stanąć na nogach, chory potrzebuje dobrego kotleta.

Mariusz, który prawie całkiem już odzyskał siły, zebrał je, usiadł, położył na kółdrze zaciśnięte dłonie, spojrzał dziadkowi prosto w twarz i rzekł groźnym tonem:

– To mi przypomina, że mam ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Że chcę się ożenić.

– To jest przewidziane – odpowiedział dziadek i roześmiał się.

– Jak to: przewidziane?

– Tak, przewidziane. Dostaniesz tę swoją dziewczynkę.

Mariusz zdrzął, osłupiały, zgębniony i olśniony. Pan Gillenormand mówił dalej:

– Tak, dostaniesz tę śliczną dziewczynę. Ona tu przychodzi codziennie w postaci starego jegomościa, żeby dowiadywać się o twoje zdrowie. Odkąd jesteś ranny, cały czas tylko płacze i skubie szarpie. Zasięgnąłem o niej informacji. Mieszka na ulicy Człowieka Zbrojnego pod siódmym. Więc o to ci chodzi, chcesz ją – dobrze, dostaniesz. Ja ci proponuję kotlety, a ty mi odpowiadasz: „A propos, chcę się ożenić”. – Ładne skojarzenie. Liczyłeś na sprzeczkę, co? Nie wiedziałeś, że jestem stary tchórz. Co teraz powiesz? Dąsz się? Nie przypuszczałeś, że twój dziadek jest głupszy od ciebie, i przepadła ci mowa, którą sobie przygotowałeś, panie adwokacie. To irytujące, ale trudno, złość się. Zatkło cię, głuptasie, że robię to, czego chcesz. Posłuchaj. Dowiedziałem się wszystkiego, bo i ja jestem chytry. Ona jest zachwycająca, cnotliwa, w historii o oficerze nie było nic prawdy naskubała furę szarpi – to prawdziwy klejnot, ubóstwia cię. Gdybyś umarł, pogrzeb byłby na trzy osoby, ponieważ jej trumna towarzyszyłaby mojej. Wiedziałem, uważasz, że mnie nie kochasz, więc pomyślałem sobie: co, u licha, zrobić, żeby mnie to zwierzę pokochało? Aha, mam pod ręką tę małą Kozetę, dam mu ją i wtedy musi mnie trochę pokochać albo powiedzieć, dlaczego nie kocha.– Myślałeś pewno, że stary będzie się rzucał, złościł, krzychał: nie pozwolę! – i podniesie kij na tę różyczkę. Nic podobnego. Kozeta? – proszę bardzo. Miłość? – proszę bardzo. Niczego więcej nie pragnę, niech pan będzie łaskaw się ożenić. Bądź szczęśliwy, mój drogi chłopcze.

To powiedziawszy starzec zaszlochał.

Objął rękoma głowę Mariusza, przycisnął ją do starej piersi i obydwaj płakali. Jest to jedna z form najwyższego szczęścia.

– Mój ojczel! – zawołał Mariusz.

– Ach! Więc jednak mnie kochasz – powiedział starzec.

Nadeszła niewysłowiona chwila. Dusiło ich łkanie i nie mogli mówić.

Na koniec starzec wybełkotał:

– No, nareszcie się odkorkował i powiedział mi: „mój ojczel”. Mariusz wysunął głowę z objęć dziadka i powiedział:

– Mój ojczel, teraz jestem zdrow, więc zdaje mi się, że mógłbym ją zobaczyć.

– I to jest przewidziane, zobaczysz ją jutro.

– Ojczel...

– Co?

– Dlaczego nie dziś?

– Zgoda, dziś! Niech będzie dziś. Powiedziałeś mi trzy razy „ojczel”, więc ci się to należy. Zajmę się tym, przyprowadzą ją do ciebie. To było przewidziane, powiadam ci, a nawet dawno już ułożone wierszem. Tak się kończy elegia *Chory chłopiec* Andrzeja Chénier, którego zamordowali ci zbrod... ci olbrzymi z roku dziewięćdziesiątego trzeciego.

Panu Gillenormand zdawało się, że dostrzega lekką zmarszczkę na czole Mariusza, który nawet nie słyszał słów dziadka, pogrążony w zachwycie i myślący o Kozecie, a nie o roku dziewięćdziesiątym trzecim.

Przerażony swoją niefortunną uwagą o Andrzeju Chénier, starzec zaczął mówić bardzo szybko:

– „Zamordowali” to nie jest właściwe słowo. W rzeczywistości ci genialni rewolucjoniści, którzy nie byli złymi ludźmi – bez wątpienia, to byli nawet bohaterowie – uważali, że Chénier trochę im przeszkadza, i go zgiloty... – to znaczy w interesie ocalenia publicznego ci wielcy ludzie siódmego termidora poprosili Andrzeja Chénier, żeby był łaskaw wejść na...

Rozpoczęte zdanie uwięzło mu w gardle i pan Gillenormand nie mógł go dokończyć, a że za późno już było na odwołanie wypowiedzianych słów, wzburzony tyłu wzruszeniami, starzec spiesznie wybiegł z sypialni, podczas gdy jego córka poprawiała Mariuszowi poduszkę, trzasnął drzwiami za sobą i czerwony, zapieniony, z wytrzeszczonymi oczami, wpadł na poczciwego Baskijczyka, który w przedpokoju czyścił buty. Porwał Baskijczyka za kołnierz i krzyknął mu w uszy głosem pełnym wściekłości:

- Do stu tysięcy fur beczek diabłów, ci rozbójnicy go zamordowali!
- Kogo, proszę pana?
- Andrzeja Chénier!
- Tak jest, proszę pana – odpowiedział przestraszony Baskijczyk.

Panna Gillenormand w końcu przestaje mieć za złe, że pan Fauchelevant przyszedł, trzymając coś pod pachą

Kozeta i Mariusz zobaczyli się znowu.

Spotkania tego opisywać nie będziemy. Są rzeczy, których odmalować niepodobna; do ich liczby należy słońce.

Cała rodzina, nie wyłączając Baskijczyka i Nikolety, zebrała się w pokoju Mariusza w chwili, gdy weszła Kozeta.

Ukazała się na progu; zdawało się, że biły od niej promienie.

Właśnie w tej chwili dziadek miał wytrzeć nos; znieruchomiał na jej widok i z chustką przy nosie spojrzął na Kozetę.

– Prześliczna! – zawołał.

Po czym głośno dokończył wycierania nosa.

Kozeta była pełna upojenia, zachwytu, lęku i szczęścia. Czowała niepokój o tyle, o ile szczęście może niepokoić. Mówiła płacząc słowa, na przemian błada i purpurowa, miała ochotę rzucić się w objęcia Mariusza i zabrakło jej odwagi. Wstydziła się, że tyle osób widzi jej miłość. Nie mamy litości dla szczęśliwych kochanków; zostajemy przy nich, gdy najbardziej chcieliby zostać sami. A oni przecież wcale nas nie potrzebują.

Za Kozetą wszedł mężczyzna o siwych włosach, poważny, choć uśmiechnięty jakimś dziwnie bolesnym uśmiechem. Był to „pan Fauchelevant”, czyli Jan Valjean.

Był bardzo porządnie ubrany, jak mówił dozorca, cały na czarno i w białym krawacie.

W tym nieskazitelnym mieszczańskim wyglądającym na notariusza, dozorca nigdy by nie poznał przerażającego tragarza trupów, który ukazał się mu w nocy siódmego czerwca obdarty, zabłocony, okropny, dziki, z twarzą umazaną krwią i błotem, niosąc w ramionach omdlałego Mariusza. Stróżowski węch działał wszakże. Kiedy pan Fauchelevant wszedł z Kozetą, dozorca powiedział na ucho swojej żonie: – Nie wiem dlaczego, ale coś mi się zdaje, że już kiedyś tę twarz widziałem.

W pokoju Mariusza pan Fauchelevant stanął jakby na uboczu, przy drzwiach. Miał pod pachą pakiet dosyć podobny do książki formatu *in octavo*. owinięty w papier. Papier ten był zielonkawy i jakby spleśniały.

– Czy ten pan zawsze nosi książki pod pachą? – szeptem zapytała Nikoletę panna

Gillenormand, która nie lubiła książek.

– To pewnie jakiś uczyony – odpowiedział równie cicho pan Gillenormand, dosłyszawszy jej słowa. – Czy to jego wina? Pan Boulard, mój znajomy, też zawsze chodził z książką pod pachą.

I skłoniwszy się rzekł głośno:

– Panie Trancheleverit...

Pan Gillenormand nie zrobił tego umyślnie; niezwracanie uwagi na nazwiska należało do jego arystokratycznych manier.

– Panie Tranchelevent, mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Tranchelevent dla mojego wnuka, pana barona Mariusza Pontmercy.

„Pan Tranchelevent” uklonił się.

– Sprawa załatwiona – oświadczył dziadek.

Po czym, obrócony ku Mariuszowi i Kozecie, wyciągnął do nich ręce błogosławiącym gestem i zawołał:

– Możecie się teraz ubóstwiać!

Nie kazali sobie powtarzać tego pozwolenia. Rozpoczął się szczebiot. Rozmawiali po cichu, Mariusz wsparty na szezlongu, Kozeta stojąc przy nim.

– O mój Boże – szeptała Kozeta. – Znowu pana widzę. To ty! To pan!... Po co było chodzić na barykadę. Co za okropność! Przez cztery miesiące byłam jak nieżywa. Ach, jak to nieładnie, że pan poszedł bić się! Co ja panu takiego zrobiłam? Przebaczam, ale żeby to było ostatni raz. Kiedy się teraz dowiedziałam, że mam tu przyjść znowu myślałam, że umrę, ale z radości. Tak mi było smutno. Nie zdążyłam się przebrać, pewno wyglądam jak strach na wróble. Co pana rodzina powie na mój wygnieciony kołnierzyk? No, niech się pan odezwie choć słowem. Cały czas tylko ja mówię. Mieszkamy wciąż na ulicy Człowieka Zbrojnego. Podobno był pan tak strasznie ranny w ramię. Słyszałam, że w tej ranie zmieściłaby się pięść! I podobno obcinali panu ciało nożyczkami. To straszne. Oczy sobie wypłakałam. Aż dziwne, że można tak cierpieć. Pański dziadek jest bardzo przyjemny. Niech pan leży spokojnie i nie opiera się na łokciu, bo będzie bolało. Ach, jaka jestem szczęśliwa! Więc już wszystko w porządku! Zupełnie zgłupiałam, miałam tyle do powiedzenia i wszystko mi wyleciało z głowy. Czy pan mnie jeszcze kocha? Mieszkamy na ulicy Człowieka Zbrojnego. Tam nie ma ogrodu. Cały czas skubałam szarpie, proszę spojrzeć, to pana wina, porobiły mi się na palcach odciski.

– Aniele – odpowiadał jej Mariusz.

„Anioł” to najbardziej odporne słowo w mowie ludzkiej; żadne inne nie wytrzymałoby tak niemiłosiernego nadużywania przez kochanków.

Potem, przez wzgląd na obecnych, przerwali rozmowę. Nie mówili już nic, tylko ściskali się za ręce.

Pan Gillenormand odwrócił się do wszystkich obecnych i zawołał:

– Rozmawiajcie głośno, krzyczcie, hałasujcie, u diabła, żeby dzieci mogły sobie swobodnie poszczebiotać.

I zbliżywszy się do Mariusza i Kozety, szepnął im:

– Mówcie sobie „ty”, nie krępujcie się.

Ciotka Gillenormand z osłupieniem patrzyła na to wtargnięcie światła w jej starczy dom. Osłupienie to jednak nie miało w sobie nic nieprzyjemnego, nie było to bynajmniej zgorzone i zazdrosne spojrzenie sowy na dwoje turkawek, tylko bezmyślne oko biednego, pięćdziesięcioletniego niewiniątka; chybione życie patrzyło na triumf miłości.

– Panno Gillenormand starsza – rzekł do niej ojciec – a co, mówiłem przecież, że cię to spotka.

I po chwili milczenia dodał:

– Przypatrz się szczęściu innych.

Usiadł przy nich, posadził Kozetę i ujął ich cztery ręce w swoje stare, pomarszczone dłonie.

– Zachwycająca jest ta mała. Kozeta to arcydzieło. Mała dziewczynka, a wielka dama. Szkoda, że będzie tylko baronową, urodziła się na margrabinę. Co za rzęsy! Moje dziatki, dobrze zapamiętajcie sobie, że nie ma nic lepszego niż miłość. Kochajcie się! Zgłupiejcie z miłości! Miłość to głupota ludzi i mądrość Boga. Ubóstwiającie się! Tylko – dodał nagle zachmurzony – co za nieszczęście! Przyszło mi na myśl, że połowa tego, co posiadam, to dożywocie. Dopóki będę żył, to jakoś pójdzie, ale po mojej śmierci, za dwadzieścia lat mniej więcej, nie będziecie mieli ani szeląga, biedne dzieci. Twoje piękne rączki, pani baronowo, będą musiały klepać biedę.

Tu odezwał się poważny i spokojny głos:

– Panna Eufrazja Fauchelevant ma sześćset tysięcy franków posagu.

Był to głos Jana Valjean.

Dotychczas nie wyrzekł jeszcze ani słowa; wszyscy zapomnieli prawie, że stał nieruchomy, z tyłu za tymi szczęśliwymi ludźmi.

– Jaka panna Eufrazja? – zapytał zdumiony dziadek.

– To ja – odpowiedziała Kozeta.

– Sześćset tysięcy franków! – powtórzył pan Gillenormand.

– Bez czternastu czy może piętnastu tysięcy – dodał Jan Valjean.

I położył na stole pakiet, który ciotka Gillenormand wzięła za książkę.

Jan Valjean sam go rozwinął; był to plik banknotów. Rozwiązano go i przeliczono. Było pięćset banknotów tysiącfrankowych i sto sześćdziesiąt osiem pięćsetfrankowych. Razem pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków.

– To rzeczywiście piękna książka – rzekł pan Gillenormand.

– Pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków – szepnęła ciotka.

– To się dobrze składa, nieprawdaż, panno Gillenormand starsza? – mówił dziadek. – Ten diabeł, Mariusz, odkrył na drzewie marzeń milionową gryztkę. I ufaj tu miłośkom młodych ludzi! Studenci znajdują kochanki z sześciuset tysiącami franków!

– Pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków! – powtórzyła półgłosem panna Gillenormand.

– Pięćset osiemdziesiąt cztery! To jakby sześćset tysięcy, co?

A Mariusz i Kozeta tymczasem wpatrywali się w siebie i prawie nie zwrócili uwagi na ten drobiazg.

Bezpieczniej jest złożyć pieniądze w lesie niż u notariusza

Nie potrzebujemy chyba opowiadać szczegółowo, że po sprawie Champmathieu Jan Valjean mógł podczas swej pierwszej kilkudniowej ucieczki wpaść do Paryża, że zdążył jeszcze podnieść u Laffitte'a swoje pieniądze, złożone na nazwisko pana Madeleine, mera w Montreuil-sur-mer, i że obawiając się powtórnego aresztowania, które nastąpiło wkrótce, zakopał te pieniądze w lesie Montfermeil, w miejscu zwanym polaną Blaru. Suma sześciuset tysięcy franków, cała w banknotach, mało zajmowała miejsca i można ją było zamknąć w pudełku, ale żeby uchronić pieniądze od wilgoci, włożył je do dębowego kuferka napełnionego wiórami z kasztanowego drzewa. Do kuferka tego włożył również i swój drugi skarb, świeczniki biskupa. Pamiętamy, że

je zabrał, uciekając z Montreuil-sur-mer. Człowiek, którego Boulatruelle zobaczył pierwszy raz pewnego wieczora, był to Jan Valjean. Później, ilekroć Jan Valjean potrzebował pieniędzy, chodził po nie na polanę Blaru. Stąd wyjazdy, o których była mowa. Miał motykę schowaną w krzakach, w jemu tylko znanej kryjówce.

Rzeczywista suma wynosiła pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące pięćset franków. Jan Valjean zachował pięćset franków dla siebie. Co będzie dalej, to się zobaczy – myślał.

Różnica między tą sumą i sześciuset trzydziestoma tysiącami franków podniesionymi u Laffitte'a została wydana w ciągu dziesięciu lat, od 1823 do 1833 roku. Pięć lat pobytu w klasztorze kosztowało tylko pięć tysięcy franków.

Jan Valjean postawił na swoim kominku dwa srebrne lichterze, gdzie błyszcząły ku wielkiemu podziwowi starej Toussaint.

Jan Valjean wiedział, że się uwolnił od Javerta. Opowiadano przy nim i sam to sprawdził w „Monitorze”, który ten fakt ogłosił, że inspektor policji Javert został znaleziony pod galarami praczek między mostem Wymiany i Nowym Mostem i że pismo zostawione przez tego człowieka, nieskazitelnego zresztą i bardzo cenionego przez zwierzchników, naprowadziło na domysł, że w przystępie pomieszanego zmysłów odebrał sobie życie.

Rzeczywiście – pomyślał Jan Valjean – jeżeli miał mnie w ręku i puścił na wolność, to już wtedy chyba nie był przy zdrowych zmysłach.

Dwaj starcy, każdy na swój sposób, robią, co mogą, żeby Kozeta była szczęśliwa

Przygotowano wszystko do wesela. Lekarz oświadczył, że może się ono odbyć w lutym. Był grudzień. Rozkoszne tygodnie doskonałego szczęścia przeminęły szybko.

Dziadek nie należał do najmniej szczęśliwych. Całymi godzinami wpatrywał się w Kozetę.

– Śliczna dziewczyna! – wołał. – I ma twarz tak łagodną i dobrą! Dalibóg, bardziej uroczej nie widziałem, jak żyję. Później będzie to miało cnoty z zapachem fiołków. Prawdziwa gracja, na honor! Mając taką żonę, musisz żyć na wysokiej stopie. Mariuszu, drogi chłopcze, jesteś baronem, jesteś bogaty – rzuć to swoje adwokackie rzemiosło, błagam cię.

Kozeta i Mariusz nagle przeszli z grobu do rajy. Przejście było tak niespodziane, że odurzyłoby ich, gdyby ich nie olśniło.

– Czy rozumiesz coś z tego wszystkiego? – pytał Mariusz.

– Nie – odpowiadała Kozeta – ale zdaje mi się, że Pan Bóg na nas patrzy.

Jan Valjean działał, pokonywał trudności, zabiegał o wszystko i wszystko ułatwił. Przyspieszał szczęście Kozety tak skwapliwie i na Dozór z taką radością jak i ona sama.

Jako dawny mer potrafił rozwiązać drażliwe zagadnienie, którego tajemnicę posiadał on tylko: sprawę pochodzenia Kozety. Wyznanie całej prawdy może by przeszkodziło małżeństwu. Jan Valjean usunął jednak wszystkie trudności. Wynałazł jej zmarłych rodziców, co mu dało pewność, że nikt się nigdy o nic nie upomni. Kozeta nie miała odtąd nikogo z najbliższej rodziny, która już wygasła; nie była jego córką, ale córką innego Faucheleventa. Dwaj bracia Fauchelevent pracowali niegdyś jako ogrodnicy w klasztorze przy ulicy Petit-Picpus. Zapytany o nich klasztor dał świadectwa równie pochlebne, jak zasługujące na zaufanie; pocziwe zakonnice, niezbyt zdolne i niezbyt skłonne do roztrząsań w materii ojcostwa, nie znalazły

powodu do żadnych podejrzeń, a w dodatku nigdy dobrze nie wiedziały, który z dwóch Fauchelevantów był ojcem małej Kozety. Potwierdziły więc wszystko z największym przekonaniem. Spisano akt tożsamości. Kozeta stała się w obliczu prawa panną Eufrazją Fauchelevant, sierotą, którą odumarli oboje rodzice Jan Valjean urządził się w ten sposób, że pod nazwiskiem Fauchelevant wyznaczony został na opiekuna Kozety, a jako drugiego opiekuna dodano jej pana Gillenormand.

Co do pięciuset osiemdziesięciu czterech tysięcy franków, był to zapis dla Kozety, uczyniony przez osobę już nie żyjącą, która chciała pozostać nieznaną; pierwotny zapis wynosił pięćset dziewięćdziesiąt cztery tysiące franków, ale dziesięć tysięcy kosztowało wychowanie panny Eufrazji; pięć tysięcy z tej sumy dostał przed laty klasztor. Zapis, złożony na ręce osoby trzeciej, miał być oddany Kozecie, gdy dojdzie do pełnoletności lub wyjdzie za mąż. Jak widzimy, cała ta historia była do przyjęcia, zwłaszcza z dodatkiem przeszło pół miliona franków. Niektóre szczegóły wyglądały co prawda trochę dziwnie, ale ich nie spostrzeżono. Jednemu z zainteresowanych zawiązała oczy miłość, wobec innych spełniło tę rolę sześćset tysięcy.

Kozeta dowiedziała się, że nie jest córką tego starca, którego tak długo nazywała ojcem. Był to tylko jej krewny; jej ojcem prawdziwym był inny Fauchelevant. W każdej innej chwili dotknęłoby ją to boleśnie. Ale przeżywała teraz godziny niewysłowionego szczęścia i ta wiadomość rzuciła na nią tylko przelotny cień, który radość wkrótce rozproszyła. Miała Mariusza. Zjawił się młody, stary odchodził na stronę – takie jest życie.

Ponadto Kozeta od wielu lat przywykła do życia wśród zagadek; każda istota, której dziecinne lata otoczyła tajemnicą, łatwo godzi się z jej wyjaśnieniem.

Jednakże w dalszym ciągu nazywała Jana Valjean ojcem.

Kozeta była wniebowzięta i zachwycała się panem Gillenormand. Przyczyniły się do tego jego komplementy i podarunki. Kiedy Jan Valjean starał się zapewnić jej normalną sytuację w społeczeństwie, pan Gillenormand czuwał nad wyprawą. Najwięcej radowała go własna szczodrość.

Co rano Kozeta dostawała jakiś nowy prezent. Dokoła niej piętrzyły się stosy kosztownych fatałaszków.

Ułożono, że młode małżeństwo będzie mieszkać u dziadka. Pan Gillenormand koniecznie chciał odstąpić im swój pokój, najpiękniejszy w całym domu. – Odmłodnieję dzięki temu – mówił. – To dawny projekt, zawsze marzyłem, żeby wyprawić wesele w moim pokoju. – Umeblował ten pokój mnóstwem starych wytwornych cacek, sufit i ściany kazał obić niezwyklej materią, której całą sztukę miał w zapasie i sądził, że pochodziła z Utrechtu – na atlasowym tle barwy jasnożółtej widniały tam aksamitne pierwiosniki.

Biblioteka pana Gillenormand stała się kancelarią adwokata, której potrzebował Mariusz, ponieważ – jak czytelnik zapewne przypomina sobie – rada adwokacka wymagała posiadania własnej kancelarii.

Majaki pomieszane ze szczęściem

Narzeczeni widywali się codziennie. Kozeta przychodziła z panem Fauchelevant.

Mariusz zadawał w myślach najrozmaitsze nieme zapytania temu panu Fauchelevant, który nie okazywał mu nic oprócz życzliwej obojętności. Młody człowiek powątpiewał czasem o

własnych wspomnieniach. Miał w pamięci lukę, ciemne miejsce, przepaść, którą wydrążyły cztery miesiące konania. Zagubiło się w niej wiele rzeczy. Tak był niepewny, że zapytywał siebie, czy rzeczywiście widział na barykadzie pana Fauchelevant, tego człowieka tak poważnego i spokojnego.

Mariusz nie mógł uwierzyć, żeby Fauchelevant z barykady był tym samym Fauchelevantem z krwi i kości, tak dostojnie siedzącym obok Kozety. Pierwszy był zapewne jednym z tych dręczących snów, które mu przyniosła i odchodząc zabrała maligna. Zresztą natury ich były niedostępne dla siebie nawzajem i Mariusz czuł, że nie potrafi zadać panu Fauchelevant jakiegokolwiek pytania.

Dwaj ludzie, którzy mają wspólną tajemnicę i na podstawie milczącej umowy nie wspominają o niej ani słowem – to się zdarza częściej, niżby kto przypuszczał.

Raz jednak Mariusz zdobył się na próbę. Napomknął w rozmowie ulicę Konopną i zwracając się do pana Fauchelevant zapytał:

– Pan chyba zna tę ulicę?

– Jaką ulicę?

– Konopną!

– Nie mam żadnego pojęcia o nazwie tej ulicy – odpowiedział pan Fauchelevant tonem najnaturalniejszym w świecie.

Odpowiedź dotyczyła nazwy ulicy, nie zaś samej ulicy, ale mimo to Mariusz uznał te słowa za bardziej jednoznaczne, niż były w istocie.

Przywidziało mi się – pomyślał. – Miałem halucynacje. To ktoś kto był do niego podobny. Pan Fauchelevant tam nie był.

Dwaj ludzie, których nie sposób odszukać

Jakkolwiek wielkie było szczęście Mariusza, nie wypłoszyło ono jednak z jego umysłu innych spraw.

Podczas przygotowań do wesela, w oczekiwaniu naznaczonego dnia, Mariusz sondował przeszłość, zarządzając trudne i skrupulatne poszukiwania.

Poczuwał się do różnych długów wdzięczności; winien ją był za ojca i za siebie.

Istniał przecież Thénardier, istniał też nieznajomy, który go odniósł do pana Gillenormand.

Mariuszowi bardzo zależało na odnalezieniu tych ludzi. Nie chciał ożenić się i być szczęśliwym, zapominając o nich. Lękał się, żeby te nie spłacone długi nie rzuciły cienia na jego życie, które odtąd miało być tak pogodne. Niepodobna mu było zostawić ich za sobą i przed wkroczeniem w radosną przyszłość pragnął rozliczyć się z przeszłością.

To, że Thénardier był złoczyńcą, w niczym nie zmieniało faktu, że ocalił życie pułkownikowi Pontmercy. Thénardier był bandytą dla wszystkich, ale nie dla Mariusza.

Nieświadomy rzeczywistego przebiegu wydarzeń na polu bitwy pod Waterloo, nie wiedział, że w tej dziwnej przygodzie jego ojciec był wprawdzie winien Thénardierowi życie, lecz nie był obowiązany do wdzięczności.

Ani jeden z licznych agentów, których używał Mariusz, nie mógł trafić na trop Thénardiera. Zdawało się, że przepadł bez śladu. Thénardierowa umarła w więzieniu podczas śledztwa. Thénardier i jego córka Anzelma, dwie istoty pozostałe z tej żalosnej rodziny, znów utonęły w

mroku. Wobec tego, że Thénardierowa umarła, Boulatruelle nie był objęty oskarżeniem, Claquesous zniknęła główni oskarżeni uciekli z więzienia, proces o zasadzkę w ruderze Gorbeau właściwie spełził na niczym. Sprawa pozostała nie wyjaśniona.

Sąd przysięgłych musiał poprzestać na dwóch podrzędnych winowajcach, Panchaudzie, zwanym Wiosennym i Urwipółciem, oraz Pólszelagu, zwanym Dwa Miliardy, którzy zostali skazani na dziesięć lat galer. Ich zbiegłych współników skazano zaocznie na dożywotnie ciężkie roboty, a Thénardiera – jako herszta bandy – też zaocznie, na karę śmierci.

Co do drugiego człowieka, nieznanego, który ocalał życie Mariuszowi, poszukiwania, przebiegające z początku dość pomyślnie, utknęły nagle na martwym punkcie. Odszukano dorożkarza, który przywiózł Mariusza na ulicę Panien Kalwaryjskich wieczorem szóstego czerwca. Dorożkarz oświadczył, że dnia szóstego czerwca, na rozkaz agenta policji, stał od trzeciej po południu aż do zapadnięcia nocy na nadbrzeżu przy Polach Elizejskich nad wejściem do głównego kanału; że około godziny dziewiątej wieczorem otworzyła się krata kanału od strony rzeki i wyszedł z niej człowiek niosący drugiego człowieka, który wydawał się nieżywy; że agent, który stał na czatach w tym miejscu, aresztował człowieka żyjącego i zabrał martwego; że na rozkaz agenta, on, dorożkarz, zabrał wszystkich do swego powozu i pojechał na ulicę Panien Kalwaryjskich; że tam złożono zmarłego; że zmarłym był pan Mariusz i że on, dorożkarz, poznał go, choć „tym razem” żyje; że następnie znowu wsiedli do powozu, że zaciął konie, że o kilka kroków przed wejściem do Archiwów kazano mu się zatrzymać, zapłacono go i odprawiono; że agent zabrał ze sobą tego drugiego człowieka; że on nic już więcej nie wie, że noc była bardzo ciemna.

Mariusz, jak powiedzieliśmy, nic sobie nie przypominał. To jedno tylko pamiętał, że jakaś silna ręka schwyciła go w chwili, gdy padał na wznak na barykadzie; wszystko, co później nastąpiło, zatarło się w jego pamięci. Odzyskał przytomność dopiero u pana Gillenormand.

Gubił się w domysłach.

Starannie schował zakrwawione ubranie, w którym go przyniesiono do dziadka, licząc, że mu się przyda w poszukiwaniach. Kiedy oglądał surdut, zauważył, że jedna poła jest dziwnie rozdarta. Brakowało kawałka sukna.

Pewnego wieczora Mariusz w obecności Kozety i Jana Valjean opowiadał o tej swojej dziwnej przygodzie, o niezliczonych poszukiwaniach i – braku jakichkolwiek wyników. Zniecierpliwiony zimnym wyrazem twarzy „pana Fauchelevant” zawołał z żywością, w której brzmiał prawie gniew:

– Tak, ten człowiek, kimkolwiek on jest, był wspaniały. Czy pan wie, co on uczynił? Zjawił się jak archanioł. Musiał rzucić się w zgiełk walki, porwać mnie, otworzyć kanał, wciągnąć mnie tam nieść! Musiał iść przeszło półtorej mili po strasznych galeriach podziemnych, pochylony, zgięty w ciemnościach, w kloace przeszło półtorej mili, proszę pana, z trupem na plecach! I w jakim celu? Żeby uratować trupa. A tym trupem byłem ja. Powiedział sobie: Może tli się w nim jeszcze isierka życia; zaryzykuję moje życie dla tej nędznej isierki! – I nie ryzykował tego życia raz, ale dwadzieścia razy! Na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo. Najlepszy dowód, że ledwie Wyszedł z kanału, został aresztowany. Pojmuje pan, że on to wszystko zrobił? Nie mogąc oczekiwać żadnej nagrody! Bo kimże ja byłem? Powstańcem, zwyciężonym. Ach, gdyby te sześćset tysięcy franków Kozety należały do mnie...

– Należą do pana – przerwał Jan Valjean.

– Więc – rzekł Mariusz – oddałbym je za odnalezienie tego człowieka.

Jan Valjean milczał.

Rozdział szósty

BIAŁA NOC

16 lutego 1833 roku

Noc z 16 na 17 lutego 1833 roku była błogosławioną nocą. Nad jej ciemnością otwarło się niebo. Była to noc wesela Mariusza i Kozety.

Chociaż zawarcie małżeństwa jest sprawą naturalną i prostą, ogłoszenie zapowiedzi, spisanie aktów, załatwienie formalności w biurze mera i w kościele zawsze bywa dość kłopotliwe. Nie udało się zdążyć przed szesnastym.

Otóż – notujemy ten szczegół tylko z zamiłowania do ścisłości – trzeba było trafu, że szesnastego lutego wypadł tłusty wtorek. Stąd wahania i skrupuły, szczególnie ze strony ciotki Gillenormand.

Tłusty wtorek! – zawołał dziadek – tym lepiej. Jest przysłowie:

*Kto się w tłusty wtorek żeni,
Za dzieci się nie rumieni*

Nie zwracajmy na to uwagi. Niech już zostanie szesnasty! A może ty, Mariuszu, chciałbyś odłożyć ślub?

– O, nie! – odpowiedział zakochany.

– A więc żeńmy się – rzekł dziadek.

I wesele odbyło się szesnastego, pomimo publicznych zabaw. Dnia tego padał deszcz, ale zawsze znajdzie się na niebie błękitny kącik na usługi szczęścia i narzeczem widzą go nawet wtedy, kiedy reszta stworzenia kryje się pod parasolem.

Poprzedniego dnia Jan Valjean wręczył Mariuszowi w obecności Pana Gillenormand pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków.

Niepotrzebną już Janowi Valjean Toussaint odziedziczyła Kozeta i awansowała ją na pokojową.

Dla niego przygotowano w domu pana Gillenormand piękny pokój umeblowany z myślą o nim. Kozeta powiedziała z tak nieodpartym wdziękiem: – Ojczy, proszę cię, mieszkaj z nami – że Jan Valjean prawie przystał na to.

Na kilka dni przed ślubem Jan Valjean miał wypadek: zgniótł sobie palec u prawej ręki. Nie było to nic niebezpiecznego. Nie pozwolił, żeby ktoś się tym zajął, opatrzył lub przynajmniej zobaczył jego ranę, której nie pokazał nawet Kozecie. Musiał jednak obandażować rękę i nosić

na temblaku; nie mógł więc nic podpisać. Zastąpił go pan Gillenormand jako drugi opiekun Kozety.

Nie zaprowadzimy czytelnika ani do kancelarii mera, ani do kościoła. Nie chodzi się aż tam w ślad za zakochanymi i dramat zwykle przestaje interesować, gdy tylko nadejdzie chwila ślubnego bukietu. Poprzestaniemy na zanotowaniu jednego szczegółu nie dostrzeżonego przez młodą parę i orszak podczas przejazdu z ulicy Panien Kalwaryjskich do kościoła św. Pawła.

W owym czasie naprawiano bruk w północnym końcu ulicy św. Ludwika, którą wobec tego zamknięto od ulicy Parku Królewskiego. Powozy weselne nie mogły jechać wprost do św. Pawła i trzeba było zdecydować się na okrężną drogę przez bulwar.

Na bulwarze rojno było od masek. Padający co pewien czas deszcz nie zrażał pajaców, błaznów i trefnisiów. Paryż, wesoły tej zimy 1833 roku, przeistoczył się w Wenecję. Takich zapustów teraz już nie ma. Ponieważ wszystko stało się powszechnym karnawalem, karnawał przestał istnieć.

W podwójnym rzędzie powozów, wzdłuż których niby psy pasterskie cwałowali gwardziści miejscy, pocziwe koczobryki rodzinne, zapchane ciociami i babkami, ukazywały w drzwiczkach świeże twarzyczki poprzebieranych dzieciaków, siedmioletnich pierrotów, sześcioletnich kolombin, czarujących istotek, które czując, że oficjalnie biorą udział w publicznej zabawie, przeniknięte były godnością tej maskarady i zachowywały się z powagą urzędników.

Czasami w tej procesji powstawało jakieś zamieszanie. Po lewej lub prawej stronie sznur powozów zatrzymywał się, dopóki znowu nie rozwiązano supła; jeden powóz, który utknął w miejscu, wystarczał, żeby sparaliżować cały korowód. Potem znowu ruszano naprzód.

Powozy weselne należały do szeregu ciągnącego ku placowi Bastylli, wzdłuż prawego brzegu bulwaru. Przy ulicy Pont-aux-Choux orszak zatrzymał się. Prawie w tej samej chwili drugi orszak, ciągnący w kierunku kościoła św. Magdaleny, przystanął także. Naprzeciwko powozu panny młodej znalazł się powóz z maskami.

– Patrzajcie – zawołała jedna z masek – wesele!

– To na niby – odpowiedziała druga. – Prawdziwe wesele jest u nas.

Tymczasem dwie inne maski z tego samego powozu, stary Hiszpan z potwornym nosem i ogromnymi czarnymi wąsami i chuda przekupka, młoda dziewczyna w czarnej masce, też zauważyli wesele i zaczęli rozmawiać po cichu.

Rozmowa ich ginęła w ogólnym zgiełku. Strugi deszczu lały się w odkryty powóz, a wiatr w lutym nie jest ciepły, toteż wydekoltowana przekupka rozmawiająca z Hiszpanem drżała i kasłała między jednym a drugim wybuchem śmiechu.

Oto ich dialog:

– Słuchaj no!

– Co tata powie?

– Widzisz tego starego?

– Jakiego starego?

– Tego w pierwszej ślubnej dryndzie z naszej strony.

– Co ma rękę zawieszoną na czarnej chustce?

– Właśnie.

– Więc co?

– Jestem pewny, że go znam.

– O!

– Wychyl się, może ci się uda zobaczyć pannę młodą.

– Nie widzę.

– Mniejsza o to, ale tego starego, któremu coś się stało w łapę, dalibóg, ja na pewno znam.

- Na co się to może przydać?
 - Nie wiem. Różne rzeczy przydają się.
 - A co mnie obchodzą starzy!
 - Skąd jedzie to wesele?
 - A czy ja wiem!
 - Słuchaj no!
 - Co?
 - Musisz się dowiedzieć, co to jest za wesele, z którym jedzie ten stary, i gdzie oni mieszkają.
- Nie mogę opuścić powozu.
- Dlaczego?
 - Jestem wynajęta.
 - A, do licha!
 - Prefektura wynajęła mnie na dzisiaj jako przekupkę.
 - To prawda.
 - Jeżeli opuszczę wóz, zatrzyma mnie pierwszy lepszy inspektor, który mnie zobaczy. Wiesz o tym dobrze.
 - Tak, wiem.
 - Na dzisiaj jestem kupiona przez rząd.
 - Wszystko jedno. Ten stary mnie nudzi. Słuchaj no.
 - Co?
 - Musisz się dowiedzieć, gdzie pojechało to wesele.
 - Jeszcze czego! Znaleźć po tygodniu wesele, które przejeżdżało przez Paryż w tłusty wtorek!
- Szukaj szpilki w stogu siana. Jak ja ich znajdę?
- Trudno, musisz spróbować. Rozumiesz, Anzelmo? Dwa szeregi po obu stronach bulwaru ruszyły z miejsca w przeciwnych kierunkach i powóz masek stracił z oczu „dryndę” państwa młodych.

„Nieodłączny”

Po skończeniu wszystkich ceremonii, kiedy powiedzieli już przed merem i przed księdzem wszystkie możliwe „tak”, kiedy już podpisali się w merostwie i w zakrystii, kiedy klęcząc obok siebie pod baldachimem z białej mory wśród dymu kadzielnicy, zamienili obrączki, kiedy wracali trzymając się za ręce, budząc podziw i zazdrość wszystkich, Mariusz cały na czarno, ona w bieli, poprzedzani przez szwajcara, który miał epolety pułkownika i stukał halabardą w marmurową posadzkę, między dwoma rzędami zachwyconych widzów, kiedy stanęli w drzwiach kościoła otwartych na oścież, kiedy wszystko się skończyło i mieli siadać do powozu, Kozeta nie wierzyła, że to prawda. Patrzyła na Mariusza, patrzyła na tłum, patrzyła na niebo, jakby w obawie, że się zbudzi ze snu.

Potem wrócili do domu na ulicę Panien Kalwaryjskich. Mariusz promieniejący triumfem wstępował obok Kozety na te same schody, po których niedawno wniesiono go umierającego.

Pan Gillenormand podał ramię Kozecie i wszedł z nią pierwszy do jadalni, a za nim reszta biesiadników. Zajęto miejsca za stołem.

Dwa wielkie fotele stały po prawej i po lewej ręce panny młodej: jeden dla pana

Gillenormand, drugi dla Jana Valjean. Pan Gillenormand usiadł. Drugi fotel został pusty.

Zaczęto się rozglądać za „panem Fauchelevantem”.

Nigdzie go nie było.

Pan Gillenormand zapytał Baskijczyka:

– Gdzie jest pan Fauchelevant?

– Jaśnie panie – odpowiedział Baskijczyk – pan Fauchelevant kazał powiedzieć, że boli go chora ręka i że nie może się do obiadu z panem baronem i panią baronową. Prosił, żeby mu wybaczyć, i powiedział, że przyjdzie jutro rano. Wyszedł przed chwilą.

Ten pusty fotel ostudził na chwilę weselną radość. Ale choć zabrakło pana Fauchelevant, był pan Gillenormand, a dziadek jaśniał radością za dwóch. Zapewnił, że pan Fauchelevant dobrze zrobił idąc wcześniej spać, jeśli poczuł się gorzej, ale jego dolegliwość to drobnostka. To wystarczyło. Czym był zresztą jeden ciemny punkcik w tej powodzi radości? Kozeta i Mariusz przeżywali jedną z tych chwil samolubnych i błogosławionych, w których człowiek zdolny jest odczuwać tylko szczęście. A przy tym pan Gillenormand wpadł na pomysł: – Do diaska, ten fotel jest pusty – zawołał. – Przesiądź się tu, Mariuszu!

Kiedy fotel został zajęty, biesiadnicy zapomnieli o panu Fauchelevant i niczego już nie brakowało. W pięć minut później wszyscy śmiali się wesoło.

Jan Valjean powrócił do swego domu. Zapalił świecę i wszedł na górę. Mieszkanie zionęło pustką. Nawet Toussaint już nie było. Kroki Jana Valjean głośniejsze niż zwykle rozlegały się po schodach. Wszystkie szafy były otwarte. Wszedł do pokoju Kozety. Łóżko stało rozebrane. Poduszki bez powłoczek i koronek leżały na złożonej kołdrze i gołym materacu, na którym nikt już nie miał spać. Wszystkie drobiazgi, które Kozeta lubiła, zostały zabrane; pozostały tylko cztery ściany i ciężkie sprząty. Pościel Toussaint również zabrano. Jedno tylko łóżko było posłane i zdawało się na kogoś czekać – łóżko Jana Valjean.

Jan Valjean popatrzył na ściany, zamknął szafy i przeszedł do drugiego pokoju.

Następnie wrócił do siebie i postawił lichtarz na stole.

Odwiązał temblak i zaczął posługiwać się prawą ręką, jakby go wcale nie bolała.

Podszedł do łóżka i oczy jego przypadkiem czy umyślnie może zatrzymały się na „nieodłącznym”, który budził zazdrość w Kozecie, na małym kufierku, który go nigdy nie opuszczał. Czwartego czerwca, po przybyciu na ulicę Człowieka Zbrojnego, postawił go na stoliku przy łóżku. Nagle ożywiony, zbliżył się do stolika, wyjął z kieszeni klucz i otworzył kuferek.

Powoli wyjmował z niego ubranie, w którym przed dziesięciu laty Kozeta opuściła Montfermeil: najpierw czarną sukienkę, potem czarną chusteczkę, potem grube dziecięce trzewiki, które Kozeta mogłaby jeszcze i teraz włożyć, tak drobną miała nóżkę, potem kaftanik z ciepłej wełny, potem trykotową halczkę, fartuszek z dwiema kieszonkami i ciepłe pończoszki. Pończoszki te, które zachowały kształt drobnej nóżki, niewiele były dłuższe niż dłoń Jana Valjean. Wszystko to było czarne. Przyniósł jej wtedy to odzienie do Montfermeil. Teraz wyjmował je z kufereka i w zamyśleniu rozkładał na łóżku. Przypominał sobie. Było to w zimie, w bardzo chłodny dzień grudniowy, ona drżała półnaga, w łachmanach, i miała bosa czerwone nóżki w dziurawych chodakach. On, Jan Valjean, kazał jej zrzucić łachmany i włożyć to żałobne ubranie. Matka musiała uradować się w swoim grobie, widząc, że córka nosi po niej żałobę, a jeszcze bardziej, że jest ubrana, że jest jej ciepło. Przypominał sobie las w Montfermeil, jak przeszli razem z Kozetą przez ten las; przypominał sobie zimę, drzewa bez liści i bez ptaków, niebo bez słońca; wszystko to jednak było cudowne. Rozłożył te małe szatki na łóżku, chustkę przy halce, pończochy przy bucikach, kaftanik przy sukience i oglądał je po kolei. Była taka

drobniutka, trzymała dużą lalkę na ręku, włożyła luidora do kieszeni fartuszka, śmiała się, szli razem, trzymając się za ręce, jego tylko miała na świecie.

Wówczas siwa głowa starca upadła na łóżko, stare stoickie serce pękło, twarz zanurzyła się w ubraniach Kozety i gdyby ktoś szedł w tej chwili po schodach, usłyszałby przerażający szloch.

Rozdział siódmy

OSTATNIE KROPLE Z KIELICHA GORYCZY

Siódmy krąg piekiel i ósme niebo

Dnie następujące po weselu są zwykle samotne. Szanujemy skupienie szczęśliwych i trochę ich bezsenność. Zgiełk odwiedzin i powinszowań rozpoczyna się dopiero później. Siedemnastego lutego, koło południa, kiedy Baskijczyk z serwetą i miotełką pod pachą zajmował się sprzątaniami przedpokoju, ktoś lekko zapukał do drzwi.

Nie zadzwonił, przez wzgląd dla tego dnia. Baskijczyk otworzył i zobaczył pana Fauchelevant.” Wprowadził go do salonu, w którym jeszcze pozostał wczorajszy nieład i który wyglądał jak pobojuwisko wesela.

- Tam do licha, proszę pana, poznośmy się dziś pobudzili.
- Czy pan wstał? – zapytał Jan Valjean.
- Jak się ma pańska ręka? – odpowiedział Baskijczyk.
- Lepiej. Czy pan wstał?
- Który? Dawny czy nowy?
- Pan Pontmercy.
- Pan baron? – rzekł Baskijczyk prostując się.

Baronem jest się przede wszystkim dla służących. Ciągną oni z tego pewne zyski, dostają bowiem coś, co filozof nazwałby odpryskami tytułu, i to im pochlebia. Nawiasem mówiąc, Mariusz, jakkolwiek republikanin, i to w czynie, bo dowiódł tego, stał się teraz baronem mimo woli. W poglądach na ten tytuł nastąpiła w rodzinie miała rewolucja; teraz pan Gillenormand przywiązywał do niego wagę, a Mariusz nie lubił go. Ale pułkownik Pontmercy napisał: Syn mój przyjmie ten tytuł i będzie go używał”. Mariusz był posłuszny. A przy tym jego żona, w której zaczynała się odzywać kobieta, była zachwycona tytułem baronowej.

– Pan baron? – powtórzył Baskijczyk. – Pójdę zobaczyć. Powiem mu, że pan Fauchelevant czeka.

– Nie. Nie mówcie mu, że to ja. Powiedzcie, że ktoś chce się z nim rozmówić na osobności, i nie wymieniajcie nazwiska.

- O! – rzekł Baskijczyk.
 - Chcę mu zrobić niespodziankę.
 - O! – powtórzył Baskijczyk, jakby tłumacząc w ten sposób sobie samemu pierwszy okrzyk. I wyszedł.
- Jan Valjean został sam.

Był bardzo blady. Zapadłe od bezsenności oczy prawie że znikły w oczodołach. Czarne ubranie było pomięte, jakby go nie zdejmował na noc. Jan Valjean – patrzył na okno, które słońce rysowało na posadzce u jego stóp.

Usłyszał hałas koło drzwi i podniósł oczy.

Wszedł Mariusz, z podniesioną głową, uśmiechnięty, z jakimś światłem na twarzy, z pogodnym czołem i triumfującym spojrzeniem. On także nie spał tej nocy.

– To ty, ojcie! – zawołał, zobaczywszy Jana Valjean. – Ten niedołęga Baskijczyk miał taką tajemniczą minę! Przychodzi ojciec bardzo wcześnie. Jest dopiero pół do pierwszej. Kozeta śpi.

Wyraz „ojciec”, powiedziany panu Fauchelevant przez Mariusza, znaczył: szczęście niewysłowione. Jak wiemy, był zawsze między nimi jakiś chłód i przymus – lód, który należało przełamać lub stopić. Mariusz był tak upojony szczęściem, że przewyciężył przymus, że lód stopniał i – jak Kozeta – uważał teraz pana Fauchelevant za ojca.

Mówił dalej z wylaniem, właściwym boskim paroksyzmem radości:

– Jakże rad jestem, że widzę ojca! Tak nam cię wczoraj brakowało! Dzień dobry, ojcie. Jakże ręka? Już lepiej, prawda?

I zadowolony z pomyślnej odpowiedzi, którą dał sam sobie, mówił dalej:

– Tyleśmy rozmawiali o ojcu, Kozeta tak ojca kocha! Niech ojciec pamięta, że ma tu swój własny pokój! Nie chcemy, żeby ojciec mieszkał sam na ulicy Człowieka Zbrojnego. Nie chcemy! Jak można mieszkać na takiej ulicy, niezdrowej, nędznej, brzydkiej, zatarasowanej na jednym końcu, zimnej, wąskiej, gdzie nawet nie da się wjechać? Ojciec zamieszka z nami. I to od dzisiaj. Podobno ojciec przywiązuje wielką wagę do jakiegoś kufierka; przygotowałem już dla niego honorowy kącik. Zawojował ojciec mojego dziadka, bardzo ojca polubił. Będziemy mieszkali razem. Czy umie ojciec grać w wista? Dziadek byłby zachwycony. Kiedy będę w sądzie, ojciec będzie chodził z Kozetą na spacer do Ogrodu Luksemburskiego, jak kiedyś. Postanowiliśmy być bardzo szczęśliwi. A i ojciec będzie szczęśliwy naszym szczęściem, prawda? Zaraz zjemy razem śniadanie.

– Proszę pana – rzekł Jan Valjean – chcę coś panu powiedzieć. Jestem dawnym galernikiem.

Granica dosłyszalności dźwięków istnieje nie tylko dla ucha, lecz również i dla świadomości. Słowa: „Jestem dawnym galernikiem” wyszły z ust pana Fauchelevant i dotarły do Mariusza, ale znajdowały się poza granicą rozumienia. Mariusz nie usłyszał. Wydało mu się tylko, że coś mu powiedziano, ale nie wiedział co. Stał osłupiały.

Po chwili dopiero spostrzegł, że człowiek, który do mego mówił, wygląda strasznie. Olśniony szczęściem, nie zauważył dotychczas jego okropnej bladeści.

Jan Valjean odwiązał temblak podtrzymujący jego prawą rękę, odwinął bandaż i pokazał Mariuszowi obnażony palec.

– Nic mi się nie stało w rękę – rzekł. Mariusz spojrział na ten palec.

– Nigdy mnie nie bolała – powtórzył Jan Valjean.

Rzeczywiście, nie było nawet śladu skaleczenia. Jan Valjean mówił dalej:

– Wypadało, żebym nie był obecny na waszym ślubie. Staralem się, ile tylko można, być na nim jak najmniej obecny. Zmyśliłem skaleczenie, żeby nie podpisać się na kontrakcie ślubnym, który inaczej byłby nieważny.

Mariusz wybąkał:

– Co to wszystko znaczy?

– To znaczy – odpowiedział Jan Valjean – że byłem na galerach.

– Przyprawia mnie pan o szaleństwo! – zawołał przerażony Mariusz.

– Panie Pontmercy – rzekł Jan Valjean – byłem dziewiętnaście lat na galerach. Za kradzież. Potem skazany zostałem na dożywocie. Za kradzież. Za recydywę. Teraz jestem zbiegiem z

więzienia.

Na próżno Mariusz chciał cofnąć się przed rzeczywistością, nie przyjął jej, oprzeć się temu, co było oczywiste. Musiał się poddać. Zaczynał pojmować i jak zwykle bywa w takich razach, zrozumiał za wiele. Przeszył go na wskroś blask straszliwej błyskawicy. Pewna myśl powstała mu w głowie i wstrząsnęła nim. Ujrzał nagle przyszłość szykującą mu potworny los.

– Niech pan powie wszystko, niech pan powie! – zawołał. – Jest pan ojcem Kozety!

I cofnął się o dwa kroki z gestem niewymownej zgrozy. Jan Valjean podniósł głowę z taką majestatyczną godnością, że zdawało się, iż wyrósł pod sam sufit.

– Trzeba, żeby mi pan wierzył – rzekł. – Chociaż przysięgi takich ludzi jak ja nie mają znaczenia wobec sądów...

Umilkł na chwilę. Potem z władcą i śmiertelną powagą dodał powoli, kładąc nacisk na każdą sylabę:

– Musi mi pan wierzyć. Ja ojcem Kozety?! W obliczu Boga, nie! Panie baronie Pontmercy, jestem chłopem z Faverolles. Pracowałem na życie, strzygąc drzewa. Nazywam się nie Fauchelevant, lecz Jan Valjean. Nie jestem żadnym krewnym Kozety, bądź pan spokojny.

Mariusz wybełkotał:

– Kto mi dowiedzie?

– Ja. Przecież mówię panu.

Mariusz spojrział na tego człowieka. Był posepny i spokojny. Ten spokój nie mógł ukrywać w sobie kłamstwa. Chłód jest szczery. Czulo się prawdę w tym grobowym zimnie.

– Wierzę panu – rzekł Mariusz.

Jan Valjean skinął głową, jakby na znak, że go trzyma za słowo, i mówił dalej:

– Czym jestem wobec Kozety? Przechodniem. Przed dziesięciu laty nie wiedziałem nawet o jej istnieniu. Kocham ją, to prawda. Kiedy stary człowiek widzi małe dziecko, kocha je mimo woli. Staremu człowiekowi zdaje się, że jest dziadkiem wszystkich małych dzieci. Chyba może pan uwierzyć, że mam coś w rodzaju serca. Była sierotą, bez ojca i matki. Potrzebowała mnie. I dlatego ją pokochałem. Dzieci są takie słabe, że pierwszy lepszy człowiek, nawet taki jak ja, może być ich opiekunem. Spełniłem ten obowiązek względem

Kozety. Nie sędzę nawet, żeby taką drobnostką można było nazwać dobrym uczynkiem, ale jeżeli jest dobry uczynek, powiedzmy, że go spełniłem. Niech pan zanotuje tę okoliczność łagodzącą. Dzisiaj Kozeta opuszcza moje życie, nasze drogi rozchodzą się. Odtąd nic więcej nie mogę dla niej zrobić. Została panią Pontmercy. Los jej zmienił się i Kozeta zyskała na tej zmianie. Wszystko jest w porządku. Co do sześciuset tysięcy franków – pan o nich nie wspomina, ale wyprzedzę pańskie obawy: jest to depozyt. Jakim sposobem dostał się w moje ręce? Co to pana obchodzi? Oddaję depozyt. To wszystko, czego można ode mnie żądać. Zwracając pieniądze, na dodatek wymieniam jeszcze moje prawdziwe nazwisko. To jest zresztą moja osobista sprawa. Zależy mi, żeby pan wiedział, kim jestem.

I Jan Valjean spojrział Mariuszowi w oczy. Mariusz tak bardzo był wytracony z równowagi nową sytuacją, że zaczął mówić do tego człowieka, jakby miał mu za złe wyznanie.

– Ale po co właściwie mi pan to mówi? Co pana zmusza do tego? Mógłby pan schować dla siebie tę tajemnicę. Przecież nikt pana nie zadenuncjował, nikt nie śledzi ani ściga. Ma pan chyba jakiś powód, żeby z lekkim sercem odkrywać taką tajemnicę. Niech pan dokończy. Bo coś w tym jeszcze jest. Dlaczego czyni pan to wyznanie? Z jakich pobudek?

– Z jakich pobudek? – odpowiedział Jan Valjean głosem tak cichym i głuchym, jakby rozmawiał z sobą samym, a nie z Mariuszem. – W istocie, z jakich pobudek ten galernik przychodzi i mówi: jestem galernikiem? – Otóż pobudka jest dziwna. Uczciwość. Widzi pan, na nieszczęście mam w sercu nić, która mnie trzyma na uwięzi. Kiedy się człowiek zestarzeje, nici

są najmocniejsze. Gdybym mógł zerwać tę nić, przeciąć lub rozwiązać węzeł i odejść daleko, byłbym ocalony, pojechałbym sobie pierwszym lepszym dyliżansem z ulicy Bouloi – pan jest szczęśliwy, ja odchodzę. Próbowałem zerwać tę nić, ciągnąłem ją, wytrzymała, nie pękła, wydierałem z nią własne serce. Wtedy powiedziałem sobie: nie mogę żyć gdzie indziej. Muszę tu zostać. – Tak, ma pan słuszość, jestem głupi, dlaczego nie zostałem u was? Ofiarowuje mi pan pokój w tym domu, pani Pontmercy mnie kocha, pański dziadek też chętnie by mnie tu oglądał, przypadłem mu do gustu, będziemy razem mieszkać, razem jadać, będę podawał ramię Kozecie... przepraszam, pani Pontmercy – to przyzwyczajenie – będziemy mieli wspólny stół, wspólne ognisko, wspólny kącik przy kominku w zimie, wspólne przechadzki w lecie, wspólne nadzieje, wspólne szczęście, wszystko wspólne. Będziemy żyć jak jedna rodzina. Rodzina!

Wymawiając to słowo, Jan Valjean spojrział dziko. Ręce skrzyżował na piersi, wzrok wbił w podłogę, jakby chciał w niej wyźłobić przepaść, głos jego nagle stał się silny.

– Rodzina! Nie. Ja do żadnej rodziny nie należę. Do waszej też nie. Nie należę do rodziny ludzi. W domu, gdzie każdy jest u siebie ja jestem zbyteczny. Są rodziny, ale dla mnie jej nie ma. Jestem nieszczęśliwy, wszędzie obcy. Czy miałem ojca i matkę? Wątpię prawie. W dniu, w którym wydałem za mąż to dziecko, wszystko się skończyło. Widziałem ją szczęśliwą z człowiekiem, którego kocha mają przy sobie dobrego starca, żyją jak dwoje aniołów, mają wszystkie radości w swoim domu. To dobrze – powiedziałem sobie. – Ale ty tam nie wejdiesz. – Mogłem co prawda skłamać, mogłem was wszystkich oszukać i pozostać panem Fauchelevent. Dopóki to było potrzebne dla jej dobra, kłamałem, ale teraz kłamałbym we własnym interesie, więc nie mogę. Czy ja mam prawo do szczęścia? Ja stoję poza obrębem życia, proszę pana.

Jan Valjean zatrzymał się. Mariusz słuchał. Niepodobna przerywać takich wylewów myśli i bólu.

Jan Valjean znowu zniżył głos, ale głos jego nie brzmiał teraz głucho. Brzmiał złowrogo.

– Pyta pan, dlaczego to wszystko mówię? Powiada pan, że nikt mnie nie denuncjował, nikt nie poszukuje, nie ściga. Owszem, denuncjowano mnie, poszukują, ścigają! Kto? Ja sam. To ja sam zamykam sobie drogę, sam się ścigam, aresztuję i tracę, a kto sam się chwytą, ten dobrze chwytą. Na próżno Fauchelevent pożyczył mi swojego nazwiska, nie mam prawa go używać; on mógł je dać, aleja nie mogłem przyjąć. Nazwisko to jakby ja. Widzi pan, myślałem trochę i czytałem nieco, chociaż jestem chłopem, i jak słyszysz, wyrażam się dość przyzwoicie. Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego. Kształciłem się sam. Otóż podszywać się pod cudze nazwisko to rzecz nieuczciwa. Głoski abecadła kradnie się tak samo jak woreczek z pieniędzmi albo zegarek. Być fałszywym podpisem z ciała i kości, być żywym wytrychem, wchodzić do ludzi uczciwych, oszukując ich zamek, zawsze patrzeć z ukosa i być nikczemnym w duchu, nie, nigdy! nigdy! nigdy! Lepiej cierpieć, krwawić, płakać, zdierać paznokciami skórę z ciała, po nocach skręcać się z bólu i szarpać sobie wnętrzności i duszę. I dlatego opowiedziałem panu wszystko. Z lekkim sercem, jak pan to nazwał.

Odetchnął z trudem i dorzucił ostatnie słowa:

– Żeby żyć, kiedyś ukradłem bochenek chleba. Dziś nie chcę kraść nazwiska, żeby żyć.

– Żeby żyć! – przerwał Mariusz.

– Ależ nazwisko nie jest potrzebne, żeby żyć.

– O, ja już wiem, co mówię – odpowiedział Jan Valjean i kilkakrotnie poruszył głową.

Nastała chwila milczenia. Obydwaj nie mówili nic, każdy pogrążony w przepaści swoich myśli. Mariusz usiadł przy stole i oparł głowę na dłoni, przyciskając palce do ust. Jan Valjean chodził po pokoju. Zatrzymał się przed lustrem i stał bez ruchu. Potem, jakby odpowiadając na jakieś wewnętrzne rozumowanie, rzekł patrząc w lustro, w którym się nie widział:

– A teraz czuję ulgę!

Znowu zaczął chodzić po salonie. Kiedy odwrócił się, spostrzegł, że Mariusz obserwuje jego chód. Wówczas odezwał się z nieopisaną intonacją:

– Powłóczę trochę nogą. Teraz rozumie pan dlaczego.

Po czym stanął na wprost Mariusza.

– A teraz niech pan sobie wyobrazi, że nic panu nie powiedziałem: zostałem panem Fauchelevant, osiadłem przy was, należę do was, siedzę w moim pokoju, przychodzę na śniadanie w pantoflach, wieczorami wychodzimy we troje na przechadzkę, towarzyszę pani Pontmercy do Tuileriów i na plac Królewski, jesteśmy razem, uważasz mnie za równego sobie; aż tu pewnego pięknego poranka, gdy gawędzimy i śmiejemy się, słyszy pan głos wołający: Jan Valjean! – i oto straszna ręka policji wysuwa się z cienia i nagle zrywa moją maskę!

Znowu umilkł. Mariusz wstał, drżąc.

Jan Valjean zapytał:

– I co pan na to?

Mariusz milczał.

Jan Valjean mówił dalej:

– Widzi pan, że miałem słuszość, wyznając wszystko. Posłuchaj, bądź szczęśliwy, żyj jak w niebie, bądź aniołem dla anioła, rozkoszuj się światłem słonecznym i niech ci to wystarczy. Nie troszcz się, w jaki sposób biedny potępieniec rozdziera sobie piersi i spełnia swój obowiązek. Masz pan przed sobą nieszczęśliwego człowieka.

Mariusz z wolna przeszedł przez salon i gdy znalazł się koło Jana Valjean, wyciągnął do niego rękę.

Spotkał dłoń bezwładną, która nie odpowiedziała na jego gest, i miał uczucie, że ściska marmur.

– Mój dziadek ma przyjaciół – rzekł Mariusz – wyjednamy panu ulaskawienie.

– To niepotrzebne – odpowiedział Jan Valjean. – Mają mnie za umarłego, to wystarczy. Umarli nie podlegają nadzorowi. Mogą gnąć spokojnie. Śmierć to to samo co ulaskawienie.

I uwalniając rękę z uścisku Mariusza, dodał z nieubłaganą surowością:

– Zresztą spełniam obowiązek, to jedyny przyjaciel, do którego się udaję, i nie potrzebuję innej łaski prócz łaski własnego sumienia.

W tej chwili uchyliły się cicho drzwi w drugim końcu salonu i ukazała się głowa Kozety. Widać było tylko jej pełną wdzięku twarz, włosy miała w uroczym nieładzie i powieki były jeszcze nabrzmiałe od snu. Zrobiła ruch ptaka wysuwającego główkę z gniazda, spojrzała naprzód na męża, potem na Jana Valjean i zawołała śmiejąc się – był to jakby uśmiech płatków róży:

– Założę się, że rozmawiacie o polityce; jak to brzydko, zamiast być ze mną!

Jan Valjean zadrżał.

– Kozeto... – szepnął Mariusz.

I uciał. Rzekłbyś, dwaj winowajcy.

Promieniejąca radością Kozeta wciąż patrzyła na nich. W oczach jej błyskały światła rajy.

– Chwytam was na gorącym uczynku – rzekła. – Słyszałam przez drzwi, jak mój ojciec mówił: – Sumienie... Spełnić obowiązek... – To coś z polityki. Ja tak nie chcę! Nie wolno mówić o polityce nazajutrz po ślubie. To nie jest w porządku.

– Mylisz się, Kozeto – odpowiedział Mariusz. – Mówimy o interesach. Mówimy o tym, jak by najlepiej ulokować twoje sześćset tysięcy franków...

– Nie, to nie to – przerwała Kozeta. – Przyszłam. Czy mogę wejść?

Otworzyła szeroko drzwi i weszła do salonu. Miała na sobie biały szlafroczek ranny, faldzisty, z szerokimi rękawami, który od szyi spadał jej do stóp. W złocistych tłach starych gotyckich

obrazów widuje się takie śliczne worki na anioły.

Przejrzała się od stóp do głów w wielkim lustrze, po czym zawołała z niewysłowionym zachwytem:

– Był sobie raz król i królowa! O, jaka jestem zadowolona!

To rzekłszy ukloniła się Mariuszowi i Janowi Valjean.

– Usiądę przy panach na fotelu, śniadanie będzie za pół godziny. Mówcie sobie, co chcecie. Wiem, że mężczyźni mają dużo do mówienia, będę grzeczna.

– O, nie – odpowiedział błagającym tonem Mariusz. – Musimy skończyć jedną sprawę.

– Nie mogę zostać?

Mariusz rzekł poważnie:

– Zapewniam cię, Kozeto, że niepodobna.

– A, zaczynasz przemawiać po męsku. Dobrze. Pójdę sobie. I ojciec mnie nie poparł. Panie mężu i panie papo, jesteście tyranami. Powiem to dziadkowi. Jeżeli wam się zdaje, że wrócę i będę się płaszczyć przed wami, to się grubo mylicie. Jestem dumna. Teraz ja na was czekam. Zobaczycie, jak wam będzie nudno beze mnie. Stało się, odchodzę.

I wyszła.

Po chwili drzwi się znowu otwały, raz jeszcze ukazując jej różową twarzyczkę, i Kozeta zawołała:

– Jestem bardzo zagniewana!

Drzwi się zamknęły i znowu nastąpiła ciemność. Był to jakby zabłąkany promień słońca, który sam o tym nie wiedząc, przemknął nagle wśród nocy.

Mariusz upewnił się, że drzwi są dobrze zamknięte.

– Biedna Kozeta – szepnął. – Kiedy się dowie...

Na te słowa Jan Valjean zadrżał i spojrzał na Mariusza nieprzytomnym wzrokiem.

– Kozeta. Tak, prawda, pan to powie Kozecie. Słusznie. Nie przyszło mi to na myśl. Na jedne rzeczy wystarcza człowiekowi siły, na inne już nie. Panie, zaklinam cię, błagam, daj mi najświętsze słowo, że jej tego nie powiesz. Chyba wystarczy, że pan sam będzie wiedział. Powiedziałem to przecież panu z własnej, nieprzymuszonej woli, powiedziałbym wszystkim, całemu światu, wszystko mi Jedno. Ale ona tego nie zrozumie, to by ją przeraziło. Galernik – co to takiego? Trzeba by jej było wytłumaczyć, powiedzieć: to człowiek, który był na galerach. Widziała kiedyś przeciągający oddział więźniów. O mój Boże!

Padł na krzesło i zakrył twarz rękami. Nic nie było słyhać, ale drganie ramion zdradzało, że płakał. Płacz to był cichy, straszny.

– Niech pan będzie spokojny – rzekł Mariusz. – Zachowam tajemnicę przy sobie.

I mniej rozczulony, niżby może powinien, ponieważ od godziny już oswajał się ze straszną niespodzianką i w oczach jego galernik zajmował coraz bardziej miejsce pana Fauchelevant, ulegając z wolna tej ponurej rzeczywistości i mimo woli mierząc dystans, jaki go zaczynał dzielić od tego człowieka, Mariusz dodał:

– Muszę jeszcze pomówić z panem o depozycie, który oddał pan tak wiernie i sumiennie. Jest to dowód uczciwości. Należy się za to wynagrodzenie. Niech pan wymieni sumę, a wypłacę ją. Niech pan zupełnie swobodnie wymieni jak najwyższą sumę.

– Dziękuję panu – odpowiedział łagodnie Jan Valjean.

Stał przez chwilę zamyślony, machinalnie wodząc palcem wskazującym po paznokciu wielkiego palca, po czym odezwał się:

– To już prawie wszystko. Pozostało jeszcze jedno...

– Co takiego?

Jan Valjean zawahał się – i bezgłośnie, niedosłyszalnie prawie, szepnął:

– Teraz, kiedy pan wie, czy sądzi pan, jako pan domu, że nie powinienem już widywać Kozety?

– Myślę, że tak byłoby lepiej – zimno odpowiedział Mariusz.

– Więc już jej nie zobaczę – wyjąkał Jan Valjean.

I poszedł ku drzwiom.

Położył rękę na klamce, drzwi się otworzyły. Jan Valjean nie przestąpił jednak progu, stał chwilę, potem zamknął je i obrócił się w stronę Mariusza.

Nie był już blady, ale siny. Oczy miał suche, ale palił się w nich jakiś tragiczny płomień. Głos jego stał się dziwnie spokojny.

– Proszę pana – rzekł – jeżeli pan pozwoli, będę ją widywał. Zapewniam pana, że bardzo tego pragnę. Gdyby mi nie zależało na widywaniu Kozety, odjechałbym bez żadnych wyznań, ale chcąc zostać tu, gdzie jest Kozeta, i widywać ją nadal, musiałem uczciwie powiedzieć panu wszystko. Chyba pan mnie zrozumie. Widzi pan, dziewięć lat minęło, jak mam ją przy sobie. Jeżeli pan nie uważa tego za niestosowne, będę od czasu do czasu odwiedzał Kozetę. Nie przychodziłbym często i długo bym nie zostawał. Niech pan postawi się w moim położeniu – nic więcej nie mam na świecie. A poza tym trzeba zachować ostrożność. Gdybym już tu więcej nie przyszedł, zrobiłoby to złe wrażenie, wydałoby się dziwne. Mógłbym na przykład przychodzić o zmierzchu.

– Niech pan przychodzi co wieczór – odpowiedział Mariusz. – Kozeta będzie na pana czekała.

– Jest pan dobry – rzekł Jan Valjean.

Mariusz pożegnał go ukłonem, szczęście odprowadziło do drzwi rozpacz i ci dwaj ludzie rozstali się.

Ile niejasności mieścić się może w odkryciu

Mariusz był wzburzony.

Zrozumiał teraz, dlaczego zawsze coś go odpychało od człowieka, przy którym widywał Kozetę. Instynkt go przestrzegał, że w tym człowieku kryje się jakaś zagadka. Tą zagadką była najohydniejsza sromota, galery. Ów pan Fauchelevant był galernikiem Janem Valjean.

Taka tajemnica, znaleziona nagle wśród szczęścia, to niby skorpion odkryty w gniazdku synogarlic.

W tej odrazie wszakże, wyznać trzeba, była też i litość, a nawet i pewne zdziwienie.

Ten złodziej, złodziej recydywista, oddał depozyt. I to jaki depozyt: sześćset tysięcy franków. Jemu tylko znana była tajemnica depozytu. Mógł wszystko zatrzymać sobie, a jednak wszystko oddał.

Prócz tego sam, dobrowolnie odkrył swoją tajemnicę. Nic go do tego nie zmuszało. Jeżeli kto wiedział, kim on jest, to tylko od niego. Czyniąc wyznanie, godził się na upokorzenie, ale i na coś więcej – ryzykował swoje bezpieczeństwo. Maską jest dla przestępcy nie tylko maska – jest schronieniem. Wyrzekł się tego schronienia. Fałszywe nazwisko zabezpiecza, a on odrzucił fałszywe nazwisko. On, galernik, mógł na zawsze ukryć się w uczciwej rodzinie, ale oparł się tej pokusie. I dlaczego? Przez skrupuł sumienia. Sam to wytłumaczył w słowach tchnących niewątpliwą prawdą. Kimkolwiek więc był ten Jan Valjean, niewątpliwie obudziło się w nim sumienie. Rozpoczęło się w nim jakieś tajemnicze odrodzenie i według wszelkiego

prawdopodobieństwa skrupuł od dawna był panem tego człowieka. Takie poczucie słuszności i dobra nie jest właściwe naturom pospolitym. Rozbudzone sumienie – to wielkość duszy.

Jan Valjean był szczery. Ta szczerość, widoczna, namacalna, niezaprzeczalna, niewątpliwa choćby przez ból, który mu sprawiła, czyniła niepotrzebnymi dalsze poszukiwania i nadawała autorytet każdemu słowu, które ten człowiek powiedział. Jak dziwnie się wszystko Mariuszowi odwróciło – pan Fauchelevent budził w nim nieufność, a Jan Valjean zaufanie.

Mariusz zestawiał w zadumie tajemniczy bilans tego Jana Valjean, stwierdzał aktywa i pasywa, szukał równowagi; działo się to jednak jakby podczas burzy. Usiłując powziąć dokładne wyobrażenie o Janie Valjean, gonił go wśród swoich myśli i to gubił, to znajdował w jakiejś złowrogiej mgle.

Chociaż wspomnienia Mariusza były niewyraźne, powracał jakiś ich cień.

Czym była właściwie przygoda na poddaszu Jondrette'a? Dlaczego ten człowiek uciekł po przybyciu policji zamiast się poskarżyć? Tu Mariusz miał odpowiedź. Bo ten człowiek był zbiegłym więźniem.

Drugie pytanie: dlaczego poszedł na barykadę? Gdy teraz Mariusz widział go dokładnie, wspomnienie wydobyło się na jaw w jego pamięci jak atrament sympatyczny pod działaniem ognia. Ten człowiek był na barykadzie. Nie walczył. Po cóż więc tam poszedł? Odpowiedź na to pytanie dawało zmartwychpowstałe widmo: Javert. Teraz Mariusz doskonale sobie przypominał ponury widok Jana Valjean ciągnącego za barykadę skrępowanego Javerta i słyszał wyraźnie straszny strzał z pistoletu za rogiem uliczki Zakręt. Między policjantem a galernikiem była prawdopodobnie jakaś nienawiść. Jeden zawadzał drugiemu. Jan Valjean poszedł na barykadę, żeby się zemścić. Przyszedł tam późno. Zapewne wiedział, że Javert jest w niewoli. Korsykańska wendeta przeniknęła do nizin społecznych i stała się tam prawem; jest ona tak prosta, że nie pobudza do zastanowienia dusz, które już na wpół zwróciły się ku dobru; zdarza się, że kryminalista czujący już skruchę i cofający się przed kradzieżą nie widzi nic złego w zemście. Jan Valjean zabił Javerta, a przynajmniej wydawało się to oczywiste.

Na koniec ostatnie pytanie, ale na nie nie było odpowiedzi. Mariusz czuł je niby kleszcze chwytające za serce. Jak się to stało, że Jan Valjean tak długo i tak blisko obcował z Kozetą? Jaka igraszka Opatrzności zetknęła to dziecko z tym człowiekiem? Czy zdarzają się w niebie takie łańcuchy o dwóch końcach i Bóg nie waha się łączyć anioła z szatanem? Zbrodnia i niewinność mogą więc mieszkać razem na tajemniczych galerach nędzy? Więc w tej defiladzie potępieńców, którą nazywają losem ludzkim, mogą stykać się dwa czoła, jedno dziecięce, drugie straszne, jedno skapane w niebieskim świetle jutrzeńki, drugie siniejące w blaskach wiekuistej błyskawicy?

Kto był sprawcą tego niewytłumaczalnego zespolenia? Jak, jakim cudem mogło ułożyć się wspólne życie tego niebiańskiego dziecka i tego starego potępieńca? Kto mógł przywiązać jagnię do wilka i – rzecz jeszcze trudniejsza do zrozumienia – przywiązać wilka do jagnięcia? Bo wilk kochał jagnię, dzika istota ubóstwiała słabą istotę przez dziewięć lat; potwór był jedynym opiekunem anioła. To szkaradne przywiązanie ochraniało dzieciństwo Kozety, jej dziewczyny rozkwit ku światłu i życiu. Odtąd pytania rozwijały się w niezliczone zagadki, na dnie jednych otchłani otwierały się drugie i Mariusz, pochylony nad Janem Valjean, czuł zawrót głowy. Kimże był ten człowiek przepastny?

W tym stanie ducha Mariusz truchlał na myśl, że ów człowiek będzie mieć jakąś styczność z Kozetą. Teraz prawie wyrzucał sobie, że nie zadał tych strasznych pytań, których się lękał, a z których mogłoby wyjść nieubłagane i ostateczne postanowienie. Uważał, że był zbyt łagodny, powiedzmy otwarcie, zbyt słaby. Ta słabość skłoniła go do nieroztropnego ustępstwa. Dał się rozczulić. Zbłądził. Powinien był po prostu odepchnąć Jana Valjean. Powinien był uwolnić swój

dom od tego człowieka. Gniewał się o to na siebie, na ten wir wzruszeń, który go ogłuszył, oślepił i porwał mimo woli. Był niezadowolony z samego siebie.

Co teraz począć? Czuł głęboki wstręt do odwiedzin Jana Valjean. Po co ten człowiek ma do niego przychodzić? Co robić? Tu zagłuszał się, nie chciał się zastanawiać, badać i zgłębiać siebie samego. Przyrzekł, pozwolił wymóc na sobie obietnicę; Jan Valjean miał jego słowo, a słowa dotrzymać należy nawet galernikowi, zwłaszcza galernikowi. Jednakże jego pierwszy obowiązek był względem Kozety. Nad wszystkim górowało w nim obrzydzenie.

Te myśli kłębiły się w umyśle Mariusza i każda nim wstrząsała. Stąd rósł jego niepokój. Niełatwo było mu ukryć go przed Kozetą, ale miłość jest talentem i Mariusz dokazał tej sztuki.

Zresztą nieznacznie wypytał Kozetę o to i owo, a ona, tak niewinna, jak biała jest gołąbka, nie domyśliła się niczego. Rozmawiał z nią o jej dzieciństwie i młodości i coraz bardziej się przekonywał, że galernik był względem Kozety człowiekiem najlepszym, najbardziej czcigodnym ojcem. To, co Mariusz przypuszczał, czego domyślał się, było prawdą. Ta posepna pokrzywa kochała i osłaniała lilię.

Rozdział ósmy

MROK ZAPADA

Pokój na dole

Nazajutrz o zmroku Jan Valjean zastukał do domu pana Gillenormand. Otworzył mu Baskijczyk, który właśnie był na podwórzu, jakby mu tak rozkazano. Czasami służący dostaje polecenie: uważaj, kiedy przyjdzie pan ten a ten.

Baskijczyk, nie czekając, aż Jan Valjean odezwie się do niego, rzekł:

– Pan baron polecił zapytać, czy pan życzy sobie wejść na górę czy zostać na dole.

– Zostać na dole – odpowiedział Jan Valjean.

Baskijczyk, z wielkim zresztą uszanowaniem, otworzył drzwi i oświadczył:

– Pójdę zawiadomić panią.

Pokój, do którego wszedł Jan Valjean, był sklepiony i wilgotny; w razie potrzeby zastępował lamus, miał posadzkę z czerwonych cegieł; oświetlało go jedyne, okratowane okno, wychodzące na ulicę. Nie należał do pomieszczeń, gdzie często działają miotły i szczotki. Warstwy kurzu spoczywały tu nie tykane. Pająki nie cierpiały prześladowań. Piękna, szeroka pajęczyna, poczerniała i ozdobiona zdechłymi muchami, zasnęła kuliście jedną z szyb w oknie. W izbie tej, niewielkiej i niskiej, ustawiono w kącie puste butelki. Tynk, pomalowany na żółto, odstawa! od ściany szerokimi płatami. W głębi, na drewnianym kominku z wąskim parapetem pomalowanym na czarno, palił się ogień, co wskazywało, że liczone na odpowiedź Jana Valjean: zostać na dole.

Przy kominku stały dwa fotele. Między fotelami leżał stary dywanik sprzed łóżka, w którym więcej było sznurków niż wełny.

Izbę oświetlał ogień kominka i zmrok wpadający przez okno.

Jan Valjean był znużony. Od kilku dni nie jadł i nie sypiał. Usiadł ciężko na jednym z foteli.

Baskijczyk powrócił, postawił na kominku zapaloną świecę i wyszedł. Jan Valjean trzymał głowę opuszczoną na piersi i nie spostrzegł ani Baskijczyka, ani świecy.

Nagle drgnął, jakby budząc się ze snu. Stała za nim Kozeta. Nie widział, jak wchodziła, ale czuł, że weszła. Odwrócił się i spojrzał na nią. Była cudownie piękna.

On jednak szukał swoim przenikliwym spojrzeniem nie jej urody, lecz duszy.

– No – zawołała Kozeta – ładny pomysł! Wiedziałam, że ojciec lubi dziwactwa, ale nie spodziewałam się czegoś podobnego. Mariusz powiada, że ojciec chce, żebym go tu przyjmowała.

– A tak, chcę.

– Spodziewałam się tej odpowiedzi. Dobrze. Uprzedzam ojca, że zrobię scenę. Zacznijmy od

początku. Niech mnie ojciec pocałuje. I nadstawiła mu policzek. Jan Valjean nie ruszył się z miejsca.

– Ojciec nawet się nie ruszył. Stwierdzam to. Widocznie poczuwa się do winy. Mniejsza o to, przebaczam. Chrystus powiedział: „Nadstaw drugi policzek”. Nadstawiam.

I podsunęła mu drugi policzek.

Jan Valjean nie ruszył się, jakby miał nogi przybite do posadzki.

– Sprawa staje się poważna – rzekła Kozeta. – Co ja ci zrobiłam złego? Oświadczam, że się gniewam. Musi mnie ojciec przeprosić. Zostanie ojciec u nas na kolacji?

– Już jestem po kolacji.

– Nieprawda. Poproszę dziadka Gillenormand, żeby ojca wylał. Dziadkowie mogą łąć ojców. Chodźmy do salonu, zaraz.

– To niemożliwe.

Kozeta zaniepokoiła się nieco. Przestała rozkazywać, zaczęła badać.

– Dlaczego? Ojciec wybrał na spotkanie ze mną najbrzydszy pokój w całym domu. Tu jest okropnie!

– Wiesz przecie...

Jan Valjean się poprawił.

– Wie pani przecie, że jestem dziwak, że mieszkam w swojej zachcianki.

Kozeta klasnęła w rączki.

– Pani!... Coś nowego! Co to ma znaczyć?

Jan Valjean spojrział na nią z rozdzierającym uśmiechem i powiedział:

– Chciałaś być panią. Jesteś nią.

– Ale nie dla ciebie, ojczu.

– Niech mnie już pani nie nazywa ojczem.

– Co znowu?

– Proszę mnie nazywać panem Janem lub po prostu Janem.

– Panem Janem? Więc nie jesteś już ojczem, a ja Kozetą? Co to znaczy? To jakieś rewolucje? Co się stało? Proszę mi spojrzeć w oczy. I nie chcesz, ojczu, mieszkać z nami? Nie chcesz pójść do mego pokoju? Co ci zawiniłam, co złego zrobiłam? Czy coś się stało?

– Nic.

– A więc?

– Wszystko jest po dawnemu.

– A dlaczego ojciec zmienia imię?

– Przecież i pani je zmieniła.

Uśmiechnął się tym samym bolesnym uśmiechem i dodał:

– Kiedy jesteś panią Pontmercy, to i ja mogę być panem Janem.

– Jestem wściekła! – zawołała. – Od wczoraj wszyscy mnie złościcie. Nic nie rozumiem. Ojciec nie broni mnie przed Mariuszem. Mariusz nie broni mnie przed ojczem, jestem zupełnie samotna. Urządzam pokój jak najpiękniej. Posadziłabym w nim Pana Boga, gdyby było można, i pokój dostaje kosza. Mój lokator doprowadza mnie do bankructwa. Polecam Nikolecie zrobić smaczną kolację. Obejdzie się bez kolacji, proszę pani. Mój ojciec Fauchelevent każe, żebym go nazywała panem Janem i przyjmowała w szkaradnej, starej, wilgotnej piwnicy, gdzie zamiast kryształów stoją puste butelki, a zamiast firanek wisi pajęczyna! Ojciec jest dziwak, zgoda, nie ma na to rady, ale trzeba mieć trochę względów dla ludzi, którzy się tylko co pobrali. Można było odłożyć dziwactwa na trochę później. Widocznie bardzo się ojczu podoba ta szkaradna ulica Człowieka Zbrojnego. Mnie ona doprowadzała do rozpaczki! Co ojciec ma przeciwko mnie? Tak mi smutno.

Poważniejąc nagle, bystro spojrzała w oczy Janowi Valjean i dodała:

– Może mi ojciec ma za złe, że jestem szczęśliwa?

Naiwność bezwiednie sięga nieraz bardzo daleko. To pytanie tak proste dla Kozety, głęboko poruszyło Jana Valjean. Kozeta chciała tylko drasnąć, a zraniła.

Jan Valjean zbladł. Przez chwilę nie odpowiadał, potem, mówiąc do siebie, wyszeptał trudnym do opisania tonem:

– Jej szczęście było celem mojego życia. Teraz Bóg może mi pozwolić odejść. Kozeto, jesteś szczęśliwa; mój czas minął.

– O, ojciec mówi mi „ty”! – zawołała.

I rzuciła mu się na szyję.

Jan Valjean przycisnął ją w uniesieniu do piersi. Zdawało mu się prawie, że ją odzyskuje.

– Dziękuję ci, ojczu – rzekła Kozeta.

To uniesienie zakończyło się boleśnie. Jan Valjean łagodnie usunął ręce Kozety i wziął kapelusz.

– Co znowu? – zapytała Kozeta.

Jan Valjean odpowiedział:

– Odchodzę, czekają na panią.

I od progu dodał jeszcze:

– Powiedziałem pani „ty”. Proszę zapewnić swego męża, że drugi raz już się to nie powtórzy. Chciej mi pani przebaczyć.

Jan Valjean wyszedł, zostawiając Kozetę zdumioną tym zagadkowym pożegnaniem.

Dalsze kroki w tył

Następnego dnia Jan Valjean przyszedł o tej samej godzinie.

Kozeta już go nie wypytywała, nie dziwiła się, nie narzekała na zimno, nie wspomniała o salonie i nie mówiła ani „ojczu”, ani „panie Janie”. Nie gniewała się, że przestał ją tykać, pozwoliła nazywać się panią. Była jednak nieco mniej wesoła. Byłaby nawet smutna, gdyby mogła zdobyć się na smutek.

Odbyła zapewne z Mariuszem jedną z tych rozmów, w których kochany mężczyzna mówi, co chce, nic nie tłumaczy i uspokaja ukochaną kobietę. Ciekawość zakochanych nie sięga daleko poza ich miłość.

Izdebka na dole została trochę oporzędzona. Baskijczyk wyniósł butelki, a Nikoleta wymiotła pajęczynę.

Jan Valjean przychodził codziennie o tej samej godzinie. Potraktował dosłownie zgodę Mariusza, nie miał siły inaczej uczynić. Mariusz starał się być zawsze na mieście, kiedy on przychodził. Domownicy przyzwyczaili się do nowych zwyczajów pana Fauchelevent. Toussaint pomogła im, powtarzając: – Pan zawsze był taki. – Dziadek zawyrokował: – To oryginał. – I wszystko zostało załatwione.

Tak minęło kilka tygodni. Kozetę coraz bardziej wciągało nowe życie, stosunki towarzyskie, które stwarza małżeństwo, wizyty, zajęcia gospodarskie, przyjemności – te ważne sprawy. Przyjemności Kozety nie były kosztowne, sprowadzały się do jednego, żeby być z Mariuszem. Wychodzić razem z nim, przebywać razem z nim – takie było najważniejsze zajęcie jej życia.

Była to dla nich radość zawsze nowa – wzięwszy się pod ręce spacerować w słońcu, na ulicy, nie kryjąc się, wobec całego świata, a tylko we dwoje. Dziadek był zdrowy; Mariusz występował czasami przed sądem; ciotka Gillenormand wiodła na uboczu obok młodej pary swój spokojny żywot, który ją zadowalał. Jan Valjean przychodził codziennie.

Przez to, że już jej nie tykał, mówił „pani”, a ona „pan Jan”, stawał się dla Kozety jakby kimś innym. Powiodły mu się starania, żeby ją od siebie odstręczyć. Była coraz weselsza i coraz mniej czuła. A jednak kochała go wciąż i on o tym wiedział. Któregoś dnia powiedziała mu niespodziewanie: – Był pan moim ojcem i już pan nie jest, był pan panem Fauchelevent, teraz jest pan panem Janem. Kim pan jest właściwie? Wcale mi się to nie podoba. Gdybym nie wiedziała, że jest pan taki dobry, tobym się pana bała.

Mieszkał nadal na ulicy Człowieka Zbrojnego; nie mógł się zdobyć na porzucenie dzielnicy, w której żyła Kozeta.

Z początku zostawał z Kozetą ledwie kilka minut i zaraz odchodził. Powoli wszakże nabrał zwyczaju dłuższych odwiedzin. Rzekłbyś, że korzysta z upoważnienia dni, które stawały się dłuższe; przychodził wcześniej i odchodził później.

Pewnego dnia Kozecie wyrwało się słowo: Ojczce. Błyskawica radości rozjaśniła starą, posępną twarz Jana Valjean. Poprawił ją.

– Proszę mnie nazywać Janem.

– A, prawda – odpowiedziała wybuchając śmiechem – pan Jan.

– Tak, właśnie tak – rzekł i odwrócił głowę, żeby nie widziała, jak ociera oczy.

Przypominają sobie ogród przy ulicy Plumet

Zdarzyło się to ostatni raz. Po tym ostatnim błysku światło zgasło zupełnie. Żadnej już poufałości, żadnych powitań z pocałunkami ani tych słów tak słodkich: „Mój ojczeczko!” Z własnej woli i samemu do tego przykładając rękę, tracił stopniowo wszystko, co mu dawało szczęście. Dożył tej nędzy, że jednego dnia stracił całą Kozetę, a potem musiał ją jeszcze tracić po odrobinie.

Oko przyzwyczajają się w końcu do piwnicznej ciemności. Wystarczyło mu, że co dzień widywał Kozetę. Całe jego życie skupiało się w tej godzinie odwiedzin. Siadał przy niej, patrzył na nią w milczeniu albo też mówił o jej minionych latach, o jej dzieciństwie, o klasztorze i dawnych małych przyjaciółkach.

Pewnego popołudnia – był to jeden z pierwszych dni kwietnia, już ciepły, choć jeszcze chłodnawy, w radosnych promieniach słońca budziły się ogrody, pod oknami Mariusza i Kozety rozkwitała tarnina, lewkonie kładły swoje kwiaty na starych murach jak biżuterie, różowe lwie paszcze otwierały się w kamiennych rozpadlinach, pierwsze stokrotki i jaskry wychodziły z trawy, białe motylki odbywały pierwsze loty i wiatr, ten kapelmistrz odwiecznego wesela, próbował między drzewami pierwszych tonów wielkiej symfonii nazywanej wiosną – Mariusz powiedział do Kozety: – Obiecaliśmy sobie, że pójdziemy zobaczyć nasz ogród przy ulicy Plumet. Nie wolno być niewdzięcznym. Chodźmy.

Jan Valjean przyszedł na ulicę Panien Kalwaryjskich wieczorem o zwykłej godzinie. – Pani wyszła z panem i jeszcze nie wróciła – oznajmił mu Baskijczyk. Usiadł w milczeniu i czekał godzinę. Kozeta nie wracała. Schylił głowę i odszedł.

Kozeta tak była upojona tą przechadzką do „ich ogrodu” i tak szczęśliwa, że „przeżyła cały dzień w swojej przeszłości”, iż nazajutrz nie mówiła o niczym innym. Nie zauważyła nawet, że nie widziała się z Janem Valjean.

– Jak poszliście tam? – zapytał ją.

– Pieszo.

– A z powrotem?

– Doróżką.

Od pewnego czasu Jan Valjean zauważył, że młoda para żyje bardzo oszczędnie. Zaniepokoiło go to. Oszczędność Mariusza wydała mu się surowa w całym tego określenia znaczeniu.

Zapytał więc:

– Dlaczego nie macie własnego powozu? Utrzymanie powozu i koni nie kosztowałyby was więcej niż pięćset franków miesięcznie. Jesteście bogaci.

– Nie wiem – odpowiedziała Kozeta.

– Tak samo z Toussaint. Odprawiliście ją i nie wzięliście innej na jej miejsce. Dlaczego?

– Nikoleta wystarcza.

– Przecież potrzebuje pani pokojówki.

– Czyż nie mam Mariusza?

– Powinniście mieć własny dom, własną służbę, powóz, łoże w teatrze. Dlaczego nie korzystacie z waszego majątku? Majątek pomnaża szczęście.

Kozeta nic nie odpowiedziała.

Pewnego dnia Jan Valjean pozostał dłużej niż zwykle. Nazajutrz zauważył, że na kominku nie było ognia. O! – pomyślał – nie ma ognia. – I sam sobie wytłumaczył: – Po prostu nadszedł kwiecień i robi się ciepło.

– Boże! Jak tu zimno! – zawołała wchodząc Kozeta.

– Ależ nie – zaprotestował Jan Valjean.

– Więc to pan kazał Baskijczykowi nie palić?

– Tak. Wkrótce będziemy mieli maj.

– Ależ pali się do czerwca. A w tej piwnicy choćby i przez cały rok.

– Myślałem, że obejdzie się bez ognia.

– Ach, to jedno z pana dziwactw! – odparła Kozeta.

Następnego dnia zapalono na kominku. Ale dwa fotele stały w drugim końcu pokoju, przy drzwiach. Co to ma znaczyć? – pomyślał Jan Valjean i postawił fotele na zwykłym miejscu.

Ogień dodał mu nieco odwagi. Przedłużył swoją wizytę jeszcze bardziej. Kiedy już miał odejść, Kozeta odezwała się:

– Wczoraj mój mąż powiedział mi dziwną rzecz.

– Cóż takiego?

– Powiedział: „Kozeto, mamy trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu. Ty masz dwadzieścia siedem, a ja mam od dziadka trzy”. – Odpowiedziałam: „To czyni razem trzydzieści”. – On dodał: „Czy będziesz mieć odwagę żyć tylko z trzech tysięcy?” – Odpowiedziałam mu: – „Nawet z niczego, byle z tobą”. – I potem zapytałam „Dlaczego mi to mówisz?” – On odpowiedział: „Chciałem tylko wiedzieć”.

Jan Valjean nie znalazł ani słowa odpowiedzi. Prawdopodobnie Kozeta spodziewała się, że jej da jakieś wyjaśnienie; słuchał milcząc ponuro. W powrotnej drodze na ulicę Człowieka Zbrojnego był tak pogrążony w myślach, że pomylił drzwi i wszedł do sąsiedniego domu. Dopiero na drugim piętrze spostrzegł to i zszedł na dół.

W głowie jego snuły się przeróżne domysły. Najwidoczniej Mariusz powątpiewał o czystości źródła, z którego pochodziło tych sześćset tysięcy franków; może odgadł, że pieniądze te

pochodziły od Jana Valjean i brzydząc się nimi, wołał żyć z Kozetą w biedzie, niż używać podejrzanego majątku.

Oprócz tego Jan Valjean zaczynał pojmować, że się go chcą pozbyć.

Następnego dnia, wchodząc do pokoju na dole, doznał wstrząsu. Fotele znikły. Nie było nawet krzesła.

– Co to? – zawołała Kozeta, stając na progu – nie ma foteli? Gdzie się podziały fotele?

– Nie ma ich – odpowiedział Jan Valjean.

– A co to znowu?

Jan Valjean wybąkał:

– To ja powiedziałem Baskijczykowi, żeby je zabrał.

– Dlaczego?

– Bo dziś zostaną tylko kilka minut.

– To jeszcze nie powód, żeby rozmawiać stojąc.

– Zdaje się, że Baskijczyk potrzebował tych foteli do salonu.

– Po co?

– Pewnie macie dziś gości.

– Żadnych.

Jan Valjean nie wiedział już, co powiedzieć. Kozeta wzruszyła ramionami.

– Kazać zabrać fotele! Już kiedyś kazał pan zgasić ogień na kominku. Co za dziwactwa!

– Żegnam – szepnął Jan Valjean.

Nie powiedział: „Żegnam cię, Kozeto”, ale też nie miał siły powiedzieć: „Żegnam panią”.

Wyszedł przytłoczony.

Tym razem zrozumiał.

Nazajutrz nie przyszedł. Kozeta spostrzegła to dopiero wieczorem.

– O! – rzekła – pan Jan dziś nie był.

Serce ścisnęło się jej trochę, ale ledwie to spostrzegła, gdyż w tej samej chwili Mariusz ją pocałował.

Następnego dnia również nie przyszedł.

Kozeta nie zauważyła tego; wieczór i noc przeminęły jak zwykle i pomyślała o nim dopiero po przebudzeniu. Była taka szczęśliwa! Posłała natychmiast Nikoletę z zapytaniem, czy pan Jan nie jest, chory i dlaczego nie przyszedł wczoraj. Nikoleta przyniosła odpowiedź od pana Jana. Jest zdrow, ale zajęty. Wkrótce przyjdzie. Jak tylko będzie mógł najprędzej. Zresztą wyjeżdża niedługo. Pani pamięta chyba, że ma zwyczaj czasami wyjeżdżać. Prosił, żeby się nie niepokoić i nie myśleć o nim.

Nikoleta, przybywszy do pana Jana, zapytała dosłownie, tak jak Kozeta poleciła, dlaczego pan Jan nie przyszedł wczoraj. – Nie byłem już dwa dni – rzekł Jan Valjean łagodnie.

Ale Nikoleta nie zrozumiała tej uwagi i nie powtórzyła jej Kozecie.

Przyciąganie i gaśnięcie

Pod koniec wiosny i w pierwszych miesiącach letnich roku 1833 nieliczni przechodnie dzielnicy Marais, kupcy w drzwiach swoich sklepów i próżniacy, stojący przed bramami, widywali starca w czarnym, dobrze utrzymanym ubraniu, który codziennie o jednej porze, gdy

zapadał zmrok, wychodził z ulicy Człowieka Zbrojnego i szedł aż do ulicy św. Ludwika.

Wchodził w nią wolno, z głową wysuniętą naprzód, nic nie widząc, nic nie słysząc, z oczami nieruchomo utkwionymi w jeden punkt, zawsze ten sam, który dla niego zdawał się mieć piękno promiennej gwiazdy, naprawdę zaś był rogiem ulicy Panien Kalwaryjskich. Im bardziej się zbliżał do tego rogu, tym bardziej błyszczały mu oczy, jakaś radość rozjaśniała źrenice wewnętrznym światłem, czuł się widocznie oczarowany i rozrzuwiony, usta jego poruszały się, jakby rozmawiał z kimś niewidzialnym, uśmiechał się dziwnie i kroczył coraz wolniej. Rzekłbyś, że choć pragnie dojść, lęka się chwili, w której stanie na miejscu. Kiedy był już tylko o kilka domów od tej przyciągającej go ulicy, szedł tak wolno, że wyglądało to, jakby stał. Drzenie głowy i nieruchomość źrenic przypominały igłę magnesową szukającą bieguna. Jakkolwiek starał się iść jak najdłużej, musiał w końcu dojść do rogu ulicy Panien Kalwaryjskich; wówczas zatrzymywał się, drżał, posepnie i lękliwie wysuwał głowę zza węgła ostatniego domu i patrzył w tę ulicę, a w jego tragicznym spojrzeniu było coś podobnego do olśnienia nieosiągalnym szczęściem, do blasku zamkniętego raj. Później gruba łza, która z wolna zbierała się w kąciku powiek, spływała po jego policzku i czasami zatrzymywała się na wargach. Starzec czuł jej gorzki smak. Stał tak przez kilka minut jak skamieniały, po czym wracał tą samą drogą i tym samym krokiem, a w miarę jak się oddalał, wzrok jego przygasał.

Po jakimś czasie starzec przestał dochodzić do rogu ulicy Panien Kalwaryjskich i zatrzymywał się w pół drogi na ulicy św. Ludwika, raz trochę dalej, kiedy indziej trochę bliżej.

Codziennie wychodził z domu o tej samej godzinie i wędrował tą samą drogą, ale nie do końca i – może nieświadomie – stale skracał przechadzkę. Twarz jego wyrażała jedną jedyną myśl: „Po co?” W źrenicach nie zapalało się już światło, łza już nie zbierała się w kąciku powiek, zadumane oczy były suche. Głowa starca była zawsze wysunięta do przodu, broda poruszała się chwilami; przykro było patrzeć na zmarszczki jego chudej szyi. Niekiedy, podczas słoty, miał pod pachą parasol, ale go nie otwierał. Kumoszki z tej dzielnicy powiadały: – To wariat. – Dzieci biegały za nim śmiejąc się.

Rozdział dziewiąty

U KRESU MROKÓW – JUTRZENKA

Litości dla nieszczęśliwych, ale i pobłażania dla szczęśliwych

Straszna to rzecz być szczęśliwym! Jak to zaspokaja człowieka! Jak mu wystarcza! Osiągnąwszy fałszywy cel życia, szczęście – jak łatwo zapominamy o prawdziwym celu, o obowiązku!

Trzeba przyznać jednak, że niesłusznie by postąpił, kto by potępił Mariusza.

Mariusz – jak to mówiliśmy już – przed ślubem nie zadawał pytań panu Fauchelevant, a później lękał się zapytać Jana Valjean o cokolwiek. Żałował obietnicy danej w chwili uniesienia. Wyrzucał sobie, że niepotrzebnie zrobił to ustępstwo wobec rozpaczycy. Poprzestał na odsuwaniu powoli Jana Valjean od swojego domu i na usuwaniu go, ile możliwości, z myśli Kozety. Stawał zawsze między Kozetą i Janem Valjean, pewny, że ona wskutek tego nie będzie go widziała i przestanie o nim myśleć. I nie tylko go zasłonił, ale i unicestwił w jej sercu.

Mariusz czynił to, co uważał za konieczne i słuszne. Odsuwając Jana Valjean łagodnie, ale nieugięcie, sądził, że ma po temu poważne powody – jedno już znamy, inne wkrótce poznamy. Broniąc w pewnym procesie, poznał przypadkiem dawnego komisanta banku Laffitte'a i nie starając się nawet o to, zdobył dość zagadkowe wiadomości, których jednak nie mógł zgłębić, szanując tajemnicę, której przyrzekł dochować, i mając wzgląd na niebezpieczne położenie Jana Valjean. Jedno tylko wiedział – iż ma do spełnienia ważny obowiązek: zwrócić sześćset tysięcy franków komuś, kogo szukał w jak największej dyskrecji; tymczasem nie tykał tych pieniędzy.

Kozeta nie wiedziała o żadnej z tych tajemnic; ale potępić ją byłoby też okrucieństwem.

Nie tyle zapomniała o Janie Valjean, ile była oszołomiona swoim szczęściem. W głębi serca bardzo kochała tego człowieka, którego przez tak długi czas nazywała swoim ojcem. Ale jeszcze bardziej kochała męża. To właśnie zakłóciło nieco równowagę jej serca i przechyliło szalę na jedną stronę.

Zdarzało się, że Kozeta wspominała Jana Valjean i dziwiła się jego nieobecności. Wtedy Mariusz uspokajał ją, mówiąc: – Sądzę, że go nie ma w Paryżu, przecież sam powiedział, że wyjeżdża w podróż. To prawda – pomyślała Kozeta. Zdarzało się przecież, że tak znikał. Ale zwykle nie na długo. Kilka razy posłała Nikoletę na ulicę Człowieka Zbrojnego, żeby się dowiedziała, czy pan Jan powrócił z podróży. Jan Valjean kazał odpowiadać, że nie.

Kozeta nie dowiadywała się więcej, potrzebując na ziemi jednej tylko istoty – Mariusza.

Młodzi biegną tam, gdzie jest radość, wesele, blask i miłość. Starcy zacierają do swojego

kresu. Nie tracą się z oczu, ale już nie ma między nimi ścisłej zażyłości. Młodzi doznają czasem chłodnych powiewów życia, starzy czują zimno grobu. Nie oskarżajmy tych biednych dzieci.

Ostatnie drgania lampy bez oliwy

Pewnego dnia Jan Valjean wyszedł na ulicę i usiadł na słupku przed bramą, tam właśnie, gdzie w nocy piątego czerwca zastał go Gavroche pogrążonego w myślach. Posiedział tak kilka minut i wrócił na górę. Było to ostatnie poruszenie wahadła zegara. Nazajutrz nie wyszedł z domu. Następnego dnia nie wstał z łóżka.

Dozorczyńni, która gotowała mu skromny obiad, trochę kapusty lub kilka kartofli z odrobiną słoniny, spojrzała w glinianą miskę i zawołała:

– Przecież pan wczoraj nic nie jadł, biedny, kochany panie!

– Owszem, jadłem – odpowiedział Jan Valjean.

– Talerz jest pełny.

– Zajrzyjcie do dzbanka z wodą. Jest próżny.

– To znaczy, że pan pił, ale nie znaczy, że pan jadł.

– Cóż – rzekł Jan Valjean – skoro mam apetyt tylko na wodę?

– To się nazywa pragnienie, a jeżeli się przy tym nie je, to się nazywa gorączka.

– Zjem jutro.

– Albo na święty Nigdy. Dlaczego nie dziś? Kto to słyszał, żeby mówić: „zjem jutro”.

Zostawiać cały półmisek nie tknięty. Takie smaczne kartofelki!

Jan Valjean ujął rękę staruszki.

– Obiecuję, że wszystko zjem – rzekł swoim łagodnym głosem.

– Nie jestem z pana zadowolona – odpowiedziała dozorczyńni. Upłynął tydzień, a Jan Valjean nie podniósł się z łóżka. Dozorczyńni mówiła do męża: – Ten poczciwy starowina z góry już nie wstaje, nie je i niedługo pociągnie. Musi mieć jakieś zmartwienie. Założyłabym się, że jego córka źle wyszła za mąż.

Dozorca odpowiedział tonem, w którym brzmiała męska pewnośc siebie:

– Jeżeli jest bogaty, niech pośle po doktora, jeżeli nie jest bogaty, niech nie posyła. A jeżeli doktor nie przyjdzie, to on umrze.

– A jeżeli przyjdzie?

– To i tak umrze – zawyrokował dozorca.

Jego żona, wygrzebując starym nożem trawę rosnącą między kamieniami jej – jak mawiała – bruku, mruknęła:

– Szkoda go. Taki schludny staruszek. Biały jak gołębek.

I zobaczywszy na rogu ulicy lekarza, który praktykował w tej dzielnicy, poprosiła go, żeby wstąpił do jej lokatora.

– To na drugim piętrze – wyjaśniła. – Drzwi nie zamknięte, staruszek nie rusza się z łóżka i klucz jest w zamku.

Lekarz obejrzał Jana Valjean i porozmawiał z nim. Kiedy zszedł na dół, dozorczyńni zagadnęła go:

– I co, panie doktorze?

– Wasz chory jest bardzo chory.

- Co mu jest?
- Wszystko i nic. Ten człowiek, według wszelkiego prawdopodobieństwa, stracił kochaną osobę. Z tego się umiera.
- Co panu powiedział?
- Powiedział, że jest zdrow.
- Czy pan doktor wróci?
- Tak – odpowiedział lekarz. – Ale trzeba by, żeby wrócił ktoś inny.

Pióro ciąży człowiekowi, który podniósł wóz Fauchelevanta

Pewnego wieczora Jan Valjean – z trudem uniósł się na łokciu. Wziął się za rękę i nie znalazł pulsu; oddech miał krótki, przerywany. Zrozumiał, że jest słabszy niż kiedykolwiek, i ulegając jakiemuś nieodpartemu nakazowi dobył ostatnich sił, usiadł na łóżku i ubrał się. Włożył swoje stare robotnicze ubranie. Odkąd nie wychodził z domu, wrócił do tego ubrania i w nim czuł się najlepiej. Kilka razy musiał odpoczywać, tak bardzo był osłabiony; pot spływał mu z czoła, kiedy naciągał rękawy kurtki.

Odkąd był sam, przeniósł łóżko do przedpokoju, aby jak najmniej patrzeć na pustki w swoim mieszkaniu.

Otworzył kuferek i wyjął ubranko Kozety.

Rozłożył je na łóżku.

Na kominku, jak zwykle, stały lichtarze biskupa. Wyjął z szuflady dwie woskowe świece i osadził je w lichtarzach. Następnie, choć słońce jeszcze świeciło – było lato – zapalił świece. Widujemy czasem we dnie takie płonące świece w pokojach, w których leżą umarli.

Każdy krok, każde poruszenie wyczerpywało go i musiał co chwila siadać. Nie było to zwyczajne zmęczenie, wydatek sił, które znowu wrócą, ale ostatnie możliwości ruchu, ostatnie krople życia wyciekające wśród zmagania, które już nigdy nie miały się ponowić.

Noc zapadła. Z trudnością przyciągnął do kominka stół i stare krzesło, po czym położył na stole pióro, kałamarz i papier.

Dokonawszy tego, zemdlął. Kiedy odzyskał przytomność, poczuł pragnienie. Nie mogąc podnieść dzbanka, z wielkim trudem pochylił go do ust i napił się trochę.

Potem odwrócił się ku łóżku i siedząc – gdyż nie mógł wstać – patrzył na czarną sukienkę i wszystkie te drogie przedmioty.

Wpatrywał się w nie przez kilka godzin, które wydały mu się minutami. Nagle zadrzał poczuwszy chłód; oparł się na stole, oświetlonym lichtarzami biskupa, i wziął pióro do ręki.

Ręka mu drżała. Pisał powoli następujące słowa:

Kozeto, błogosławię ci. Muszę ci wytłumaczyć. Twój mąż miał słuszość, dając mi do zrozumienia, że powinienem odejść; pomylił się nieco, ale miał słuszość. To bardzo dobry człowiek. Nie przestań go kochać, kiedy ja umrę. Panie Pontmercy, kochaj zawsze moje najdroższe dziecko. Kozeto, znajdziesz ten list, powiem ci, zobaczysz cyfry, jeżeli będę miał siły przypomnieć sobie, posłuchaj, przekonasz się z cyfr, że te pieniądze są naprawdę twoje. Oto, na

czym rzecz polega: biały dżet pochodzi z Norwegii, czarny z Anglii, czarna imitacja ze szkła pochodzi z Niemiec. Dżet jest lżejszy, bardziej szlachetny i droższy. We Francji można tak samo jak w Niemczech wyrabiać imitacje. Bierze się kowadelko wielkości dwu cali kwadratowych i lampkę spirytusową do topienia masy. Masę wyrabiano dawniej z żywicy i sadzy, to kosztowało cztery franki funt. Wynalazłem sposób robienia jej z laku i terpentyny. Taka masa kosztuje tylko trzydzieści su i jest daleko lepsza. Kolczyki robi się ze szkła fioletowego, które się tą masą przylepia do cienkiej żelaznej blaszki. Szkło powinno być fioletowe dla kolczyków żelaznych, a czarne dla złotych. Hiszpania dużo tego kupuje. To kraj dżetów...

Tu przerwał pisanie, pióro wypadło mu z ręki, porwał go rozpaczliwy szloch, który dobywał się czasem z głębin jego istoty, i biedny człowiek, ująwszy głowę w dłonie, zaczął rozmyślać.

– Ach! – zawołał w głębi duszy. Był to jeden z tych rozpaczliwych krzyków, które słyszy tylko Bóg. – Wszystko skończone! Już jej nie zobaczę! To był tylko przelotny uśmiech. Wejdę w noc, nie widząc jej. O, gdyby chociaż na minutę, na jedną chwilkę usłyszeć jej głos, dotknąć jej sukni, popatrzeć na tego anioła i dopiero potem umrzeć! Umrzeć to nic strasznego, strasznie jest nie zobaczyć jej przed śmiercią. Uśmiechnęłaby się do mnie, coś by mi powiedziała. Czyby to komu szkodziło? Ale nie, to koniec, już nigdy! Jestem sam! Boże mój, Boże! Już jej nie zobaczę.

W tej chwili zapukano do drzwi.

Butelka atramentu, który wybiela zamiast czernić

Tego samego dnia albo raczej tego samego wieczora Mariusz wstał właśnie od stołu i przechodził do gabinetu, żeby przejrzeć jakieś akta, gdy Baskijczyk podał mu list i powiedział:

– Osoba, która ten list napisała, czeka w przedpokoju.

Kozeta wzięła pod rękę pana Gillenormand i poszła z nim do ogrodu.

List, jak człowiek, może mieć odstręczającą powierzchowność. Gruby, niezgrabnie złożony papier czasem już od pierwszego rzutu oka budzi niechęć. Pismo przyniesione przez Baskijczyka było z tego gatunku.

Mariusz wziął list do ręki. Czuć go było tytoniem. Nic nie budzi wspomnień tak jak zapach. Mariusz poznał ten tytoń. Spojrzał na adres: *Do pana barona Pommerci we własnym pałacu*. Poznawszy zapach tytoniu, poznał i charakter pisma. Można by powiedzieć, że zdziwienie miewa błyskawice. Mariusz został jakby olśniony jedną z takich błyskawic.

Węch, tajemniczy pomocnik pamięci, przywołał w nim do życia cały świat przeszłości. Był to ten sam papier, ten sam sposób składania, ten sam blady atrament, ten sam znany charakter pisma, a nade wszystko ten sam zapach tytoniu. Stała mu przed oczami izba Jondrette'a.

Tak oto, dziwnym zrzędzeniem losu, jeden z dwóch śladów, których tak usilnie poszukiwał, i to ten, który wydawał się zagubiony na zawsze, sam wpadał mu w ręce.

Skwapliwie rozpieczętował list i przeczytał:

Gdyby Istota Najwyższa obdarzyła mnie odpowiednim talentem, mógłbym być baronem

Thénard, członkiem Instytutu, ale nim nie jestem. Mam tylko wspólne z nim nazwisko, szczęśliwy, jeśli to podobieństwo dobrze mnie poleci Wielce Łaskawemu Panu Baronowi. Dobrodziejstwo, kturym mnie Pan zaszczyisz, będzie odwzajemnione. Znajdóje się w posiadaniu tajemnicy, ktura dotyczy jednego osobnika. Ten osobnik dotyczy Pana Barona. Chowam tę tajemnicę do Pańskiego rozpoządzenia, pragnąc mieć chonor oddania Panu Baronowi przysłógi. Dzięki mnie będzie Pan mógl wypędzić z łona swojej szlachetnej rodziny tego osobnika, któren do niej nie ma prawa, bo Pani Baronowa jest wysokiego rodu. Sanktuarium cnoty nie może zamieszkiwać razem ze zbrodnią, jeżeli nie chce abdykować.

Czekam w przedpokoju na rozkazy Pana Barona. Z uszanowaniem

List nosił podpis: *Thénard*.

Ten podpis nie był fałszywy. Był tylko nieco skrócony. Zresztą napuszony styl i pisownia uzupełniały odkrycie. W metryce pochodzenia tego pisma nic nie brakowało. Nie było wątpliwości.

Mariusz był głęboko poruszony. Po uczuciu zdziwienia doznał uczucia radości. Gdyby jeszcze znalazł drugiego człowieka, tego, który mu ocalił życie, niczego by już więcej nie pragnął.

Otworzył szufladę biurka, wyjął kilka banknotów, włożył je do kieszeni, zamknął biurko i zadzwonił.

Baskijczyk uchylił drzwi.

– Prosić – rzekł Mariusz.

Baskijczyk zaanonsował:

– Pan Thénard.

Wszedł jakiś człowiek:

Nowa niespodzianka. Człowiek, który wszedł, był Mariuszowi najzupełniej nie znany.

Człowiek ten, dosyć stary, miał gruby nos, brodę w halsztuku zielone okulary, nad oczami daszek z zielonej kitajki, włosy gładko szesane na czoło aż po brwi, jak peruka woźniców w wytwornych domach angielskich. Włosy miał szpakowate. Ubrany był cały na czarno, w odzież schludną, choć mocno wytartą; pęk breloków zwisających z kieszeni kamizelki pozwalał domyślać się zegarka. W rękę trzymał stary kapelusz. Garbił się, a głęboki ukłon jeszcze bardziej pochylił mu plecy.

Od pierwszego rzutu oka uderzało, że surdut, zbyt obszerny, chociaż zapięty starannie, nie wydawał się uszyty na tego człowieka. Gdyby Mariusz znał tajemne instytucje Paryża, natychmiast poznałby na grzbiecie gościa, którego wprowadził Baskijczyk, ubranie męża stanu pożyczone od tandeciarza.

Zawiedziony, że nie ujrzał człowieka, którego oczekiwał, Mariusz potraktował przybysza opryskliwie. Obejrzał go od stóp do głów, kiedy ten giął się w przesadnym ukłonie, i zapytał oschle:

– Czego pan chce?

Nieznajomy odpowiedział ze słodkim grymasem, o którym pewne wyobrażenie móglby dać pieszczotliwy uśmiech krokodyla:

– Niepodobna, żebym nie miał dotąd zaszczytu spotykać pana barona. Zdaje mi się, że kilka lat temu widywałem go, zwłaszcza u księżnej Bagration i w salonach wicehrabiego Dambray, para Francji.

Udawanie, że się poznaje kogoś całkiem nieznajomego, to wypróbowana taktyka oszustów.

Mariusz słuchał uważnie. Badał dźwięk głosu i ruchy, ale rozczarowanie było coraz większe, bo przybysz mówił przez nos i niczym mu nie przypominał ostrego i suchego głosu, którego się spodziewał. Zbiło go to z tropu do reszty.

– Nie znam – odparł – ani pani Bagration, ani pana Dambray. Noga moja nie powstała w tych salonach.

Odpowiedź była ostra. Nieznajomy, mimo to promieniujący czarem, nalegał:

– W takim razie widziałem pana u Chateaubrianda! Znam blisko Chateaubrianda. Bardzo miły człowiek. Nieraz mi mówi: „Przyjacielu Thénard, no co, może wypijemy po kieliszku?”

Czoło Mariusza zasepiało się coraz bardziej.

– Nie miałem zaszczytu być przyjmowany u pana de Chateaubriand.

Do rzeczy. Czego pan chce?

Gość, słyszając surowszy głos, skłonił się jeszcze niżej.

– Panie baronie, racz mnie wysłuchać. Jest w Ameryce, gdzieś koło Panamy, wioska zwana Joya. Ta wioska składa się z jednego domu. Dom to ogromny, kwadratowy, o trzech piętrach, z cegły suszonej na słońcu; każdy bok kwadratu ma pięćset stóp długości, każde piętro cofnięte jest o dwanaście stóp w stosunku do niższego piętra, tak że ma taras biegnący dokoła gmachu; w środku wewnętrzne podwórze, gdzie mieszczą się zapasy i amunicja; żadnych okien oprócz strzelnic, zamiast drzwi tylko drabiny, drabiny do wchodzenia z dołu na pierwszy taras, z pierwszego na drugi i z drugiego na trzeci, po drabinach też schodzi się na wewnętrzne podwórze, w pokojach nie ma drzwi – tylko otwory w sufitach, żadnych schodów – tylko drabiny; na noc zamyka się klapy otworów, zdejmuje drabiny, wstawia moździerz i karabiny w strzelnice – nie sposób dostać się do środka. We dnie dom, w nocy cytadela, ośmiuset mieszkańców – oto wioska. Dlaczego takie ostrożności? Bo kraj jest niebezpieczny, pełen ludożerców. Więc po cóż tam się jeździ? Bo to kraj cudowny, znajdują w nim złoto.

– Do czego to wszystko prowadzi? – przerwał Mariusz, który zaczynał się niecierpliwić.

– Do tego, panie baronie. Jestem dawnym dyplomatą i zmęczył mnie mój zawód. Stara cywilizacja wlaża mi za skórę. Chcę spróbować życia w dzikich krajach.

– No więc? –

– Panie baronie, egoizm jest prawem, które rządzi światem. Wyrobnica wiejska ogląda się, kiedy przejeżdża dyliżans, a chłopka posiadająca własną rolę nie ogląda się. Pies biedaka szczeka na bogacza, a pies bogacza szczeka na biednego. Każdy myśli o sobie. Interes – oto cel ludzi. Złoto – oto magnes.

– Co dalej? Kończ pan prędzej.

– Chciałbym osiąść w Joya. Jest nas troje. Mam małżonkę i córkę, bardzo ładną panienkę. Podróż jest długa i kosztowna. Potrzebuję trochę pieniędzy.

– Co mnie to obchodzi? – zapytał Mariusz.

Nieznajomy sępił ruchem wyciągnął szyję z halsztuka i odpowiedział, podwajając uśmiech:

– Czy pan baron nie czytał mojego listu?

Uwaga była słuszna. W istocie, Mariusz zapomniał o treści listu albo raczej wpatrywał się w pismo, a nie czytał go prawie. Zaledwie pamiętał, co w nim było. Przed chwilą znów powróciły jego przypuszczenia. Zauważył ten szczegół: mam małżonkę i córkę. Spojrzał przenikliwie na nieznajomego. Było to spojrzenie sędziego śledczego. Badał go wzrokiem i odpowiedział tylko:

– Proszę mówić krócej.

Nieznajomy wsunął obie ręce w kieszenie kamizelki, podniósł głowę, nie prostując pleców, i ze swej strony badał Mariusza zielonym spojrzeniem swoich okularów.

– Zgoda, panie baronie. Powiem krótko. Mogę panu sprzedać pewną tajemnicę.

– Tajemnicę?

– Tajemnicę.

– Która mnie dotyczy?

– Trochę.

– Jakaż to tajemnica?

Ciągle słuchając, Mariusz coraz uważniej wpatrywał się w przybysza.

– Zaczynam bezpłatnie – rzekł nieznajomy. – Osądzi pan sam, czy to jest coś interesującego.

– Proszę mówić.

– Panie baronie, ma pan u siebie w domu złodzieja i mordercę.

Mariusz zadrżał.

– U mnie w domu? Nie – odpowiedział.

Nieznajomy flegmatycznie potarł łokciem o kapelusz i mówił dalej:

– Mordercę i złodzieja. Pan baron raczy zauważyć, że nie mówię tu bynajmniej o wypadkach starych i zapomnianych, które przedawnienie mogło zatrzeć wobec prawa, a skrucza wobec Boga. Mówię o wypadkach świeżych, teraźniejszych, o których sprawiedliwość jeszcze nie wie. Otóż ten człowiek wkradł się w pańskie zaufanie, prawie w pańską rodzinę, pod fałszywym nazwiskiem. Powiem panu jego prawdziwe nazwisko. I powiem za darmo.

– Słucham.

– Nazywa się Jan Valjean.

– Wiem o tym.

– Powiem panu, również za darmo, kim on jest.

– Słucham.

– To dawny galernik.

– Wiem o tym.

– Wie pan od chwili, w której miałem zaszczyt powiedzieć to panu.

– Nie. Wiedziałem to już dawniej.

Chłodny ton Mariusza, jego dwukrotna odpowiedź: „wiem o tym”. Jego nie zachęcająca do rozmowy zwięzłość obudziły w nieznajomym głuchy gniew. Ukradkiem rzucił na Mariusza wściekłe spojrzenie, które jakkolwiek szybkie, nie uszło jego uwagi. Pewne błyski wzroku właściwe są tylko pewnym duszom; źrenica, to okienko myśli, zapala się od takiej duszy. Okulary nie ukryją niczego – spróbujcie zakryć szybą piekło.

Nieznajomy uśmiechnął się i ciągnął dalej:

– Nie ośmielam się zadawać kłamu panu baronowi. W każdym razie widzi pan, że jestem dobrze poinformowany. Ale to, co teraz powiem, jest wiadome tylko mnie. Dotyczy to majątku pani baronowej. Nadzwyczajna to tajemnica. Jest do sprzedania. Proponuję ją najprzód panu. Tanio, za dwadzieścia tysięcy franków.

– Znam tę tajemnicę, jak wszystkie inne – rzekł Mariusz.

Przybysz uczuł, że wypada trochę zniżyć cenę.

– Niech pan baron da dziesięć tysięcy, a powiem.

– Powtarzam, że nie dowiem się nic nowego. Wiem, co mi pan chce powiedzieć.

W oczach człowieka pojawiła się znów błyskawica. Zawołał:

– Przecież muszę dziś zjeść obiad! Nadzwyczajna tajemnica, powtarzam. Panie baronie, powiem. Już mówię. Daj pan dwadzieścia franków.

Mariusz spojrział mu bystro w oczy:

– Znam tę nadzwyczajną tajemnicę, znałem nazwisko Jana Valjean i wiem, jak pan się nazywa.

– Ja?

– Tak.

– To nic trudnego, panie baronie. Miałem zaszczyt napisać i powiedzieć panu swoje nazwisko. Thénardier.

– Co?

– Thénardier.

– Kto to?

W obliczu niebezpieczeństwa jeżozwierz nastawia kolce chrząszcz udaje martwego, stara gwardia formuje czworobok; ten człowiek zaczął się śmiać.

Następnie strząsnął palcem pył z rękawa swego fraka.

Mariusz mówił dalej:

– Jesteś także robotnikiem Jondrette, aktorem Fabantou, poetą Genflot, Hiszpanem don Alvarez i wdową Balizard.

– Jaką wdową?

– I miałeś szynk w Montfermeil.

– Szynk? Nigdy!

– Powiadam ci, że jesteś Thénardier.

– Zaprzeczam.

– I że jesteś łajdak. Masz, trzymaj.

Mariusz wyjął z kieszeni banknot i rzucił mu go.

– Dziękuję. Przepraszam. Pięćset franków! Ach, panie baronie!

Zdumiony, wstrząśnięty, kłaniał się i oglądał banknot.

– Pięćset franków – powtórzył zdumiony. I wybąkał półgłosem: – Poważna flota.

Po czym odezwał się gwałtownie:

– A więc niech tak będzie. Mówmy otwarcie i bez ceregieli.

I ze zwinnością małpy odrzucił w tył włosy, zerwał okulary, wyjął z nosa dwa piórka i zdjął swoją twarz, jak się zdejmuje kapelusz. Oczy mu zajaśniały, odsłoniło się czoło nierówne, poorane, tu i ówdzie pokryte guzami, ohydnie zmarszczone u góry, nos stał się spiczasty jak dziób; wyszedł na światło dzienne okrutny i przebiegły profil człowieka – drapieży.

– Pan baron jest nieomylny – rzekł czystym głosem, z którego bez śladu zniknął akcent nosowy – jestem Thénardier.

I wyprostował pochylone plecy.

Thénardier, bo on to był w istocie, zdumiał się niezmiernie; zmieszalby się nawet, gdyby to było możliwe. Przyszedł zaskoczyć Mariusza, a sam został zaskoczony. Za to upokorzenie płacono mu pięćset franków; pogodził się z tym wprawdzie, niemniej jednak był oszołomiony.

Pierwszy raz w życiu widział barona Pontmercy i ten właśnie baron Pontmercy poznał go mimo przebrania, co więcej, przeniknął go na wskroś. Nie dość, że wiedział wszystko o Thénardierze, ale nadto zdawał się wiedzieć wszystko o Janie Valjean. Kimże był ten młodzieniec, prawie młokos, wyniosły i wspaniałomyślny, który tak znał nazwiska ludzi, który znał wszystkie ich nazwiska, a jednak otwierał dla nich swą sakiewkę, który traktował oszustów jak sędzia i jednocześnie płacił im, jak gdyby dawał się nabierać?

Czytelnik przypomina sobie, że Thénardier, choć był sąsiadem Mariusza, nigdy go nie widywał, co w Paryżu często się zdarza; słyszał tylko od swoich córek o jakimś biednym młodzieńcu imieniem Mariusz, który mieszkał w tym samym domu. Jak wiemy, nie znając go, napisał kiedyś do niego. Ani przez chwilę nie powstało mu w głowie, że tamten Mariusz mógł mieć coś wspólnego z panem baronem Pontmercy.

Przez swoją córkę Anzelmę wysłaną na przeszkapienie za parą młodożeńców, którą dostrzegł szesnastego lutego, oraz dzięki własnym poszukiwaniom dowiedział się wielu rzeczy i z głębi swoich mroków zdołał uchwycić niejedną tajemniczą nić. Jeżeli nie odkrył przez te zabiegi, to przynajmniej odgadł na podstawie rozumowania, kim był ów człowiek, którego spotkał w głównym kanale. Kiedy ustalił osobę, łatwo trafił na jej nazwisko. Wiedział, że Kozeta stała się panią baronową Pontmercy. W stosunku do niej postanowił wszakże zachować dyskrecję. Kim

była Kozeta? Sam dobrze nie wiedział. Podejrzewał co prawda, że była nieślubnym dzieckiem, bo historia Fantyny zawsze mu się wydawała niejasna, ale po co o tym mówić? Żeby kazać sobie zapłacić za milczenie? Miał do sprzedania coś lepszego, tak przynajmniej sądził. Zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, gdyby nie przedstawiając dowodów powiedział baronowi Pontmercy: „Pańska żona jest bękartem”, zyskałby tylko tyle, że mąż kopnąłby go w okolice krzyża.

W przekonaniu Thénardiera rozmowa z Mariuszem jeszcze się nie zaczęła. Trzeba było się cofnąć, zastosować inną strategię, porzucić zajęte stanowisko, zmienić front. Nic jeszcze nie przegrał, zarobił już pięćset franków, a miał do powiedzenia coś tak druzgocącego, że nawet wobec tego barona Pontmercy, który tak dobrze był poinformowany i uzbrojony, czuł się silny. Dla ludzi takich jak Thénardier każda rozmowa jest pojedynkiem. Jaka była jego sytuacja w rozmowie, która się miała rozpocząć? Nie wiedział, z kim rozmawia, ale wiedział, o czym ma mówić. Szybko dokonał tego wewnętrznego przeglądu swoich sił i powiedział: Jestem Thénardier – czekał.

Mariusz zamyślił się głęboko. A więc nareszcie miał przed sobą Thénardiera. Znalazł człowieka, którego tak bardzo pragnął odszukać. Mógł więc wypełnić wreszcie polecenie pułkownika Pontmercy.

Upokarzało go, że ten bohater zawdzięcza coś bandycie i że on Mariusz, dotychczas nie spłacił długu, który mu ojciec przekazał z za grobu. Wśród sprzecznych uczuć, jakie w nim budził Thénardier pomyślał, że pułkownikowi należy się zemsta za to, że miał nieszczęście zostać ocalonym przez takiego łajdaka. W każdym razie był zadowolony. Mógł wreszcie oswobodzić cień pułkownika od tego niegodnego wierzyciela i zdawało mu się, że wydobywa pamięć ojca z więzienia za długi.

Obok tego obowiązku miał drugi – wyświecić w miarę możliwości pochodzenie majątku Kozety. Kto wie, może właśnie następcza się sposobność? Może Thénardier coś wiedział. Poznanie tajemnic tego człowieka mogło być użyteczne.

Thénardier schował do kieszeni „poważną flotę” i patrzył na Mariusza łagodnie, niemal tkliwie.

Mariusz przerwał milczenie.

– Thénardier, powiedziałem ci twoje nazwisko. Czy chcesz, żebym ci teraz odkrył tajemnicę, którą mi chciałeś powiedzieć? I ja rozporządzam informacjami. Przekonasz się, że wiem więcej. Jan Valjean, jak powiedziałeś, jest zabójcą i złodziejem. Złodziejem, bo okradł bogatego przemysłowca, pana Madeleine, niszcząc jego egzystencję. Zabójcą, bo zastrzelił inspektora policji Javerta.

– Nie rozumiem, panie baronie! – rzekł Thénardier.

– Zaraz zrozumiesz. Posłuchaj. Około roku 1822 żył w pewnym okręgu departamentu Pas-de-Calais człowiek, który dawniej miał jakieś zatargi ze sprawiedliwością, ale pod nazwiskiem Madeleine wrócił na drogę uczciwości. Był to w całym znaczeniu tego słowa człowiek sprawiedliwy. Własnym przemysłem, prowadząc fabrykę czarnych świecidełek, wzbogacił całe miasto. Zdobył też osobisty majątek, ale prawie od niechcenia, nie dbając o to. Był żywicielem ubogich. Zakładał szpitale, otwierał szkoły, odwiedzał chorych, wyposażał ubogie dziewczęta, wspierał wdowy, utrzymywał sieroty; stał się opatrnością całej okolicy. Nie chciał przyjąć orderu. Mianowano go merem. Pewien uwolniony galernik wiedział o przestępstwie popełnionym niegdyś przez tego człowieka, zadenuncjował go; a potem, korzystając z jego aresztowania, przyjechał do Paryża i sfalszowany podpis podniósł u bankiera Laffitte’a – wiem to od samego kasjera – przeszło pół miliona franków należących do pana Madeleine. Galernikiem, który okradł pana Madeleine, był Jan Valjean. Co do drugiego faktu, także mi nic

nowego nie powiesz. Jan Valjean zabił inspektora Javerta, zabił go wystrzałem z pistoletu. Ja, który ci to mówię, byłem przy tym.

Thénardier obrzucił Mariusza spojrzeniem człowieka, który poniósłszy porażkę znowu zaczyna być górą, gdyż w jednej chwili odzyskał stracony teren. Ale uśmiech natychmiast wrócił na jego usta. Triumf nad wyżej postawionym przeciwnikiem zawsze powinien być ozdobiony pochlebstwem. Thénardier ograniczył się do oświadczenia:

– Panie baronie, błądzimy po manowcach. I podkreślił te słowa, wprawiając wymownym gestem swój pęk breloków w ruch obrotowy.

– Co? – zapytał Mariusz – zaprzeczasz temu? To są fakty.

– To są przywidzenia. Zaufanie, jakim mnie pan baron zaszczyca, nakazuje mi, żebym mu to powiedział otwarcie. Prawda i sprawiedliwość przede wszystkim. Panie baronie, Jan Valjean nigdy nie okradł pana Madeleine i Jan Valjean wcale nie zabił Javerta.

– Cóż za pewność! A dlaczego?

– Z dwóch przyczyn.

– Jakich? Mów.

– Oto pierwsza. Nie okradł pana Madeleine, ponieważ on sam, Jan Valjean, jest panem Madeleine.

– Co ty pleciesz?!

– Oto druga. Nie zabił Javerta, zważywszy, że tym, kto zabił Javerta, był sam Javert.

– Co takiego?!

– Javert popełnił samobójstwo.

– Dowiedz tego, dowiedz! – krzyknął Mariusz, tracąc panowanie nad sobą.

Thénardier odpowiedział, skandując swoje słowa jak starożytny heksametr:

– Bo inspek-tora po-licji Ja-verta znale-ziono martwego pod galarem koło mostu Wy-miany.

– Jak możesz tego dowieść?

Thénardier wyjął z bocznej kieszeni dużą szarą kopertę, która zdawała się zawierać złożone papiery różnego formatu.

– Mam akta – rzekł spokojnie.

I dodał:

– Panie baronie, w pańskim interesie starałem się dobrze poznać Jana Valjean. Utrzymuję tedy, że Jan Valjean i Madeleine to jeden i ten sam człowiek; utrzymuję, że Javerta zabił sam Javert, i jeżeli tak mówię, to dlatego, że mam dowody. Nie pisane, pismo budzi wątpliwości, pismo może kłamać, ale drukowane.

Mówiąc to Thénardier wyjął z koperty dwa numery dzienników zżółkłe, pomięte i mocno przesycone zapachem tytoniu. Jeden z tych dzienników, podarty na zgięciach i rozpadający się na kwadratowe kawałki, wydawał się znacznie starszy od drugiego.

– Dwa fakty, dwa dowody – rzekł Thénardier.

I podał Mariuszowi dwa rozłożone dzienniki.

Czytelnik zna je dobrze. Jeden, starszy, numer „Białej Chorągwi” z dnia 25 lipca 1823 roku, ustalał tożsamość pana Madeleine i Jana Valjean. Drugi, „Monitor” z dnia 15 czerwca 1832 roku, informował o samobójstwie Javerta, dodając, że z ustnego raportu złożonego prefektowi przez samego Javerta wynikało, iż uwięziony na ulicy Konopnej inspektor policji ocalał dzięki wspaniałomyślności pewnego powstańca, który zamiast go zabić, wystrzelił w powietrze.

Mariusz przeczytał. Poddał się oczywistości. Data była pewna, dowód nieodparty, bo przecież te dwa dzienniki nie zostały wydrukowane specjalnie na poparcie słów Thénardiera; wzmiankę ogłoszoną w „Monitorze” nadesłała drogą administracyjną prefektura policji. Mariusz nie mógł wątpić. Kasjer z banku Laffitte’a udzielił błędnych informacji, sam się omylił. Jan Valjean

wynurzał się z mgły, nagle wyolbrzymiały; Mariusz nie mógł powstrzymać okrzyku radości:

– A więc ten nieszczęśnik jest człowiekiem godnym podziwu! Majątek należał rzeczywiście do niego, to Madeleine, opatrność całego Montreuil! To Jan Valjean, zbawca Javerta, bohater, święty!

– Nie święty i nie bohater – odparł Thénardier. – To zabójca i złodziej.

I dodał tonem człowieka, który zaczyna zdawać sobie sprawę, że ma pewien autorytet.

– Uspokójmy się.

Złodziej, zabójca – te słowa, które – zdawało się – znikły na zawsze, spadły na Mariusza jak strumień zimnej wody.

– Znów to samo – rzekł.

– Zawsze to samo. Jan Valjean nie okradł Madeleine’a, ale jest złodziejem. Nie zabił Javerta, ale jest mordercą.

– Może mówisz – zapytał Mariusz. – o tej nędznej kradzieży sprzed czterdziestu laty, którą, jak to wynika nawet z twoich gazet, odpokutował całym życiem pełnym skruchy, zaparcia się i cnoty?

– Powiadam: zabójstwo i kradzież, panie baronie. I powtarzam, że mówię o faktach niedawnych. To, co mam panu odkryć, jest absolutnie nie znane. Rewelacja! Dzięki niej znajdzie pan może źródło majątku, który Jan Valjean tak zřęcznie ofiarował pani baronowej. Powiadam: zřęcznie, albowiem wcisnąć się do zacnego domu za pomocą tego rodzaju darowizny, dzielić dobrobyt tego domu i zarazem ukryć swoją zbrodnię, korzystać z kradzieży, pogrzebać własne nazwisko i znaleźć sobie rodzinę – to pomysł wcale niegłupi.

– Mógłbym ci tu przerwać – wtrącił Mariusz – ale mów dalej.

– Panie baronie, powiem wszystko, pozostawiając kwestię wynagrodzenia pańskiej wspaniałości. Zapyta pan: dlaczego nie zwróciłeś się do Jana Valjean? Z bardzo prostej przyczyny – wiem, że się ze wszystkiego ogołocił dla państwa. Uważam tę kombinację za bardzo dowcipną, ale on nie ma już ani grosza i pokazałby mi puste ręce, a ponieważ potrzebuję pieniędzy na podróż do Joya, wolałem udać się do pana, który ma wszystko, niż do niego, który nie ma nic. Jestem trochę zmęczony; niech pan pozwoli, że usiądę. Mariusz usiadł i ruchem dłoni wskazał mu krzesło. Thénardier rozsiadł się wygodnie na wyścielonym krześle, zabrał z powrotem obie gazety, włożył je do koperty i mruknął przytykając paznokciem w „Białą Chorągiew”. – Niemalóm się nabiedził, żeby to dostać! – Po czym założył nogę na nogę, rozparł się, przybierając postawę człowieka, który jest pewny tego, co mówi, i zaczął tonem poważnym, kładąc nacisk na każdy wyraz:

– Panie baronie, dnia szóstego czerwca 1832 roku, blisko rok temu, podczas zamieszek, pewien człowiek znajdował się w głównym kanale paryskim, w miejscu, gdzie ścieki wpadają do Sekwany, między mostem Inwalidów i mostem Jenajskim.

Mariusz gwałtownie przysunął swoje krzesło do krzesła Thénardiera. Zauważywszy to poruszenie, Thénardier ciągnął dalej z powolnością mówcy, który wie, że trzyma słuchacza w napięciu, i czuje, jak przeciwnik drży pod wpływem tego, co słyszy.

– Człowiek ten, zmuszony ukrywać się, z przyczyn zupełnie zresztą obcych polityce, obrał kanał na mieszkanie i miał klucz do niego. Powtarzam, było to szóstego czerwca około ósmej wieczorem.

Człowiek ów usłyszał szelest w kanale. Bardzo zdziwiony, przycisnął się i czekał. Był to szelest kroków; ktoś szedł w ciemnościach w jego stronę. Dziwna rzecz, w kanale był jeszcze ktoś drugi. Krata zamykająca wyjście z kanału znajdowała się niedaleko. Wpadało przez nią trochę światła, które pozwalało rozpoznać nowo przybyłego i zauważyć, że niósł on na plecach jakiś ciężar, pod którym się ugiął. Człowiek, który szedł tak pochylony, był dawnym

galernikiem, a to, co niósł na plecach, było trupem. Nie potrzeba lepszego dowodu morderstwa. Co do kradzieży, to rozumie się ona sama przez się; nikt nie zabija człowieka *gratis*. Galernik niósł trupa do rzeki. Warto zaznaczyć, że nim dotarł do kraty przy wyjściu, niewątpliwie napotkał po drodze ogromną zapadlinę, gdzie mógłby utopić trupa, ale nazajutrz robotnicy kanałowi, pracujący przy zalewie, znaleźliby zabitego człowieka, a tego właśnie nie życzył sobie zabójca. Wolał przeprowić się przez topiel ze swoim ciężarem”, a jego wysiłki musiały być straszne, bo niepodobna bardziej narażać życia; nie pojmuję, jak mógł wyjść stamtąd żywy.

Krzesło Mariusza przysunęło się jeszcze bliżej. Thénardier przy tej okazji odetchnął głębiej i tak mówił dalej:

– Panie baronie, kanał ściekowy to nie Pole Marsowe. Brak tam wszystkiego, nawet miejsca. Gdy dwaj ludzie znajdą się tam, muszą się spotkać. Tak się też stało. Lokator i przechodzień zmuszeni byli powiedzieć sobie „dzień dobry”, choć żaden z nich nie był zadowolony z tego spotkania. Przechodzień powiedział do lokatora: „Widzisz, co mam na plecach; muszę stąd wyjść, ty masz klucz, więc daj mi go”. – Galernik był niepospolitym siłaczem, co utrudniało odmowę. Właściciel klucza wdał się w pertraktacje, ale tylko po to, żeby zyskać na czasie. Przypatrywał się zabitemu, nie mógł jednak nic dojrzeć prócz tego, że był młody, porządnie ubrany, wyglądał na bogatego i cały broczył krwią. Podczas rozmowy udało mu się niepostrzeżenie oderwać kawał poły jego surduta; morderca tego nie zauważył. Rozumie pan – dowód rzeczowy, który mógł się przydać do wykrycia i oskarżenia przestępcy. Włożył ten dowód do kieszeni, po czym otworzył kratę, wypuścił człowieka niosącego swój ciężar, zamknął kratę i schował się, nie mając ochoty być wmieszonym w tę awanturę, a nade wszystko nie chcąc oglądać, jak zabójca będzie wrzucał zabitego do rzeki. Teraz pan rozumie. Tym, który niósł trupa, był Jan Valjean, ten, który miał klucz, rozmawia z panem w tej chwili, a kawałek surduta...

Thénardier dokończył zdania, wyjmując z kieszeni i podnosząc do góry obiema rękami kawałek udartego czarnego sukna, cały w ciemnych plamach.

Mariusz wstał błądy, wzruszony, prawie bez tchu, utkwiał wzrok w tym czarnym strzępie i nie mówiąc ani słowa, nie spuszczać oczu z tej szmaty, cofnął się ku ścianie i sięgnął za siebie, szukając klucza od szafy przy kominku. Znalazł klucz, otworzył szafę i nie patrząc wsunął rękę do środka, a jego roziskrzony źrenice ciągle były utkwione w kawałku sukna, który Thénardier trzymał rozwinięty.

Tymczasem Thénardier mówił dalej:

– Panie baronie, mam wszelkie powody, żeby twierdzić, że ów zabity młodzieniec był bogatym cudzoziemcem, którego Jan Valjean wciągnął w zasadzkę, zabił i zabrał mu ogromne pieniądze.

– Tym młodzieńcem byłem ja, oto masz surdut! – zawołał Mariusz i rzucił na podłogę stare, czarne ubranie, całe poplamione krwią.

Potem wyrwał Thénardierowi jego kawałek sukna, przykucnął i przyłożył go do poły surduta. Oddarty kawałek przystawał najdokładniej i uzupełniał surdut.

Thénardier osłupiał i pomyślał: A to wpadłem!

Mariusz podniósł się rozdygotany, zrozpaczony, promieniejący.

Poszukał w kieszeniach, podszedł z wściekłością do Thénardiera i dotykając prawie jego twarzy pięścią pełną banknotów pięćset i tysiącfrankowych, zawołał:

– Jesteś nikczemny kłamca, potwarca i zbrodniarz. Przyszedłeś oskarżyć człowieka, a usprawiedliwiłeś go; chciałeś go zgubić, a zdołałeś tylko wynieść go na piedestał. Ty sam jesteś złodziejem i zabójcą! Widziałem cię, Thénardier-Jondrette, w twojej speluncie na bulwarze Hôpital. To, co wiem o tobie, wystarczyłoby, żeby cię posłać na galery i nawet dalej. Masz tysiąc franków, łotrze!

I cisnął Thénardierowi banknot tysiącfrankowy.

– Ach, Jondrette-Thénardier, podły hultaju! Niech to będzie dla ciebie nauką, tandeciarzu sekretów, kramarzu tajemnic, szperaczu w ciemnościach, nędzniku! Bierz jeszcze te pięćset franków i wynoś się stąd! Oślania cię Waterloo.

– Waterloo! – mruknął Thénardier, kładąc pieniądze do kieszeni.

– Tak jest, zbójcu! Ocaliłeś tam życie pułkownikowi.

– Generałowi – wtrącił Thénardier podnosząc głowę.

– Pułkownikowi – odparł z gniewem Mariusz. – Nie dałbym ci szeląga za generała! I przyszedłeś tu w takich podłych zamiarach. Powiadam ci, że nie ma zbrodni, której byś nie popełnił. Precz! Wynoś się! Bądź sobie szczęśliwy, zyczę ci tego. Ach, ty potworze! Masz jeszcze trzy tysiące franków. Bierz je. Jutro pojedziesz do Ameryki z córką, bo twoja żona umarła, plugawy łgarzu. Dopilnuję, żebyś wyjechał! A w ten dzień, rozbójniku, wyliczę ci jeszcze dwadzieścia tysięcy franków. Jedź, niech cię powieszają gdzie indziej!

– Panie baronie – odpowiedział Thénardier, kłaniając się do ziemi – dozgonna wdzięczność!

I wyszedł nic nie rozumiejąc, zdumiony i zachwycony słodkim ciężarem worków ze złotem i tych piorunów, które sypały się na jego głowę w postaci banknotów.

Czuł się rzeczywiście jak rażony gromem, ale zarazem najzupełniej szczęśliwy i bardzo by żałował, gdyby podczas tej burzy stał pod jakimś piorunochronem.

Dokończmy od razu historii tego człowieka. W dwa dni po wypadkach, które teraz opowiadamy, dzięki staraniom Mariusza wyjechał pod fałszywym nazwiskiem do Ameryki, zabierając ze sobą córkę Anzelmę i płatny w Nowym Jorku weksel na dwadzieścia tysięcy franków. Moralna nędza Thénardiera, wykolejeńca burżuazji, była nieuleczalna: w Ameryce pozostał tym, czym był w Europie. Żli ludzie marnują czasem dobre uczynki i wykorzystują je do złych celów. Thénardier obrócił pieniądze Mariusza na handel Murzynami.

Kiedy wyszedł, Mariusz pobiegł do ogrodu, gdzie Kozeta jeszcze spacerowała.

– Kozeto, Kozeto! – wołał. – Chodź! Chodź prędko!

Baskijczyk, zawołaj dorożkę! Nie traćmy ani chwili! Włóż szal.

Kozeta pomyślała, że postradał zmysły, ale usłuchała. Mariusz nie mógł oddychać i przyciskał rękę do serca, żeby stłumić jego bicie. To przechadzał się wielkimi krokami, to całował Kozetę. – Ach, Kozeto, jestem nieszczęśliwym człowiekiem! – mówił.

Tracił głowę. Zaczynał dostrzegać w Janie Valjean coś wielkiego i posępnego. Ukazało mu się niespotykane uosobienie cnoty wzniosłej i cichej, ogromnej i pokornej. Przestępca zamieniał się w Chrystusa.

Cud ten olśniewał Mariusza. Nie wiedział dobrze, co widzi, czuł tylko tę wielkość.

Po chwili dorożka stanęła przed bramą.

Mariusz pomógł wsiąść Kozecie i szybko usiadł obok niej.

– Ulica Człowieka Zbrojnego siedem! – powiedział.

Dorożka ruszyła z miejsca.

– Jak to dobrze! – zawołała Kozeta. – Jedziemy na ulicę Człowieka Zbrojnego. Nie śmiałam ci już o tym mówić. Zobaczymy pana Jana.

– Twojego ojca, Kozeto, twojego ojca bardziej niż kiedykolwiek! Teraz zaczynam rozumieć. Mówiłaś mi, że nie dostałaś listu, który ci posłałem przez Gavroche'a. Widocznie on go dostał, Kozeto, i poszedł na barykadę, żeby mnie ocalić. A że musi postępować jak anioł, więc przy sposobności ocalał też innych; ocalił Javerta. Wydobył mnie z tej przepaści i oddał tobie. Niósł mnie na plecach w tym strasznym kanale. Jestem potwornym niewdzięcznikiem. Zabierzemy go do siebie, chce czy nie chce. Nie rozstanie się już z nami. Byle tylko był w domu. Byleśmy go zastali! Do końca życia będę go czcił. Tak, to na pewno tak było. Gavroche oddał mu list.

Wszystko się wyjaśnia. Rozumiesz?

Kozeta nie rozumiała ani słowa.

– Masz rację – odpowiedziała.

Dorożka jechała szybko.

Noc, za którą jest dzień

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Jan Valjean odwrócił się.

– Proszę – rzekł słabym głosem.

Drzwi się otworzyły. Kozeta i Mariusz stanęli na progu.

Kozeta wbiegła do pokoju.

Mariusz zatrzymał się w drzwiach, oparty o futrynę.

– Kozeta! – szepnął Jan Valjean i wyprostował się na krześle, wyciągając drżące ręce, zdumiony, trupioblady, z oczami pełnymi niezmierniej radości.

Kozeta, dławiąc się wzruszeniem, upadła na pierś Jana Valjean.

– Ojczy! – zawołała.

On, zmieszany i wstrząśnięty, bełkotał:

– Kozeta! To ona! To pani! To ty! Mój Boże!

Czując uścisk jej ramion, zawołał:

– To ty! Jesteś tutaj! Więc mi przebaczasz?

Mariusz, spuściwszy powieki, żeby powstrzymać łzy, podszedł bliżej i wyszeptał, ściskając konwulsyjnie usta, które mu drgały od łkania:

– Mój ojczy!

– I pan też mi przebacza! – rzekł Jan Valjean.

Mariusz nie mógł znaleźć słów.

Jan Valjean dodał:

– Dziękuję.

Kozeta zerwała z siebie szal i rzuciła kapelusz na łóżko.

– Przeszkadza mi to! – zawołała.

I siadając na kolanach starca, wdzięcznym ruchem odgarnęła jego siwe włosy i pocałowała go w czoło.

Jan Valjean nie opierał się; Kozeta pieściła go i tuliła, jakby chciała spłacić dług Mariusza.

Jan Valjean mówił szeptem:

– Jaki jestem głupi. Myślałem, że już jej nie zobaczę. Niech pan sobie wyobrazi, panie Pontmercy, że w tej chwili, kiedyście weszli, mówiłem sobie: już wszystko skończone. Oto jej sukienka. Co za nędza, już nie zobaczę Kozety; tak myślałem, kiedyście wchodzili na schody. Jaki byłem głupi. Nie można być głupszym. Zapomniałem, że Pan Bóg istnieje. Pan Bóg mówi: Myślisz, głuptasie, że cię opuszczę? Nie, nie, tak nie będzie. Biedny człowiek potrzebuje anioła i anioł przychodzi. Biedny człowiek widzi swoją Kozetę, swoją małą Kozetę! Ach, byłem bardzo nieszczęśliwy.

– Jakiś ty niedobry, żeś nas tak porzucił! – wołała Kozeta. – Gdzie ojciec był? Dlaczego tak długo? Dawniej podróże ojca trwały najwyżej kilka dni. Nikoleta zawsze wracała z tą samą odpowiedzią: „Nie ma go”. Czy dawno ojciec wrócił? Dlaczego nas nie zawiadomił? Ojciec jest

bardzo zmieniony. Ach, jak to nieładnie, był chory i nic nie powiedział. Mariuszu, dotknij jego ręki, jaka zimna.

– Więc i pan przyszedł, panie Pontmercy. Przebaczył mi pan – powtórzył Jan Valjean.

Tym razem wezbrane serce Mariusza zerwało tamy.

– Kozeto, czy słyszysz, co on mówi? – zawołał. – On oczekiwał mojego przebaczenia! A czy wiesz, co on zrobił? Ocalił mi życie. Zrobił więcej. Dał mi ciebie. I po tym wszystkim zrezygnował z własnego szczęścia. Oto człowiek. I mnie, niewdzięcznemu, bez pamięci, bez serca, mnie, winowajcy, on mówi: Dziękuję! Kozeto, choćbym całe życie spędził klęcząc przed tym człowiekiem, to jeszcze byłoby za mało. Poszedł na barykadę, do kanału, w to piekło, w tę kloakę, wszystko to zrobił dla mnie i dla ciebie, Kozeto! Wyniósł mnie ze śmiertelnych niebezpieczeństw, które odsuwał ode mnie i brał na siebie. Złożył wszelkie możliwe dowody odwagi, cnoty, bohaterstwa, świętości! Kozeto, ten człowiek jest aniołem!

– Cicho! – szepnął Jan Valjean – po co o tym mówić?

– Ale dlaczego – zawołał Mariusz głosem, w którym brzmiał gniew pomieszany z głęboką czcią – pan sam nic o tym nie powiedział? Jest w tym i pańska wina. Ocalić innym życie i ukrywać to, a co więcej, spotwarzać się samemu pod pretekstem, że się wyznaje prawdę, to okropne!

– Powiedziałem prawdę – rzekł Jan Valjean.

– Nie – odparł Mariusz – prawda to jest cała prawda, a pan jej nie powiedział. Co szkodziło powiedzieć, że był pan panem Madeleine, że ocalił pan Javerta, że ja panu zawdzięczam życie?

– Myślałem wtedy tak jak pan. Uważałem, że miał pan rację. Powinienem być odejść. Gdybyś wiedział o tej przeprawie przez kanał, zatrzymałbyś mnie przy sobie. Musiałem więc milczeć. Wszystko, co bym powiedział, stałoby się przeszkodą.

– Jaką przeszkodą? – zapytał Mariusz. – Czy panu się zdaje, że pan tu zostanie? Zabieramy cię stąd. Mój Boże, pomyśleć, że tylko przypadkiem dowiedziałem się o wszystkim! Zabieramy cię, ojczy. Należysz do nas. Jesteś jej i moim ojcem. Ani jednego dnia więcej nie spędzisz w tym strasznym domu. Nie myśl nawet, że będziesz tu jeszcze jutro.

– Jutro – odrzekł Jan Valjean – nie będę już tu, ale nie będę i u was.

– Co to ma znaczyć! – zawołał Mariusz. – Nie pozwalamy na żadną podróż! Nigdy się już nie rozstaniemy. Należysz do nas i nie puścimy cię od siebie.

– Tym razem wymówki nic nie pomogą – dodała Kozeta. – Na dole mamy dorożkę. Zabieram ojca, a w razie potrzeby użyję nawet siły.

I śmiejąc się udawała, że chce wziąć starca na rękę.

Jan Valjean mówił dalej:

– Tak, to prawda, dobrze byłoby żyć razem. Tam jest tyle ptaków... Spacerowałbym z Kozetą... Ach, należeć do ludzi, którzy żyją, mówią sobie „dzień dobry”, nawołują się w ogrodzie, to bardzo przyjemnie. Każde z nas uprawiałoby jakiś zakątek ogrodu. Ona by mi dawała swoje truskawki i zrywała moje róże... Pięknie by było. Tylko że...

Przerwał i dodał cicho:

– Szkoda.

Łza nie spadła, zatrzymała się pod powieką i zastąpił ją uśmiech.

Kozeta ujęła w swoje dłonie ręce starca.

– Mój Boże! – zawołała – ojciec ma coraz zimniejsze ręce! Czy jesteś chory, ojczy? Cierpisz?

– Nie – odpowiedział Jan Valjean. – Czuję się bardzo dobrze, tylko że...

Umilkł.

– Tylko że co?

– Za chwilę umrę.

Dreszcz wstrząsnął Kozeta i Mariuszem.

– Umrzesz?! – zawołał Mariusz.

– Tak, ale to nic – odpowiedział Jan Valjean.

Odetchnął, uśmiechnął się i dodał:

– Kozeto, mówiłaś do mnie; mów jeszcze, mów, niech słyszę twój głos.

Skamieniały Mariusz wpatrywał się w starca.

Kozeta krzyknęła rozzwierającym głosem:

– Ojcie, drogi ojcie, nie umrzesz! Będziesz żył! Chcę, żebyś żył, słyszysz?

Jan Valjean podniósł głowę, patrząc na nią z uwielbieniem.

– O tak, zabroń mi umierać. Kto wie, może będę posłuszny? Umierałem już, kiedyście przyszli. To mnie zatrzymało, czułem, że się odradzam.

– Jesteś pełen sił i życia! – zawołał Mariusz. – Czy wyobrażasz sobie, ojcie, że tak wygląda śmierć? Miałaś zmartwienia, ale już się skończyły. Błagam cię na kolanach, żebyś mi przebaczył. Będziesz żył razem z nami, będziesz żył długo. Zabieramy cię do siebie. Odtąd oboje będziemy myśleć tylko o jednym – żebyś czuł się szczęśliwy!

– Widzisz, ojcie – wtrąciła zalana łzami Kozeta – Mariusz mówi, że nie umrzesz.

Jan Valjean wciąż się uśmiechał.

– Choćbyś mnie zabrał do siebie, panie Pontmercy, czyż przestanę być tym, kim jestem? Nie, Bóg pomyślał jak ty i ja i nie zmieni zdania. Powiniennem odejść. Śmierć wszystko załatwi. Bóg wie lepiej od nas, co nam jest potrzebne. Tak na pewno będzie dobrze – będziecie szczęśliwi, pan Pontmercy zostanie z Kozetą, młodość poślubia poranek, dokoła was, moje dzieci, kwitną bzy i śpiewają słowiki, życie ściele się przed wami jak piękna łąka w słońcu, wszystkie uroki niebios wypełnią wam dusze, a ja, który już do niczego nie mogę się przydać, umrę sobie. Bądźmy rozsądni, nie ma już czego się spodziewać, widzę wyraźnie, że wszystko skończone. Przed godziną zemdląłem, a w nocy wypilem cały dzbanek wody. Jaki twój mąż jest dobry, Kozeto! Lepiej ci z nim niż ze mną.

Za drzwiami dały się słyszeć kroki. Wszedł lekarz.

– Witaj i żegnaj, doktorze – rzekł Jan Valjean. – Przyszły moje pocziwe dzieci.

Mariusz zbliżył się do lekarza i powiedział tylko: – Panie?... – lecz w tonie, jakim wymówił to słowo, mieściło się wszystko, o co chciał zapytać.

Lekarz odpowiedział wymownym spojrzeniem.

– Kiedy nam się coś nie podoba – rzekł Jan Valjean – to jeszcze nie powód, żeby być niewdzięcznym wobec Boga.

Nastało milczenie. Wszystkim ścisnęły się serca.

Jan Valjean zwrócił się w stronę Kozety. Wpatrywał się w nią, jakby ją chciał wziąć dla siebie na całą wieczność. W głębinach cienia, w które już wszedł, zdolny był jeszcze do ekstazy na widok Kozety. Odblask jej twarzyczki rozjaśniał jego wybladłe oblicze. Grób ma swoje olśnienia.

Lekarz zbadał mu puls.

– Ach, to wy byliście mu tak potrzebni! – powiedział do siebie, patrząc na Kozetę i Mariusza.

I pochylając się ku Mariuszowi, szepnął mu do ucha:

– Za późno.

Jan Valjean, niemal nie odrywając oczu od Kozety, rzucił pogodne spojrzenie na Mariusza i lekarza. Z jego ust wydobyły się niewyraźne słowa:

– Sama śmierć to nic, ale straszne jest, że się już nie będzie żyło.

Nagle podniósł się. Takie przyływy energii są czasami najcharakterystyczniejszą oznaką agonii. Pewnym krokiem podszedł do ściany, odsunął Mariusza i lekarza, którzy chcieli mu

pomóc, zdjął z gwoździa mały mosiężny krucyfiks, wrócił na swoje miejsce ze swobodą ruchów zdrowego człowieka i stawiając krucyfiks na stole, powiedział głośno:

– Oto wielki męczennik.

Potem westchnął głęboko, głowa zaczęła mu drżeć, jakby nadeszło już śmiertelne oszołomienie, i palce obu rąk wpity się paznokciami w sukno spodni.

Można by powiedzieć, że agonia podchodzi do człowieka linią zygzakowatą. Postępuje naprzód, zbliża się do grobu i wraca w stronę życia. Umieranie ma w sobie coś z chodzenia po omacku.

Po tym krótkim półomdleniu Jan Valjean wyprostował się, potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z niej ciemności, i był znowu prawie przytomny. Ujął skraj rękawa Kozety, podniósł do ust i pocałował.

– Przychodzi do siebie, panie doktorze! – zawołał Mariusz.

– Oboje jesteście dobrzy – rzekł Jan Valjean. – Powiem wam, co mi sprawiło przykrość. Przykro mi było, panie Pontmercy, że nie chciałeś używać tych pieniędzy, a one rzeczywiście należą do twojej żony. Wytlumaczę wam to, moje dzieci; już choćby dlatego jestem rad, że was widzę. Czarny dżet pochodzi z Anglii, a biały z Norwegii. To jest opisane w liście, który sobie przeczytacie. Wynałazłem sposób zastępowania w bransoletkach ogniów lutowanych przez ogniwa ściskane. To jest ładniejsze, bardziej trwałe i tańsze. Można na tym dużo zarobić. Majątek Kozety jest więc naprawdę jej własnością. Mówię wam o tym wszystkim, żebyście mieli spokojne sumienie.

Dozorczeni, która weszła na górę, zajrzała przez uchylone drzwi. Lekarz odprawił ją ruchem ręki, ale gorliwa kobiecina zdążyła zawołać do umierającego:

– Może panu przysłać księdza?

– Jest już przy mnie ksiądz – odpowiedział Jan Valjean.

I palcem wskazał punkt nad swoją głową, jakby tam kogoś widział.

Może istotnie biskup był obecny przy jego śmierci.

Kozeta wsunęła mu ostrożnie poduszkę pod plecy. Jan Valjean mówił dalej:

– Panie Pontmercy, zaklinam cię, nie miej żadnych obaw. Te sześćset tysięcy franków to własność Kozety. Straciłbym życie na próżno, gdybyście z nich nie korzystali. Wyrób świecidełek szedł nam bardzo dobrze. Współzawodniczyliśmy z biżuterią, którą nazywają berlińską. Takiego czarnego szkła jak niemieckie nie mogliśmy otrzymać. Tysiąc dwieście bardzo dobrze oszlifowanych szkiełek kosztuje tylko trzy franki.

Gdy droga nam istota umiera, patrzymy na nią spojrzeniem, które ją chwytą i chciałoby zatrzymać. Kozeta podała rękę Mariuszowi i oboje, niemi z bólu, nie wiedząc, co powiedzieć śmierci, zrozpaczeni i drżący, stali przed Janem Valjeanem.

Jan Valjean słabł z każdą chwilą. Dogasał, był coraz bliżej czarnego horyzontu.

Jego oddech stał się nieregularny, przerywany rżeniem. Ledwo mógł poruszać ręką, nogi miał bezwładne, ale w miarę jak rosła nędza ciała i bezwład członków, cały majestat duszy stawał się widomy na jego czole. W źrenicach odbijał się już blask nieznanego światła.

Twarz jego bladła i jednocześnie uśmiechała się. Nie było już w niej życia, ale coś innego. Oddech zamierał, spojrzenie sięgało coraz dalej. U ramion martwego ciała wyrastały skrzydła.

Skinął na Kozetę, później na Mariusza, żeby podeszli bliżej. Była to już widocznie ostatnia minuta ostatniej godziny. Odezwał się głosem tak słabym, jakby mówił z bardzo daleka, oddzielony już od nich murem:

– Zbliź się, zbliźcie się oboje. Kocham was z całego serca. Ach, jak dobrze jest tak umierać. Ty też mnie kochasz, moja Kozeto. Wiem, że zawsze byłaś przywiązana do twojego starego

opiekuna. Jaka ty jesteś dobra, żeś mi wsunęła tę poduszkę pod plecy! Zapłaczesz trochę po mnie, prawda? Byle niedużo. Nie chcę, żebyś miała prawdziwe zmartwienia. Powinniście się dużo bawić, moje dzieci. Zapomniałem wam powiedzieć, że na sprzączkach bez ząbków zarabia się najwięcej. Wyrób dwunastu tuzinów kosztował dziesięć franków, a sprzedawało się za sześćdziesiąt. To był rzeczywiście dobry interes. Nie powinno cię dziwić tych sześćset tysięcy franków, panie Pontmercy. To uczciwie zapracowane pieniądze. Możecie spokojnie używać swojego bogactwa. Trzeba mieć powóz, chodzić do teatru, sprawiać sobie piękne toalety balowe, moja Kozeto, zapraszać przyjaciół na dobre obiady i żyć bardzo szczęśliwie. Pisałem przed chwilą do Kozety. Znajdzie mój list na stole. Jej także zapisuję dwa świeczniki, które stoją na kominku. Są srebrne, ale dla mnie jak złote, jak diamentowe; zwyczajna łożówka zamienia się w nich w woskową świecę. Nie wiem, czy ten, który mi je darował, jest zadowolony ze mnie, tam w górze. Czyniłem, co mogłem. Dzieci, nie zapominajcie, że jestem biedny, pochowajcie mnie w byle jakim kąciku, pod kamieniem, który oznaczy miejsce. Taka jest moja Wola. Żadnego nazwiska na kamieniu. Jeżeli Kozeta przyjdzie kiedy do mnie, będę bardzo szczęśliwy. A i ty przyjdź, panie Pontmercy. Muszę ci wyznać, że nie zawsze cię kochałem, chciej mi to przebaczyć.

Teraz ty i ona jesteście dla mnie jedną istotą. Jestem ci bardzo wdzięczny. Czuję, że Kozeta jest z tobą szczęśliwa. Dzieci moje, już źle was widzę, miałem jeszcze dużo do powiedzenia, ale trudno. Wspomnijcie mnie czasem. Błogosławię was. Nie wiem, co mi jest, widzę światło. Zbliźcie się jeszcze. Umieram szczęśliwy. Przysuńcie wasze kochane głowy, niech położą na nich ręce.

Kozeta i Mariusz, nieprzytomni, dławiąc się łzami, padli na kolana i przytulili do ust dłonie Jana Valjean. Te dobre dłonie już się nie poruszyły.

Przechylił się na wznak, oświetlony przez dwie świece; jego blada twarz patrzyła w niebo; nie bronił Kozecie i Mariuszowi całować się po rękach; był już martwy.

Noc była bezgwiazdna i bardzo ciemna. Jakiś ogromny anioł stał na pewno w cieniu z rozwiniętymi skrzydłami, czekając na duszę.

Trawa zarasta, a deszcz zaciera

Na cmentarzu Pere-Lachaise, w okolicach wspólnego grobu dla ubogich, z dala od wykwintnej dzielnicy tego miasta umarłych, z dala od wymyślnych grobowców, które wobec wieczności popisują się ohydnyim przepychem mody cmentarnej, w samotnym zakątku, pod starym murem, pod wyniosłym cisem, gdzie pną się powoje, między perzem i mchami, leży kamień. Kamienia tego, podobnie jak innych, nie oszczędził trąd czasu, pleśń, mchy i ślady przelotu ptaków. Z dala od ścieżek, nie wabi przechodniów, bo w wysokiej trawie przemięka obuwie. Kiedy słońce zaświeci, przychodzą tu jaszczurki. Dokoła w chwastach szeleści wiatr. Wiosną na drzewie śpiewają szczygły.

Ten kamień jest nagi. Ciosając go, myślano tylko o tym, że potrzebny jest na grób, że musi być na tyle długi i szeroki, aby przykryć człowieka.

Na kamieniu nie ma żadnego nazwiska.

Tylko – wiele już lat temu – jakaś ręka napisała ołówkiem cztery wiersze, które pod deszczem i kurzem stały się powoli nieczytelne, a dziś prawdopodobnie całkiem już znikły:

*On śpi. Choć los dla niego był twardy i wrogi,
On żył, dźwigając brzemień doli męczennika.
A kiedy z jego życia zniknął anioł drogi,
Zgasł tak, jak dzień gaśnie, kiedy słońce znika.*

Korekta: Joanna Bednarek